



GWIEZDNE WOJNY

JA, JEDI

MICHAEL A. STACKPOLE

Przekład
KATARZYNA LASZKIEWICZ



Tytuł oryginału
I, JEDI

Redakcja stylistyczna
MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna
ANNA BONISŁAWSKA

Korekta
MALGORZTA BORUTA
MARIA GŁADYSZEWSKA

Ilustracja na okładce
DREW STRUZAN

Opracowanie graficzne okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu

<http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © & TM 1998 by Lucasfilm, Ltd
All rights reserved. Used under authorization.

Published originally under the title

I, Jedi by Bantam Books

For the Polish edition © Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. 1999

ISBN 83-7245-294-6

ROZDZIAŁ

1

Nikt z nas nie lubił czekać w zasadzce, przede wszystkim dlatego, że nigdy nie mogliśmy być pewni, że to nie nas czeka łaźnia. Gnęby - piracka załoga „Gnębiciela”, byłego imperialnego gwiazdowego niszczyciela - jak do tej pory wymykały się siłom Nowej Republiki, które usilnie starały się wciągnąć ich do walki. Zupełnie jakby za każdym razem wiedzieli, gdzie będziemy, kiedy i w jakiej sile, i odpowiednio do tego planowali swoje ataki. W efekcie sporo czasu spędzaliśmy na ocenie zniszczeń, do których doprowadzili, a nieźle się starali, żebyśmy nie mieli za mało pracy.

Eskadra Łotrów przyczała się na powierzchni kilku większych asteroid w systemie K'vath. Byliśmy więc w pobliżu głównego księżycy piątej planety systemu, Alakathy. Zgasiliśmy silniki i przestawiliśmy sensory na tryb uspienia, żeby uniknąć wykrycia przez cwaniaków, na których zastawiliśmy pułapkę. Z tego, co nam powiedziano na odprawie, wynikało, że Wywiad Nowej Republiki dostał wiadomość, którą uznano za wiarygodną: przynajmniej część pirackiej floty Leonii Taviry ma zaatakować luksusowy liniowiec, lecący z kurortu na wybrzeżu pomocnego kontynentu Alakathy. Mirax i ja spędziliśmy tam miodowy miesiąc trzy lata temu, zanim Thrawn wyrzucił Nową Republikę do góry nogami, miałem więc z tego miejsca miłe wspomnienia i dobrze pamiętałem klejnoty i szlachetne metale, obficie zdobiące szyje i nadgarstki bogatej elity Nowej Republiki.

Spojrzałem na zegar mojego X-skrzydłowca.

- Czy „Lśniaca Gwiazda” leci zgodnie z rozkładem? Gwizdek, usadowiony bezpiecznie za moją kabiną, odpowiedział sygnałem, w którym pobrzmiwał lekki sarkazm.

- Tak, wiem, że ci powiedziałem, żebyś dał mi znać, gdyby coś się zmieniło... i nie, nie sądzę, żeby to polecenie umknęło twoim obwodom. - Zmusiłem się, żeby rozprostować palce zaciśniętej w pięść dłoni i poruszyłem nadgarstkami, by uwolnić je od napięcia.

- Po prostu jestem niespokojny. Nie czekał z odpowiedzią.

- Słuchaj no, z tego, że cierpliwość jest cnotą, nie wynika od razu, że niecierpliwość to grzech - westchnąłem; potraktowałem to westchnienie jak ćwiczenie oddechow- we, które gorąco polecał mi Luke Skywalker, kiedy próbował namówić mnie, żebym

został rycerzem Jedi. Wciągnąłem powietrze licząc do czterech, policzyłem do siedmiu, wstrzymując oddech, a potem wypuściłem je, licząc do ośmiu. Z każdym oddechem czułem, jak napięcie opada. Szukałem jasności umysłu, potrzebnej w czasie nadchodzącej bitwy - jeśli piraci w ogóle się pojawiają - ale umykała mi z taką samą łatwością, z jaką Gnębom udawało się uciekać siłom Nowej Republiki.

Życie toczyło się szybko. Mirax i ja pobraliśmy się pospiesznie, a chociaż nie żałowałem tego ani przez chwilę, wszystko sprzyściło się, żeby utrudnić nam wspólne życie. Wielki Admirał Thrawn i jego igraszki zrujnowały obchody pierwszej rocznicy naszego ślubu, a ratowanie Jana Dodonny i innych, którzy niegdyś byli uwięzieni wraz ze mną na pokładzie okrętu „Lusankya”, wyrwało mnie z domu w czasie drugiej. A potem, w czasie ataku klona Imperatora na Coruscant, na nasz dom spadł gwiazdowy niszczyciel. Ani mnie, ani Mirax nie było wtedy w domu, co zdarzało się o wiele za często.

Tak naprawdę jedyną korzyścią z przydziału do pościgu za Gnębami było to, że ich szefowa Leonia Tavira - dawny moff- zdawała się lubić leniwe życie. Kiedy jej „Gnębiciel” zniknął pomiędzy atakami, mieliśmy zazwyczaj tydzień spokoju, zanim zaczęliśmy zaprzętać sobie głowę kolejnym jej wypadem. Razem z Mirax staraliśmy się dobrze wykorzystać ten czas, odbudowując nasz dom i nasz związek, ale miało to pewne konsekwencje, które dla mnie oznaczały poważne kłopoty - porównywalne z tymi, jakich przysporzył nam Thrawn.

Mirax uznała, że chce mieć dzieci.

Nie mam nic przeciwko dzieciom - jeżeli w końcu idą sobie z rodzicami do domu. Poinformowanie o tym Mirax nie było najmądrzejszą rzeczą, jaką zdarzyło mi się zrobić w życiu, a okazało się jedną z najboleśniejszych. Wyraz bólu i urazy w jej oczach prześladował mnie przez długi czas. W głębi duszy wiedziałem, że nie zdołam odwieść jej od tego zamiaru - zresztą, koniec końców, wcale nie byłem pewien, czy tego chcę.

Spróbowałem jednak, używając większości typowych w takiej sytuacji argumentów. Argument „niepewnych czasów” przepadł z kretelem w obliczu faktu, że nasi rodzice mieli podobny problem, a jakoś udało im się wyprowadzić nas na ludzi. „Niepewna praca” zbladła nieco w świetle mojego ubezpieczenia na życie, a potem musiała całkowicie ustąpić wobec logiki sprawozdania finansowego - tego prawdziwego, do którego Mirax pozwoliła mi zajrzeć - prowadzonej przez nią firmy importowo-eksportowej. Wynikało z niego, że Mirax była w stanie sama utrzymać trzy- czy nawet czteroosobową rodzinę, a ja mógłbym nie przepracować nawet sekundy więcej w moim życiu, nie licząc opieki nad dziećmi. Poza tym Mirax stwierdziła, że przeliczając pełne dziewięć miesięcy ciąży na czterdziestogodzinny tydzień pracy, przepracowałaby trzy lata i jedenaście miesięcy, za które chyba jestem jej coś winien.

Przede wszystkim zaś stwierdziła, że byłbym wspaniałym ojcem. Zauważyła, że mój ojciec odwalił kawał porządnej roboty, wychowując mnie. Była pewna, że nauczył się od niego sztuki bycia dobrym ojcem, świetnie bym sobie radził z dziećmi. Wysuwając ten argument, zagrała na miłości i szacunku, jakie żywiłem dla ojca. Sprawiała, że poczułem się, jakbym bezcześcił jego pamięć, wzbraniając się przed wydaniem na świat potomka. Ta sztuczka podziałała - o czym Mirax doskonale wiedziała - i poczułem się naprawdę paskudnie.

Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, powinienem być poddać się na samym początku, co zaoszczędziłoby nam obojgu wiele smutku. Mirax zarabia na życie - i to całkiem nieźle, jak się okazało - przekonując najprzeróżniejszych gości, że śmieci, których nikt nie potrzebuje, są im niezbędne do szczęścia. Wciągając mnie w potyczkę na logiczne argumenty - tak że musiałem skoncentrować obronę na tym właśnie obszarze - niepostrzeżenie wyminęła moje straże w sferze emocji. Rzucane od niechcenia uwagi na temat tego, jakie dziecko powstałoby z naszych genów, powodowały, że o mało mi mózg nie wyparował, gdy próbowałem rozwikłać tę zagadkę. I tu mnie miała -jako były detektyw nie potrafiłem porzucić sprawy, zanim nie znalazłem odpowiedzi.

A odpowiedź w tym przypadku oznaczała dziecko.

Mirax udawało się również włączać monitor HoloNetu właśnie wtedy, gdy pokazywano jakiegokolwiek wiadomości o trzyletnich bliźniętach Leii Organy Solo. Dzieciaki były zachwycające, a ich narodziny stały się przyczyną prawdziwej eksplozji demograficznej w Nowej Republice. Wiedziałem, że Mirax nie jest tak prymitywna, by pragnąć dziecka z zazdrości czy dlatego, że akurat jest to modne, ale nie mogła nie zwrócić mi uwagi na to, że jest w wieku Leii i że to dobry czas na dziecko. Albo na dwoje.

A widok takich słodkich szkrabów naprawdę może człowiekowi zależeć za skórę. Media Nowej Republiki unikały pokazywania bliźniąt zaślinionych i zasmarkanych jak inne dzieci, podkreślając to, co było w nich najbardziej ujmujące. Przez to wszystko, jak sobie teraz przypominam, zaczęły mnie prześladować sny o tym, jak tułę w ramionach śpiące dziecko. Co najdziwniejsze, szybko przestałem je uważać za koszmary i robiłem wszystko, by je pamiętać, gdy się obudzę.

Zrozumiawszy, że przegrałem, zacząłem zebrać o czas. Mirax zdecydowanie odmówiła przyjęcia jakiegokolwiek konkretnej daty, przede wszystkim dlatego, że ja myślałem w kategorii lat, więc musiałem się zgodzić na tryb warunkowy. Powiedziałem jej, że jak skończymy z Gnębami, podejmiemy ostateczną decyzję. Przyjęła to trochę lepiej, niż się spodziewałem, co oczywiście obudziło we mnie poczucie winy. Można by pomyśleć, że była to część jej taktyki, ale zdaniem Mirax odwoływanie się do poczucia winy to odpowiednik uderzenia młotem, a ona uważa się za zwolenniczkę posługiwania się wibroostrzem.

Powoli wypuściłem powietrze.

- Gwizdek, przypomnij mi, jak wrócimy do domu, że musimy z Mirax podjąć decyzję w kwestii dziecka natychmiast, nie odkładając tego na później. Tavira nie będzie rządzić moim życiem.

Wysoki świergot uszczęśliwionego Gwizdka przeszedł w niskie ostrzegawcze tony.

Spojrzałem na monitor. „Lśniaca Gwiazda” oderwała się od powierzchni Alakathy, a w systemie pojawił się jeszcze jeden statek. Gwizdek zidentyfikował obiekt jako zmodyfikowany ciężki krążownik „Piracki Łup”. W przeciwieństwie do smukłej sylwetki liniowca, cały kadłub krążownika pokrywały brodawkowate wyrostki, które szybko odłączyły się od jego powierzchni i ruszyły na „Lśniącą Gwiazdę”.

Wcisnąłem przełącznik komunikatora.

- Dowódca Łotrów, formacja trzecia złapała kontakt. Jeden krążownik i osiemnaście brzydali kieruje się w stronę „Lśniącej Gwiazdy”.

Głos Tycho, który usłyszałem w odpowiedzi, był chłodny i spokojny.

- Zrozumiałem, Dziewiątka. Formacja druga wciąga do walki myśliwce. Pierwsza bierze krążownik.

Przełączyłem się na kanał taktyczny oddziału trzeciego.

- Odpalamy, Łotry! Bierzemy się za myśliwce. Włączyłem silniki i przełączyłem zasilanie na uzwojenie repulsorów. X-skrzydłowiec uniósł się jak duch nad grobem i skierował nosem w stronę liniowca. Gdy statek Ooryla uniósł się po mojej lewej stronie, a po prawej dołączyli Vurrulf i Ghufuran, dwójka pozostałych pilotów, otworzyłem do końca przepustnice i ruszyłem do walki.

Twarz rozciągnęła mi się w uśmiechu. Każde myślące stworzenie o zdrowych zmysłach, rozpędzone w kruchej skorupie z metalu i ferroceramiki, uznałoby takie przedsięwzięcie za głupie lub wręcz samobójcze. Rzucanie tej łupiny do walki tylko pogarszało sytuację, i dobrze o tym wiedziałem. Z drugiej jednak strony, niewiele doświadczeń w życiu wytrzymuje porównanie z lotem bojowym czy zaangażowaniem przeciwnika w walkę. Jest to jedyna okazja, kiedy cywilizacja wymaga od nas, byśmy zaprzegli do pracy zwierzęcą stronę naszej natury i wykorzystali pierwotne instynkty do pościgu za najbardziej niebezpieczną zwierzyzną. Musisz być w najlepszej formie fizycznej, psychicznej, a nawet motorycznej, by przeżyć i nie pozwolić zginąć swoim towarzyszom.

A ja nie miałem zamiaru na to pozwolić.

Pstryknięciem kciuka przełączyłem uzbrojenie z laserów na torpedy protonowe i nastawiłem je na pojedynczy strzał. Wstępnie wybrałem cel i naprowadziłem celownik na jego kontury. Gwizdek popiskiwał, próbując zablokować cel, a kiedy czworokąt na wyświetlaczu rozjarzył się na czerwono, jego głos przeszedł w przeciągły gwizd.

Wcisnąłem spust i wypuściłem pierwszą torpedę. Wystrzeliła, gorąca i białoróżowa, a jej śladem pomknęły kolejne, wysyłane przez ludzi z mojego oddziału. Choć część pilotów uważa stosowanie torped protonowych przeciwko myśliwcom za przesadę, w Eskadrze Łotrów taka taktyka była zawsze uznawana za użyteczny sposób poprawienia naszych szans w walce - szans, które zazwyczaj wyglądały równie paskudnie jak wyjątkowo brzydki Hurt.

Gnęby latały na specjalnie dla nich zaprojektowanych myśliwcach typu Tri. Podstawą konstrukcji był kulisty kokpit i silnik jonowy seinarskiego klasycznego myśliwca typu TIE - obok wodoru i głupoty jednego z najbardziej rozpowszechnionych towarów w galaktyce - ożeniony z trzema trójkątnymi płacami, rozstawionymi pod kątem 120 stopni. Dwa dolne płaty służyły jako podpory przy lądowaniu, trzeci sterczał pionowo do góry nad kokpitem. Maszyny te zachowały typowe dla myśliwców TIE bliźniacze lasery umocowane pod kabiną pilota, z trzeciego płata zaś sterczał kieł działa jonowego. Były również wyposażone w podstawowe tarcze, co tłumaczyło ich skuteczność, a boczne iluminatory wykrojone w kadłubie poprawiały widoczność z kabiny pilota. Ponieważ potrójne ostrza płatów wyglądały, jakby trzymały kokpit w uścisku, przezywałyśmy te maszyny „łapsami”.

Oslony i poprawiona widoczność nie pomogły łapsowi, którego wziętem na cel. Torpeda protonowa wbiła się w prawy górny wylot lewego silnika i dosłownie przewierciła się przez kokpit, po czym eksplodowała. Myśliwiec zamienił się w wirującą, złotą kulę ognia, a po chwili po prostu wyparował. Trzy kolejne łapsy wybuchły w pobliżu po mojej prawej burcie, trafione przez myśliwce nadlatującej formacji drugiej.

- Formacja trzecia, celujcie dokładnie. Ooryl, bierzemy tę dwójkę z lewej burty.
- Przyjąłem, Dziewiątka.

Postawiłem mojego X-skrzydłowca na lotkach lewych stabilizatorów i pociągnąłem drążek do siebie. Dodając stopniowo mocy do silników zacieśniłem pętlę, a potem skręciłem w prawo, wciągając piratów w długą serpentynę nawrotu. Przełączyłem się z artylerii na podwójne lasery i natychmiast na moim celowniku pojawił się żółty czworokąt wokół lecącego na przedzie łapsa. Przyspieszyłem do maksimum, by zmniejszyć odległość między nami i rzuciłem przez komunikator:

- Mam lidera.

Ooryl zasygnalizował, że odebrał moją wiadomość. Pchnąłem drążek odrobinę w prawo. Kontur celownika zazielenił się. Strzeliłem. Dwa czerwone promienie uderzyły w cel. Pierwszy usmażył osłony. Iskry trafionego generatora ciągnęły się za łapsem jak ogon komety. Drugi promień przewiercił się przez osłonę kokpitu i uderzył dość wysoko - i dość mocno. Z dziury posypały się iskry, a statek wolną spiralą zaczął spadać w atmosferę Alakathy.

Ooryl skręcił na lewą burcie, goniąc kolejnego łapsa. Odwróciłem mój myśliwiec, by znaleźć się za nim, kiedy składał się do strzału. Pierwsze z trafień przebiło się przez osłony i wypaliło bruzdę w kadłubie myśliwca. Następne dwa przewierciły się przez silniki, zamieniając statek w chmurę złotych płomieni. Ogień po chwili zgasł gwałtownie, pozostawiając wypaloną skorupę myśliwca wirującą bezwładnie przez pustkę w stronę pasa asteroidów.

Przez sklepienie kokpitu nad sobą widziałem zielone i białe pasma atmosfery Alakathy i startującą „Lśniącą Gwiazdę”. Na ster-burcie „Piracki Łup” przykucał w pustce przestrzeni jak złośliwy owad. Turbolasery umieszczone wzdłuż osi i w wieżycze pod brzuchem statku pluły ogniem, próbując trafić myśliwca z formacji pierwszej, ale strzały nie stanowiły realnego zagrożenia dla naszych statków. Pułkownik Celchu, Hobbie, Janson i Gavin Darklighter to stare wygi, których piraci nie potrafili przechrzyć. Dopóki łapsy były zajęte nami, „Piracki Łup” nie miał szans.

Pierwszy koszący atak X-skrzydłowców przypuścili Tycho i Hobbie. Obracając się wokół osi wystrzelili torpedy protonowe w tylne osłony statku. Nadlatujący z drugiej strony Gavin i Wes Janson ostrzelali go ogniem laserów. Drugi strzał Gavina zmiotł wieżyczkę strzelniczą pod brzuchem, podczas gdy strzały Jansona oderwały rurowe silniki manewrowe „Pirackiego Łupu”. Było już po nim, choć nie miałem wątpliwości, że potrzeba jeszcze kilku nawrotów, zanim załoga statku uświadomi to sobie i się podda.

Polecałem za Oorylem długą pętlę w górę, z powrotem w kierunku pola walki, która w tym momencie zamieniła się w rzeź. Utrata sześciu statków, zanim w ogóle zobaczyli wroga, musiała wstrząsnąć piratami, a co najważniejsze - wyrównała nasze siły.

Chociaż łapsy były bardziej zwrotne niż X-skrzydłowce - nieznacznie, ale wystarczająco, by walka z nimi była trudna - nie dorównywały nam pod względem szybkości i siły ognia. Nie mając wojskowej dyscypliny wyszkolonej jednostki bojowej, takiej jak Eskadra Łotrów, wpadli w panikę i poszli w rozsypkę, co znacznie ułatwiło nam robotę. Ooryl usadowił się jednemu na ogonie i posłał za nim poczworną salwę ze swoich laserów. Łaps eksplodował, ale z chmury wybuchu wyłonił się drugi, lecąc prosto na Ooryla. Wystrzelił do niego z działa jonowego, które wzbudziło burzę błyskawic na osłonach Ooryla, te jednak zgasły, zanim trafił go wystrzał. Motywator jednostki R5 Ooryla wybuchł, a Gwizdek doniósł mi, że jego silniki padły.

- Ooryl, zabieraj się z powrotem. - Nie wiedziałem, czyjego komunikator nadal działa, ale na wszelki wypadek udzieliłem mu tej porady i poparłem ją podwójnym wystrzałem w kierunku łapsa. Pospiesznie namierzony strzał przeszedł pod statkiem, ale spowodował, że łaps gwałtownie skręcił. Kładąc maszynę na prawo polecałem za nim.

- Tu Dziewiątka z formacji pierwszej. Niech ktoś popilnuje mojego ogona.

Vurrulf, pochodzący z Klatooine pilot z formacji trzeciej, warknął szorstkie „przyjąłem”, więc czułem się nieco bezpieczniej, goniąc mojego łapsa. Jednym z najgorszych błędów, jakie może popełnić pilot, jest wypuszczenie się w pogoń za celem i utrata kontroli nad tym, co się dzieje dookoła. Kiedy świadomość sytuacji zawęża się do jednego celu, myśliwy staje się zwierzyną i nigdy nie wie, kiedy zostanie trafiony. Jest to błąd żółtodzioba, a chociaż już od dawna nim nie jestem, nie do końca się uodporniłem na to niebezpieczeństwo.

Pilot łapsa był dobry i wyraźnie nie miał ochoty umierać. Raczej miał ochotę dalej walczyć, skoro Gwizdek nie poinformował mnie, że tamten odciął zasilanie swojej broni. Próbowałem złapać go na cel, ale pilot umiejętnie regulował dopływ mocy do silników i wykorzystując zwrotność swojego statku wymykał mi się, zanim zdołałem go dobrze namierzyć. Posłałem za nim parę strzałów, ale przeleciały daleko obok albo ponad nim. Choć starałem się jak mogłem, miałem problemy z dotrzymaniem kroku jego nagłym uskokom i zwrotom.

Zmniejszyłem dopływ mocy do silników i pozwoliłem mu nabrać dystansu. Nie przestał się bawić w uniki, ale jego gwałtowne ruchy, dzięki którym z bliska niemal zniknął mi z pola widzenia, przy większej odległości nadal mieściły się w obrębie czworokąta mojego celownika. Wcisnąłem spust i posłałem za nim cztery wystrzały. Dwa pierwsze przebiły tylne osłony i drasnęły dolne płyty podpór ładowniczych. Druga para promieni ścieła wylot silników manewrowych, ograniczając zwrotność statku.

Gwizdek zapalił kontrolkę komunikatora, sygnalizując, że pilot łapsa chce nawiązać kontakt. Włączyłem komunikator.

- Mówi kapitan Corran Horn z Sił Zbrojnych Nowej Republiki. Jestem gotów przyjąć twoją kapitulację.

Odpowiedział mi kobiecy głos:

- Nie wiesz, że Gnęby nigdy się nie poddają?

- „Piracki Łup” właśnie to zrobił.

- Rizolo to głupiec, ale nad jego głową nie wisi wyrok śmierci - roześmiała się. - Nie mam nic, dla czego warto by żyć, z wyjątkiem honoru. Jedno okrażenie, Horn... tylko ty i ja.

- Zginiesz. - Pojedyncza pętla nie pozwalała wykorzystać przewagi zwrotności, jaką miał nade mną łaps. Musiała o tym wiedzieć.

- Ale może nie sama. - Jej statek przerwał swój dziki taniec i wszedł w długą pętlę. - Uczyń mi ten honor. - Łaps zawrócił i zaczął lecieć prosto na mnie.

Bardzo chciałem spełnić jej prośbę i zrobiłbym to, gdyby nie jedno: Gnęby udowodniły nam nieraz, że nie mają honoru.

Przełączyłem się na torpedy protonowe, a kiedy Gwizdek krótkim piknięciem zawiadomił mnie, że cel jest zablokowany, pociągnąłem za spust. Pocisk wystrzelony z mojego X-skrzydłowca pędził jak po sznurku w kierunku jej statku. Choćby była nie wiem jak dobra, wiedziała, że tym razem nie uda jej się żaden unik. Wystrzeliła z obu laserów, ale chybiła. Potem, w ostatniej chwili, wystrzeliła z działa jonowego, które trafiło w nadlatujący pocisk. Błękitne wyładowania zatańczyły na jego powierzchni, przepalając wszystkie obwody, które pozwalały torpedzie namierzyć i trafić w cel.

Przez sekundę musiała być pewna, że jej się udało.

Problem z torpedą protonową polega jednak na tym, że nawet jeśli uszkodzić jej wyrafinowaną elektronikę, pocisk ma nadal ogromną energię kinetyczną. Choćby torpeda nie odnotowała zbliżania się do celu i nie wybuchła, taka masa rozpędzona z taką prędkością przebije kokpit łapsa równie łatwo jak igła przebija bańkę mydlaną. Torpeda zdmuchnęła silniki jonowe za rufę łapsa, gdzie eksplodowały. Smętne resztki myśliwca wirując odlatywały w przestrzeń, by w końcu spłonąć w atmosferze planety, dostarczając gościom kurortu dreszczyku emocji.

Gwizdek rozjarzył na zielono ekran pokazujący stan zagrożeń: wskazywał brak aktywnych jednostek wroga w okolicy. Zameldowała się też formacja trzecia, a Ooryl, cały i zdrowy, był znów z powrotem. Przednia tarcza jego statku odmówiła posłuszeństwa, ale poza tym nic mu się nie stało. Vurrulf i Ghufran zameldowali, że z ich myśliwcami wszystko w porządku. Okazało się, że tylko Reme Pollar z formacji drugiej dostała na tyle mocno, że jej X-skrzydłowiec nie nadawał się do lotu. Zameldowała jednak, że da sobie radę, dopóki kanonierka Skipray z „Lśniącej Gwiazdy” nie zabierze jej na swój pokład.

Przełączyłem komunikator na kanał dowodzenia.

- Wzywam dowódcę Łotrów, u nas wszystko zielone.

- Przyjąłem, Dziewiątka. Wygląda na to, że nie była to pułapka, której się obawialiśmy.

- Nie, sir, chyba nie.

- Niech twoi ludzie przygotowują się, by dołączyć do floty.

- Rozkaz, panie pułkowniku.

Przekazałem rozkaz moim ludziom, ale zanim dotarłem na wyznaczone miejsce zbiórki, flota mikroskokiem przyleciała do nas z obrzeży systemu. Krążownik z Mon Calamari i dwa gwiazdne niszczyciele klasy Victory uformowały trójkąt w przestrzeni nad Alakathą. Dotarliśmy tu na pokładzie „Home One” za pomocą mikroskoków, które

zaniósł nas w głąb systemu. Ze względu na to, że informacje, które otrzymaliśmy na temat „Pirackiego Łupu” były raczej nietypowe, obawialiśmy się pułapki, więc flota czekała w pobliżu, żeby interweniować, gdyby Gnęby rzuciły się na nas.

Gdyby to zrobili, mielibyśmy szansę skończyć z nimi raz na zawsze.

Włączyłem komunikator.

- Panie pułkowniku, skoro spodziewaliśmy się, że piraci na nas naskoczą, a nie zrobili tego, czy nasza misja zakończyła się powodzeniem?

- Dobre pytanie, Dziewiątka. To jedna z tych misji, kiedy tylko Wywiad będzie w stanie powiedzieć, jak nam poszło. - Tycho zawahał się przez chwilę. - Z drugiej strony, straciliśmy tylko maszyny, a nie ludzi. Taka sytuacja zawsze jest zwycięstwem.

ROZDZIAŁ

2

System K'vath był dostatecznie oddalony od Coruscant, by stać się modnym miejscem odpoczynku - chociaż tamtejsza cena kubka lumu zniechęciłaby większość ludzi do spędzania wakacji. Nigdy nie polecilibyśmy tam z Mirax trzy lata temu, gdyby nie to, że zaproponował to Wedge Antilles. Niektórzy w dowództwie byli przekonani, że nasz udział w wyzwoleniu Coruscant przydał mnie i Mirax blasku popularności; przyciągaliśmy uwagę nowo-republikańskiej śmietanki towarzyskiej. W efekcie w czasie pobytu za nic nie płaciliśmy. Powstrzymanie „Pirackiego Łupu” nad planetą złagodziło nieco wyrzuty sumienia, jakie miałem zakosztowawszy niezasłużenie gościnności Alakathy.

„Lśniaca Gwiazda” poprosiła nas o eskortę aż na Coruscant, a „Home One” zgodził się ją zapewnić. Oznaczało to, że nasz powrót będzie niespieszny, podyktowany tempem liniowca, znacznie wolniejszym niż prędkość, którą rozwijał krążownik „Kalamarianin”. Łotry mogły wprawdzie zabrać się do domu własnymi statkami, ale oznaczałoby to utknięcie w kokpicie myśliwca na bite dwadzieścia cztery godziny, co dla mnie było perspektywą równie zachęcającą jak omawianie dawnych czasów z ojcem Mirax. Miło by było, gdyby „Lśniaca Gwiazda” pozwoliła nam spędzić dodatkową dobę na swoim pokładzie, ale ich wdzięczność ograniczyła się do pozwolenia, byśmy podziwiali piękną linię statku z daleka.

Zresztą i tak mieliśmy dość obowiązków, by się nie nudzić, a mimo wszechobecnej wilgoci, kwatery na krążowniku nie były takie złe. Po wylądowaniu i podłączeniu Gwizdka do ładowarki wrzuciłem w siebie szybki posiłek w kambuzie, po czym dołączyłem do reszty eskadry, która zebrała się w pokoju odpraw, by podsumować ostatnią akcję. Wszyscy wsiedliśmy na Reme, że pozwoliła pozbawić się myśliwca, ale tak naprawdę cieszyliśmy się, że z powrotem jest z nami i chętnie wysłuchaliśmy jej relacji z pobytu na kanonierce „Lśniącej Gwiazdy”. Po odprawie udało mi się zdrzemnąć - spałem przez osiem godzin, wstałem, poćwiczyłem trochę i poszedłem do kambuza na śniadanie.

Ooryl podniósł trójpalczastą dłoń i pomachał do mnie, bym podszedł do stolika, który zajmował samotnie. Uśmiechnąłem się i na znak zgody złapałem parę ciastek śniadaniowych i napój proteinowy ze sztucznego mleka nerfa. Zawahałem się, wybierając

jąc ten napój, bo spożywanie w towarzystwie zgłodniałego Gandyjczyka czegośkolwiek, co może nie utrzymać się w żołądku, bywa poważną pomyłką, jednak bardzo chciało mi się pić.

Opadłem na krzesło naprzeciwko Ooryla, usilnie starając się omijać wzrokiem zawartość jego miski.

- Działo się coś ciekawego, kiedy spałem?

Wargi Ooryla rozchyliły się w grymasie, który uważał za uśmiech, a fasetowe oczy załśniły. Jego szarzielone ciało było o jeden odcień ciemniejsze niż sos na maczkach, które wygrzebywał z miski, i mocno kontrastowało z pomarańczowym kombinizonem pilota. Guzkowate części jego egzoszkieletu wystawały pod dziwacznymi kątami spod tkaniny, jakby jego ciało reagowało alergią na jej jaskrawy kolor.

- Nic, co Ooryl uważałby za niezwykle. Zmarszczyłem brwi. Gandyjczycy tradycyjnie mówią o sobie w trzeciej osobie, uważając stosowanie zaimka „ja” za szczyt arogancji. Tylko ci z Gandyjczyków, którzy dokonali czynów tak wielkich, że dali się poznać każdemu, mieli prawo używania pierwszej osoby, gdy o sobie mówili. Cała Eskadra Łotrów poleciała na Gand, by wziąć udział w ceremonii *janwuine-jika*, podczas której prawo to przyznano Ooryłowi. Jeśli więc wracał do zwyczaju mówienia o sobie per „on”, oznaczało to, że coś go gryzie.

- O co chodzi? - zmrużyłem oczy, wpatrując się w liczne czarne fasetki jego gałek ocznych. - Chyba nie jesteś zakłopotany z powodu tego, że dałeś się trafić Gnębowi.

Ooryl potrząsnął głową powoli i z namysłem.

- Ooryl wstydzi się, że nie pomógł ci rozwiązać twojego problemu.

- Mojego problemu?

- Masz strapienie, Corran. - Ooryl złożył na stoliku dłonie na kształt dwóch uzbrojonych pajaków. - Ty i Mirax pragniecie mieć potomstwo. Jeśli Ooryl byłby na Gand, mógłby ci pomóc rozwiązać ten problem.

Wepchnąłem kawałek ciastka do ust, przeżułem szybko i połknąłem.

- Zaczniemy od początku. Skąd wiesz o tej sprawie z dzieckiem?

Gandyjczyk przez chwilę trwał niewzruszony jak skała, a potem spuścił głowę.

- Mirax powiedziała Qryggowi, że chcielibyście mieć dziecko, więc Qrygg musi starać się, żebyś nie poległ w walce.

Spojrzałem na niego twardo.

- Mirax mówiła ci o naszej dyskusji na temat dziecka?

- Chciała wiedzieć, czy rozmawiałeś o tym z Qryggiem. Kiedy odpowiedział, że nie, poprosiła Qrygga, żeby zachęcił cię do dyskusji, gdybyś zaczął. - Ooryl podniósł głowę. - Nie powinieneś być wstydzić się porozmawiać o tym z Oorylem. Ooryl zasługuje na twoje zaufanie.

Uśmiechnąłem się do niego najszerzej jak umiałem. Niepotrzebnie, bo nie był za dobry w odczytywaniu subtelności ludzkiej mimiki.

- Ooryl, gdybym chciał z kimkolwiek pogadać o tym, że chcemy mieć dzieci, to wybrałbym właśnie ciebie. Codziennie powierzam ci moje życie i nigdy nie miałem powodu, by tego żałować. - Zobaczyłem, że otwiera usta, małpując mój uśmiech i w tym momencie uświadomiłem sobie, że byłem głupi, zachowując całą rzecz dla siebie. -

Faktycznie powinienem być z tobą o tym rozmawiać. Zawsze chętnie słucham twoich mądrych uwag. Po prostu nie pomyślałem o tym. To głupi zwyczaj, ale miałem nadzieję, że już się go pozbyłem.

- Gdyby Ooryl naprawdę był mądry, Ooryl poradziłby ci, żebyś wykorzenił ten zwyczaj.

- I robiłeś to, na wiele sposobów - westchnąłem. - Tak jak mówiła ci Mirax, rozmawialiśmy o tym, żeby mieć dzieci. Zwróciła się do ciebie, by dowiedzieć się, co o tym myślę. Jestem pewien, że była ci wdzięczna za wszelką pomoc, jaką mogłeś jej zaoferować.

- Ooryl chciałby, żeby tak było. Na pewno pamiętasz, że pod-czas *janwuine-jika* Ooryl przeszedł inicjację jako Poszukiwacz. NaGand Poszukiwacze wykonują wiele pożytecznych zadań. Znajdują zagubionych niewolników, odczytują znaki we mgle i łapią przestępców. Jest jeszcze jeden obowiązek, który spełniają dla ludzi takich jak ty i Mirax. Mogą powędrować w mgłę i przyprowadzić im dziecko. Te dzieci, zrodzone z mgły, są specjalnym darem, a ludzie wychowują je jak własne. Będę zaszczycony, mogąc zrobić to dla ciebie, mój przyjacielu. Uśmiechnąłem się.

- Dzięki, ale myślę, że sam sobie świetnie poradzę z produkcją dzieci.

Ooryl rozdziawił szczęki.

- A więc ty możesz...

- Och tak, jak najbardziej. - Uniosłem podbródek. - Doskonale sobie z tym radzę. Bez problemów.

Błona zasłoniła na chwilę oczy Ooryla.

- Więc dlaczego jeszcze nie macie dziecka?

- Słucham?

- Przecież to właśnie jest celem życia, prawda? Tworzenie nowego życia jest najwspanialszym aktem, jakiego może dokonać żywa istota.

Powaga i prawda jego słów uderzyły mnie z całą siłą.

- To prawda, ale...

- Czy to nie dobry moment, by Ooryl przypomniał ci, że próbujesz przestać być bezmyślnym?

Zamknąłem otwarte usta i zmrużyłem oczy.

- Jeśli to takie ważne, żeby mieć dzieci, to dlaczego sam ich nie masz?

Ooryl wzruszył ramionami. Nie był to jego naturalny odruch i jego egzoszkielet zaklekotał w proteście.

- Jestem *janwuine*. Nie do mnie należy znalezienie żony. To Gandyjczycy wybiorą ją dla mnie. A kiedy to nastąpi, z dumą dokonam fuzji genetycznej.

- Twoja koncepcja jest chyba nie do końca zrozumiała. - Łyknąłem trochę mleka i przegryzłem kawałkiem ciasta, by pozbyć się z ust kredowego posmaku. - Tak czy owak, zamierzam wyjaśnić tę sprawę z Mirax zaraz po powrocie na Coruscant.

- To dobrze. Po wszystkich tych historiach o twoim ojcu jestem pewien, że będziesz umiał zatroszczyć się o swoje dzieci.

Uniosłem brew.

- A skąd wiesz, że zgodzę się na dziecko?

- Rozmawiałem z Mirax. To wystarczy. Odchyliłem się w tył i roześmiałem cicho.

- Chyba nigdy nie miałem żadnych szans, co?

- Nie, Corran, ale to oznacza, że te szansę dopiero teraz otworzą się przed tobą. - Ooryl z głośnym siorbnięciem wciągnął mackę do ust i stał gęsty zielony sos z policzka. - Wszyscy pomagaliśmy stworzyć i umocnić Nową Republikę. Powołanie do życia następnego pokolenia, któremu będziemy ją mogli przekazać, jest jeszcze jednym obowiązkiem, jaki jesteśmy winni potomności.

Słowa Ooryla przyczepiły się do mnie na resztę podróży i toczyły mnie jak wirus. Do czasu, kiedy wsiałem do mojego X-skrzydłowca i zacząłem schodzenie, by wprowadzić go do hangaru, myślałem już tylko o tym, żeby dotrzeć do domu i do Mirax, a potem od razu zacząć pracować nad dzieckiem. A chociaż ten rodzaj entuzjastycznego powitania, gdy jedno z nas wracało z podróży, nie należał do rzadkości, tym razem byłoby to coś więcej niż tylko sposób, by powiedzieć sobie bez słów, jak bardzo za sobą tęskniliśmy.

Tym razem oznaczałoby, że jakieś części każdego z nas pozostaną złączone na zawsze.

Ta myśl uderzyła mnie jako nadzwyczaj słuszną i dobrą, tak że nawet przelot nad ruinami zaścielającymi Coruscant zaledwie trochę zwarzył mi nastrój. Krajobraz miasta znaczyły rozległe połacie zniszczeń. Statki, które nigdy nie powinny były wejść w atmosferę planety spadały w nią, rozpalone do białości, by roztrzaskać się o jej powierzchnię. Wyrwały głębokie bruzdy, zamieniając budynki w pogruchotane kraterki. Setki milionów, może nawet miliardy ludzi zginęło w starciach pomiędzy wojskowymi frakcjami, które nastąpiły po ataku Thrawna na stolicę Nowej Republiki. Daleko nam było jeszcze do wygrzebania się z tego.

Patrząc na powalone budynki i poskręcane wraki statków, trudno mi było przypomnieć sobie, jak Coruscant wyglądało kiedyś, kiedy wciąż było stolicą Imperium. Pamiętałem szerokie rzeki światła ożywiające nocną panoramę miasta, teraz dominowała jednak szarżyzna. Jasne światła dodawały kiedyś planecie sztucznego życia; bez nich miasto wydawało się martwe.

Wiedziałem, że w gruncie rzeczy nie jest aż tak źle. Mimo zniszczenia całych dzielnic i wielkich strat w ludziach, nadal toczyło się tu życie. I podczas gdy w niektórych osobnikach katastrofalne szkody zbudziły najgorsze cechy, w wielu innych - to, co najlepsze. Kiedy nasz dom został zniszczony przez jeden ze spadających statków, Mirax i ja postanowiliśmy zamieszkać na pokładzie jej „Gwiezdnego Piruetu”, ale przyjaciele nie pozwolili nam na to. Iella Wessiri, moja dawna partnerka ze Straży Ochrony Korelii, przekonała swojego szefa z Wywiadu Nowej Republiki, by udostępnił nam jeden z domów, używanych jako kryjówka przez ich agentów, więc w rezultacie mieszkaliśmy jeszcze bliżej dowództwa Eskadry Łotrów niż poprzednio.

Nasz przypadek nie należał przy tym wcale do najbardziej spektakularnych. Zapasy gromadzone przez całe lata na wypadek politycznej zawieruchy popłynęły nagle szerokim strumieniem. Ludzie przyjmowali do domu uchodźców; nie wydaje się to może takie dziwne, ale trzeba pamiętać, że wielu gospodarzy należało do starych imperial-

nych rodów, podczas gdy rozbitkowie byli przedstawicielami licznych ras zamieszkujących galaktykę. Razy, jakie Coruscant zebrało od imperialnych dowódców, zburzyły ostatnie mury oporu i niechęci. Cierpienie łączyło, pomagając przewyciężyć ksenofobię po obu stronach.

Razem z resztą eskadry podprowadziłem statek do hangaru i wylądowałem. Przekazałem X-skrzydłowca w ręce personelu technicznego, przebrałem się w cywilne ubranie i złapałem aerobus na południe, w kierunku gór Maranai. Mój wzrok przyciągnęła siedząca przede mną kobieta z dzieckiem. Patrzyłem, jak uśmiecha się, gdy małe dziecko niezdarne wyciąga rączkę i łapie ją za nos. Pocałowała łapkę dziecka, a potem pochyliła się, aż dotknęła nosem jego noska. Szepnęła coś i potarła nosem o nos dziecka, a potem cofnęła głowę przy wtórze dziecięcego śmiechu.

Pełen zachwytu śmiech brzdąca nadal dźwięczał mi w uszach, gdy aerobus wyszedł z mrocznego wąwozu, lecąc nad zrujnowaną równiną pełną odłamków durabetonu, porozrzucanych jak łuski dewbacka na podłodze stajni. Wypalone kadłuby śmigaczy leżały tu i ówdzie, powykręcane i na pół stopione. Skrawki tkaniny, które kiedyś okrywały ofiary ataku, łopotały i powiewały spomiędzy zwalisk kamieni. Kolorowe odłamki, które mogły być wszystkim, od dziecięcych zabawek do skorup odtwarzaczy holodysków, leżały porozrzucane po całej okolicy.

Zniszczenia były straszne, ale śmiech dziecka zdawał się je przekreślać. Niewinny i lekki, kpił z otaczających nas ruin. Ludzie są zdolni zarówno tworzyć, jak i niszczyć, ale - zdawał się mówić ten śmiech - każdy, kto uważa, że niszczenie jest silniejsze niż tworzenie, to głupiec. Zanim to dziecko skończy dziesięć lat, blizny wojenne na Coruscant znikną. A nawet jeśli nie stanie się to tak szybko, właśnie to dziecko może za dwadzieścia czy trzydzieści lat dopilnować, by zniknęły. Życie jest prawdziwym antidotum na zniszczenia.

Uśmiechnąłem się. Mirax ma rację, pomyślałem. I Ooryl też. Jeśli żyjemy chwilą obecną i tylko dla niej, pozbawiamy się przyszłości. Trzeba żyć dla przyszłości, jeśli w ogóle mamy mieć jakąś przyszłość. Tak, Mirax, będziemy mieli dziecko. Zmajstrujemy parę szkrabów. Zapewnimy sobie trwanie w przyszłości.

Wychodząc na moim przystanku, uśmiechnąłem się do kobiety z dzieckiem. Kluczyłem pomiędzy budynkami i po rampach, które prowadziły do mojego domu. Zatrzymałem się na chwilę przed sklepem, żeby kupić porządne wino, którym moglibyśmy uczcić rozwiązanie naszego problemu, ale ostatecznie postanowiłem raczej wyciągnąć Mirax z domu do jakiegoś cichego miejsca na romantyczną kolację. Nie wiedziałem dokładnie, dokąd ją zabiorę, ale przy takim nasileniu robót budowlanych na całej planecie mogłem być pewien, że w ciągu tygodnia mojej nieobecności pojawiły się tużyny nowych knajpek. Znalezienie odpowiedniego miejsca na kolację nie powinno więc być większym problemem.

Dotarłem do drzwi mojego domu i wstukałem kod na tabliczce zamka. Drzwi rozsunęły się i oblała mnie fala ciepła. Wszedłem do ciemnego mieszkania, pozwalając, by drzwi zamknęły się za mną. Ciepłe powietrze otaczało mnie jak gruby koc i przez chwilę niemal poddałem się uczuciu paniki, bo wydawało się gęste i duszące.

Mój dobry humor gdzieś wyparował. Powietrze w mieszkaniu przegrzało się; wiodocznie Mirax wyłączyła moduł kontroli temperatury. Robiliśmy tak, gdy wiedzieliśmy, że nikogo nie będzie w mieszkaniu przez dłuższy czas. Możliwe, że Mirax wyjechała tylko na jeden dzień, ale jeden rzut oka na moduł kuchenny uświadomił mi, że nie powinienem się łudzić. Wszystkie naczynia były umyte i schowane, nigdzie nie widziałem też koszyka z owocami. To oznaczało, że włożyła je do konserwatora, żeby się nie zepsuły podczas jej nieobecności.

Poszedłem dalej. Wsunąłem głowę do ciemnej sypialni po lewej stronie, ale nie zobaczyłem tam żadnych śladów życia. Jadalnia, która przylegała do kuchni z prawej strony, była równie opustoszała. Stół pokrywała kilkudniowa warstwa kurzu, a datakarta przy moim miejscu zawierała zapewne wiadomości, jakie przyszły do mnie, zanim Mirax wyjechała.

W salonie po lewej stronie zobaczyłem błyskające światelko holotabliczki. Uśmiechnąłem się. Moja mała, pomyślałem, przecież nie wyjechałabyś, nie zostawiwszy mi wiadomości. Zdjąłem marynarkę i rzuciłem ją na pokryte skórą nerfa krzesło, po czym przykucałem i wcisnąłem guzik pod mrugającym światelkiem.

Wysoka na mniej więcej pół metra i piękna jak zawsze Mirax uśmiechnęła się do mnie. Nawet w zminiaturyzowanej holoprojeksji jej czarne włosy lśniły blaskiem, a brązowe oczy były pełne ogników. Miała na sobie czarne buty z cholewami i ten sam granatowy kombinezon, w którym zobaczyłem ją pierwszy raz, a na ramię zarzuciła niebieską marynarkę ze skóry nerfa. U jej stóp leżał mały płócienny plecak.

- Corran, miałam nadzieję, że będę w domu, kiedy wrócisz, ale jest pewna sprawa, z której nie mogę zrezygnować. Opowiem ci o tym, jak wrócę. Porzucam cię najwyżej na jedną dobę. Gdybym zmieniła plany, dam ci znać. - Schyliła się po plecak i uśmiechnęła do mnie wstając. - Kocham cię. Nie zapominaj o tym i nie miej wątpliwości. Nigdy. Niedługo wracam, kochanie.

Jej obraz rozplynął się w zakłóceniach, po czym holotablica wyłączyła się automatycznie. Wyciągnąłem rękę, żeby odtworzyć wiadomość jeszcze raz, ale zawahałem się. Od kiedy byliśmy razem, nie raz i nie dwa wracałem do domu, zastając podobną wiadomość i nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, by odtworzyć ją po raz drugi. Dlaczego teraz chciałem to zrobić?

Uświadomiłem sobie, że mogę czuć się nieco rozczarowany i trochę dotknięty. Większą część czasu, kiedy byłem poza domem, spędziłem na rozmyśleniach o dziecku i kiedy w końcu zacząłem podzielać jej punkt widzenia, Mirax zniknęła! Podjąłem jedną z najważniejszych i najbardziej doniosłych decyzji w moim życiu, a tymczasem ona wyjechała polatać sobie gdzieś po galaktyce, jakby to nie było nic wielkiego. Tak lekkie potraktowanie mojego postanowienia ukłuło mnie trochę i chciałem jeszcze raz usłyszeć, jak mówi, że mnie kocha.

Chociaż wiedziałem, że przeprowadzona naprędce analiza moich uczuć była prawidłowa, miałem też pewność, że moje emocje nie są tu istotą problemu. Wcisnąłem guzik i wysłuchałem jej wiadomości jeszcze raz, a potem skinąłem głową. Powiedziała, że nie będzie jej najwyżej jedną dobę, a gdyby zmieniła plany, da mi znać. Problem polegał na tym, że to ja spóźniłem się o pełne dwadzieścia cztery godziny, bo eskortowa-

liśmy „Lśniącą Gwiazdę” na Co-ruscant, więc Mirax powinna już być w domu. Nie zastałem żadnej wiadomości, że się spóźni, ani w domu, ani w dowództwie eskadry.

Ktoś inny mógłby pomyśleć, że określenie „najwyżej jedna doba” jest raczej mało precyzyjne, ale Mirax była pod tym względem dokładna aż do bólu. Zarabiała na życie, dostarczając przedmioty o dużej wartości różnym klientom - punktualnie i w nienaruszonym stanie. Gdyby miała na myśli dwanaście standardowych godzin, tak właśnie by powiedziała. Gdyby miała na myśli dwadzieścia pięć godzin, nie zaokrągliłaby ich do doby, lecz podała jak najściślejszy termin swojego powrotu, co do godziny, a nawet minuty.

Chociaż wydawało się to mocno podejrzane i niepokojące, nie byłem taki głupi, żeby popadać w panikę. Wiadomość mogła się spóźnić albo trafić do niewłaściwego adresata. Sama Mirax mogła na przykład wpaść na „Błędną Wyprawę”, żeby zobaczyć się z ojcem, a nie zdziwiłbym się, gdyby jego system łączności znowu wysiadł.

Po plecach przebiegł mi dreszcz, ale pozbyłem się go wzruszeniem ramion. Twoja dobra wiadomość musi chyba po prostu poczekać, pomyślałem. Nadal czułem się trochę obolały i zmęczony po trudach podróży, zrzuciłem więc ciuchy, włączyłem moduł odświeżający, umyłem się i padłem na łóżko. Drzwi do sypialni zostawiłem otwarte, w nadziei, że kiedy się obudzę, Mirax będzie już w domu.

Marne szansę. Zapadałem w głęboki sen, ciemny i czarny jak najgłębsze cienie na Coruscant. Zasypiając, próbowałem przyciągnąć sen o dziecku, spodziewając się, że podjęcie decyzji pozwoli mi wyśnić je bardziej szczegółowo i plastycznie, ale nic z tego nie wyszło. Świadomość rozplynęła się w nicości i zapadłem w pozbawiony obrazów sen.

„Corran!”

Wzdrygnąłem się na dźwięk mojego imienia, ale nie mogłem rozpoznać głosu.

„CORRAN!”

Krzyk Mirax wyrwał mnie ze snu. Usiadłem sztywno na łóżku i wyciągnąłem do niej rękę. Obraz jej twarzy przed oczami rozplywał się, a ręce znalazły tylko zimne prześcieradło tam, gdzie spodziewały się dotknąć Mirax. Pomacałem łóżko obok mnie, szukając ciepła, które musiało pozostawić jej ciało, ale natrafiłem tylko na pustkę. Przez chwilę nie dłuższą niż uderzenie serca w moim mózgu rozbłysła wiadomość od Mirax, a potem doznałem wstrząsu. Do gardła napływała dusząca żołąć.

W ciągu jednej, oślepiająco strasznej chwili zrozumiałem, że Mirax przepadła!

ROZDZIAŁ

3

Zwlokłem się z łóżka po stronie, na której zwykle sypiała Mirax i otarłem sobie gołęń o stojący tam stolik. Kopnąłem go gniewnie. Komu przyszło do głowy postawić to tutaj? - zapytałem sam siebie. Wiedziałem, że to nie moja robota; najmniejszy wstrząs wystarczył, by przewrócić stolik i rozrzucić spiętrzone na nim karty danych równie łatwo jak moim kopnięciem.

Rozejrzałem się po pokoju i w przyćmionym świetle zauważyłem wiele rzeczy, które wyglądały nie tak jak powinny. Holografy na ścianach były całkiem przyjemne, z widokami z mojej rodzinnej Korelii, ale przedstawiały miejsca, których nie znałem. Kto stworzył tę parodię mojego domu?

Stopa zaplątała mi się w pościel, którą zrzuciłem z siebie przed chwilą i runąłem jak długi na ręce i kolana. Ból w goleni znalazł sobie sojusznika w kolanach i dłoniach, a spowodowany bólem szok spowodował niezwykłą jasność umysłu. Holografy, stolik i datakarty, wszystkie te drobiazgi w mieszkaniu, które nie należały do mnie, umieściła tam Mirax. Mirax, moja żona.

Obejrzałem sobie wszystko, co przyniosła do mieszkania, by czuć się w nim jak w domu. Jakimś cudem znalazła odpowiedniki dla większości rzeczy, które przepadły, gdy nasz poprzedni dom został zniszczony. Kiedy rozglądałem się po pokoju, świetnie pamiętałem jej dekoratorskie dokonania; wiedziałem nawet, gdzie i kiedy zdobyła te przedmioty. Zjrzałem do szafy i zobaczyłem jej ubrania. Nie było mi trudno przypomnieć sobie, gdzie kupiła tę suknię czy tamten żakiet. Nie byłem jednak w stanie przypomnieć sobie nic, co wiązałoby ją z tymi rzeczami. Patrząc na te ubrania, nie mogłem sobie przypomnieć, którą sukienkę najbardziej lubiła. Nie pamiętałem, o którym żakiecie myślała, że ją wyszczupła, albo którą bluzkę i spodnie uważała za odpowiednie do pracy, ani jaki strój zakładała, kiedy szliśmy się zabawić.

Spojrzałem na holograf wyspy Vreni na Korelii. Przedstawiał małą wysepkę porośniętą drzewami, na wzburzonym morzu tuż przed burzą. Kiedy poruszyłem nieco głową, na holografie pojawiła się błyskawica - ogromny trójząb światła wypuszczający niezliczone wąsy, odbijające się w morskich falach. Obraz wydał mi się fantastyczny, a sam holograf niewątpliwie był dziełem sztuki, nie mogłem sobie jednak przypomnieć,

dlaczego Mirax chciała go mieć. Nie wiedziałem, czy poznała twórcę holografu, czy była kiedyś na tej wyspie, czy też traktowała ten nabytek jako inwestycję.

Mirax zniknęła, pomyślałem, a ja zaczynam zapominać szczegóły z jej życia.

Wstałem i pobiegłem do pokoju. Czerwona lampka nadal mrugała na holotablicy. Wcisnąłem umieszczony pod nią guzik z gwałtownością pilota katapultującego się z trafionego statku. Obraz Mirax pojawił się ponownie, a ja uśmiechnąłem się, ale w miarę jak mówiła, uśmiech zamarł mi na ustach. Niezliczone szczegóły - sposób, w jaki na mnie patrzyła i co mówiła, jak modulowała głos i przenosiła równowagę ciała - wszystko to przepadło. Mogłem równie dobrze oglądać reklamówkę, w której piękna kobieta namawia do zakupu czegokolwiek, od lumu po wycieczkę do kurortów Alakathy.

Wcisnąłem inny przycisk, przełączając holo na tryb łączności. Wstukałem kod dowództwa eskadry. Na ekranie pojawiły się czarne ramiona i głowa robota, niemal niewidoczne na ciemnym tle, z wyjątkiem błysków złotych oczu w przypominającej muszlę głowie.

- Tu dowództwo Eskadry Łotrów. Mówi Emtrey. Miło pana widzieć, kapitanie Horn.

- Nawzajem, Emtrey. - Przechesałem palcami moje krótkie, brązowe włosy. - Chcę ci zadać pytanie i proszę, żebyś po prostu na nie odpowiedział, chociaż może ono zabrzmieć dziwnie.

- Rozumiem parametry pańskiej prośby.

- Dobrze. - Zawahałem się przez chwilę. - Jest mniej więcej pierwsza trzydzieści nad ranem skoordynowanego czasu galaktycznego, zgadza się?

- Dokładnie pierwsza trzydzieści jeden i dwadzieścia siedem minut, proszę pana.

Zazwyczaj Emtrey denerwował mnie swoim niewolniczym przywiązaniem do rzeczywistości, ale teraz była to lina ratunkowa, łącząca mnie ze zdrowymi zmysłami.

- A ja jestem Corran Horn, tak? Robot cofnął głowę.

- Tak, proszę pana. Chwileczkę... Pański głos zgadza się ze wzorcem w dziewięćdziesięciu dziewięciu i czterystu pięćdziesięciu trzema setnymi procenta, a rozbieżność można przypisać zmęczeniu podróży, po której jeszcze pan nie odpoczął.

- Świetnie, Emtrey, doskonale. - Obliznąłem wargi. - A teraz uważaj.

Robot na ekranie pochylił się w moją stronę.

- Jestem gotów, proszę pana.

- Jestem mężem Mirax Terrik, zgadza się? Oczy Emtreya zaśmiały.

- Ależ tak, proszę pana. Na pewno pan pamięta, że byłem obecny na ceremonii, prowadzonej przez komandora Antillesa na pokładzie „Lusankyi”, jak również na drugim ślubie, który odbył się tu, na Coruscant. Wydaje mi się, że Gwizdek zrobił holograficzne nagranie pierwszej z tych uroczystości, wiem też, że istnieje wiele holografów z drugiej.

Szczęka mi opadła. Wiedziałem, że nasz ślub był nagrywany na holo, ale zapomniałem o tym. Nasz oryginał nagrania został zniszczony razem z domem, ale Mirax dostała nową kopię od ojca. Chciałem pobiec do szafki, gdzie ją włożyła i puścić ją natchmiast, ale zawahałem się. Nie mogłem ryzykować, że wyda mi się równie pusta emocjonalnie jak wiadomość Mirax, którą niedawno ponownie obejrzałem.

- Czy dobrze się pan czuje, kapitanie Horn? Zmarszczyłem brwi i wolno pokręciłem głową.

- Sam nie wiem, Emtrey. Czy pułkownik jest u siebie? Oczy Emtreya przygasły na chwilę.

- Pułkownik jest w swoim biurze. Za pół godziny ma spotkanie.

- Poproś, żeby je odwołał albo przełożył. Muszę z nim porozmawiać. - Wpatrywałem się w Emtreya ze skupieniem, jakbym chciał sięgnąć do jego elektronowego mózgu i uświadomić mu bezpośrednio, jak pilna jest moja prośba. - Mirax zniknęła, naprawdę zniknęła, a ja muszę ją odnaleźć. Będę tam za pół godziny. Bez odbioru.

Przyjechałem do dowództwa trochę później, niż się spodziewałem, z powodu trudności ze skompletowaniem stroju. Przerzuciłem chyba wszystkie moje ubrania, ale za dużo było tych koszul, spodni i kurtek, które Mirax mi kupiła albo - co zdarzało się znacznie częściej - przywiozła z jakiegoś zakątka galaktyki. Choćbym nie wiem jak usilnie się starał, nie mogłem sobie przypomnieć, co mówiła o tych rzeczach. Nie pamiętałem jej śmiechu, kiedy mnie w nie ubierała, ani co mówiła, kiedy później zdejmowała je ze mnie. Każda koszula wisiała w szafie jak cień wspomnienia, płaska i martwa.

W końcu wrzuciłem coś na grzbiet - jak się okazało, wyjątkowo nie pasującą do siebie kombinację wzorów i kolorów, ale przecież ubierałem się po ciemku. Miałem udreżone spojrzenie nawiedzzonego, więc ludzie w aerobusie odsuwali się ode mnie. Wziąłbym nasz śmigacz i niewątpliwie zaoszczędził część czasu, który zmarnowałem na ubieranie, ale byłem na tyle przytomny, by zdawać sobie sprawę, że nie mam się co brać za pilotaż w Imperiał City, nawet w porze niewielkiego natężenia ruchu.

Emtrey nie próbował mnie zatrzymywać w przedpokoju przed biurem Tycho. Wszedłem tam, mijając robota, stanąłem na baczność i zasalutowałem tak dziarsko, jak tylko byłem w stanie.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać, sir.

Stojąc za biurkiem, na tle wielkiego okna z transpastali, przez które widać było panoramę Pałacu Imperialnego, Tycho wyglądał jak hologram dla rekrutów - wyprostowana sylwetka, talia osy, krótko przycięte ciemnoblonde włosy, które zaczynały lekko siwieć na skroniach. Oddał salut, a w jego niebieskich oczach pojawił się ciepły błysk sympatii.

- Emtrey powiedział mi, choć bardzo ogólnikowo, o twoim problemie.

- Sam niewiele mogłem mu powiedzieć. Bardzo mi przykro. Tycho potrząsnął głową i wskazał mi krzesło przed swoim biurkiem.

- Myślę, że to twoja wina. - Spojrzał na kogoś, kto stanął właśnie w drzwiach za moimi plecami. - Dlatego poprosiłem generała Crackena, by się do nas przyłączył.

Odróciłem się i zobaczyłem, jak Airen Cracken wchodzi do biura. Choć niemłody, z wiekiem nie zaokrąglił się w pasie. Niemal całkiem osiwiiał, z wyjątkiem pasemek rudych włosów - które odziedziczył po nim jego syn Pash - na skroniach i potylicy. Miał zielone oczy, jak ja, ale jego miały bardziej morski odcień, co nie odbierało spojrzeniu intensywności. Zaczekał, aż zasalutujemy, po czym szorstko oddał salut.

Tycho poczekał, aż generał Cracken zajmie drugie krzesło, zanim sam usiadł.
 - To właśnie z generałem miałem się spotkać... i nie mogłem tego przełożyć.
 - Tak jest, sir - odpowiedziałem, siadając. Pierwszy raz spotkałem generała na Coruscant, kiedy pojawiłem się na rozprawie sądowej, na której Tycho był sądzony za morderstwo i zdradę. Moja obecność zdumiała go wówczas, a był to pierwszy i ostatni raz, kiedy widziałem, by coś go zaskoczyło. Poprosił mnie o pomoc w negocjacjach z Boosterem Terrikiem w kwestii własności pewnego imperialnego gwiazdowego niszczyciela, a ja wtedy fatalnie nawaliłem. Nasze nieczęste późniejsze spotkania były już bardziej zadowalające, ale jego obecność nadal nie pomogła mi czuć się swobodnie.

Cracken uśmiechnął się ostrożnie.

- Chciałem omówić z pułkownikiem Celchu informacje, które wyciągnęliśmy z Phana Riizolo, kapitana „Pirackiego Łupu”. Tak naprawdę nie na wiele nam się przydadzą, jeśli chodzi o „Gnębiciela” i wyjaśnienie zagadki, gdzie się ukrywa.

Zmarszczyłem czoło.

- Wolałbym jednak porozmawiać o mojej żonie...

- Wiem, ale te sprawy łączą się ze sobą, kapitanie Horn. Pochylił się i podłączył kabel notesu komputerowego, który przyniósł ze sobą, do holoprojektora stojącego w kącie na biurku Tycho. Nad bliższym końcem biurka pojawił się obraz imperialnego gwiazdowego niszczyciela, orbitującego wokół wyglądającego jak kryształ modelu Alderaan.

- To jest „Gnębiciel”. Wizerunek pochodzi ze starych imperialnych holonagrań, bo nie dysponujemy, niestety, nowszym, co byłoby wystarczająco wiarygodne. W chwili śmierci Imperatora statek wchodził w skład zespołu zadaniowego Wysokiego Admirała Teradoka i stanowił część floty, która pozwoliła mu zachować jego posiadłości po upadku Imperium. To było dobre siedem lat temu. Wygląda na to, że potem, jakieś sześć lat temu, statek dostał się w ręce Leonii Taviry.

Cracken wcisnął przycisk na swoim notesie i miejsce obrazu niszczyciela zajęła podobizna młodej kobiety w mundurze imperialnej marynarki wojennej, z insygniami admirała. Widziałem dość tego rodzaju naszywek na mundurach samozwańcych wodzów, by uwierzyć, że Imperium rozdawało patenty admirałskie jako trofea w przepychankach różnych frakcji na pogrzebie Imperatora, ale nigdy dotąd nie widziałem ich na mundurze tak młodej osoby. Czarne włosy miała przycięte równo z linią szczęki, co podkreślało jej młody wiek, ale w fiołkowych oczach błyskał odwieczny głód.

Spojrzałem na Crackena.

- Ależ to jeszcze dziecko!

- Nie dziś. - Cracken odchylił się na oparcie krzesła. - Sądzymy, że miała szesnaście standardowych lat, kiedy wdała się w romans z moffem na Eiattu 4, ojczystej planecie jednej z byłych pilotek Eskadry Łotrów.

Tycho uśmiechnął się.

- To była Plourr. Nie wiedzieliśmy, że należy do rodu panującego na tej planecie, dopóki nie pojawili się u nas, by ją odnaleźć i zabrać do domu, żeby pomogła im odzyskać planetę.

Skupiłem się przez chwilę.

- To było, zanim dołączyłem do Eskadry, przed jej odtworzeniem i atakiem na Coruscant. Nie wiedziałem, kim jest, kiedy spotkałem ją na Korelii, jeszcze w czasach KorSeku.

- Jej sprawozdanie z tego incydentu było pełne pochwał pod pana adresem, kapitanie Horn. - Cracken złączył dłonie. - Leonia okazała się bardzo ambitna i po wypadku, w którym zginęła żona moffa, zajęła jej miejsce. Potem moff miał wylew, w wyniku którego stracił mowę i został sparaliżowany. Ponieważ był uczulony na płyn bacta, jego droga do zdrowia nie była łatwa, ale dzięki zmuśnionej rehabilitacji fizycznej odzyskał władzę w rękach, co, jak się wydaje, było jego celem. Przystawił sobie wtedy blaster do skroni i popełnił samobójstwo. Leonia przejęła jego tytuł i władzę nad Eiattu 4, dopóki Plourr i Łotry nie zmusili jej do ucieczki. Co zresztą uczyniła, zabierając ze sobą znaczną część planetarnych kosztowności.

Poczułem, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mi zimny dreszcz. Przez całe życie słyszałem niezliczone historie o ludziach, którzy gotowi są zabić najbliższych dla zaspokojenia własnej chciwości. Kiedy pracowałem w KorSeku, prowadziłem nawet kilka dochodzeń w sprawie takich „modliszek”, ale to było nic w porównaniu z Leonią Tavirą.

- Czy istnieje choćby cień wątpliwości, że pozbyła się męża, a wcześniej jego pierwszej żony?

Cracken pokręcił głową.

- Ja ich nie mam, ale nie mamy też żadnych dowodów, że to zrobiła. Od kiedy uciekła z Eiattu na pokładzie wahadłowca, nie mieliśmy o niej żadnych wiadomości, aż do jej kolejnego starcia z Eskadrą Łotrów. Tym razem dowodziła małą bandą piratów, nie tak trudnych do namierzenia jak Gnęby. Uciekła z tej potyczki i podłączyła się do Teradoka. W niewiadomy sposób uzyskała od niego „Gnębiciela” i znikła, by okazjonalnie rabować tu i tam zapasy prowiantu. Rozzuchwiała się w czasie kampanii Thrawna, a po raz pierwszy pojawiła się razem ze swoimi Gnębami podczas powrotu Imperatora. Nie stanowiła wtedy wielkiego problemu, ale za to nauczyła się doskonale, jak dowodzić swoimi piratami.

Hologram Leonii zastąpił wizerunek „Pirackiego Łupu”.

- Udało jej się przekształcić luźną zbieraninę rabusiów i szabrowników w prawdziwą flotę, której ataki planuje i koordynuje. Podaje im terminy i miejsca zgrupowań, opracowuje kursy statków, przekazuje im plany bitew i używa siły ognia „Gnębiciela” do przełamania planetarnej obrony. Wtedy jej sojusznicy mogą płądrować i grabić do woli, oddając jej połowę swoich zdobyczy. Potem znikają, a oni zaszukują się w swoich kryjówkach i czekają na następną wiadomość od niej.

Zmarszczyłem czoło.

- Dlaczego nie śledziliśmy jej floty? Namierzenie ich nie powinno być takie trudne.

- I nie jest. Wiemy z całą pewnością, że wielu z nich zatrzymuje się w Nal Hutta albo zimuje w najrozmaitszych przemysłowych melinach rozrzuconych po całej galaktyce. - Cracken zmrużył oczy. - Bez Taviry i jej „Gnębiciela” flota rozproszyłaby się i rozprawienie się z nimi byłoby łatwe. Dopóki jej statek jest nietknięty, nie możemy

wypuścić się w pogoń za piracką flotą, o ile nie przydzielimy do tego zadania wystarczających sił, by odeprzeć jej atak w przypadku zasadzki. Był pan na K'vath. Zaangażowaliśmy tam krążownik klasy Kalamarianin i dwa gwiazdne niszczyciele, tylko po to, żeby pochwycić stary krążownik i osiemnaście myśliwców typu Tri.

Tycho pochylił się i oparł łokcie o biurko.- Faktem jest jednak, sir, że na K'vath nie czekała na nas żadna zasadzka.

- Wiem, i to jest jeden z najbardziej kłopotliwych aspektów tej całej sprawy. - Cracken westchnął, a ja wyczułem w tym westchnieniu zmęczenie. - Niewykluczone, że źródło, z którego dostaliśmy przeciek o napadzie „Pirackiego Łupu”, może być powiązane z Tawirą. Riizolo twierdzi, że chciał to zrobić na własną rękę, więc przeciął więzy z Tawirą. Mówi, że już wcześniej działał bez jej pomocy, dzięki czemu był w stanie kupić sobie własne łapsy. Twierdzi nawet, że plany ataku na „Lśniącą Gwiazdę” wykrał z jej komputera. Ponieważ eskortowaliśmy liniowiec w powrotnej drodze na Coruscant, jest przekonany, że po prostu pechowo wybrał czas swojego ataku, bo my byliśmy tam najwyraźniej w świecie tylko po to, by eskortować statek, a nie - żeby go schwytać.

Potrząsnąłem głową.

- Nie byłby to pierwszy kryminalista, który nie może uwierzyć, że został wrobiony.

- Mimo wszystko jest na tyle głupi, by sądzić, że te strzępy informacji, którymi nas uraczył, uratują go od więzienia. - Cracken wcisnął kolejny przycisk na swoim notesie komputerowym. - Jedną z niewielu użytecznych rzeczy, którą dzięki niemu zdobyliśmy, jest aktualna podobizna Leonii Taviry.

Zniknęła schludna lisczka z poprzedniego hologramu. Chociaż Leonia nadal była bardzo młoda, jej rysy wysubtelniały i wypiękniały. Spojrzenie fiołkowych oczu nabrało ostrości, która zadawała kłam łagodnemu uśmiechowi. Włosy miała nieco dłuższe i nierówno obcięte, przytrzymywała je jednak z tyłu zawadiacką chusteczką tego samego koloru, co szkarłatne naszywki na czarnej marynarce. Na każdym biodrze nosiła blaster, a pasy z kaburą otaczające talię podkreślały jej smukłą, drobną sylwetkę. Czarne nogawki przylegały do ciała jak druga skóra, nogi zaś do kolan okrywały cholewki długich butów.

Pokiwałem głową.

- Wygląda na to, że życie dało jej niezłą lekcję. Cracken parsknął śmiechem.

- Nawet nie chcę myśleć, kim stałaby się Tawira pod okiem takiej na przykład Ysanny Isard. Albo, dajmy na to, Wielkiego Admirala Thrawna. Wygląda na to, że jest bardzo pojętna, stąd nasze problemy ze znalezieniem jej kryjówek. Tak jak podejrzewaliśmy wcześniej, a Riizolo to potwierdził, to ona inicjuje kontakt ze swoimi piratami, a nie odwrotnie. Żaden z Gnębów nie wie, gdzie Tawira ukrywa swój statek ani kiedy się znowu pokaże. Te sekrety zna tylko załoga „Gnębiciela”, ale to droga jednokierunkowa. Kiedy dostajesz zaproszenie na „Gnębiciela”, już go nie opuszczasz. Tycho długo studiował obraz Taviry, wreszcie przeniósł wzrok na Crackena.

- Pamiętam wiele innych operacji przeciwko niej, które okazały się bezowocne. Czy podejrzewa pan, że ma jakieś źródło, które informuje ją o naszych planach?

- Chciałbym, żeby tak było, pułkowniku, bo to by oznaczało, że możemy ją przyszpilić, znajdując tę osobę i podając jej nieprawdziwe wiadomości. - Cracken rozłożył ręce. - Jak dotąd jednak wszystkie nasze działania w tym kierunku speszły na niczym. Zleciłem nawet Ielli Wessiri koordynowanie naszych wysiłków, by zdemaskować szpiegów Taviry, a wiecie, jaka jest dokładna.

Uśmiechnąłem się. Iella była moją partnerką jeszcze w KorSeku, i głównym śledczym, gdy Tycho został oskarżony o zdradę.

- Jeśli ona nie jest w stanie znaleźć tego szpiega, to znaczy, że nie ma żadnego szpiega.

- Jest to wniosek, który, choć niechętnie, zmuszony jestem zaakceptować. - Cracken potrząsnął głową. - Jakimś cudem Tawira dowiaduje się, kiedy chcemy ją dopaść, i odwołuje akcję. Nie zdołaliśmy stworzyć żadnego wzorca jej ataków, który pozwoliłby nam ją złapać, musimy więc odwoływać się do coraz bardziej nietypowych metod, by ją odnaleźć.

Odwrócił się w moją stronę, a ja poczułem w żołądku bryłę lodu.

- W jedną z tych metod zaangażowana jest Mirax. Opadłem na oparcie krzesła, czując się nagle starszy niż galaktyka.

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć: czuję, że ona żyje, choć nie jestem w stanie jej wyczuć. Co pan wie na temat jej zniknięcia, generale?

- Wiem bardzo niewiele, a i z tego nie wszystko mogę panu powiedzieć.

Tycho zmarszczył brwi.

- Chodzi o jego żonę, generale. Żonę, która zniknęła.

- Wiem, pułkowniku... i wiem także, gdzie może się znajdować. Cracken wyciągnął przed siebie dłonie, uprzedzając tym gestem nasze komentarze. Z mojej strony nie musiał obawiać się niczego - czułem się tak, jakby wszystkie moje kości rozplynęły się, a samo oddychanie było wysiłkiem niemal ponad siły.

- Mirax przyszła do mnie zapytać, czy jest coś, co pomogłoby nam skończyć z Gnębami. Okazało się, że jeden z jej klientów, kolekcjoner antyków, stracił kilka cennych okazów, kiedy Gnęby splądrowały jego wakacyjną rezydencję podczas jednej ze swoich pirackich wypraw. Chciał odzyskać te przedmioty i zwrócił się do Mirax z pytaniem, czy nie mogłaby trochę powęszyć. Przyszła z tym do mnie, proponując swoje usługi, bo uznała, że taka przykrywka pozwoli jej dotrzeć do ludzi, do których my nie mamy dostępu. Przekonywałem ją, że Gnęby mogą się okazać bardzo niebezpieczne, ale była gotowa zaakceptować to ryzyko... sama, bo nie chciała narażać na niebezpieczeństwo swoich pilotów. Powiedziała, że im prędzej rozprawimy się z Gnębami, tym mniej będzie się martwić, że pozabijają Łotrów, a wy dwoje będziecie mogli wrócić do normalnego życia.

Zauważyłem, że zaciskam dłonie w pięści. Z trudem starałem się powstrzymać napływające łzy. Gdybym nie uczynił kwestii zniszczenia Gnębów warunkiem podjęcia naszej decyzji o dziecku, pomyślałem, nigdy nie podjęłaby takiego ryzyka. Powinienem to zauważyć, powinienem był przewidzieć, co zrobi. Nigdy nie była z tych, co stoją i patrzą, jak cel wymyka im się z rąk.

Czy na pewno? Kiedy zadałem sobie to pytanie, kiedy ponownie uświadomiłem sobie, że nie wiem o niej tyle, by na nie odpowiedzieć, popłynęły łzy. Chciałem przeprosić, ale przeszkodziła mi w tym rosnąca w gardle gula. Otworzyłem usta w niemym krzyku, wbiłem pięści w oparcie fotela, po czym zamknąłem usta. Pociągnąłem nosem, otarłem łzy i wyprostowałem się w fotelu.

- Przepraszam - powiedziałem chrapliwie.

- Nie ma za co, Corran. - Tycho posłał mi pocieszający uśmiech. - Przyjąłeś to dużo lepiej, niż ja bym zareagował na podobne wieści o Winter.

Cracken wyciągnął rękę i poklepał mnie po kolanie.

- A jeśli chodzi o wrażenie, że Mirax zniknęła, nie przejmowałbym się tym tak bardzo. Nie skontaktowała się w przewidzianym terminie, ale nie minęło jeszcze dość czasu, by przypuszczać, że przytrafiło jej się coś złego.

- To nie przypuszczenia, sir. - Otworzyłem pięści i spojrzałem na dłonie. - Ona przepadła. Żyje, ale zniknęła. Kiedy spałem, usłyszałem jej krzyk, a potem już jej nie było.

Cracken podniósł głowę.

- Myślisz, że to coś więcej niż zły sen?

- To nie był sen.

- W takim razie część twojego dziedzictwa Jedi? Zastanowiłem się przez chwilę. Czy to możliwe, że łączyła mnie z Mirax poprzez Moc jakaś nieświadomiona, dotąd nie rozwijana więź? Nie wiedziałem, czy to w ogóle możliwe.

- Nie wiem, generale. Wiem tylko, że coś jej się stało. Nie czuję nic więcej. - Spojrzałem na Tycho. - Powiedz mi, że wyczuwasz obecność Winter.

Tycho uśmiechnął się.

- Chyba wiem, co masz na myśli, Corran. Odczuwam jej obecność, kiedy jesteśmy razem, ale to nic trwałego. Teraz jest daleko, opiekując się Anakinem Solo i nie mam pojęcia, gdzie dokładnie się znajduje ani co robi. Znając ją, zakładam, że wszystko jest w porządku. Nie mogę jednak powiedzieć, że łączy nas podobna więź, jaka istnieje między tobą a Mirax.

- Dzięki za szczerość. - Odwróciłem się w stronę Crackena. - Proszę mi powiedzieć, gdzie była ostatnio.

Generał potrząsnął głową.

- Nie mogę.

- Musi pan.

- Nie mogę i nie zrobię tego, kapitanie Horn. - Twarz Crackena stwardniała. - Zastanów się przez chwilę. Mam tam agentów, narażonych na ogromne niebezpieczeństwa...

- Martwi mnie głównie to niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się Mirax.

- Wiem o tym, człowieku, nie myśl, że nie wiem. - W jego głosie zabrzmiała nieodwołalna nuta, która przebiła się przez mój gniew. - Jest w takiej samej sytuacji jak ty, kiedy umieściliśmy ciebie i Eskadrę Łotrów tu, na Coruscant. Jeśli podam ci tę informację, a ty ruszysz za nią, możesz doprowadzić do tego, że ludzie, z którymi Mirax się

kontaktuje, pomyślą, że zostali wrobieni. Musisz jej zaufać i wierzyć, że sama będzie wiedziała, co robić.

- A jeśli to nie wystarczy? - Zauważyłem, że znowu zaciskam pięści i zmusiłem się, żeby rozluźnić palce. - Nie chce pan podać mi tych danych, ale co pan zrobi, jeśli dostanie rozkaz, by mi to powiedzieć?

- Taki rozkaz może mi wydać tylko Rada Nowej Republiki. Spojrzałem na niego tak twardo, jak tylko zdołałem. - Zamierzam zwrócić się do nich z prośbą o udzielenie tych informacji. Moje zasługi dla Nowej Republiki straciły może nieco na świeżości i wiem, że nic nie jest równie męczące jak wczorajszy bohater, ale dla Mirax wykorzystam każdy polityczny kapitał, jaki udało mi się zgromadzić.

Cracken spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi.

- Ale przecież nawet nie wiemy, czy ona rzeczywiście potrzebuje pomocy.

- To pan tego nie wie, generale. Ja wiem. - Wstałem i zsalutowałem im. - Darzę panów wielkim szacunkiem i nie zamierzam się sprzeciwiać waszym rozkazom, ale moja żona ma kłopoty i muszę ją ratować. Chciałbym to zrobić z waszą pomocą, ale jeśli to niemożliwe, to przynajmniej nie próbujcie mnie powstrzymać.

ROZDZIAŁ

4

Wiedziałem, że Cracken ma solidne podstawy, by odmówić mi informacji, których potrzebowałem, a gdybym był na jego miejscu, zachowałbym się tak samo. Logiczne rozumowanie zawodzi jednak w obliczu uczuć tak silnych, jak odczuwany przeze mnie gniew i ból. Gdybym tylko podjął decyzję o dzieciach i nie odwlekał sprawy, Mirax by nie zaginęła. Już raz ociągałem się z przyjęciem na siebie odpowiedzialności i, do licha, nie zamierzałem zawieść jej po raz drugi.

Moja groźba, że zwrócę się do Rady Nowej Republiki, nie była całkiem czcza, ale Cracken wiedział, że nie musi się zbytnio obawiać, że ją zrealizuję. Teoretycznie każdy obywatel Nowej Republiki mógł zwrócić się do swojego senatora, a jeśli waga sprawy to uzasadniała, mógł nawet prosić o audiencję samą Radę. W moim przypadku najlepiej byłoby chyba udać się bezpośrednio do Domana Berussa, radnego z Korelii, i starać się o taką audiencję przez niego. Byłem niemal pewien, że Rada mnie wysłucha, ale to nie gwarantowało jeszcze, że uzyskam to, czego chcę, od generała Crackena.

Zanim stanąłbym przed Radą, musiałbym zdobyć poparcie kilku jej członków, by zwiększyć szansę, że mój wniosek przejdzie. Wiedziałem, że łatwo byłoby odrzucić moją prośbę, zasłaniając się kwestią bezpieczeństwa, ale gdyby poparło mnie kilku członków Rady, miałbym większe szansę.

Zapewnienie sobie tego poparcia oznaczało jednak, że będę musiał prosić przyjaciół o wyświadczenie przysługi. Pierwszym etapem mojej batalii - w każdym razie pierwszym po przyjeździe do domu i przebraniu się w mundur - były odwiedziny w biurze Wedge'a Antillesa. Nie zapowiedziałem mojej wizyty, ale asystentka Wedge'a, mimo chłodu i oficjalnej postawy, przyjęła moje nagłe wtargnięcie do jego biura jako rzecz oczywistą.

Wygląd gabinetu Wedge'a mówił wiele o człowieku, którego w ciągu wielu lat poznałem i któremu nauczyłem się ufać. Cała ściana na wprost biurka była zrobiona z transparentu, co sprawiało wrażenie, jakby pracował na balkonie. Miał dzięki temu wspaniały widok na Coruscant, i co najważniejsze - na niebo. Biurko, które dostał, było tak duże, że pomieściłoby X-skrzydłowca, a Wedge miał na nim taki porządek, że faktycznie można by na nim wylądować. Po lewej stronie pokoju stała kanapa, stolik i kilka zmaltretowanych krzeseł, które byłyby bardziej na miejscu w pokoju odpraw eskadry niż w generalskim gabinecie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, generale.

Wedge posłał mi szeroki uśmiech, który od razu ocieplił atmosferę.

- Corran, co za niespodzianka! Nie widziałem cię całe wieki. Zasalutowałem, a potem uściśnięłem mu dłoń.

- Rzeczywiście, generale. Trochę wody upłynęło.

Zmarszczył czoło i zaprosił mnie na kanapę. Wyszedł zza biurka i usiadł naprzeciwko mnie na krześle po drugiej stronie stolika. Zauważyłem, że to identyczny stolik jak ten, który przewróciłem w sypialni - moja goleń też sobie o nim przypominała. Na blacie leżały porzucane datakarty czasopism wojskowych i publikacji o architekturze.

Wedge przyjrzał mi się badawczo.

- Po co te formalności, Corran?

- Przepraszam, stary. - Zmusiłem się do uśmiechu. - Nikt w Eskadrze się nie zdziwił, że przenieśli cię do Operacyjnego, kiedy klon Imperatora zagroził Nowej Republice, a w ciągu ostatnich czterech miesięcy sami nalataliśmy się nieźle, ściągając z niskich orbit różne śmieci, żeby nie pospadały, zabijając kolejne ofiary. Ale kiedy przyjąłeś to stanowisko na Ziemi, zamiast do nas wrócić... no cóż, niektórzy zastanawiali się, czy po prostu nie spodobał ci się generalski stołek.

Uśmiechnął się w ten otwarty, szczery sposób, który zapalał błyski w jego brązowych oczach.

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż powrót do Eskadry, ale wiesz, przez ostatnich jedenaście lat zajmowałem się tylko wysadzaniem rzeczy w powietrze. Kiedy wróciłem na Coruscant i zobaczyłem te wszystkie zniszczenia, ludzi pozbawionych domów, jak ty i Mirax... sam nie wiem, coś we mnie domagało się zmian. Wedge pochylił się i brązowy pukiel opadł mu na czoło. Wziął ze stołu jedną z kart danych z magazynem architektonicznym.

- Dawno temu, kiedy mieszkałem z rodzicami na stacji Gus Treta, marzyłem, żeby mieć dom na powierzchni planety i budować niewiarygodnie piękne budynki. Przeszkodziła mi w tym Rebelia i to wszystko, co nastąpiło później, więc zapomniałem o tym marzeniu, a przypomniał mi o nim dopiero widok zniszczeń na Coruscant. Nie wiem, czy to już na zawsze, ale na razie chcę się zajmować właśnie tym.

Już otwierałem usta, żeby zaprotestować i zacząć przekonywać go, by wrócił do Eskadry, ale wyglądał na tak szczęśliwego, że nie miałem serca namawiać go na zmianę zajęcia.

- Wiesz, że zawsze możesz do nas wrócić - powiedziałem tylko.

- Dzięki. - Wedge kiwnął głową i z powrotem oparł się na krześle. - Co więc cię tu sprowadza? Odwiedzasz stare śmieci?

Przełknąłem ślinę.

- Niezupełnie. Chcę cię prosić o przysługę. Dużą przysługę. Zapytał poważniejszym tonem:

- O co chodzi, Corran?

- Mirax zniknęła i muszę ją odnaleźć. Generał Cracken wie, gdzie ją widziano po raz ostatni, bo pracowała wtedy dla niego, ale nie chce mi nic powiedzieć.

Wedge zmarszczył czoło.

- Nie chce, żebyś tam poleciał, narażając na niebezpieczeństwo ją i jego misję.

- Wiem, ale ona ma kłopoty i muszę jej pomóc. Chciałbym wiedzieć, czy mógłbyś porozmawiać z radną Organa Solo i wy badać, czy byłaby skłonna poprzeć mój wniosek do Rady, żeby polecono Crackenowi udzielić mi tej informacji. - Staralem się powiedzieć to tak, żeby moja prośba zabrzmiała rozsądnie, ale słysząc własne słowa, poczułem, że gadam jak wariat. Nawet gdyby Wedge udzielił mi pomocy, Rada nigdy nie dałaby mi tego, o co ją chciałem prosić. Zapuściłem się głęboko w strefę zakazaną i wiedziałem o tym, ale nie miałem wyboru.

Zanim Wedge zdołał odpowiedzieć, przez drzwi gabinetu wpadł do wnętrza jasnooki mężczyzna. Zerknął na asystentkę Wedge'a i rzucił: - To potrwa tylko sekundę, zaraz wychodzę!

Spojrzał na Wedge'a z uśmiechem szerokim jak gęba Hutta, mimo zatroskanego wyrazu twarzy.

- Wedge, nie przeleciałbyś się ze mną na Kessel?

- Kessel? To ostatnie miejsce, gdzie chciałbym polecieć. - Wedge aż zamrugał ze zdumienia. - Dzięki za zaproszenie, Han, ale trzymamą mnie tu obowiązki.

- Jakie obowiązki? Roboty budowlane same wiedzą, co mają robić. Mógłbyś ze mną wyskoczyć i zobaczyć, co słychać u paru gości, których tam zostawiłeś, jak ten Fliry Vorr. - Han Solo przeniósł wzrok z Wedge'a na mnie i przywitał mnie krótkim skinieniem głowy. - Przepraszam, że przeszkadzam.

Wedge spojrział najpierw na niego, a potem na mnie i uśmiechnął się.

- Nie znacie się? Potrzaśnałem głową.

- Oczywiście wiele słyszałem o generale Solo i jego wyczynach.

Han Solo nie przestał się uśmiechać.

- Dzięki, ale już nie generał. Zwykły cywil. Wedge uśmiechnął się przebiegle.

- Chyba nie tylko o to mu chodziło, Han. To Corran Hora. Pracował kiedyś w KorSeku.

Han wyciągnął do mnie dłoń.

- W takim razie ja również wiele o panu słyszałem. I o pańskim ojcu.

- O moim ojcu?

Najsłynniejszy przemytnik Korelii przytaknął.

- Kiedyś był na moim tropie. Musiałem się zaciągnąć do Imperialnej Akademii Marynarki, żeby mu się wymknąć.

W głosie Hana Solo brzmiała nuta samozadowolenia, którą przywykłem kojarzyć z przemytnikami i innymi przestępcami przechwalającymi się, jak to udało im się sprytnie wywinąć z opresji, i nie był to powód, bym zapałał do niego sympatią. Wiedziałem też, że szmuglował przyprawę dla pewnego Hutta i już to pozwoliłoby mi zaliczyć go do najgorszych szumowin we wszechświecie. Zresztą już to, że Korelian często uważano za ludzi, którzy kpią sobie z prawa i porządku - i to głównie ze względu na wyczyny tego właśnie mężczyzny - wystarczało, by zasłużył na dozgonną wrogość z mojej strony.

Jednak coś w jego oczach i spokojnej sile uścisku dłoni sugerowało, że pod tym wszystkim kryje się prawdziwie szlachetny duch. Łatwo byłoby wydrwić go jako zwyczajnego najemnika, w którego ręce wpadł skarb w postaci księżniczki Leii, ale prze-

czyły temu cierpienia, jakie dla niej zniósł i jego wkład w walkę przeciwko Imperium. Coś w tym mężczyźnie nie pozwalało mu szukać łatwego wyjścia z opresji, porzucać przyjaciół i ich beznadziejnej krucjaty. Może była to ambicja, która pchała go do zwycięstwa, a może strach przed porażką, albo i jedno, i drugie, zrozumiałem jednak, że spis jego występków i dokonań nie wystarczał, by ocenić tego mężczyznę.

- Miło mi pana poznać.

- To ty byłeś w KorSeku, więc chyba ja powinienem zwracać się do ciebie per „pan”. - Wzruszył ramionami. - Ale nigdy nie byłem formalistą.

Wedge zachęcił Hana gestem, by usiadł, ale mężczyzna nie skorzystał z zaproszenia.

- Corran właśnie prosił mnie, bym porozmawiał z twoją żoną w bardzo ważnej dla niego sprawie. Pamiętasz Boostera Terrika?

Twarz Hana rozjaśniła się.

- Boostera? Trudno go nie pamiętać. Był legendą wśród przemytników, jeszcze zanim Korelia ostygła. Czy to nie twój ojciec posłał Boostera na Kessel?

Przytaknął.

- Na pięć lat. Han skrzywił się.

- To szmat czasu. Wedge pokiwał głową.

- Corran ożenił się z córką Boostera, Mirax.

- Naprawdę? W końcu spotykam kogoś, kto wzenił się w rodzinę nie mniej interesującą niż ja! - Han spojrział na mnie. - To o czym Wedge miał porozmawiać z Leią?

- Mirax zaginęła. Chcę ją odszukać, ale Airen Cracken nie chce mi powiedzieć, gdzie była, zanim przepadła. - Wzruszyłem ramionami. - Miałem nadzieję, że Rada mu poleci, by udzielił mi tej informacji.

- Leia mogłaby ich zapewne przekonać, by to zrobili, ale nie stawałbym na to za wiele, chłopcze. - Brązowe oczy przemytnika stwardniały. - Bez względu na współczucie Leii, ta sprawa nie za-szłaby zbyt wysoko na liście priorytetów Rady. A jeśli pomyślisz o tym tak, jak myślałbyś za czasów swojej pracy w KorSeku, na pewno się zgodzisz, że nigdy nie powierzyłbyś tego rodzaju informacji małżonkowi tajnego agenta. Popatrzyłem na podłogę.

- Wiem.

- Z drugiej strony - powiedział nieco łagodniejszym głosem - Wywiad Nowej Republiki to nie jedyne miejsce, skąd możesz uzyskać informacje o Mirax. Czy nadal lata „Gwiezdnym Piruetem”?

Podniosłem głowę.

- Tak, proszę pana.

- Zanim odleczę na Kessel... Leia wysłała mnie tam jako oficera łącznikowego, bo znam miejsce... powęszę tu i ówdzie i spróbuję się dowiedzieć, czy nie widziano „Gwiezdnego Piruetu” w jednym z typowych miejsc, gdzie zwykle jest widywany. Może natrafie na jakiś ślad. - Zmrużył oczy, patrząc na mnie. - Ale tylko pod warunkiem, że przestaniesz się wygłupiać z tym „panem”.

Wbrew sobie uśmiechnąłem się.

- Dziękuję, Han. I możesz mówić mi Corran, chociaż służyłem w KorSeku.

Han uśmiechnął się.

- Galaktyka jest ogromna, więc twoje poszukiwania nie będą łatwe, ale nie sądzę, by to miało dla ciebie znaczenie.

- Nie ma.

- A zatem niech Moc będzie z tobą. - Spojrzał na Wedge'a. - Jesteś pewien, że nie chcesz się zabrać na Kessel?

- Następnym razem, Han, nie teraz. - Wedge uśmiechnął się do niego. - Kiedy ostatnio tam byłem razem z całą Eskadrą Łotrów, nie przypadłem do gustu Moruthowi Doole. Wyświadczysz sobie przysługę, nie wspominając mu o mnie.

- Jasne. Jak wrócę, dam ci znać, czy coś znalazłem, Corran. - Pirat zasalutował nie-dbale. - Pomyślnych lotów.

Patrzyliśmy z Wedge'em, jak odwraca się i znika za drzwiami. Roześmiałem się.

- Nie sposób go nie zauważyć, co? Wedge przytaknął.

- Kogoś takiego trudno zapomnieć.

- To tłumaczy nagrody za jego głowę. - Poczułem, że mój uśmiech gaśnie. - Wedge, jeszcze jedno: nie wiem, czy zamierzasz zobaczyć się z Iellą teraz, kiedy jesteś uziemiony jak kupa gnoju, ale jeśli tak, to nie pytaj jej o Mirax. Nadal pracuje dla Crackena i może wiedzieć to, czego potrzebuję, ale nie chcę wpędzać jej w kłopoty.

- Będę o tym pamiętał. Wedge zmarszczył lekko brwi. - Powiniennem się za nią wziąć, prawda?

Uśmiechnąłem się.

- Pasujecie do siebie idealnie. Myślałem, że tym razem wpadłeś na dobre.

- Bo wpadłem. - Niepewnie wzruszył ramionami. - Chciałem zacząć się z nią umawiać, zanim pojawił się ten jej mąż, a potem po jego śmierci, ale później była Thyfera, eskadra żywotrucpców, Thrawn....

- Wiem, wydarzyło się wiele rzeczy, które utrudniają nam życie. Ale nic nie przebiję dziewczyny z rodzinnej planety, jeśli chodzi o dzielenie z kimś wszechświata.

- Ty i Mirax jesteście żywym dowodem, że to prawda. - Wedge spojrzał na mnie rozmarzonym wzrokiem. - Naprawdę powinienem do niej zadzwonić i dać nam jeszcze jedną szansę. Może jak uporam się z tą odbudową, wezmę trochę urlopu.

- Jak mówił Han, galaktyka jest ogromna, ale nie sądzę, byś zdołał znaleźć dla siebie kogoś lepszego. - Zmusiłem się do uśmiechu. - A w tej wielkiej galaktyce ja muszę szukać mojej żony, podczas gdy osoba idealna dla ciebie jest tuż obok. Życie nigdy nie jest łatwe, co?

- Nie jest, nie da się ukryć. - Oczy Wedge'a pojaśniały, a na twarzy zakwitł uśmiech. - Ale może w końcu znajdziemy jakiś punkt zaczepienia, który pomoże rozwiązać twój problem.

- Co masz na myśli?

- Luke jest tutaj, na Coruscant. Powiniennem z nim porozmawiać. - Wedge pokiwał poważnie głową. - Odszukanie Mirax może wyglądać jak próba znalezienia kwarka w jednym molu deuteru, ale uważam, że zwrócenie się o pomoc do Jedi jest nie najgorszym pomysłem.

ROZDZIAŁ

5

Mimo wczesnej godziny Wedge zadzwonił do Luke'a Skywalkera, który zaprosił nas do swoich pokoi w Pałacu Imperialnym. Wedge wziął powietrzny śmigacz i poleciał tam ze mną. Prowadził dziko, klucząc pomiędzy wysokimi wieżami i szerokimi wstęgami pojazdów, zapychającymi trasy pałacowej dzielnicy. Przechylając śmigacz na lewą stronę, wśliznął się pomiędzy ciężko wyładowane turbocieżarówki, po czym wszedł w elegancki łuk, który podprowadził nas wprost do jednej z zatok ładowniczych pałacu.

Kiedy na niego spojrzałem, zobaczyłem na jego twarzy wyraz czystej radości.

- Możesz mi nie wierzyć, ale od razu widać, że tęsknisz za eskadrą.

Skrzywił się.

- Oczywiście, że brakuje mi latania, ale użeranie się z narwanymi pilotami o wybijałym ego może człowieka naprawdę zmęczyć.

- Akurat! To po prostu kosmiczny pył w porównaniu z tym, co teraz robisz: z użeraniem się z politykami i ich ego. - Roześmiałem się głośno. - Po prostu wzięłeś się za naprawdę trudne cele.

Wedge zmarszczył czoło.

- Jest w tym więcej prawdy, niżbym chciał, przyjacielu. Gdy w polu widzenia pojawił się Pałac Imperialny, obaj zamilkliśmy. Spiętrzenie wież i masywnych gmachów było prawdziwym pomnikiem potęgi. A jednak poszczególne jego części zostały wyrzeźbione z tak niebywałą troską o detal, że patrząc osobno, wydawały się wręcz delikatne. To, co z daleka zdawało się cienką błoną i pajęczyną żebrowań, przy bliższym podejściu wyglądało znacznie masywniej, ale też ujawniało kolejne poziomy detale, skąpane w błyskach kolorowych świateł. „Misterny” wydawało się jedynym słowem, które pozwalało oddać bogactwo architektoniczne pałacu.

Rząd Nowej Republiki próbował zmienić nazwę pałacu, więc w ciągu ostatnich kilku lat zorganizowano kilka kampanii, promujących nazwę „Dom Republiki” czy po prostu „Kapitel”. Żadna się nie powiodła, bo żadna z tych nazw nie pasowała do budowli. Wydawało się, że gmach zaprojektowano tak, by oddać każdy odcień znaczeniowy nazwy „Pałac Imperialny” i nazywanie go inaczej po prostu nie miało sensu.

Wedge podał odpowiedni kod, umożliwiający nam lądowanie, a potem poprowadził mnie przez labirynt korytarzy do domu mistrza Jedi. Szybko bym się zgubił w płataninie przejść - miałem tylko mgliste pojęcie, że posuwamy się w poprzek wieży i w górę, ale nie wiedziałem, jak daleko zaszliśmy. Częściowo była to wina licznych dekoracyjnych szczegółów w żywych kolorach, zdobiących tę wieżę, które mnie przytłoczyły i oszołomiły. Dominował imperialny szkarłat, podkreślony fragmentami złota, srebra, błękitu i zieleni. Właśnie wtedy, gdy natłok kontrastujących kolorów stawał się nie do zniesienia, natrafialiśmy na rodzaj niszy z dziełami sztuki pochodzącymi z jednej z miriadów planet galaktyki. Zorientowałem się, że następne nisze zawierają arcydzieła wszelkich sztuk. Obejrzawszy jedno, nie mogłem się doczekać następnego, przechodząc od jednej niszy do drugiej jak od systemu do systemu podczas długiego lotu.

Moja reakcja wydała mi się dziwna, bo przecież nie był to pierwszy raz, kiedy odwiedzałem Pałac Imperialny. Nie miałem pewności, czy byłem już kiedyś w tej wieży, przez którą szliśmy, zwłaszcza że większa część pałacowego wystroju była jaskrawo kolorowa. Pomyślałem sobie, że pałacowe zdobienia i kolory dlatego były tak natłoczone, bo kiedy mieszkał tu Imperator, wysysał życie z każdego poddanego, więc ludzie nie zauważaliby niczego, co nie rzucało się gwałtownie w oczy.

Pałac nie zmienił się od mojej poprzedniej wizyty, ale wcześniej zawsze przychodziłem tu w towarzystwie Mirax. Jej podziwiała sztuki, znajomość stylów, prawdopodobnego miejsca pochodzenia, a nawet wartości rynkowej rozmaitych zgromadzonych tu przedmiotów pozwalała mi umieścić je w określonym kontekście. Koncentrowałem się na tych rzeczach, które ją zainteresowały, odwołując się do podstaw znajomości sztuki, jakie zdobyłem dzięki wycieczkom z matką do muzeów na Korelii. Poprzez Mirax byłem w stanie przefiltrować wszystkie nieznosne szczegóły, które teraz atakowały mnie ze wszystkich stron.

Uratowały mnie komnaty mistrza Skywalkera. Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze przed nimi stanęliśmy, a Wedge bez wahania zanurkował w półmrok pokoju. Przyćmione światła tłumili feerie barw. Choć wygląd komnat nadal nosił piętno stylu imperialnego, nie było w nim natłoku mebli, zapychających wewnątrz kantami, aksamitnymi obiciami i ozdobnymi frędzlami. Wbudowane w ściany półki były wolne od pudeł pełnych kart danych czy osobliwości z różnych światów. Poza kilkoma pamiątkami - strzelbą gaffi, hełmem do X-skrzydłowca i paroma detalami, które zapamiętałem z mauzoleum Jedi Imperatora - półki pozostały puste.

Pokój rycerza Jedi przypominał w swoim oszczędnym wyposażeniu dom, w którym zamieszkaliśmy z Mirax. Pozbawione przyciągających uwagę elementów dekoracyjnych pokoje wywoływały wrażenie spokoju. Czas wydawał się tu zwalniać i po raz pierwszy od chwili, gdy odkryłem, że Mirax zaginęła, nie czułem się tak, jakby w głowie rozpętała mi się burza piaskowa.

Luke wyjrzał do nas z małej kuchenki i uśmiechnął się.

- Cieszę się, że cię znowu widzę, Wedge. I pana również, kapitanie Horn. Macie ochotę na coś do picia?

- Kawę, jeśli można prosić. - Wedge zakrył usta dłonią, by ukryć ziewnięcie. - Siedzisz tu w takiej ciemnicy, że chyba usnę na miejscu.

- W taki razie kawa. - Mistrz Jedi spojrział na mnie, a ja wyczułem elektryzujący prąd w spojrzeniu jego niebieskich oczu. Już poprzednim razem, kiedy się spotkaliśmy, wyczuwałem w nim siłę, ale teraz, po doświadczeniach z klonem Imperatora, jego moc podwoiła się. Wyglądał na nieco wymizerowanego i zmęczonego, w kącikach zapadniętych oczu zaczęły się pojawiać zmarszczki. Wiedziałem, że jesteśmy w tym samym wieku, ale jeśli chodzi o doświadczenie życiowe, wyprzedził mnie o parę długości.

- A dla pana, kapitanie? Trzymam tu trochę piwa Gizer Pale Blue dla Hana. Ja napiję się gorącej czekolady.

Namyśliłem się, po czym potrząsałem głową.

- Za wcześnie na alkohol, tym bardziej że nie jestem pewien, czy chciałbym przestać. I na pewno nie potrzebuję pobudzenia.

- Nietrudno wyczuć, że jesteś poruszony. - Luke machnął ręką w kierunku kilku prostych krzeseł i niskiego stolika obok modułu kuchennego. - Wyjaśnij mi swój problem?

Kojący spokój w jego głosie pomógł mi uspokoić nieco gwałtowne emocje, które mną targały. Usiadłem, Wedge zajął miejsce z mojej prawej strony, a Luke - naprzeciw niego. Pochyliłem się, opierając łokcie na kolanach. Wziąłem głęboki oddech, zatrzymałem go na chwilę i powoli wypuściłem powietrze.

- Moja żona, Mirax, zaginęła. Poleciała z misją dla generała Crackena. Miała spróbować odnaleźć kryjówkę „Gnębiciele”, żebyśmy mogli rozprawić się z Leonią Tavirą i jej napadami. - Zawahałem się, przygryzając dolną wargę. - Nie wzięłyby się za to, gdybym jej nie powiedział, że kiedy sprawa Gnębów się skończy, będziemy mogli zdecydować się na dziecko. Gdybym nie postawił takiego warunku, nie poszłyby do Crackena i nie zniknęły.

Luke położył mi rękę na ramieniu.

- Zaczekaj chwilę. Uspokój się. Wznosisz konstrukcję na niepewnych fundamentach.

Zmarszczyłem czoło.

- Co masz na myśli?

- Bierzesz na siebie odpowiedzialność za działania Mirax... odpowiedzialność, która nie spoczywa na tobie. - Luke mówił cichym i monotonnym głosem, więc musiałem się skoncentrować, by słyszeć jego słowa. - Mogła zaoferować Crackenowi swoją pomoc w ukróceniu ataków Gnębów z wielu różnych powodów. To oczywiste, że chciała pomóc tobie i Łotrom szybko się z nimi rozprawić. Myślisz, że to, co zrobiła, zostało podyktowane twoim warunkiem, by odwlec decyzję o dziecku, jednak prawdopodobnie bardziej zależało jej na tym, żebyś przeżył, ty i twoi przyjaciele.

Wedge przytaknął.

- Musisz przyznać, Corran, że to, co mówi Luke, bardzo pasuje do Mirax.

Zamknąłem na chwilę oczy, a potem wolno skinąłem głową.

- Słuszna uwaga. Masz rację, ale to nie oznacza, że nie ponoszę częściowej winy za jej zniknięcie.

Dłoń Luke'a na moim ramieniu zacisnęła się mocniej.- Twoje poczucie winy jest czymś naturalnym w tej sytuacji, ale nie możesz pozwolić, by cię paraliżowało. Ciekawi mnie jednak pewna rzecz. Mówisz, że została uprowadzona. Skąd o tym wiesz?

- Po prostu wiem. Spałem, czekając na jej powrót do domu, kiedy usłyszałem, jak mnie woła. Potem krzyknęła, a później nie czułem już nic. - Otworzyłem oczy i wbiłem wzrok w mistrza Jedi. - Czułem, że zginęła, nie że nie żyje... tylko że jest... odcięta ode mnie. A potem zacząłem zapominać różne szczegóły dotyczące jej i naszego życia. Rozglądałem się po mieszkaniu i widziałem rzeczy, które tam przyniosła, których używała albo które do niej należały, ale nie pamiętałem żadnych uczuć, jakie się z nimi wiązały. Czułem, jakby rozplywała się w mojej pamięci.

Luke wyprostował się i lknął swojej czekolady. Jego spojrzenie stało się odległe, a twarz przez chwilę wydawała się ciemną maską.

- Bardzo ciekawe.

- Co takiego?

- Zanik wspomnień. - Spojrzał na mnie znowu wzrokiem pełnym uwagi. - Chciałbym zrobić pewną próbę, jeśli pozwolisz.

Popatrzyłem na Wedge'a, który zachęcająco kiwnął głową.

- Zgoda. Co mam robić? Luke uśmiechnął się lekko.

- Po prostu otwórz na mnie swój umysł. Chcę cię wysondować. Poczujesz coś jakby lekki ucisk. Może nawet łaskotanie.

- W porządku.

Wziął głęboki oddech, a kiedy wypuścił powietrze, poczułem opływającą mnie falę spokoju. Staralem się rozluźnić, a Luke przymknął oczy. Poczułem nacisk na moją świadomość, łagodny, ale mocny, jak dodające otuchy klepięcie po plecach. Ucisk nabrał intensywności, zmieniał również miejsce - jeśli coś tak niematerialnego jak umysł może mieć różne miejsca. Czułem, jak atakuje mnie pod różnymi kątami i zwiększa nacisk do chwili, aż stał się niemal bolesny, po czym wrażenie ustąpiło, a Luke oparł się o krzesło.

Popatrzyłem na niego wyczekująco.

- No i co?

Posłał mi chłopięcy uśmiech.

- Bardzo interesujące. Czy próbowałeś stawiać opór? Potrząsnąłem głową przecząco.

- Wcale. A co, miałaś jakieś trudności?

- Trochę. Zdołałem uchwycić jakieś wrażenia na powierzchni, ale reszta była mocno zamknięta. - Zmarszczył brwi. - Spróbujmy inaczej. Wedge, zacznij coś mówić. Nieważne, co. Coś prostego. Opowiedz dowcip. Corran, skoncentruj się na głosie Wedge'a i na tym, co do niego czujesz. Ja zrobię to samo, co powinno wprowadzić nas mniej więcej na ten sam tor. Może w ten sposób uda mi się znaleźć jakieś wejście.

Wzruszyłem ramionami.

- Chyba nie zaszkodzi spróbować. Spojrzeliśmy obaj na Wedge'a.

- Nie jestem za dobry w opowiadaniu dowcipów. Luke kiwnął głową.

- Chodzi o dźwięk twojego głosu, żebyśmy mogli się na nim skoncentrować, a nie o rozśmieszenie nas.

- W porządku. No więc wchodzi facet do knajpy z gorntem pod pachą...

Zamknąłem oczy i słuchałem głosu Wedge'a. Pomyślałem o tych wszystkich rzeczach, kiedy to robiłem, o wszystkich pochwałach i gratulacjach, jakie od niego usłyszałem, o niebezpieczeństwach, które dzieliliśmy, a także o chwilach wspólnej zabawy. Zastanawiałem się, jak udało nam się wybrnąć z tylu sytuacji bez wyjścia, obracając na naszą korzyść szansę tak małą, że nawet Korelianin by na nas nie postawił. Myślałem o ludziach, którym pomogliśmy, o ratowaniu życia, a nawet o wspólnym bólu, kiedy nasi towarzysze ginęli w bitwach.

Przez cały ten czas prawie nie czułem, jak Luke sonduje mój umysł. Tym razem, zamiast wejść bezpośrednio, pozwolił, by jego badanie płynęło w tym samym kierunku co moje myśli. Prąd jego myśli stopił się z moimi, a wszelkie zapory, jakie postawiłem w swojej świadomości, nie rozpoznały zagrożenia jego obecnością. Sondująca myśl Luke'a wyminęła je, nadal krążąc wokół moich wspomnień o Wedge'u, a potem, kiedy natrafił na jedno, w którym pojawili się i Wedge, i Mirax, skreślił gwałtownie, ja zaś poczułem, jakby ktoś włączył głęboko w moim mózgu wiatrak z transpastali.

Musiałem na chwilę zemdleć, bo następną rzeczą, jaką zobaczyłem, był pochylający się nade mną Wedge. Mrugnięciem pozbyłem się łez z kącików oczu i poczułem, że leżę, patrząc w sufit, na oparciu przewróconego krzesła. Tak mocno trzymałem podłokietniki, że rozboleły mnie ręce. Nogi owinąłem wokół nóg krzesła z taką siłą, że usłyszałem, jak fiberplast pęka i łamie się. Poczułem palenie w płucach, co przypomniało mi, że powinienem oddychać.

Wedge przyklęknął obok mnie.

- Nic ci nie jest, Corran? Luke, jak się czujesz?

- Podejrzewam, że trochę lepiej niż on. - Luke pojawił się po mojej drugiej stronie i przycisnął lewą rękę do mojego ramienia. Poczułem, jak coś przepływa od niego do mnie, a moje rozdygotane mięśnie się rozluźniają.

- Spokojnie, Corran. Wiem, że to musiał być szok. Przepraszam.

Powoli podniosłem lewą rękę i otarłem usta, a kiedy popatrzyłem na dłoń, zauważyłem krew z pękniętego kącika. Ból w moim mózgu nadal odzywał się echem, a pustka w żołądku potwierdzała, że dobrze zrobiłem, nie dając się namówić na drinka. Zaskaszałem i zmusiłem się do słabego uśmiechu.

- Chyba nie o to ci chodziło?

- Zupełnie nie o to.

Luke i Wedge wyplątali mnie z krzesła i pomogli wstać. Mistrz Jedi podsunął mi drugie krzesło, więc znowu usiadłem. Z powodu osłabienia wszystkich mięśni musiałem się starać, żeby nie zsunąć się z powrotem na podłogę, ale mi się udało.

- Przepraszam, że złamałem ci krzesło.

- Żaden problem. Wedge zmarszczył czoło.

- No dobra, to co się właściwie stało? Ten dowcip nie był w końcu taki zły.

Luke roześmiał się kurtuazyjnie i nawet ja musiałem się uśmiechnąć.

- Nie, Wedge, nie był najgorszy. Chodzi o to, że próbowałem ominąć jego obronę i wykorzystać wspomnienie ciebie i Mirax do nawiązania z nią połączenia. Jednak robiąc to, uderzyłem Corrana w rozległą, otwartą psychiczną ranę.

Przebiegł mnie dreszcz.

- A ja w jakiś sposób wyrzuciłem cię z mojego umysłu.

- Tak, i to dość mocno. - Luke wyprostował własne krzesło i usiadł. - Myślę, że wiem, dlaczego zapominasz o tym, co dotyczy twoich uczuć do Mirax.

- No to mów.

- Masz jakby poparzenia. Uraz, jaki przeżyłeś, kiedy usłyszałeś, jak cię woła, a potem znika, wypalił rany w twoich emocjach. Twój umysł zamyka więc dostęp do pewnych miejsc, by oszczędzić ci kolejnego takiego szoku. - Luke lekko wzruszył ramionami. - Twoje zapory obronne są dość silne, a teraz jeszcze wydają się puchnąć od bólu, jaki przeżyłeś. Emocjonalnie jesteś całkowicie zamknięty i bardzo ciężko do ciebie dotrzeć.

Poczułem, jak w moje ciało powraca siła, więc usiadłem prosto.

- To chyba nie jest trwałe, co?

- Nie sądzę. - Luke pociągnął łyk swojego napoju. - Umysł potrafi być bardzo odporny.

Poczekaj, aż przelknie kolejny łyk czekolady, a potem zapytałem:

- Więc pomożesz mi ją odszukać?

- Bardzo bym chciał. Najpierw musimy się jednak zastanowić, dlaczego zniknęła.

Wedge zmarszczył brwi nad kubkiem kawy.

- Zniknęła, bo poleciała dowiedzieć się czegoś o Gnębach.

- Tak, to jest podstawowa przyczyna, ale dlaczego właśnie ona? I dlaczego zwyczajnie jej nie zabili? - Luke złączył dłonie. - *Zdarzało* mi się z wielkiej odległości wyczuwać, że moi przyjaciele są w niebezpieczeństwie, ale najmocniej czułem to, kiedy Han, Leia i Chewbacca byli na Bespin, torturowani przez Dartha Vadera. Vader chciał, żebym tam przyleciał, żeby mógł mnie przeciągnąć na Ciemną Stronę.

- Ale wiedział już wtedy, że szkolisz się na Jedi. Wiedział, że będziesz podatny na ten rodzaj pułapki. - Wycelowałem kciuk we własną pierś. - Niemał nikt poza eskadrą nie wie o moich powiązaniach z Jedi, a ja sam nie byłem nigdy szkolony. Tak naprawdę prawie nic nie łączy mnie z zakonem Jedi.

Luke pokiwał głową.

- Co zatem może łączyć z nimi Mirax? Na chwilę serce przestało mi bić.

- A niech to Sith porwie! Ona ma mój medalion Jedi! Podarowałem go jej na nasze zaręczyny. Nosi go jako talizman podczas swoich podróży.

Twarz mistrza Jedi ściemniała.

- To może być to. Z tego, co wiem o tradycji koreliańskich Jedi, kiedy rycerz staje się mistrzem, wybijane są pamiątkowe monety. Rozdaje je rodzinie, przyjaciołom, mistrzowi rycerza i jego uczniom. Mogło się zdarzyć, że ktoś zobaczył medalion, założył, że tę osobę łączy coś z Jedi i zaczął działać.

- Ale dlaczego? - Nie widziałem w tym sensu. - Powiedziałeś, że Vader torturował twoich przyjaciół, żeby wciągnąć cię w zasadzkę. Ja nie mogę znaleźć Mirax, więc jak mam wpaść w tę zasadzkę?

Wedge potrząsnął głową.

- To mogło równie dobrze być ostrzeżenie, Corran, ostrzeżenie, żebyś czegoś nie robił.

- Jasne, ale czego? Luke uniósł rękę.

- Nie wiemy. Spekulowanie na ten temat teraz może być tylko stratą czasu. Mój przykład z Bespin mógł nas zmylić. Może to zwykłe porwanie? Może ktoś rozpoznał Mirax i myślał, że dostanie za nią okup, bo oboje jesteście kojarzeni z Rebeliantami? Ostrzeżenie, jakie otrzymałeś, może poprzedzać żądanie okupu, a porywacze mogą nawet nie wiedzieć, że je otrzymałeś.

Zmrużyłem oczy.

- Dobrze, w takim razie jesteśmy o krok przed nimi. Z twoją pomocą możemy odnaleźć Mirax i zająć się sytuacją, zanim dojdzie do najgorszego.

- Zgoda, ale jest jeden problem.

- Jaki?

Luke westchnął.

- Nie mam z Mirax takiej więzi jak ty. Gwałtowność, z jaką to połączenie zostało przerwane, każe mi myśleć, że Mirax może być w stanie głębokiej hibernacji. Muszę zapytać Leię, jak się czuła, kiedy Hana zamrożono w karbonicie. Wiem, że odczuła to bardzo boleśnie. Założę się, że to, co wtedy czułeś, musiało być bardzo podobne.

Objąłem się ramionami. Myśl o Mirax zamrożonej w karbonicie albo wepchniętej do komory hibernacyjnej nappełniła mnie przerażeniem.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś w stanie jej odnaleźć?

- Nie teraz i nie na taką odległość. Serce mi na chwilę zamarło.

- Więc jest zgubiona.

- Tego nie powiedziałem. - Luke postawił kubek na stoliku i spojrzał mi prosto w oczy. - Myślę, że ty potrafisz ją znaleźć. Myślę, że masz w sobie Moc dość silną, by ją namierzyć, nawet jeśli jest w stanie hibernacji. Jej procesy umysłowe mogą być spowolnione do tego stopnia, że niemal niewykrywalne, ale poprzez Moc będziesz w stanie wyczuć. One doprowadzacie do Mirax.

- Ale ja muszę ją znaleźć już teraz.

- Nie - zaprzeczył spokojnie. - Musisz po prostu ją znaleźć. A teraz musisz nauczyć się, jak tego dokonać.

Luke wstał, okrążył swoje krzesło i oparł się o nie ciężko.

- Dużo myślałem o tym, co się ostatnio wydarzyło i wiem, że nie ma sposobu, żebyśmy ja i Leia, i jej dzieci, kiedy dorosną, byli w stanie radzić sobie z całą odpowiedzialnością, którą złożono w tej chwili na nasze barki. Przez tysiące pokoleń, kiedy Jedi utrzymywali pokój w galaktyce, było ich wielu; na pewno setki, może nawet tysiące. Wysiłki Imperatora, by ich zniszczyć, nie do końca się powiodły. Nadal żyją ludzie wrażliwi na Moc, jak ty, Corran, jak ja i Mara Jade. Musimy mieć więcej Jedi, którzy będą dzielić z nami ciężar odpowiedzialności za galaktykę. Już kiedyś prosiłem cię, że-

byś przyłączył się do mnie i szkolił pod moim kierunkiem. Odmówiłeś z wielu ważnych i słusznych powodów. Późniejsze wydarzenia nie pozwoliły mi skoncentrować się na odbudowywaniu zakonu, ale teraz nadszedł na to czas. Za parę dni zamierzam poprosić senat o możliwość założenia akademii Jedi. Najprostsze przeszukanie dostępnych baz danych ujawniło wielu obiecujących kandydatów. Gdybym zdołał zebrać ich tuzin, myślę, że to by wystarczyło na początek. Chciałbym, żebyś był jednym z nich.

- Jak mogę myśleć o treningu Jedi, kiedy moja żona zaginęła? Wedge zmarszczył czoło.

- Zastanów się przez chwilę, Corran. Jeśli rzeczywiście jej uprowadzenie miało dać ci coś do zrozumienia... coś, co tylko Jedi jest w stanie zrozumieć... to tak czy siak ją więzi, jest dość twardy, by myśleć, że uda mu się zdrzeć z Jedi i wyjść z tego cało. Jeśli nie będziesz się szkolił, jakie twoim zdaniem masz szansę, by pokonać tego kogoś i uratować Mirax?

Luke kiwnął głową.

- Wedge ma rację. A jeśli porywacze nic nie wiedzą o tym, że odebrałeś wiadomość od Mirax dzięki swojej wrażliwości na Moc, szkolenie na rycerza Jedi pomoże ci rozwinąć twój potencjał i pokonać ich, ratując Mirax.

Ich logika była nieodparta, ale nadal czułem się niespokojny. Mam podjąć szkolenie Jedi, podczas gdy Mirax marnieje gdzieś daleko, w śpiączce. - Sam nie wiem.

Mistrz Jedi uśmiechnął się półgębkiem.

- To jedyna uczciwa odpowiedź, jakiej mogłeś udzielić. Nie spodziewałem się innej. Powinieneś wziąć pod uwagę dwie sprawy, Corran. Pierwsza jest taka: kiedy Vader torturował moich przyjaciół, chodziło mu o to, żeby mnie zwabić, ale także by przerwać moje szkolenie. Popełniłem najpoważniejszy błąd w życiu, opuszczając mojego mistrza w tym właśnie momencie. Kosztowało mnie to rękę, o mało nie straciłem życia, a bieg faktów pokazał, że mogłem poważnie zaszkodzić Rebelii. Masz szansę, w obliczu podobnego wyzwania, uniknąć pomyłki, którą ja popełniłem. Liczę na to, że skorzystasz z tej szansy.

Czułem absolutną szczerą jego słów.

- A to drugie?

- Tradycja koreliańskich Jedi jest bardzo silna. W annałach Jedi odnotowano wielu rycerzy z Korelii, chwając ich oddanie dla służby. Zazwyczaj nie oddalali się zbyt daleko od Korelii, bo ten system i tak zapewniał im dość zajęcie, a ich mądrość i odwaga były powszechnie znane i cenione. Jesteś dziedzicem tej tradycji i myślę, że wplecenie jej w tradycję innych Jedi jest bardzo potrzebne. Dołączenie do akademii nie tylko pozwoli ci uratować Mirax, ale pomoże innym odnaleźć swój potencjał w Mocy.

- Słyszę, co mówisz, mistrzu Skywalker, ale są jeszcze inne trudności. - Wzruszyłem ramionami. - Nie jestem może tobą ani Hanem Solo, ale nie jestem też w Nowej Republice postacią nieznaną. Jeśli porywacze Mirax dowiedzą się, że szkolę się w twojej akademii jako Jedi, mogą ukarać mnie, odbierając jej życie.

Wedge wskazał na mnie.

- Poza tym jego pozycja jako bohatera Rebelii mogłaby rozpraszać innych studentów.

- Bardzo słusznie, ale ten problem nietrudno rozwiązać. - Luke uśmiechnął się swobodnie. - Zmień kolor włosów, zapuść brodę, a będziesz wyglądał zupełnie inaczej. W KorSeku pracowałeś przecież nieraz w przebraniu.

- Jasne, ale nie przedstawiałem się jako Corran Horn w czasie tych operacji.

- Dostaniesz nowe imię - powiedział Luke z powagą. - Szukając wiadomości o koreliańskich Jedi natknąłem się na takie imię, które mogło należeć do jednego z twoich przodków. Może nawet dostałeś je po nim. Nazywał się Keiran Halcyon. Możesz używać jego imienia. Jest dość podobne do twojego, byś na nie reagował, ale wystarczająco odmienne, by zapewnić ci incognito.

Keiran Halcyon. To imię krążyło mi w głowie, gasząc ostatnie płomyki bólu, które pozostawiło sondowanie Luke'a.

- To mogłoby zadziałać. Muszę o tym pomyśleć. Luke wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu.

- To poważna decyzja. Idź do domu. Zastanów się. Pomyśl o odzyskaniu dziedzictwa, którego chciało cię pozbawić Imperium. To dla ciebie kolejna szansa pokonania tamtego zła i przygotowania się do walki z nowymi zagrożeniami. Jeśli chcesz, by galaktyka, w której będą mieszkać dzieci twoje i Mirax, była bezpiecznym miejscem, szkolenie na rycerza Jedi jest chyba najlepszą rzeczą, jaką możesz zrobić.

ROZDZIAŁ

6

Wedge odwiózł mnie do domu i zaproponował, że zostanie i obgada ze mną sprawy, ale odmówiłem.

- Dzięki za propozycję, Wedge, ale masz na głowie ważniejsze sprawy, niż słuchać, jak wałkuję tę kwestię tam i z powrotem.

Wedge rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- Nic, co robię, nie jest ważniejsze od przyjaciół. Mirax jest dla mnie prawie jak młodsza siostra i uważam ją za członka rodziny- Ty jesteś moim przyjacielem. Chociaż wiem, jak bardzo się martwisz, że nie możesz nic zrobić w tej chwili, przynajmniej masz jakieś możliwości. Wybór jest dla mnie jeszcze mniej oczywisty niż dla ciebie, ale jestem gotów ci pomóc niezależnie od tego, jaką podejmiesz decyzję.

Uścisnąłem dłoń, którą do mnie wyciągnął.

- Dziękuję. Bądź pewien, że się do ciebie odezwę.

- Liczę na to. Przytrzymałem jego rękę.

- Jeszcze jedno. Proszę, nie mów nic Boosterowi Terrikowi. Wedge zmarszczył czoło.

- Ale to przecież jej ojciec. Powinien wiedzieć.

- No tak, ale jeśli Cracken bał się, że ja zacznę szaleć jak nerf w antykwariacie, pomyśl tylko, co mógłby zrobić Booster. - Potrząsnąłem głową. - „Błędna Wyprawa” nie jest może w najlepszym stanie, ale rozbijanie się na ślepo po galaktyce imperialnym gwiazdowym niszczycielem nie jest najlepszym sposobem na odzyskanie Mirax.

- Nie mogę odmówić ci racji - uśmiechnął się Wedge. - Nie zamierzam kłamać, ale nie będę też się pchał do jego drzwi z wiadomościami, zanim nie będą to dobre wiadomości.

- Dzięki. Do zobaczenia, Wedge. - Wszedłem na schody prowadzące ze wspólnego ładowiska do mieszkań i podszedłem do drzwi apartamentu. Rozsunęły się, gdy wstukałem kod. Wszedłem już parę kroków, zanim się zorientowałem, że w mieszkaniu jest jaśniej, niż gdy je opuszczałem. Bez blastera albo miecza świetlnego mojego dziadka byłem bezbronny wobec ewentualnych włamywaczy. Już miałem zawrócić i wyjść, gdy z salonu doszedł do mnie znany świergot.

- Tak, Gwizdku, to ja.

Mały, zielony robot typu R2 wtoczył się do korytarza, obrócił głowę tak, by jego sensory wizji mogły omieść całe pomieszczenie, po czym odwrócił się i znowu zniknął. Przeszedłem do salonu i zobaczyłem stos toreb i pojemników z jedzeniem na stoliku przy holotablcy. Robot wysunął z cylindrycznego korpusu zakończone szczypcami ramię i chwycił nim puszkę mleka nerfów i torbę galaretek.

- Słuchaj, Gwizdek, niezależnie od tego, co powiedziała ci Mirax o moich zwyczajach żywieniowych, kiedy jej nie ma, jestem w stanie sam zatroszczyć się o moje jedzenie. - Ukłakłem na podłodze obok niego i złapałem puszkę, którą mi rzucił. - Tak, wiem, to na pewno bardzo smaczne, ale nie jestem teraz głodny.

Gwizd robota zaczął się nisko, po czym przeszedł w wysoki ton.

- Dlaczego? - prychnąłem. - Nie wiem, Gwizdek, ile jesteś w stanie z tego zrozumieć. - Zignorowałem jego drwiącą odpowiedź, porządkując myśli. - Skoro tu jesteś, to znaczy, że zajrzałeś do rejestrów portowych i zorientowałeś się, że „Piruet” odleciał. Chodzi jednak o to, że Mirax naprawdę zniknęła. Ktoś ją porwał, a mistrz Jedi Luke Skywalker uważa, że jest przetrzymywana w stanie hibernacji. Ale dlaczego, tego żaden z nas nie wie.

Żalobny ton, jaki wydał z siebie Gwizdek, sprawił, że w gardle wyrosła mi nagle wielka gula. Gwizdek coś tam jeszcze za-świergotał, ale nie rozumiałem, o co mu chodziło. Wyciągnąłem rękę i poklepałem go delikatnie po kopułce. Złapał mnie szczypcami za rękaw i delikatnie pociągnął.

- Właśnie rozmawiałem z Wedge'em i Lukiem Skywalkerem. Obaj myślą, że aby odnaleźć Mirax, powinienem przejść szkolenie na rycerza Jedi. Ja jednak uważam, że to zabrałoby mi zbyt wiele czasu. Z jednej strony wiem, że mają rację, ale z drugiej... nie sądzę, żeby Mirax mogła tyle czekać. Zastanawiam się, co powinienem zrobić, albo co mój ojciec zrobiłby w takiej sytuacji, ale muszę sobie odpowiedzieć na tak wiele pytań, że zupełnie się w tym pogubiłem.

Gwizdek podreptał do przodu i wywrócił piramidę z puszek, którą wcześniej zbudował. Wysunął wysięgnik z czytnikiem, który wprowadził w wyjście do transmisji danych na holotablcy. W jednej chwili nad tablicą wyrósł zamrożony wizerunek holograficzny mojego ojca, nieco wyższy niż oglądana przeze mnie przedtem figurka Mirax. Gwizdek zaświergotał przejmująco, ale nie rozumiałem, co chciał powiedzieć.

- Powoli, Gwizdek, powoli. O co ci chodzi?

Obraz ojca zniknął, zastąpiony przez rozjarzone litery, tworzące napis: „Wystarczy, że poprosisz”.

Już miałem zażądać dalszych wyjaśnień, ale słowa obudziły uśpione wspomnienia i po chwili przypomniałem sobie, o co chodziło. Zanim wyzwoliliśmy Thyferę, zanim pojawił się Thrawn i wyzwoliliśmy więźniów „Lusankyi”, Gwizdek zawiadomił mnie, że mój ojciec zaszyfrował i wprowadził do jego pamięci holograf mówiący o moim dziedzictwie. Powiedział, że nagranie powstało wiele lat temu, zanim jeszcze zacząłem służbę w KorSeku. Gwizdek dostał instrukcję, by pokazać mi nagranie zawsze, gdy o to poproszę i podam hasło.

Wtedy oparłem się pokusie wysłuchania wiadomości, bo obawiałem się, że postawi mnie przed wyborami, których nie chciałem jeszcze dokonać. Gdyby mój ojciec

namawiał mnie w swoim przesłaniu, bym został rycerzem Jedi, poszukał sobie mistrza i rozpoczął szkolenie, wiem, że postąpiłbym zgodnie z jego życzeniem. Wtedy jednak oznaczałoby to opuszczenie eskadry, rozstanie z Mirax i opuszczenie byłych więźniów „Lusankyl”. Nie mogłem tak postąpić, odłożyłem więc na później wysłuchanie tego, co miał mi do powiedzenia ojciec.

Potem, kiedy pojawił się Thrawn i spółka, nigdy nie miałem okazji zbadać, co zostawił dla mnie ojciec. Mirax stwierdziła, że wiadomość nie była ostatnim darem, który mi ofiarował - było nim zaufanie, jakie mi okazał, pozwalając samemu wybrać moment, kiedy jej wysłucham. Dar ten był mi drogi, więc chociaż wiedziałem, że powinienem odsłuchać wiadomość, odwlekałem ostateczną decyzję.

Chociaż ta myśl zakiełkowała mi w głowie, zdałem sobie sprawę, że odtworzenie wiadomości nie zniszczy samego daru. Zaufanie ojca do mnie zawsze było bezgraniczne i dotyczyło wszystkich aspektów mojego życia. Zmarł na moich rękach, a ja nie byłem w stanie zapobiec jego śmierci. Z tego powodu pozwalałem sobie myśleć, że w ostatnich sekundach życia mój ojciec zastanawiał się, dlaczego nie byłem z nim, by mu pomóc. Musiałem mieć nadzieję - żeby nie postradać zmysłów - że wiedział, iż oddałbym własne życie, by go ratować. Tak myślałem; co więcej, w pewien sposób wiedziałem, że tak było.

Uśmiechnąłem się.

- Nagrał tę wiadomość na długo przed swoją śmiercią. To nigdy nie miała być spuszczona, tylko kłapa bezpieczeństwa. Gdyby coś mu się stało, chciał, bym dowiedział się wszystkiego, co jego zdaniem powinienem wiedzieć. I powinienem pamiętać, że nigdy nie postawiłby mnie w sytuacji, żebym musiał dokonać wyboru sprzecznego z moim interesem. Ufam, że tak było, ale, niestety, nie odsłuchując tej wiadomości, postąpiłem wbrew temu zaufaniu.

Skinąłem głową na Gwizdka.

- Pokaż, proszę, tę wiadomość. Hasło brzmi „Nejaa Halcyon”. Wizerunek mojego ojca pojawił się ponownie i poczułem, jak coś ściska mnie w gardle. Zawsze był wyższy ode mnie, więc teraz, kiedy klęczałem na podłodze, znowu musiałem unieść głowę, żeby na niego popatrzeć. Czarne włosy miał krótko obcięte, a w piwnych oczach błyskały złote iskierki. Uśmiechał się tym swobodnym uśmiechem, który tak często widywałem na jego twarzy. Musiałem mieć jakieś szesnaście lat, kiedy nagrywał tę wiadomość - jego potężna sylwetka dopiero zaczynała sugerować późniejszą tuszę, z którą walczył do końca życia.

Kiedy się odezwał, głos miał wyraźny i mocny.

- Corran, nagrywam dla ciebie tę wiadomość, bo są pewne sprawy, o których powinienś wiedzieć. Służba w KorSeku bywa niebezpieczna i nie chciałbym, by jakiś mój wypadek przy pracy uniemożliwił ci poznanie prawdy o własnej rodzinie. Mam nadzieję, że siedzimy teraz razem, oglądając to nagranie i śmiejąc się z mojego młodego wyglądu. Jeśli nie, chcę żebyś wiedział, że cię kocham i zawsze byłem z ciebie bardzo dumny.

Gwizdek zatrzymał nagranie, bo zamknąłem oczy, próbując powstrzymać łzy. Szok wywołany zniknięciem Mirax mógł spowodować odrętwienie emocjonalne, ale

ból, jaki zadała mi śmierć ojca, runął nagle na mnie zalewając tę pustkę. Uświadomiłem sobie, że klęczę tak samo jak wtedy w knajpie, kiedy tuliłem na kolanach jego głowę, a on umierał. Niemał czułem, jak jego krew znów przesiąka przez moje ubranie. Frustracja z powodu zniknięcia Mirax nałożyła się na ból spowodowany śmiercią ojca i o mało nie zrezygnowałem ze słuchania dalszej części nagrania.

Ale żadne z nich by nie zrezygnowało, pomyślałem.

Prychnąłem i otarłem nos rękawem, a potem otworzyłem oczy i skinąłem głową Gwizdkowi.

- Dzięki, przyjacielu.

Gwizdek puścił wiadomość dalej i znów zobaczyłem szeroko uśmiechniętą twarz ojca.

- To może zabrzmieć jak bajka, ale wszystko, co ci teraz powiem, jest prawdą. Twój dziadek, Rostek Horn, nie jest tak naprawdę twoim przodkiem. Jak wiesz, przed Wojnami Klonów jego partnerem był rycerz Jedi, który zmarł z dala od Korelii, tuż po zakończeniu tych wojen. Ten rycerz, Nejaa Halcyon, był moim ojcem. Był też moim mistrzem i kształcił mnie w sztuce Jedi, zanim zginął. Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. Rostek Horn zatroszczył się, by mnie i mojej matce na niczym nie zbywało. Matka i Rostek zakochali się w sobie i pobrali, a Rostek mnie zaadoptował. Co więcej, kiedy Imperium zaczęło ściągać Jedi i ich rodziny, zniszczył nasze papiery i sfabrykował nowe, które miały strzec nas od gniewu Imperium.

Wiem, że ukrywanie takiej wiadomości to nie byle co, ale było to konieczne. Znam cię, Corran, i wiem, jaki dumny byłbyś z takich przodków. Powiedziałbyś o tym innym, chcąc, by dzielili twoją radość i w ten sposób ściągnąłbyś na siebie zgubę. Lord Vader i inni nie przestawali polować na Jedi. Widziałem efekty tej nagonki. Utrzymywanie cię w niewiedzy zapewniało ci bezpieczeństwo. Nie była to łatwa decyzja, ale nie sposób było podjąć innej.

Na twarzy ojca pojawił się wyraz, który przybierał, gdy sprawy nie układały się po jego myśli.

- Rodzina Halcyonów jest dobrze znana wśród koreliańskich Jedi. Szanowano nas i wiele osób przyszło oddać hołd Nejaa po jego śmierci. Oczywiście dziś nie znajdziesz o tym żadnej wzmianki. To, czego nie zniszczyło Imperium, zniszczył Rostek. Albo ukrył - nawet mnie nie mówi, gdzie przechowuje te informacje, ale nie wierzę, by pozwolił im całkiem przepaść. Linia Halcyonów miała silną Moc, ale nie afiszowali się z tym. Słowo tu, działanie tam - pozwalali, by ludzie wybierali między dobrem a złem we własnym tempie, a sami brali na siebie prawdziwe niebezpieczeństwa.

Tak więc teraz, tą wiadomością, daję ci wybór. Niezależnie od tego, co wybierzesz, będę cię nadal kochał i nie przestanę być z ciebie dumny. Fakt, że chcesz wstąpić do KorSeku, napęłnił i mnie, i twojego dziadka większą dumą, niż sobie wyobrażasz. Nie mogłeś znaleźć lepszego sposobu, by wyrazić nam swój podziw i szacunek, niż idąc w nasze ślady. Chciałbym jednak, żebyś wiedział, że mój wybór łączy dwie ścieżki. Podczas gdy Rostek i mój ojciec pracowali ramię w ramię, agent KorSeku obok Jedi, ja wykorzystuję to, czego nauczyłem się od ojca, w mojej pracy dla KorSeku. W ten sposób kultuwuję zarówno tradycję Halcyonów, jak i Hornów.

Postać ojca w hologramie rozłożyła ręce.

- Jeśli masz taką szansę, jeśli czujesz taką potrzebę, mam nadzieję, że również otworzysz się na obie te tradycje. Nie chodzi o to, że bycie rycerzem Jedi jest czymś lepszym niż służba w KorSeku - absolutnie nie. Ale tak niewielu może stać się rycerzami Jedi, że porzucanie tej ścieżki jest zawsze tragedią. Mnie zmuszono, bym z niej zrezygnował. Mam nadzieję, że ty nie staniesz przed taką koniecznością i że będę mógł szkolić cię tak samo, jak mój ojciec szkolił mnie.

Uśmiechnął się, a w oczach zapłonęła mu duma.

- To wszystko, synu. Teraz wiesz więcej o tym, kim jesteś i kim możesz się stać. Jedyne granice, jakie masz przed sobą, to te, które sam postawisz. Wiem, że cokolwiek postanowisz, będzie to słuszna decyzja. Jesteś aż tak dobry, Corran, i aż tak wyjątkowy. Będę zachwycony, jeśli wprowadzisz linię Halcyonów z powrotem do zakonu Jedi, ale nawet to jest niczym w porównaniu z radością, jaką sprawia mi fakt, że mam takiego syna, i pewność, że jesteś zdrowy i szczęśliwy.

Nagranie się skończyło, a Gwizdek zaproponował, że odtworzy je jeszcze raz. Potrząsnął głową.

- On chce, żebym się szkolił. Wie, że powinienem to zrobić. -Zastanowiłem się przez chwilę. - Ja chyba też to rozumiem. Zawsze widziałem moją służbę w KorSeku jako najlepszy sposób, by zapobiegać krzywdzeniu niewinnych. Tak samo jak później latanie w Eskadrze Łotrów. Teraz najlepszy sposób, by bronić ludzi przed złem, to trening. Powinienem zostać rycerzem Jedi, jak Luke Skywalker i ojciec mojego ojca. Gdybym zrobił mniej niż to, okazałbym się niegodny zaufania, jakie we mnie pokładała. Powoli wstałem.

- Gdybym zrobił mniej niż to, zawiódłbym także Mirax. Nie zamierzam pozwolić, by tak się stało.

Poszedłem korytarzem do sypialni. Odsunąłem fałszywy blat nocnego stolika i wyciągnąłem wąski srebrny cylinder - miecz świetlny Nejaa Halcyona. Kciukiem prawej dłoni włączyłem czarny przycisk na rękojeści, z której z sykiem wysunęło się srebrne ostrze, bucząc cicho. Odwróciłem się w stronę Gwizdka i przeciąłem mieczem powietrze.

- Luke Skywalker szuka uczniów, a ja potrzebuję nauczyciela. - Uśmiechnąłem się, słysząc triumfalną fanfary Gwizdka. - Oto narodził się Keiran Halcyon.

ROZDZIAŁ

7

Wyszedłem z modułu odświeżającego, susząc włosy ręcznikiem po drodze do salonu. Na widok Ielli uśmiechnąłem się.

- No i jak wyglądam?

Zmrużyła oczy, a po chwili skinęła głową.

- Nie widać ani kosmyka zieleni.

- To dobrze. - Zawiesiłem biały ręcznik na szyi, trzymając za oba końce. - Trochę czasu to potrwa, zanim przyzwyczaję się do odbicia mojej twarzy z tak jasnymi włosami.

Założyła złotobrazowe pasmo za ucho.

- Ten kolor cię postarza. Wąsy i broda zmieniają zarys twarzy na tyle, że z trudem cię rozpoznałam, kiedy wcześniej dzwoniłeś.

- Nie myślisz, że to wina tej zieleni? - prychnąłem. - Nie przypuszczałem, że farbowanie włosów może być tak skomplikowane.

- Corran, trzeba po prostu najpierw przeczytać instrukcję na opakowaniu.

- Przeczytałem.

- A potem trzeba się do niej zastosować! - spojrzała na mnie wzrokiem pełnym kpiącego niesmaku. - Po połknięciu środka zmieniającego metabolizm trzeba bardzo ściśle przestrzegać czasu, przez jaki trzymasz na włosach żel koloryzujący. Jeśli nie zmyjesz go na czas, masz problemy.

Skubnąłem włosy na piersi.

- No tak, ale chciałem zafarbować włosy na całym ciele. Rozprowadzenie tej farby zajmuje trochę czasu. - Dlatego należy to robić etapami, a nie wszystko naraz. - Zaśmiała się, a ja się zaczerwieniłem. - Przeszedłeś od szmaragdowego do bladej zieleni. Ale przynajmniej kolor brody pasował do twoich oczu.

- Ale miałbym stałe problemy z dobraniem dodatków - spojrzałem na nią przemądrzale, a potem się uśmiechnąłem. - Przynajmniej nie muszę przez to przechodzić co najmniej przez rok.

- To prawda, zazwyczaj tyle czasu potrzeba, żeby środek metabolizujący całkowicie wypłukał się z cebulek włosowych, ale uważaj. Egzotyczne potrawy mogą wpłynąć

na procesy chemiczne w twoim ciele. - Przeciągnęła się. - To mi o czymś przypomina: gdzie zamierzasz mnie zabrać na ten lunch, który mi obiecałeś?

Wzruszyłem ramionami.

- Sama coś wybierz. Muszę przyznać, że nie myślałem za wiele o jedzeniu w ostatnim czasie.

Iella zmarszczyła czoło.

- Wiesz, nadal jestem na ciebie trochę zła. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi, tymczasem twoja żona znika, a ty mi nic nie mówisz.

Zamknąłem oczy i pokiwałem głową.

- Wiem, że powinienem był to zrobić.

- Oczywiście, że tak! - głos jej zmiękł. Poczułem, że gładzi moje nagie ramię. - Byłeś przy mnie, kiedy straciłam Dirica. Myślę, że nie poradziłabym sobie z tym bez twojej pomocy. Jestem ci coś winna, a nawet gdybym nie była, i tak chciałabym ci pomóc w takiej sytuacji.

Otworzyłem oczy i uśmiechnąłem się dzielnie, ale ręcznikiem starłem łzę.

- Chciałem ci o tym powiedzieć, ale przecież pracujesz dla Wywiadu. Woląłem nie stawiać cię w sytuacji, gdy musiałabyś wybierać między poczuciem obowiązku a lojalnością wobec przyjaciół. Nie, nie, nic nie mów. Znam cię i szanuję za twój profesjonalizm. Wiem, że zrobiłabyś to, co uważałabyś za słuszne i najlepsze dla wszystkich zainteresowanych. Ale wiem też, że to nie to, czego bym chciał. Nie chciałem, żebyś myślała, że mnie zawiodłaś, bo nie mogłaś mi nic powiedzieć.

Iella skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie tym pobłażliwym uśmiechem, który pamiętałem z czasów, gdy byliśmy partnerami w KorSeku.

- Na odprawach dla eskadry poznałeś prawdopodobnie wszystkie fakty, jakie znam ja sama na temat Gnębów.

Uniosłem ufarbowaną na blond brew.

- Ale są jakieś plotki?

- Mgliste i nieuzasadnione. - Wydeła wargi. - W czasie wcześniejszych ataków, kiedy Leonia Tavira raczyła zstąpić na powierzchnię i zaszczyścić swoją obecnością ruiny, które pozostawili jej ludzie, ofiary donosiły o obecności jakiejś postaci w zbroi. Tylko jednej, ale wszyscy zgadzali się, że osoba ta miała w sobie coś z Vadera. Opisywano tego kogoś zarówno jako mężczyznę, jak i kobietę. Po raporcie Riizola możemy stwierdzić, że chodzi co najmniej o cztery takie osoby.

Podrapałem się po karku.

- Kiedy mówisz, że miały w sobie coś z Vadera, chodzi ci tylko o maski, płaszcze i ciężki oddech, czy też sztuczki w rodzaju wirtualnej garoty lub inne przejawy posługiwania się Mocą?

- Nic poza ogólnym wrażeniem, chociaż Riizolo upiera się, że nie są to zwyczajne zjawiska. Nie wiem jednak, czy wierzyć jego rewelacjom. Myślę, że wiele z tego, co mówi, to rzeczy, które jego zdaniem chcielibyśmy usłyszeć. Ma nadzieję, że w nagrodę zostawimy go w spokoju i znajdziemy bezpieczną kryjówkę. -Iella wzruszyła ramionami. - Z tego, co wiemy o Tawirze, to całkiem w jej stylu: kultywowanie wizerunku Va-

dera, by jej poplecznicy widzieli ją tak, jak Vader widział Imperatora. Wszystkie raporty podkreślają, że jest sprytna, ale też zła do szpiku kości.

Przytaknąłem.

- To ciekawa informacja. Dziękuję. No więc gdzie będziemy jedli? Klepnęła mnie po brzuchu.

- Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie cię podtuczą. Wychudłeś.

- Trenowałem. Minęły już prawie dwa tygodnie, od kiedy zdecydowałem się wstąpić do akademii rycerzy Jedi i wziąć urlop z eskadry. - Rzuciłem ręcznik na krzesło, nie martwiąc się specjalnie o to, że robot sprząający doniesie o tym Gwizdkowi, który na pewno będzie zrzedził. - Pamiętasz chyba szkolenie w Akademii Straży Ochrony Korelii? A przecież przeszedłem je jako bardzo młody chłopak. Pobudka o świcie, długie biegi, zajęcia, znowu biegi, ćwiczenia, warta. To wszystko, a nawet więcej, czeka mnie również w akademii Jedi. Iella uśmiechnęła się.

- Będziesz najlepszym z najlepszych. Myślisz, że temu sprostasz?

- Mam nadzieję. Jestem w wieku mistrza Skywalkera i pewnie w nie gorszej kondycji fizycznej niż on, ale założę się, że ściągnie do akademii paru młodzików. Muszę się naprawdę przyłożyć. Ale nie mogę się poddać. Mirax na mnie liczy.

- Świetnie sobie poradzisz, Corran. A może powinienam mówić „Keiran“?

- Może być Corran.

- No dobrze. Co powiesz na kuchnię ithoriańską? Skrzywiłem się.

- Jedzenie jest dobre, ale myślę, że wolałbym coś z większą zawartością białka zwierzęcego.

- Niedawno otworzyli nową twi'lekią restaurację parę poziomów niżej, niedaleko stąd.

- Masz na myśli „Kavsrach“ Car'ulorna? Przytaknęła.

- To chyba to. Słyszałam, że robią jakiś specjal z mynocka.

- Gdybym miał zjeść mynocka, musiałyby to być rzeczywiście coś specjalnego. - Uśmiechnąłem się krzywo. - Nawara mówił, że dają tam niezłe jedzenie, więc możemy iść. Daj mi chwilę, żebym coś wrzucił na grzbiet, i już nas nie ma.

Podczas gdy ja się ubierałem, Iella sprawdziła w informatorze adres i odkryła, że restauracja jest znacznie bliżej, niż którekolwiek z nas się spodziewało. Postanowiliśmy zatem pójść tam na piechotę. Szybko wpadliśmy w swobodny krok, jakim chodziliśmy w czasie wspólnych patroli na Korelii. Miałem wrażenie, że lata, które upłynęły od tamtych czasów, skurczyły się do jednej chwili, kiedy tak szliśmy, opowiadając sobie zabawne historyjki.

Szturchnąłem ją delikatnie pod zebro.

- Myślałaś kiedyś, że trafimy w końcu na Coruscant, kiedy patrolowaliśmy ulice na Korelii?

Zmrużyła oczy i wzruszyła ramionami.

- Może na wakacje, chociaż jest przynajmniej setka światów, które wolałabym zwiedzić wcześniej. Diric zawsze chciał tu przyjechać, żeby zobaczyć serce galaktyki. Myślałam wtedy, że Coruscant jest zbyt zurbanizowane.

- A teraz?
 - Jak już tu trafisz, przekonujesz się, że nie jest to jedno wielkie miasto, jeden wielki szary blok, że ma dzielnice mieszkaniowe i małe miasta satelickie. - Uśmiechnęła się przebiegle. - Mimo wszystko wołałabym się wybrać na przykład na taką Alakathę.

Zatrzymałem się tak gwałtownie - dwoje rodiańskich dzieci przebiegało akurat obok mnie - że musiałem się ciężko oprzeć na Ielli.

- Mogłabyś poprosić generała Crackena, żeby cię tam wysłał, na przykład żeby sprawdzić, dlaczego Riizolo wziął ją na cel.

- Myślałam o tym, ale musiałabym wlec ze sobą tę piracką łazęgę, więc chyba szkoda zachodu.

Uśmiechnąłem się.

- Pogadaj z Wedge'em. Przydałyby mu się wakacje.

- Niezły pomysł. - Iella wysunęła się przede mną, bo na chodniku zrobiło się tłoczno. Minęła Whiphidów i wskazała na szyld -małą kulę wściekle czerwonego światła kilka poziomów niżej.

- To tam.

Pospiesznie zesłaliśmy w dół. W restauracji było już sporo osób. Większość stanowili Twi'lekianie. Wzięliśmy to za dobry znak, choć robili dość niepokojące wrażenie, kiedy prowadzeni przez kelnera przechodziliśmy krętą ścieżką do małego stolika w tyle lokalu, w pobliżu kuchni. Ponieważ Twi'lekianie używają swoich warkoczy mózgowych - tak zwanych *lekku* — w podobny sposób, jak ludzie rąk dla podkreślenia tego, co mówią, cała sala wydawała się pełzać i wić wokół nas.

Spojrzałem na Iellę przez holograficzną projekcję menu.

- Przypomnij mi, żebym nie brał nic z makaronem. Roześmiała się i wskazała w karcie na trzecią pozycję od góry.

- „Mynock a la Coronet City. Pikantna kombinacja marynowanych pasków mynocka z orzechami *vweilu* i ithoriańskim *chale*, w sosie lumowym”.

- Brzmi niezłe, ale pieczony gornt bardziej do mnie przemawia - uśmiechnąłem się do niej. - To mi przypomina dowcip, który opowiadał Wedge.

- Chyba nie o Bothaninie, który wchodzi do knajpy z gorntem pod pachą?

- Słyszałaś to? Rozmawiałaś z Wedge'em?

- Jest chyba z milion kawałów o Bothaninie i gornicie, Corran, a ja słyszałam chyba wszystkie. Są bardzo popularne na Intelu. - Iella wbiła wzrok w stół. - nie, nie rozmawiałam z Wedge'em.

Podeszła do nas kelnerka i przyjęła zamówienie. Pochwaliła nasz wybór, ale szybki dreszcz, jaki przebiegł wzdłuż jednego z jej *lekku*, powiedział mi, że prędzej wypłabym ślinę rancora, niż zjadła pieczonego gomta. Nie pozwoliłem, by mnie to zbiło z tropu.

- I poproszę o dodatkowy sos. Kiedy kelnerka zniknęła, spojrzałem uważnie na Iellę.

- Co jest z wami? Chyba się lubicie, nie? Wygląda na to, że pasujecie do siebie.

Iella zmarszczyła czoło i potarła kciukiem o palec wskazujący. Po tym geście zorientowałem się, że nie bardzo wie, co odpowiedzieć.

- Sama nie wiem. Bez wątpienia jesteśmy przyjaciółmi. Wedge okazał wiele zrozumienia, kiedy wrócił Diric i bardzo mi pomógł po jego śmierci. Wiesz sam, jaką mamy pracę. Nie mieliśmy za wiele czasu dla siebie. A teraz doszły mu nowe obowiązki, które zabierają jeszcze więcej czasu.

- No tak, ale przecież mogłabyś go przekonać, żeby znalazł czas dla ciebie.

- Lubię myśleć, że tak, ale naprawdę to nie wiem. - Odchyliła się na oparcie krzesła i wrzuciła ramionami. - Pamiętasz, jak szefem KorSeku została inspektor Sassich? Nie miała jeszcze czterdziestki. To było wielkie osiągnięcie.

Zacząłem sobie przypominać.

- Rozstała się z mężem, kupiła ten fikuśny czerwony śmigacz powietrzny ZRX-29 i zaczęła brać lekcje pilotażu u bliźniaków o połowę młodszych od siebie. Przypominam sobie.

- Chciałbyś być na miejscu tych bliźniaków!

- Wtedy marzyłem tylko, żeby mi pożyczyła ten śmigacz -roześmiałem się. - Pamiętam, że moja matka nie szczędziła uszczypliwych uwag na jej temat.

Iella zmarszczyła czoło.

- Co? Twoja matka była w stanie kogokolwiek skrytykować?

- Tego nie powiedziałam. Z tego co pamiętam, powiedziała, że Incom ZX-26 byłby praktyczniejszym pojazdem. - Wrzuciłem ramionami. - Ot, i cała krytyka. Zawsze uważała, że plotkowanie jest w złym guście. Ale co to ma wspólnego z Wedge'em?

- Myślę, że jest na podobnym, przejściowym etapie życia. Przez ponad dziesięć lat ponosił odpowiedzialność za decyzje, które wielu ludzi kosztowały życie. Nie twierdzą, że ktoś inny podejmowałby lepsze, wręcz przeciwnie, ale to się za nim ciągnie od czasów, zanim jeszcze wstąpiłeś do KorSeku. Wedge jest od ciebie starszy o jakieś dwa lata, prawda? A to oznacza, że od czasów, kiedy ty byłeś jeszcze niemal dzieckiem, on żył pod ogromną presją. A biorąc pod uwagę śmierć jego rodziców i to, jak próbował zarabiać na życie dostarczaniem...

- No i czas, jaki spędził u Boostera Terrika...

- ... no właśnie, to wszystko oznacza, że nigdy nie miał szansy uwolnić się od odpowiedzialności za innych i po prostu być sobą. Myślę, że to właśnie robi teraz, i nie jestem pewna, czy chciałby widzieć wokół siebie osoby, które przypominałyby mu o jego dotychczasowym życiu.

Jej analiza wydała mi się bardzo trafna, ale nie zdziwiło mnie to, bo zawsze umiała się poznać na charakterach.

- Więc zamierzasz się po prostu wycofać?

Przytaknęła, uśmiechając się, gdy Twi'lekianka postawiła przed nami nasze dania.

- Pachną cudownie. Dziękujemy.

Spojrzałem na miskę pełną sosu. Na jego powierzchni pływały oka lumu, a kilka bąbelków zmieniło barwę z brązowej na zgniozloną i pękło.

- Jestem pewien, że w akademii nie dostanę nic smacznego. Kelnerka spojrzała na mnie z niemym „A nie mówiłam?” - w oczach, zafalowała jednym ze swoich *lekku* i odeszła.

Iella nadziała na widelec solidną porcję mynocka i podniosła do ust. Smakując danie zamknęła oczy i westchnęła.

- Pyszne!

Zapach jej potrawy rozchodzący się w powietrzu spowodował, że pociekła mi ślinka, a kiszki zagrały marsza. Żeby skończyć z tym niestosownym zachowaniem, zacząłem polować na pływające w gęstym sosie kawałki gornta (przynajmniej miałem nadzieję, że był to gornt!), ale mięso ześlizgiwało mi się z widelca.

- Cieszę się, że tobie idzie łatwiej, Iella. - Burczenie w brzuchu podkreśliło tylko sarkazm mojej uwagi.

Pochyliła się i szepnęła do mnie konspiracyjnie:

- Sam jesteś sobie winien. Twi'lekianie uważa ją gornta za danie dla nierozgarniętych turystów. Równie dobrze mogłeś zamówić mleko nerfa.

- Doskonały pomysł!

Roześmiała się, a ja uświadomiłem sobie, że będzie mi brakować tego dźwięku w akademii.

- Gdybym nie czuł, że powinienem wstąpić do akademii Jedi i gdyby nie to, że tego życzył sobie mój ojciec, chyba bym się na to nie zdecydował.

- Oczywiście, że byś się zdecydował, Corran - potrząsnęła głową. - Gdybyś tylko usłyszał, że taka akademii powstaje, wstąpiłbyś do niej... nawet gdyby Mirax nie zagięła. - Co masz na myśli? - W końcu udało mi się zrećznie przyspilić widelcem kawałek gornta i włożyć go do ust. - Jak możesz mówić coś takiego?

- Byliśmy kiedyś partnerami, pamiętasz? Uwielbiasz rywalizację, co bywa nawet chwilami miłe i rozczulające, o ile się pamięta, żeby nie wchodzić ci w drogę. Chcesz wiedzieć, dlaczego byłeś pierwszą osobą, której udało się uciec z lusankyańskiego więzienia Ysanny Isard? Bo nie mogłeś pozwolić, żeby cię pobiła.

- Ale co to ma wspólnego z akademią?

- Zawsze chciałeś być najlepszy, a zostanie rycerzem Jedi będzie dla ciebie właśnie tym. Popatrz na siebie! Ty już zaczynasz to szkolenie, zanim jeszcze znalazłeś się w akademii. Wymyśliłeś sobie, że mistrz Skywalker sprowadzi tam uczniów młodszych od ciebie i już się zastanawiasz, jak to zrobić, żeby być lepszym od nich.

Żując mojego gornta, zastanowiłem się. Po namyśle wziąłem do ust następny kawałek. Przełknięcie komentarza Ielli wydawało mi się równie trudne - i równie bolesne - jak przełknięcie gornta. Mimo to wiedziałem, że ma rację. Przełknąłem mięso, zakasłałem i przytaknąłem.

Wyciągnęła rękę i postukała mnie palcem w czoło.

- Jedyne, co jeszcze do ciebie nie dotarło, to że tak naprawdę rywalizujesz sam ze sobą. Luke Skywalker będzie na pewno wymagającym nauczycielem. Nie mam co do tego wątpliwości. Wedge też nie był łatwy, ale to wszystko nic w porównaniu z wymaganiami, jakie sam sobie stawiasz. Znam cię dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że nie

ustąpisz, więc mam tylko nadzieję, że kiedy znajdziesz się pod presją, będziesz wiedział, że jej źródłem jest głównie twoja własna mózgowica.

Uderzyłem się pięścią w pierś, pomagając gorntowi przesunąć się w dół przełyku.

- No wiesz, mogłaś mi o tym powiedzieć dawno temu.

- I mówiłam. Wiele razy. Ale wtedy nie za bardzo mnie słuchałeś.

Wbiłem wzrok w stół.

- Kiedy umarł mój ojciec...

- Właśnie. - Jej głos zmieknął. - Możesz się wiele nauczyć od Luke'a Skywalkera.

Może tak właśnie wygląda bycie Jedim, ale wydaje mi się, że chodzi o to, by kierować się sercem, iść za głosem uczuć. Ty pracujesz głównie głową. Ani na chwilę nie wyłączasz intelektu, Corran. Było to bardzo przydatne, kiedy pracowałeś w KorSeku, ale myślę, że to szkolenie pozwoli ci się bardziej otworzyć.

Powoli przytaknąłem.

- Chyba masz rację. Zobaczmy, ile czasu zajmie mi pozbycie się starych przyzwyczajeń.

Iella przewróciła oczami.

- To znaczy, że zostaniesz Jedi... pomyślmy chwilę... mniej więcej wtedy, gdy słońce zamieni się w supernową?

- Rozumiem, co masz na myśli.

- To dobrze - uśmiechnęła się do mnie krzywo. - Chcesz spróbować mojego mynocka?

Podniosłem głowę i pokręciłem nią przecząco.

- Nie. Obliczyłem kurs, a teraz nie pozostaje mi nic innego, jak podążyć według niego. Ten gornt nie jest taki zły, kiedy już poradzisz sobie z przeżuciem i przełknięciem.

- Jasne, zapytam znowu za pół godziny.

Ta perspektywa czasowa sprawiła, że poczułem ssanie w żołądku. Westchnąłem.

- Słuchaj, Iella, jestem ci bardzo wdzięczny za to, co powiedziałaś. A samo siedzenie tutaj z tobą i świadomość, że zrobiłabyś, co tylko w twojej mocy, żeby pomóc mi odnaleźć Mirax, wystarczy, żebym się poczuł lepiej. Chcę, żebyś to wiedziała.

Studiowała przez chwilę moją twarz.

- Wierzę ci.

- Chcę też, żebyś wiedziała, że twoja pomoc była nieoceniona. Ta farba i plotki o Gnębach... - Wbiłem widelec w najmniejszy kawałek gornta. - Mam jeszcze jedno pytanie, na które znasz odpowiedź chyba lepiej niż ktokolwiek inny.

- O co chodzi?

- Rozmawiałem już o mojej decyzji z każdym z wyjątkiem dziadka. Jak myślisz, jakie są szanse, żeby udało mi się wpaść na Korelię, pogadać z nim i wydostać się z powrotem?

Zastanowiła się chwilę, odłożywszy na bok widelec.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek z reżimu Diktata zwracał sobie głowę obserwowaniem Rostka, więc samo zobaczenie się z nim nie powinno stanowić problemu. Jednak nakaz aresztowania za morderstwo w dalszym ciągu wisi nad twoją głową. Jeśli zоста-

niesz zatrzymany i rozpoznany, spadek po Kirtanie Looze nadal może sprawiać ci problemy. Co do przedostania się tam i z powrotem, obecny reżim nie jest ani trochę lepszy niż poprzednie rządy w powstrzymywaniu przemytników. Przy twojej wiedzy na temat systemu pewnie byłbyś w stanie się tam dostać. Prawdziwym problemem są jednak aktualne stosunki pomiędzy rządem Korelii a Nową Republiką, delikatnie mówiąc dalekie od ideału. Gdybym była na twoim miejscu, nie chciałabym wpaść w ich łapy.

- Rozumiem. Mam wrażenie, że ostatni hologram, jaki wysłałem do dziadka, został pocięty na kawałeczki, zanim dotarł do niego. Nawet czytając między wierszami te skrawki jego odpowiedzi, jakie zdołały do mnie dotrzeć, widziałem, że wiele z tego, co przesłałem w mojej wiadomości, w ogóle do niego nie dotarło.

Kolejny kawałek gornta, który spróbowałem przełknąć, nie pozwolił mi dalej mówić, więc tylko wzruszyłem ramionami.

- Jeśli chcesz, Corran, spróbuję załatwić ci bezpieczną linię, przez którą mógłbyś się połączyć z Rostkiem. Chyba nic się nie stanie, jeżeli odrobinę nadużyję pewnych zawodowych możliwości. Dzięki temu nie będziesz musiał tam lecieć i ryzykować, że cię złapią, zanim zdążysz zacząć swoje szkolenie.

Skinałem głową, waząc się na następną próbę przełknięcia gornta.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Po prostu chcę ci oszczędzić wpadnięcia w tarapaty. W końcu od tego są przyjaciele.

- Dzięki.

Uśmiechnąłem się do kelnerki, która podeszła spytać, czy wszystko nam smakuje.

- Ależ tak, bardzo! Oba jej *lekku* drgnęły.

- Czy chcieliby państwo zakończyć posiłek deserem? Uśmiechnąłem się i puściłem oko do Ielli.

- Oczywiście! Moja przyjaciółka coś wybierze. W końcu od tego są przyjaciele.

ROZDZIAŁ

8

Z Oorylem w fotelu drugiego pilota promu klasy Lambda włączyłem czujniki sekwencji lądowania i zacząłem wprowadzać statek pod ostrym kątem w atmosferę porośniętego dżunglą księżycy Yavin 4. Podchodziliśmy od nocnej strony księżycy - odwróconej od centralnej gwiazdy systemu, skierowanej w stronę gazowego giganta, wokół którego krążył. Dzięki temu powierzchnia księżycy była dostatecznie oświetlona odbitym, pomarańczowym światłem, by umożliwić nam lądowanie.

Spojrzałem na Gandyjczyka i uśmiechnąłem się.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi sprowadzić to cacko na powierzchnię.

Ooryl rozchylił wargi.

- Rozumiem, że nie będziesz miał okazji tu latać.

- Owszem. Gwizdek nie był zadowolony, że zostaje na Coruscant, ale mistrz Skywalker nie chce, żeby nas tu cokolwiek rozpraszało. To całkiem rozsądne, zresztą będę tu zbyt zajęty, żeby latać. A Gwizdek nie powinien się nudzić. Zleciłem mu, żeby przejrzał wszystkie raporty o Gnębach i zrobił mi analizę ich kryminalnej działalności.

- Ooryl zatroszczy się o Gwizdka.

- Dzięki.

Statek zatańczył mi pod sterami, gdy przecięliśmy strefę turbulencji. Atmosfera porośniętego dżunglą księżycy była dość wilgotna i - o ile dane, które przejrzałem, były dokładne - raczej stabilna, z wyjątkiem strefy przejścia pomiędzy dniem a nocą i vice versa, kiedy to powietrze nagrzewało się lub chłodziło. Podczas przelotu przez cienką warstwę chmur odzyskałem kontrolę nad statkiem.

W kabinie pojawił się Luke Skywalker i stanął między nami, wskazując przed siebie.

- To tam. Ląduj po tej stronie.

- Rozkaz! - Odwróciłem się i spojrzałem na niego. - Chcesz zapiąć pasy?

- Z tobą za sterami? To zupełnie niepotrzebne. - Poklepał mnie po ramieniu. - Ale przypnę się, jeśli poczujesz się przez to lepiej.

- Nie ma powodu, żeby wprowadzać do równania więcej zmiennych niż to konieczne. - Zamknąłem przepustnicę i przerzuciłem zasilanie na zwoje repulsorów.

- Przygotować się do złożenia skrzydeł i opuszczenia kotwic lądowniczych na moją komendę.

Ooryl pochylił się z palcami gotowymi do włączenia odpowiednich przełączników.

- Rozkaz!

Nie spuszczać oka ze wskazań wysokościomierza podniosłem nieco nos wahadłowca, co zapewniło mu lepszy tor zejścia. Gęsta roślinność dżungli rozciągała się pod nami jak cętkowany dywan, ze strzelającymi gdzieś w górę pniami olbrzymich drzew. W oddali Wielka Świątynia - ścięta na czubku kamienna piramida - wynurzała się spomiędzy gęstwiny drzew jak nie pasująca do otoczenia sylwetka przedstawiciela obcej rasy. Nieraz widywałem wizerunki tej budowli - najpierw w imperialnych holo-wiadomościach, a później w każdej opowieści o zwycięskiej Rebelii, jaka kiedykolwiek powstała. Zawsze wyglądała imponująco na hologramach, ale nigdy tak prawdziwie i tak majestatycznie.

- Teraz! - W tej samej chwili, gdy Ooryl pstryknął przełącznik pozycji skrzydeł na „w górę”, zmniejszyłem ciąg do dziesięciu procent i przełączyłem silnik na napęd repulsorowy. Prom spłynął lekko, mijając o centymetry czubki drzew, na polankę po wschodniej stronie świątyni. U jej podstawy zobaczyłem długi, niski otwór, dostatecznie wysoki, bym mógł wprowadzić prom do środka. Nie było to jednak konieczne, bo przed wejściem znajdowało się normalne lądowisko.

Na jego obrzeżach zgromadziło się ponad dwudziestu inżynierów Nowej Republiki, którzy przybyli tu wcześniej, by przygotować Wielką Świątynię do jej nowej roli jako akademii Jedi. Ooryl miał ich zabrać do domu, pozostawiając na planecie mistrza Skywalkera, mnie i jeszcze dwóch rekrutów. Pozostała dziewiątka przyszłych studentów miała przybyć wkrótce, dając okrągły tuzin studentów.

Posadziłem wahadłowiec bez jednego wstrząsu i mrugnąłem porozumiewawczo do Ooryla.

- Nie straciłem jeszcze wyczucia, co? Będzie mi brakować latania.

- Jestem Poszukiwaczem. Pomogę ci odszukać zapomniane umiejętności po powrocie, Keiran. - Ooryl obrócił się w fotelu i skinął głową w stronę Luka. - Pod warunkiem, że mistrz Skywalker nie będzie miał obiekcji, że Ooryl to robi.

Mistrz Jedi uśmiechnął się szeroko do Ooryla.

- Nie mam nic przeciwko temu, byś szlifował jego stare umiejętności, tak jak ja będę mu pomagał rozwinąć nowe.

- To zaszczyt dla Ooryla.

- Świetnie, bo nie chciałbym stracić licencji pilota. Włączyłem przełącznik opuszczający trap. Do wnętrza promu w jednej chwili wdarło się ciepłe, wilgotne powietrze. Rozpiąłem pasy i wstałem.

- Dzięki, Ooryl. Zobaczymy się, kiedy wpadniesz tu następnym razem.

- Ooryl będzie dumny, mogąc zaliczyć rycerza Jedi do swoich przyjaciół.

- I towarzyszy broni?

- I towarzyszy broni...

Gandyjczyk przesiadł się na fotel pilota, podczas gdy ja poszedłem za Lukiem do kabiny pasażerskiej. Luke Skywalker był nieco wyższy ode mnie, ale podobnie zbudowany. Pozostali dwaj pasażerowie przewyższali nas obu wzrostem. Brakiss był -wyższy ode mnie o dobre piętnaście centymetrów, a Kam Solusar o kolejnych dziesięć. Brakiss miał szczupłą budowę i ostre rysy arystokraty. Gdyby nie udęcone spojrzenie niebieskich oczu, nieco zapadniętych, mógłbym go wziąć za jakiegoś planetarnego możnowładcę, który dla rozrywki podejmuje szkolenie w akademii Jedi.

Kam Solusar był całkowitym przeciwieństwem Brakissa. Jedyne, co ich łączyło, to jasne włosy, u Karna przycięte krótko i dość nierówno. Grubo ciosane rysy podkreślała szorstka szczecina na policzkach i podbródku. Potężny wzrost i atletyczna sylwetka czyniły go fizycznie najsilniejszym z nas, a blizny po szwach na policzkach i stwardniała skóra rąk świadczyły zarówno o wieku, jak i trudach życia, przez jakie przeszedł.

Miecz świetlny u jego boku kazał domyślać się po nim więcej, niż było widać na pierwszy rzut oka. Ja sam wziąłem ze sobą miecz świetlny mojego dziadka, ale spakowałem go do małego plecaka, który nadal znajdował się w ładowni. Nie ciągnęło mnie, by go przypasać, choć mistrz Skywalker utrzymywał, że mam wszelkie prawo go nosić. Jednak przy moim poziomie umiejętności we władaniu tą bronią miecz byłby zaledwie zwykłym narzędziem, a czułem, że zasługuje na coś więcej.

Złapaliśmy nasze torby, wyładowane przez inżynierów i umieszczone na samym czubku stosu prowiantu, a Luke wyprowadził nas z sali, gdzie czekali na nasze przybycie. Pomachałem ręką Oorylowi, gdy podnosił trap wahadłowca i przygotowywał maszynę do startu. Wahadłowiec zatoczył koło wokół Wielkiej Świątyni, po czym odleciał ku dziennej stronie księżyca, znikając nam z oczu, jakby połknięty przez dżunglę.

Luke rozłożył ręce, pozwalając, by płaszcz zsunął mu się z ramion.

- Witajcie na Yavin 4. To będzie teraz wasz dom. Chciałem, żeby wasza trójka przybyła tu przed pozostałymi uczniami, bo orientujecie się lepiej, czym będziemy się tu zajmować. Podstawy, które już zdobyliście, pozwolą wam uczyć się szybciej, będę zatem czasem prosił was o wykonanie pewnych dodatkowych zadań, takich jak opieka i pomoc innym studentom.

Skinął głową w kierunku Karna.

- Ojciec Karna, Ranik Solusar, był Wielkim Mistrzem Jedi. Kam zgłębiał tajniki Mocy pod jego kierunkiem i został rycerzem Jedi, ale później skaptowało go Imperium. Został jednym z wojowników Ciemnej Strony Imperatora, jednak wyparł się ciemności.

Mięśnie w kącikach ust Karna napięły się.

- Mistrz Skywalker zdołał dotrzeć do podstaw, jakie dało mi szkolenie mojego ojca. Teraz służę jemu.

Luke wskazał na drugiego mężczyznę.

- U Brakissa wrażliwość na Moc odkryło Imperium. Wyszkolili go, żeby używał swoich umiejętności głównie jako szpieg. Użyli groźby zgładzenia jego rodziny, by zmusić go do wykonywania rozkazów. Brakiss przybył tu, żeby nauczyć się wykorzystywać swoje umiejętności dla dobra innych żywych istot.

Brakiss uśmiechnął się słabo, ale nic nie powiedział. Luke przeniósł uwagę na mnie.

- Dziadek Keirana Halcyona był rycerzem Jedi, który zginął w czasie Wojen Klonów. Tradycja Jedi w rodzinie Keirana jest bardzo silna, a on sam przybył tu, by ją odzyskać. Jak widzieliście, jest też zdolnym pilotem, przeszedł także inne rodzaje szkolenia, które może się okazać użyteczne dla nas wszystkich.

Kam wyciągnął do mnie dłoń, więc uściśnięciem ją, natomiast z Brakissem tylko wymieniliśmy ukłony.

Mistrz Skywalker zaczął iść w kierunku Wielkiej Świątyni.

- Ta budowla ma pięć poziomów, a właściwie sześć, jeśli się weźmie pod uwagę poziom obserwacyjny na samym czubku. Najniższy poziom, poniżej gruntu, służył jako hangar i warsztaty dla myśliców. Na głównym poziomie mieściło się centrum kontroli lotów, jak również część kwater mieszkalnych. Kolejne dwa poziomy były wykorzystywane przez Rebeliantów jako dowództwo bazy i centrum operacji bojowych. Właśnie z tych poziomów będziemy korzystać, choć mają zaledwie podstawowe wyposażenie komputerowe, szkoleniowe i biblioteczne. Ich wartość dla nas wypływa głównie z faktu, że będziemy mogli zakwaterować tu studentów i używać dużej sali jako jadalni. Na najwyższym poziomie mieści się Wielka Sala, którą pozostawiłem niewykorzystaną.

Uśmiechnął się z troską.

- Pomyślałem, że dziś rozejrzycie się i wybieriecie sobie kwatery, a potem możecie odpocząć. Resztą zajmujemy się jutro.

Podniosłem rękę.

- Mam parę pytań, jeśli wolno.

- Oczywiście.

- Czy będziemy używać tu standardowej doby galaktycznej, czy przystosujemy się do czasu astronomicznego Yavin? Księżyc wiruje nieco szybciej niż Coruscant, więc trzymając się czasu galaktycznego szybko stracimy synchronizację z czasem planetarnym.

Mistrz Jedi zawahał się przez chwilę, a błękit jego oczu odbił pomarańczowe refleksy zachodzącej planety.

- Przy waszym treningu czas nabierze wymiaru subiektywnego. Nauczę was stosowanych przez Jedi technik odpoczynku, które zmienią wasze zapotrzebowanie na sen. Zaprzęgnięcie sobie głowy czasem może postawić studentów pod niepotrzebną presją. Nie chciałbym tego. Zmarszczyłem czoło.

- Ale jeśli nie będziemy mieć skoordynowanego poczucia czasu, skąd mamy wiedzieć, kiedy zacząć i skończyć wachnię?

Luke popatrzył na mnie pytająco.

- A po co mielibyśmy stać na warcie?

Chciałem powiedzieć, że gdyby na przykład ktoś taki jak Thrawn pojawiłby się tu z imperialną flotą, żeby nas zrównać z ziemią, dobrze byłoby wiedzieć o tym zawczasu. Oczywiście wszelkie ostrzeżenia nie na wiele by się zdały, skoro nie mieliśmy tu żadnych statków, które pozwoliłyby nam się ewakuować. Tak więc z praktycznego punktu widzenia nie było najmniejszego powodu, by kazać ludziom stać na warcie, odwołałem się zatem do powodów, które podawano nam w akademii KorSeku.

- Trzymanie warty daje nam poczucie odpowiedzialności za innych i kształtuje zaufanie pomiędzy studentami, bo w ten sposób opiekujemy się sobą nawzajem.

Luke skinął głową.

- To prawda, ale tutaj macie się nauczyć ufać Mocy. W miarę jak wasza wiedza i umiejętności posługiwania się Mocą będą rosły, zorientujecie się, że Moc zapewni wam wszelkie ostrzeżenia, jakie okażą się potrzebne, i dość czasu, by na nie zareagować.

Całkiem tak jak Gnęby, pomyślałem, kiedy wywijają się z pułapek, które na nich zastawiamy. Poczulem wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz. Czy to możliwe, by ktoś dostatecznie obeznany z Mocą potrafił ukryć swoją obecność i uniknąć wykrycia?

- Rozumiem mój błąd, mistrzu - skłoniłem głowę w jego kierunku. - Więc będziemy po prostu wstawać o świcie i zaczynać ćwiczenia fizyczne?

Rozłożył ręce.

- Możecie robić wszystko, co uznacie za konieczne, by czuć się swobodnie i uwrażliwić na Moc.

- Więc nie będzie zorganizowanej gimnastyki? Kam roześmiał się szorstko.

- Wyglądasz na rozczarowanego, Keiran.

- Nie, raczej zmieszanego. Luke uśmiechnął się.

- Wasze szkolenie będzie wymagać wysiłku, jak sądzę, i nieraz poczujecie się całkownie wyczerpani.

Wskazałem na miecz świetlny Karna.

- Ale przejdziemy chyba jakieś szkolenie z zakresu walki wręcz?

- Tak, nauczycie się posługiwać mieczem świetlnym.

- Nie o to pytałem. Luke uniósł głowę.

- W takim razie wyjaśnij, o co ci chodzi. Złożyłem palce obu dłoni.

- Miecz świetlny, jak wszyscy wiemy, to bardzo potężna, zabójcza broń. Mój ojciec stwierdził kiedyś, że nikt jeszcze nie żałował strzału oddanego z broni nastawionej na ogluszanie, w przeciwieństwie do śmiertelnego strzału z blastera. Podstawowe przeszkolenie z technik walki wręcz pozwoliłoby nam uniknąć konieczności wyciągania miecza świetlnego w sytuacji, gdy wystarczyłoby coś mniej niebezpiecznego. Taki trening dałby nam do ręki większy wachlarz możliwości.

Mistrz Jedi zmrużył oczy.

- Chodzi ci o techniki defensywne?

- Chodzi mi o techniki walki, które można wykorzystać do obrony lub ataku, tak samo jak miecz świetlny. - Wzruszyłem ramionami. - To tylko taki pomysł.

- Takie szkolenie byłoby doskonałą podstawą do wszelkich późniejszych ćwiczeń z mieczem świetlnym - zgodził się ze mną Kam.

- W porządku, w takim razie niech Kam i Keiran przygotowują program takiego szkolenia. Omówimy to później, jak już coś będziecie mieli. - Luke spojrział na mnie. Na ustach czaił mu się cień uśmiechu.

- Coś jeszcze?

- Nie, mistrzu.

- Jeśli coś wam przyjdzie do głowy, dajcie mi znać. - Machnął ręką w kierunku świątyni. - A teraz idźcie się rozlokować.

W milczeniu podeszliśmy do Wielkiej Świątyni. Mieszkając na Coruscant, widywałem potężniejsze budynki, ale niewiele z nich miało w sobie taki starożytny majestat i poczucie nieskończoności, jakie odnalazłem w tej świątyni. Uderzyło mnie, że budowla, która trwała już od tysiącleci, zanim powstało Imperium, dała schronienie ruchowi, który to Imperium obalił. Mogłem sobie łatwo wyobrazić, że zurbanizowany świat - stolica tego Imperium - obrażał poczucie godności tej budowli, która dała z siebie, co mogła, by pomóc zniszczyć barbarzyńskiego intruza.

Dlaczego Imperium nie zrównało z ziemią tego miejsca po jego opuszczeniu przez Rebeliantów - tej zagadki nie byłem w stanie rozwiązać. Generatory światła, zamontowane przez inżynierów, oświetlały wnętrze hangaru. Z wyjątkiem spiętrzonych pod jedną ze ścian skrzynek z prowiantem pomieszczenie było puste, ale nadal czuło się w nim echo podniecenia Rebeliantów, odlatujących, by zniszczyć Gwiazdę Śmierci. Strach, panika i szalona wiara w Sprawę wsiąkły w ściany hangaru. Pierwszy raz od momentu, gdy związałem się z Eskadrą Łotrów, mogłem poczuć to, co czuli Wedge, Biggs i Luke, kiedy stanęli twarzą w twarz z Gwiazdą Śmierci. Ich emocje odzywały się we mnie rezonansem, przywołując wspomnienia z ostatniej misji na Czarny Księżyc i ostatecznego ataku na fortecę Ysanny Isard na Thyferze.

Po raz pierwszy też doświadczyłem uczucia ciągłości pomiędzy nową Eskadrą Łotrów a jej dawnymi bohaterami, którzy odeszli w przeszłość.

Nie jestem pewien, w którym dokładnie momencie odłączyłem się od Karna i Brakissa, stało się to jednak, zanim ci dwaj udali się na wyższe piętra budowli. Znalazłem się sam w małej izbie wbudowanej w ściany świątyni. Ekipa przygotowawcza wyposażała ją w kilka szafek i parę pryczy z pościelą złożoną równo w nogach łóżek. Rzuciłem plecak na jedno z łóżek i uśmiechnąłem się. Nie wiedziałem, dlaczego czułem się tu jak u siebie, ale tak było.

- Tak myślałem, że właśnie tu cię znajdę. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego w drzwiach Luke'a.

- A co? Nie powinienem był tu wchodzić? Luke uniósł dłonie.

- Ten pokój jest stworzony dla ciebie, uwierz mi. Na pewno będzie lepszy niż którakolwiek z kwater na górze. - Machnął i jedna z szafek przesunęła się o pół metra w bok. - Spójrz tam, na trzeci blok od podłogi.

Podszedłem do ściany i przyklęknąłem. Kamienne bloki porastała od dołu pleśń i jakieś porosty, ale starłem je bez trudu. W kamieniu wryty był napis. Odczytałem go na głos i uśmiechnąłem się.

- „Imperium albo my - nie ulegniemy. Biggs Darklighter, Wedge Antilles, Jek Porkins”.

W kąciach ust Luke'a pojawił się chłopięcy uśmiech.

- Mieszkali tu wtedy we trzech. Ja dołączyłem później i miałem pokój nad nimi. Przed odlotem spotkaliśmy się tu wszyscy, opowiadając sobie różne historie. Byliśmy zbyt podekscytowani, by usnąć. Wierzyliśmy, że wszyscy przeżyjemy... mimo wszystko.

Myślę, że traktowali tę inskrypcję jako zabezpieczenie. Gdyby nie przeżyli, gdyby cała Rebelia upadła, pozostałyby po nich przynajmniej imiona.

- Ale dzięki tobie wszyscy teraz je znają, podobnie jak twoje. To, czego tu dokonałeś, zmieniło życie milionów.

Luke opuścił ręce, a płaszcz otulił go jak cień.

- To, co my tu zrobimy, zmieni życie milionów. Wyprostowałem się i odwróciłem w jego kierunku.

- Chciałbym przeprosić za moje wcześniejsze pytania. Jesteś mistrzem Jedi, a ja zaledwie uczniem. Nie miałem zamiaru okazywać braku szacunku.

- Wiem. Twoje pytania miały sens, ale w kontekście twojego dotychczasowego życia, życia bez dotyku Mocy. — Uśmiechnął się szerzej. - Mój mistrz, Yoda, uważał, że jestem zbyt niecierpliwy i nie sposób mnie czeokolwiek nauczyć. Pod tym względem jesteś ode mnie lepszy. Masz jednak tendencję do zbytniego polegania na intelekcie i do podejrzliwości. To może okazać się problemem. Podejrzliwość wznosi ściany, karmi strach. Może to zakłócić twoją zdolność korzystania z Mocy.

- W takim razie, ryzykując, że zaniepokoisz się o mnie jeszcze bardziej, muszę zadać jedno pytanie.

- Proszę bardzo.

- Wspomniałeś, że zarówno Kam, jak i Brakiss mieli doświadczenia z Ciemną Stroną. Chyba nie po to sprowadziłeś tu nas trzech, żebym miał na nich oko?

Luke pokręcił przecząco głową.

- Absolutnie nie. - Jego oczy kryły się w cieniu, ale w źrenicach zdawały się błyskać iskierki światła. - Podczas powrotu Imperatora ja również dałem się skusić Ciemnej Stronie Mocy. Zrobiłem to z wielu powodów, z których część wydawała mi się wtedy słuszna, a z częścią do dziś nie mogę sobie poradzić. To, czego wówczas doświadczyłem, dało mi taką wiedzę o Ciemnej Stronie, która jest niezbędna do jej pokonania. Najważniejsze jednak, że miłość mojej siostry i przyjaciół pozwoliła mi się nawrócić. Odkupiła mnie. Nawet najohydniejsza ofiara Ciemnej Strony może się nawrócić. Odwracając się od zła, Brakiss i Kam wstąpili na ścieżkę światła. Chcę im pomóc zakończyć tę podróż. Porzuć podejrzliwość. Nie myśl, tylko odczuwaj. Twoim zadaniem nie jest czuwanie nad nimi, lecz uczenie się od nich. - Głos Luke'a stwardniał i poczułem, jak jego słowa wibrują we mnie jak grzmot. Przekonasz się, że w pewnym momencie odezwie się do ciebie Ciemna Strona. Jest nęcąca, oferuje ci zdobycie tego, na czym ci najbardziej zależy, bez wysiłku z twojej strony. Naucz się korzystać z doświadczeń innych, aby ich siła stała się twoją siłą w chwili próby. Powoli przytaknąłem.

- Rozumiem.

Twarz mistrza Jedi rozjaśniła się.

- To dobrze. Śpij dobrze, Keiranie Halcyonie. Wyzwania, które postawi przed tobą przyszłość, mogą nie być tak trudne jak zniszczenie Gwiazdy Śmierci, ale nie mniej istotne.

ROZDZIAŁ

9

W ciągu tygodnia reszta kandydatów na rycerzy Jedi dotarła do akademii, wypełniając Wielką Świątynię życiem, kolorem i śmiechem, jakiej budowla ta nie zaznała zapewne od czasów świętowania po zniszczeniu Gwiazdy Śmierci. Tamta radość musiała jednak być zabarwiona nutą smutku z powodu utraty tak wielu pilotów, podczas gdy my patrzyliśmy w przyszłość, i to napępiało nas niezmaconym optymizmem.

Mistrz Skywalker pozwolił, by każdy z nas uczył się tak, jak mu było najwygodniej. Choć mieliśmy ćwiczenia w grupach i wspólne wykłady, zapewnił nam wiele swobody w wyborze zajęć. Trochę mi brakowało poczucia wspólnoty, jaka wytworzyła się pomiędzy kadetami akademii KorSeku; łączył nas jednak los pionierów i poczucie, że nasz sukces ma niezwykłą wagę dla przyszłości. Stwarzało to sporą presję, a trudniejszy, bardziej wyczerpujący program szkolenia mógł łatwo skończyć się niesnaskami i obwinianiem się nawzajem o nie dość zadowalające postępy.

Naturalną koleją rzeczy i tak miało to miejsce... w pewnym stopniu. Ponieważ wziąłem sobie do serca zalecenie Luke'a, by każdy z nas znalazł własny sposób nauki, który da nam poczucie, że jesteśmy w zgodzie ze sobą, wstawiałem o świcie i biegałem po ścieżkach wydeptanych w dżungli. Tak wczesne wstawanie pozwoliło mi oglądać zjawisko, które nazwałem burzami tęczowymi. Gdy księżyc krył się za gazowym gigantem i krążył w jego cieniu, noce były bardzo zimne. Para wodna w górnych warstwach atmosfery zamarała wtedy w kryształki, w których promienie wschodzącego słońca rozszczepiały się jak w milionie małych pryzmatów. Światło iskrzyło się i rozbijało w nich na wielobarwne, tęcze rozbłyski. Za pierwszym razem, kiedy zobaczyłem to zjawisko, pomyślałem, że na orbicie musiała pojawić się flota, która walczy teraz przeciw wrogim okrętom. Szybko się jednak zorientowałem, że nie ma się czego obawiać i czekałem na kolejny taki fenomen.

Podzieliłem się oczywiście tą wiadomością z innymi, więc niektórzy zwlekli się z ciepłych pryczy, by obejrzeć ten olśniewający spektakl. Stali z głowami zadartymi do góry, podczas gdy ja rozciągałem się i rozgrzewałem przed biegiem. Kiedy ruszyłem i odwróciłem się do nich, by im pomachać, zauważyłem, że jedna osoba przygląda się z większą uwagą mnie niż tęczowej burzy.

Gantoris.

Wiedziałem, że konflikty osobowości wśród nas są nieuniknione, ale sądziłem, że łączący nas wspólny cel pozwoli je przewyciężyć. Gantoris - wysoki mężczyzna o szerokiej twarzy, z długimi czarnymi włosami splecionymi w warkocz z tyłu głowy, był kimś w rodzaju wodza społeczności, w której wcześniej żył. Umiejętność korzystania z Mocy, jaką posiadał, wielokrotnie uratowała jego lud od zguby. Miał też wszelkie predyspozycje niezbędne przywódcy. Był świadom swojej wyjątkowości, a zarazem miał mocne ego. Nie przywykł jednak do tego, by znajdować się na drugim miejscu, i sądzę, że uznał moje dodatkowe ćwiczenia fizyczne za próbę przypodobania się mistrzowi Skywalkerowi.

Tak naprawdę biegałem tylko dlatego, że byłem uparty. Jeszcze zanim przyleciałem, uznałem, że muszę doprowadzić się do formy, żeby sprostać wymogom szkolenia. Gdybym zaprzestał moich biegów, musiałbym przyznać, że się myliłem. Gantoris nie był jedyną osobą o silnym ego w naszym towarzystwie, a ja nie zamierzałem osłabiać swojego przyznając, że byłem w błędzie.

Zignorowałem twardy wzrok Gantorisa i spróbowałem po prostu cieszyć się biegiem. Dżungla z jej wilgotnym powietrzem robiła wszystko, co mogła, by mi to umożliwić. Chociaż stada zwierząt przebiegały ścieżkami na tyle często, by pozostawić ślady kopyt, roślinność jakby uparła się, by zająć odebrany jej teren. Jeżeli sękaty korzenie drzew nie łapały mnie za nogi, to zdrewniałe szkielety korzeni mgławicowych orchidei smagały mnie po twarzy. Storczyki niewątpliwie przyciągały wzrok także w innym sensie - nigdy dotąd nie widziałem równie fascynującego wielobarwnego wzoru na płatkach kwiatów. Ciekaw byłem, jakie inne wzory dostrzegłby na ich płatkach ktoś taki jak Ooryl, który widział w zakresie ultrafioletu.

Najbardziej ciążyła mi wilgoć. Już po pierwszym kilometrze miałem ubranie całkiem mokre od potu. Moja trasa biegła wokół Świątyni Błękitnego Liścia. Nazwa sugerowała, że budowlę otaczają zarośla błękitnolistnych krzaków, które rozrastały się bujnie na najmniejszych nawet polanach, ale było inaczej. Tę nieco mniejszą świątynię nazywano od wzoru liścia wyrytego na powierzchni i wokół drzwi. Nie zwiedziłem dotąd jej wnętrza, ale mistrz Skywalker wspominał, że mieści w sobie niebieski, pulsujący energią kryształ. Powiedział, że nie ma pojęcia, skąd może pochodzić ani czemu służyć, pozostawiając mi tę zagadkę do rozwiązania w wolnym czasie - o ile taki by się znalazł.

Największe niebezpieczeństwo moich samotnych biegów stanowiły niektóre z zamieszkujących dżunglę zwierząt. Spotkanie z rojem piraniożuków szybko zakończyłoby moją karierę jako rycerza Jedi. Te niebieskie insekty były w stanie oczyścić kości z mięsa szybciej, niż Jawa zdołałby rozmontować kradziony śmigacz. Na szczęście żuki wolały wyższe piętra lasu, a inne stworzenia ewakuowały się z trasy ich przelotu z biciem, krzykiem, świergotem i mnóstwem innych ostrzegawczych odgłosów.

Wełnolamandry poruszały się w grupach, błyskając między drzewami niebieskimi i złotymi plamami futra. Wielką przyjemność wydawało się im sprawiać obrzucanie wybranych ofiar liśćmi, patykami, owocami i wszystkim, co wpadło im pod łapę, na przykład kleszczami drzewnymi. Dość szybko nauczyłem się ich nie lubić i w cichości ducha cieszyłem się, gdy widziałem polujące styntryle, zaczące za drzewami jak armia, wysłana, by wytropić i zniszczyć wroga. Te niewielkie gryzonie miały dostatecz-

nie duże zęby i silne szczęki, by boleśnie kąsać znacznie większe od siebie wełnomandry. Nie chciałbym, by takie stadko zagościło w Wielkiej Świątyni, ale z przyjemnością witałem je, gdy ruszały na wełnomandry, którym przyszło akurat do głowy zabawić się moim kosztem.

Tym, co najbardziej lubiłem w moich biegach, była świadomość, że robię coś własnego i tylko dla mnie. Może to zabrzmieć samolubnie, ale Luke podkreślał, że każdy z nas przekona się, iż dysponuje pewnymi wyjątkowymi talentami we władaniu Mocą - talentami, których nie ma nikt inny. Odkrycie tych dziedzin było częścią naszego samorozwoju i doskonalenia umiejętności, jakich potrzebuje rycerz Jedi. Te biegi były dla mnie mostem pomiędzy dotychczasowym życiem a moim nowym, ja", pozwalały mi również przemyśleć to, czego się nauczyłem i ukierunkować moje przyszłe wysiłki.

Bieganie dobrze mi robiło, niezależnie od tego, co myślał o tym Gantoris czy ktokolwiek inny.

Razem z Kamem opracowaliśmy program szkolenia z zakresu podstawowych technik walki, zaakceptowany - po drobnych przeróbkach - przez mistrza Skywalkera. Ćwiczenia przebiegały jak zwykle w takich przypadkach - te same sekwencje najpierw w zwolnionym tempie, a potem coraz szybciej i szybciej, aż refleks naszych podopiecznych wyostrzył się, a reakcje weszły im w krew i stary się automatyczne. Do tego wszystkiego Luke dołożył Moc, zalecając nam, byśmy za jej pośrednictwem wyczuwali przeciwnika i kontrolowali jego poczynania.

W czasie tych ćwiczeń miałem mnóstwo kłopotów z zastosowaniem jego wskazówek. Pamiętam potyczkę z Tionną, szczupłą, srebrnowłosą kobietą, która była raczej uczoną i pieśniarką niż wojownikiem. Jednak zapała, z jakim wykonywała wszystkie ćwiczenia i śmiech, którego nam nie żałowała, czynił z niej dobrą uczennicę i jeszcze lepszego towarzysza. Podeszła do mnie z uniesionymi rękami, jakby chciała powalić mnie gradem ciosów. Wyczułem, jak się zbliża, czułem też subtelne wahania równowagi towarzyszące jej krokom, ale to, co czułem i tak nie miało dla mnie większego znaczenia, bo bardzo łatwo mogłem obrócić się w kierunku, z którego atakowała i wykorzystać impet jej ataku, by przerzucić ją sobie przez biodro.

Zarówno ona, jak i ja wiedzieliśmy dokładnie, że tak się stanie, zanim jeszcze zaczęło się ćwiczenie.

W miarę jak Kam wprowadzał coraz więcej ćwiczeń z mieczem świetlnym, wyczuwanie przeciwnika nabierało wagi. Moje umiejętności w tym zakresie zaczęły rosnąć, ale nie ufałem sobie dostatecznie, by zawierzyć im do końca. Chociaż walczyliśmy drewnianymi mieczami owiniętymi szmatami dla ochrony, traktowałem każdy cios i pchnięcie tak, jakby były zadane prawdziwą bronią. Walczyłem bardzo defensywnie, polegając na podstawach, których nauczył nas Kam i które - jak się okazało - w dwięćdziesięciu przypadkach na sto doskonale zdawały egzamin. W pozostałych dziesięciu przypadkach zarobiłem od Gantorisa parę niezłych siniaków.

Nie mogłem za to winić Karna, bo doskonale nas wyuczył zasad trzech kręgów obrony. Najbardziej zewnętrzny krąg obejmował cztery pozycje obronne: górną prawą, górną lewą, dolną prawą i dolną lewą. Rękojeść miecza trzymana jest w tych pozycjach

w pewnej odległości od ciała, a jego czubek skierowany ku środkowi, by odbierać szerokie, zamaszyste cięcia, które mają wielką siłę, ale wymagają czasu.

Środkowy krąg również zawierał cztery pozycje: wysoką, niską, lewą i prawą. Podczas gdy przy pozycjach kręgu zewnętrznego miecz trzymany był zazwyczaj ukośnie, teraz w pozycji górnej i dolnej należało go trzymać równoległe do ziemi, na wysokości głowy lub kolan, podczas gdy w lewej i prawej - prostopadle. Obrona w środkowym kręgu polegała na blokowaniu szybszych ciosów i powstrzymaniu ich, zanim dotrą do ciała. Luke zauważył też, że pozycje środkowego kręgu przydawały się przy odbijaniu strzałów z blastera.

Krąg wewnętrzny obejmował parady, a nie bloki, stanowiąc obronę przeciw pełnym impetu atakom w przód. Na tej trzeciej linii obrony trzymało się miecz blisko ciała, z rękojeścią na poziomie pępka. Ustawiając czubek ostrza pod kątem i przyjmując atak na dolną część, mniej więcej w jednej trzeciej jego długości, można było odeprzeć atak, zadając przeciwnikowi w szybkim kontrataku cios w pierś lub żołądek. Krąg wewnętrzny był ostatnią linią obrony. Niebezpiecznie było się z niego bronić, ale i niebezpiecznie atakować.

Tego popołudnia moim partnerem w ćwiczebnej walce był Gantoris. Wyższy ode mnie, miał przewagę zasięgu. Moim jedynym ratunkiem mogła być szybkość, a także lata, kiedy jako oficer KorSeku brałem udział w ostrych i beładnych walkach z przestępcami. Doświadczenia ze służby w KorSeku podpowiadały mi też, że jestem w stanie pobić przeciwnika wyższego od siebie, wątpiłem natomiast, czy Gantoris kiedykolwiek miał okazję zmierzyć się z kimś takim jak ja.

Ukloniliśmy się sobie, wchodząc w krąg utworzony przez naszych zziąjanych i spoconych kolegów. Odwróciłem się w prawo i zasalutowałem mistrzowi Skywalkerowi, a potem w lewo - Kamowi. Kam uniósł prawą rękę, opuścił ją szybko i zawołał: - Zaczynajcie!

Spodziewając się ataku, cofnąłem się o krok. W oczach Gantorisa błysnął triumf, jakby ustąpienie mu tego metra terytorium było wielkim zwycięstwem. Uśmiechnął się do mnie zimno i zaczął podchodzić krok za krokiem, jak styntryl do kleszcza drzewnego. Kolana miał ugięte, a nogi rozstawione na szerokość ramion, ale wiedziałem, że zanim zaatakuje, stanie na czubkach palców, by zadać cios.

Przeczuć, że tak właśnie się stanie, pojawiło się w moim umyśle na ułamki sekund, zanim zobaczyłem, że faktycznie zbiera się, by uderzyć. Gwałtowność jego ciosu zdezorientowała mnie, ale już wcześniej zacząłem na niego reagować, wyczuwając atak poprzez Moc. Uniosłem ostrze w prawej górnej gardzie, usuwając się *zarazem* w lewo. Przyjąłem jego cios i odbiłem na bok tak szybko, że samego mnie to zdziwiło. Ponieważ usunąłem się z linii jego ataku, mijał mnie teraz lewym bokiem, więc jednym ruchem nadgarstka mogłem wymierzyć drewnianą klingą cios w dół, prosto w jego żołądek. Nie zrobiłem tego jednak. Zamiast tego, polegając na ostrzeżeniu, jakie odebrałem poprzez Moc, minąłem go, przygotowując się do odparcia nowego ataku.

Zaatakował szybko i z wielką mocą. Cios wyszedł z góry, przechodząc w płynne cięcie w dół, które rozplatałoby mnie od czaszki po pępek. Zastawiłem się wysoką gardą, przygotowując się do odebrania ciosu, który jednak nie nastąpił. Gantoris okazał się

znacznie szybszy, niżbym się tego po nim spodziewał. Przerzucił drewniany miecz do lewej ręki i smagnął mnie szerokim zamachem przez prawą łydkę.

Mimo szmat, otulających drewnianą klingę, uderzenie było bardzo bolesne. Ból przeszył mi nogę i choć próbowałem przypomnieć sobie techniki uśmierzania go, których uczył nas Luke, środek walki nie był najbardziej sprzyjającą okolicznością do kultuwowania sztuki medytacji. Zatoczyłem się w tył, a wtedy Gantoris uderzył ponownie, waląc mnie z tyłu po udach i wyrывая z gardła krzyk.

Twarz paliła mnie ze wstydu. Dopiero co upierałem się, by uczyć innych samoobrony, a oto obrywałem od Gantorisa, który zupełnie bezkarnie dawał mi wycisk. Zranił mnie, a ja byłem całkowicie zdruzgotany i bezbronny. Moje ego skurczyło się do rozmiarów karzełka, gdy zobaczyłem szok, przerażenie i złośliwe uśmieszki na twarzach moich przyjaciół. Widzieli we mnie ofiarę i błazna. Te dwa obrazy wystarczyły, żeby zetrzeć moją wizję własnej osoby - Keirana Halcyona, bohatera i rycerza Jedi - w drobny pył.

Nagle odniosłem bardzo wyraźne wrażenie, które w jakiś sposób przebiło się do mojego mózgu, że następny cios wylądował na moim prawym uchu. Zanurkowałem na brzuch, rozkładając nogi jak nożyce, i przeturlałem się na plecy. Moje nogi zaplątały się z nogami Gantorisa, który runął na ziemię. Złapałem mocno swój kij i przyłożyłem mu po pośladkach, a potem kopniakiem oswobodziłem nogi.

Gantoris wstał i zmrużył oczy; ja usiadłem, przyciągając mocno kolana do podbródka. Oparłem się pokusie roztarcia obolałej łydki, starając się zignorować ból. Zamiast tego przeanalizowałem to, co właśnie się wydarzyło. W momencie kiedy byłem najbardziej bezbronny, niemal pokonany, właśnie wtedy potrafiłem przewidzieć, co zrobi mój przeciwnik i odpowiednio zareagować.

Zdziwiło mnie, że uzyskałem dostęp do Mocy w chwili, gdy byłem zmuszony porzucić tę wizję siebie, którą starałem się narzucić innym. Kiedy przestałem udawać i stałem się znowu sobą, Moc zaczęła płynąć przeze mnie swobodnie. Wyglądało na to, że rola, jaką dla siebie wymyśliłem, uniemożliwiała ten przepływ, podczas gdy porzucenie jej otworzyło we mnie jakąś tamę.

Może nie chodzi o to, pomyślałem, żeby nagiąć Moc do własnych celów, ale by nagiąć siebie w taki sposób, by ułatwić jej przepływ przeze mnie.

Gantoris wycelował we mnie czubek miecza.

- Zaczniemy jeszcze raz.

Odrzuciłem moją drewnianą klingę na bok.

- Proszę bardzo. Jestem gotów.

- Podnieś swój miecz, Keiran. Potrząsałem głową przecząco.

- Chcesz mnie, to przyjdź tutaj. Gantoris spojrzał na mistrza Skywalkera.

- Mistrzu, proszę mu powiedzieć, żeby się bronił.

Luke zwracał niebieskie oczy to na mnie, to na Gantorisa.

- Wygląda na to, Gantorisie, że nie sądzi, by broń była mu potrzebna.

Mężczyzna uniósł dumnie głowę.

- To niehonorowo atakować bezbronnego. Luke uśmiechnął się.- W takim razie, jeśli nie uderzysz, on wygra. Wygra, nie zadając ani jednego ciosu. To lekcja dla ciebie, Gantorisie.

- Tak, mistrzu.

Luke zrobił ręką gest w kierunku mojego miecza, który podpłynął do mnie.

- Keiran jednak już tę lekcję przerobił. Broń się, Keiran.

Złapałem nadlatujący miecz i wstałem. Uśmiechnąłem się wyzywająco do Gantorisa, ale zaraz uświadomiłem sobie, że w ten sposób odbudowuję iluzję, która broni mi dostępu do Mocy. Przygotowałem się więc do walki, salutując Gantorisowi.

- Jestem gotów w każdej chwili.

Podchodził ostrożnie, a kiedy tak się zbliżał, obraz sytuacji, jaki postrzegałem, rozpadł się na kawałki. Zobaczyłem nakładające się na siebie obrazy Gantorisa, składającego się do ciosu z prawej lub lewej strony, atakującego z góry lub od dołu, a kiedy jego rzeczywiste ciało dopasowało się do jednej z tych wizji, wiedziałem, z której strony nadejdzie atak. Zrozumiałem, że to, co widzę, to alternatywy pojawiające się w jego umyśle, możliwe strategie, które oceniał i odrzucał. Gdy dokonywał wyboru, widziałem to i mogłem bez trudu zrobić unik.

Kontynuowaliśmy nasz pojedynek przez następnych dziesięć minut. Nie zawsze bezbłędnie odczytywałem jego intencje, o czym dobitnie świadczyły siniaki, które wyniosłem z tej potyczki. Zauważyłem przy tym pewien wzór: po czterech lub pięciu udanych unikach nabierałem pewności siebie - wręcz zadufania. Właśnie wtedy wycucie zawodziło mnie i zbierałem razy, boleśnie płacąc za swoją arogancję. Gdy zaś byłem spokojny i skoncentrowany, gdy pozwalałem zmysłom rozciągnąć się poza moją śmiertelną powłokę, odczuwałem Gantorisa jakby dodatkowym zmysłem, tak jak mogłem go widzieć, słyszeć czy dotknąć. Pod koniec udało mi się unikać go przez pełną minutę, tak że drewniana klinga, rozcinająca ze świstem powietrze, mijała mnie o włos.

Dysząc ciężko, z plamami potu na szarozielonym ubraniu, Gantoris pochylił się, wyciągając miecz do przodu.

- Te uniki i podskoki mogą się sprawdzać w starciu na kije, ale nie uchronią cię przed prawdziwym mieczem świetlnym.

Równie wyczerpany jak on, usiadłem na trawie.

- Nie spodziewam się jednak spotkać wielu przeciwników wywijających mieczem świetlnym.

Gantoris zmrużył oczy.

- Kiedyś to jednak nastąpi. A wtedy strzeż się!

Luke wszedł do kręgu i przyklęknął między nami na jedno kolano.

- Kiedy to nastąpi, będziecie już tak zaawansowani we władaniu Mocą, że da wam ona inne, lepsze narzędzia obrony. Pamiętajcie, jeśli chodzi o Moc, jesteście jeszcze dziećmi. Nasze lekcje to zaledwie początek.

ROZDZIAŁ

10

Jeśli byliśmy dziećmi we władaniu Mocą, to ja nie okazałem się bynajmniej małym geniuszem. Ostrzeżenia, jakie byłem w stanie odebrać, mgliste wyczucie innych ludzi - umiejętności te rozwinęły się do pewnego poziomu, i na tym koniec. Kiedy się koncentrowałem, kiedy nie myślałem o niczym, potrafiłem wyczuć, że ktoś zbliża się do mojego pokoju. Niewątpliwie był to postęp od czasów odbieranych w ułamku sekundy ostrzeżeń w czasie lotu albo za czasów KorSeky, ale nie był to ten rodzaj umiejętności, który pozwoliłby mi odnaleźć Mirax. W porównaniu z celem, jaki sobie postawiłem, moje postępy wydawały się żałośnie małe i żałośnie powolne.

Nie chcę przez to powiedzieć, że szkolenie mnie rozczarowało. Absolutnie nie. Tak naprawdę dzięki niemu dowiedziałem się o sobie wielu rzeczy, które mnie zdziwiły. Nie odkryłem wprawdzie żadnych nowych talentów czy aspektów mojej osobowości, ale przypominałem sobie o rzeczach dawno zapomnianych.

Mistrz Skywalker przeprowadził z nami serię ćwiczeń, których nauczył się od swoich własnych nauczycieli, Obi-Wana Kenobiego i Yody'ego. Nie były zbyt spektakularne, właściwie często sprawiały wrażenie dziecinady. Wykonywanie ich wydawało mi się czasem głupie, ale Tionna i (Grana Ti - zielonooka czarodziejka z Dathomiry, a nawet samotny poszukiwacz gazu z Bespin, wszyscy oni podchodzili do nich z otwartością i humorem, które sprawiały, że robienie z siebie głupka nie było dla mnie takie straszne.

Mistrz Skywalker stanął przed nami, ustawivszy nas wcześniej w półkole na trawiastej polanie w pobliżu Wielkiej Świątyni.

- Następne ćwiczenie składać się będzie z dwóch części i pozwoli wam wykorzystać to, czego nauczyliście się tydzień temu. Pokazałem wam wtedy prostą technikę, pozwalającą zneutralizować ból. Jej użyteczność jest oczywista. Ta sama umiejętność pozwoli wam również odciąć dostęp wszelkich bodźców zmysłowych do waszej świadomości. Do czego może się wam to przydać? Brakiss?

Jasnowłosa mężczyzna uśmiechnął się protekcyjnie:

- Gdyby na przykład twój współlokator chrapał, możesz odciąć bodźce słuchowe, żeby zasnąć.

Mistrz Jedi uśmiechnął się.

- Bardzo dobrze. Sam tak robiłem parę razy. Jakies inne powody?

Kirana Ti podniosła rękę.

- Ponieważ polegamy w znacznym stopniu na bodźcach wzrokowych, ktoś mógłby próbować omamić nas iluzją. Możliwość odcięcia bodźców wzrokowych pozwoli nam wtedy określić, co naprawdę się dzieje.

Gantoris zmarszczył brwi.

- Ale wtedy będziemy ślepi. Kam zaoponował.

- Ten brak można skompensować, obserwując rzeczy poprzez Moc. Odcinając bodźce wzrokowe powinniśmy wyostrzyć ten zmysł.

Luke podniósł rękę.

- Bardzo słusznie. Kluczem jest kontrola nad tym, co postrzegacie. Po pierwsze, musicie upewnić się, że dane, które odbieracie, są poprawne. Odsiewanie zniekształceń lub wyostrenie zmysłu czucia poprzez Moc pozwoli wam to osiągnąć. Nad tym właśnie będziemy pracować w następnym ćwiczeniu. Potem przyjdzie określanie prawdziwości lub fałszu tego, co postrzegacie.

Podrapałem się po karku.

- Prawda czy fałsz są w moim pojęciu dość oczywiste.

- Pozornie tak, ale prawda może zależeć od przyjętego punktu widzenia. Jak stwierdził kiedyś Obi-Wan Kenobi, wiele prawd, których trzymamy się kurczowo, zależy w znacznym stopniu od punktu widzenia. - Luke uśmiechnął się do mnie pobłaźliwie. - Podać ci przykład?

Przytaknąłem.

- Durabeton lepiej do mnie przemawia niż para wodna. - Dobrze.

Luke zmrużył oczy, aż przypominały bryłki lodu w studniach cienia.

- Wszyscy znacie Dartha Vadera jako jedną z najniebezpieczniejszych istot w historii. Stał się symbolem zła, którego sprawcą był Imperator. Uosabiał to zło w umysłach wielu, w tym każdego z was.

Luke ściszył głos do szorstkiego szeptu, zmuszając nas do wyłączenia słuchu.

- Ale ja wam mówię, że był dobry. Szczęka mi opadła z niedowierzania.

- No, to rzeczywiście ciekawy punkt widzenia. Mistrz Jedi przytaknął.

- Proszę, spróbujcie to zrozumieć. Gdzieś głęboko w nim, w samym jądrze jego osobowości, tkwił człowiek, którym Darth Vader był niegdyś. Głęboko pod pokładami zła ten człowiek nadal istniał. W ostatnich chwilach życia ta właśnie część jego osobowości wzięła górę. Darth Vader odrzucił zło, które zawsze kultywował. Odrzucił swojego mistrza i pana, Imperatora, i zabił go.

Brakiss podniósł głowę.

- Myślałem, że to ty zabiłeś Imperatora. Luke potrząsnął głową.

- Sprawilem, że Imperator zginął, sięgając do odruchów dobra, które tkwiły w sercu Dartha Vadera i pomagając mu wrócić na Jasną Stronę. Byłem po prostu narzędziem zmiany, która pozwoliła mu wyprzeć się zła.

Przypominałem sobie jak przez mgłę, jak Luke opowiadał, że sam zawrócił z Ciemnej Strony dzięki miłości siostry i przyjaciół.

- Musiałeś głęboko go poruszyć.

- Tak właśnie się stało. Miłość to potężna broń przeciwko Ciemnej Stronie. Mnie uratowała miłość mojej siostry. - Luke zawahał się przez chwilę. - A miłość syna do ojca uratowała Dartha Vadera.

Chciałbym przyznać, że od pierwszej chwili pojąłem wagę tego, co Luke właśnie nam powiedział, bo jako detektyw byłem przeszkolony w analizowaniu zeznań i wyłuskiwaniu prawdy z tego, co ludzie do mnie mówią. Jednak jego słowa przepojone były taką dumą i współczuciem, a także jakby cieniem strachu, że poraziły mnie jak wystrzał z działa jonowego. Nagłe zrozumienie, że Luke Skywalker jest synem Dartha Vadera, eksplodowało w końcu w moim mózgu, sprawiając, że z trudem powstrzymałem dreszcz przebiegający przez ciało.

Przytaknąłem.

- To rzeczywiście wymaga zmiany perspektywy.

Przy całym podziwieniu i szacunku dla własnego ojca i pamięci o nim, nie mogłem nie współczuć Luke'owi. Byłem prawdziwym szczęściarzem, że znałem mojego ojca, że miałem taki wzór do naśladowania. Nawet teraz, w czasie tych prostych ćwiczeń, przypominałem sobie, jak robił je mój ojciec, kiedy byłem mały. Tak jak każde dziecko naśladowałem go, a on uczył mnie, mówiąc, że to taka nasza sekretna zabawa, o której nikomu nie powinienem mówić. To były niewinne i bezpieczne rzeczy - nie groziło mi, że młodzieńcze popisywanie się nimi ujawni odziedziczoną wrażliwość na Moc tropiący Jedi agentom, rozesłanym przez Imperatora. Mimo wszystko jednak te umiejętności stanowiły podstawę, bez której moje obecne szkolenie nie na wiele by się zdało.

Miałem w głowie milion pytań do Luke'a na temat tego, gdzie i kiedy dowiedział się prawdy o swoim ojcu. Chciałem wiedzieć wszystko, co pozwoliłoby mi wypełnić szczegółami schematyczną, powtarzaną w kółko biografię „bohaterskiego sieroty z pustynnej planety”. Rewelacja o Vaderze nagłe dodała głębi tej historii. W chwili największego triumfu Luke utracił cel, do którego dążył. Uratował swojego ojca i utracił go w tym samym momencie. Ja też straciłem ojca, ale miałem przynajmniej mnóstwo dobrych wspomnień, do których mogłem wracać i które mogłem pielęgnować.

Luke spuścił wzrok, jakby skruszony.

- Powiedziałem wam to, żeby dać Keiranowi przykład, o który prosił, a także zburzyć bariery, które nas oddzielały. Chcę, żebyście wiedzieli, że żadna decyzja nie jest ostateczna. Jeśli uda się wam nie poddać pokusom Ciemnej Strony, nie powinniście tracić czujności. Jeśli zaś przejdziecie na Ciemną Stronę, zawsze możecie z niej wrócić. Ja sam byłem zarówno odkupicielem, jak i odkupionym. Teraz chcę dać wam wskazówki, dzięki którym unikniecie porażki. Odkryłem przed wami ostatnią z moich tajemnic. Czekam, aż zaufacie mi na tyle, by powierzyć mi swoje.

Uniósł głowę, a jego twarz rozjaśniła się, odganiając posępny nastrój, który nas ogarnął.

- Nie ma sensu dłużej dążyć tego tematu, zmarnujemy tylko dzień. Wybierzcie sobie kogoś do pary. Niech każdy z was odsłoni przedramię. Zamknijcie oczy i wykorzystując to, czego was nauczyłem, odetnijcie wszelkie bodźce dochodzące z tego ramienia. Następnie weźcie jakiś kamyczek i chwycie go kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki. Korzystając z pozostałych zmysłów -i koncentrując się poprzez Moc na

umysłach drugiej osoby - macie zbliżyć kamyczek jak najbliżej do ciała swojego partnera. Gdy wyczujecie poprzez Moc, że kamyczek dotknął ręki, poklepcie partnera po ramieniu. Waszym celem jest zbliżyć kamyczek jak najbliżej do ciała partnera, nie dotykając go jednak i zareagować na dotyk dopiero wtedy, gdy wyczujecie go poprzez Moc, a nie przez ciało.

Dobrałem się w parę z Tionną i ukłękliśmy naprzeciwko siebie. Podciągnęliśmy rękawy i odsłoniliśmy lewe przedramiona, wyciągając je do siebie, dłońmi do dołu. Dość łatwo znaleźliśmy kamyczki i unieśliśmy je nad ręką drugiej osoby. Uśmiechając się dzielnie do Tionny zamknąłem oczy i odciąłem czucie w lewym przedramieniu. Potem spróbowałem wyczuć obecność Tionny.

Gdybym powiedział, że rozciągnąłem czucie poza ciało, byłoby to grubą przesadą. Chciałem stworzyć wokół siebie efekt pola, rozciągając zmysł dotyku tak, by objął Tionnę, ale okazało się to równie trudne, jak próba otwarcia skóry, tak by mięśnie sięgnęły poza jej granice. Wzięłem" głęboki oddech i powoli wypuściłem powietrze, koncentrując się na wydechu. Przez chwilę zastanawiałem się, co robić, po czym uświadomiłem sobie, że warstwa czuciowego bąbla, który zamierzałem stworzyć, była zbyt cienka. Musiałem przede wszystkim objąć nim ramiona Tionny, a nie całe jej ciało i obecność. Zawężenie pola znacznie ułatwiało zadanie i natychmiast poczułem rosnącą pewność siebie, która zwiększyła dopływ energii. Potem, podążając tym samym tropem myślowym, uświadomiłem sobie, że nie muszę wyczuć co do mikrometra, gdzie znajduje się jej ręka i przedramię, bo były to obiekty dość dużych rozmiarów. Przedstawiłem myślenie na ten nowy paradygmat, dzięki czemu zobaczyłem, jak z włosków na moim ramieniu emanują małe nitki Mocy, by utkać się w lśniącą siateczkę. Kiedy wyczułem kontakt z kamieniem, sprawiłem, że siatka stała się jeszcze cieńsza, ale sięgała głębiej, tak że w miarę jak kamyczek zbliżał się do mojej skóry, obserwowałem, jak przedziera się przez kolejne warstwy pola czuciowego.

Uśmiechnąłem się. Różnica pomiędzy dotykiem a jego brakiem stała się tylko jedną z warstw, grubości zaledwie mikrometra, ale łatwą do wycucia, gdy byłem odpowiednio skoncentrowany. Gdy kamyczek dotknął mojej skóry, przechodząc przez ostatnią warstwę, która go od niej oddzielała, dotknąłem palcem łokcia Tionny. Westchnęła lekko, a ja uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

Teraz skoncentrowałem się na mojej prawej ręce. Zobaczyłem, jak takie same nitki Mocy emanują z moich palców, tworząc kapsułę wokół kamienia. Dostosowałem jej kształt do kształtu kamyczka, opierając się na wrażeniach dotykowych odbieranych przez palec. Ostatnia jej warstwa stała się bardzo cienka, ale granica kontaktu z ciałem pozostała niewyraźna. Mimo to zacząłem zbliżać kamyczek do ramienia Tionny, wzbogacając moją kapsułę sensoryczną o kolory. Na dole, tam gdzie dotykała ramienia Tionny, kapsuła zazieleniła się. W miarę jak kamyczek zbliżał się do jej skóry, kolor kapsuły przeszedł w żółty. Potem ostatnia warstwa zacerwieńiła się, a ja zatrzymałem kamyczek, nie dotykając ciała Tionny.

W tym momencie Tionna klepnęła mnie w łokieć.

Poderwałem kamyczek, a moja kapsuła sensoryczna na chwilę znikła. Odtworzyłem ją i zmieniłem jej kształt, by lepiej dopasować ją do kształtu kamyczka. Znów zacząłem

zbliżyć kamień do skóry i znów zatrzymałem go, zanim - moim zdaniem - dotknął ramienia Tionny, ale dopiero za szóstym podejściem udało mi się określić kształt kamienia wystarczająco precyzyjnie, by zatrzymać go, zanim dotknął ramienia Tionny.

Kontynuowaliśmy ćwiczenie; już wkrótce usłyszeliśmy wybuchy śmiechu i triumfalne okrzyki innych par. Zabawialiśmy się dalej, drażniąc się ze sobą. Okazało się, że gdy traktuję to ćwiczenie lekko, bardziej jak rozrywkę, łatwiej mi stworzyć pole sensoryczne i sięga ono dalej. Przyszło mi do głowy, że mógłbym spróbować użyć go, by odczytać rysy twarzy Tionny, poczuć, kiedy się uśmiecha, a kiedy marszczy brwi. Powstrzymałem się jednak od tego.

Moja niechęć do bliższego odczucia obecności Tionny zdziwiła mnie, bo taka reakcja oznaczała, że postrzegam ją jako zagrożenie. Niewątpliwie była śliczna i pociągająca, chociaż nie w typie, jaki dotychczas uważałem za swój. Przyszło mi jednak do głowy, że niebezpieczna jest nie tyle jej fizyczna uroda, ile otwarty i przyjazny stosunek do innych. Gdybym na tym etapie miał wytypować osobę, która stanie się sercem naszej grupy, bez wątplenia byłaby to właśnie Tionna. Gdyby zaś wiedziała, kim jestem i dlaczego wstąpiłem do akademii, na pewno zaferowałaby mi pocieszenie.

Pocieszenie, które przyjąłbym z rozkoszą.

Pocieszenie, za które przyszłoby mi kiedyś zapłacić.

Nie martwiłem się, że mogłaby mnie uwieść - zakładałem, że nie interesuje się mną, tak jak mnie nie interesował nikt z wyjątkiem mojej żony. Martwiło mnie natomiast, że mógłbym przyjąć jej współczucie. Od czasu śmierci ojca potrafiłem się otworzyć tylko wobec kilku bardzo bliskich przyjaciół. Przy Mirax otwierałem się jeszcze bardziej i chociaż mogłem sobie zartować z przyjaciółmi i akceptować ich kpiny, wynikająca z tej otwartości bezbronność nadal mnie przerażała.

Częściowo wynikało to z charakteru mojej wcześniejszej pracy. W KorSeku ostatnią rzeczą, jakiej byś sobie życzył, jest pozwolić przestępcy, by dostrzegł, że może cię zranić emocjonalnie. Aby z tym walczyć, starasz się przytępić swoje uczucia i myśleć „oni” o ludziach, z którymi stykają cię sprawy zawodowe. „Oni” nie są częścią twojej rodziny ani twojej grupy zawodowej. „Oni” są jakby mniej realni, więc to, co mówią czy robią, nie może cię dotknąć. Odczłowieczenie tych ludzi pozwala ci zachować obojętność; obojętność niezbędną, jeśli chcesz przeżyć, spotykając się na każdym kroku z tragedią i okrucieństwem.

Nawet w Eskadrze Łotrów odsuwałem się od ludzi. Śmierć przyjaciela bardzo boli, więc wolałem nie zaprzyjaźniać się z nowymi pilotami. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tak właśnie postępuję, dopóki nie wytknął mi tego Wedge. Uśmiechnął się i powiedział, że sam się przyłapał na podobnym postępowaniu, ale zauważył, że przewyciężając tę naturalną tendencję, może łatwiej dotrzeć do innych pilotów i pomóc im, by latali coraz lepiej, dzięki czemu ich nie tracili.

Poczucie, że Tionna stanowi dla mnie zagrożenie, wzniosło we mnie jeszcze jedną barierę. Podejrzewałem, że przeszkodzi mi to w dostępie do Mocy i czerpaniu z niej, podobnie jak wcześniej moje wygórowane mniemanie o sobie. Ale obawa przed zranieniem była jedną z podstawowych cech mojej osobowości. Wiedziałem, że aby w

pełni wykorzystać mój potencjał jako Jedi, będę musiał jakoś przebić się przez nią albo ominąć, ale nie byłem jeszcze gotowy, by zdecydować, jak i kiedy mam to zrobić.

Głos Luke'a przerwał moją introspekcję.

- Nie otwierając oczu i nie odsuwając się od swojej pary, połóżcie kamyk na dłoni partnera. Potem sięgnijcie do niego Mocą i poruszcie go. To będzie wielki krok. Do tej chwili używaliście Mocy pasywnie, by poszerzyć swoją percepcję. Teraz użyjecie jej bardziej bezpośrednio, wykorzystując energię, by poruszyć kamyk. Jeśli uda się wam wyraźnie unieść go nad dłońią partnera, to jeszcze lepiej.

Poczułem, jak Tionna kładzie kamyk na mojej dłoni.

- To będzie fantastyczne, Keiran. Jak te historie o lewitacji Jedi i tylu innych niesamowitych rzeczach.

- Na pewno. - Położyłem swój kamień na jej dłoni i natychmiast straciłem z nim jakikolwiek kontakt. Żle to wróżyło. Sięgnąłem i po prostu dotknąłem kamyka palcem, mając nadzieję, że w ten sposób wzbudzę w Mocy rodzaj echa bodźców dotykowych.

Nic z tego.

- Dotknąłeś go.

- Wiem. Przepraszam.

Zaczerpnąłem powietrza i wypuściłem je powoli. W skupieniu odbudowałem mój bąbel sensoryczny. Rozciągnąłem go w stronę ręki Tionny i przestudiowałem jej dłoń. Wyczuwałem jej ciało i przepływającą przez nie Moc. Czuję, jak wchodzi w rezonans z moim polem, wyczuwałem nawet martwy punkt w środku, pomiędzy nami. Kamień - to musiał być ten kamień. Uśmiechnąłem się i nagiąłem wolę, by go podnieść.

Nic.

Nie pomógł mi fakt, że w tej samej chwili jej kamień zatańczył na mojej dłoni jak ziemia targana wstrząsami sejsmicznymi. Nagły chichot Tionny - na wpół śmiech, na wpół okrzyk - świadczył o tym, że poczuła ruch kamienia. Poczułem, jak emanuje z niej fala niezmaconej radości i nie mogłem się nie uśmiechnąć, chociaż mój własny kamyk leżał na jej dłoni równie nieruchomo jak fundamenty Wielkiej Świątyni.

Spróbowałem pchnąć Mocą kamyk i poruszyć go - bez skutku.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na mistrza Skywalkera.

- Myślę, że nic z tego. Uśmiechnął się.

- Nie myśl. Poczuj to. Uda ci się. Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem w stanie poruszyć nawet kurzu na tym kamieniu.

- To dlatego, że nie wierzysz, że ci się uda. - Luke rozłożył ramiona w kierunku reszty uczniów. Kiedy się rozejrzałem wokół, zobaczyłem, że krótkie podskoki kamyka Tionny były niczym w porównaniu z osiągnięciami pozostałych. Co gorsza, głowę Gantorisa otaczała cała aureola kamyków krążących wokół z różnymi prędkościami.

- Widzisz, wielkość nie ma znaczenia, liczba nie ma znaczenia. Jeśli wierzysz, otwierasz dla Mocy okno, przez które może w ciebie wnikać. Potrząsnąłem głową.

- Wierzę, ale widocznie nie dość mocno.

Gantoris otworzył oczy i popatrzył na mnie zza głowy Streena.

- Wierzysz w porażkę, Keiran, i dlatego ci się nie udaje. To zamknięte koło.

Luke skierował dłoń w kierunku Gantorisa i kamienie, krążące wokół głowy tamtego uleciały w górę. Krążyły, układając się w wymyślny wzór, zbyt szybko, by mogło za nimi nadążyć oko. Niemal nie było ich widać, ale Luke zderzał je ze sobą, aż krzesaly maleńkie iskry tu i tam. Potem, jak rój piraniożuków na polowaniu, odleciały w kierunku dżungli i znikły.

- Jest tylko jedno zamknięte koło, Gantorisie. To koło życia, a życie jest tym, co tworzy Moc. Sukces przychodzi, gdy odczuwasz, rozumiesz i kontrolujesz Moc. - Uśmiechnął się. - Każdy ma swoje tempo, ale wszyscy posuwacie się do przodu. Czasem możecie zauważyć krok do tyłu. W czasie szkolenia musicie być przygotowani i na sukcesy, i na porażki.

- To nie dla mnie. - Gantoris z uporem potrząsnął głową. - Ja nie zamierzam przegrywać.

Oświadczenie Gantorisa sprawiło, że zimny dreszcz przeleciał mi po plecach. Słyszałem ten ton wiele razy, choć wypowiedane słowa były inne. Zwykle brzmiały: „Nie dostaniesz mnie żywego, szpiclu”, i nieuchronnie prowadziły do tragedii. Nawet nie chciałem myśleć, jaki rodzaj tragedii może spowodować uwaga Gantorisa tu, w akademii rycerzy Jedi, gdzie uczyliśmy się manipulować energią, która przenika i spaja cały wszechświat.

ROZDZIAŁ

11

Tego wieczoru po kolacji zatopiłem się w rozmyślaniach na temat tego, co powiedział Luke. Stwierdzenie, że najpierw muszę poczuć Moc, zanim zdołam jej użyć, zmusiło mnie do przewartościowania wszystkiego, czego nauczyłem się do tej pory. Luke powiedział również, że wcześniej, zanim zaczęliśmy ćwiczenie z poruszaniem kamyków, używaliśmy Mocy tylko pasywnie, by poszerzyć swoje zmysły. Te uwagi sprawiły, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie tamuję w jakiś sposób dopływu energii Mocy, którą produkowało moje ciało. Przyszło mi do głowy, że każda żywa istota generuje dość Mocy, by uświadomić sobie istnienie i poczuć dotyk świata, który ją otacza, natomiast by sięgnąć Mocą poza siebie, potrzebny jest zwiększony przepływ energii.

Trzeba było sięgnąć do samej Mocy. Luke powiedział, że muszę uwierzyć, ale to oznaczało, że muszę porzucić wszelkie wątpliwości. Uświadomiłem sobie, że sceptycyzm był nieodłączną częścią mnie samego i dopóki nie uda mi się go zwalczyć, mój dostęp do Mocy będzie zablokowany. Czułem, że muszę poświęcić siebie samego, by móc czuć i wykorzystywać Moc, a nie chciałem jeszcze tego robić.

Jednak cały mój pokój wydawał się wołać o tę ofiarę. Wyryte w kamieniu imiona nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Porkins i Biggs zginęli w bitwie o Yavin, poświęcając wszystko, czym byli i czym mogli się stać. Życie Wedge'a było jednym pasmem poświęceń dla Rebelii; marzenia odłożone na później, brak normalnego - w powszechnym rozumieniu - życia. A był jeszcze Luke, z jego misją odtworzenia zakonu strażników pokoju, który zniszczył jego ojciec, odbudowania galaktyki, którą jego ojciec rozdarł na części.

Nagle mój pokój stał się duszny i ciasny. To tutaj trzech mężczyzn przysięgało, że położą kres władzy Imperium albo zginą. Nie znając swojej przyszłości tak, jak ja znałem moją, przeżywszy mniej niż przeżyłem ja, mimo wszystko dokonali wyboru. Podobny, choć dużo łatwiejszy wybór stał teraz przede mną - ja musiałem jedynie wyrzec się moich wyobrażeń o sobie samym i moich uprzedzeń, a nie własnego ciała, własnej krwi, własnego umysłu i własnego życia.

Muszę przestać myśleć, powiedziałem sobie, a zacząć czuć. Muszę dać się ponieść. Westchnąłem głośno. Może Iella miała rację, pomyślałem, może nie zdołam tego zrobić, zanim słońce Coruscant nie zmieni się w supernową.

Wypadłem z pokoju i szybko znalazłem się w turbowindzie prowadzącej na platformę na czubku świątyni. Księżyc, na którym się znajdowaliśmy, miał gazowego giganta, odwrócony do niego plecami. Tak więc zaczynała się Prawdziwa Noc, w odróżnieniu od Nocy Zmierzchu, rozświetlanej odbłaskiem pomarańczowej planety. Spodziewałem się, że będzie zimno, i rzeczywiście rześkie powietrze uderzyło we mnie, gdy tylko otworzyły się drzwi turbowindy. Rozkoszowałem się chłodem nocy i tym, jak wiatr wysysa ze mnie ciepło, mając nadzieję, że uda mi się schłodzić myśli tak samo, jak ciało.

Wiedziałem, że mój strach przez zmianą jest głupi. Intelktualnie postrzegałem moją przemianę jak przepoczwarczenie owada. To samo stworzenie, ten sam kod genetyczny, tyle że na innym etapie życia, z większymi możliwościami. W moim przypadku większe możliwości oznaczałyby również większą odpowiedzialność. Sądzę, że nie tego się bałem, chociaż w moim obecnym stanie ducha nie byłem już pewien niczego.

Zacząłem okrążać kwadratowy dach świątyni i na północno-wschodnim narożniku zobaczyłem postać mężczyzny. Spróbowałem sięgnąć zmysłami, by zobaczyć kto to taki, ale nigdy nie docierałem nimi zbyt daleko. Odwrócił się do mnie, pozwalając, by wiatr rozwiał jego gęstą brodę, po czym znowu popatrzył w stronę lasu i na czarny koc nieba z miliardami gwiazd.

Podszedłem, ale zatrzymałem się o kilka kroków od niego, aby nie wkroczyć w jego prywatną przestrzeń.

- Nie myślałem, że zastanę tu jeszcze kogoś, Streen. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jestem tak przyzwyczajony do samotności, że nie za dobrze znoszę towarzystwo innych.

- W takim razie zostawię cię samego.

- Nie, nie trzeba. - Chociaż jego twarz była ukryta w cieniu, kiedy ponownie odwrócił się do mnie, czułem intensywność jego spojrzenia. - Ty jesteś na tyle zamknięty w sobie, że twoja obecność nie sprawia mi bólu.

- Hmm... no cóż, dzięki.

- Wybacz. Moje talenty towarzyskie pozostawiają chyba wiele do życzenia. - Uśmiechnął się, słysząc modulowany krzyk polujących styntaryli, który zdawał się kpić z niego. - Przez całe lata moimi jedynymi towarzyszami były bespińskie rawwki - wielkie, czarne padlinożerne ptaki. Są do pewnego stopnia inteligentne. Nigdy nie nauczyłem ich żadnej pożytecznej sztuczki, ale przylatywały do mnie, kiedy miałem dla nich jedzenie.

Uśmiechnąłem się i usiadłem na zimnym kamieniu.

- Miewałem przyjaciół, o których nawet tego nie dałoby się powiedzieć.

- Szukanie gazu na Bespin było samotną pracą, ale nie przeszkadzało mi to. - Streen popukał się palcem w czoło. - Cały czas słyszałem głosy ludzi w mojej głowie, wyczuwałem to, co czują. Mogłem to uciszyć, tylko odsuwając się od nich. Teraz szkole-

nie mistrza Luke'a pomaga mi to robić świadomie. Nie przegap tego. To przywraca życiu tajemnice.

Uśmiechnąłem się, zdezorientowany.

- Nie wierzysz? Na przykład ty.

- Ja?

- Jesteś bardzo zamknięty w sobie, ale czasem coś wydostaje się na zewnątrz. Duma tak gorąca, że mogłaby stopić durastal. - Streen wzruszył ramionami. -1 ból. Twoje osady są ostre jak cięcie świetlnego miecza.

- Naprawdę? - Twarz mi stwardniała. Łatwo było go wziąć za podstarzałego głupca, ale nie dało się ukryć, że jest spostrzegawczy. Lekceważenie go mogłoby się dla kogoś źle skończyć. - Co masz na myśli?

Mężczyzna zachichotał.

- Nie lubisz Gantoris'a.

- Nie potrzeba Jedi, żeby to zauważyć. - Nie, chyba nie. On też za tobą nie przepada. - Streen usiadł swobodnie, podpierając się łokciami. - Pamiętasz to dzisiejsze ćwiczenie?

- To, jak Gantoris żonglował kamykami?

Właśnie. Nie powinieneś się zniechęcać. Kiedy mistrz Skywalker i Gantoris przylecieli na Bespin, żeby mnie odnaleźć, pokazali mi w praktyce, jak można wykorzystać Moc. Gantoris nauczył się wtedy przesuwać objekty myślą, nawet na dużą odległość. Podniosłem głowę.

- Rozumiem. - A zatem Gantoris wiedział, jak używać Mocy, by manipulować materią, i dlatego właśnie tak dobrze poradził sobie z dzisiejszym ćwiczeniem. Luke nie wytknął mu tej przewagi, jaką miał nad nami Gantoris, kiedy się do mnie przyczepił. Mógł mieć setki powodów, by tak postąpić, z czego nie najmniej ważnym była pewnie chęć podsyceńcia we mnie ducha rywalizacji. Nie wiedziałem, czy to właśnie było celem posiadanej przewagi, gdy nadarza się okazja, była tym rodzajem informacji, które lubiłem sobie skrzętnie notować.

Jednak nawet ta wiedza nie zbliżała mnie ani odrobinę do umiejętności odczucia Mocy.

- Czy mogę ci zadać pytanie, Streen?

- Właśnie je zadałeś, ale dam ci jeszcze jedną szansę.

- Dzięki. - Pochyliłem się, opierając łokcie na kolanach. - Jakie to uczucie, kiedy czujesz Moc?

- To jakbyś zamknął dziesięć kilogramów życia w pięciokilowym pudełku - odpowiedział głosem, który nabrał siły, a zarazem lekkości. - Teraz odczuwam ją zaledwie jak wąską strużkę, jak drobinki kurzu w promieniu słońca, przenikające przeze mnie jedna za drugą, ale jest to tak wspaniałe, że nie sposób tego opisać. To trochę jak łaskotanie, trochę jak pierwszy pocałunek albo jak uderzenie adrenaliny przy grze w sabaka, kiedy kolejna zmiana sprawia, że karty, które masz na rękę, stają się lepsze niż to, co wcześniej licytowałeś.

Chciałem zażartować, że podobne rzeczy zdarzyły mi się parę razy, ale nuta czystego zachwytu w jego głosie powstrzymała mnie.

- A niech mnie!

- A jak ty to odczuwasz? Potrząsnąłem głową.

- Nijak. W ogóle jej nie czuję. Myślę, że Moc we mnie jest dość silna, bym mógł robić pewne rzeczy, ale nigdy nie czułem nic takiego jak to, co opisałeś. Ani razu.

- Poczujesz.

- Mam nadzieję.

- Poczujesz. - Głos Streena przycichł. - Pozwól, że teraz ja zadam ci pytanie.

- Coś za coś.

- Mistrz Skywalker dużo nam mówił o Ciemnej Stronie, o tym, że jest samolubna, okrutna i zła.

- Rzeczywiście.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem o rawwkach, jak nigdy nie udało mi się nauczyć ich żadnej sztuczki? No więc był taki jeden, trochę mądrzejszy niż pozostałe. Nie bardzo, po prostu trochę sprytniejszy. Pomyślałem sobie, że ten jest naprawdę obiecujący, więc próbowałem go nauczyć, by rozwijał jedno skrzydło, a potem drugie, i podskakiwał w takt melodii, którą mu gwizdałem. Chciałem tylko, żeby dla mnie zatańczył, chociaż troszeczkę.

Osamotnienie wyczuwalne w głosie Streena ścisnęło mnie za serce.

- Rozumiem. I co dalej?

- No więc pomyślałem sobie... nie wiem dlaczego, zupełnie nie wiem... że jeśli uda mi się skłonić go, by zrobił to raz, a potem dam mu coś w nagrodę, będzie chciał tańczyć częściej. Byłem coraz bardziej sfrustrowany, wręcz wściekły, że nie chce tego zrobić. Więc chyba użyłem Mocy, żeby go zmusić do tańczenia. Tylko raz. To go nie bolało, no i dałem mu potem jedzenie. - Głos Streena umilkł wśród nawoływań styntaryli. - Czy użyłem Ciemnej Strony? Czy byłem narzędziem zła?

- Nie jestem pewien, czy umiem odpowiedzieć na to pytanie.

- Spróbuj.

Pokiwałem głową i westchnąłem ciężko, obserwując, jak wydychane powietrze zamienia się w biały obłok pary.

- Patrząc na to w kategoriach absolutnych, biorąc pod uwagę to, co powiedział nam Mistrz Skywalker... tak, mogłeś się otrzeć o Ciemną Stronę. Jednak patrząc realnie, to, co zrobiłeś było wprawdzie samolubne, ale tak nieistotne, że na skali od jednego do zniszczenia Alderaan nie dostałoby nawet jednej dziesiątej punktu.

Sylwetka starszego mężczyzny przesłoniła gwiazdy. Pokiwałem głową. - Ile w takim razie dałbyś punktów sobie za tę zmyśloną historyjkę na temat twojej przeszłości?

- Co takiego?

- Powiedziano nam, że pochodzisz z rodziny koreliańskich Jedi i walczyłeś po stronie Rebelii.

- To prawda.

- Ale ta duma w tobie... taką dumę mógłby czuć ktoś, kto dokonał czegoś naprawdę wielkiego. To, co o tobie usłyszeliśmy, nie bardzo do tego pasuje.

- Rozumiem. Myślę, że to kwestia perspektywy. - Wstałem. - Faktem jest jednak, że to, co do tej pory robiliśmy, chyba nie jest takie ważne. Mógłbym ci powiedzieć o sobie wiele rzeczy. W niektóre byś uwierzył, w inne nie. Ostatecznie jednak nic z tego, co bym ci powiedział, nie pomoże nam zostać rycerzami Jedi. Jestem dumny z tego, czego dokonałem w przeszłości, ale będę jeszcze bardziej dumny, kiedy zostanę rycerzem Jedi.

Streen roześmiał się.

- A zatem nie kłamiesz. Po prostu nie mówisz całej prawdy, bo tu i teraz nie miałyby większego znaczenia.

- Chyba właśnie o to chodzi.

- To mi wystarczy. - Streen również wstał i wskazał na turbowindę. - Moglibyśmy w każdym razie pokazać pozostałym, że jesteśmy dość mądrzy, by schować się do środka, kiedy robi się naprawdę zimno.

- Nie pomogłoby nam, gdyby ktoś zobaczył, że rycerze Jedi popisali się taką głupotą, prawda? - zapytałem, idąc w stronę windy.

- Nie, na nic by nam się to nie przydało.

W ciągu kilku następnych dni przerabialiśmy serię ćwiczeń, w których moja niezdolność do odczucia Mocy stawała się coraz bardziej widoczna. Inni uczniowie mogli sobie gorzej radzić z pewnymi aspektami zadania, które nazywałem „przesuwaniem”. Ale kiedy ja miałem coś odsunąć, przysunąć, podnieść, opuścić, oddalić albo przybliżyć, okazywałem się żałośnie nieudolny. Podczas gdy Luke zachęcał innych do przezwyciężenia wątpliwości cytując aforyzm Yody'ego: „Wielkość się nie liczy”, w moim przypadku chwaliłby najstabsze podskoki maleńkiego kamyczka.

Prawda zaś była taka, że nie byłem w stanie wywołać choćby zmarszczek w szklance wody. I podczas gdy moja zdolność wyczuwania przeciwnika i jego planów stale rosła, nadal nie umiałem poczuć, jak Moc wpływa we mnie z zewnątrz. Moje postępy w sztukach obronnych wynikały z otwarcia się na Moc płynącą ze mnie samego, co miało swoje źródło w zwykłym instynkcie samozachowawczym.

A blokada na Moc z zewnątrz miała źródło w moim dążeniu do ochrony własnego „ja”.

Musiało nastąpić jakieś przesilenie i chyba znalazłem sposób, by je sprowokować. Luke ustawił nas wszystkich wokół ogromnego głazu wkopanego w ziemię. Kiwnął głową w stronę głazu.

- Wiele razy mówiłem wam, że wielkość się nie liczy. To prawda. Nie oznacza to jednak, że wszystkie wasze zadania będą łatwe. Ten kamień, z tego, co nam wiadomo, jest zaledwie czubkiem długiego obelisku. Nie znamy jego faktycznych rozmiarów. Poruszenie go może wymagać nie tyle nadludzkiego zrywu, ile długotrwałego wysiłku. Będziecie w stanie poruszyć głaz, jeśli pozwolicie Mocy płynąć przez siebie. Bez wpływu Mocy nie uda wam się tego dokonać.

Popatrzył w oczy każdemu z nas po kolei.

- Kto pierwszy chciałby spróbować? Gantoris wystąpił krok naprzód.

- Ja, mistrzu.

- Przepraszam, mistrzu, jeśli można- skłoniłem się w jego stronę. - Ja pierwszy tego dokonam.

Gantoris prychnął.

- Ty? Tobie się nie uda. Luke popatrzył na mnie.

- Uważasz, że jesteś gotów? Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu muszę to zrobić. Podejrzewam, że koncentrując się na drobnych zadaniach zamykam się na dopływ Mocy. Żeby ją poczuć, muszę otworzyć się na coś większego. - Popatrzyłem na każdego z uczniów. - Muszę poruszyć ten głaz, więc zrobię to. Wierzę, że tak będzie.

Liczyłem w dużym stopniu na moje wewnętrzne dążenie do unikania porażek. Akceptowałem fakt, że mogę ponieść porażkę, dzięki czemu nie byłem skłonny poddać się niekontrolowanym ani negatywnym emocjom, które wiązały się z Ciemną Stroną Mocy. Zamierzałem po prostu włożyć w to całego siebie i zrobić, co było do zrobienia. Mistrz Skywalker skinął głową.

- W takim razie głaz jest twój.

Zamknąłem oczy, przyjąłem wygodną pozycję i wziąłem głęboki oddech. Wypuszczając powoli powietrze, rozciągnąłem swoje zmysły i objąłem nimi Tionnę i Streena, stojących obok mnie. Moja świadomość przeskakiwała od osoby do osoby, aż czułem dokładnie, gdzie stoi każda z nich. Wtedy zacząłem zagłębiać się w siebie, aż poczułem słabe mrowienie energii. Czułem się tak, jakby w pobliżu mnie wycelowało działo jonowe - włosy na moich rękach najeżyły się jak naelektryzowane.

Nie próbowałem odpychać tej energii ani za nią gonić - zamiast tego rozciągnąłem swoją świadomość i pozwoliłem, by wypełniła się energią. W miarę jak przyjmowałem w siebie Moc, w miarę jak gromadziłem ją tak, jak żagiel słoneczny łapie strumień fotonów, moje odczuwanie świata zewnętrznego stało się pełniejsze. Ciemność przed oczami nie zniknęła ani się nie rozjaśniła, ale wypełniła strukturami i obiektami. Poruszające się punkciki - to były owady. Pod warstwą gleby wiły się robaki. Wyczuwałem każdy krzew i każde źdźbło trawy od korzenia po czubki liści. Wszystko, co żywe, potrafiłem odczuć, a to, co czułem na zewnątrz, mogłem również zamknąć w sobie.

Przypomniałem sobie nagle, w jaki sposób Luke pozwolił płynąć swoim myślom, by zbadać mój umysł po zniknięciu Mirax. Przyjrzałem się krążącym we mnie prądom Mocy i jej zawirowaniom na zewnątrz. Powoli, stopniowo, lekko modyfikując pewne myśli, uciszając wątpliwości, odsuwając strach i podsycając nadzieję zmieniłem drogę, jaką płynęła we mnie Moc. Pozwoliłem jej przesiąkać przez wszystkie wewnętrzne bariery, izolujące moje wnętrze od uniwersalnego prądu energii przenikającego cały wszechświat.

Przez pierwszy wylom w murach, które oddzielały mnie od świata zewnętrznego, Moc wpłynęła we mnie jak płyn tryskający pod ciśnieniem przez niewielki otwór. Wypełniła mnie w jednej chwili, a ja wyobraziłem sobie, jak wypływa z moich oczu, nosa i ust. Chciałem krzyczeć i tańczyć z radości, bo wreszcie poznałem uczucie, które opisywał mi Streen. To było jak pierwszy raz, kiedy pocałowałem Mirax. Jak zapach perfum mojej matki albo jak śmiech ojca, kiedy był ze mnie dumny. Jak klepięcie po plecach, kiedy wracałem z udanej misji, a nawet trochę jak triumfalne serenady Gwizdka.

To było jak wszystko, co jest dobre i słuszne, i żywe; cała ta siła czekała, bym nagiął ją do swojej woli.

Wzmocniony przez tę siłę sięgnąłem w stronę kamienia. W ułamku sekundy objąłem go zmysłami. Znałem jego rozmiary i masę, jego zarys i jego słabość; wiedziałem, że mógłbym uformować Moc na kształt młota, którym roztrzaskałbym go na kawałki, ale nie to było moim zadaniem. Ja miałem go poruszyć, wyrwać z ziemi, podnieść do góry, by wszyscy zobaczyli, czego dokonałem.

Chwyciłem kamień poprzez Moc. Na początku poczułem opór, ale spodziewałem się tego. Głaz tkwił w ziemi od lat. Szarpnąłem nim i poczułem, jak chwieje się w różne strony. Drobne kamyki i żwir zaczęły osypywać się wokół, podskakując na trawie u podstawy głazu. Poruszałem głazem jak ruszającym się zębem, przygotowując się do wyrwania go z ziemi.

Z wysiłku zacisnąłem zęby. Poczułem, jak kamień się rusza. Oczyma duszy widziałem, jak trzęsie się i drży. Bardzo powoli zacząłem go podnosić. O milimetr tu, o milimetr tam, potem o centymetr, potem dwa. A potem o cztery, o sześć, o dwadzieścia. Tłusty, brązowy il osypywał się w miarę, jak głaz unosił się do góry. Wznosił się coraz szybciej, spowolniony tylko chwilami, gdy niezdarnie ocierał się o ściany dołu, w którym tkwił przez lata. Nie kontrolowałem go jeszcze dostatecznie precyzyjnie, ale wiedziałem, że z każdą chwilą robię to lepiej, więc nie ustawałem w wysiłkach, podnosząc go coraz wyżej.

Głaz uniół się nad powierzchnię gruntu, ale to mi nie wystarczyło. Czułem, jak pulsuje we mnie Moc, chętna i uległa. Przepuściłem ją przez mój umysł, łagodząc ruch, jakim wznosił się głaz. Podnosiłem go i podnosiłem coraz wyżej, by mieć pewność, że gdy otworzę oczy, zobaczę pod nim twarz mistrza Skywalkera stojącego naprzeciwko mnie. Chciałem go podnieść tak wysoko, by nawet Gantoris nie był w stanie zakwestionować mojego sukcesu.

W końcu uznałem, że wystarczy. Głaz wisiał w powietrzu ponad dwa metry nad ziemią. Utrzymałem go tam, wyrównując jego przechył. Chciałem, by tkwił w powietrzu, w uścisku Mocy równie pewnie jak w ziemi. Kiedy się zatrzymał, otworzyłem oczy.

Kamień nadal tkwił w ziemi.

Patrzyłem na niego, usiłując sobie przypomnieć, czy słyszałem, jak uderza o ziemię. Nie pamiętałem jednak nic takiego; nie odczułem fali uderzeniowej, jaka musiała by powstać, gdyby gruchnął z powrotem w dół. Spojrzałem w górę, gdzie powinien był się teraz znajdować, a potem z powrotem na dół. Nie mogłem uwierzyć, że się nie poruszył, bo wiedziałem, że poczułem Moc płynącą przeze mnie, że kamień był w powietrzu.

Nagle zauważyłem, że wszyscy pozostali, każdy po kolei, patrzą na ten punkt w powietrzu, gdzie powinien był unosić się kamień. Tionna i Streen mieli na twarzach wyraz niezmaconego zachwytu. Kam uśmiechał się tak jak wtedy, gdy nagradzał czyjeś wysiłki. Gantoris wyglądał, jakby zobaczył ducha, a inni po prostu byli zdziwieni.

Stojący naprzeciwko mnie Luke potrząsnął głową, a potem przesunął dłonią przed oczami. Spojrzał z powrotem na punkt, w którym powinien wisieć głaz, a potem szybko

przeniósł wzrok na ziemię, gdzie tkwił nadal. Rozejrzał się wokół po twarzach pozostałych uczniów, a potem łagodnym ruchem przesunął dłonią w powietrzu, oni zaś zaczęli mrugać i przecierać oczy.

Gantoris popatrzył na głaz, a potem - oskarżycielsko - na mnie.

- Co zrobiłeś?

- Keiran poczuł, jak płynie przez niego Moc. To właśnie zrobił. - Mistrz Jedi pochwalił mnie skinieniem głowy, a potem podszedł do Gantorisa i położył dłoń na jego ramieniu. - Wstąpił na ścieżkę swojej przyszłości. To, co zrobił lub czego nie zrobił z kamieniem, nie powinno was interesować. Zamiast się nad tym zastanawiać, cieszcie się, że kolejny z was pokonał pierwszą przeszkodę, która nie pozwalała mu zostać rycerzem Jedi.

ROZDZIAŁ

12

Następnego ranka mistrz Skywalker, cały w czerni, czekał na mnie w moim pokoju, kiedy wróciłem z biegu. Mokry od potu i zadyszany po wysiłku ukloniłem mu się i nie wstając ze skłonu, z rękami opartymi o kolana, wysapałem:

- Miło mi cię gościć, mistrzu. Powitał mnie skinieniem głowy.

- Wiesz, że kiedy jesteś zmęczony, możesz odzyskać energię, czerpiąc z Mocy?

Powoli wyprostowałem się i uśmiechnąłem.

- Wiem, ale wolę tego nie robić. Dobrze jest czuć się czasem zmęczonym i obolałym. To mi przypomina, że jestem zwykłym śmiertelnikiem, a w tej chwili chyba warto o tym pamiętać.

- Jak najbardziej. - Wyjął rękę spod czarnego płaszcza. Nad jego dłonią zobaczyłem unoszącą się kostkę mlecznobiałego kryształu. Wirowała w powietrzu powolnym ruchem, jarząc się wewnętrznym światłem, które oblewało twarz Luke'a nieprzyjemną, zielonkawą poświatą.

- Pamiętasz, co to takiego?

- Holocron Jedi. Zawiera kolektywną mądrość Jedi zgromadzoną przez lata w postaci opowieści i informacji. - Skręciłem tułów w prawo, a potem w lewo, żeby rozciągnąć obolałe mięśnie pleców. - Tionna używa Holocronu, by badać historię Jedi. Mówiła mi, że strażnikiem Holocronu jest Jedi obcej rasy, Bodo Baas.

- Zgadza się. - Luke zbliżył do siebie palce wyciągniętej dłoni i ich koniuszkami dotknął Holocronu. Kryształ rozjarzył się, a po chwili pochylony nad nim jak zielony duch, pojawił się zgarbiony insektoid o bulwiastym pancerzu. Istota ustawiła się przodem do Luke'a.

- Witam cię, Jedi - zaintonowała. - Jestem Bodo Baas, strażnik Holocronu. Czy masz do mnie jakieś pytania?

Luke spojrzął na mnie przez hologram.

- Model siatki poznawczej Bodo Baasa działa jako program wyszukiwujący, wczytujący i przechowujący informacje. Holocron zawiera całkiem sporą ilość danych. Poświęciłem wczoraj wieczorem trochę czasu na badania, żeby sprawdzić, czy to, czego dokonałeś, zdarzało się już w przeszłości.

- No i co?

Mistrz Jedi uśmiechnął się.

- Owszem. Tak naprawdę, jedna z pierwszych manifestacji umiejętności Jedi, jaką pokazał mi Obi-Wan Kenobi, była bardzo podobna. Strażniku, wyjaśnij Keiranowi Halcyonowi Moc sklasyfikowaną jako „kształtowanie myśli”.

Strażnik zwrócił się w moją stronę. Wbił we mnie spojrzenie czarnych, fasetowych oczu.

- Umiejętności Jedi w zakresie operowania Mocą obejmują trzy obszary. Kontrola jest umiejętnością wewnętrzną. Polega na tym, że Jedi rozpoznaje Moc w sobie i wykorzystuje ją dla swojej korzyści. Następnym krokiem jest zmysł, czyli czucie, polegające na tym, że Jedi rozpoznaje Moc w otaczającym go wszechświecie. Potrafi ją odczuć i czerpać z niej, by uzyskać informacje o swoim otoczeniu. Poprzez nią jest spojony z resztą wszechświata. Zmiana jest trzecią i najtrudniejszą do opanowania umiejętnością, zakłada bowiem zdolność oddziaływania na Moc i zmiany przepływu jej energii. Dzięki tej umiejętności Jedi może wpływać na wszechświat, dokonując w nim zmian niezbędnych do realizowania jego celów.

Umiejętność zwana kształtowaniem myśli sytuuje się na styku tych trzech obszarów umiejętności. Dzięki niej Jedi może projektować swój ogład rzeczywistości w umysłach innych albo zaszczepić im iluzję lub wniosek, które dana osoba powinna uważać za prawdziwy. Jest to wspaniała i niezwykle pożyteczna umiejętność, ale też najbardziej najeżona niebezpieczeństwami. Naginanie woli drugiej istoty w szlachetnym celu może być słuszne i dobre. Ale blisko tego talentu czai się Ciemna Strona, należy jej zatem używać ostrożnie.

Zamrugalem.

- No cóż, to bardzo ciekawe. Luke przytaknął.

- Kiedy na Tatooine zatrzymali nas szturmowcy szukający robotów, Obi-Wan Kenobi użył tej umiejętności, by przekonać ich dowódcę, że nie tych robotów szukają.

- Pamiętam, jak podczas mojej ucieczki z „Lusankyi” szukał mnie szturmowiec. Robiłem, co mogłem, by pomyślał, że mnie tam nie ma - i nie zauważył mnie.

Mistrz Jedi zmrużył oczy.

- Myślisz, że nieświadomie posłużyłeś się tą umiejętnością, jeszcze zanim rozpoczęłaś szkolenie?

- No, chyba tak. Czy to źle?

- Nie, wręcz przeciwnie. To wiele wyjaśnia. - Luke kiwnął głową w kierunku obrazu Bodo Baasa. - Jak zauważył strażnik, ta umiejętność stwarza ogromne możliwości. Niektórzy z Jedi mają większe predyspozycje w pewnych obszarach operowania Mocą - po prostu rodzą się z takim, a nie innym talentem. Możliwe, że twój talent dotyczy właśnie tej dziedziny.

- Być może. Dobrze wiedzieć, że mam jakiś talent, bo kiedy przychodzi do telekinety, jestem do niczego. Z drugiej strony, nie mam pojęcia, do jakiego stopnia jestem w stanie zmieniać cudze myśli. Pamiętam, jak próbowałem wpłynąć na szturmowca na Thyferze... z katastrofalnym skutkiem.

- Samo posiadanie określonego talentu nie oznacza, że zawsze ci wszystko wyjdzie. - Luke uśmiechnął się trochę nieśmiało. - Kiedy odwiedziłem kryjówkę Jabby,

udało mi się wpłynąć na umysł jego adiutanta, Twi'łeka, dzięki czemu zostałem wprowadzony przed oblicze jego pana. Ale zaraz potem poniosłem porażkę z samym Jabbą. Huttowie mają prawdopodobnie silniejszą wolę, a struktura ich umysłów bardziej się różni od ludzkiej niż w przypadku TwiMeków. Moje umiejętności nie zawsze gwarantowały mi sukces.

Przytaknąłem.

- Powiniennem też wziąć sobie do serca uwagę na temat Ciemnej Strony.

- Tak, zdecydowanie tak. - Luke wyłączył Holocron i strażnik zniknął. - Ciemna Strona kusi tych, którzy chcą osiągnąć zbyt wiele lub zbyt szybko. Zaniepokoiłem się trochę, że tak łatwo udało ci się sprawić, byśmy wszyscy widzieli to, co chciałeś, żebyśmy zobaczyli. To dlatego zapytałem Holocron o twoją umiejętność. Myślę, że powinieneś bardzo uważać, kiedy jej używasz. Chciałbym, żebyś dobrał sobie kogoś do pary i spróbował zmienić u tej osoby percepcję kolorów albo coś równie prostego, żeby poznać granice tego talentu. Oczywiście za pełną wiedzą i zgodą studenta.

- Masz to jak w banku - uśmiechnąłem się. - Chociaż kusi mnie, żeby sprawić, by Gantorisowi wydawało się, że jest ubrany, kiedy jest nagusieńki.

Luke roześmiał się lekko, chowając Holocron.

- Nadal myślisz jak pilot. Nie wiem, czy umieszczenie cię w tym pokoju było takim dobrym pomysłem. Proszę, nie rób tego Gantorisowi. Moce Jedi nie są po to, by ich używać do płaćania psikusów. Na dalszym etapie próby sił pomiędzy wami pomogą wyostrzyć wasze umiejętności, ale na razie powinniście współpracować. Twoja rywalizacja z Gantorisem martwi mnie.

Podniosłem rękę.

- Mistrzu, ja nie uważam Gantorisa za swojego rywala. Po prostu niespecjalnie go lubię. Przypomina mi pilota, którego poznałem tuż po wstąpieniu do Eskadry Łotrów. Nazywał się Bror Jace. Na początku nie najlepiej nam się układało, ale z czasem zaczęliśmy się rozumieć. Wprawdzie nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy, ale byliśmy w stanie współpracować. Udało nam się na przykład uwolnić jego rodzinną planetę od Ysanny Isard.

Mistrz Jedi na chwilę pochylił głowę.

- Gantoris miał niełatwe życie. Zdołał utrzymać przy życiu kolonistów z Eol Sha w bardzo trudnych warunkach. Przenieśliśmy jego ludzi na Dantooine, uwalniając go od odpowiedzialności za ich dalsze losy. Mimo to on nadal wymaga od siebie bardzo wiele, trzymając się tej samej ścisłej dyscypliny, dzięki której zdołał przeżyć na Eol Sha. Tutaj zobaczył, że ty stawiasz sobie jeszcze wyższe wymagania niż on, a twoja praca przynosi skutki w postaci zdumiewających sukcesów. Psychicznie nie jest w stanie ci dorównać. Chociaż nie udało ci się podnieść skały, ujawniłeś talent, którego on nie posiada i nie rozumie.

- A więc twierdzisz, że on po prostu nie umie się cieszyć wolnością, bo nigdy jej nie zaznał? Wszelkie wzorce zachowania, które stosował wcześniej, tutaj nie mają żadnej wartości, więc wybrał sobie mnie jako punkt odniesienia, według którego ocenia swoje postępy? - Potrząsnąłem głową. - Jest z nim gorzej, niż myślałem.

- Może mógłbyś mu pomóc.

Poczułem, jak chłodne powietrze przenika przez moją przeproconą tunikę.
 - Mogę spróbować.
 - Nie próbuj, po prostu zrób to.
 - Jeśli mi na to pozwoli. Zrobię, co będę mógł, ale jeśli on nie zechce się otworzyć, nic nie wskóram.
 - Będę ci wdzięczny za to, co uda ci się zdziałać. - Mistrz Jedi wskazał głową w kierunku wspólnej łazienki. - Umyj się i zjedz coś. Będziemy dziś bardzo zajęci. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z moim planem, reszta uczniów wyrobi w sobie umiejętność, którą wczoraj pokazałeś i będziemy mogli przejść do następnego etapu kształcenia rycerzy Jedi.

W ciągu kolejnych dni po naszej rozmowie wiele rzeczy stało się dla mnie jaśnych. Pierwszą z nich było to, że moja umiejętność odczuwania Mocy uzależniona jest od prostego wzoru sytuacyjnego - kiedy jestem pod presją, potrafię dotknąć i użyć Mocy. Udało mi się zmienić kolor kwitnącej mgławicowej orchidei dla Kirany Ti, a Tionna dzięki mnie mogła zobaczyć, jak wyglądałaby w innym kolorze włosów, ale nawet te proste rzeczy wymagały ode mnie ogromnego wysiłku.

Mistrz Skywalker był tym o wiele bardziej zaniepokojony niż ja. Myślę, że potrafiłem spojrzeć na to z dystansu dzięki szkoleniu, jakie przeszedłem w KorSek. Wszystkich rekrutów uczono posługiwania się różnymi typami blasterów. Do zdumienia powtarzano nam, że możemy dobyć broni i wycelować ją w kogoś tylko wtedy, gdy jesteśmy gotowi naprawdę jej użyć. Mówiono nam, że niedobrze jest odwoływać się do metod, które powodują eskalację napięcia, co oznaczało, że domyślnie działałem w trybie wyciszenia. Dopiero gdy wiedziałem, że musi mi się udać, puszczały ograniczenia, które na siebie nakładałem.

Mimo wszystko jednak teraz dużo częściej udawało mi się sięgnąć do Mocy. Luke miał rację - dostęp do Mocy pozwalał odbudować siły po długim biegu. Pozwalał przekonać ciało, że nie potrzebuje pożywienia, albo przyćmić ból. Nawet najłabszy strumyczek energii Mocy wystarczał, by wykonać te proste zadania, nie wymagające bogatych zasobów, do których sięgnąłem poprzedniego dnia, więc nie korzystałem z nich więcej. Wiem, że mistrz Skywalker chciał, byśmy wszyscy czuli się wygodnie, trenując użycie Mocy i rozwijając umiejętności we własnym tempie, ale mnie brakowało w naszym szkoleniu dyscypliny. Nie mieliśmy żadnego wzorca, którym moglibyśmy mierzyć nasze postępy - w pewnym sensie problem Gantorisa był również problemem każdego z nas. Ciężko było ocenić postępy, a przy bardziej usystematyzowanej metodyce moglibyśmy spróbować powtórzyć wcześniejsze wysiłki i nauczyć się świadomie, jak wykonywać dane zadanie.

Myślę, że sposób, w jaki szkolił się sam Luke - to, że miał dwóch nauczycieli i kształcił się w ekstremalnych warunkach - nie pomagał nam. Luke przekazywał nam lekcje, których nauczyli go Yoda i Obi-Wan, ale te nauki nie zawsze były tym, czego faktycznie potrzebowaliśmy w danej chwili. Bardzo pomocna okazała się Tionna, dając nam przykłady innych ćwiczeń, na jakie natrafiła studiując Holocron, ale zdarzało się, że Luke miał problemy z wytłumaczeniem nam, o co mu chodzi.

Kiedyś, w czasie najgłębszych ciemności Prawdziwej Nocy, mistrz Skywalker wezwał nas wszystkich bez słowa. Ubrany tylko w płaszcz z kapturem dołączyłem do kolegów, podążając na końcu w absolutnej ciszy. Mistrz Skywalker poprowadził nas przez Wielką Świątynię do tunelu, którego nigdy wcześniej nie zauważyłem. Pokryte pyłem kamienie wysysały ze mnie całe ciepło, a struzki zimnego powietrza, które dostrawiały się przez szpary płaszcza, mroziły skórę.

Schodziliśmy niżej i niżej, głęboko pod powierzchnię księżyca. Stopnie były wydeptane, ale nie śliskie i odniosłem niejasne wrażenie, że pochodzą z czasów poprzedzających wzniesienie samej świątyni. W końcu pochód zatrzymał się i wyczułem, że zbliżam się do Tionny na sekundę wcześniej, zanim wpadłem na jej plecy. Ponad jej ramieniem widziałem plamy światła tańczące na pozornie litej skale, ale struzki pary i powiew siarki sugerowały, że korytarz ciągnie się za nią jeszcze dalej.

Luke pochwalił Gantorisa i Karna za wyrażone głośno przypuszczenie, że nie dotarliśmy jeszcze do końca naszej drogi, po czym nacisnął coś w rodzaju przełącznika i ściana rozsunęła się, ukazując otwór, który pochłoniął całe światło niesionej przez Luke'a lampy. Szliśmy więc dalej, a kiedy korytarz zakreślił w lewo, woń siarki stała się jeszcze bardziej wyczuwalna. Towarzyszyło jej ciepło i wilgoć. Skroplona para wodna sprawiała, że ścieżka stała się śliska.

Wszedłem do podziemnej groty jako ostatni i stanąłem plecami do tunelu, naprzeciwko Luke'a, podczas gdy reszta studentów ustawiła się w krąg. Światło lampy jarzeniowej Luke'a tańczyło na powierzchni musującego mineralnego źródła. Para wodna unosiła się znad jego powierzchni, owiewając nas swoim drażniącym ciepłym dotykiem. Rozlegające się w przypadkowym rytmie odgłosy pękających bąbelków wypełniały ciszę, a gryzące powietrze paliło mi gardło. W świetle lampy jarzeniowej woda miała odcień głębokiego, przyjaznego błękitu, który mocno kontrastował z białą skorupą wytrąconych minerałów na otaczających źródło skałach.

- Tu właśnie mieliśmy dotrzeć - powiedział Luke tonem pełnym powagi. Zgasił lampę, przez co nagle znaleźliśmy się w absolutnych ciemnościach. Kilka osób westchnęło, aleja właściwie spodziewałem się tego. Cokolwiek zamierzał zrobić z nami w tym miejscu, sztuczne światło lampy wydawało się do tego nie pasować.

Po dłuższej chwili odległe światło gwiazd zaczęło przesączać się przez szczelinę w kamiennym sklepieniu nad nami, dzięki czemu byliśmy w stanie rozróżnić falujące zmarszczkami odbicie gwiazd w rozrywanych pękającymi bąbelkami lustrze wody. Obecne w wodzie glony emanowały przyćmioną poświatą, podświetlając krawędzie basenu, nie mogły jednak rozproszyć czarnego mroku jego głębi.

Głos Luke'a wypełnił groty.

- To ćwiczenie pomoże wam skoncentrować się i zestroić z Mocą. Woda ma idealną temperaturę, będziecie się w niej unosić, dryfując swobodnie, a kiedy sięgniecie poprzez Moc, dotkniecie wszechświata. - Kiedy ostatnie z jego słów przebrzmiały echem, wodę rozciąły zmarszczki, rozchodzące się od miejsca, gdzie wcześniej stał, wskazując, że niesłyszalnie wsunął się do wody.

Nie czekając na zaproszenie, zdjąłem płaszcz i wszedłem do basenu. W pierwszej chwili woda wydała mi się tak gorąca, że aż parzyła, ale wiedziałem, że to tylko złu-

dzenie, spowodowane tym, że zmarzłem. Ostrożnie zanurzyłem się po pas, a potem puściłem brzeg basenu i opadłem w dół, zanurzając się z głową. Woda wypłukała ostatnie ślady zimna z moich włosów i brody, a bąbelki gazu osiadły we włosach na mojej pierśsi.

Wynurzyłem się, potrząsając głową, by strząsnąć kropelki wody z powiek. Woda w basenie szybko ukoła ból mięśni, wlewając we mnie ciepło od koniuszków palców po czubek głowy. Wyciągnąłem ramiona na boki i podniosłem nogi, kładąc się na wodzie i pozwalając, by mnie unosiła. Odchyliłem głowę i popatrzyłem na gwiazdy w górze, zastanawiając się leniwie, ile z tych, które teraz widziałem, odwiedziłem w ciągu mojego życia.

Chwilami słyszałem plusk i szeptane przeprosiny, gdy ktoś wpadł niechcący na sąsiada. Przy tej temperaturze wody i sposobie, w jaki nas unosiła, bardzo łatwo było zapomnieć o fizycznej stronie naszego istnienia. Przypomniała mi się uwaga Yody, którą przekazał nam Luke, że jesteśmy świetlistymi istotami, a nie tylko zlepkim surowego mięsa i kości. Tu, w tej grocie, cieplej i odizolowanej mrokiem, zapomnienie o naszej cielesności stało się łatwiejsze niż kiedykolwiek.

A jeśli zapomnimy o ciele, pomyślałem, pozostanie tylko odczucie Mocy, która nas przenika.

W absolutnej ciszy zabrzmiał głos Luke'a.

- Nie ma emocji, jest spokój. Nie ma ignorancji, jest wiedza. Nie ma pasji, jest pogoda ducha. Nie ma śmierci, jest Moc. - Wymawiał słowa kodeksu Jedi z taką powagą i wewnętrzną siłą, aż złapałem się na tym, że powtarzam je sobie szeptem. Mój głos zlał się z głosami innych studentów, aż nasza litania wypełniła grootę, wiążąc nas w jedno.

Mistrz Skywalker zachęcał nas, byśmy wykorzystali wodę i ciepło, by uwolnić się od wszelkich wrażeń zewnętrznych, tak byśmy mogli naprawdę do głębi poczuć Moc. Unosząc się na wodzie słyszałem echo uderzeń mojego serca. Skoncentrowałem się na tym odczuciu, rozpoznając w nim oznakę życia. Pozwoliłem, by bicie serca zlało się w jedno z rytmem Mocy i poczułem, jak zaczynają wsączać się we mnie jej strużki.

Słyszałem, że Luke znowu coś mówi, ale jego słowa straciły znaczenie, widziane poprzez Moc. Zamiast słyszeć poszczególne sylaby, łączyłem je ze sobą, a potem przekładałem dźwięki na idee, poprzez Moc odczułem, jak intencje Luke'a układają się w zawirowania i prądy. Kierował naszą uwagę ku gwiazdom nad nami, a potem z powrotem w dół, do basenu, w którym się znajdowaliśmy.

Zmieniłem pozycję i unosiłem się teraz pionowo, patrząc w głąb poprzez wodę. Odbity obraz nieba zatonął pod pofalowaną powierzchnią, a potem nabrał głębi. Skrawek nieba powiększył się, jakby skały nad nami zastąpiła transpasta. Gdy Luke zapytał:

- Widzicie to? - Basen zniknął i znalazłem się w nieskończonej głębi kosmosu.

Sięgnąłem umysłem w przestrzeń i przyłączyłem się myślami do mistrza Jedi. Wykorzystując jego energię, wzbiłem się wysoko, przelatując przez gwiazdne systemy. Mijaliśmy mgławice, w których rodziły się nowe gwiazdy, i słońca wybuchające jako supernowe, pożerające całe systemy planetarne. Mknęliśmy, mijając światy, z których część rozpoznawałem, i inne, kompletnie mi nieznane. Odwiedziliśmy systemy, gdzie

imperialni lordowie walczyli między sobą o supremację, albo planety, na których uciekinierzy z innych systemów próbowali rozpocząć nowe życie.

Podczas tej podróży przez chwilę złapałem przeblask jakiegoś znanego mi uczucia. Chciałem zatrzymać się przy tym na chwilę, bo rozpoznałem delikatne jak piórko dotknięcie czyjejś świadomości. Sekunda, której potrzebowałem, by nawiązać kontakt, okazała się zbyt długa, bo chociaż wyczułem obecność Mirax, Luke oderwał mnie od niej. Obróciłem się wokół własnej osi, próbując ją odnaleźć, ale nie udało mi się.

Miejsce, w którym się znajdowała, emanowało wrogością i niebezpieczeństwem. Zagrożenie nadchodziło początkowo z miejsca, gdzie wyczułem Mirax, by zaraz przenieść się bliżej, w głąb księżyca, na którym się znajdowaliśmy. Zrozumiałem, że groźba, którą wcześniej wyczułem, nie była tą samą, przed którą ostrzegał nas teraz mistrz Skywalker. Musiał wyczuć inne niebezpieczeństwo, bliższe i bardziej bezpośrednie.

Gdzieś w głębi skorupy naszego księżyca uwolniły się gorące gazy, które pod ogromnym ciśnieniem przeciskały się do góry ku powierzchni. Parzący bąbel przenikał przez te same szpary i szczeliny, dzięki którym woda mogła wypełnić basen, w którym wszyscy pływaliliśmy. Za chwilę nie dłuższą niż kilka uderzeń serca woda zakipi gorącym gazem, gotując nas żywcem.

Walczyłem z paniką i byłaby to walka przegrana, gdyby nie dwie rzeczy. Ponad pluskiem tych, którzy usiłowali dopłynąć do brzegu, przebił się głos mistrza Skywalkera:

- Jedi nie czuje chłodu ani upału. Jedi umie usmierzyć ból. Połączcie swoje siły z potęgą Mocy. - Spokój i siła jego głosu pokonały mój strach i pozwoliły się skoncentrować.

Drugą rzeczą był głos łapiącej głośno powietrze Tionny. Podrzutem ciała próbowała złapać się brzegu niecki, ale jej szczupłe palce zsunęły się z krawędzi. Zanurzyła się pod powierzchnię i wypłynęła, parszcząc i krztuszcząc się. Zaniósła się kaszlem i głośno łapała powietrze, aż dotarło do niej, że nie zdoła na czas wydostać się z basenu. W słabej poświacie porostów odbitej od jej perłowych oczu zobaczyłem, że o tym wie.

Nie mogłem się zgodzić, by teraz spotkała ją śmierć. Frustracja, ból i smutek, które dręczyły mnie, kiedy ojciec umierał w moich ramionach, zamieniły się w determinację. Postanowiłem, że Tionna nie umrze tu i teraz. Wiedziałem, że jestem w stanie - używając Mocy - zapobiec jej śmierci. Otworzyłem się na energię Mocy z niewzruszonym postanowieniem, że zrobię wszystko, czego potrzeba, by ją ratować - nawet jeśli oznaczać to będzie moją własną śmierć. Moc wypełniła mnie w tym samym momencie, gdy gorący gaz zagotował wodę w basenie. Poczułem, jak ukrop dotyka najpierw moich stóp i spodziewałem się, że Moc skanalizuje ciepło wokół mnie. Zamiast tego ciepło popłynęło przede mną, ale Moc izolowała mnie od skutków jego destruktywnego potencjału, przekształcając go w energię, którą byłem w stanie wykorzystać. Nie zastanawiając się, wyciągnąłem prawą rękę w stronę Tionny i podniosłem ją.

Srebrnowłosa studentka uniosła się nad wodę i popłynęła ku krawędzi basenu jak na repulsorowym wózku. Posadziłem ją na ziemi najdelikatniej jak umiałem. Opadła na jedno kolano i zaniósła się kaszlem. Srebrne włosy spływały z jej głowy jak kurtyna.

Odwrociłem się, żeby zobaczyć, czy nikt więcej nie potrzebuje pomocy, ale wzbudzona powierzchnia wody uspokoiła się już, a pozostali uczniowie byli bezpieczni. Nie wyczułem u nikogo bólu, a tylko zaskoczenie, wdzięczność i zaufanie. Twarz rozciągnęła mi się w uśmiechu, gdy uświadomiłem sobie, że ja też przeżyłem zabójcze wyzwanie, używając Mocy.

- Na dziś wystarczy. - Usłyszałem plusk, gdy Luke podciągał się, by wyjść z basenu. - Przemysłcie sobie to, czego się dziś nauczyliście.

Po raz kolejny okazało się, że kiedy zachodziła autentyczna potrzeba, umiałem użyć Mocy. Przeniesienie Tionny w bezpieczne miejsce zdziwiło mnie. Wyglądało na to, że energia, którą wchłonałem, musiała *znaleźć* dla siebie jakieś ujście. Użyłem jej zatem, by zasilić telekinezę, do której wcześniej okazywałem się niezdolny. Miło było wiedzieć, że przy dopływie energii z zewnątrz potrafię przenosić obiekty siłą umysłu, chociaż normalnie jestem w tym beznadziejny. To jednak nie miało w tej chwili znaczenia. Liczył się fakt, że Tionna była bezpieczna i bardzo mnie to ucieszyło.

Podpłynąłem do krawędzi basenu i wyszedłem z wody. Chłodne powietrze natychmiast zaczęło kąsać skórę zimnem, wywołując gęsią skórkę. Rozejrzałem się, szukając mojego płaszcza i zobaczyłem, jak pod pływa w powietrzu w moją stronę. Włożyłem go i podziękowałem Luke'owi skinieniem głowy.

Mistrz Jedi obserwował mnie uważnie. Jego oczy zachowały swój intensywny błękit nawet w przyćmionym półświatle.

- Czy wiesz, co tu zrobiłeś?

- Jeśli się orientuję, Moc pozwoliła mi posłużyć za przewodnik ciepła.

- Bardzo dobrze. Istnieje też wśród Jedi inna umiejętność, która przejawia się absorbowaniem i rozpraszaniem energii. Mój ojciec miał taką zdolność. Umiał wchłonać lub odbić strzał blastera bez szkody dla siebie. - Głos Luke'a stał się chłodniejszy. - Umiał nawet robić telekinetyczne sztuczki przy użyciu wchłoniętej w ten sposób energii.

- Nie podoba mi się to, mistrzu - rozłożyłem ręce. - Ja po prostu wiedziałem, że Tionna umrze, jeśli nic nie zrobię. Uniesienie jej nad wodę wydawało się najbardziej bezpośrednią metodą ratunku. Nie zastanawiałem się, tylko działałem.

- Wiem. To bardzo dobrze. Moc powinna być bardziej w sercu niż w głowie. Nie chciałem, by moje słowa zabrzmiały jak krytyka. - Jego głos znów stał się ciepły. - Chodzi tylko o to, że pośpiech może prowadzić do niecierpliwości, która jest zaproszeniem dla Ciemnej Strony. Lepiej by się stało, gdybyś pozwolił tej energii rozproszyć się w przestrzeni poprzez Moc.

- Tak, mistrzu.

Luke podszedł i klepnął mnie w ramię.

- Dobrze sobie poradziłeś. Gantoris też - uratował Dorska 81, a pozostali także przeżyli to nieoczekiwane wyzwanie. To dobry znak na przyszłość.

- Na pewno masz rację, mistrzu. - Usłyszałem, jak wypowiadam te słowa, ale chłód podpełzający do moich stóp kazał mi zastanawiać się przez całą drogę powrotną, czy w pobliżu nie czai się kolejna katastrofa, by rozedrzeć nas na strzępy.

ROZDZIAŁ

13

Następnego ranka obudziłem się otumaniony i nie zauważyłem, że zaczynam swój bieg później niż zwykle. Mniej więcej w połowie drogi, kiedy byłem najdalej od Wielkiej Świątyni, uświadomiłem sobie, jak jest późno. Chociaż Luke nadal pozwalał nam na dużą dowolność w rozkładzie szkolenia, zazwyczaj rano wołał, żebyśmy zaczęli naukę wcześniej. Starłem się przyspieszyć kroku, ale wiedziałem, że kiedy dobiegnę do świątyni, wszyscy już tam będą.

Miałem ochotę kopnąć się w zadek za swoją głupotę. Poprzedni wieczór przyniósł imponujące zwycięstwo w mojej walce o uzyskanie dostępu do Mocy. Stan wyższej konieczności pozwolił mi szeroko otworzyć się na jej przepływ, chociaż już wcześniej umiałem ją odczuwać. Wiedziałem, że ten krok pozwoli mi szybko posunąć się do przodu i nie mogłem się doczekać porannych ćwiczeń, żeby zobaczyć, czy uda mi się dokonać dalszych postępów, opierając się na tym, czego nauczyłem się poprzedniej nocy.

Obudziłem się niewyspany, bo nie za dobrze spałem. Mistrz Luke wspominał, że koszmary nocne nieczęsto zakłócają sen Jedi. Nie wiem dlaczego, ale rzadko mi się coś śniło. Kiedy już śniłem, były to zazwyczaj złe sny, po których budziłem się zmęczony i niewyspany.

Tej nocy koszmary często przerywały mi sen. Śniło mi się, że ulatuję z powrotem w to miejsce, gdzie poczułem obecność Mirax, i próbuję zamrozić gwiazdy na niebie, by zorientować się, gdzie jestem, ale one jedna za drugą mrugają i gasną, pozostawiając mnie samego w kompletnych ciemnościach. Kiedy patrzyłem na swoje ręce, widziałem poprzez ciało, jak kości rozkładają się i gniją, a potem zapadłem w nicość, by bez końca rozmyślać o tym, że kiedy Mirax mnie potrzebowała, zawiodłem ją.

Trudno mi wyobrazić sobie większy koszmar.

Zbliżając się z powrotem do świątyni usłyszałem odgłos, który sprawił, że zdobyłem się na wysiłek, by przyspieszyć. Syczące buczenie miecza świetlnego i skwierczący trzask, gdy ostrze coś przecina, to dźwięki, których się nie zapomina, kiedy raz sieje usłyszało. Nie mogłem sobie wyobrazić, by Luke i Kam zaczęli kogokolwiek uczyć władania mieczem świetlnym pod moją nieobecność. Natychmiast uświadomiłem so-

bie, że to arogancka i niegodna myśl, ale skoro byłem w tej chwili jedynym oprócz Luke'a posiadaczem miecza świetlnego na Yavin, nie była pozbawiona sensu.

Wbiegłem na polanę dokładnie w tym samym momencie, gdy Luke przyparł Gantoris plecami do fioletowego pnia drzewa Massassi. Skąd Gantoris ma miecz świetlny? - zapytałem się w duchu. Jego czarny warkocz ze świstem przeciął powietrze, gdy Gantoris przewrócił się, oddzierając kawał sinawej kory z pnia drzewa. Klęcząc na grubym korzeniu, wsparty łokciami o ziemię, patrzył na zbliżającego się Luke'a. Białofioletowe ostrze miecza Gantoris nadal było wycelowane w Luke'a, ale z miejsca, gdzie znajdował się uczeń, nie zdołałby trafić mistrza.

Nagle Gantoris zrobił coś, co spowodowało, że ostrze jego miecza wydłużyło się dwukrotnie. Uderzył więc, ale Luke poruszał się szybciej, niż uważałem za możliwe. Nad szarym rękawem kombinezonu lotniczego, w który ubrany był mistrz Jedi, w miejscu gdzie popieściło go ostrze, uniosła się smużka dymu, ale tak naprawdę cięcie Gantoris nie przyniosło żadnej szkody. Luke przyjął pozycję obronną, zasłaniając się zielonym ostrzem, gotowy do odparcia kolejnego ataku.

Gantoris wstał, podczas gdy Luke się wycofywał, i natarł pewnie. Długość jego miecza świetlnego dawała mu przewagę, którą wyraźnie zamierzał wykorzystać. Nacierał na Luke'a krok za krokiem, tnąc raz po raz z zaciętością, którą widywałem tylko u opętanych przyprawową paranoją narkomanów. Chociaż Luke bez trudu parował każdy cios, nie dopuszczając Gantoris w wewnętrzny krąg obrony, ten nadal posuwał się naprzód. Obsesyjna intensywność ataku spychała Luke'a do miejsca, gdzie pozostawało mu tylko podskoczyć w górę, lądując na konarze drzewa Massassi.

Obserwowałem zdრtęwiały, jak Gantoris czeka, aż Luke ponownie zeskoczy z gałęzi. Pozostali studenci usunęli się na skraj polany. Czekali pomiędzy drzewami, niepewni, co mają robić. Podobnie jak ja, Kam nie miał przy sobie miecza. Kiedy na mnie spojrział, wiedziałem, że tak jak ja zastanawia się, jakie są szanse, byśmy dobiegli do świątyni po miecze i wrócili na czas, by móc zmienić wynik walki.

Ale jeśli Gantoris jest w stanie zabić mistrza Jedi, pomyślałem, jakie mam szansę, że go powstrzymam?

Luke zadał Gantorisowi pytanie, ale brzęczenie mieczy zagłuszyło je, tak samo jak odpowiedź Gantoris, który zaraz potem ciął mieczem w drzewo, przecinając je na pół. Spłoszone styntaryle wzbily się w powietrze z najwyższych gałęzi głośno popiskując. Ostry zapach soku doszedł do mnie w tym samym momencie, gdy drzewo powoli runęło na ziemię, przy wtórze trzasków łamanych krzaków i młodych drzewek, które znalazły się na jego drodze.

Mistrz Skywalker zeskoczył na ziemię nietknięty i ponownie ustawił się, by przyjąć atak Gantoris. Ten skrócił ostrze i ruszył do przodu. Luke ustąpił mu pola, blokując cięcia znacznie bliżej ciała niż poprzednio. Wyglądało, że słabnie i męczy się coraz bardziej. Domyśliłem się, że to pułapka na Gantoris, który jednak nie myślał dość jasno, by to zauważyć. Nacierał dalej, wycinając sobie drogę przez liściaste zarośla i kosząc mgławicowe storczyki.

Nagle Luke pochylił się i zniknął w krzakach. Gantoris rzucił się do przodu, mówiąc ostrzem skwierczącego miecza zarośla na swojej drodze. Zacząłem biec w jego kie-

runku, wściekły, że nie umiem podnieść Gantoris w ten sam sposób, jak Tionnę zaledwie parę godzin wcześniej. Próbowałem wymyślić, jaką też wizję mógłbym zaszczepić w umyśle Gantoris, by go rozproszyć i oddzielić od Luke'a, ale nie zdążyłem.

Fioletowe ostrze miecza Gantoris spadło w dół w uderzeniu znad głowy, które wypaliło ciemną pręgę w poszyciu. Usłyszałem zdziwiony pisk, a po chwili pomarańczowo upierzone stworzenie wybiegło pomiędzy krzaków, pędząc jak strzała przez polanę prosto na Gantoris. Ten odwrócił się, by zmierzyć się z nowym zagrożeniem, ale miecz wyleciał mu z ręki do góry, a ostrze zgasło.

Luke złapał miecz nadlatujący w jego stronę i zgasił własne ostrze. Stał naprzeciwko Gantoris bez ruchu. Patrzyli na siebie, dysząc ciężko; pot spływał im po twarzach, ale żaden nie chciał okazać słabości. Teraz, gdy ucichło syczenie mieczy, na polanie wzięły górę pisk uciekającego zwierzaka i normalne odgłosy dżungli.

Wtedy Luke zrobił coś, co kompletnie mnie zaskoczyło. Podał Gantorisowi jego miecz rękojęcią do przodu. Gantoris nieśmiało przyjął broń, biorąc ją obiema rękami. Przyjrzał się jej, obracając rękojęć we wszystkie strony, jakby widział miecz po raz pierwszy, a potem podniósł wzrok na Luke'a.

Mistrz Jedi kiwnął głową.

- Dobre ćwiczenie, Gantorisie, ale musisz się nauczyć kontrolować swój gniew, bo może cię doprowadzić do zguby.

Opadłem na kolana w niemyim zdziwieniu. Patrzyłem, jak Gantoris odwraca się i odchodzi w głąb dżungli. Pozostali studenci wyglądali na równie zdziwionych tym, co się stało, jak ja. Szeptali zbici w małe grupki, gdy Luke wynurzył się pomiędzy drzew, przypiął miecz do pasa i włożył płaszcz.

Rozejrzał się wokół spokojnie i nawet lekko uśmiechnął.

- Chyba za wcześniej dziś zaczęliśmy po ćwiczeniu wczorajszej nocy. Zbierzemy się ponownie po południu. - W jego słowach wyczułem lekką zachętę, byśmy wrócili do swoich pokoi, ale oparłem się jej. Pozostali poszli za tą sugestią i oddalili się, wtapiając między drzewa.

Luke popatrzył na mnie z półuśmiechem.

- Tak myślałem, że nie pójdziesz z innymi. Nie widziałeś chyba początku?

Potrząsnąłem głową.

- Koniec zupełnie mi wystarczył. Co zamierzasz zrobić?

- Zrobić? Już zrobiłem. Opadła mi szczęka.

- Jeśli czegoś nie przegapiłem, jeden z twoich podopiecznych znalazł albo jakimś cudem zbudował miecz świetlny, którym dopiero co próbował cię zabić. Nie uważasz tego za powód do niepokoju?

- Dlaczego dziwi cię, że Gantoris znalazł sposób, by zrobić miecz świetlny? Ty i Kam już macie własne miecze. Przecież rozmawialiśmy o tym, że Gantoris z tobą rywalizuje.

Uniosłem ręce.

- To jest pewien problem, ale według mnie nie to jest najważniejsze.

Luke zmrużył oczy.

- W takim razie widzisz problem tam, gdzie go wcale nie ma. Zawahałem się i poczułem, jak ściska mi się żołądek. - Nie, mistrzu, to nie tak. Nie chciałem okazać ci braku szacunku - westchnąłem. - Po prostu chcę to zrozumieć. Gantoris zajął się czymś, co nie powinno go jeszcze interesować. Musisz go zdyscyplinować.

- To przyszły rycerz Jedi. Nie mogę go traktować jak dziecko. - Luke potrząsnął głową. - To by przeszkodziło w jego rozwoju. Jest bardzo dobry, jeden z najlepszych. Po prostu trzeba nim pokierować.

- Więc zrób to. - Dłonie zacisnęły mi się w pięści, ale zmusiłem się, by je otworzyć. - Zakładasz, że zauważy błąd w swoim postępowaniu i nigdy więcej go nie popełni. Przecież on cię zaatakował! Już wcześniej okazywało się, że nie najlepiej odróżnia dobro od zła. Nie będzie w stanie dostrzec, gdzie przebiega granica między nimi, jeśli nie ukarzesz go za jej przekroczenie.

Mistrz Jedi powoli potrząsnął głową.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że Gantoris już teraz żałuje tego, co zrobił. Sięgnij uczuciami, a też to odczujesz. On sam się uczy, gdzie przebiega ta granica i jak pozostać po Jasnej Stronie.

Zrobiłem, o co prosił i rzeczywiście wyczułem u Gantorisa wyrzuty sumienia i zmieszanie.

- Masz rację, mistrzu. Wiem, że wierzysz w odkupienie. To prawda, co powiedziałeś o Gantorisie. Chyba po prostu nie rozumiem, dlaczego miałby ująć kary, kiedy zrobił coś złego.

- Nie masz tego rozumieć, Keiranie, tylko odczuć. - Luke potarł dłonią czoło. - Karanie prowadzi do Ciemnej Strony.

Westchnąłem.

- Wiem o tym. Mógłbym się kłócić, że drobna kara teraz mogłaby zapobiec katastrofie później, ale nie sądzę, by mnie to gdzieś doprowadziło.

- Widzisz, Keiranie, nie tylko twoje umiejętności posługiwania się Mocą rosną, ale także twoja mądrość życiowa.

Nie chciałem się roześmiać, ale jego uwaga była zabawna. Mimo wszystko fakt, że wypowiadał ją ktoś w moim wieku, był trochę gorzki. Luke na pewno zasługiwał na tytuł mistrza Jedi, ale trochę żalowałem, że jesteśmy pierwszą grupą, na której ćwiczył swoje umiejętności pedagogiczne. Widać było, że ma pewną wizję naszej nauki - i to skuteczną, bo wszyscy robiliśmy postępy. Tyle że jedni szybciej niż inni, pomyślałem.

Mimo wszystko nie byłem przyzwyczajony do metod, które stosował. Przypomniało mi się, co Iella mówiła o moim konflikcie serca i umysłu i wiedziałem, że w tym tkwił problem.

- Będę dalej rozmyślał o swojej ignorancji, mistrzu, żeby się przekonać, ile jeszcze mądrości mi brakuje. Ale jeśli pozwolisz, chciałbym ci zadać jedno pytanie.

- Proszę. Podrapałem się po karku.

- O co zapytałeś Gantorisa i co ci odpowiedział, zanim rozplątał to drzewo?

- Zapytałem, skąd dowiedział się wszystkiego, co trzeba, by złożyć miecz świetlny. - Ramiona Luke'a zeszytywniały. - Odpowiedział, że nie jestem jedynym nauczycielem Jedi.

- To nie najlepsza odpowiedź. Czy myślisz, że mógł uzyskać tę wiedzę z Holocronu?

- Nie wydaje mi się. Holocron sam określa poziom umiejętności pytającego i nie podaje informacji, na które ten nie jest jeszcze gotowy. - Uśmiechnął się niepewnie. - To działa tak dobrze, że sam nie wiem, czy jest tam coś, czego jeszcze powinienem się nauczyć.

- Jeśli nie od Bodo Baasa, to od kogo mógł się tego dowiedzieć? - zmarszczyłem brwi. - Ja nie mogłem go tego nauczyć, nie sądzę, by zrobił to Kam i zakładam, że ty też nie. Więc kto?

Luke przez chwilę pozostał nieporuszony, po czym potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Ale przecież to musiał być Jedi albo ktoś, kto posiadał ich wiedzę i najprawdopodobniej doskonale włada Mocą.

- Chyba tak.

- A jednak ostatniej nocy, kiedy byliśmy tak bardzo otwarci na Moc, że mogliśmy skatalogować gwiazdy, nikt z nas nie wyczuł tu takiej osoby?

Oczy Luke'a zamieniły się w wąskie szafirowe szparki.

- Nie.

Wzdrygnąłem się, i to nie dlatego, że byłem mokry od potu.

- Czy to martwi cię równie mocno, jak mnie?

- Jeszcze bardziej, Keiranie. - Płaszcz Luke'a zafalował, gdy ten wzruszył ramionami. - O wiele bardziej.

R O Z D Z I A Ł

14

Biegając w dół korytarza do pokoju Gantorisa wyczułem powiew trująco słodkiego odoru, który znałem z czasów mojej służby w KorSek. Nie chciałem zaglądać do pokoju, bo z góry wiedziałem, co tam zobaczę. Grupa studentów odgradzała mnie od widoku za drzwiami, ale nie zatrzymała dochodzącego stamtąd zapachu.

Usłyszałem, jak mistrz Skywalker mówi: „Strzeżcie się Ciemnej Strony”, a po chwili tłuste pasmo dymu snującego się pomiędzy uczniami rozdzieliło ich na boki. Niektórzy odwrócili się i pobiegli ciężko przez korytarz, zasłaniając usta dłońmi. Streen i Kam Solusar trzymali się futryny po obu stronach drzwi, patrząc w głąb pokoju z twarzami barwy popiołu. Przecisnąłem się między nimi, podnosząc kołnierz tuniki, by zakryć nos. Odwrócili się, zostawiając mnie sam na sam z Lukiem i tym, co pozostało z Gantorisa.

Jego ciało leżało pod ścianą małej kamiennej komnaty - w każdym razie zakładałem, że to jego ciało, bo trudno było dopatrzeć się podobieństwa w zwęglonych szczątkach. Rozpadły się w pewnych miejscach na popiół, odstaniając szerniałe kości. Mięśnie skurczyły się pod wpływem wysokiej temperatury, wyginając w łuk kręgosłup i odchylając do tyłu głowę mężczyzny. Usta pozostały otwarte w niemym krzyku. Dym unosił się nadal znad jego rycerskiej szaty, a miecz świetlny potoczył się pod ścianę i tam spoczywał.

Luke Skywalker stał nad zwłokami Gantorisa, patrząc w dół na jego szerniałe szczątki.

- Co się stało? Znów cię zaatakował?

Luke odwrócił się, patrząc na mnie udreżonym spojrzeniem zaczerwienionych oczu, po którym poznałem, że nie po raz pierwszy oglądał ciało w takim stanie.

- Myślisz, że mógłbym zrobić coś takiego? - Ból w jego głosie przeszył mnie na wyłot.

- O nic cię nie oskarżam. Chcę tylko wiedzieć, co się stało. - Kucnąłem obok ciała. - Skrzywienie zawodowe. Kto go znalazł?

- Dorsk 81 przyszedł po mnie, więc przypuszczam, że on. Pozostali zebrali się tu już po naszym przyjściu.

Kiwnąłem głową.

- Będę chciał z nimi porozmawiać. Luke zamrugał, wyraźnie zaskoczony.

- Chcesz tu przeprowadzić śledztwo? Podniosłem głowę.

- A nie powinienem?

Mistrz Jedi zawahał się przez chwilę, a potem przytaknął.

- Tak, oczywiście, że powinieneś. Musimy wiedzieć, co się tu wydarzyło.

- Właśnie. - Wskazałem palcem na ciało i zakreśliłem krąg wokół niego. - Pewne rzeczy mogę stwierdzić już teraz. Brak jednolitego rozkładu stopnia zwęglenia i nieobecność zapachu chemikaliów wskazuje, że nie użyto żadnego katalizatora. Innymi słowy, nikt nie oblał go łatwopalną substancją, by zamienić w pochodnię.

Luke skrzywił się, słysząc mój opis.

- Rozumiem.

- Przyjrzyj się jego palcom i uszom.

- Bardzo spalone.

- Tak, ale coś z nich jednak zostało. W przypadku spalenia te małe fragmenty rozpadają się najwcześniej. A fakt, że nadal ma na sobie ubranie, chociaż w poważnym stopniu zwęglone... - głos mi zamarł, bo wniosek, który się nasuwał, przeczył moim dotychczasowym doświadczeniom. - Wygląda mi na to, że spalił się od środka. Coś takiego wymagałoby ogromnej ilości energii... jak uderzenie pioruna albo mnóstwo połączonych kuchenek mikrofalowych, a nie mamy tu nic takiego.

- Nie, ale on miał w sobie tę energię. - Głos Luke'a przeszedł w szept. - Swój gniew.

- Myślisz, że pochłonął go własny gniew? - Tak. Myślę, że używał go, by dotrzeć do sił Ciemnej Strony, której nie potrafił kontrolować. Gdybyś nie zdołał znaleźć ujścia dla energii, którą zaabsorbowałeś wczoraj w grocie, też byś tak wyglądał.

Sięgnąłem po miecz świetlny Gantorisa, ale nie wyczułem w nim ciepła ani żadnych uszkodzeń spowodowanych przez ogień.

- Chciałbym zrobić pełną analizę miecza w laboratorium. Odciski palców, osady tkanki, sposób działania... zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz.

Luke potrząsnął głową.

Dowiesz się tylko tyle, że miecza dotykałem ja i Gantoris.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. - Luke uniósł ręce. - Jeśli otworzysz się na ten pokój, poczujesz osad ostatnich chwil Gantorisa. Jest tu wiele gniewu i wiele bólu, a także wątpliwości i przeciwstawiania się czemuś. Ból ma charakter i fizyczny, i psychiczny. Wygląda na to, że Gantoris przed śmiercią był torturowany.

Wstałem. Ciało Gantorisa leżało między nami jak bariera.

- Kto mógłby mu zrobić coś takiego? Luke potrząsnął głową.

- Nikt z was. Ze wszystkich bardzo wyraźnie emanują szok, zaskoczenie i przerażenie. Nikt z nich nie brał w tym udziału.

- A ja?

- Zaskoczenie... to na pewno, a także determinacja, by rozwiązać tę zagadkę. - Luke przyglądał mi się spod przymkniętych powiek. - Gdybyś chciał go zabić, sprowoko-

wałbyś pojedynek albo użył iluzji, by spowodować śmiertelny wypadek. Nie byłbyś tak nieudolny ani nie zostawiłbyś po sobie takiego dowodu. Nie, ty zrobiłbyś to subtelnie.

- Dziękuję... to chyba komplement. - Skrzyżowałem ręce na piersi. - Jeśli to nie my, więc kto?

- Nie wiem. - Twarz Luke'a pociemniała. - Gantoris przeczuwał tę katastrofę. Jeszcze przy naszym pierwszym spotkaniu pytał mnie, czy jestem „mrocznym mężczyzną”, który doprowadzi go do nieszczęścia. Powiedział: „Jeśli za tobą pójde, będę zgubiony”. Wówczas myślałem, że po prostu martwił się, co stanie się z jego ludźmi, jeśli ich zostawi. A wczoraj wieczorem, kiedy wychodziliśmy z groty, powiedział mi, że to nie ja jestem tym „mrocznym mężczyzną”.

Zagryzłem wargi.

- A zatem Gantoris zidentyfikował mrocznego mężczyznę. Mówiłeś mi też, że on wspomniął, iż nie jesteś jedynym nauczycielem Jedi. Możemy chyba bezpiecznie założyć, że to mroczny mężczyzna jest tym drugim nauczycielem. Fakt, że nie wyczuwasz jego obecności, nie rokuje zbyt dobrze.

- Nie może pozostać w ukryciu na zawsze.

- I chyba nie zamierza.

- Co masz na myśli? Spojrzałem w dół na ciało Gantorisa.

- Powiedziałeś, że gdybym chciał zabić Gantorisa, zrobiłbym to subtelnie. Ta śmierć jest jak najdalsza od subtelności. Mamy tu kogoś uśmierconego w sposób, który się nie zdarza w naturze, w dodatku zabitego właśnie tu, w samym sercu akademii. To poprzeczne cięcie na ścianie wskazuje, że Gantoris najwidoczniej próbował walczyć ze swoim oprawcą, ale bezskutecznie. Kiedy pracowałem w KorSek, pomagałem wytropić jednego czy dwóch socjopatycznych zabójców. Pozostawiając ciała otwarcie, na widoku, sztychli z nas. To tak, jakby morderca mówił, że jest od nas sprytniejszy, silniejszy i bardziej przebiegły. Gantoris próbował zabić tego kogoś mieczem świetlnym, ale mu się nie udało. To oznacza, że reszta z nas ma niewielkie szanse, by go pokonać. On rzucił wyzwanie nam wszystkim i tobie. Najwyraźniej przeciągnął jednego z twoich uczniów na Ciemną Stronę, a potem zostawił go tu jak porzuconą zabawkę, by okazać ci swoją pogardę.

Luke objął się ramionami.

- Myślę, że rzucił mi wyzwanie nawet bardziej bezpośrednio. Potrząsnąłem głową.

- Nie chwytam.

- Dzisiejszej nocy miałem koszmary. Stałem z moim ojcem na szczycie tej świątyni, ale w czasach, kiedy żyli jeszcze Massassi. To musiało być tysiące lat temu. Ojciec próbował mi wytłumaczyć, że to Obi-Wan ponosi winę za to, że dał się uwieść złu, studiując nauki Sithów. Większość tego, co mówił, nie wydawała się pozbawiona sensu, ale potem zaprosił mnie, bym wstąpił na jego ścieżkę. Wiem, że mój ojciec nigdy by tego nie zrobił. Oskarżyłem go, że tylko podszywa się pod niego. Wtedy jego wizerunek zamienił się w cień, który pochłonął wszystko dookoła. W tym momencie obudził mnie Artoo, więc nie wiem, co jeszcze miało się wydarzyć w tym śnie.

- Zamienił się w cień? - wzdrynąłem się. - Mroczny mężczyzna Gantorisa? - Obi-Wan twierdził, że nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. Jestem skłonny sądzić,

że wszystko to wiąże się ze sobą. - Twarz Luke'a stwardniała. - Muszę bardzo dokładnie rozważyć, jak powinienem dalej postąpić.

- W takim razie pozwól, że coś ci podsunę.

- Bardzo proszę.

- Po pierwsze, mroczny mężczyzna zdołał przekonać Gantorisa, że może mu zaproponować coś, czym ty nie jesteś w stanie lub nie chcesz się podzielić. Gantoris nie miał dostatecznej wiedzy ani kontroli nad Mocą, aby oprzeć się takim kuszącym propozycjom. Myślę, że powinieneś wykorzystać Holocron jako źródło, z którego będziemy czerpać poczucie historii i celu tego, co robimy. To nas skłoni do większych wysiłków, by odbudować zakon Jedi.

- I uniknąć łatwych rozwiązań, jakie oferuje Ciemna Strona.

- Właśnie.

Mistrz Jedi zastanowił się przez chwilę i przytaknął.

- A ta druga sprawa?

- Powiedziałeś, że w swoim śnie widziałeś Massassów i świątynię przed tysiącami lat. Myślę, że dobrze by było przeprowadzić małe dochodzenie na temat Yavin 4 i świątyni. Może Holocron będzie mógł udzielić nam tych informacji. Jeśli uda się nadać imię i twarz temu mrocznemu mężczyźnie albo zorientować się, o co mu chodzi, łatwiej nam będzie go powstrzymać.

- Obie propozycje są sensowne. - Luke uśmiechnął się do mnie pośpiesznie. - Ja zajmę się pierwszą. Tionna poświęca dużo czasu na wyszukiwanie w Holocronie legend i podań o Jedi, więc będzie mogła mi pomóc. A przy twoim przygotowaniu powinieneś sobie poradzić z dochodzeniem na temat tożsamości ciemnego mężczyzny.

- Zbuduję jego profil psychologiczny. Jeśli zdołamy wymyślić, do czego dąży i w jaki sposób rozumuje - mamy go.

- Dobrze. - Luke spojrział w dół na ciało Gantorisa, a potem na mnie. - Jeśli Nowa Republika ma się rozwijać i umacniać, nie możemy pozwolić, by Jedi zostali zniszczeni.

Nie było już sensu kłaść się spać tej nocy, poszedłem więc do niewielkiej biblioteki, gdzie studiowaliśmy Holocron. Nie czułem się na siłach, żeby od razu zabrać się do śledztwa, ale poszperanie w Holocronie i przekonanie się, jak działa, wydało mi się dobrym pomysłem. Zielonkawa poświęcała wyjątkowo dużo czasu na korytarz świadcząca o tym, że jeszcze ktoś używa w tej chwili urzędowania, a ciekawość, kto to taki, zaprowadziła mnie prosto do pokoju.

W środku, obłana zielonkawym światłem emanującym z wizerunku Bodo Baasa, siedziała Tionna. Wyglądała smukło, zgrabnie i uroczo, a w zielonkawym odcieniu, jakie światło nadawało jej włosom, było jej dużo bardziej do twarzy niż mnie. Patrzenie na nią byłoby niewątpliwą rozkoszą, gdyby nie to, że zanosila się od płaczu z twarzą ukrytą w dłoniach.

Bodo Baas sięgnął w jej kierunku szponiastym odnóżem.

- Dla Jedi nie ma emocji, jest tylko spokój. Tionna podniosła wzrok, ukazując zalaną łzami twarz.

- To było takie straszne, że nie możesz sobie tego wyobrazić.
 - Czy płaczesz nad swoim towarzyszem, czy nad sobą?
 - Co? - zdziwiła się. Otarła łzy i wskazała palcem hologram, a wtedy kątem oka zauważyła moją obecność. Moje przyjście przerwało jej wątek. Zamiast wypowiedzieć swoją uwagę, pochyliła tylko głowę i zadrżała.

- Jak ktokolwiek mógł zrobić coś takiego Gantorisowi? Powitałem Bodo Baasa skinieniem głowy i ukląknęłam obok

Tionny. Objąłem ją i przytuliłem, pozwalając, by jej łzy zmoczyły moją szmaragdową tunikę. Na początku przywarła do mnie mocno, chowając twarz na moim ramieniu. Pogląskałem ją po włosach, opierając się pokusie pocałowania w czubek głowy.

- Uspokój się, Tionna. To, co przytrafiło się Gantorisowi jest okropne, ale nie spotka już nikogo więcej.

Bodo Baas odszukał spojrzeniem moje oczy i wbił w nie wzrok.

- Mówisz o pewnikach, Jedi, w sytuacji, w której wiele jest niewiadomych.

Zacytowałem w odpowiedzi fragment Kodeksu Jedi:

- Nie ma ignorancji -jest wiedza.

- Właśnie - zasyczał strażnik Holocronu. - Czy masz do mnie pytanie?

- Chwileczkę. - Rozluźniłem uścisk i położywszy ręce na ramionach Tionny, odsunąłem ją lekko od siebie. - Czy pomożesz mi poradzić sobie z Holocronem? Wiesz o nim znacznie więcej niż ja.

Pociągnęła nosem i otarła łzy szczupłymi, delikatnymi palcami. - Jak możesz być taki spokojny po tym, co zobaczyłeś? Przez chwilę trzymałem w ramionach nie ją, ale martwe ciało mojego ojca.

- Przeszłość przygotowuje nas na to, co widzimy obecnie. Nienawidzę tego mówić, ale widywałem już inne takie ciała, równie straszne. To, co zobaczyłem w pokoju Gantorisa, było potworne. Mnie też to przeraża, ale staram się nad tym zapanować.

Tionna znowu pociągnęła nosem i usiadła, opierając się o kamienną ścianę. Założyła ręce na piersi i popatrzyła przed siebie na postument, na którym spoczywał Holocron.

- Musisz mnie uważać za słabeusza.

- Wcale nie.

- Nie kłam. Musiałeś mnie ratować wczorajszej nocy, a teraz znajdujesz mnie tutaj w takim stanie. - Popatrzyła na mnie oskarżycielskim wzrokiem. - Naprawdę nie wiem, jak udaje ci się ukryć pogardę dla mnie.

- Możesz wierzyć, że ją ukrywam, albo że nic takiego nie ma. -Zmusiłem się, żeby mówić spokojnie. - W tym drugim przypadku miałabyś rację.

Tionna sięgnęła po moją dłoń i przytrzymała ją. Zamknęła oczy, a ja poczułem, jak jej świadomość płynie w kierunku mojej. Dotyk jej umysłu był jak słaby szepc w porównaniu ze sposobem, w jaki robił to Luke, ale udało jej się przeniknąć przez zewnętrzną warstwę moich myśli. Świadomie otworzyłem je dla niej, utwardzając zarazem nieprzenikliwą spodnią warstwę tego, co składało się na tożsamość Keirana Halcyona. Chociaż starałem się nie dopuścić jej głębiej, udało jej się przeniknąć przez to, co o niej myślałem i sięgnąć w głąb mojego serca.

Szarpnęła się gwałtownie do tyłu, zrywając kontakt, i spojrzała na mnie wzburzona.

- Ktoś cię zranił, bardzo mocno. Wzruszyłem ramionami.

- Od tego się nie umiera.

- Ale tyle w sobie ukrywasz. - Zamrugała oczami. - Mistrz Skywalker powiedział nam, że Darth Vader był jego ojcem. Które z twoich tajemnic mogą być o tyle bardziej niebezpieczne, że nie chcesz ich z nikim dzielić?

- Nie niebezpieczne, po prostu nieciekawe. Odciągnęłyby tylko waszą uwagę od rzeczy ważnych, a nasze szkolenie jest dostatecznie trudne bez tego.

Tionna uśmiechnęła się. Miło było widzieć, jak jej twarz znowu się ożywia.

- Może przeszkodziłyby innym, ale nie mnie. Zamierzam śpiewać o dokonaniach Jedi i muszę wiedzieć, kim jest Keiran Halcyon.

Zanim zdołałem oświadczyć, że nie warto o mnie śpiewać, odezwał się Bodo Baas.

- Keiran Halcyon był słynnym Jedi z Korelii. Udało mu się rozprawić z sektą seleniańskich Afarathu i z ich napadami na planety systemu Korelii. - Kiedy to mówił, Holocron wyświetlił podobiznę mężczyzny zbudowanego mocniej ode mnie; nosił takie same włosy i brodę jak moje, długie, ciemne włosy zawiązywał w luźny kucyk, a jego miecz świetlny miał srebrzyste ostrze.

Uśmiechnąłem się nieświadomie. Luke powiedział, że Keiran Horn to imię jednego z moich przodków. Problem z sektą Afarathu został rozwiązany cztery wieki temu i wszyscy o nim zapomnieli, dopóki imperialni urzędnicy nie odgrzebali widm przeszłości, by wzbudzić ksenofobiczne nastroje u ludzkiej populacji systemu. Na szczęście dla Selonian, od tak dawna nie byli wojowniczy, że niewielu ludzi widziało w nich autentyczne zagrożenie.

Oczy Tionny rozbłysły zachwytem.

- Czy to jest twój sekret? Czy jesteś tym Keiranem Halcyonem, który do nas powrócił po latach?

- Sądzę, że nawet zamrożony w karbonicie nie zachowałbym się tak długo - roześmiałem się. - Noszę po nim imię. Niełatwo okazać się godnym takiej tradycji.

- Jeśli chcesz, możemy się o nim dowiedzieć wszystkiego. Mogę nawet skomponować o nim balladę.

Skrzywiłem się.

- To mogłoby odstręczyć część uczniów, chociaż chętnie dowiedziałbym się o nim czegoś więcej. Tak naprawdę jednak chciałem poszperać w Holocronie, by znaleźć cokolwiek na temat tego świata i Massassów. Pomożesz mi?

- Chętnie. - Jej włosy załśniły zielonym połyskiem, kiedy kiwnęła głową. - Zrobię to z przyjemnością. W ten sposób będę mogła ci się zrewanżować za uratowanie mnie w grocie.

- Niczym mi się nie musisz rewanżować. - Wyciągnąłem rękę i uściśnąłem jej ramię. - I chcę, żebyś wiedziała, że nie uważam cię za słabą. Z natury jesteś znacznie bardziej otwarta emocjonalnie niż ja. To dlatego masz łatwiejszy dostęp do Mocy. Mo-

że czasem trudno ci się skoncentrować, ale znacznie łatwiej nauczyć się skupiać uwagę, niż otwierać na uczucia.

- Nie chcę myśleć, że masz rację, Keiran, bo nie chcę też myśleć, że nie umiesz być otwarty. - Jej ciepły uśmiech był pełen sympatii. - Masz tu przecież przyjaciół, przed którymi możesz się otworzyć. Możesz nam zaufać, tak jak my ufamy tobie.

- Wiem. - Uśmiechnąłem się do niej dzielnie, ale jednocześnie wiedziałem, że nie mogę wyjawiać mojej prawdziwej tożsamości ani jej, ani nikomu innemu. Luke Skywalker, kiedy zaproponował, bym przyjął inne imię, miał rację: nosząc prawdziwe, mógłbym rozpraszać innych. Miał też w tym inny cel pochodzący z doskonałego zrozumienia psychiki Korelian i pilotów. Podając się za kogoś innego, nie musiałem zachowywać się tak, jak się oczekuje od legendy, która wyrosła wokół mnie. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że moje wyobrażenie o sobie samym izolowało mnie od Mocy, Luke dostrzegał również inne problemy, które mogły z tego wynikać i zapobiegł im, zanim w ogóle sobie uświadomiłem, że istnieją.

Kiwnąłem głową, przyznając rację Tionnie.

- Uwierz mi, kiedy będę mógł się otworzyć, ty pierwsza się o tym dowiesz. A jeśli o tym Keiranie Halcyonie miałyby powstać jakaś ballada, chcę, byś to tyją skomponowała i zaśpiewała.

- Z chęcią to zrobię, Keiranie. - Uniosła głowę, patrząc na Bodo Baasa. - A teraz zobaczmy, czego możemy się dowiedzieć o tym księżycu i tych, którzy mieszkali tu przed nami. Ten świat ma równie wiele tajemnic jak ty, jeśli nie więcej. Mam wrażenie, że rozwiązanie jego zagadek stanie się kanwą bardzo ważnej ballady.

ROZDZIAŁ

15

Tragedia Gantorisa zbliżyła pozostałych uczniów. Nikt nie posuwał się wprawdzie do tego, by mówić źle o Gantorisie, ale każdy starał się być miłszy i bardziej pomocny dla kolegów. Najmniejsze choćby - bo przecież nie wielkość się liczy - zwycięstwo jednego z nas stawało się zwycięstwem wszystkich. Staliśmy się może nie zespołem, ale związkami równych sobie, powiązanych wspólnym dążeniem, by zostać rycerzami Jedi.

W trakcie mojego dochodzenia rzuciłem myśl, że Jedi powinni być bardzo spozstrzegawczy. Pod tym pretekstem organizowałem wyprawy zwiadowcze po okolicy. Punktem wyjścia były dla nas dane zgromadzone przez rebelianckiego pilota, Sullustianina o imieniu Dr'uun Unnh, który badał księżyc, zanim Rebelianci założyli na nim swoją bazę. Wykorzystując te informacje, analizowaliśmy nasze najbliższe otoczenie, szczegółowo dokumentując florę, faunę, odsłonięte w naturalny sposób skały i liczne budowle wzniesione przez Massassów.

Luke na samym początku postanowił, że nie będzie nic mówił pozostałym studentom o mrocznym mężczyźnie ani o swoim śnie. Zgodziłem się z jego decyzją głównie dlatego, że panika tylko by pomogła istocie zaprzędanej Ciemnej Stronie. Luke nauczył nas technik relaksacji i koncentracji, które pomagały walczyć ze strachem, i pracował nad tym, byśmy pełniej odczuwali Moc. Nie szczędził pochwał, gdy coś nam się udawało. Dzięki temu mieliśmy poczucie, że robimy ogromne postępy, choć tak naprawdę nasze sukcesy były trudne do zmierzenia. Moje postępy w pewnych dziedzinach były wręcz ujemne. Podczas gdy pozostali byli w stanie podnosić z ziemi głazy nawet stojąc na rękach albo poruszać dzięki użyciu Mocy gałęziami drzew Massassów, ja byłem zupełnie bezsilny i niewytrzymały, gdy przychodziło do telekinezy. Na moje nieszczęście, ta słabość przejawiała się również w całkowitej nieumiejętności lewitowania czy wykonywania skoków w rodzaju tego, który umożliwił Luke'owi uniknięcie ostrza Gantorisa podczas ich pojedynku.

Co gorsza, Tionna odkryła, że ten brak wydawał się nieodłączną cechą rodu Halcyonów. W rezultacie staliśmy się znani z tego, że uparcie tkwimy na wyznaczonej pozycji w rozmaitych niebezpiecznych sytuacjach. Czasami prowadziło to do mobilizowania naszych sił, odparcia ataku wroga i pokonania go, ale najczęściej objawiało się w

ten sposób, że Halcyonowie dzielnie podejmowali się pełnić tylną straż i odważnie oddawali życie za swoich towarzyszy.

Tionna uważała, że to doskonały materiał na doskonałą balladę. Ja natomiast - wiedząc, że gdzieś blisko nas czai się potężna osoba, która ostrzy sobie na nas zęby - uznałem tę tradycję za raczej złowróżbną.

Jednak, zgodnie z zasadami Halcyonów, nie pozwoliłem, by to mnie powstrzymało od poszukiwania zabójcy Gantorisa. Po ciężkim poranku, kiedy próbowałem przesunąć garść kamyków na długość mojego cienia, co udało mi się dopiero w południe, zlałem trochę suchego prowiantu i wody i wybrałem na oględziny Świątyni Błękitnego Liścia. Notatki ze zwiadu Unnha donosiły o występowaniu tam zdumiewających anomalii - na tyle dziwnych, że generał Jan Dodonna kazał opieczetować świątynię i zakazał wstępu do niej personelowi bazy.

Zamierzałem wybrać się tam sam, ale w ostatniej chwili dołączyli do mnie Kam Solusar i Brakiss.

- Pewnie nadal wszystko jest opieczetowane. To może być bardzo nudna wycieczka.

Kam uśmiechnął się i wskazał na miecz świetlny przypięty do mojego pasa.

- Mam wrażenie, że będziesz chciał otworzyć świątynię

- Nie myślałem o tym, ale jeśli okoliczności będą tego wymagać... - wzruszyłem ramionami. - Dobra, idziemy.

Narzuciłem od początku dość ostre tempo, ale zwolniłem, kiedy zobaczyłem, że Brakissowi trudno dotrzymać mi kroku. Przy jego wysokim wzroście wystające korzenie storczyków sprawiały mu wiele kłopotów. Kam, chociaż starszy od niego, był w lepszej formie, ale i on wołał bardziej leniwy marsz.

Przeszliśmy rzekę, która oddzielała nas od Świątyni Błękitnego Liścia, po pniu drzewa Massassów, wyrwanego przez rzeczny nurt. Co prawda niedaleko był płytki bród, przez który zazwyczaj po prostu przebiegałem, rozpryskując wodę, ale Brakiss chyba nie miał ochoty na zamoczenie nóg. Żartowaliśmy z niego z Kamem, pytając, czy mamy użyć mieczy świetlnych, żeby wyciąć mu stopnie w pniu i wyrównać co bardziej wystające konary, ale tylko się zaczerwienił i kazał nam iść dalej. W porównaniu z naszą, Świątynia Błękitnego Liścia była niska, ale jej bryła miała w sobie mnóstwo wdzięku. Sięgała zaledwie do połowy wysokości tamtej, jej proporcje sprawiały jednak, że robiła dużo większe wrażenie. Teren wokół świątyni zarośnięty był gąszczem spletanych karłowatych krzewów, nie dość gęstych jednak, by nas zatrzymać.

Brakiss poprowadził nas dookoła budowli ku jej wschodniej ścianie.

- Zapiski Sullustianina mówiły, że główne wejście jest od wschodu, aby pomarańczowe światło gazowego giganta mogło oświetlać wieczorem główną komnatę.

Dotarliśmy do wrót budynku i zobaczyliśmy ogromne skalne bloki, którymi Rebelianci rzeczywiście zagrodzili wejście. Najwidoczniej nie chcieli, by ktokolwiek był w stanie wejść do świątyni jeszcze raz. Najwyraźniej jednak imperialny zespół analityczny, który badał Yavin 4 po opuszczeniu księżycy przez Rebeliantów, był równie zeterminowany, by jednak dostać się do wnętrza. W tym celu wypalili dziurę prosto przez środek zwałowiska.

Kam włączył swój miecz i omiół nim pajęczyny zasnuwające otwór.

- Pajęczyny nie są tak grube, jak można by się spodziewać. Gantoris mógł dostać się do środka, a pająki po jego wyjściu zrobiły swoje.

Odczepiłem od paska pręt jarzeniowy i wręczyłem go Kamowi.

- Zakładam, że chcesz wejść pierwszy.

- Jasne. - Kam włączył pręt, pochylił głowę i zaczął się przeciskać przez otwór w skale. Byłem niższy i nieco szczuplejszy, więc wszedłem za nim bez większych problemów. Brakiss dołączył do nas po chwili, strzepując kurz z płaszcza.

Zielony odblask miecza Karna i złoty snop światła z pręta jarzeniowego oświetlały tylko niewielką przestrzeń przed nami. Znajdowaliśmy się na platformie, z której w dół prowadziły schody. Dalej, na całą długość i szerokość podstawy świątyni, rozciągała się jedna wielka sala z małymi niszami w ścianie. W panującym w sali półmroku mogliśmy dostrzec zaledwie kilka najbliższych, wydawały się jednak ciasniejsze niż pokoje, które zajmowaliśmy w Wielkiej Świątyni.

Po obu stronach świątyni wznosiły się schody prowadzące na następne piętro. Wziąłem od Karna pręt jarzeniowy i oświetliłem schody prowadzące na górę, a potem te idące w dół.

- Kurz pokrywa wszystko równą warstwą. Jeśli Gantoris tu był, to musiał chyba unosić się nad podłogą, a nie sądzę, by był aż tak dobry.

- Może dotarł tylko na tę platformę. - Brakiss wzruszył ramionami. - Może nie ośmielił się pójść dalej.

- Nie wierzę. - Kam wskazał mieczem świetlnym na wiodące w górę schody. - Idziemy?

Brakiss uśmiechnął się.

- W końcu po to tu przyszlismy.

Kam prowadził. Nasze kroki wzbudzały suche echo. Wspinając się do góry, poczułem dreszcze. Po przeczytaniu sprawozdania Unnha wiedzieliśmy, czego się spodziewać i oczekiwanie na ten widok napępiało mnie lekką obawą. Wiedząc, że wokół nas szykuje się coś niedobrego i zbliżając się do przyczyny, dla której generał Dodonna kazał zapieczetować to miejsce, czułem, że sami prosimy się o nieszczęście.

Jednak jako prawdziwy Halcyon nie miałem zamiaru się wycofywać. Schody doprowadziły nas do kolejnej platformy przed wielką salą audiencyjną. Ostro nachylone ściany świątyni zbiegały się wysoko nad podłogą, tworząc sufit. Trzy wieże, rozmieszczone symetrycznie w dalszej części komnaty, nie sięgały wysokością do wierzchołka budowli, jednak sprawiały wrażenie, że podtrzymują wypiętrzony w górę dach. Najbliższa stożkowata wieża i jej towarzyszka w najdalszym od nas końcu sali pokryte były pierścieniami dziwacznych runów i sigili, których nie potrafiłem nawet rozpoznać, nie wspominając już o odczytaniu. Wąskie szczeliny okien w zachodniej ścianie wpuszczały światło słoneczne, które malowało złote pasy na podłodze przez całą długość sali, napępiając ją ciepłą poświatą.

Niezależnie od tego, jak ciepłe wydawało się to światło, nie zdołało rozproszyć chłodu, jakim biło od głównej i najbardziej niepokojącej atrakcji świątyni.

Trzecia wieża - wysoki, wąski stożek - została w całości wycięta z niebieskiego kryształu. Mógłby to być szafir, bo bił od niego wewnętrzny blask, który jednak nie poruszał się, gdy podchodziliśmy bliżej. Wydawał się raczej krążyć w górę i wokół kryształu jak musująca ciecz, wirująca w niezrozumiałym cyklu.

- Sullustianin napisał, że w dotyku jest oleista i można wyczuć pulsującą w niej energię. - Brakiss potarł dłonie. - Kto ma ochotę potwierdzić wiarygodność tego sprawozdania?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie ja. Jeszcze nie.

Kam wyłączył swój miecz świetlny i przypiął broń do pasa.

- I ja rezygnuję. Ty też raczej nie powinieneś tego dotykać. Brakiss zmarszczył brwi.

- Z wami to żadna zabawa.

- Dotykanie tego czegoś na pewno nie będzie zabawne. - Podeszedłem bliżej do szafirowego stożka, starannie omijając otchłań, która ziała wokół jego podstawy. Im bliżej podchodziłem, tym większy chłód czułem. Energia pulsująca z kryształu nie była sama w sobie zła, ale wyczuwałem tam mnóstwo negatywnych emocji - rozpacz i gniewu. Co więcej, kiedy patrzyłem w głąb półprzezroczystego kryształu, dostrzegłem w nim przepływające widmowe postaci. Niektóre były mi zupełnie nieznane - patykowate stworzenia o szponiastych rękach i nogach. Inne wyglądały bardziej znajomo - ludzie o twarzach zniekształconych przez urazy fizyczne lub po prostu wykrzywionych w agonii. Wydawało mi się, że część z nich rozpoznaje: kilku towarzyszy broni, poległych w walkach; paru wrogów, których sam uśmierciłem.

Wtem pojawiła się twarz Gantorisa, wpatrującego się we mnie martwymi oczami.

Cofnąłem się gwałtownie i wskazałem na kryształ.

- Widzieliście to? Widzieliście Gantorisa?

Kam obrócił głowę, by na mnie spojrzeć; powoli skoncentrował wzrok.

- Nie widziałem go. Ale widziałem... innych. Popatrzyłem z powrotem na kryształ i wizerunek Gantorisa zniknął.

- Mógłbym przysiąc, że go widziałem. Brakiss wzruszył ramionami.

- Gra światła - powiedział lekceważąco, a w jego głosie wyczułem cień pogardy.

Spojrzałem na niego.

- Nadal chcesz tego dotknąć? Potrząsnął głową.

- Nie, możemy iść. Kam miał posepną minę.

- Nie wiem, co to jest ani do czego służy, ale wiem, że nie podoba mi się tutaj. -

Pokazał kciukiem pasy światła na podłodze. - A sądząc z tego, o ile przesunęły się te światła od momentu, jak zaczęliśmy się temu przyglądać, musiało upłynąć dobrych piętnaście minut.

Potrząsnąłem głową.

- Niemożliwe.

- Bardzo możliwe. I bardzo dziwne. - Kam mocno zmarszczył czoło. - Ja wychodzę.

Brakiss przytaknął.

- Nie ma żadnych znaków, że Gantoris kiedykolwiek tu był.

- Właśnie. W takim razie idziemy.

Nie ma sensu podkreślać, że trzech dorosłych mężczyzn, przyszłych rycerzy Jedi, z których dwóch miało przy sobie miecze świetlne, uciekało z całkiem pustej świątyni. Wolę uważać, że wycofaliśmy się szybko, by zniweczyć plany tego, kto ewentualnie mógłby chcieć wciągnąć nas w zasadzkę. Fakt, że nie wiedzieliśmy o nikim, oprócz garstki naszych przyjaciół, kto zamieszkiwałby ten świat, nie oznaczał, że kogoś takiego nie mogło tu być, więc uznałem podjęte przez nas środki ostrożności za godne podziwu.

W drodze powrotnej Brakiss rzucił ostatnie długie spojrzenie na Świątynię Błękitnego Liścia.

- To niesamowite, moim zdaniem, że istoty nie dysponujące wyrafinowaną technologią mogły wznieść budowlę, która przetrwała tyle wieków. Unnh uważa, że te ruiny stoją tu od kilku tysiącleci.

- Stara Republika była już wtedy dobrze rozwinięta. - Przytrzymałem gałąź, zagrażającą nam drogę na szlak, którym tu przyszliśmy. - Z tego co wiemy, mogli używać laserów do wydobywania i obróbki skalnych bloków, a potem przenosić je za pomocą repulsorów.

- Poza tym - dodał Kam - mogli przecież używać Mocy. Niezależnie od tego, jak wielkie są te bloki, myślisz, że mistrz Skywalker nie potrafiłby ich poruszyć?

- Wcale nie sądzę, że to niemożliwe. - W głosie Brakissa zabrzmiała jednak nuta wątpliwości. - Mimo to nie wydaje mi się, by mistrz Skywalker był w stanie wznieść taką świątynię.

Zaśmiałem się.

- Zapomniałeś, że „wielkość się nie liczy”?

- Nie zapomniałem, ale nie o to mi chodzi. - Brakiss oderwał martwą gałąź młodego drzewa Massassi i zrobił z niej półmetrowy kijek. - Mistrz Skywalker może mieć dość siły, by to zrobić, ale przecież to były farmer z jakiejś jałowej, krzemowej dziury. Nie byłby zdolny stworzyć dzieła tak pełnego subtelnej elegancji.

Mówiąc to Brakiss wymachiwał wokół swoim kijem. Kam i ja wymieniliśmy uśmiechy za jego plecami, po czym Kam odchrząknął i powiedział:

- A nie uważasz, że mistrz Skywalker mógłby się tego nauczyć?

- Oczywiście, że mógłby, ale zajęłoby mu to całą wieczność.

- Rozumiem. - Zmrużyłem oczy. - A ten kryształowy stożek... czy umiałby stworzyć coś takiego?

Brakiss wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale ja sam bardzo chciałbym tego spróbować. Ten kryształ jest niesamowity. Nie nazwałbym go dziełem sztuki, bo jest zbyt niepokojący. - Odwrócił się z palającymi oczami. - Wyobraź sobie, jak dobrze byłoby mieć taką potęgę, by stworzyć coś podobnego.

- Nie chciałbym takiej potęgi. - Kam potrząsnął głową. - Ten kryształ w ogóle mi się nie podobał.

- Tak, ale wyobraź sobie, że jesteś w stanie zrobić coś wielkiego, co by ci się podobało. Że używasz Mocy, by stworzyć dzieło, które przetrwa tysiąclecia. - Brakiss roześmiał się głośno i zawirował, jakby tańczył w takt muzyki, której ani ja, ani Kam nie słyszeliśmy. - To by było fantastyczne.

Spojrzałem na niego twardo, ale nie zauważył tego.

- Taki rodzaj potęgi może być bardzo kuszący, ale niełatwo ją zdobyć.

- Chyba że zaprzędasz się Ciemnej Stronie. - Kam zgarbił ramiona. - Ja wiem, jak to jest. A niezależnie od tego, jak upojne jest to uczucie, pozostawia w tobie tylko pustkę. Lepiej dać się prowadzić prawdziwej Mocy, niż podążać za jej cieniem.

- Tak, ale pomyśl, czego możesz dokonać mając taką siłę. - Brakiss wycelował swój kij w niebo. - Mistrz Jedi, który dysponuje tak wielką siłą, mógłby nawet stąd sięgnąć ręką i wyrzucić serce Gwiazdy Śmierci. To, że używa Ciemnej Strony, nie miałoby znaczenia, gdyby zrobił dobrą rzecz. Wyciągnąłem rękę i złapałem go za kark.

- Zaraz, zaraz. Mówisz, że cel uświęca środki, a to po prostu bzdura. Takie myślenie jest bardzo złe, bo pozwala ci racjonalizować każde zachowanie jako dobre. Pewnie, zabijmy tego przestępcę, bo wiemy, że w przeszłości mordował i prawdopodobnie zrobi to ponownie. Albo zniszczmy tę planetę, bo wiemy, że pewnego dnia wpadnie na inną. Co z tego, że mieszkańcy planety, którą zniszczymy, umrą - i tak by zginęli, a w ten sposób przynajmniej uratujemy ten drugi świat.

Brakiss odwrócił się gwałtownie i mało brakowało, a uderzyłby mnie w twarz. Na szczęście sposób, w jaki machnął ręką, przestrzegł mnie i zdołałem się uchylić. Maską gniewu na jego twarzy niemal natychmiast zamieniła się w wyraz szoku i wyrzutów sumienia.

- Keiran, przepraszam...

- Nie ma sprawy, Brakiss. W końcu nic się nie stało.

Kam podszedł do nas i położył ciężko rękę na ramieniu Brakissa.

- Keiran ma rację, chłopcze. Ludzie zaczynają od tego, że mówią sobie: gromadzę władzę po to albo po tamto i wmawiają sobie, że ta właśnie sprawa jest słuszna. Potem, kiedy już mają władzę, okazuje się, że okoliczności się zmieniły. Przekonują się, że potrzebują tej władzy jeszcze więcej albo że muszą jej używać w sposób, którego nie przewidzieli. Oponent, który nie słucha ich racji, staje się robakiem, którego trzeba zetrzeć w proch, a nie przyjacielem, którego wystarczy przekonać do swoich argumentów. Władza zatruwa tych, którzy ją gromadzą. Zaczynają zakładać, że inni chcą im ją odebrać i że zrobią w tym celu wszystko, a to przekonanie daje im wolną rękę, by brać odwet na swoich przeciwnikach.

Przytaknąłem i dodałem:

- Nie jest tak, że ze zła może wypłynąć dobro. Twój przykład, że ktoś mógłby użyć Ciemnej Strony Mocy, by zniszczyć Gwiazdę Śmierci, jest dobry, dopóki nie zadamy sobie pytania, dlaczego to zrobił. Czy dla własnego dobra, czy dla swoich ludzi? A jeśli z tego drugiego powodu, to co robi przy okazji kolejnego zagrożenia? Jeśli usłyszy, że powstaje nowa Gwiazda Śmierci i że budują ją, dajmy na to, Caamasi - czy nie zniszczy ich wszystkich?

Kam zmarszczył czoło.

- Kiepski przykład. Wszyscy wiedzą, że Caamasi to zdeklarowani pacyfiści.

- Wiem, Kam, ale ktoś mógłby sobie wmówić, że stanowią dla niego zagrożenie i zaatakować ich. - Rozłożyłem ręce. - Bądźmy szczerzy: ktoś jednak faktycznie ich zaatakował i stał niemal wszystkich z powierzchni ziemi. Słyszałem nawet, że na Aldeeraan, zanim została zniszczona, przebywała duża grupa uciekinierów Caamasi. Jeśli ktoś był w stanie uznać ich za zagrożenie, może uznać za niebezpiecznego kogokolwiek. Nawet dziecko. Każdego.

Brakiss zmarszczył czoło.

- Słyszę to, co mówisz i chciałbym ci wierzyć. Jednak nie mogę się z tobą do końca zgodzić, że absolutnie w żadnym przypadku z użycia Ciemnej Strony nie może wynikać nic dobrego. To musi być czasem możliwe.

- To teoria, Brakissie, a my musimy sobie radzić z praktyczną stroną manipulowania Mocą. - Potrząsnąłem głową. - Nie chcę hodować w sobie przekonania, że mógłbym użyć Ciemnej Strony w słusznym celu i nie pozostawiłoby to na mnie śladu. To jest pierwszy krok na bardzo stromej i bardzo śliskiej ścieżce. Być może z pomocą mistrza Skywalker'a mógłbym się na niej utrzymać, ale ktoś musiałby zapłacić straszną cenę za moje eksperymenty, a ja nie chciałbym być tego przyczyną. Ty też nie powinieneś tego chcieć.

ROZDZIAŁ

16

Gorąca fala uderzeniowa z silników pomocniczych lądującego transportowca uniosła gwałtownie chmurę odłamków, która zmusiła innych studentów, by się uchyliili lub zaslonili twarz dłońmi. Wchłonąłem to ciepło i natychmiast przekształciłem jego energię w niewielką tarczę Mocy, która osłoniła mnie przed podmuchem i oszczędziła wątpliwej przyjemności wypluwania pyłu z ust i tarcia oczu.

Pudłowy transportowiec usiadł na ziemi jak piórko, ale nie spodziewałem się niczego innego po pilocie, który siedział za sterami. Kiedy statek zatrzymał się pewnie na przyporach ładowniczych, a rampa przedziału pasażerskiego zaczęła się opuszczać, uczniowie ruszyli za mistrzem Skywalkerem. Kam skierował wszystkich poza mną ku komorze ładunkowej. Podeszedłem do Luke'a i uśmiechnąłem się, gdy zobaczyłem Wedge'a, wychodzącego z wnętrza statku.

Luke pomachał ręką Wedge'owi i błękitnoskórej kobiecie, która mu towarzyszyła. Uśmiechnął się na widok jasnookiego chłopaka, który wyszedł jako trzeci.

- Witam cię, Kypie Durronie.

Żyłasty chłopak uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Mistrzu, jestem gotów. Chcę być twoim uczniem i zostać rycerzem Jedi.

- Z przyjemnością ci w tym pomogę. - Luke kiwnął ręką w stronę pozostałych studentów, wynoszących pudła z prowiantem z ładowni transportowca. - Zaczniemy od rozładowania statku. Keiran, czy mógłbyś zająć się generałem Antillesem i Qwi Xux?

- Jak sobie życzysz, mistrzu. - Uśmiechnąłem się do Wedge'a i machnąłem rękaw stroną Wielkiej Świątyni. - Od czasu jak byłeś u nas po raz ostatni, warunki zakwaterowania stały się nieco bardziej prymitywne. Proszę tędy.

Wedge z powagą pokiwał głową.

- Od razu widać, że zrobiłeś postępy. Qwi Xux dołączyła do Wedge'a.

- Wedge, czy mógłbyś mi powiedzieć, kiedy spotkamy tego twojego przyjaciela, z którym tak chciałeś się zobaczyć?

Wedge rozejrzał się, czy jesteśmy poza zasięgiem słuchu pozostałych. Na jego twarzy pojawił się szeroki, ciepły uśmiech.

- Już spotkaliśmy, doktor Xux. Oto Corran Horn. Kobieta zmarszczyła czoło.

- Ale mistrz Skywalker powiedział do niego „Keiran”. Wedge przytaknął.

- Z wielu różnych powodów Corran występuje tu pod przybranym nazwiskiem. Corran, to jest Qwi Xux.

Odwrociłem się w pół kroku i ukloniłem. Przyjacielski ton głosu Wedge'a spowodował, że zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem jej podać ręki, ale nie bardzo miałem na to ochotę. Mogła być piękna i błyskotliwie inteligentna, ale nie należało zapominać, że była też ważnym członkiem zespołu naukowego w Laboratorium Otchłani - imperialnym ośrodku badawczym. To oni stworzyli Gwiazdę Śmierci, Destrukcyjne Światów, które spustoszyły Mon Calamari, i niepokonanego Pogromcę Słońca - statek wielkości gwiazdowego myśliwca, który Kyp Durrone właśnie zatopił w głębiach gazowego olbrzyma Yavin, aby nie dostał się w niepowołane ręce. Z nielicznych plotek wynikało, że Qwi była nieświadomym narzędziem w rękach Imperium, naukowcem zainteresowanym wyłącznie czystą nauką. Może to i prawda, ale zastanawiałem się, jak to możliwe, żeby osoba równie błyskotliwa jak ona nie zauważyła, że projekty, nad którymi pracuje, mają paskudne nazwy i mogą być niewyobrażalnie zabójcze.

- Witaj na Yavin 4. - Pokazałem palcem na niebo. - Pierwsza Gwiazda Śmierci została rozbita właśnie tutaj, zanim zdołała zniszczyć to miejsce.

Kiedy to mówiłem, w oczach Wedge'a pojawił się ból, ale Qwi tylko odwróciła się, by spojrzeć w kierunku, który wskazywałem. - Przypuszczam, że większość szczątków wpadła w atmosferę gazowego giganta, ale część musiała chyba uderzyć tutaj. - Spojrzała na mnie szeroko otwartymi, lazurowymi oczami. - Czy znaleźliście jakieś szczątki?

Potrząsnąłem głową.

- Nie szukaliśmy. Po tym, jak Rebelianci opuścili to miejsce, była tu jedna czy dwie ekipy badawcze, więc sądzę, że zebrali wszystko, co mogli znaleźć, do późniejszej analizy.

- Jaka szkoda.

- Rzeczywiście. - Wprowadziłem ich do świątyni i zabrałem turbowindę na drugi poziom. - Mamy tu moduły odświeżające i pokoje dla was, jeśli chcielibyście się przebrać. Mogę was też poczęstować czymś do jedzenia.

Pani doktor uśmiechnęła się.

- Przydałaby mi się krótka drzemka, jeśli to możliwe. Wedge kiwnął głową.

- Przyjdę po ciebie za godzinę, może być? Przytaknęła.

- Dobrze. Cieszę się, że cię poznałam, Corr... to znaczy Keiran.

- Kolorowych snów, doktor Xux. - Pokazałem jej pokój, który wcześniej dla niej przygotowałem, a potem zaprowadziłem Wedge'a do jego pokoju.

Kiedy zamknąłem za nami drzwi, Wedge wziął sobie krzesło i usiadł, opierając krzesło o ścianę, tak że nogami mógł machać w powietrzu.

- Nie lubisz jej, prawda?

W głosie Wedge'a wyczułem nutkę urazy.

- Nie znam Qwi na tyle, by móc sobie wyrobić opinię na jej temat, ale jej zabawki robią wrażenie. Może dzięki temu, że pomogłeś zniszczyć dwie z nich, patrzysz na to z innej perspektywy, ale ja nie jestem zbyt gorącym entuzjastą takiej roboty.

- Ale ona naprawdę nie wiedziała, do czego wykorzystywane są jej wynalazki.

- Jesteś pewien? Kryptonimy tych projektów powinny jej dać do myślenia. Mogła chociaż zastanowić się przez chwilę, co by było, gdyby przez pomyłkę ktoś ich użył przeciwko zamieszkanym planetom. Czy tak trudno byłoby zamontować wykrywacz form życia na Gwieździe Śmierci, tak by nie mogła zniszczyć Alderaan? - Poczulem, że do mojego głosu wkrada się gniew, więc uniosłem przepaszając ręce.

- Przepraszam, nie powinienem być tego mówić. Wedge popatrzył na swoje dłonie.

- Nie przepaszaj. Sam zadawałem sobie takie pytania miliony razy, od kiedy powierzono ją mojej opiece. Kiedy jestem z nią, kiedy rozmawiamy, wydaje się taka bystra i niewinna - całkowite przeciwieństwo tego, czym była Gwiazda Śmierci, Destrukcyjna Światów albo Pogromca Słońc. Ona chyba myślała, że Pogromca Słońc będzie wykorzystywany do eliminowania gwiazdy beta w układach podwójnych, aby je ustabilizować, albo do usuwania nie zamieszkanymi systemów z tras nawigacyjnych.

Zmrużyłem oczy.

- No nie! Ty ją lubisz! Wedge podniósł głowę.

- O co ci chodzi?

Przysunąłem sobie drugie krzesło i usiadłem na nim tyłem do przodu.

- Masz ją chronić, a nie zakochiwać się!

- Też byś ją polubił, gdybyś pobyl dłużej w jej towarzystwie.

- Nie rób tego, Wedge. Proszę cię, nie rób tego.

Spojrzał na mnie, rozciągając kąciaki swoich ust w chłopcim uśmiechu.

- Dlaczego nie? Czy to nie byłoby ostateczne pojednanie pomiędzy Rebeliantami a Imperium?

- Wedge, wiem coś o tym. - Oparłem się mocniej o krzesło. - Podczas mojej służby w KorSeku miałem kilka zleceń, które polegały na zapewnieniu ochrony komuś ważnemu. Raz nawet zajmowałem się twoją siostrą podczas jej odwiedzin na Korelii. Nie wiedziałem wtedy, że to twoja siostra.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zakochałeś się w mojej siostrze, kiedy byłeś jej ochroniarzem? Nie chcę o tym w ogóle słyszeć.

- Nie, nie w niej. To była córka magnata przewozowego, właściciela Tinta Lines. Groziło jej porwanie. Oczywiście kiedy kogoś ochraniałem, zaszywałem się gdzieś, a nie paradowaliśmy po knajpach.

- Poruszający się cel trudniej namierzyć.

- Fakt - uśmiechnąłem się. - W każdym razie chodzi o to, że Siolla Tinta i ja doskonale się rozumieliśmy, gdy okazało się, że mamy podobne opinie o sztuce. Mieszkając z konieczności pod jednym dachem, zbliżyliśmy się do siebie na tyle, że wkrótce byliśmy tylko my przeciwko światu. Iella w tym czasie przyskrzynała porywacza, więc spędziliśmy razem raptem trzy dni, ale jeśli po tym czasie spytałbyś mnie, czy to miłość do grobowej deski, pewnie bym powiedział, że tak.

- I co się stało?

- Chociaż mieliśmy coś, co nas łączy, wiele innych rzeczy nas dzieliło. Ja pracowałem w KorSeku, co oznaczało, że nie mogę wyskoczyć do uzdrowiska na Selonię ani wybrać się do imperialnej stolicy na otwarcie ekspozycji w Muzeum Galaktycznym. Przepaść między nami okazała się nie do pokonania. Rozstaliśmy się w przyjaźni, ale

oboje wiedzieliśmy, że wszystko, co nas łączyło, to jak supernowa, która się nagle zapadła. Razem generowaliśmy mnóstwo światła i ciepła, ale w końcu pożarłaby nas czarna dziura.

Wedge pokiwał głową, ale nie patrzył na mnie.

- Pozwolisz, że sam sobie wyznaczę kurs przez to pole asteroidów?

- Nie mogę cię powstrzymać.

- Myślałem, że wy, Jedi, możecie bez trudu wpływać na słabe umysły.

Roześmiałem się razem z nim.

- Ten Jedi, którego masz przed sobą, nie jest taki głupi, żeby cię uważać za słaby umysł. Nie mam zamiaru się wygłupiać bez dostatecznego powodu. Jesteś już dużym chłopcem. Jeśli wam wyjdzie, to świetnie. Jeśli nie... cóż masz jeszcze przyjaciół. Myślę, że moja żona z chęcią cię wtedy wysłucha.

- Taaak, a ona potrafi być dużo bardziej przekonująca niż ty. - Postawił krzesło na wszystkich czterech nogach. - Nie miałem jak dotąd żadnej wiadomości od Hana, ani któregośkolwiek z jego informatorów, na temat Mirax. Przykro mi, stary.

Westchnąłem ciężko.

- Nie oczekiwałem, że będzie miał wiele do powiedzenia na ten temat, wiedząc, że był ostatnio na Kessel. Booster się do ciebie nie odzywał?

- Ciężko mnie było znaleźć, ale nie zostawił też żadnej wiadomości.

- Lepiej pozwolić śpiącemu Huttowi chrapać. - Poczulem, jak wzbiera we mnie gniew, ale uśmierzyłem to uczucie jednym uspokajającym oddechem. - Dasz mi znać, jak będziesz coś wiedział, dobrze?

- Jak tylko coś usłyszę. - Wedge uśmiechnął się. - Przynajmniej tyle mogę zrobić dla przyjaciela.

Wedge i Qwi odlecieli jeszcze tego samego wieczoru i przykro mi było patrzeć, jak wyjeżdżają. Jedynym trudnym do zaakceptowania aspektem mojego pobytu w akademii Jedi była izolacja od wiadomości z zewnątrz. Wieści o przygodzie Hana Solo na Kessel i kradzieży Pogromcy Słońc zostały nam przekazane na marginesie naszych zajęć - podczas lekcji, których udzielał nam mistrz Skywalker. Więcej dowiedzieliśmy się od Kypa Durrona, który dołączył do nas jako student, ale nawet to nie wystarczało, by zaspokoić mój głód informacji.

Jeszcze mniej wiedziałem o tym, co dzieje się z Gnębami. Obecność Kypa ożywiła mistrza Skywalkera, który od śmierci Gantorisa był wyraźnie przybity. Kyp natychmiast okazał się jednym z najlepszych uczniów akademii. Minimalne szkolenie wystarczyło, by prześcignął nas niemal pod każdym względem. Stojąc na jednej ręce, potrafił bez trudu zonglować kamieniami i pniami powalonych drzew. Biorąc pod uwagę mój całkowity brak talentu w tej dziedzinie, jego umiejętności wydawały mi się onieśmielające.

Mistrz Skywalker był wręcz zahipnotyzowany talentem Kypa i poświęcał wiele czasu na kierowanie jego nauką. Myślę, że z wielu powodów postępował słusznie. Podejrzewałem, że Luke widzi w Kypie samego siebie. Obaj pochodzili ze światów, gdzie życie było trudne, nierzadko brutalne - jeden z Tatooine, drugi z Kessel. Kyp nauczył

się podstaw od upadłej Jedi o imieniu Vima-Da-Boda, podobnie jak Luke'a uczył Obi-Wan Kenobi. Kyp okazał się także zdolnym pilotem i uratował życie Hanowi Solo - niezłe referencje, trzeba przyznać. Co więcej, przy Kypie umiejętności Gantorisa nie robiłyby większego wrażenia, a zatem był on idealnym kandydatem, by zaćmić wspomnienie o pierwszej porażce w akademii. Oczywiście, nikt nie powiedział tego wprost. Nie myśleliśmy też w ten sposób o Gantorisie. Pochowaliśmy jego szczątki w przepięknym zagajniku, a mistrz Skywalker umocował wielki szary postument, by oznaczyć grób. Wiedzieliśmy, że był to ten rodzaj rajskiego zakątka, w jakim Gantoris chciałby się znaleźć wraz ze swoim ludem. Wymieniliśmy uwagi, że sami chcielibyśmy być pochowani w takim miejscu, choć wyraziliśmy też nadzieję, że nastąpi to nieprędko. Mimo wszystko jednak widmo porażki Gantorisa prześladowało w większym lub mniejszym stopniu każdego z nas.

Luke przekazał większość obowiązków w zakresie naszego szkolenia Kamowi Solsarowi, który odwalał kawał dobrej roboty. Był sprawiedliwym, ale nieustępliwym nauczycielem i pod jego kierunkiem wszyscy systematycznie robiliśmy postępy. Luke umiał wykorzystać badania prowadzone przez Tionnę, by wzmocnić w nas poczucie wspólnoty i ciągłości. Zaczęliśmy myśleć o czasach Imperium jako o zmierzchu Jedi, podczas gdy my mieliśmy być porankiem nowego dnia nowej ery.

Luke pozwolił Kamowi, by ten zaczął mnie uczyć walki na miecze świetlne. Ćwiczyłem mieczem mojego dziadka, rozkoszując się chłodnym dotykiem jego klingi. Wyczuwałem wiek tej broni i niemal czułem dłonie Nejaa Halcyona zaciśnięte na moich. Myślę, że to wrażenie pozwoliło mi zburzyć ostatni mur; dzięki temu poczułem się w pełni dziedzicem wielkiej tradycji Jedi. Czując obecność mojego dziadka w broni, którą nigdy niegdyś władał, odczuwałem również ciężące na mnie brzemię odpowiedzialności.

Zaczęliśmy od ćwiczeń ze zdalnikami. Już dawno zawarłem znajomość z tymi małymi latającymi kulkami, które potrafiły wbić w człowieka żądłącą igłę skoncentrowanej energii. W akademii KorSeku zdalniki odgrywały ważną rolę w nauce strzelania z blastera. Miotacz ustawiony na ogłuszanie był w stanie wyeliminować zdalnika z walki, więc kadeci używali ich jako celów. Ja sam w tamtych czasach byłem całkiem niezły w namierzaniu ruchu i przyszpilaniu zdalników błękitnymi pociskami energii.

- Celem naszego obecnego ćwiczenia, Keiran, nie jest wyeliminowanie zdalnika, tylko obrona przed jego strzałami. - Kam pozwolił jednemu z automatów unosić się nad swoją wyciągniętą dłonią. - Używaj miecza, by zablokować strzały. Kiedy już nauczysz się, jak to robić z jednym zdalnikiem, dodamy następne. A kiedy nauczysz się i tego, będziemy ćwiczyć, byś umiał odbijać strzały w określonych kierunkach.

Uśmiechnąłem się do Karna.

- Dobra, mamy cel.

Kam puścił zdalnika, a ja włączyłem miecz. Srebrzyste ostrze rozjaśniało chłodnym światłem dawny hangar Rebeliantów w Wielkiej Świątyni. Zdecydowaliśmy się ćwiczyć we wnętrzu, a nie na powietrzu, bo ściany świątyni zatrzymywały strzały zdalnika.

W starciu ze mną zdalnik miał szansę co najwyżej zranić moją próżność, natomiast zabłąkany strzał mógł ogłuszyć wełnołamandra i najpewniej zabić styntaryla. Po-

nieważ sam też mogłem wyrządzić sporo szkód, wymachując mieczem świetlnym, wyeliminowanie możliwości, że ucierpi na tym ktoś poza mną, wydawało się dobrym pomysłem.

Zdalniak zasyczał i sapnął, odlatując w powietrzu. Zawirował i wypluł rubinowy promień, który trafił mnie w udo. Zakląłem pod nosem i odskoczyłem, ale zdalnik nacierał dalej. Przyjąłem pozycję obronną i uśmierzyłem ból, a potem przygotowałem się do odbicia kolejnych strzałów.

Choć sam zdalnik, jako istota nieożywiona, nie był bezpośrednio połączony z Mocą, istniał przecież w świecie spajany przez Moc. Zamiast zatem koncentrować uwagę bezpośrednio na urządzeniu, starałem się wyrobić sobie wyobrażenie o tym, w jaki sposób wpasowuje się w otoczenie. Otworzyłem się na Moc, pozwalając, by mnie przesiąkła, i rozszerzyłem pole percepcji zmysłowej. Wtedy zauważyłem ruch zdalnika poprzez Moc: drobne oscylacje, jakie w niej pozostawiał, jak ćma lecąca przez dym. Śledząc zakłócenia, które wzbudzał, mogłem go namierzyć. Podobnie wewnątrz zdalnika wyczuwałem, jak przepływ energii powoduje mniejsze wibracje Mocy. Odbierałem mikrowstrząsy energii zbierającej się przed oddaniem strzału. Precyzyjnie zlokalizowałem miejsce, z którego dobiegały zakłócenia energii i uniosłem miecz ukośnie ku górze. Gdy dioda żądła wypluła szkarłatny ogień, zatoczyłem mieczem łuk, odbijając strzał wycelowany w mój żołądek. Nanosekundę później wyczułem kolejny strzał, ale nie zdążyłem go zablokować.

Strzał przyszpilił moją lewą stopę do podłogi. Krzyknąłem -a śmiech Karna nie pomógł mi rozproszyć bólu - i zatoczyłem się do tyłu. Natrafiłem na filar, którego nie spodziewałem się w tym miejscu, i odbiłem się ponownie w stronę zdalnika. Znow strzelił, ale zamach mieczem pozwolił mi odbić ostrze przed sobą i skierować je nad moim prawym ramieniem.

I tuż obok prawego ucha Karna.

Uniósł brew i wcisnął przycisk na trzymanej w rękę kontrolce zdalnika, wyłączając urządzenie.

- Zrobiłeś to specjalnie?

Przyklęknałem na jedno kolano i zacząłem rozcierać obolałą stopę. - Chętnie bym przyznał, że tak, ale nie jestem takim geniuszem jak Kyp.

- To widać na pierwszy rzut oka. - Kam podszedł i złapał zdalnika. - Zastanów się przez chwilę. Nie wiedziałeś, gdzie jest filar. Czy rozciągnąłeś zmysły dostatecznie, żeby wiedzieć, gdzie jestem?

Zmarszczyłem brwi i spróbowałem sobie przypomnieć.

- Nie. Myślę, że zasięg mojej percepcji zmysłowej nie był większy niż dwa metry, a to oznacza, że byłeś poza jego granicami. Podobnie jak filar, zanim do niego nie doskoczyłem.

- A kiedy dostałeś, pewnie jeszcze zacieśniłeś tę strefę. - Otworzył klapkę na zdalniku i przekręcił małą tarczkę. - Odsunę zdalnika na mniej więcej cztery metry. Musisz się nauczyć przesuwania swojej strefy percepcji zmysłowej coraz dalej i śledzić obiekty w jej obrębie. Jeśli nie będziesz wiedział, gdzie jesteś i co robisz, możesz paść w tarapaty.

- Dobra, łapię. Piloci nazywają to „świadomością sytuacji”. Jeśli nie potrafisz śledzić pozycji własnych ludzi i statków wroga w czasie starcia w przestrzeni, kończysz spalając się w atmosferze pobliskiej planety.

- Dokładnie o to mi chodzi. Mój ojciec nazywał to sferą odpowiedzialności. Potarzał mi, że w przypadku Jedi ta sfera rozciąga się na całą galaktykę, a najlepsi Jedi potrafią zrozumieć i rozwiązywać problemy całych gwiazdnych systemów. Nie czułem tego aż do tamtej nocy w grocie.

Przytaknąłem.

- Rozumiem. Jako pilot byłem niezły w dziedzinie świadomości sytuacji, ale używanie Mocy jest jak nauka patrzenia, gdy przez większość życia byłeś ślepy.

- To niełatwe, ale jesteś w stanie to zrobić. - Kam klepnął mnie po ramieniu. - I nie przejmuj się postęпами Kypa.

- Przejmować się? - popatrzyłem na niego zirytowany. - Nie przejmuję się postęпами Kypa. To mnie nie dotyczy.

- Naprawdę? - Kam zmrużył oczy, które zmieniły się w szparki cienia. - A nie jesteś trochę zazdrosny o to, że mistrz Skywalker poświęca mu tyle uwagi?

Zawahałem się przez chwilę i pozwoliłem mózgowi popracować nad tym pytaniem. Po chwili potrząsnąłem głową.

- Wiem, że mam skłonność do rywalizacji, ale nie widzę w Kypie rywala. Bywałem już na drugim miejscu. Mogę się z tym pogodzić. Moją misją jest sprawić, by ci z przodu nie wygrywali zbyt

łatwo, ale bardziej mi zależy, żeby zrealizować mój własny potencjał, niż żeby przebić kogoś innego. Kam wyraźnie się uspokoił.

- To oznaka dużej dojrzałości.

- Trochę to przerażające, co?

- Nie u rycerza Jedi. - Kam podrzucił zdalniaka i wycofał się na odległość ponad czterech metrów.

- Spróbuj jeszcze raz, Keiranie Halcyonie. Skoncentruj się. Pokaż mi, na co cię stać.

ROZDZIAŁ

17

Oczywiście to, na co było mnie stać, okazało się niczym w porównaniu z tym, na co stać było Kypa Durrona. Rozwój jego umiejętności we władaniu Mocą był po prostu niewiarygodny. W ciągu zaledwie tygodnia wyprzedził nas o całe lata świetlne. Kyp był tak dobry, że mistrz Skywalker nie wiedział właściwie, co z nim robić. Ten chłopak dał nam nadzieję, że odtworzenie zakonu Jedi jest możliwe i stanie się faktem.

Staralem się poznać Kypa bliżej, ale trzymał mnie na dystans. Zaprzyjaźnił się jednak z kim innym. Dorsk 81, żółtoskóry klon z planety Khomm, najbardziej z nas wszystkich zbliżył się do Gantorisa, a przyjaźń z Kypem pomogła mu zapłacić pustkę, jaką pozostawiła jego śmierć. Spędzali razem mnóstwo czasu, wypuszczając się na wyprawy badawcze do otaczającej świątynię dżungli.

Kyp dorastał w kopalniach przyprawy na Kessel i miał w sobie silną Moc. Dojrzwienie w więzieniu sprawiło, że był bardzo zamknięty w sobie i nie tolerował wścibiania nosa w jego sprawy. Moje próby zbliżenia się do niego spowodowały tylko tyle, że oddalił się jeszcze bardziej, zaprzestałem więc wszelkich wysiłków w tym kierunku. Nie chciałem robić nic, co mogłoby mi uniemożliwić bliższe poznanie go później.

Miałem zresztą wiele innych spraw na głowie.

Gantoris nie żył już od ponad dwóch tygodni, a ja byłem równie daleko od rozwiązania zagadki jego śmierci jak wtedy, gdy nad zwłokami unosiły się jeszcze kółka dymu. Nadal miałem wrażenie, że było to dzieło socjopatycznego mordercy, ale nikt do tej pory nie natrafił na ślady świadczące o tym, że ktoś taki czai się w dżungli Yavin 4. Mieliśmy ciało Gantorisa, ale jego zabójca zniknął bez śladu.

Holocron nie pomógł nam zbyt wiele w rozwiązaniu zagadki morderstwa, ale dostarczył pewnych wiadomości na temat historii księżycy, co dało nam jakiś punkt wyjścia. Okazało się, że Yavin 4 był siedzibą niezwykle groźnego Mrocznego Lorda Sithów, upadłego Jedi o imieniu Exar Kun. Został przecignięty na Ciemną Stronę Mocy, gdy studiował tajemnice Sithów, próbując zastosować ich sztuczki do kontrolowania i wykorzystywania Mocy. Przybył na Yavin 4 i zniewolił zamieszkujący dżungle księżycy lud Massassów. Zmusił ich do wzniesienia świątyni, dzięki którym ogniskował swoją potęgę. Dopiero gdy rycerze Jedi ze Starej Republiki starli się z nim w tak zwanej późniejszej Wojnie Sithów, został pokonany, a jego zło wymieciono z galaktyki na zawsze.

Ostrzeżenie Luke'a na temat Ciemnej Strony, kiedy zobaczył ciało Gantorisa, sprawiło że zacząłem się zastanawiać, czy Gantoris nie mógł gdzieś zdobyć, rozszyfrować i zbadać jakichś artefaktów czy podręczników Sithów. Jakoś przecież musiał się dowiedzieć, jak skonstruować miecz świetlny. Wołałem nie myśleć, że któryś z Mrocznych Jedi Imperatora zdołał przekraść się na Yavin 4 i zaczął kształcić pozostałych uczniów. Przypuszczenie, że Gantoris sam wpakował się w kłopoty, odpowiadało mi dużo bardziej.

Niestety - dla mojego spokoju ducha - koncepcja, że ciało Gantorisa jest wyzwaniem i drwiną, zbyt dobrze wpasowywała się w znane mi wzory. Ojciec zawsze mówił mi, że bym polegał na swoim instynkcie. Tak naprawdę zachęcał mnie w ten sposób do zaufania Mocy, więc wyszedłem z założenia, że na Yavin 4 mamy do czynienia z aktywną, inteligentną istotą, która szkoliła Gantorisa, by potem go uśmiercić.

Przy takim założeniu pozostawał jednak powracający wciąż problem: jeśli ktoś taki rzeczywiście istniał, mistrz Skywalker powinien był wykryć jego obecność. Robot edukacyjny byłby dobrym wytłumaczeniem, dlaczego nie wykryliśmy obecności takiej osoby w siatce życia na Yavin 4. Taki robot mógł nawet dysponować wiedzą, którą przekazywałby Gantorisowi, ale ponieważ nie był w stanie manipulować Mocą, jego lekcje szybko stałyby się bezużyteczne.

Na drugim końcu skali należało umieścić możliwość, iż pojawił się ktoś tak doskonale władający Mocą, że nawet mistrz Jedi nie potrafił go wykryć. „Mroczny duch” Gantorisa i postać z koszmaru mistrza Luke'a pasowały do tego wzorca. Umieszczenie Exara Kuna na czele listy podejrzanych bardzo kusilo. Z pewnością nie zawahałby się przed upieczeniem Gantorisa żywcem, ale przecież nie żył od czterech tysiącleci. Mistrz Luke wspominał wprawdzie, że widywał Obi-Wana Kenobi po jego śmierci, a nawet z nim rozmawiał, ale stwierdził, że po upływie mniej więcej dziesięciu lat mistrz Jedi zniknął na zawsze. Być może Mroczny Lord Sithów miał więcej sił, by przetrwać śmierć, ale cztery tysiąclecia?

Oprócz pracy z Tionną nad poszerzeniem naszej wiedzy o zakonie Jedi, wiele czasu poświęcałem na naukę władania mieczem świetlnym pod kierunkiem Karna. Udało nam się rozszerzyć moją sferę odpowiedzialności, którą umiałem w pełni kontrolować, do szesnastu metrów, co oznaczało, że byłem w stanie panować nad obszarem o rozmiarach bloku mieszkalnego. Kiedy koncentrowałem się na jednym kierunku, dawałem sobie radę z odbijaniem strzałów z blastera lub wyczuwaniem obecności na odległość stu pięćdziesięciu metrów. Podczas jednego z doświadczeń udało mi się umieścić w umyśle Dorska 81 wizję obiadu, która ściągnęła go z powrotem z pieszej wycieczki z Kypem z odległości pół kilometra.

Próbowałem przy tej okazji wnikać do umysłu Kypa, ale nie znałem go dostatecznie dobrze, by się do niego dostać. Potwierdziło to jedną z moich teorii. Mówiła ona, że im lepiej kogoś znałem, tym bardziej osoba ta stawała się podatna na moje projekcje w jej umyśle. W przypadku osób wrogich lub nieznanymi, albo skomplikowanymi obrazami, miałem ogromne trudności ze skłonieniem ludzi, by widzieli to, co chciałem.

Po wyjątkowo wyczerpującym dniu objąłem się wraz z resztą studentów przez całe popołudnie. Parę godzin zajęło nam słuchanie jednego z pomocniczych strażników Holocronu, który opowiadał nam o intrygach sądowych z czasów Starej Republiki - intrygach, które musiały być fascynujące, jeśli wiedziało się, o kogo chodzi, ale zbijająca z tropu niechęć strażnika do scharakteryzowania postaci dramatu sprawiła, że niemal natychmiast się pogubiłem. Później kolejny strażnik opowiedział nam o tym, jak Yoda stał się Jedi. Ta historia była nawet dość ciekawa i niewątpliwie uratowała mi życie, bo jeszcze minuta opowieści z czasów Nowej Republiki i zapadłbym w śpiączkę. Po tym wszystkim zrobiłem sobie dziesięciokilometrową przebieżkę, tylko po to, żeby przekonać się, że jeszcze żyję.

Zebrałiśmy się wszyscy w jednej z większych sal seminaryjnych na poziomie drugim, żeby posłuchać najnowszej ballady ułożonej przez Tionnę. Wiedziałem, że opracowała ją na podstawie materiałów, których razem szukaliśmy, obiecała mi jednak, że nie będzie w niej nic o Halcyonach, więc chciałem posłuchać. Właściwie to przyszedłbym nawet, gdyby śpiewała o intrygach sądowych Starej Republiki, bo kiedy salę wypełniał jej głos, człowiek nie miał żadnych wątpliwości - to była pełnia życia!

Akompaniowała sobie na nietypowym instrumencie, składającym się z dwóch pudeł rezonansowych umocowanych na długim gryfie. Nad pudłami biegly struny, w które można było uderzać lub je szarpać. Sposób ich zamocowania sprawiał, że instrument brzmiał niemal jak dwa odrębne, a dzięki biegłości Tionny w wydobyciu z niego dźwięków - prawie jak orkiestra. Melodie większości jej ballad, także tej najnowszej, o Nomi Sunrider, miały charakter liryczno-bohaterski, ale czasem pobrzmiewały w nich weselsze nuty, które sprawiały, że zaczynałem nucić do wtóru pod nosem.

Ballada o Nomi Sunrider dotyczyła czasów Exara Kuna i Wojen Sithów. Nomi trafiła do akademii Jedi w zastępstwie swojego męża, który został zgładzony. Zdobyła wielkie uznanie jako Jedi i odegrała bardzo ważną rolę w Wojnie Sithów. Ktoś mógłby uznać śpiewanie o niej w Wielkiej Świątyni na Yavin 4 za świętokradztwo, ale nie sądziłem, żeby po czterech tysiącach lat znalazł się ktoś, kto zaprotestuje.

Myliliem się.

W połowie ballady Kyp wstał z podłogi z twarzą wykrzywioną niesmakiem.

- Czy naprawdę musimy słuchać tej żalostnej historii? Nomi Sunrider była bezwolną ofiarą. Walczyła w Wojnach Sithów nie mając pojęcia, o co chodziło w tych bitwach. Ślepo słuchała swoich mistrzów Jedi, którzy bali się Exara Kuna, bo ten znalazł sposób, by powiększyć moc Jedi.

Tionna odłożyła instrument, zdziwiona i lekko urażona. Zapytała Kypa, dlaczego nie pomógł jej odtworzyć tej legendy, skoro dysponował tego rodzaju wiadomościami. Luke zapytał z kolei, skąd Kyp czerpał swoje rewelacje, ale ja już wiedziałem: Exar Kun. Byłem z Tionną, kiedy Bodo Baas opowiadał nam o Wojnach Sithów. Kyp przyjął właśnie punkt widzenia Exara Kuna, a o ile mogliśmy się zorientować, Holocron nie udostępniał żadnych nieoficjalnych opinii, niezgodnych z ogólną linią. Z zamyslenia wyrwał mnie płomienny wzrok Kypa, który na chwilę spotkał się z moim.

- ... zostaliby rozgromieni. Jedi nigdy by nie upadli, a my nie znaleźlibyśmy się tutaj, jako uczniowie kogoś, kto wie nie więcej od nas.

Luke ponownie zapytał Kypa, skąd wie o tej historii. Chłopak zawahał się na chwilę, a potem wymamrotał coś na temat Holocronu. Spojrzałem na Tionnę, która odpowiedziała uniesieniem brwi. Między wspólnymi lekcjami, kiedy razem słuchaliśmy Holocronu, a chwilami, kiedy korzystała z niego Tionna, nie pozostawało wiele czasu, kiedy Kyp mógł to zrobić, chyba że cierpiał na bezsenność.

Zanim zdołałem wytknąć mu kłamstwo, robot R2 mistrza Skywalkera wtoczył się do sali, wydając serię modulowanych gwizdów. Wydawało mi się, że zrozumiałem sekwencję „ładuje” i sięgnąłem zmysłami poprzez Moc. Zanim Luke ogłosił, że mamy gościa, odczułem obecność silnego źródła Mocy, zbliżającego się do powierzchni księżyca. Kiedy wyszliśmy ze świątyni, Łowca Główny Z-95 podchodził właśnie do lądowania.

Pilotem okazała się kobieta. Wyszła ze statku w srebrnym, dopasowanym kombinezonie i zdjęła hełm, spod którego wysypały się złotorude włosy. Nawet w słabym świetle zmierzchu zauważyłem jej zielone oczy -jaśniejsze i bardziej wyraziste niż moje. Była niewątpliwie piękna, chociaż uśmiech, którym powitała mistrza Skywalkera, wydawał się raczej niepewny.

- Mara Jade! - powitał ją Luke.

Jej odpowiedź umknęła mi, bo na niepokój wywołany zachowaniem Kypa nałożyła się nowa troska. Iella opowiadała mi, kim jest ta Mara Jade. Imperator wyszkolił ją, by służyła mu jako szpieg, umiejętnie posługujący się Mocą. Jej istnienie utrzymywano w najściślejszej tajemnicy. Wiedziała o niej zaledwie garstka wybrańców i tak by pozostało do dziś, gdyby nie rola, jaką odegrała w rozgromieniu Wielkiego Admirała Thrawna. Nie byłym pewien, co dokładnie zrobiła, ale pozostało mi wrażenie, że jest to osoba wyjątkowo kompetentna, wyjątkowo niebezpieczna i niekoniecznie pozytywnie nastawiona do Jedi.

Mimo to wyciągnęła z torby, którą trzymała na ramieniu, płaszcz Jedi. Luke odwrócił się w naszą stronę z uśmiechem i przedstawił nam Marę.

- To jest Mara Jade. Przyleciała do nas, by poznać nauki Jedi.

Wszyscy zaczęli bić brawo - nawet Kyp, chociaż zachował ponury wyraz twarzy. Luke musiał zauważyć to tak samo jak ja, bo przywołał mnie ruchem ręki.

- Keiran, czy mógłbyś zająć się zakwaterowaniem Mary? Muszę zrobić w tej chwili coś innego. Nie masz nic przeciwko temu, Maro?

Potrząsnęła głową przecząco i obejrzała mnie sobie od stóp do głów.

- Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy?

Wiedziałem, że nie, ale było w niej coś znajomego, co nie dawało mi spokoju.

- Nie, nie sądzę.

- Dziwne, zazwyczaj nie zapominam twarzy.

- A ja nie sądzę, bym mógł zapomnieć kogoś takiego jak ty. - Zaprosiłem ją gestem do świątyni. - Mamy tu wiele gotowych pokoi. Mistrz Skywalker mieszka na poziomie trzecim, podobnie jak większość studentów akademii. Goście zazwyczaj zatrzymują się na poziomie drugim.

Poczułem, jak poprzez Moc próbuje wysondować obrzeża mojego umysłu.

- Ale ty tam nie mieszkasz.

W ciągu nanosekundy skoncentrowałem się i zatrzasnąłem przed nią swój umysł.

- Nie. Spodobały mi się stare kwatery pilotów na parterze. Mara Jade uśmiechnęła się uśmiechem, który - jak na mój gust - był zanadto drapieżny.

- W takim razie ja też rozejrzę się najpierw tam, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie do mnie należy sprzeciwić się. Moim zadaniem jest wypełniać polecenia mistrza.

Przyklasnęła mi drwiąco.

- Dobrze, bardzo dobrze! Powiedziałeś to zupełnie jak służący dworak Imperatora.

Wchodząc do świątyni, posłałem jej szybki uśmiech.

- Cieszę się, że dzięki mnie czujesz się jak w domu. Ta uwaga spowodowała, że podniosła głowę.

- Imperium się rozpadło.

- Ale imperialne więzy lojalności niekoniecznie.

Zatrzymała się pośrodku hangaru, a ja zauważyłem, że jej kombinezon ściemniał, dopasowując się kolorem do zgaszonych barw otoczenia. - Twierdzisz, że się nie spotkaliśmy, ale najwyraźniej w świecie masz coś przeciwko mnie. Chcesz rozstrzygnąć tę sprawę teraz? - Spojrzenie, jakie mi posłała spod przymkniętych powiek, pałało czystym ogniem. Nie mogłem się nie uśmiechnąć.

Już miałem odpowiedzieć na jej wyzwanie, wywlekając wszelkie niegodziwości, jakich dopuściło się Imperium, poczynając od wybicia rycerzy Jedi, a skończywszy na zamordowaniu Gantorisa, kiedy odzyskałem rozsądek. Stałem w miejscu, skąd rozpoczął się rozpaczliwy atak na Imperium. Udany atak. Sam brałem udział w następnych, które powaliły Imperium na kolana i odebrały mu stolicę: miasto-planetę Coruscant. Pomogłem zniszczyć Imperium, które było jej domem, i nie widziałem powodu, dla którego nie miałaby tęsknić za bezpieczną przeszłością, podobnie jak ja tęskniłem za moją.

Wciągnąłem głęboko powietrze, wstrzymałem je na chwilę, po czym powoli wypuściłem.

- Proszę, wybac mi. Byłem nieuprzejmy. Bardzo łatwo zwałać winę na Imperium, gdy coś idzie nie po naszej myśli. Ty nie jesteś Imperium. Oskarżanie cię o proimperialne sympatie czy lojalność jest niesprawiedliwe i najprawdopodobniej głupie. To nie pierwszy raz, kiedy jestem niesprawiedliwy albo głupi, ale staram się nie popełniać obu tych błędów naraz w stosunku do osób, które dopiero co poznałem.

Wyciągnąłem do niej rękę.

- Jestem Corran Horn. - Prawdziwe imię z trudem przecisnęło mi się przez gardło, ale był to z mojej strony gest zaufania. Widać było, że Luke jej ufa, a instynkt podpowiedział mi, że powinienem zrobić to samo.

Mara Jade potrząsnęła moją dłońią i znowu mnie obejrzała od góry do dołu.

- Słyszałam o tobie. Wiedziałam, że skądś cię znam, ale imię „Keiran” do niczego mi nie pasowało. Nie wiedziałam dlaczego. A ponieważ nie wyczułam żadnego oszustwa ze strony Luke'a, to znaczy mistrza Skywalkera, zastanawiałam się, czy w ogóle wie, że przebywasz tu pod fałszywym nazwiskiem.

- On sam je zaproponował - uśmiechnąłem się. - Myślę, że pod wieloma względami uważa mnie za Keirana Halcyona. Zdaje się, że był to jakiś mój przodek, bardzo ceniony w systemie Korelii, gdzie działał jako Jedi.

- Rozumiem.

Przestała się uśmiechać, a ja wyczułem, że próbuje się do mnie zbliżyć. Nie wiedziałem dlaczego, a przy tym byłem przekonany, że sam mógłbym ją sondować przez całe eony i nic by mi z tego nie przyszło. Pewna część mnie chciała poddać się podejrzliwości, ale powstrzymałem się od tego. Zdecydowałem, że jej zaufam, więc ufałem. Komuś mogłoby to się wydawać głupie, ale czułem, że jest słuszne.

- Mistrz Skywalker sądził, że powinienem występować w akademii pod przybranym nazwiskiem, żeby nie rozpraszać innych uczniów.

- Były też chyba inne powody, dla których nie chciałeś przyciągać uwagi.

- Skąd to przypuszczenie?

- Twoim teściem jest Booster Terrik. - Mara Jade pozwoliła, by w kącikach jej ust zaigrał cień uśmiechu. - To by każdemu wystarczyło, żeby zmienić swoje nazwisko. Poza tym od dobrych sześciu tygodni nie słyszałam nic o Mirax. Od kiedy tu jesteś, od miesiąca?

- Więc zastanawiasz się, czy jej nie zabiłem i nie przyleciałem tutaj, by się ukryć?

- Nie. - Głos Mary stał się chłodny i poważny. - Zastanawiam się, czy ktoś inny jej nie zabił, a ty nie przyleciałeś tu nauczyć się, jak tego kogoś odnaleźć.

Przeszedł mnie dreszcz, bo trafiła prawie w dziesiątkę.

- Jak to możliwe, że tak dokładnie wiesz, kiedy ostatnio widziano moją żonę?

Wzruszyła ramionami, skracając w korytarz prowadzący do dawnych kwater pilotów.

- No wiesz, jest bardzo dobra w tym co robi. Ma nosa do wyszukiwania egzotycznych towarów i znajdowania na nie kupców. Niewątpliwie mieści się w pięciu procentach najlepszych przemytników w branży. Talon Karrde nadal opowiada, jak to pomogła mu rozładować tego sithiańskiego lanvaroka. Kiedy ktoś taki jak ona znika na parę tygodni, to znaczy, że albo szykuje coś większego, albo nie żyje.

Włączyłem oświetlenie małego pokoju.

- Ten pokój należał do pewnej pilotki, która zginęła jeszcze przed bitwą o Gwiazdę Śmierci.

Mara rozejrzała się szybko po pokoju i skinęła głową.

- Odpowiada mi. A zatem co się dzieje z Mirax? - Żyje, ale to wszystko, co wiem. -

Oparłem się o futrynę. - Mistrz Skywalker i Wedge sądzą, że z niewiadomych powodów została porwana. Uważają, że ktoś trzyma ją w stanie hibernacji. Ona jest gdzieś tam i czeka...

Rudowłosa pilotka skrzyżowała ręce na piersi.

- A ty zdobywasz tu umiejętności, potrzebne, by ją odnaleźć.

- Odnaleźć i uratować. Mara pokiwała głową.

- Ma dziewczyna szczęście.

- Mam nadzieję. - Pozwoliłem, by mój głos przeszedł w groźny pomruk. - Bo jeśli nie, jeśli przybędę za późno, jej porywacze przekonają się, że całe szczęście w galaktyce im nie pomoże.

ROZDZIAŁ

18

Wyglądało na to, że mistrz Skywalker chciał podjąć naszego gościa czymś w rodzaju odświeżonej kolacji. Wylądowałem więc w kuchni. Chociaż nie studiowałem nigdy sztuki kulinarnej - a Holocron nie mówił nic o specjalnych umiejętnościach Jedi w poprawianiu smaków - faktem jest, że urodziłem się na Korelii i obleciałem kawał galaktyki. Luke stwierdził, że na pewno będę wiedział więcej o dobrym jedzeniu niż pustelnik z Bespin czy Dorsk 81 -zwłaszcza iż system trawienny klona był tak wyspecjalizowany, że biedny Dorsk odżywiał się wyłącznie specjalnie preparowanymi sucharami.

Uff...

Na szczęście dla mnie, dowiedziałem się wszystkiego o gotowaniu od szefa kuchni na prywatnym jachcie Siolli Tinta. Podczas jednego ze śmiertelnie nudnych przyjęć poznałem Chida - jak każdy wielki artysta uważał, że samo imię całkowicie mu wystarczy -z którym gawędziliśmy sobie o co bardziej pyszałkowatych pasażerach rejsu. Nie obyło się bez picia, tak że po dłuższej pogawędce i jeszcze dłuższej kolejce trunków Chid wtajemniczył mnie w arkana Wielkiej Kuchni.

- Po pierwsze, porcje powinny być małe. Jeśli będą mieli ochotę na więcej, pomyślą, że było dobre. Po drugie, nazwa dania powinna być możliwie egzotyczna i sugerować, że zawiera ono niezwykle przyprawy. Snoby poświęcą mnóstwo czasu na sprawdzanie, czy mają dość wyrobione podniebienie, by wyczuć w smaku dwie molekuly ithoriańskiego szafranu. Nie ośmielą się też skrytykować twojej potrawy ze strachu, że ktoś uzna ich za prostaków. Po trzecie, potrawy, które powinno się gotować, podawaj surowe, a to, co należy podać na ciepło - podaj na zimno. Pomyśl wtedy, że to coś specjalnego. Po czwarte - i to właśnie jest najważniejsze - powiedz im, że przyrządziłeś to danie specjalnie dla nich. Tylko Gamorreanin odważy się zaprotestować, gdy spotka go taki honor.

Zapasy spożywcze akademii nie obfitowały w egzotyczne przyprawy - nazwanie ich żelaznymi racjami byłoby bliższe rzeczywistości, ale kiedy potłukłem suchary, zmieszałem je z owocami z kompotu, uformowałem długie, wąskie bochenki i upiekłem je, wyszło z tego coś w rodzaju pieczywa, które pokroiłem w poprzek na kromki. Kawalki suszonego mięsa po długotrwałym gotowaniu zaczęły przypominać gulasz, a suszone warzywa ugotowane w mięsnym wywarze stały się całkiem zjadliwą jarzynką.

A skoro już dawno zorientowaliśmy się, że płatki zbożowe, przysłane nam przez Nową Republikę, chyba nas nie zabiją, dałem się ponieść fantazji przyprawiając je do smaku i gamirując wielki talerz z żółtawą kupką płatków pośrodku kilkoma gałązkami o błękitnych liściach. Zrobiłem również obowiązkową surówkę z miejscowej zieleniny, ale tylko dlatego, że mistrz Skywalker wydawał się ją lubić.

Właśnie skończyłem podawać do stołu i wracałem z kuchni po wyłączeniu pieca, gdy z refektarza wypadł Kyp i natarł na mnie barkiem.

- Hej, Kyp, co jest grane?

Młodzieniec nie odpowiedział, tylko dalej kroczył sztywno w dół korytarza. Pobiegłem za nim, doganiając chłopca po paru krokach. Położyłem rękę na jego ramieniu.

- Kyp, odpowiedz mi. O co ci chodzi?

Wywinął mi się spod ręki z rozognionym wzrokiem. Poczulem silne uderzenie w pierś, ale już wcześniej zacząłem odsuwać się w prawo. Uderzenie Mocy, którym mnie potraktował, było jednak na tyle silne, że rzuciło mną o ścianę korytarza. Osuwając się na podłogę, zdołałem w końcu przytrzymać się szorstkiego muru.

- Nie ty jesteś moim mistrzem! - Kyp wycelował palcem najpierw we mnie, a potem w stronę jadalni. - On też nie! Jaki jest pożytek z bycia Jedi, jeśli się nic nie robi?

- A jaki jest pożytek z bycia Jedi, jeśli nie działa się odpowiedzialnie? - Podźwignąłem się do góry. - Pamiętaj, Kyp, że to właśnie Jedi, tak przez ciebie pogardzani, skopali tyłek Exara Kuna.

Znowu uderzył mnie Mocą, ale tym razem spodziewałem się tego. Odprężyłem się i pozwoliłem energii płynąć przeze mnie i wokół mnie. Zdołałem zgromadzić jej wokół siebie tyle, że otoczyłem się jakby tarczą, która zneutralizowała jego pchnięcie. Fakt, że tym razem nie rozpląszczył mnie o ścianę, zaskoczył Kypa.

- Jesteś dobry, Kyp, ale nie niezwykły. - Podniosłem ręce w uspokajającym geście. - A związałeś się z kimś, kto przegrał bardzo dawno temu. Nie powielaj jego błędów.

- A kto mnie powstrzyma?

Zawahałem się, bo głos Kypa brzmiał jakby podwójnie. Po paru sekundach zorientowałem się, że to zjawisko czysto słuchowe. Echo słów, które wypowiadał, powracało do mych uszu poprzez Moc. Nie byliśmy sami, co oznaczało, że mentor Kypa przybył, by wspomóc swojego pupila.

- Ja, jeśli mnie do tego zmusisz.

Szydercza pogarda z zamierzchłych czasów wykrzywiła rysy Kypa.

- Ty, cherlaku? Jesteś dla mnie nikim.

Chociaż przygotowałem się na jego atak, niewiele mi to pomogło. Poprzednie podmuchy Mocy, którymi mnie potraktował, były jak lekka bryza w porównaniu z prawdziwą wichurą. Rzuciło mną o ścianę, aż uderzyłem zębami o zęby. Moje ciało wchłonęło energię Mocy, oddając ją na zewnątrz i powiększając w ten sposób zasięg mojej tarczy ochronnej. Co więcej, zaskoczenie i instynkt samozachowawczy sprawiły, że otworzyłem się na przepływ Mocy, pompując ją w otaczający mnie ochronny bąbel. Mimo to siła ataku Kypa znowu rzuciła mną o ścianę, która zaczęła kruszyć się pod naciskiem chroniącego mnie pola.

Strefa bezpieczeństwa wokół mnie zaczęła się kurczyć, aż poczułem na piersi ucisk miażdżący mi żebra. Spojrzałem Kypowi prosto w oczy, usiłując wyświetlić w jego mózgu obraz jego własnej twarzy, wykrzywionej w maskę nienawiści, ale przestałem cokolwiek widzieć, zanim zdołałem powiedzieć, czy mi się to udało czy nie.

Ocknąłem się pewnie minutę później, sądząc z ilości płatków zbożowych zjedzonych podczas mojej nieobecności. Wchodząc do refektarza złapałem się futryny, chroniąc obolałe żebra. Streen wstał ze swojego miejsca i pomógł mi usiąść, a Tionna nalała mi szklankę wody.

Wypiłem ją, załując, że nie jest pełna koreliańskiej whisky.

Niebieskie oczy Luke'a zwrężyły się do wąskich szparek.

- Co ci się stało?

- Kypowi nie spodobało się moje menu. - Skrzywiłem się, czując ukłucie bólu w żebach. - Dyskutowaliśmy o tym w korytarzu. Nic nie poczuliście?

Siedząc wokół stołu potrząsnęli głowami, a mnie w okolicach żołądka zaczął się zbierać zimny strach. Jeśli Exar Kun był w stanie tak zamaskować atak na mnie, że Luke nie wyczuł go z odległości zaledwie piętnastu metrów, mógł bez trudu zgładzić Gan-torisa i nadal bezkarnie siać wśród nas spustoszenie. Staliśmy w obliczu czegoś potężniejszego niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić.

Wstałem.

- Mistrzu Skywalker, chciałbym zamienić z tobą słowo na osobności.

Pozostali uczniowie zaczęli wstawać, ale Luke gestem polecił im pozostać na miejscach.

- To zajmie tylko chwilę. Może przejdziemy do kuchni? Skinąłem głową i poszedłem za nim. Kiedy znaleźliśmy się sami w kuchni, Luke odwrócił się do mnie.

- Nie powinieneś być ingerować w sprawy Kypa. Zamrugalem ze zdumienia.

- Nie próbowałem w nic ingerować. Był zdenerwowany. Po prostu zapytałem, co się stało.

- Ale zrobiłeś coś, co sprowokowało go do ataku, tak? Potarłem ręką o szczękę i oparłem się o lodówkę.

- To stara technika stosowana przy przesłuchaniach. Na podstawie tego, co wydarzyło się wcześniej, wyciągnąłem pewien wniosek i poddałem go próbie. Powiedziałem mu, że Jedi skopali tyłek Exara Kuna i że Kun nie miał racji. Reakcja Kypa była gwałtowna, bardzo gwałtowna.

- Kyp dysponuje silną Mocą. - Luke skrzyżował ręce na piersi. - I darzy postać Exara Kuna pewną sympatią. Jego reakcja nie powinna być dla ciebie zaskoczeniem.

- Mogę się z tym zgodzić, ale wyczułem przy nim obecność kogoś innego. Bardzo słabo, ale jestem pewien, że ktoś tam był i pomógł Kypowi dać mi wycisk.

- I myślisz, że to był Exar Kun?

Zastanowiłem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem.

- Albo jest to Exar Kun, albo ktoś, kto się za niego podaje, bo Kyp zareagował właśnie na to imię. Możliwe, że ktoś postanowił ubrać się w cudze piórka, tak jak zrobił

sam Kun, kiedy pokazał ci się jako twój ojciec. Tak czy owak, jest bardzo silny. Mniej więcej tak silny, jak można by się tego spodziewać po Mrocznym Lordzie Sithów.

Luke potrząsnął głową.

- Sądzę, że popełniasz błąd, pochopnie wyciągając wniosek, że mamy do czynienia z Exarem Kunem. Przecież nawet nie wiemy, co się z nim stało.

- Słuchaj, byłem razem z Tionną, kiedy próbowaliśmy wyciągnąć co się da z Holoconu na temat Kuna. Rządził tu pewnym ludem, który został starty z powierzchni ziemi w czasie ataku rycerzy Jedi. Pewne wnioski nasuwają się same. - Wzruszyłem ramionami. - Myślę, że nikomu nie zaszkodzi przygotować się na najgorsze.

- Możliwe jednak, że w Holoconie są inni strażnicy, przechowujący dane o Exarze Kunie, do których ani ty, ani Tionna nie uzyskacie dostępu. Muszę zbadać to sam.

Uchwyciłem w jego głosie nutę wahania.

- Chyba nie myślisz, że skoro udało ci się uratować ostatniego Mrocznego Lorda Sithów, to i Exar Kun mógł się nawrócić?

Twarz Luke'a przybrała beznamiętny wyraz.

- Nie można tego wykluczyć.

- No nie, nie mówisz tego na serio! - Przyjrzałem mu się uważnie. - Słuchaj, nawet jeśli Exar Kun nigdy się nie nawrócił, nawet jeśli żaden inny Mroczny Lord Sithów nigdy nie dostrzegł swoich błędów i nie powrócił na Jasną Stronę, to nie ma nic wspólnego z tobą i twoim ojcem. Wiem, co ci chodzi po głowie - że gdybyś był dość dobry, gdybyś robił wszystko jak należy, twój ojciec może byłby nadal żywy. Myślisz, że nie zrobiłeś wszystkiego, co w twojej mocy, by go uratować, bo gdybyś to uczynił, on by nie umarł. I myślisz też, że gdyby udało ci się uratować innego Mrocznego Lorda, miałbyś jakieś porównanie i dowiedziałbyś się w końcu, czy naprawdę dałeś z siebie wszystko.

- Nie, to nie tak. - Luke nieugięcie pokręcił głową. - Zupełnie źle to rozumiałeś...

- Możliwe, mistrzu Skywalker, ale... - przełknąłem ślinę. - Słuchaj, ja wiem dokładnie, jak to jest, bo przechodziłem przez to samo, kiedy zginął mój ojciec. Żaden z nas nie będzie nigdy pewien, czy zrobił absolutnie wszystko, żeby uratować swojego ojca, ale z drugiej strony choćbyśmy to wałkowali nie wiem jak długo, i tak nie będziemy mieć drugiej okazji, by załatwić to lepiej. Możemy jedynie zaakceptować naszą odpowiedzialność za to, co się stało, i stawić czoło konsekwencjom.

Twarz Luke'a pozostała niewzruszona, ale był to fakt wiele mówiący. Przez chwilę zobaczyłem go takim, jaki był w istocie. Wychowany przez krewnych na Tatooine, musiał się bez końca zastanawiać, kim byli jego rodzice i nigdy nie nauczył się, jak postępować z ojcem lub matką. Pewnie ciągle się zastanawiał, dlaczego nie może mieć „normalnego” życia, nie zdając sobie sprawy, że każdy zadaje sobie to pytanie. A potem wreszcie dowiedział się, kim jest jego ojciec - zaufanym sługą najbardziej znienawidzonej osoby w galaktyce. Jego ojciec nie tylko zabijał ludzi, ale też zdradził najszlachetniejsze tradycje galaktyki. Luke postanowił, że nawróci swojego ojca i udało mu się, ale wtedy właśnie utracił go na zawsze.

Podszedłem do niego i położyłem mu ręce na ramionach.

- Zrobiłeś wszystko, co się dało. Wiesz o tym. A tutaj, tworząc akademię, pomagasz wymazać spuściznę, którą pozostawił po sobie twój ojciec. To, co tu robisz, jest dobre i potrzebne, ale nie możesz pozwolić, by twoja potrzeba potwierdzenia, że postąpiłeś jak należy, zamknęła ci oczy na to, co się dzieje tu i teraz. Kyp wymknął się spod kontroli i jest pod wpływem kogoś bez reszty poświęconego Ciemnej Stronie. Musisz z nim porozmawiać i otworzyć mu oczy.

Poczułem, jak Luke'a opływa fala spokoju.

- Wyciągnąłeś właśnie wniosek, do którego ja doszedłem jeszcze przed twoim starciem z Kypem. Jest teraz bardzo wzburzony. Myślę, że interwencję w tym momencie uznaliby za zaproszenie do konfrontacji, prawda?

Przytaknąłem.

- Chcesz, żeby najpierw sam sobie wszystko przemyślał? To mądry dzieciak, niewykluczone, że to zadziała. Jeśli mógłbym w czymś pomóc...

- Po prostu go nie prowokuj. Potrząsnąłem głową.

- Przepraszam, że się w to wmieszałem, mistrzu. Chętnie zostawię go w spokoju. Z tym jego sprzymierzeńcem jest poza moją klasą wagową. — Uśmiechnąłem się ostrożnie. - Nie mieszam się w bójki, w których wiem, że oberwę. Luke również się uśmiechnął.

- Chyba że jest dobry powód.

- Właśnie, ale jakoś nie przychodzi mi do głowy żaden dość dobry, żeby zaczepiać Kypa w najbliższym czasie.

Patrząc z perspektywy, miałem milion powodów, żeby stanąć do konfrontacji z Kypem, ryzykując, że poda mi moją głowę na tarczy. Luke był mistrzem Jedi i poprosił mnie, żebym nie ingerował, więc trzymałem się tego; bo zgadzałem się na jego plan. Do dziś żałuję, że nic nie zrobiłem, jednak wszystkie wersje rozwoju wydarzeń, które mi przychodziły do głowy, kończyły się równie krwawo jak te, które nastąpiły naprawdę.

Z wyjątkiem zabicia Kypa nie byłem w stanie nic zrobić.

A zabijając go, nieodwołalnie zmieniłbym się na gorsze.

Wróciłem na kolację, która upłynęła prawie w ciszy. Jeśli ktoś w ogóle mówił, było to coś lekkiego, na przykład miłe wspomnienia z dzieciństwa. Zauważyłem, że mistrz Skywalker i Mara Jade nie brali udziału w rozmowie, podobnie jak Brakiss i ja. Jedzenie okazało się nawet niezłe, ale nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi. A niezależnie od tego, jak małe były porcje, nikt i tak nie prosił o dokładkę.

Po sprzątnięciu naczyń wycofałem się do mojego pokoju, a w końcu usłyszałem, jak Mara Jade idzie do swojego. Miałem kłopoty z zaśnięciem i już miałem iść do niej porozmawiać, ale sposób, w jaki splawiła mnie wcześniej, był wskazówką, że tylko prosiłbym się o wyrzucenie. Na nic by mi się to nie przydało, więc pozostałem w pokoju, powtarzając sobie w pamięci różne pozycje i kroki w walce na miecze świetlne.

W pewnym momencie piskliwe beczenie robota typu R2 wyrwało mnie z medytacji. Uświadomienie sobie, że to nie Gwizdek, zajęło mi dłuższą chwilę. Złapałem miecz świetlny i wypadłem w kierunku wyjścia z Wielkiej Świątyni, podążając za dwiema

postaciami, w których rozpoznałem mistrza Skywalkera i Marę Jade. Kiedy wybiegłem w zimne powietrze nocy, zobaczyłem, że Łowca Głów Z-95 Mary Jade mknie w kierunku rozgwieżdżonego nieba.

- Ukradł mój statek! - poczułem napływające kolejno fale gniewu Mary. - Musimy za nim lecieć! Luke potrząsnął głową.

- Nie możemy.

- Jak to? Odchrząknąłem.

- Nie mamy tu żadnych statków. Marze opadła szczęka.

- Nie macie statków. Nawet X-skrzydłowców? I to właśnie wy dwaj?

- To jest akademia dla Jedi, a nie dla pilotów. - Twarz Luke'a stężała, gdy kolejni studenci zaczęli wybiegać ze Świątyni. - Kyp odleciał. Nie wiem, czy wróci. Mam nadzieję, że tak.

- Ja też. - Mara powoli zaciskała dłoń wokół pięści, w którą zwinęła drugą. - Żeby ukraść mój statek! Coś podobnego!

Luke popatrzył na nią twardym wzrokiem.

- Maro, proszę, uspokój się. Twój gniew w niczym nam nie pomoże. Muszę zająć się resztą moich uczniów i wyjaśnić im, co się stało. Jak skończę z nimi, wtedy...

Pulsujący gniew Mary zelżał, ale miałem wrażenie, że po prostu przestała go uzewnętrzniać.

- Idź, Luke. Rozumiem.

Mistrz Skywalker zawrócił w stronę Wielkiej Świątyni, nie patrząc na mnie. Wiedziałem, jak się oddała, ale nie ciągnęło mnie, żeby pójść za nim. Nie wiedziałem, co zamierza powiedzieć pozostałym, ale byłem niemal pewny, że sam wiem więcej niż to, co zamierza im przekazać. Pójść tam, żeby kwestionować jego motyw i rozumowanie, byłoby jednak równie szkodliwe jak wybuch gniewu Mary, więc pozostałem z tyłu.

Spojrzała na mnie.

- Ty też możesz odejść. Potrząsnąłem głową.

- Chłodna noc. Wolę raczej pogrzać się w ogniu twojego gniewu.

- A jeśli nie mam ochoty, żebyś tu sterczał?

- Nie denerwuj się, Mara. Ktoś ukradł twój statek, i tyle. - Staralem się mówić lekким tonem. - To drobiazg w porównaniu z takim na przykład wybuchem supernowej.

- A niechby wybuchła! Zmarszczyłem brwi.

- Czegoś tu nie rozumiem. To był zwykły Łowca Głów Z-95, tak?

- Tak. Nic nadzwyczajnego. - Skrzywiła się, ale po chwili grymas ustąpił wraz z głębokim westchnieniem. - A jednak!

- Nie rozumiem.

- Oczywiście, nigdy nie musiałeś tego robić, prawda? - Mara obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym niesmaku. - Miałeś niewiarygodne szczęście, wiesz? Twoja rodzina od zawsze służyła w KorSeku, więc miałeś życie od początku zaprogramowane. Osiągnąłeś tam wszystko, co mogłeś, a potem wstąpiłeś do Eskadry Łotrów. Tam znowu jedno zwycięstwo za drugim. Potem dowiadujesz się, że tak naprawdę pochodzisz z rodziny Jedi, więc przyjeżdżasz tutaj, żeby zdobyć to, co było ci przeznaczone od urodzenia. Nie za łatwo ci poszło?

- Nie było w tym nic łatwego.

- Ale przynajmniej miałeś wykreślony kurs... i rodzinę, która cię wspierała w twoich wyborach. - Potrząsnęła głową. - W galaktyce, rozrywanej na części jak rozszczipiane jądro atomu, udało ci się żeglować w miarę łagodnie. Jesteś tu teraz, szkoląc się na rycerza Jedi, podczas gdy twoja żona została porwana. Masz tak absolutną pewność, że to co robisz jest słuszne, że potrafisz odsunąć na bok niepokój i się skoncentrować. A wszystko dlatego, że to kolejna próba w życiu bohatera.

Chciałem zaprotestować, ale w tym, co powiedziała, odnalazłem trochę prawdy. Niewiele sobie z tego robiłem, więc chociaż po krzyżu przebiegł mi zimny dreszcz, odwróciłem jej słowa i zastosowałem do tych niewielu wiadomości, jakie miałem o jej życiu.

- A już myślałaś, że to ty będziesz bohaterką, że będziesz wypełniać swoje obowiązki, zmieniając losy Imperium. Aż tu nagle -bum! Wszystko, na co pracowałaś, znikła, pozostawiając cię odciętą i na marginesie.

- Powiedział, co wiedział.

- Przepraszam. - Odwróciłem wzrok i spojrzałem na dżunglę. - Jesteś dość mądra i utalentowana, by się o siebie zatroszczyć, ale nie masz już wzorców, według których mogłaś oceniać swoje osiągnięcia.

- Właśnie, a czarne stało się nagle białe... w całej galaktyce. - Odwróciła się, żeby spojrzeć w tym samym kierunku co ja przed chwilą. Wycelowała kciuk w stronę Wielkiej Świątyni. - Przyleciałam tu nauczyć się czegoś i odnaleźć swoje miejsce w nowym porządku...- A statek był twoim zaworem bezpieczeństwa. Gdyby ci się nie spodobało, mogłaś po prostu odlecieć.

Usłyszałem w jej głosie cień urazy.

- Nie mam w zwyczaju porzucać rozpoczętych projektów, nie doprowadzając ich do końca.

- Nie twierdzę, że tak jest. Ale mogłoby się okazać, że to, co tu znajdziesz, nie jest tym, czego szukasz albo potrzebujesz. - Odwróciłem się w jej stronę. - Masz trochę racji co do mojego życia, ale tylko trochę. Kiedy zmarli moi rodzice, zostałem sam, nie wiedząc, jak wykalibrować mój moralny kompas. Spotkałem innych ludzi, którzy wkroczyli w moje życie i pomogli mi się z tym uporać, ale tego rodzaju pomocy często szuka się przez całe życie. Ty będziesz nadal jej szukać. Ja też. Nawet mistrz Skywalker.

- Naprawdę?

- Tak. - Zauważyłem, że zacisnąłem dłoń w pięści, więc rozluźniłem je. - Mnie i tobie poszczęściło się, że mamy obok siebie kogoś takiego jak mistrz Skywalker, kto pomoże nam zorientować się, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Jej głos stwardniał.

- Ale nie sądzisz, że właściwie załatwił sprawę Kypa.

- Robi to po swojemu, ale to nie znaczy, że ma serce w niewłaściwym miejscu. Wręcz przeciwnie. Wie, dokąd zmierza i dokąd chce doprowadzić zakon Jedi. Po prostu nie jestem pewien, czy obrał kurs tak bezpieczny, jak bym sobie tego życzył.

Skinęła głową potakująco. Przez chwilę nic nie mówiła. Ja też milczałem, słuchając jak okrzyki polujących styntaryli rozcinają powietrze nocy. Mimo całego zamieszania, jakie wywołał Kyp tego wieczoru, teraz kiedy odleciał, wszystko jakby się uspokoiło.

- Daj sobie szansę sprawdzenia, czy to, co może ci zaoferować mistrz Skywalker, jest tym, czego rzeczywiście potrzebujesz.

- Plan nie gorszy niż inne.

- Tym bardziej że nie masz wyboru. Mara Jade pozwoliła sobie na uśmiech.

- Nie jesteś takim bezmyślnym narwańcem, za jakiego cię uważałam.

- Cieszę się, że tak uważasz. Chyba za dużo się nasłuchiwałaś gadania Boostera Terrika.

- Na to wygląda. - Odwróciła się i ruszyła w stronę świątyni. - Słyszałam, że wstajesz wcześniej rano, żeby biegać.

- Wstaję o świcie.

- Masz coś przeciwko temu, żeby to robić w towarzystwie?

- Chciałabyś ze mną biegać? - Zrównałem z nią krok. - Zwykle wybieram dość ciężką trasę.

- Ty wybierasz trasę, ja biegnę.

- W porządku. - Uśmiechnąłem się. - Witaj w akademii Jedi, Maro Jade. Mam nadzieję, że ci się tu spodoba.

ROZDZIAŁ

19

I chyba faktycznie jej się podobało, przynajmniej sądząc z wyrazu niezmałoczonej przyjemności, z jakim witała mnie rano przed biegiem, albo kiedy udało jej się odbić o jeden strzał zdalniaka więcej, niż ja kiedykolwiek byłbym w stanie podczas naszych ćwiczeń z mieczem świetlnym. Nie za często się uśmiechała, ale triumfalny uśmiešek miała opanowany do perfekcji, a ja widywałem go na tyle często, że mógłbym go wykuć w kamieniu z pamięci.

Było to tym bardziej denerwujące, że tak naprawdę prawie się nie widywaliśmy. Biegaliśmy razem z samego rana, a potem Luke pracował sam na sam z Marą, tak jak wcześniej z Kypem, zostawiając Kamowi uczenie pozostałych studentów. Po obiedzie słuchaliśmy opowieści o Jedi z Holocronu, a potem razem z Marą ćwiczyliśmy walkę na miecze świetlne. Chociaż nie dorównywałem jej w tej sztuce, nasze umiejętności były na tyle zbliżone, że mogliśmy się poranić, więc Kam kazał nam mierzyć się ze zdalniakami.

Zniknięcie Kypa wzbudziło pewien niepokój wśród pozostałych uczniów. Przyjazd Cilghal -nowej kandydatki, a zarazem ambasadora Mon Calamari, rozluźniło nieco posępna atmosferę i przybliżyło nas do problemów reszty galaktyki. Cilghal opowiedziała nam, jak admirał Daala zaatakowała Mon Calamari i straciła jeden ze swoich gwiazdnych niszczycieli, co było dobrą wieścią. Fakt, że siły byłego Imperium nadal istniały, umocnił nas w postanowieniu, by zostać rycerzami Jedi, bo potrzeba istnienia zakonu stawała się coraz bardziej oczywista.

Pewnego popołudnia siedziałem w świetlicy, słuchając, jak Tionna ćwiczy nową balladę, a Mara Jade wypytuje Cilghal o imperialny atak na Mon Calamari, gdy podjechał do mnie Artoo i uszczyptał za rękaw swoim chwytakiem. Gwizdnął na mnie krótko, okręcił się i ruszył w kierunku drzwi. Poszedłem za nim, a robot - czego można się było spodziewać - doprowadził mnie do kwatery Luke'a.

W pokoju od razu wyczułem gryzący swąd stopionych podzespołów elektronicznych. Źródłem tej woni była poczerńiała kałuża stopionej plastali na stole pośród pokoju. Nadal unosił się nad nią dym; nie zdążyła jeszcze całkiem zastygnąć. Spojrzałem na Luke'a, siedzącego na swojej pryczy z brwiami ściągniętymi w wyrazie koncentracji.

- Co się stało?

Luke popatrzył na małego robota.

- Artoo, zamknij drzwi. - Zaczekał, aż robot spełni jego polecenie, zanim zaczął mówić.

- Pamiętasz, jak mówiłem, że chcę sprawdzić, czy w Holocronie nie ma więcej informacji o Exarze Kunie?

- Pamiętam.

- Otóż były. Vodo-Siosk Baas został stworzony na podobieństwo mistrza Jedi, który szkolił Exara Kuna. Wykorzystałem go jako wektor dla moich dociekań na temat tego, co stało się z Kunem. - Luke zamilkł na chwilę. - Baas polecił na Coruscant, by porozmawiać ze swoim uczniem i nawrócić go na ścieżkę Jedi. Kun zabił go w Izbie Senatu.

Głośno wciągnąłem powietrze.

- To nie najlepsza wiadomość.

- Nie najlepsza. A kiedy spytałem, co stało się później...-wskazał bez słowa na stopione urządzenie. — W ogniu i rozbłyskach, jakie potem nastąpiły, wydawało mi się, że widziałem cień sylwetki mężczyzny i słyszałem jego śmiech.

Spojrzałem ponownie na zwęglone resztki, czując suchość w ustach.

- To jest Holocron?

- Czas przeszły byłby chyba właściwszy w tej sytuacji. Przeczesałem włosy palcami.

- Mózg mnie zaczyna boleć od tego wszystkiego. A ten cień... może to była gra płomieni?

Mistrz Jedi niespokojnie wzruszył ramionami.

- Może.

Przesunąłem dłonią nad stopionym Holocronem, wyczuwając jeszcze resztki ciepła.

- Myślisz, że to Exar Kun? Luke potrząsnął głową.

- Nie wiem. Cztery tysiące lat to kawał czasu. Myślę, że to raczej ktoś wyszkolony i wykorzystywany przez Imperium, jak Mara; ktoś, kto odkrył jakieś dzieła Exara Kuna i chciałby się pokazać jako nowy Mroczny Lord Sithów.

- Nie trzeba daleko szukać, żeby znaleźć odpowiedniego kandydata. Myślę, że Kyp byłby w sam raz.

- Nie myśl, że nie przyszło mi to do głowy. Miał w sobie tyle Mocy i tyle chęci, by jej użyć... ale to podsycalo tylko jego niecierpliwość. - Luke podniósł głowę i spojrzał na mnie. - Powiedziałeś kiedyś, że prześladowa mnie obawa, że zawiodłem mojego ojca. Może rzeczywiście tak było. Natomiast wiem na pewno, że zawiodłem Kypa.

- Ależ skąd, to on zawiódł ciebie! - Pochyliłem się nad stołem. - Kyp podjął się trudnego szkolenia, nie wiedząc, w co się pakuje. Przez całe swoje życie był niewolnikiem w kopalni przyprawy. Ty mu pokazałeś, ile ma w sobie siły. Uczył się samodzielnie podejmować decyzje i nagle otworzyły się przed nim wielkie perspektywy. Dla takich ludzi jak ja, Kam czy Mara igranie z takimi siłami jest niemal niemożliwe, ale Kyp...

Luke sposepniał jeszcze bardziej.

- To niezbyt pokrzepiające.

- Przykro mi. Jesteś mistrzem Jedi i wiesz, co robisz, myślę jednak, że powinieneś teraz skoncentrować się bardziej na tych uczniach, którzy nadal są w akademii. - Westchnąłem ciężko. - Nie wiemy, co dalej z Kypem. Mógł odlecieć na zawsze, ale może też powrócić. Wiemy jednak, że nasza pierwotna misja i powody, dla których założyłeś tę akademię, nie zmieniły się. Rycerze Jedi muszą ponownie pojawić się w Galaktyce, a ty jesteś jedyną osobą, która może sprawić, by tak się stało.

Mistrz Jedi przez chwilę rozmyślał w milczeniu, po czym krótko skinął głową.

- Zakon jest naprawdę potrzebny. Na tym właśnie muszę się skoncentrować.

- Zgoda. - Spojrzałem na niego z nadzieją. - Myślę, że powinniśmy też postanowić, co zrobimy z Exarem Kunem.

- Słusznie. - Luke pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Przy tym ruchu płaszcz zsunął mu się z ramion na boki, przez co wyglądał na jeszcze drobniejszego niż zwykle. - Zgromadzone przez nas dowody wskazują na Exara Kuna lub kogoś, kto się pod niego podszywa. Przeszukałem tę świątynię, ale wytropiłem w niej tylko bardzo wątpliwe ślady zła. Zbyt wątpliwe, jak na Exara Kuna. Podrapałem się w brodę.

- Chyba słyszałem, jak ktoś... może Bodo Baas... mówił, że wszystkie tutejsze świątynie zostały wzniesione jako punkty koncentracji siły Exara Kuna. Może nasza świątynia nie służyła temu celowi, a jedynie była z nim powiązana w jakiś inny sposób. Jeśli to powiązanie powstało wskutek magicznych sztuczek Sithów, Exar Kun może teraz blokować namierzanie. W takim przypadku inna świątynia musiałaby być punktem koncentracji dla jego mocy.

Luke przytaknął, po czym odchylił się do tyłu.

- Niezły pomysł. Możliwe, że właśnie w tamtej świątyni Gantorisa i Kyp znaleźli swoje instrukcje. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie to było...

Uśmiechnąłem się.

- Myślę, że mogę się tego dowiedzieć.

- Jak?

- Z dzienników wypraw badawczych. Wszyscy zwiedzaliśmy okolicę.

- Tak, ale to było już po śmierci Gantorisa. - Luke zmrużył oczy. - A Kyp pewnie sfalszował swoje zapiski, żeby ukryć, gdzie przebywał.

- To prawda, ale zawsze chodził z Dorskiem 81, który nie miał powodu fałszować swoich raportów. - Uśmiechnąłem się. - Jeśli poprosisz wszystkich, by oddali raporty z wypraw i powiesz im, że chcesz przeprowadzić ćwiczenie oparte na ich obserwacjach, będę mógł je przejrzeć i znaleźć prawdopodobne kryjówki naszego pana Kuna, czy kto tam się pod niego podszywa.

- Dobra, tak zrobimy. - Luke wstał i podszedł do stołu, by jeszcze raz obejrzeć nędzne resztki Holocronu. - Niszcząc Holocron, nasz wróg zaszkodził nam bardziej niż sam mógł przypuścić.

- W najśmielszych marzeniach. - Uśmiechnąłem się lekko do Luke'a. - To, czego się nauczyliśmy o historii Jedi, było bardzo potrzebne. Czujemy się spadkobiercami tej tradycji. Teraz jednak musisz użyć całej swojej wiedzy, by zrobić z nas ludzi, którzy

sprawia, że ta legenda odżyje. Czując plecy Mary Jade przyciśnięte do moich, nie mogłem się nie uśmiechnąć.

- Kam nie ułatwia nam zadania, co?

Buczące jednostajnie błękitne ostrze jej miecza świetlnego za-skwierczało, gdy odbiła groźny strzał ze zdalniaka.

- Jedi nie idą na łatwiznę, prawda?

- Prawda. - Rozciągnąłem zmysły jak mogłem najdalej, obejmując nimi prawie całą powierzchnię ciemnego hangaru. Kam pozamykał wszystkie drzwi i wyłączył światła, więc jedyne oświetlenie zapewniał słaby blask naszych mieczy świetlnych. W ciemności krążyło osiem zdalniaków, kreśląc zawiły wzór mijających się i przecinających torów. Musieliśmy być absolutnie skoncentrowani, by móc sięgać zmysłami w przestrzeń poza zdalniakami i za kolumnami hangaru, w przeciwnym razie bowiem bylibyśmy żałośnie wystawieni na strzały.

Kam zaplanował to ćwiczenie jako trening pracy zespołowej, bo połowę zdalniaków miałem się zająć ja, a połowę Mara, one same jednak mogły celować do nas obojga. Za każde trafienie „mojego” zdalniaka traciłem punkt, zdobywałem je natomiast za zablokowane strzały. Przewaga punktowa Mary mniej mnie martwiła, niż gdy miałem ją za plecami z mieczem świetlnym w dłoni, podczas gdy zdalniaki, których strzały powinienem był zablokować, zasypywały ją gradem ukąszeń.

Gdzieś tam, w ciemności, wyczułem zmianę przepływu energii. Trzymanym w prawym ręku mieczem zatoczyłem łuk równoległy do podłogi, odbijając niski strzał celujący w moje prawe kolano. Na wysokości pasa skierowałem broń pionowo, kierując ją w prawo, a potem zaraz w lewo, by przechwycić dwa kolejne strzały ze świstem rozcinające ciemność. Teraz przerzuciłem miecz do drugiej ręki, opadłem na lewe kolano i ciałem na odlew, zasłaniając się przed strzałem, który nadlatywał z boku.

Pokręciłem lewym nadgarstkiem, rozkoszując się mruczącym dźwiękiem miecza świetlnego i przekładając go z powrotem do prawej ręki. Nauczyłem się już dość, by całkiem nieźle sobie radzić z ostrzem trzymanym w prawym ręku, ale lewą miałem nadal słabszą i nie kontrolowałem jej tak precyzyjnie, jak bym sobie tego życzył. Trzymanie miecza było zwodniczo łatwe, ale wiązało się z tym pewne niebezpieczeństwo. Mogłem kręcić nim młynki równie łatwo jak piórem w dłoniach, ale gdybym go upuścił albo pozwolił, by niezręczny ruch skierował broń w stronę twarzy czy kolana, skutki takiej nieostrości byłyby bolesne. Bardzo bolesne.

Wyczułem strzał nadlatujący tuż nad moją głową. W pierwszym odruchu chciałem unieść ostrze i dźgnąć nim za siebie, ale tam miałem Marę. Nie mając wyboru, podskoczyłem najwyżej jak umiałem, wyciągając miecz wysoko nad głowę. Srebrzyste ostrze przyjęło strzał na sam koniuszek, rozjarzając się przez chwilę na czerwono. Roześmiałem się triumfalnie i zobaczyłem, jak lazurowe ostrze Mary zatacza pełny krąg pod moimi stopami, odbijając trzy strzały, nadlatujące pod najdziwaczniejszymi kątami.

Opadłem na ziemię i przykucnąłem, obróciłem się w lewo i zablokowałem kolejny strzał o sekundę wcześniej, niż znalazło się tam ostrze Mary, trafiając na moje. Nasze miecze rozbłysły w miejscu zderzenia, a ja rzuciłem się na plecy i przeturlałem na prawo, wykorzystując energię jej uderzenia. Stając na nogi w półbrocie, trzymanym w

prawym ręku mieczem odbiłem jeszcze dwa nadlatujące strzały daleko w mrok, trzeci jednak trafił mnie prosto w brzuch.

Natychmiast uśmierzyłem ból i dałem krok do tyłu. Zobaczyłem, jak Mara okręca się, uciekając od trzech strzałów, z których jednak jeden trafił ją w prawe ramię. Po tym uderzeniu jej ostrze poruszyło się o ułamek sekundy za wolno, przez co dwa kolejne strzały drasnęły jej prawe biodro. Obrót, rozpoczęty świadomie, przeszedł w niekontrolowany ruch, który powalił ją na podłogę hangaru. Uniosła ostrze i odbiła kolejny strzał, ale następny trafił ją prosto w kregosłup, udaremniając próbę powstania.

Widziałem, jak leży na brzuchu ze skrzyżowanymi nogami i włosami jak welon, odbijający srebrne błyski mojego miecza. W tym samym momencie wyczułem, że trzy zdalniaki krążą wokół coraz bliżej nas, by oddać ostatnie strzały, które by ją dobiły. Dwa nadlatywały w kierunku jej stóp, trzeci - w stronę głowy. Miecz świetlny Mary zamrugał i zgasł, porzucony obok jej lewej dłoni i całkowicie bezużyteczny.

Stałem przed wyborem, w którym każde rozwiązanie było nie do przyjęcia.

Zanurkowałem w stronę Mary, tnąc prawą ręką mieczem powietrze przy jej stopach. Srebrzyste ostrze zablokowało dwa strzały, które miały unieruchomić Marę. Nie mogłem się nie uśmiechnąć, choć wiedziałem, że zwycięstwo jest chwilowe. Lewą ręką złapałem strzał w odległości zaledwie paru centymetrów od jej twarzy. Piekący ból przeszył rękę aż do ramienia, ale zaabsorbowałem energię strzału w siebie i skierowałem ją z powrotem, by uspokoiła wzburzone nerwy. Uśmiechałem się coraz szerzej, bo sukces bardzo podniósł mnie na duchu.

Niestety, nie na ciele, które zważyło się ciężko na ziemię. Upadłem na klatkę piersiową, aż mnie odbiło; w końcu palcami nóg, a potem kolanami grzmotnąłem o podłogę hangaru. Próbowałem wprawdzie skrócić ciało, aby upaść na lewe biodro, dzięki czemu mógłbym utrzymać ostrze w powietrzu i nadal się bronić, ale efekt był taki, że zacząłem się turlać, aż owinąłem się wokół filaru. Miecz świetlny wypadł mi z ręki i koziółkując w powietrzu wyładował dziesięć metrów ode mnie. Jego srebrzysty blask oświetlił zdalniaki, kierujące się w moją stronę.

Westchnąłem.

- Mam złe przecucia... Zdalniaki nie wystrzeliły.

Odróciłem się na plecy. Pomiędzy zgiętymi kolanami zobaczyłem, jak Mara czołga się na boku w moją stronę. Pot przyklepił jej kosmyki włosów do twarzy, która w poświęcie ponownie włączonego miecza lśniła lodowato błękitnym blaskiem. Skóra wokół jej oczu była mocno napięta, ale nic poza tym nie wskazywało, by odczuwała jakikolwiek dyskomfort.

Doszedł do nas zwielokrotniony echem głos Karna.

- Wystarczy na dziś. Poszło wam nie najgorzej. Roześmiałem się.

- Jeśli tak, to dlaczego czuję się tak fatalnie?

- Bo było nie najlepiej.

- Dzięki za wyjaśnienie, Kam. - Wyprostowałem nogi i położyłem głowę z powrotem na chłodnych kamieniach podłogi. Przeczesałem palcami brodę, ścierając z niej kropelki potu, a potem otarłem czoło, po którym pot ściekał aż do oczu. Obróciłem głowę w lewo i uśmiechnąłem się do Mary, która powoli czołgała się w moją stronę.

- Bardzo boli?
 - Jedi nie zna bólu.
 - Jasne. Mnie też. - Spojrzałem na mój miecz świetlny. Wyciągnąłem dłoń w jego stronę i spróbowałem przywołać ostrze, ale jedynym rezultatem, jaki osiągnąłem, było nieznaczne podrygiwanie rękojęści.
 - W takich sytuacjach najbardziej żałuję, że nie mam talentu do telekinezy.
 - Jesteś zwyczajnie leniwy. Rusz się i podnieś go.
 - Dobra. Za chwilę.
 Mara roześmiała się lekko, a potem westchnęła.
 - Dzięki za pomoc.
 - Nie ma za co. Zrobiłabyś to samo w mojej sytuacji.
 - Czyżby? - w jej głosie nie było już lekkiej nuty. Musiałem przez chwilę pomyśleć.
 - Tak. Wszechświat, jaki znałaś, kiedy dorastałaś, mógł się zmienić, ale nie dotknął wartości, które najbardziej cenisz - lojalności i poczucia obowiązku. Nie uważam wprawdzie, byś kiedykolwiek czuła się do kogoś przywiązana, ale wyświadczyłabyś ten rodzaj przysługi komuś, kogo uważasz za przyjaciela. Mam rację?
 Odpowiedziała mi cisza.
 Przetoczyłem się na lewy bok i oparłem głowę na ramieniu.
 - Bo chyba jesteśmy przyjaciółmi?
 Przymknęła oczy, a po chwili jej miecz świetlny znowu zgasł, skrywając twarz w cieniu.
 - Nie jestem pewna, czy wiem, co to znaczy mieć przyjaciela w takim sensie, jak ty to rozumiesz. Ale chyba ci ufam.
 - Niech będzie.
 - Czy to dlatego poświęciłeś własną rękę, żeby ochronić moją twarz? Dlatego, że uważasz mnie za przyjaciela?
 - W pewnym stopniu tak. W dużym stopniu. - Przygryzłem dolną wargę, a potem ciągnąłem: - Zrobiłem to także, bo wiedziałem, że leży to w granicach moich możliwości, a zatem miałem obowiązek tak postąpić. Jeszcze zanim wstąpiłem do KorSeku, wiedziałem, że czasem będę musiał podjąć się czegoś... czegoś niebezpiecznego... dlatego, że inni nie mogą tego zrobić. Moją rolą w społeczeństwie było podejmowanie działań i przyjęcie odpowiedzialności za tych, którzy są do tego niezdolni. Myślę, że w gruncie rzeczy to właśnie jest sensem bycia rycerzem Jedi. Jedi staje tam, gdzie może obronić jak największą liczbę ludzi od największego zła.
 - Nawet jeśli go to kosztuje życie? Powoli wypuściłem powietrze.
 - Wolisz się nad tym nie zastanawiać, ale na tym polega to zajęcie. Pamiętam parę takich przypadków w życiu, w Eskadrze Łotrów i wcześniej, kiedy wiedziałem, że moim obowiązkiem jest wykonać zadanie. Byłem niemal pewny, że zginę podczas akcji i prawie do tego doszło na Talasei. Chodziło jednak o to, że miałem przyjaciół, którzy zginęliby, gdybym nie podjął żadnego działania i w tym układzie moje życie liczyło się znacznie mniej Mara prychnęła.

- Imperator uważałby cię za sentymentalnego głupca, który zasłużył na to, żeby zginąć.
 - Będę o tym pamiętać, kiedy następnym razem zatańczę na jego grobie. - Podniosłem się do pozycji siedzącej i skrzyżowałem nogi. - Po prostu czasem warto się poświęcić. Zrobiłem to wówczas, zrobiłem to i dziś. A ty będziesz musiała dokonać własnego wyboru, kiedy przyjdzie pora...
 - Niełatwy wybór.
 - Ano nie. - Wstałem i podałem jej rękę. Przyjęła ją i wsparła się na mnie, wstając.
 - Z drugiej strony, jak powiedziałeś, Jedi nie idzie na łatwiznę, prawda?

ROZDZIAŁ

20

Mistrz Skywalker rzucił płaszcz Kamowi i ujął rękojeść swojego miecza.

- Dzięki, Kam. Możesz się przez chwilę zająć resztą uczniów?

- Jak sobie życzysz, mistrzu.

Mistrz Jedi patrzył na mnie, gdy sięgałem po miecz.

- Nie musimy tego robić, Keiran. Uśmiechnąłem się szeroko.

- Chyba musimy, mistrzu. I chyba chcesz mi zadać jakieś pytanie.

Luke powoli przytaknął.

- Czy ten pojedynek oznacza, że ty też porzucisz akademię? Ból w jego głosie poruszył mnie do żywego. Luke widział, jak jego marzenie o stworzeniu akademii rycerzy Jedi wali się w gruzy. Gantoris usmażył się od własnego gniewu i nienawiści. Kyp, najbardziej obiecujący z kandydatów na Jedi, uległ władzy starożytnego nikczemnika i zniknął. Mara Jade, zaufana uczennica Imperatora, przybyła do akademii, by w niej studiować, ale już po tygodniu postanowiła zrezygnować z nauki i właśnie tego poranka Han Solo i Lando Carlissian zabrali ją na pokładzie „Sokoła Millenium”.

Biorąc pod uwagę, że akademia działała niewiele dłużej niż miesiąc, tempo, z jakim odpadali co bardziej obiecujący studenci, było zastraszające. Mogłem uznać pytanie Luke'a za potwierdzenie moich wysokich umiejętności, ale czułem, że tak naprawdę oznaczało ono, jak bardzo czuje się przybity. Mogłem go zrozumieć, bo sam czułem się trochę zdradzony przez wyjazd Mary.

Spotkałem ją rano, kiedy przyszedłem po nią przed naszym biegiem.

- Gotowa do startu?

- Tak. - odparła. - Ale nie do biegu. - Stała w swoim pokoju w tym samym zmieniającym kolor kombinezonie, w którym tu przyleciała. Jej łóżko było starannie posłane, a szata Jedi, złożona w kosteczkę, leżała w nogach łóżka, tuż obok jej wyładowanego po brzegi plecaka. - Pomyślałam, że komuś kiedyś może się przydać ta szata. Innemu kandydatowi.

Stała w drzwiach, opierając się o futrynę i zasłaniając ciałem wyjście.

- Mówiłaś zdaje się, że nie jesteś z tych, co rezygnują przed końcem.

Jej oczy rozbliły się gniewem, ale opanowała się tak szybko, że aż mnie to zaskoczyło.

- Nie rezygnuję. Wiele się tu nauczyłam, ale to, czego potrzebowałam, nie pokrywa się z tym, czego potrzebujesz ty albo inni kandydaci.

- Możesz mi to puścić jeszcze raz, włączając tym razem pliki pomocy?

Stała odrobinę swobodniej, kołysząc się na piętach.

- Tego, co teraz ćwiczycie, ja nauczyłam się już dawno, pod kierunkiem Imperium. Doskonaliłam cały czas te umiejętności. Trenowałam przecież ze mną walkę na miecze świetlne. Myślisz, że nauczyłam się tak walczyć w ciągu jednego popołudnia?

Wzruszyłem ramionami.

- Mając za przykład mnie i Kama, czy ja wiem? To chyba możliwe...

- Brzmi fajnie, Keiran, ale wiesz, że to nieprawda.

- No dobra, punkt dla Mary Jade. Skóra wokół jej oczu naciągnęła się.

- Imperialne szkolenie kładło nacisk na wykorzystanie technik Ciemnej Strony w celu sięgnięcia po Moc. Pozwalałam, by podkreślały mnie emocje. Przyleciałam tutaj myśląc, że Luke pokaże mi coś nowego, jakieś nowe umiejętności, których nie posiadałam, ale zamiast tego on po prostu pokazał mi, jak używać Jasnej Strony. Nadal robię to samo, tyle że teraz mam nowe źródło energii.

- Nieco mniej gwałtowne, nieco trudniej dostępne...

- Tak, ale takie, które nie przepali silnika. - Spojrzała mi prosto w oczy wzrokiem zdumiewająco bezbronnym. - Tamtego dnia, kiedy rozmawialiśmy o gotowości do poświęcania się za innych, mówiłeś o przyjaźni i o tym, że czasem musimy wziąć na siebie odpowiedzialność za kogoś innego. Zaczęłam myśleć o mojej roli w Konfederacji Przemysłowców. Jest wiele rzeczy, które muszę przemyśleć.

Powoli pokiwałem głową.

- A do tego krótkiego pobytu u nas zachęcił cię po części fakt, że nie czułaś się dobrze z odpowiedzialnością, jaką złożono na twoje barki.

- No proszę, a ja myślałam, że agenci KorSeku to same przygłupy.

- Nawet my miewamy chwile wielkości.

- Do tej pory odpowiadałam tylko za siebie. Mogłam podejmować decyzje, które na poziomie taktycznym mi odpowiadały. Ale od kiedy Karrde postawił mnie na czele Sprzymierzenia, muszę myśleć bardziej strategicznie. On liczy na to, że dokonam słusznych wyborów. To oznacza większą presję. Poradzę sobie z tym, nie zamierzam go zawieść, ale...

- Ale nie jesteś pewna, czy ci to odpowiada - uśmiechnąłem się. - Rozumiem cię. Z tego samego powodu zadowala mnie bycie pilotem w Eskadrze Łotrów. Nie chcę dowodzić własnym oddziałem. Nie chcę się rozproszyc do tego stopnia, że moje indywidualne działanie przestanie mieć wpływ na sytuację.

Wzrok Mary stwardniał.

- Założę się, że przemysłowcy działający w twoim sektorze systemu Korelii nie przepadali za tobą.

- Nie rozumiem dlaczego. Miałem ich witać fanfarami, jak wpadali w moją pułapkę, czy co? - Potrząsnąłem głową. - Handlowali rzadkimi towarami. Ja sprzedawałem im najcenniejszy z towarów: czas.

- Tak, na Kessel. Czas płynie tam rzeczywiście bardzo powoli.

- A ja nawet nie brałem za to prowizji. — Wyprostowałem się i podałem jej rękę. - Żałuję, że odjeżdżasz. Tak między nami, miałem nadzieję, że uda nam się trochę ożywić to miejsce. Ze pomożemy Luke'owi poprowadzić pozostałych na wyższy stopień rozwoju. Trochę się waham to mówić, ale praca z tobą sprawiła mi wiele przyjemności.

Mara obdarzyła mnie jednym ze swoich skąpo wydzielanych uśmiechów.

- Jak na coś, co zaczęło się od sprzeczki i kradzieży mojego statku, całe to doświadczenie nie było takie złe, jak się spodziewałam. Dzięki za pomoc. Jeśli jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić...

- Coś by się znalazło... - Uśmiechnąłem się słabo. - Przy twoich kontaktach w środowisku przemytników możesz usłyszeć coś o Mirax. Byłbym ci wdzięczny za jakąkolwiek wiadomość. Naprawdę.

- To może coś za coś? - Zawahała się przez chwilę, a potem spuściła wzrok. - Uważaj na Luke'a, dobrze?

- Jasne, z przyjemnością. - Uniosłem brwi. - Masz na myśli coś szczególnego? Wiem, że twój wyjazd go nie ucieszy...

- To też, ale przede wszystkim... - zająknęła się. - Jego związki z Ciemną Stroną. Wiem, że dają mu bodziec, by ciągnąć to szkolenie, ale nie jestem pewna, czy on sobie w pełni zdaje sprawę, jak bardzo Ciemna Strona go zraniła. To doświadczenie musiało być niewiarygodnie traumatyczne i Luke nadal liże swoje rany. Nie obawiam się wprawdzie nawrotu, ale może, czyja wiem...?

- Mógłby spróbować osiągnąć zbyt wiele i zbyt szybko?

- To do niego podobne.

Przytaknąłem i miałem ochotę kopnąć się w zadek, że sam wcześniej na to nie wpadłem. Dla Luke'a, jak zresztą dla każdego, podróż na Ciemną Stronę i z powrotem musiała być jak zainkasowanie serii strzałów z bliskiej odległości. Terapia w zbiorniku bacta uleczyłaby rany fizyczne, ale dręczących wspomnień i koszmarów sennych trudniej się pozbyć niż kulki w brzuchu. Techniki relaksacyjne Jedi, choć pomagały uśmięrzyć wewnętrzny niepokój, tak naprawdę leczyły tylko objawy, a nie przyczyny choroby. Te uleczyć mógł tylko czas; czas, a także miłość i wsparcie przyjaciół.

- Będę mieć na niego oko. Uważaj na siebie, dobrze?

- W porządku.

- A gdyby któryś z twoich kumpli wśród przemytników chciał się pozbyć zbędnych zapasów jedzenia... chodzi mi o coś naprawdę jadalnego... to wiesz, dokąd go skierować.

Mara zarzuciła na ramię plecak i minęła mnie w drzwiach.

- Załatwione, tajniaku. Do zobaczenia za parę parseków. Luke odprowadził ją na statek, a potem apatycznie prowadził poranne ćwiczenia. Widać było, że stara się pracować ze zwykłym zaangażowaniem, ale robił to bez entuzjazmu. To był ten sam rodzaj zachowania, który Iella zauważyła u mnie po śmierci mojego ojca. Luke zbyt wiele rozmyślał o tym, co się stało, pograżając się w rozpamiętywaniu przeszłości, podczas gdy reszta wszechświata ciążyła w stronę przyszłości.

Pamiętam, że Iella i Gil Bastra zabrali mnie wtedy do jednej z najbardziej zapuszczonych spelunek Alei Łowców Skarbów, zwanej „Fel Swoop”. Wypełniał ją gęsto zbi-

ty tłum kierowców wyścigowych, ścigających się na swoopach albo motorach pościgowych. Kiedy Iella i Gil włączyli we mnie odpowiednią ilość koreliańskiej whisky, zacząłem śpiewać piosenkę o tym, jak to entuzjaści wyścigów mają dziury w mózgu i hart ducha myszy. Mój śpiew, nawet w najlepszych chwilach, był zdolny wywołać rozruchy wśród wyrobionej publiczności, więc burda, jaka z tego wynikła, o mało nie rozniosła tej budy na kawałki. Faktem jest jednak, że ból, siniaki i blizny, które wtedy zarobiłem, przywróciły mnie do rzeczywistości i pozwoliły się w niej zakotwiczyć.

Na nieszczęście, na Yavin 4 nie mieliśmy żadnej knajpy, którą można by rozwalić, ani żadnej whisky, której można by się napić. Uważałem, że odrobina wysiłku fizycznego dobrze by Luke'owi zrobiła, sprowadzając go z powrotem na ziemię, więc wyzwaliśmy go na pojedynek. Kam wyjaśniał mi, że pewnych rzeczy muszę się nauczyć od żywego przeciwnika, a on sam nie włada mieczem świetlnym dość dobrze, by stawać ze mną w szranki. Tymczasem Luke musiałby się starać, żebym go nie trafił ani żeby on sam nie zranił mnie, a to wymagało koncentracji.

Włączyłem miecz świetlny, a jego trzeszczący syk wypełnił hangar.

- Uczciwe pytanie: wyjeżdżam czy nie. Masz wszelkie powody, by je zadać. Odpowiedź brzmi: nie, nie wybieram się nigdzie, chyba że nasz pojedynek zakończy się naprawdę źle dla jednego z nas.

Zielona klinga miecza Luke'a obudziła się do życia.

- W takim razie zobaczmy, czego się nauczyłeś. Podszedłem do niego i wymierzyłem cięcie znad głowy przez jego lewe ramię. Zablokował cios wysoko uniesionym mieczem, przyjmując atak w zewnętrznym kręgu obrony. Zamaszystym skrętem w dół zaatakowałem jego lewą nogę, ale opuścił miecz i odrzucił na bok moje ostrze bez większego trudu. Iskry skrzesane przez ścierające się klingi wydobyły cienie na znużonej twarzy Luke'a.

Jest tak jak myślałem, powiedziałem sobie. Przerzucając miecz do prawej ręki natarłem na niego szybko i ciąłem mieczem na odlew. Ruch przełożył się na siłę ciosu, tak że Luke musiał zawęzić pole obrony do środkowego kręgu. Nie przestając posuwać się do przodu z wyciągniętą prawą ręką, skierowałem rękojeść miecza w dół. Pchnąłem Luke'a rękojeścią w pierś, podstawiłem swoją lewą pod jego prawą nogę i powaliłem go na ziemię.

Cofnąłem się, gdy zielonkawe światło miecza oświetliło jego zaskoczoną twarz. Pozwoliłem sobie na nutę hysterii w głosie:

- Jeśli nie szanujesz mnie, przynajmniej uszanuj to, czego nauczył mnie Kam.

Luke powoli wstał, trzymając jednak cały czas między nami ostrze miecza. Ja trzymałem swoje na ukos w poprzek ciała, z rękami tuż przy prawym biodrze i koniuszkiem miecza na poziomie lewego ramienia. Zrobiłem zwód prawą stopą, jakbym zamierzał atakować, a Luke cofnął się o pół kroku.

Musi się skoncentrować, pomyślałem. Czekałem, aż zajmie pozycję, a potem okrążyłem go, zbliżając się od lewej. Ciąłem dwukrotnie, w poprzek od lewej do prawej, a potem od tyłu, żeby nie dopuścić go bliżej siebie, następnie zaś natarłem prosto na niego. Rzuciłem się z ostrzem do przodu. Zielona klinga Luke'a odparowała mój cios poruszając się po łuku, który odchylił moje ostrze daleko na prawo.

Zaśmiał się triumfalnie, ale śmiech zgasł, gdy kopnąłem go w brzuch, kiedy bowiem parował mój cios, ja odzyskałem równowagę po natarciu i wymierzyłem kopniaka w sam środek jego ciała. Luke zgiął się w pół i cofnął o kilka kroków, trzymając się za brzuch lewą ręką, ale nie dałem mu szansy na odpoczynek. Natarłem szybko i mocno, wykręcając srebrnym ostrzem poziomą ósemkę, jak znak nieskończoności, atakując go z góry i z dołu.

Luke spojrział na mnie i wzrok mu stwardniał.

W tym samym momencie wpadłem na ścianę Mocy, od której się odbiłem i poleciałem parę kroków w tył, balansując na piętach. Poczulem w ustach smak krwi, ale wiedziałem, że wypływa z nosa, który bardzo bolał. Nie sądziłem, by był złamany, ale zderzenie nosa z dowolną twardą powierzchnią rzadko kiedy bywa przyjemne.

Starłem krew rękawem zielonej tuniki, ale w panującym w pomieszczeniu półmroku i tkanina, i krew wyglądały równie czarno.

- Niezła sztuczka.

Usta Luke'a wykrzywił dziki uśmiech. Ruszył do przodu, poruszając się z płynnością, jakiej nigdy u niego nie widziałem. Wymierzył cięcie, które rozciąłoby mnie na pół od prawego ramienia do lewego biodra. Złapałem błysk zaskoczenia w jego oczach, bo spodziewał się, że zablokuje go wysoko z prawej strony, podczas gdy ja przepuściłem ostrze przez zewnętrzny i środkowy krąg obrony. Szybką paradą odrzuciłem miecz daleko od mojego prawego ramienia, dałem krok do przodu i wbiłem prawe ramię w podbródek Luke'a.

To go wyprostowało, a dolna szczeka gwałtownie stuknęła o górną. Dźgnąłem go lekko lewym łokciem w zębra i uchyliłem się przed cięciem, które przysrzygłoby mi włosy mniej więcej na poziomie uszu. Przykucając, zrobiłem wymach lewą nogą i podciąłem nią Luke'a, kosząc go po kostkach i powalając znowu na plecy.

Odturlałem się w tył i wstałem, patrząc w dół na niego.

- Myślałem, że pokażesz coś lepszego.

Luke wstał powoli, ścierając lewą ręką strużkę krwi z rozciętych warg.

- Kiedy dorastałem, nie wdawałem się za często w bijatyki. Razem z przyjaciółmi zajmowaliśmy się raczej wyścigami niż walką.

- W takim razie może powinieneś być wyścigowcem, a nie rycerzem.

- Nie rozumiesz. - Luke wypluł ślinę pomieszaną z krwią. - Grają tu rolę różne czynniki, ważą się różne siły.

- Może mógłbym to zrozumieć, gdybyś zaczął o tym mówić. - Opuściłem klingę. - Jesteś mistrzem Jedi, ale to nie oznacza, że sam musisz dźwigać na swoich barkach całą odpowiedzialność. Przecież wiesz o tym: pozwoliłeś Tionnie studiować i przekazywać nam historię Jedi. Kam zajmuje się częścią szkoleń, a ja pracuję nad zagadką ciemnego mężczyzny. Nawiasem mówiąc, sądzę, że udało mi się ustalić lokalizację świątyni Exara Kuna na podstawie sprawozdań z wypraw badawczych Dorska 81. Pomyślałem sobie, że rozejrzę się tam po południu.

- Nie. - Luke nieustępliwie pokręcił głową. - Nie możesz iść tam w pojedynkę. Nie chcę, by chodził tam ktokolwiek z moich uczniów.

- W takim razie ty pójdziesz, a ja będę cię osłaniał. Zawahał się, ale potrząsnął głową.

- To niemożliwe, nie teraz.

- Dlaczego nie?

Luke zamknął oczy i westchnął.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że wiedziałem, kiedy moi przyjaciele wpadli w tarapaty na Bespin? - Tak. Powiedziałeś, że miałeś wizję przyszłości. - Zmrużyłem oczy. - Powiedziałeś, że Darth Vader pozwolił ci to wyczuć, żeby wciągnąć cię w pułapkę.

- Miałem też inne wizje, inne przeczucia. - Ból ściągnął twarz Luke'a. - Niestety czai się gdzieś blisko. Odsunęło się nieco, gdy była tu Mara, ale teraz wyczuwam je znacznie bliżej.

- Więc zrób coś.

- Co? - pytanie Luke'a zabrzmiało niemal jak błaganie. - Mam przytłaczające poczucie, że nadciąga katastrofa. To poczucie przenika wszystko i wszystkich. Żaden mój pomysł, jak ją powstrzymać, nie wydaje się poprawiać sytuacji.

Starłem dłonią krew kapiącą mi z nosa.

- Poczekaj chwilę. Czy ta wizja kłęski jest niezmienna, jak holoobraz, czy pozwala się kształtować?

- Przyszłość zawsze jest płynna, ale żadne z działań, które planuję, nie zmienia jej kształtu.

- Przeczyłeś tu dwie kwestie, mistrzu. Po pierwsze, planowanie jest bardziej podobne do próbowania niż do działania, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Zmiana kształtu przyszłości musi wymagać działania, a nie tylko planowania. Chociaż Jedi działa tylko w obronie, nie zaś powodowany agresją, to nie znaczy, że podejmowanie akcji defensywnych jest złe.

Luke przytaknął.

- A ta druga sprawa?

- Może to nie ty powinieneś działać. Może powinienem to być ja, Kam albo my wszyscy razem. - Westchnąłem. - Uczysz nas, jak używać Mocy; otwierasz nas na nowe siły i uznałeś nas za dziedziców tradycji Jedi, tradycji brania na siebie pełnej odpowiedzialności. Faktem jest jednak, że nie powierzasz nam żadnej odpowiedzialności. Pokonanie katastrofy, która nadciąga, pozbycie się Exara Kuna czy kimkolwiek jest ten ciemny mężczyzna, będzie wymagało, byśmy wszyscy przyjęli na siebie w końcu odpowiedzialność, jaka spoczywa na nas jako na rycerzach Jedi. Na razie jednak ty czujesz się tu za wszystko odpowiedzialny. Jesteś przybity ciężarem odpowiedzialności za to, co uważasz za pasmo porażek. Mara Jade jednak nie wyjechała stąd dlatego, że ją zawiodłeś. Wyjechała, bo odniosłeś sukces. Nauczyła się od ciebie tego, co było jej potrzebne, niekoniecznie zaś tego, co ty uważałeś za potrzebne dla niej. Wyjechała, bo nie chciała zawieść tych, za których sama czuła się odpowiedzialna.

Popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Uważasz, że traktuję was jak dzieci.

- Trafiałeś w samo sedno.

- Nie miałem takiego zamiaru, ale naprawdę jesteście dziećmi, jeśli chodzi o posługiwanie się Mocą.

- Zgadzasz się, mistrzu, to prawda, ale jesteśmy też grupą zróżnicowanych dorosłych. Kyp był wśród nas najmłodszy, tak? A przecież jest w wieku, w którym ty sam rozpocząłeś szkolenie. Jest w wieku, w jakim ja wstąpiłem do akademii KorSek. Jesteśmy już w pełni ukształtowani jako ludzie, mamy dużą dozę samoświadomości. Ci, którzy tu przybyli, by się uczyć pod twoim kierunkiem, podjęli już decyzję, że zaczną nowe życie. Musisz nam na to pozwolić. Musisz nam stawiać wyzwania, inne niż tylko rozmiar skały, którą mamy podnieść czy bogactwo wizji, którą projektujemy w umysłach innych. Te wyzwania testowały nasze umiejętności, a nie charaktery, podczas gdy porażki, które tu miały miejsce, były porażkami charakteru.

- Ale wy nie jesteście jeszcze gotowi na takie wyzwania.

- Nie wtedy, jeśli będą ponad nasze siły. - Pokazałem palcem na jego prawą rękę. - Czy twoja porażka na Bepin czegoś cię nauczyła?

Luke poruszył palcami.

- Bardzo wiele.

- Więc pozwól nam czasem na potknięcie, żebyśmy się mogli nauczyć, jak sobie z tym radzić. Jak mawialiśmy w KorSek, ci, co jeżdżą na motorach pościgowych, dzielą się na dwie grupy: na tych, co już spadli, i na tych, co dopiero spadną. Rycerze Jedi będą się czasem potykać, a jeśli nie nauczą się, jak sobie z tym poradzić, nie starczy im siły charakteru, by się podnieść. Wtedy ich stracisz.

Luke zgasił miecz.

- Muszę przemyśleć to, co mi powiedziałaś.

- Nie tylko myśl, mistrzu, ale i działaj. - Ja też wyłączyłem miecz, pozwalając, by pochłonęła nas ciemność. - Jeśli tego nie zrobisz, katastrofa, której nadejście przeczuwasz, będzie miała taką skalę, że nikt z nas nie będzie się w stanie z niej podnieść.

ROZDZIAŁ

21

Budziłem się powoli, czując się tak, jakbym poprzedniego wieczoru wysączył do ostatniej kropli wszelkie zapasy trunków w speluncie, gdzie do drinków nie dolewa się wody, szklanek się nie myje, butelki nie mają nalepek, a wyposażenie apteczki składa się z blastera, którego możesz użyć, by radykalnie uwolnić się od ciężaru swojej nie-szczęśliwej egzystencji. Właściwie czułem się jeszcze gorzej. Nie przypominałem sobie jednak żadnej libacji, która usprawiedliwiałaby takie samopoczucie, nie miałem też na ciebie żadnych obrażeń, które by na to wskazywały, a siniaki i stłuczenia rozpoznałem jako zarobione w trakcie szkolenia. Fakt, że najbliższa knajpa znajdowała się o dobre pięć parseków stąd — przy prędkości „Sokoła”, oraz drugi - że nie miałem żadnego statku, którym mógłbym tam polecieć, również obalały hipotezę kaca.

Z drugiej strony jednak czułem się, jakbym te pięć parseków pokonał na piechotę.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, który nakazywał mi leżeć bez ruchu i czekać, aż umrę - zwlokłem się z łóżka i zacząłem wkładać dres. To pomogło mi się obudzić, głównie dlatego, że ciuchy były nadal wilgotne, zimne i lepkie po krótkiej przebieżce poprzedniego wieczoru, która miała rozładować nieco frustrację wywołaną zachowaniem mistrza Skywalkera. Nic tak nie przekonuje, że jest się nadal żywym, jak dotyk mokrego ubrania o poranku. Doświadczenie to nie wpływa co prawda na poprawę jakości życia, do której tylu ludzi przykłada dużą wagę; ja osiągnąłem jednak punkt, w którym fakt, że jest się żywym, przebija każdą inną alternatywę.

Udało mi się nawet uśmiechnąć.

- Jeśli umrę, wolałbym nie spędzić reszty wieczności zamknięty w skale na tym księżycu. To dobre dla Exara Kuna, a nie dla mnie.

Mięśnie miałem zeszywniałe, jakbym tkwił zamrożony w karbonicie, ale zmusiłem się do wysiłku i potykając się wybiegłem ze świątyni. Na zewnątrz potknąłem się naprawdę, lądując na kolanach i rękach, bo na platformie ładowniczej stał jak gdyby nigdy nic Łowca Główny Z-95. Na chwilę wpadłem w panikę, bo pomyślałem, że może to ja ukradłem go z tej knajpy, w której nabawiłem się dzisiejszego kaca, ale szybko się uspokoiłem. Nawet bez pomocy technik relaksacyjnych Jedi.

Uświadomiłem sobie bowiem, że w moim obecnym stanie jedyne lądowanie, do jakiego byłem zdolny, musiałoby zakończyć się roztrzaskaniem statku. Mara Jade nie byłaby zachwycona, gdyby coś takiego przytrafiło się jej myślicy, pomyślałem.

Fakt, że naprawdę patrzyłem na jej myślicę, rozproszył resztki waty spowijającej mój mózg. Kyp ukradł przecież ten statek, więc jeśli był tu Łowca Główny, musiał być i Kyp. Podniosłem się i podbiegłem do statku, rozciągając czucie, żeby sprawdzić, czy wyczuję obecność Kypa. Wyczułem słabe ślady jego osoby, ale emanowały one z drażników sterowniczych, wyglądało więc na to, że po prostu ich dotykał.

Tak, tak, Mara Jade nie będzie zachwycona.

Odwrociłem się i podążyłem za smugą obecności Kypa, ciągnącą się w stronę podstawy świątyni. Pędy winorośli otaczające odkryte schody wyglądały blado i wątko. Wyczołgały się, wędząc ze stopni jak skręcone węże gotujące się do ataku.

Przeskakiwałem po dwa stopnie naraz. Nie miałem pojęcia, co znajdę na wierzchołku świątyni ani jak się zachowam, jeśli spotkam tam Kypa. Przygotowywałem się duchowo na konfrontację, starając się otworzyć na Moc, by dzięki niej wzmocnić własne siły, miałem jednak niepokojące wrażenie, że nic nie jest w stanie przygotować mnie na to, co tam zastanę.

Kiedy wbiegałem na ostatnie schody, odebrałem kaskadę nowych wrażeń. Na szczycie świątyni wyczułem obecność innych studentów i ich emocje wypełniające szerokie spektrum: od szoku i oburzenia po smutek i rozpacz. Kiedy wydostałem się na szczyt, zobaczyłem kalamariańską ambasador, Cilghal, układającą głowę Luke'a na swoich kolanach. Streen pochylał się nad nią z oczami wypełnionymi strachem.

- Czy on żyje? Nie słyszę go.

Cilghal skoncentrowała się na Luke'u, a po chwili potrząsnęła pomarańczową głową w plamy koloru alg. Poinformowała nas, że wyczuwa puls i płytki oddech.

- Ale nie mogę znaleźć tam jego. Kiedy próbuję dotknąć go Mocą, czuję tylko wielkie, puste miejsce.

Rozciągnąłem zmysły i spróbowałem znaleźć to, czego ona nie mogła wyczuć. Z wielkim wysiłkiem wplotłem nieco zewnętrznej Mocy w strumień mojej wewnętrznej energii i próbowałem zobaczyć, czy uda mi się znaleźć w ciele Luke'a iskierkę jego obecności. Przypomniałem sobie, jak mówił, że jesteśmy świetlistymi istotami, a nie zlepkami surowej materii, ale trudno było mi uwierzyć, że Luke opuścił swoje ciało. Jednak dowód leżał tu przede mną, bo nie byłem w stanie wyczuć obecności Luke'a w jego własnym ciele.

Kirana Ti otuliła starannie szyję płaszczem.

- Co możemy zrobić? Cilghal zamrugowała.

- Jesteśmy teraz zupełnie sami.

Rozpacz w jej głosie znalazła sojusznika w strachu, który zaczął wpełzać do mojego serca. Nigdy mnie nie dziwiło, że Kyp zdołał cisnąć mną o ścianę, bo wiedziałem, że jest silniejszy ode mnie. Nawet wtedy, kiedy wyczułem obecność tej tajemniczej osoby, która dodawała sił Kypowi, nie przyszło mi do głowy, że razem mogą być silniejsi niż Luke Skywalker. Wytłumaczyłem sobie, że ciemny mężczyzna zdołał uniknąć wykry-

cia, bo miał specjalne uzdolnienia w tym kierunku, takie jak moja umiejętność projektowania własnych myśli w umysłach innych.

Gdybym choć przez chwilę przypuszczał, że Luke jest w niebezpieczeństwie, bardzo zdecydowanie próbowałbym go przekonać, że trzeba działać. W ustach mi zaschło. Gdybyśmy przyznawali nagrody za porażki, pomyślałem, powinienem być pierwszy w kolejce. Powiedziałem Luke'owi, że mamy do czynienia z socjopatycznym mordercą, ale nie zdołałem uświadomić mu powagi sytuacji. Wydawało mu się, że poradzi sobie sam, a ode mnie potrzebuje tylko informacji, które ukierunkowałyby jego działania.

A ja pozwoliłem mu w to wierzyć. Zamknąłem oczy, ale miałem ochotę walić głową o ścianę. Co też sobie wtedy myślałem? Przecież to ja byłem jedyną osobą w naszym towarzystwie, która wiedziała cokolwiek o takich potworach. Ja, nie Luke Skywalker. Scedowałem na niego odpowiedzialność, podczas gdy on był równie niezdolny ją udźwignąć, co przekonany, że jesteśmy gotowi stawić czoło losom wszechświata. Mój błąd był odwrotnością jego błędu, a jednak nie równoważył go, tylko potęgował.

Arogancja i głupota takiego myślenia uderzyła mnie po chwili z całą mocą. Luke Skywalker pokonał Dartha Vadera i Imperatora oraz jego kłona. Jeśli to nie były potwory, to znaczy, że potwory nie istnieją. Mistrz Skywalker był jak najbardziej w stanie pokonać, co sprawiało, że jego obecny stan był tym bardziej zatrważający i niezrozumiały.

Spojrzałem na jego ciało. Cilghal rozprostowała skurczone członki Luke'a. Nawaliłem, i to bardzo, a teraz on leży tu przed nami. Nie miałem oczywiście gwarancji, że gdybym postąpił inaczej, wynik byłby odmienny, ale może rzeczy przybrałyby inny, bardziej korzystny obrót. Zawiodłem go, a tymczasem miałem dość tupetu, by myśleć, że to on nas zawiódł.

Koniec z zawodami, pomyślałem. Zacisnąłem szczęki.

- Nie jesteśmy sami. Mamy siebie nawzajem. Może nie staliśmy się jeszcze rycearzami Jedi, ale nie czujmy się bezsilni.

Czarownica z Dathomiry spojrzała na mnie i powtórzyła swoje pytanie:

- Co możemy zrobić?

- Możemy zrobić to, co jest oczywiste, prawda? - Wskazałem palcem w kierunku Łowcy Główny. - Kyp był tutaj i gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to on jest odpowiedzialny za to, co stało się z mistrzem Skywalkerem. Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, jest powiadomienie Coruscant, że Luke jest chory i że to sprawka Kypa Durrona.

Kalamariańska ambasador spojrzała na mnie.

- Dopóki nie mamy przekonujących dowodów, że Kyp rzeczywiście tu był, obciążanie go winą jest niesłuszne.

Zmarszczyłem brwi.

- Ale przecież mamy Łowcę Główny...

- Ktoś inny mógł ukraść statek i wykorzystać do własnych celów.

- Twoja ostrożność jest godna pochwały, Cilghal, ale obecność Kypa jest chyba dość logicznym wnioskiem. - Kam podszedł do krawędzi piramidy, spojrzął w dół na lądowisko i westchnął.

- Myślicie, że Kyp nadal się ukrywa gdzieś tutaj? Streen potrząsnął głową.

- Nie słyszę go.

- Chciałbym wierzyć, że to oznacza, iż nie żyje, ale nie robię sobie zbyt wielkich nadziei. - Spojrzałem na Karna. - Pewnie się zastanawiasz, jakim cudem opuścił to miejsce, jeśli zostawił statek.

- Tak, a jedynym środkiem transportu w tym systemie... chyba że przegapiliśmy lądowanie sojuszników Kypa w środku nocy... jest Pogromca Słońc. - Zaciśnął dłonie w pięści. - Kyp wiedział, jak go uruchomić.

Tionna wzdrygnęła się.

- Czy to możliwe, że miał dość siły, by wyciągnąć go z jądra gazowego olbrzyma?

Streen przykucnął i podniósł z dachu świątyni mały kamień, który w blasku wschodzącego słońca załśnił oślepiająco.

- To klejnot Corusca. Jedynym miejscem we wszechświecie, które rodzi te klejnoty, jest atmosfera Yavin. Klejnot mógł utknąć gdzieś przy włączaniu i odpadł, gdy Kyp otworzył luk, by wejść do Pogromcy Słońc.

Jęknąłem.

- Nie taką wiadomość chcielibyśmy usłyszeć. Cilghal uniosła rękę.

- Klejnoty Corusca można znaleźć także tutaj, na powierzchni księżycy, a nie możemy wiedzieć, od jak dawna ten kamień tu leży. Co więcej, nie mamy sposobu, żeby dowiedzieć się, czy Pogromca Słońc nadal tkwi w jądrze Yavin. Wyciągacie wnioski na podstawie bardzo słabych poszlak.

- Już rozumiem, dlaczego zajęła się pani dyplomacją, Cilghal. - Westchnąłem ciężko. - No dobrze, musimy sobie radzić krok po kroku. Najpierw przenieśmy mistrza Skywalkera gdzieś na dół, żeby nie leżał na dworze.

Tionna uśmiechnęła się.

- Powinniśmy go umieścić w wielkiej sali audiencyjnej. Skrzywiłem się.

- Czy to nie będzie wyglądać, jakby leżał na marach? Przecież nie jest martwy.

Jej uśmiech zdawał się temu przeczyć.

- Pomyślałam tylko, że lubi tę salę, że dobrze by się w niej śpiewało ze względu na akustykę, a poza tym to w niej świętowano wielkie zwycięstwo.

Kam podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.

- Dobrze myślisz, Tionno. Jest tam dość miejsca, żebyśmy mogli zebrać się wszyscy i słuchać twoich pieśni. Chcemy przecież, by czuł, że nadal jest częścią naszej społeczności. -- Kam spojrzął ponad jej głowę na mnie i uniósł brew.

- Właśnie, bardzo słusznie. Myślisz dziś znacznie szybciej ode mnie, Tionno. - Spojrzałem na Kalamariankę. - Pani ambasador, ma pani szczególny talent do uzdrawiania. Czy mogłaby pani obserwować mistrza Skywalkera i dać nam znać, gdyby zaszła potrzeba, żeby mu jakoś pomóc? Nie mamy tu za wiele lekarstw ani sprzętu medycznego...

- Zajmę się nim na początku, oczywiście. Zdecydowanie powinniśmy jednak sprowadzić tu zespół medyczny z całym wyposażeniem, i to jak najszybciej - Cilghal zamrugnęła. - Powinniśmy również zawiadomić Nową Republikę i radną Organa Solo, że coś złego przytrafiło się jej bratu.

Brakiss dodał:

- A także zawiadomić ich, że Kyp Durrone ma Pogromcę Słońc. Przy jego nienawiści do resztek Imperium nie pozostaje wiele wątpliwości, co zrobi, dysponując tak potężną bronią.

Uprzedziłem protest Cilghal, wywołany uwagą Brakissa, dodając:

- Powinniśmy przynajmniej wezwać tu zespół badawczy, który sprawdziłby, czy Pogromca Słońc nadal siedzi w jądrze gazowego giganta.

Kirana Ti przykucnęła i otarła pot z czoła Luke'a ręką swojego płaszcza.

- Powinniśmy też pilnować, by mistrz Skywalker nigdy nie był sam. Musimy pełnić przy nim straż.

Dorsk 81 spojrzął na nią z przerażeniem.

- Myślisz, że mistrzowi Skywalkerowi nadal coś grozi? Odchrząknąłem.

- Nie powinniśmy lekceważyć takiej możliwości. Kyp mógł chcieć go zabić, ale w ostatniej chwili, z przyczyn, których nie umiemy odgadnąć, wycofał się. Może wrócić, by skończyć to, co zaczął. - Albo on, pomyślałem, albo ten mroczny mężczyzna. - Pilnowanie mistrza Skywalkera ma również sens z medycznego punktu widzenia. Zauważymy wtedy każdą zmianę jego stanu zdrowia.

Kalamarianka przytaknęła.

- Powinniśmy teraz zabrać go do środka. Jest stabilny, myślę, że możemy go przenieść. - Dobrze. W takim razie ja podłączę się do HoloNetu i porozmawiam z Coruscantem, zawiadamiając ich o ostatnich zajęciach. Pani ambasador, może pani dołączyć do mnie później, żeby porozmawiać z Leią Organa Solo. Na pewno lepiej niż ja będzie pani umiała odpowiedzieć na pytania o stan jej brata, zresztą wiadomość o tym, co się u nas stało, powinna wyjść od kogoś, kogo zna, a nie od nieznanego.

Brakiss spojrzął na mnie władczo.

- A co z resztą z nas?

- Nie wiem. Róbcie to, co możecie. Pomóżcie Cilghal. Przygotujcie coś do jedzenia. Medytujcie.

Szczupły mężczyzna zmarszczył brwi.

- Medytujcie? Powiedziałbym, że nie na wiele się to przyda w tej sytuacji.

Kam potrząsnął głową.

- Nie możemy wpadać w panikę. Musimy zachować jasność umysłu. Powinniśmy ćwiczyć to, czego dotychczas się nauczyliśmy, żeby wzmocnić nasze siły. Jeśli powróci Kyp, albo jeśli pojawią się nowe problemy, musimy być w stanie poradzić sobie z nimi sami. - Podniósł głowę. - Oczekuję, że wszyscy, którzy nie mają wyznaczonych innych obowiązków, stawią się na ćwiczenia tak samo jak zwykle.

- To już jakiś plan. - Kiwnąłem głową w stronę Karna. -1 to nie najgorszy. Wszystko jasne? Dobrze. Do roboty!

Zszedłem do centrum łączności i włączyłem system. R2 Luke'a stanął wiernie obok, by mi pomóc, ale niepokój nie pozwolił mu stać spokojnie. Jego gwizdy przybrały ton przypominający mi Gwizdka, gdy domagał się smarowania.

- Idź do niego, Artoo. Jestem pewien, że twoja obecność pomoże Luke'owi poczuć się lepiej. I na pewno potrafisz lepiej monitorować oznaki życia niż ktokolwiek z nas. - Uśmiechnąłem się, gdy robot pospiesznie wytoczył się z centrum łączności. Zresztą i tak nie chciałem, by kręcił się koło mnie, kiedy będę pracował.

Najpierw spróbowałem połączyć się z Wedge'em, ale mogłem tylko zostawić wiadomość w jego holoskrytce. Spróbowałem więc złapać Tycho i udało mi się go namierzyć w dowództwie eskadry.

Uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Nie spodziewałem się zobaczyć cię tak prędko. Jak idzie szkolenie?

Potrząsałem głową i uśmiech z jego twarzy zniknął.

- Mieliśmy tu właśnie poważny problem. Luke Skywalker jest nieprzytomny.

- Nieprzytomny?

- Chory, a my nie mamy pojęcia, jak poważnie. Możemy się tylko domyślać tego, co się stało i nie wygląda to najlepiej. Jego stan jest stabilny i mamy nadzieję, że wydobrzeje, ale potrzebujemy tu zespołu medycznego, i to jak najszybciej.

Tycho spojrzął gdzieś poza ekran hologramu, a potem kiwnął głową.

- Mam tu wahadłowiec, który właśnie tankuje paliwo i zaczyna procedury przedstartowe. Zaalarmuję zespół medyczny i sam go do was przywiozę.

- Bardzo dobrze. Mam też listę paru innych rzeczy, które chciałbym, żeby pan wziął ze sobą.

- Co tylko potrzebujesz.

- Może być z tym ciężko. - Przerwałem na chwilę. - Potrzebuję wystarczającej ilości ładunków nergonu 14, żeby wysadzić w powietrze budowlę rozmiarów tej świątyni.

Tycho odchylił się na oparcie fotela i zamrugał ze zdziwienia.

- Więc jest aż tak źle?

- Może być. Mam nadzieję, że moje przewidywania się nie spełnią, ale gdyby tak się stało, może będę musiał zniszczyć jedną świątynię, żeby przerwać pewien obwód energetyczny. - Zniżyłem głos. -1 przyślij to w nie oznaczonych skrzynkach. Nie jestem pewien, czy mogę tu wszystkim ufać.

- Tak naprawdę możesz ufać tylko sobie.

- Mniej więcej tak to wygląda.

Tycho popatrzył na mnie i pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Tak sądzę. - Przechesałem palcami włosy. - I ostatnia rzecz. Chciałbym się połączyć z generałem Crackenem. Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

- Dobra, przełączę cię do niego. - Tycho obdarzył mnie szelmowskim uśmiechem. - Do zobaczenia za trzydzieści godzin.

- Dziękuję, pułkowniku.

W powietrzu nad tablicą holoprojektora zawisł półksiężyc Eskadry Łotrów. Uśmiechnąłem się, nie zdając sobie z tego sprawy. Pamiętam, jak Gavin Darklighter

zaprojektował ten znak, otaczając półksiężyc Rebeliantów dwunastoma X-skrzydłowcami lecącymi na zewnątrz. Przez prawie pięć lat ten znak pomagał mi określić, kim jestem. Teraz przypomniał mi, skąd pochodzą, wplatając jeszcze jedną szczytną tradycję w moje życie. W miejsce emblematu pojawiła się twarz Crackena.

- Pułkownik Celchu zawiadomił mnie, że ma pan dla mnie pilną wiadomość.

Przytaknąłem.

- Czy pamięta pan tego Pogromcę Słońc, o którym myślał pan, że tkwi bezpiecznie w jądrze gazowego giganta Yavin?

- Nie podoba mi się to pytanie, kapitanie.

- Więc tym bardziej nie spodoba się panu powód, dla którego je zadałem. - Ułożyłem twarz w beznamiętną maskę. - Dziś po północy nieznana osoba... lub osoby... przybyły na Yavin 4. Starły się z mistrzem Skywalkerem, pokonały go i odleciały z powrotem, pozostawiając za sobą Łowcę Główny Z-95 ze zniszczonymi instrumentami kontroli. Kyp Durronek, jeden z niewielu, jeśli nie jedyny człowiek, który umie pilotować Pogromcę Słońc, był ostatnią osobą, o której wiadomo, że dysponowała tym Łowcą Główny. Nie mam jeszcze próbek tkanki ani odcisków palców na potwierdzenie, że był na statku, kiedy ten tu przyleciał, ale zapewniam pana, że to on. - Poczułem ukłucie winy, że naruszam środki ostrożności zaproponowane przez Cilghal, ale owijanie faktów w bałwanę nie pomogłoby Wywiadowi Nowej Republiki w załatwieniu tej sprawy.

Twarz Crackena sposepniała, a usta otworzyły się powoli.

- Nie wie pan, dokąd się udał ani czy był z nim ktoś jeszcze?

- Nikt, w kogo mógłby pan uwierzyć. - Mój głos zabrzmiał ponuro. - Biorąc pod uwagę to, co Kyp mówił przed swoim pierwszym odlotem, skieruje zapewne swój gniew przeciwko Imperium. Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że będzie polował na samozwańcych przywódców pozostałości Imperium, albo może wypuści się na niedobitki floty Thrawna. Kiedy znajdzie odpowiedni cel, na pewno pan tego nie przeoczy.

- Osiemnastolatek, który dorastał w więziennej kopalni, za sterami broni, która może zniszczyć cały gwiazdny system! - Cracken podrapał się w czoło. - Z Imperium przynajmniej mieliśmy jakąś szansę przewidywania ich ruchów, ale taki dzieciak rozświeczeni na całą galaktykę...

- Zgadzam się, to nie najlepszy okres dla Nowej Republiki.

- Powiedział pan, że Luke Skywalker został pokonany. W jakim jest stanie?

- W śpiączce. Nie wiadomo, kiedy z tego wyjdzie, jeśli w ogóle. Cracken pokiwał smutno głową.

- To znaczy, że jesteście zdani na siebie.

- Właśnie. Ambasador Cilghal zawiadomi radną Organę Solo, kiedy będziemy mieć więcej informacji o stanie mistrza Skywalkera. Pułkownik Celchu przywiezie nam tu zespół medyczny i parą potrzebnych rzeczy za dzień lub dwa. Będę starał się pana informować o rozwoju wypadków w miarę możliwości.

- Dziękuję.

Zawahałem się chwilę, ale spojrzałem na niego.

- Moje pytanie może się panu wydać banalne po tym, co pan usłyszał, ale czy nie miał pan żadnych wiadomości o Mirax?

- W żadnym razie nie uważam pytania za banalne, kapitanie. Podziwiam pańskie opanowanie. - Generał spojrział mi prosto w oczy. - Żadnych wiadomości, żadnych śladów, żadnych żądań okupu. Nadal jej szukamy i nie tracimy nadziei.

- Jestem pewien, że nad tym pracujecie i podzielam pańską nadzieją. Dziękuję, sir - zasalutowałem. - Bez odbioru.

ROZDZIAŁ

22

Tydzień między zapadnięciem mistrza Skywalker'a w dziwną śpiączkę a przybyciem jego siostry i jej rodziny odznaczał się głównie frustracją. Kiedy ambasador Cilghal powiedziała Leii, co się stało, ta chciała natychmiast lecieć na Yavin 4, ale sprawy jej urzędu nie należały do takich, które można by od razu odłożyć na bok. Cilghal zaproponowała, by poczekała na przyjazd ekipy medycznej i ich diagnozę, obiecując informować ją o wszelkich zmianach.

Te bezpośrednie kontakty Cilghal z siostrą Luke'a sprawiły, że pani ambasador, najnowsza z uczennic akademii, stała się de facto naszą przywódczynią, przynajmniej z punktu widzenia Nowej Republiki. Kam Solusar nadal kierował naszym szkoleniem, ale nie uczył nas nowych umiejętności; doskonalił tylko te, które już posiadaliśmy. Rozumiałem jego niechęć do przekazywania nam nowych rzeczy pod nieobecność Luke'a, ale to oznaczało, że Kam był dość konserwatywny, jeśli chodzi o to, na co nam pozwalał w akademii. Starał się utrzymać wszystkich w pobliżu Wielkiej Świątyni, poprosił mnie nawet, żebym skrócił trasę moich biegów. Zdecydowanie odmówiłem, zmodyfikowałem ją jednak tak, by nie oddalać się zbyt od domu.

Byłem sfrustrowany, bo pod rządami Cilghal i Karna nie miałem tak naprawdę nic do roboty. Kiedy przyleciał zespół badawczy, żeby sprawdzić, czy Pogromca Słońca jest nadal zatopiony w jądrze planety Yavin, jego członkowie kompletnie mnie zignorowali. Jakiś nieopierzony porucznik poinformował mnie, że wszelkie informacje będą udzielane tylko tym, którzy powinni je znać, i to on zdecyduje, czy należą do tego zaszczytnego grona. Gdyby miał najbłedsze pojęcie o tym, kim jestem, odpowiadałby: „Tak, sir” albo „Nie, sir” i nie śmiałby odetchnąć bez mojego pozwolenia, ale jako uczeń Jedi byłem postrzegany jako jedna z „problematycznych zmiennych”.

Mógłbym oczywiście bez najmniejszego trudu pogrzebać w jego umyśle i sprawić, żeby myślał, że nie ma mnie w centrum łączności w czasie, gdy łączył się z generałem Crackenem, ale byłem pewien, że użycie moich umiejętności dla prostego zaspokojenia próżności byłoby igraniem z Ciemną Stroną. Chociaż chciałem wiedzieć, co miał do zameldowania, wolałem sobie nie zaszkodzić, próbując za wszelką cenę dowiedzieć się tego. Mimo to nadal uważałem, że jestem jednym z tych, którzy powinni mieć dostęp

do informacji zgromadzonych przez ekipę badawczą, więc przekonałem jednostkę R2 Luke'a, żeby wyciągnął dla mnie raport oficera z komputera centrum łączności.

Mogłem oszczędzić kłopotu Artoo i sobie, gdybym zapamiętał pierwszą lekcję, jakiej człowiek się uczy na temat młodszych oficerów: jeśli wiedzą coś, co warto wiedzieć, nie mogą się doczekać, żeby podzielić się z kimś tymi wiadomościami; jeśli natomiast nic nie wiedzą, zasłaniają się tajemnicą służbową, żeby ukryć swoją ignorancję. Nasz porucznik Morrs był mniej więcej równie nieświadom czegokolwiek, jak Hutt jest brzydki. Z powodu burz szalejących w atmosferze gazowego giganta nie był pewien, czy Pogromca Słońc nadal tam jest, czy też może został zniszczony albo uprowadzony. Wyniki jego badań sklasyfikowano jako nierozstrzygające i wyglądało na to, że uspokoił nieco Nową Republikę.

Chociaż bardzo chciałem zdobyć pewność, że Pogromca Słońc nadal tkwi tam, gdzie go umieszczono, tak naprawdę martwiło mnie co innego. Od czasu pokonania Luke'a nie było ani śladu mrocznego mężczyzny. To mnie poważnie zaniepokoiło, bo całkowity brak aktywności był dla niego nietypowy i kazał mi myśleć, że może nadciąga ta wielka katastrofa, którą przeczuwał mistrz Skywalker.

Nadal uważałem mrocznego mężczyznę za socjopatę, a wszystko, czego się do tej pory dowiedziałem o Exarze Kunie, wskazywało na to, że idealnie pasuje do niego taka charakterystyka. Socjopatyczni mordercy mają tendencję do działania w pewnym cyklu - wypełniają swoje zobowiązania zgodnie z harmonogramem, który dla nich ma jakiś sens. W miarę jak ich przestępstwa stają się coraz straszniejsze, cykle te zaczynają się skracać, aż morderca kompletnie traci resztki kontroli nad swoim postępowaniem i staje się na tyle nieostrożny, że daje się złapać. Spustoszenia, które ci ludzie sieją na tym etapie, są prawdziwie apokaliptyczne i pełne niewyobrażalnego okrucieństwa.

Gantoris przebywał na Yavin około dwóch tygodni, zanim zginął i moment ten można było uznać za koniec pierwszego cyklu. Kyp przyleciał mniej więcej tydzień później i minął drugi tydzień, zanim ukradł Łowcę Główny i odleciał. W ciągu tygodnia wrócił i wtrącił Luke'a w śpiączkę. Zgodnie z tym wzorem mroczny mężczyzna powinien był polować na nas już od paru dni, a tymczasem nie robił tego, i to mnie przerażało.

Mogło istnieć wiele wytłumaczeń, dlaczego nie sprawia nam kłopotów. Po pierwsze niewykluczone, że chciał dać nam czas na rozpacz z powodu stanu Luke'a. Dzięki temu byłibyśmy bardziej podatni na jego ataki. Po drugie - i ten powód mroził mi krew w żyłach - mógł poświęcać całą energię na kontrolowanie Kypa Durrona i Pogromcy Słońc. Nie wiedziałem, jaki cel wybrał dla Pogromcy Słońc, ale na pewno nie chciałbym być na planecie, której postanowiłby odpłacić za swoje krzywdy po czterech tysiącach lat.

Jedynym w miarę pozytywnym wytłumaczeniem uspienia Exara Kuna była możliwość, że wysiłek wyciągnięcia Pogromcy Słońc z atmosfery Yavina i pokonania Luke'a wyczerpał go. Nie umiałem określić, jak silny może być Kun, ale przyszło mi do głowy, że bardzo możliwe, iż pokonanie mistrza Jedi wymagało od niego wydatkowania wielkiej ilości energii. Trudno też powiedzieć, ile czasu potrzebował, żeby dojść do siebie, ale z każdym mijającym dniem wzrastały także nasze siły.

W najczarniejszą z nocy każde najmniejsze światełko jest mile widziane.

Tycho przywiózł ekipę medyczną i zamówione przeze mnie zapasy tak szybko, jak tylko mógł. Powiedział mi, że wahadłowiec, którym przyleciał, ma w pełni sprawny wyrzutnię torped protonowych i zaproponował, że zabierze mnie do każdej świątyni, którą chciałbym zbombardować, ale nie zrobiłem tego. Torpedy protonowe były najprawdopodobniej najskuteczniejszym sposobem roztraskania twierdzy Exara Kuna, ale nadal pamiętałem, jak zdecydowanie Luke nalegał, żebym ani ja, ani nikt inny nie wyprawiał się w tamtą stronę. Jeśli nie byliśmy jeszcze dość silni, by przeciwstawić się naszemu przeciwnikowi, nie chciałem narażać Tycho na niebezpieczeństwo.

- Zostawię panu koordynaty, pułkowniku. - Zasalutowałem, gdy wchodził na pokład wahadłowca, by wrócić do domu. - Jeśli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót, na pewno uda się panu przekonać admirała Ackbara, by zgodził się na zbombardowanie planety, aby znieść z powierzchni ziemi ten cel.

- Rozumiem - zasalutował w odpowiedzi. - Niech Moc będzie z tobą.

Ekipa medyczna przebadła Luke'a na wszystkie strony. Jego organizm funkcjonował właściwie, tyle tylko, że świadomość, która ten organizm zamieszkiwała, gdzieś znikła. Doktorzy, pielęgniarki i roboty medyczne - wszyscy cierpliwie słuchali, kiedy próbowaliśmy im to wytłumaczyć, ale były to umysły ścisłe, zorientowane na naukę. Chociaż pokazywałem im, jak używając Mocy oddziałujemy w prosty sposób na materię, szukali wyjaśnień fizjologicznych i naukowych dla zjawiska, które miało charakter duchowy. Wyjaśnianie im, czym jest Moc, było równie łatwe, jak wytłumaczenie rancorowi, co to altruizm.

Kiedy odjechali, nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać na przyjazd Leii Organy Solo. Mogła przybyć w każdej chwili, więc większa część tygodnia zeszła nam na oczekiwaniu. Na pewno nieraz zdarzało mi się spędzać więcej czasu na oczekiwaniu w zasadzce, ale tym razem nanosekundy wlokły się jak godziny - i to bardzo długie godziny. Poza tym mimo starań Karna, byśmy pozostali skoncentrowani, nastroje zaczęły wyraźnie siadać.

Przyjazd księżniczki Leii zdziałał cuda. Wyglądała na nieco zmęczoną i wymizerowaną, ale tak jak w czasach Rebelii, nadal stanowiła w każdym calu symbol bohaterkich czynów i podniecających przygód. Jej bliźnięta - ciemnowłose i jasnookie - rozglądały się po Yavin 4 z mieszaniną zachwyty i trwogi. Ostatni po rampie „Sokoła Millennium” zszedł Han Solo. Moim zdaniem stracił parę kilo podczas niedawnej wyprawy na Kessel, ale nie przestał emanować witalnością i łobuzerskim urokiem.

Pani ambasador Cilghal wprowadziła gości do wielkiej sali audiencyjnej. Słoneczne światło wypełniało komnatę złocistym blaskiem i ciepłem, które zdawało się przezczyć zimnej rzeczywistości bladego jak śmierć ciała Luke'a, spoczywającego na marach. Ten widok wyraźnie wstrząsnął jego siostrą. Trzymałem się z tyłu dość daleko, by nie słyszeć wymienianych szeptem uwag rodziny Luke'a. W pewnej chwili Jaina wyrwała się z uścisku ojca, podbiegła do wuja i złożyła na jego policzku pocałunek. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że ten magiczny gest zadziała tam, gdzie nasze siły i potęga medycyny zawiodły, więc poczułem w sercu ukłucie, gdy dziewczynka odwróciła ku nam zawiedzioną twarzą - pokonana.

Entuzjazm, jaki wzbudził w nas przyjazd rodziny Solo, zdążył się rozwiać przez resztę dnia, tak że do kolacji zasiedliśmy posepni i przybici. Han Solo robił co mógł, by nam pomóc, przygotowując w kuchni „Sokoła Millenium” korelikańską kolację- smażone endwa w sosie pomarańczowym i duszone na maśle csolcir z wiórkami z orzechów wweilu. Nie przypuszczam wprawdzie, żeby w normalnych warunkach był zapalonym kucharzem - w każdym razie nie bardziej niż ja - ale jako jedyna osoba wśród nas niewrażliwa na Moc musiał się czuć nieszczególnie. Rozmowy, jakie prowadziliśmy przy kolacji, były - jak sobie teraz przypomnę -raczej zarozumiałe, a zarazem trywialne. Przygotowanie posiłku było jedynym sposobem, w jaki Han mógł nam pomóc w sytuacji, w której niewiele dało się zrobić - i nie musiał dzięki temu słuchać tego, o czym mówimy.

Sięgnąłem po jedzenie, słuchając jednym uchem prowadzonych przy stole rozmów. Po kolei katalogowałem głosy i zapamiętywałem, co mówili, dzięki umiejętności wypracowanej podczas mojej służby jako detektywa. Pozwalała mi ona odtworzyć wszystko to, co usłyszałem, później, kiedy już odgrodzę się od obaw i defetyzmu, jaki emanował z wypowiedzi niektórych z moich towarzyszy. Nie byłem dla nich zbyt sprawiedliwy, ale przez cały tydzień starałem się stłumić dręczące mnie obawy i miałem już tego serdecznie dosyć.

Leia Organa Solo nie pozwoliła nam jednak na żalosne pojękiwania, ucinając je jednym uderzeniem dłonią o kamienny stół.

- Dosyć tego! - Potem ostro skarciła nas za to, że odwracamy się od zagrożeń, jakie wiążą się z rolą rycerza Jedi i przypomniła, że cała Nowa Republika na nas liczy. - Musicie pracować razem. Odkryć to, czego nie wiecie; walczyć z tym, co trzeba pokonać. Jedyne, czego wam nie wolno, to poddać się!

Chciałem powiedzieć, że ma absolutną rację, ale przy ustach pełnych endwa nie było to takie proste. Szybko przeżułem kęs mięsa i połknąłem z trudem. Endwa powoli przesunęło się w dół mojego przełyku - jak to zwykle bywa z dobrym endwa - a po chwili odzyskałem głos i otworzyłem usta.

Tylko po to, by wydać z siebie głośny krzyk.

Luke Skywalker mówił nam, że w momencie zagłady Alderaan jego mistrz, Obi-Wan Kenobi, powiedział, że poczuł „wielkie zakłócenie Mocy”. Ktokolwiek nazwałby to, co poczułem „zakłóceniem”, mógłby uznać Hutta za sympatycznego. Pustka i szok, jaką odczuwa się na wiadomość o nagłej śmierci bliskiego przyjaciela, uderzyły we mnie z prędkością światła. Świadomość bezskutecznie szukała osoby, którą mogłaby przyporządkować temu odczuciu, by je opanować, ale uczucie pustki rozciągało się bezdenno otchłań. Nie tylko nie wiedziałem, kto zginął, ale też nie miałem szansy, by się tego kiedykolwiek dowiedzieć i to wydało mi się najbardziej tragiczne.

Migające w przeblasku świadomości twarze, strzępy sennych marzeń, urywane śmiechy i słodki zapach noworodka przechodzący w ohydny swąd smażonego ciała - wszystkie te odczucia w mgnieniu oka uderzyły prosto we mnie. Tysiące i tysiące, miliony i miliony - te skrawki wrażeń i obrazów krążyły jak wielki wir wkręcający się do moich wnętrzności. Nadzieja zmieniona w strach, zachwyty - w przerażenie, niewinność

- w nicość. Miliony optymistycznych planów na przyszłość przekreślone w jednej chwili, gdy prawda życia tych ludzi okazała się kłamstwem. Nikt z nich nigdy nie miał wątpliwości, czy słońce wstanie następnego ranka, a jednak w ciągu sekundy, kiedy ich słońce eksplodowało i pochłonęło ich planetę i ich życie, przekonanie to stało się żłudą.

Usłyszałem, jak Streen woła, że nie wytrzyma tylu głosów naraz, zanim osunął się bezwładnie na podłogę. Zazdrościłem mu tej chwili zapomnienia ze względu na tę samą jasność pamięci, którą cieszyłem się chwilę wcześniej, a która oznaczała, że w każdej chwili będę mógł przywołać korowód strasznych obrazów umierających, zalewający moją świadomość. Matka, która kierowana instynktem przytula do siebie dziecko na chwilę, zanim oboje wyparują. Młodzi kochankowie, rozkoszujący się chwilą po spełnieniu, pełni nadziei, że ich uczucie nigdy nie zgaśnie - i to życzenie spełniło się z chwilą, gdy ich ciała zostały w ułamku sekundy rozerwane na atomy. Przestępcy, świętujący swoje małe sukcesy, zamienieni w oszalałe zwierzęta, zanim ich świat wyparował.

Nie przypominam sobie, że bym wychodził z jadalni, ale mój umysł nie należał do mnie, gdy Moc zalała go obrazami anihilacji odległego, nieznanego świata. Kiedy się ocknąłem, byłem na dachu Wielkiej Świątyni. Gardło mnie paliło. Na drżących ramionach podpierałem się nad kałużą własnych wymiocin, w które upadłbym niechybnie, gdyby nie podtrzymały mnie silne ręce.

- Nie wydaje mi się, żeby kolacja była aż taka zła. - Han Solo postawił na murku obok mnie szklankę wody. - Przepłucz gardło.

Wylałem połowę, usiłując donieść kubek do ust, nabrałem wody i wypłułem ją poza krawędź piramidy.

- Dzięki - powiedziałem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Han odciągnął mnie od smutnych resztek mojej kolacji.

- Leia powiedziała, że musiało stać się coś strasznego. Myślisz, że to Pogromca Słońce zniszczył jakiś system?

Otarłem usta rękawem tuniki.

- Chyba że wiesz o jakiejś innej superbroni gdzieś w okolicy, która mogłaby rozwalić gwiazdę.

Zaczął się uśmiechać, a jego ciemne oczy zaśniły przez chwilę, gdy przyszła mu do głowy dowcipna uwaga, której jednak nigdy nie wypowiedział. Po chwili na jego twarzy powrócił poważniejszy wyraz.

- To musiał być Pogromca Słońce... chyba że rzeczywiście ktoś zdobył podobną superbroń.

Z głębi umysłu wypłynął nagle obraz kogoś o twarzy Kypa. Poprzez jego oczy ujrzałem smukłą sylwetkę statku, poczułem jego radość, kiedy po latach znowu zobaczył brata, a potem ból zdrady, który przeszedł w niewypowiedzianą mękę, gdy jego ciało roztopiło się.

- Czy Kyp miał brata? Han spojrział gdzieś w dal.

- Imperialni zabrali go do akademii na Caridę.

- On nie żyje. Więc to musiała być Carida.

- No to raczej nie zaproszą mnie na spotkanie dawnej klasy. -Han spojrział na mnie z góry. - Potwierdzi to Wywiad Nowej Republiki, ale przynajmniej wiem, skąd mam zacząć.

Spojrzałem na niego twardo.

- Chcesz go odszukać?

- Muszę. Kyp mnie posłucha.

- Miejmy nadzieję.

- Hmm... widzę, że to twoje usta się poruszają, ale zupełnie jakbym słyszał głos mojej żony. - Han westchnął. - Znam trochę tego chłopaka. Wiele razem przeszliśmy. Jest rozgniewany i potrzebuje kogoś, komu mógłby zaufać. Ten ktoś to ja.

Pokiwałem głową, a potem powiedziałem:

- Zabierz mnie ze sobą.

- Słuchaj, mały, najlepiej mi się pracuje w pojedynkę.

- Tak słyszałem. - Pokazałem mu wizję mojej osoby sprzed zmiany tożsamości. - Już się kiedyś spotkaliśmy, kapitanie Solo. Wedge Antilles przedstawił nas sobie. Jestem tutaj incognito, zgodnie z sugestią mistrza Skywalkera.

- Horn, no tak. - Han zamrugał. - Nieźle sobie radzisz na X-skrzydłowcu, ale pamiętaj, że nawet Gwiazda Śmierci nie jest w stanie pokonać Pogromcy Słońc. Gdybym chciał zabrać kogoś ze sobą, byłbyś pierwszy na liście.

- Chcesz ścigać kogoś, kto dysponuje niewyobrażalną Mocą. I nie mówię tu tylko o Pogromcy Słońc. Nie mogę pozwolić, żebyś leciał sam.

Twarz Hana spochmurniała.

- Nie możesz pozwolić? Mój statek, moje zasady, i nie próbuj twierdzić, że jesteś ode mnie wyższy stopniem. Byłem generałem w czasie Rebelii, zanim ty w ogóle wyściubiłeś nos z Korelii. Poradzę sobie z Kypem. Zresztą nie jestem do końca pewien, czy to Kypa najbardziej się boisz.

Zmrużyłem oczy.

- Co masz na myśli?

- Pracowałeś w KorSeku. Po prostu nie podoba ci się fakt, że Pogromca Słońc mógłby wpaść w ręce kogoś takiego jak ja.

Tym mnie zaskoczył. Popatrzyłem na niego, a potem odwróciłem wzrok w stronę ciemnej dżungli. Czy to prawda, pomyślałem, że pozwalam starym uprzedzonom ciągnąć się za mną i wpływać na moje postępowanie? Przez całe lata czekałem, żeby zakuć Hana Solo w kajdanki, gdy tylko odważy się znów postawić nogę na szlakach wewnątrz systemu Korelii. Nawet po tym, jak przyłączył się do Rebelii, miałem co do niego poważne zastrzeżenia. Myślałem jednak, że po naszym pierwszym spotkaniu wszystko to należy do przeszłości.

Spojrzałem znowu na niego.

- Kiedyś miałbyś rację. Teraz już nie. Gdybym naprawdę tak myślał, to zamiast gawędzić tu z tobą, kradłbym teraz twojego „Sokoła”, żeby samemu dopaść Kypa.

Han powoli pokiwał głową.

- Słuchaj, mały... Corran, tak? Znalezienie Kypa jest jedyną rzeczą, do jakiej mogę się tu przydać. Ty jesteś Jedi. Możesz zostać tu i pomagać Luke'owi w sposób, do ja-

kiego ja nie jestem zdolny. Ja mogę zrobić tylko to, co jest w mojej mocy; ty musisz zrobić to, do czego tylko ty jesteś zdolny. Zostawiam cię więc tutaj, żebyś się opiekował Lukiem, pomagał mojej żonie i uważał na moje dzieci.

- Pozwolisz tajniakowi z KorSeku zajmować się swoimi dziećmi?

- Na starość robię się miękki, wiem. Przyznaję jednak, że nie należy się kierować starymi uprzedzeniami.

- Dzięki... - przymknąłem oczy. - A co się stanie, jeśli...

- Kyp zwróci się przeciwko mnie? - Han powoli potrząsnął głową. - Mówiłem ci chyba, że twój ojciec deptał mi kiedyś po piętach. Musiałem wtedy zaciągnąć się do imperialnej akademii na Caridzie, żeby się go pozbyć. Teraz Kyp zniszczył nawet tę kryjówkę. Jeśli dojdzie do najgorszego... cóż, miłego polowania!

ROZDZIAŁ

23

Tej nocy, kiedy położyłem się do łóżka i czekałem na sen, nie chciałem odtwarzać w myślach rozmów przy kolacji, chociaż dręczyło mnie poczucie, że w jej trakcie powiedziano coś ważnego. Nie chciałem jednak choćby na krok zbliżać się do wspomnienia chwili, w której poczułem zagładę Caridy. Kiedyś myślałem, że jestem dość twardy, by tak odległą tragedię potraktować w kategoriach czysto statystycznych.

Nauka posługiwania się Mocą zmieniła to wszystko. Nie stałem się bardziej miękki czy słaby, ale bardziej świadomy. Uświadomiłem sobie więcej więzów, które łączą ludzi i rzeczy. Ból tych, którzy zginęli na Caridzie, będzie wracał echem u krewnych, którzy już nigdy ich nie zobaczą; wygnańców, którzy nigdy nie wrócą na rodzinną planetę; ludzi takich jak Han Solo, których wspomnienia o Caridzie zostaną zbrukane wyczynem Kypa. Chociaż wszystko to stałoby się oczywiste dla każdego, kto usiadłby i zastanowił się nad tym przez moment, na mnie spadło to w jednej chwili poprzez Moc. Zdumiało mnie - a zarazem dodało otuchy - jak bardzo rozszerzyła się moja sfera odpowiedzialności.

Gdy już zasnąłem, na szczęście nic mi się nie śniło. Obudziłem się trochę późno, więc nie poszedłem biegać. Zamiast tego pomogłem Hanowi w przygotowaniu „Sokoła” do startu. Pożyczył mi w zamian parę hydrokluczy, żebym mógł zająć się naprawą Łowcy Główny Mary Jade. Potem pożegnał się z rodziną i odleciał, a dzieci stały z obu stron mamy i machały mu ze wszystkich sił, dopóki statek nie zniknął z pola widzenia.

Resztę dnia spędziłem, pracując nad Łowcą Główny. Pomagał mi w tym Artoo, kiedy nie opiekował się dziećmi. Uchronił mnie od pomyłki, kiedy zamieniłem miejscami dwie płytki w komputerze nawigacyjnym, sterujące koordynatami, które posłałyby mnie w najmniej spodziewane miejsce w kosmosie, a już na pewno nie w to, w które chciałem dotrzeć. Późnym popołudniem naprawiłem większość modułów, które Kyp uszkodził. Postanowiłem, że dokończę następnego dnia. Zakończyłem dzień długim biegiem i kąpielą w chłodnym strumieniu, a potem poszedłem spać.

Bardziej odczułem, niż usłyszałem krzyk dzieci. Wskoczyłem z łóżka i pobiegłem do turbowindy, ale kabina właśnie minęła mój poziom w drodze do góry. Pobiegłem do klatki schodowej i zacząłem wbiegać po stopniach najszybciej, jak umiałem.

Czułem, jak nade mną, w wielkiej sali audiencyjnej, zbierają się groźne siły, byłem więc zdziwiony, że osoba, która pełniła straż przy Luke'u, nie podniosła alarmu.

Streen ma dość rozsądku, myślałem, żeby wezwać pomoc.

W tej samej chwili przed oczami stanęła mi twarz starego mężczyzny i przypomniał mi się urywek rozmowy przy kolacji.

- Nie mogę przed nim uciec - mówił Streen głosem pełnym rozpacz. - Ten mroczny mężczyzna. Człowiek ciemności, mroczny cień. Rozmawiał z Gantorisem. Rozmawiał z Kypem. Wy jaśniejecie światłem, ale cień zawsze jest obok, szepcze, gada...

Poczułem w piersi ukłucie.

Na wszystkie duchy Alderaanu, mistrz Skywalker jest zgubiony! - pomyślałem.

Wściekła burza rozpętała się w wielkiej sali audiencyjnej i powaliła mnie, gdy wypadłem przez drzwi klatki schodowej. Kiedy wszedłem do komnaty, zobaczyłem, że Leia, trzymając za nogi brata, unosi się do góry porwana przez cyklon. W oku tajfunu zobaczyłem Streena, jak tańczy kreśląc dziwaczne figury, z oczami szeroko otwartymi, ale nie widząc niczego. Wyglądało na to, że używając cyklonu zamierza wyrzucić Luke'a i Leię przez świetliki w dachu i cisnąć w dżunglę, gdzie zabije ich upadek.

Pozbawiony umiejętności telekinezy, byłem całkowicie bezsilny. Nie byłem w stanie powstrzymać nawałnicy. Coś mi podpowiadało, by poddać się rozpacz, ale nie zrobiłem tego.

Po prostu muszę nakłonić Streena, pomyślałem, żeby sam zatrzymał burzę.

Kiedy drzwi turbowindy otworzyły się i wypuściły Kiranę Ti, którą natychmiast wciągnął wichur rozpętany przez Streena, stanąłem mocno na nogach i skoncentrowałem się. Wzywając Moc, wysświetliłem w umyśle Streena wizję tej samej sali, w której nie było Kirany Ti ani innych uczniów wychodzących za nią z windy. Tych, których chciał wyrzucić z komnaty, też już w niej nie było - ulecieli na spotkanie losu, który im zgotował. Przepelniłem wizję poczuciem spełnionego obowiązku, a w odpowiedzi poczułem falę obcej satysfakcji.

Wtedy Kirana Ti przebiła się przez szalejący sztorm i pochwyciła Streena. Wichur ucichł, wypuszczając Luke'a i Leię. Kam Solusar i Tionna rzucili się do przodu i wykorzystując swoje umiejętności w zakresie telekinezy, bezpiecznie sprowadzili ich na ziemię.

Nie widać było żadnych oznak, by mistrz Skywalker ucierpiał. Streen powoli doszedł do siebie i wyjaśnił, że dręczył go koszmar senny, w którym walczył z mrocznym mężczyzną. Próbował go zniszczyć, a kiedy się ocknął, zobaczył, że w rzeczywistości omal nie zabił mistrza Skywalkera.

Wstając z ziemi, zrozpaczony powiedział:

- Musimy zniszczyć tego mrocznego mężczyznę, zanim nas wszystkich pozabija!

Wróciłem na dół schodami, rozmyślając nad słowami Streena. Zawsze wiedziałem, że może dojść do czegoś takiego. Kiedy użyłem przykładu socjopatycznego mordercy jako modelu psychiki Exara Kuna, nie zauważyłem, że popełniam pewien błąd logiczny. Kiedy polowaliśmy na socjopatycznych zabójców na Korelii, mimo wszystko

broń nastawialiśmy na ogłuszanie. Mogliśmy wtedy go ująć, umieścić w szpitalu psychiatrycznym albo w więzieniu, czy nawet wygnać go na Kessel lub do innej ohydnej kolonii karnej. Mogliśmy go również zabić, ale dopiero po procesie sądowym, w którym zapadł wyrok śmierci. Jeśli nie było innego wyjścia, mogliśmy go sami uśmiercić, ale tylko kilku seryjnych morderców spotkał tak gorzki koniec.

Aresztowanie i rehabilitacja nie wchodziły w grę w przypadku Exara Kuna. Mistrz Skywalker zdołał wprawdzie nawrócić na Jasną Stronę swojego ojca, ale nie miałem nadziei, że będzie to możliwe w przypadku mrocznego mężczyzny. Luke miał silną motywację, by odkupić ojca; zresztą więzy, jakie ich łączyły, były jakby zaproszeniem do nawrócenia. Natomiast Exar Kun spędził po prostu ostatnie cztery tysiąclecia uwięziony na tej planecie -niemal wieczność, którą mógł poświęcić na rozmyślanie o swoich uczynkach - i jeśli przez cały ten czas nie zdecydował się poprawić, było jasne, że nie zrobi tego tylko dlatego, że go o to poprosimy.

Ale jak można zabić istotę stworzoną przez Ciemną Stronę? -pomyślałem. Nie miałem pojęcia. Musieliśmy po prostu wymyślić jakiś sposób, a potem go zastosować.

Tak naprawdę nie zdziwiłem się, kładąc na mojej pryzy, gdy tłusta, lśniąca czarna plama zaczęła przesączać się przez sufit nade mną. Uformowała się w końcu w widmową postać wysokiego, szczupłego mężczyzny o ostrych rysach. Nosił archaiczne ubranie i długie włosy. Ujął się pod boki dłońmi o długich palcach.

- Twoja sztuczka była całkiem sprytna, Keiranie Halcyonie.

- Cenna pochwała z ust Mrocznego Lorda Sithów. - Obserwowałem go spod półprzymkniętych powiek. - Czy naprawdę zdołałem cię oszukać, Exarze Kunie, czy też zbyt łatwo zaufałeś zmysłom Streena?

Mroczny Lord odrzucił głowę do tyłu w bezgłośnym śmiechu.

- Ogień i odwaga, nieźle! Nie doceniłem cię, bo Gantoris i Kyp mieli cię w pogardzie.

- A ja myślałem, że mężczyznę należy oceniać po jego wrogach.

- To truizm, który kiedyś wyznawałem. - Cień spłynął spod sufitu i stanął w nogach mojego łóżka. - Kiedyś też byłem taki jak ty, mężczyzna pełen ambicji.

Usiadłem i prychnąłem.

- Jeśli miałbym kiedyś wyglądać tak jak ty, to dziękuję, nie jestem zainteresowany.

- Zabawny jesteś, Keiran, i nie tak pełen gniewu ani strachu jak reszta. - Exar Kun wbił we mnie twarde jak obsydian spojrzenie. Starłem się uzbroić umysł tak jak wtedy, gdy próbowała weń wnikać Mara Jade, ale wysondował mnie zbyt szybko, bym zdołał go powstrzymać.

- Masz więcej doświadczenia i jesteś bardziej dorosły. Jesteś jak dojrzały owoc.

- Ale nie ty ten owoc zerwiesz. - Podciągnąłem kolana do piersi. - Nadal niewłaściwie mnie oceniasz, jeśli myślisz, że jest coś, co mógłbyś mi zaoferować.

- Ależ tak, są takie rzeczy, tylko ty po prostu jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy. - Jego kamienne rysy wykrzywił szeroki uśmiech. Prawą dłońią zrobił niedbały gest i w powietrzu przede mną, na samym środku pokoju, otworzyło się okno. Ujrzałem przez nie sylwetkę imperialnego gwiazdnego niszczyciela i wiedziałem, że to „Gnębiiciel”. Wyglądał nieco gorzej niż na hologramie, który pokazał mi Cracken, ale uszko-

dzenia bitewne nie zdołały poważnie mu zaszkodzić. Wokół niszczyciela krążył rój eskortujących go myśliwców typu Tri. Obraz poruszył się w zbliżeniu i zogniskowałem wzrok na mostku, na który wychodziły frontowe iluminatory. Stała tam Leonia Tawira, odrobinę starsza niż na zdjęciu Crackena, ale jeszcze piękniejsza. Zapuściła czarne włosy, tak że spadały aż ku okrągłościom piersi. Jej sylwetka zaokrągliła się tu i ówdzie, nie była już więc taka patykowata jak kiedyś, choć nadal drobnej budowy. Jej ciało rozwinęło się proporcjonalnie, a ponieważ na pustym mostku nie było nikogo, z kim można by ją porównać, jej niski wzrost nie rzucał się w oczy. Fioletowe oczy lśniły złowrogą przebiegłością, która wydawała się iskrzyć jak wyładowania elektryczne.

Dawno zmarły lord Sithów roześmiał się lekko.

- Mogę dać ci siłę, by zniszczyć załogę „Gnębiiciela”. Zetrzeć w proch. Albo... - obraz Leonii rozjaśnił się - ... albo mogę ci dać moc, dzięki której zawładniesz Tawirą i będziesz rządził u jej boku. Staniecie się zaczątkiem Nowego Imperium, które dzięki mnie rozprzestrzeni się na całą galaktykę.

Poczułem w krzyżu ciarki, ale zdołałem się roześmiać i potrząsnąć głową.

- Nalatałem się za nią trochę, no i jest śliczniutka, ale nie jestem zainteresowany.

- Nie, oczywiście. Jesteś człowiekiem obowiązku. Ale jednak tam, na pokładzie „Gnębiiciela”, jest coś, czego pragniesz.

Obraz cofnął się nieco i przesunął w bok, ukazując zakutą w zbroję postać stojącą kawałek za Tawirą. Wysoką na dwa metry sylwetkę, najprawdopodobniej mężczyzny, otulał szary płaszcz, narzucony na stalowoszarą zbroję. Wyglądała jak wykonana z takiej samej plastali co zbroje szturmowców, ale została ukształtowana nieco inaczej i pokryta innym materiałem, który nadawał jej szarą barwę i odmienną fakturę. Zbroja miała linię bardziej prymitywną, ale zarazem bardziej naturalną niż zbroja szturmowca, jakby naśladowała pancerz jakiegoś dzikiego zwierzęcia. To samo odnosiło się do maski okrywającej twarz. Wężowa stylizacja i ukośne szparki na oczu nadawały jej zdecydowanie niebezpieczny wygląd.

Gdy tylko go zobaczyłem, zrozumiałem, że to on jest powodem, dla którego „Gnębiiciel” mógł pozostawać w ukryciu. Kiedy tak patrzyłem, podniósł głowę i spojrział wprost na mnie, a potem pochylił głowę na bok, poza kadr obrazu. Potem zobaczyłem, jak podchodzi do Tawiry, która zaczyna wykrzykiwać rozkazy, wywołujące gorączkę aktywności na pokładzie niszczyciela.

Exar Kun ziewnął.

- To on jest prawdziwym wrogiem, którego szukasz. To on odpowiada za jej sukcesy. Przy mojej pomocy możesz go pokonać, zając jego miejsce i zrobić z Tawirą, co tylko będziesz chciał.

- Dotrę tam i bez twojej pomocy, Exarze Kunie. Głos cienia stwardniał.

- Być może, ale nie dotrzesz bez niej tutaj.

Obraz w oknie się zmienił, a mój żołądek zacisnął się w bolesny węzeł. Zobaczyłem Mirax leżącą na marach, bardzo podobnych do tych, na których w sali nad nami leżał mistrz Skywalker. Opływało ją ciepłe, srebrzyste światło. Ręce miała wyciągnięte wzdłuż boków i wyglądała, jakby drzemała. Jedyną nienormalną cechą w jej wyglądzie była wąska, szara taśma opasująca czoło, pulsująca zielonymi i czerwonymi światełka-

mi. Wyglądała bardzo spokojnie i chociaż się starałem, nie wyczułem żadnego niepokoju z jej strony.

Ani innego uczucia.

- Mogę ci ją dać. Mogę powiedzieć ci dokładnie, gdzie się znajduje. - Exar Kun nadał swoje twarzy wyraz, który widocznie jego zdaniem oznaczał współczucie. - Wiesz, że Moc pozwala mi pokazać ci przeszłość, teraźniejszość albo przyszłość. Ten obraz pokazuje ci chwilę obecną, twoją żonę, dokładnie w tej chwili. Ukrytą tak dobrze, że bez mojej pomocy nigdy jej nie znajdziesz.

- A co miałbym zrobić, by zapewnić sobie twoją pomoc?

- Zabij Skywalkera. Uśmiechnąłem się.

- Życie Mirax za jego życie? Nic z tego.

- Chcesz więcej? - Mroczny Lord roześmiał się wyzywająco. - Mogę dać ci więcej.

Dam ci i twoją żonę, i Tavirę. Możesz dostać jej statek i zniszczyć jej flotę. Możesz wrócić na Korelię i zniszczyć wszystkich, których tam nienawidzisz!

Potrząsnąłem głową.

- Nie!

- Nie?

- Nie. - Westchnąłem. - Nie rozumiesz tego, tak? Już raz przegrałeś, a to dopiero początek czarnej serii. Czy ostatnie cztery tysiące lat nie nauczyły cię niczego?

- Na naukę tego wszystkiego, co wiem, tobie nie wystarczyłoby ani cztery, ani nawet czterdzieści tysięcy lat.

- Możliwe, aleja wiem jedno, czego ty nie wiesz. - Wstałem z łóżka i wycelowałem w niego palec. - Że nigdy nie wygrasz. Niszczysz tych, którzy ci się przeciwstawiają, i kto wtedy zostaje?

- Ci, którzy są mi wierni.

- Wśród których zawsze znajdzie się nowy rywal. Hodujesz odszczepieńców.

- Których zniszczę.

- Tak, zniszczysz ich. - Pokiwałem głową. - A potem znowu, i znowu, i jeszcze raz. Cykl się powtarza, a ty na to pozwalasz, bo zapomniałeś o najbardziej fundamentalnej prawdzie: to życie tworzy Moc. Kiedy Kyp zniszczył Caridę, umniejszył twoje siły. Kiedy zniszczyłeś Gantorisa, umniejszyłeś swoje siły. Jesteś drapieżnikiem, który żywi się krwią swoich ofiar i nie możesz się zatrzymać, bo Ciemna Strona wypełnia cię bolesnym głodem, którego nic nie zdoła zaspokoić.

- Ha! - śmiech Exara Kuna uderzył we mnie, ale zabrzmiał dziwnie piskliwie. — Nie możesz powiedzieć nic o Ciemnej Stronie, bo jeszcze jej nie doświadczyłeś. Przyłącz się do mnie, a dowiesz się, że jesteś w błędzie.

- Nie sądzę. Robot medyczny 2-1B nie musi się zarazić, żeby zdiagnozować i wyleczyć chorobę. - Skrzyżowałem ręce na piersi i roześmiałem się. - Kiepska ze mnie pożywka dla twoich rojeń. Idź stąd.

Exar Kun uniósł głowę.

- Przechodzę teraz do siebie i zapraszam, żebyś się do mnie przyłączył. Dałbym ci bardzo wiele. Kiedy ty sam przyjdiesz do mnie znowu, nie będę tak hojny.

Kiedy to mówił, obraz Mirax zaczął się rozmywać, ale w najokropniejszy z możliwych sposobów. Widziałem, jak tam leży, starsza o rok z każdą sekundą. Jej ciemne włosy posiwiały i pokruszyły się, a potem zaczęły wypadać kępka po kępce. Oczy się zapadły, ciało przybrało barwę popiołu i zaczęło wyciekać przez ubranie, aż zobaczyłem gołe kości. Podmuch wiatru rozsypał je, targając czaszką jak dziecinną zabawką, aż porzucił ją, z powybijanymi zębami, patrzącą na mnie pustymi oczodołami.

Zamknąłem oczy, żeby tego nie widzieć, a kiedy je znowu otworzyłem, w moim pokoju nie było już nikogo. Usiadłem na łóżku, cały roztrzęsiony. Zdziwiło mnie to, więc zmusiłem się do śmiechu. Na początku było trudno, ale po chwili przyszło mi łatwiej. Ciepły odgłos śmiechu wypełnił pokój, i przysięgam, że usłyszałem echa śmiechu Biggsa, Wedge'a i Porkinsa, który rozlegał się tam niegdyś. Śmiali się, bo wiedzieli, że posiadli sekret unicestwienia Gwiazdy Śmierci.

Śmiałem się razem z nimi. Exar Kun przyszedł do mnie, by mnie skłonić do przejścia na jego stronę. Tym, czego nie wiedział, tym, co podsycalo mój śmiech, był fakt, że odsłonił się przez to, niechcący wyjawiając tajemnicę, jak można go zniszczyć.

Miałem nadzieję na chwilę rozmowy w cztery oczy z Leią Organa Solo, podczas której podzieliłbym się z nią moim odkryciem na temat Exara Kuna, ale między opieką nad dziećmi a nagłym przybyciem myśliwca typu B nie mogła znaleźć dla mnie czasu. Chciałem porozmawiać z nią na osobności, bo działałem, opierając się na założeniu, że mroczny mężczyzna mógł spróbować wpłynąć także na innych uczniów. Ona natomiast była na Yavin zbyt krótko, by znaleźć się pod jego wpływem, a poza tym nie miałem wątpliwości, że bez trudu oparłaby się jego podszeptom. Rozpowiadanie wszem i wobec, że znalazłem sposób, by pokonać Exara Kuna, równało się poinformowaniu o tym także jego samego, a to wytrąciłoby nam broń z ręki.

Pilotem myśliwca typu B był Kalamarianin o imieniu Terpfen, który zdołał wykrztusić wyznanie, że był agentem kontrolowanym przez Imperium i zdradził im lokalizację planety Anoth, na którą odesłano dla bezpieczeństwa Winter i najmłodsze dziecko Leii Organy Solo, małego Anakina. Terpfen nalegał, by Leia natychmiast udała się na Anoth, ale okazało się, że sama Leia nie zna położenia tej gwiazdy. Znali je tylko Winter, mistrz Skywalker i admirał Ackbar. Postanowiła zatem niezwłocznie lecieć na Mon Calamari, by odszukać Ackbara, a potem ratować najmłodszego syna.

Podczas gdy pozostali uczniowie zajmowali się bliźniętami albo pomagali Terpfenowi dojść do siebie po podróży, złapałem Leię w Wielkiej Świątyni.

- Muszę z panią porozmawiać, pani Organa Solo.

- Proszę się streszczać. Odlatuję, gdy tylko pozbieram moje rzeczy.

Wcisnąłem przycisk przywołujący turbowindę.

- Nie może pani lecieć z Terpfenem. To zdrajca. Weszła przede mną do windy.

- Poradzę sobie z nim, proszę się nie obawiać.

- Mimo zapewnień ambasador Cilghal, że pani bliźnięta będą tu bezpieczne, nie może pani ich tu zostawić.

- To co, mam je załadować do myśliwca razem z imperialnym zdrajcą i lecieć na planetę, gdzie imperialni mordercy będą próbowali je zabić?

- Nie, ale pozostawienie ich tutaj, gdzie żyjący od czterech tysięcy lat Mroczny Lord Sithów bawi się uczniami Jedi jak marionetkami, też nie jest dobrym rozwiązaniem. - Potrząsnąłem głową. - Nie zna pani przecież nikogo z nas. Jak może pani nam ufać na tyle, by powierzać dzieci naszej opiece?

- Nie mogę ufać wam wszystkim. — Wycelowała palec w moją pierś. - Ufam więc tobie.

- Co?

Jej twarz przybrała ostry wyraz. Drzwi windy otworzyły się i ruszyła w dół korytarza w stronę swojego pokoju.

- Kiedy mój mąż stąd wrócił, powiedział, że mogę ci zaufać. Nielatwo zaskarbić sobie jego zaufanie. To mnie zaciekało, a nie wyobrażasz sobie, ilu rzeczy może się dowiedzieć przewodnicząca Nowej Republiki, jeśli jest zaciekawiona i ma dostęp do HoloNetu. Fakt, że mój brat wybrał cię, żebyś się kształcił w jego akademii, przemawia na twoją korzyść, a i reszta twojego życiorysu wygląda całkiem nieźle. Myślę, że moje dzieci są bezpieczne, gdy jest przy nich Corran Horn.

- Skoro pani już wie, kim jestem, proszę mi pozwolić lecieć z panią na Mon Calamari. Jestem dobrym pilotem. Mogę pani wiele pomóc, kiedy dolecimy na Anoth.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego zrobić... właśnie dlatego, że wiem, kim jesteś. Wiem, że gdybyś chciał się zabawić w mojego pilota, nie rozmawialibyśmy w cztery oczy. Chcesz czego innego i mogę się założyć, że w tym celu musisz zostać tutaj. Powiedz mi, o co chodzi.

Zacząłem mówić, podczas gdy ona pakowała swoje ubrania do plecaka. - Po pierwsze, myślę, że najbardziej podatni na wpływ Exara Kuna są ci uczniowie, którzy otarli się w przeszłości o Ciemną Stronę. Streen zapytał mnie kiedyś o coś, co wtedy wydawało mi się bez znaczenia, ale teraz widzę, że mógł to być wektor, który ściągnął ku niemu Exara Kuna. Nie mogę tego potwierdzić, jeśli chodzi o Gantorisa i Kypa, ale wydaje mi się, że to ma sens, bo ci, którzy raz upadli, łatwiej mogą powtórzyć stare błędy.

Leia zastanowiła się przez chwilę.

- To oznacza, że Kam jest w niebezpieczeństwie.

- Jest dość twardy, ale nie można tego wykluczyć. Istnieje takie ryzyko. - Spuściłem wzrok. - Nie mogę też być całkowicie pewien Streena. Nie jestem w stanie wskazać teraz innych, ale Brakiss też może być zagrożony ze względu na swoje imperialne korzenie. Może się stać kolejną ofiarą.

- Słusznie. Kto jeszcze?

- Mamy tu pewien podstawowy problem, jeśli chodzi o znalezienie sposobu na pokonanie Exara Kuna. Jeśli wyłączymy poza nawias naszych działań wszystkich, którzy są podejrzani, Exar Kun może się zorientować, że coś się święci, właśnie na podstawie tego faktu.

- I wykorzystać waszą paranoję przeciwko tym, których jeszcze nie zdołał skusić. - Zapięła torbę na suwak. - W takim razie czy mamy jakieś rozwiązanie, czy też ewakuujemy Yavin 4?

- Z Kypem latającym po całej galaktyce w niezwykłym statku? W żadnym razie. Tylko my stoimy na drodze pomiędzy nim a Exarem Kunem, który marzy o tym, by się wydostać z tego księżycy.

- W takim razie ewakuacja nie wchodzi w grę. Czyli problem pozostaje. - Zobaczyła, że zaczynam się uśmiechać. - Nienawidzę, kiedy Korelianin uśmiecha się w ten sposób. Zwykle oznacza to, że Han znowu przegrywa „Sokoła” w sabaka czy inną głupią grę.

- No cóż, kolej na przegraną Exara Kuna, bo w tym rozdaniu przeszarżował. - Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej. - Pani brat odkrył we mnie umiejętność projektowania moich myśli w umysłach innych ludzi. To, jak dobrze mi się to udaje, zależy od tego, jak bliska jest mi dana osoba, co określa, ile mogę w nią wpompować. Exar Kun przyszedł do mnie wczorajszej nocy, po tym, jak udało mi się powstrzymać Streena, umieszczając w jego głowie wizję, w której jest już po wszystkim. Kun starał się przeciągnąć mnie na swoją stronę, ale mu się oparłem. Nieźle mnie jednak rozszyfrował i próbował zagrać na moich ambicjach.

Leia uśmiechnęła się, a ja zrozumiałem, dlaczego tysiące serc Rebeliantów zostało złamanych, gdy postanowiła poślubić Hana Solo.

- A kiedy on rozszyfrowywał cię, ty wysondowałeś jego, tak? Możesz go teraz namierzyć, kiedy jest aktywny?

- Tak mi się wydaje. Poza tym myślę, że te jego manifestacje bardzo go wyczerpują. Stawiam na to, że trochę się teraz przyczai, prawdopodobnie starając się szpiegować nas za pośrednictwem Streena.

Pokiwała głową.

- A ty już postarasz się napompować go tą samą drogą wystarczającą liczbą błędnych danych, by go oszukać?

Ja też pokiwałem głową.

- To powinno dać nam czas potrzebny na znalezienie sposobu, jak się go pozbyć raz na zawsze.

- Dobry pomysł, całkiem dobry. - Jej wzrok stwardniał. - Ale nie mogę postawić cię na czele akademii. Zauważyłby taką zmianę i uznał cię za niebezpiecznego.

- Słusznie. Ja też się przyczaję. Będę siedział cicho, chyba że to nie zadziała albo że sprawy przybiorą naprawdę zły obrót. - Odsunąłem się od drzwi, przepuszczając ją, kiedy szła w kierunku turbowindy. - Wiem, że mogę kupić dla nas trochę czasu, ale nie za wiele. Przy tempie, w jakim Exar Kun odzyskuje siły, może być gotów zaatakować jutro czy choćby dziś wieczorem.

- Wierzę, że zrobisz wszystko, co możliwe. - Zatrzymała się przed drzwiami turbowindy i podała mi rękę. - Niech Moc będzie z tobą.

- I z panią również.

- Miejmy nadzieję. - Uśmiechnęła się smutno przez zasuwające się drzwi windy. - Czuję, że oboje będziemy jej potrzebować.

ROZDZIAŁ

24

Resztę dnia spędziłem, kończąc naprawę Łowcy Głów. Poprosiłem Streena, by mi pomógł. Tak naprawdę mogłem to zrobić sam, ale chciałem mieć go blisko siebie. Niektórzy studenci zaczęli od niego stronić, a zważywszy na to, co się stało, trudno im się było dziwić. Prosząc go o pomoc, mogłem mieć na niego oko i dyskretnie kontrolować, czy Exar Kun nie próbuje znów go wykorzystać.

Poprzez Streena chciałem też podsunąć Kunowi Łowcę Głów jako pułapkę. Stary poszukiwacz gazu wiedział dość o prowadzeniu statku, by umieć wznieść myśliwiec i wprowadzić go do hangaru z lądowiska, ale chyba nie znał się za bardzo na jego uzbrojeniu. Standardowy pakiet uzbrojenia, montowany zwykle w tego typu statkach, dawno wymieniono. Mara wymontowała wyrzutnie pocisków udarowych, zamiast nich umieszczając centralnie działo jonowe. Na każdym skrzydle nadal pyszniły się potrójne blastery, ale zostały tak przerobione, by umożliwić oddawanie sprzężonej serii ognia, co uznałem za pomysł kontrowersyjny.

Powiedziałem Streenowi dość o uzbrojeniu, by wyobraził sobie, że umiałby go użyć. Nie wspominałem tylko, że zainstalowałem specjalny kod dowodzenia, który trzeba było znać, żeby uruchomić broń. Gdyby ktoś próbował wystrzelić, nie wprowadzając kodu, Łowca Głów odciąłby całą siłę ciągu, włączył obwody repulsorów i zawisł nieruchomo nad ziemią. Oprócz tego w komputerach pokładowych Wielka Świątynia była oznaczona jako strefa pasywnego lotu: statek nie wykonałby żadnego wariackiego manewru w stylu gwałtownego skoku w górę i pikowania, by roztrzaskać się o świątynię. W obliczu tak oczywistego błędu pilota komputer nawigacyjny po prostu przejąłby wówczas stery i osadził statek na ziemi.

Moje rozumowanie wyglądało tak: Kun, nadal wyczerpany wysiłkiem skanalizowania poprzez Streena sił zdolnych wywołać tamten cyklon, wykorzysta szansę, by za pośrednictwem Streena użyć Łowcy Głów w taki sposób, by zabić Luke'a. Staralem się mu to ułatwić, udzielając Streenowi cennych podpowiedzi i opowiadając mu historie o pilotach Rebeliantów, ale Exar Kun nie złapał przynęty. Byłem tym trochę rozczarowany, ale starałem się nie przeciągać struny, by Kun nie domyślił się, że wiem o więzach, które łączą go ze Streenem.

Dopiero wieczorem, kiedy położyłem się spać, uświadomiłem sobie, że Kun nie był taki znowu wyrafinowany, jak bym się tego po nim spodziewał. Alarm włączony przez Artoo, pełniącego straż w Wielkiej Sali Audiencyjnej, wyrwał mnie z łóżka. Rozciągnąłem moją sferę percepcji i wyczułem obecność na iglicy ziguratu kolczastych stworzeń, które otaczała jakaś złowroga aura.

Nawet nie pomyślałem o wbieganiu po schodach albo złapaniu turbowindy. Pobiegłem do Łowcy Głów, wstukałem kod zapłonu i włączyłem broń. Uchyliłem dyrektywę pasywnego lotu i wyprowadziłem statek z hangaru w pomarańczowy zmierzch nocy. Zrobiłem pętlę i położyłem myśliwiec na bok, przelatując nad świątynią, ale zauważyłem tylko koniuszek trójkątnego skrzydła na tle jednego ze świetlików.

Poczułem narastającą frustrację, ale odepchnąłem to uczucie. To nie te stworzenia są moim problemem, pomyślałem. Jest nim Exar Kun. Rozciągając zmysły, odkryłem trzy czarne jak heban, cienkie nici wpływu, wiążące Mrocznego Lorda ze stworami, które wysłał, by zabiły Luke'a. Były to bezmyślne bestie, znacznie łatwiejsze do kontrolowania niż Streen, co pozwalało Kunowi na dokonanie maksymalnych zniszczeń przy minimum wydatkowanej energii.

Strzeliłem ponad świątynią, a potem zmniejszyłem siłę ciągu i przestawiłem napęd na obwody repulsorów. W ten sposób zawisłem czterysta metrów nad ziemią. Skręcając wrażliwe stery Łowcy Głów obróciłem statek, aż ustawiłem go nosem w kierunku, skąd wyczuwałem nici wpływu Kuna. Wcisnąłem przycisk na konsoli, blokując ten kierunek jako zamiar na cel. Otwierając ponownie przepustnicę, przechyliłem statek na sterburtę i odleciałem na mniej więcej kilometr od świątyni. Ponownie zmniejszyłem ciąg, zatrzymałem statek nad ziemią i obróciłem go nosem z powrotem w kierunku świątyni. Zablockowałem te koordynaty w pamięci komputera nawigacyjnego.

W tym momencie odezwał się brzęczyk w module łączności, a Artoo wyświetlił sygnał „droga wolna” na głównym ekranie. Uśmiechnąłem się i poczułem, jak nici kontaktu wiążące Kuna z ptaszyskami wędzną i wycofują się. Pchnąłem w tę stronę moje czucie, skoncentrowane w wąski snop, w nadziei, że uda mi się wykryć sygnały gniewu lub rozczarowania, ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego wyczułem cztery nietypowe formy życia, kierujące się w stronę Wielkiej Świątyni z głębi dżungli.

Pozwoliłem sobie na krótki śmiech. Jedyne problemy z systemem celowniczym gwiazdowego myśliwca polegały na tym, że jego jądro stanowi pakiet sensorów rozpoznających durastal i inne materiały, z których zbudowane są gwiazdne myśliwce, statki czy cokolwiek innego, co można z dużą dozą prawdopodobieństwa sklasyfikować jako cel. Dodatkowe oprogramowanie wspomagające pozwala na zdefiniowanie innych rodzajów celów, dzięki czemu można odświeżać system, gdy pojawiają się nowi wrogowie lub nowy sprzęt. A chociaż nadlatujące stworzenia miały metalowe szpony, zawartość metalu w ich ciałach była mniejsza niż w przypadku pierwszego lepszego przeciętnego mieszkańca przechadzającego się ulicami Coruscant. Dla Łowcy Głów po prostu nie był to żaden cel.

Co innego dla Jedi. Ja uznałem je za godnego przeciwnika.

Leciały coraz bliżej świątyni, niezdolne rozpoznać cel w Łowcy Głów, i z wzajemnością. Te ogromne ptaszyska, o korpusach dorównujących rozmiarami wielkości

ciała wysokiego mężczyzny, miały paskudne, mięsiste skrzydła o ogromnej rozpiętości i po dwie głowy, o czaszkach sklepionych tak nisko, że nie pomieściłyby więcej niż centymetr sześcienny mózgu. Mogły się za to pochwalić muskularnym ogonem, zakończonym niesympatycznym kryształowym szponem. Zdecydowanie przerażające i zabójcze.

Chyba że się jest pilotem gwiazdowego myśliwca. Mój pierwszy strzał skrzyżował bliźniacze pociski blastera w samym środku klatki piersiowej pierwszego z potworów. Ciało zagotowało się, pokrywając je łuski - stopiły, pociski zaś rozerwały grzbiet stwora i przeleciały dalej, po trajektorii tylko nieznacznie skrzywionej. Obie głowy ptaka wygięły się na długiej szyi, oczy spojrzwały na dymiącą dziurę w piersi, a skrzydła opadły. Stworzenie spadło na ziemię z prędkością robota katapultującego się z myśliwca, nadziewając się na ostre gałęzie drzewa Massassi.

Mój następny strzał był szybki, ale niecelny - tylko jeden pocisk trafił. To jednak wystarczyło. Pocisk energii spalił skrzydło trafionego ptaka; drugie, zdrowe, rozpaczliwie trzepotało, co nie przyniosło jednak dostrzegalnych korzyści. Z głośnym krzykiem bestia spadła, wirując w powietrzu, i roztrzaskała się o kamienną podstawę świątyni.

Dla dwóch ostatnich potworów włączyłem działą jonowe. Pierwszy ze strzałów trafił jednego z nich w miednicę. Błękitny promień rozbił się na setki maleńkich błyskawic i momentalnie wypalił nerwy stworzenia, wprawiając jego członki w spazmatyczne drgawki. Jego sztywny ogon miotał się w przód i w tył tak gwałtownie, że w końcu wbił się w ciało swojego właściciela. Głowy potwora zaatakowały własny ogon, wyrывая z niego zębiskami potężne kawały mięsa, aż wreszcie skrzydła opadły, a samo ptaszysko rozbiło się o północną ścianę świątyni.

Ostatnia z bestii okazała się najzwinniejsza, a uwolniona spod słabnącej kontroli Kuna pomknęła po niebie, by lotem koszącym spaść na Łowcę Główny. Podniosłem nos maszyny i włączyłem tarczę w tym samym momencie, gdy potwór uderzył. Przednie osłony odbiły go wprawdzie w tył, ale stwór zdołał wbić uzbrojoną w pazur łapę w dziób myśliwca. Kokpit wypełniły iskry, gdy przednia tarcza padła, a spięcie w obwodach statku unieruchomiło działą jonowe. Bestia chwyciła nos Łowcy Główny drugim szponiastym odnóżem przy wtórze przeraźliwego skrzywienia durastali, rozdieranej metalowym szponem. Potwór zgarbił się, obejmując kadłub silnym uściskiem potężnych skrzydeł, podczas gdy jego głowy waliły o szyby kokpitu.

Nie mogłem osiągnąć drania blasterem, a działą jonowe nie działało. Mógłbym zawisnąć statkiem w powietrzu, otworzyć kopułę kokpitu i rozprawić się z potworem przy użyciu miecza świetlnego, gdyby nie to, że zostawiłem broń w pokoju. Potwór walił głową w transpasteralową powłokę kokpitu i wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim szyba ustąpi.

>- Świetnie - uśmiechnąłem się. - Chcesz się zabawić? Dobra, to do roboty. Skierowałem statek nosem w niebo i otworzyłem przepustnicę na pełny ciąg. Przy tej szybkości wystrzeliliśmy ku granicom atmosfery w ciągu zaledwie paru sekund. Ciśnienie rozpląszczyło ptaka o poszycie i trzymało tak, owiniętego jak koc wokół statku. Tarcie rozgrzało durastalowy kadłub, aż skrzydła bestii zaczęły się na nim smażyć. Gdy pró-

bowiała oderwać się od poszycia i uwolnić skrzydła od rozpalonego metalu, ciśnienie powietrza porwało je, wykręcając do tyłu, a potem z trzaskiem cisnęło z powrotem o kadłub.

Gdy opuściliśmy atmosferę, pojawił się nowy problem. Próżnia kosmiczna gwałtownie oziębiła poszycie, wysysając z niego całe ciepło. To samo zrobiła z potworem, zamrażając po wsze czasy na obu jego twarzach wyraz przerażenia i furii. Gdy ptak zamarł, zmniejszyłem siłę ciągu, pozwalając Łowcy Główny dryfować, podczas gdy makabryczny ornament na jego dziobie stygł coraz bardziej i bardziej. Poczulem ulgę widząc, że bestia nie była przystosowana do życia w zimnej pustce przestrzeni kosmicznej, choć z drugiej strony nie spodziewałem się, by stworzenie pochodzące z Yavin 4 mogło być do tego zdolne.

W końcu, kiedy uznałem, że ptak wystygł dostatecznie, gwałtownie pchnąłem prawy ster. Podczas gdy pole antybezładnościowe statku chroniło mnie od skutków tak gwałtownego manewru, bestia nie miała tyle szczęścia. Jej ciało oderwało się od kadłuba i rozpoczęło powolne spadanie w kierunku gazowego giganta, a ja szeroką pętlą zawróciłem w dół ku świątyni.

Kam czekał na mnie w hangarze, gdy wprowadzałem tam Łowcę Główny. Uniosłem pokrywę kokpitu i zeskoczyłem. Kam popatrzył na mnie chłodno, gdy przechodziłem pod dziobem myśliwca.

- Mistrz Skywalker został zaatakowany. Gdzie był? Uśmiechnąłem się, wyciągnąłem rękę i wyrwałem szpon nadal tkwiący w poszyciu Łowcy Główny. Rzuciłem go Kamowi.

- Ćwiczyłem celowanie.

- Nie powinieneś robić tego w pojedynkę. Zmarszczyłem brwi.

- To jedyne, na co mogłem się zdobyć, Kam. Nie dobiegłbym do sali dość szybko, więc powstrzymałem posiłki Kuna na zewnątrz.

- Nie możesz wiedzieć, czy to na pewno Kun.

- Wiem.

Kam potrząsnął głową i wskazał kciukiem w kierunku sali audiencyjnej.

- Ale my dopiero co dowiedzieliśmy się tego od Luke'a.

- Obudził się?

- Nie, ale jego siostrzeniec i siostrzenica słyszą go. Powiedział, że to Exar Kun jest przyczyną kłopotów. - Twarz Karna pociemniała. - Musimy pokonać Kuna, jeśli mamy sprowadzić Luke'a z powrotem. Przygotowujemy właśnie naradę wojenną, żeby ustalić, co mamy robić.

- Narada wojenna to doskonały pomysł. Ale czas nie najlepszy - westchnąłem. - Kun został dziś pokonany. Nie wróci tak od razu.

- Skąd możesz to wiedzieć? - W głosie Kama pojawiła się nuta podejrzliwości.

- Zaufaj mi, Kam. Po prostu to wiem. - Wyciągnąłem rękę i położyłem mu na ramieniu, ale strząsnął ją. - Słuchaj, gdybym był po stronie Kuna, nie załatwiłbym czterech jego przyjemniaczków, prawda? Mam przecież miecz świetlny i mogłem posiekać mistrza Skywalkera podczas którejkolwiek z moich wacht. Możesz mi ufać.

- Ale masz swoje sekrety. - Oczy Kama zamieniły się w lśniące szparki. - Ani ty, ani mistrz Skywalker nie lubicie mówić za wiele o tobie.

- To prawda, ale mamy ku temu mocne powody, które wymyślił sam Luke. Jego siostra, mimo wyjątkowych okoliczności, w jakich się znaleźliśmy, też postanowiła nie zdradzać, co o mnie wie. -Spojrzałem mu prosto w oczy. - Ty masz swoje powody, by tu być: możesz wzmocnić swoją osobowość, wykorzystując skłonności, które pozwoliły ci dać się zwieść Ciemnej Stronie. Moje powody są inne, ale dla mnie nie mniej ważne. Tak samo chcę zniweczyć wysiłki Kuna jak ty. Razem jesteśmy w stanie to zrobić, wykonując każdy swoje zadanie. Moja rola będzie po prostu inna niż twoja.

Kam rozważał przez chwilę moje słowa, a potem powoli pokiwał głową.

- Powiem reszcie, że nie uważasz, by dziś była dobra pora na planowanie batalii przeciwko Kunowi.

- Nie musisz mówić, że ten pomysł wyszedł ode mnie. To po prostu logiczne, że zajmowanie się tym dzisiaj nikomu nie przyniesie korzyści. Prześpijmy się, a plany ułożymy jutro. Kun chyba nie jest zdolny do przeprowadzenia skutecznego ataku za dnia. - Uśmiechnąłem się do Karna szeroko. - Zobaczysz, pokonamy go.

- Nie mamy wyjścia.

- W tym się zgadzamy. - Klepnąłem go po ramieniu. - Kun wybrał sobie niewłaściwych przeciwników w niewłaściwym czasie, i to jest ostatnia pomyłka, na jaką mu pozwolimy.

Narada wojenna odbywała się w miejscu, które kiedyś, w czasie pierwszego ataku na Gwiazdę Śmierci, było stanowiskiem dowodzenia Rebeliantów. Kurz pokrywał grubą warstwą rozmaite artefakty, które przetrwały kolekcjonerskie zapędy imperialnych zespołów badawczych i kustoszy muzeum Nowej Republiki. To, co pozostawili, w dużej mierze nadawało się do użytku i pozwoliło wszystkim czternastu osobom znaleźć dla siebie wygodne miejsca do siedzenia. Chociaż zostało dla mnie wiele miejsca przy stojącym na środku stole, wycofałem się pod ścianę i rozciągnąłem moją sferę odpowiedzialności, by wypełniła cały pokój, umożliwiając mi kontrolę nad tym, co działo się z moimi towarzyszami.

Natychmiast zauważyłem czarne pasmo energii, łączące Streena z Kunem. Byłem pewien, że stary poszukiwacz gazu nie miał o nim pojęcia. Nadal wydawał się śmiertelnie przerażony faktem, że o mało nie zabił mistrza Skywalkera i właśnie to, że stale ten fakt rozpamiętywał, pozwalało Kunowi na utrzymanie połączenia. Na szczęście zamęt emocjonalny, który trapił Streena, oznaczał, że wszelkie informacje, które tą drogą uzyska Kun, nie będą wiarygodne, bo obciążone gwałtownymi emocjami.

Jeśli to nie wystarczyło, by przekonać Kuna, że jesteśmy beznadziejnie niekompetentni, zaskakująca logika ambasadora Cilghal musiała go utwierdzić w tym przekonaniu. Zbagatelizowała obawy Dorska 81, że Kun może podsłuchiwać, jak układamy nasze plany, i oznajmiła:

- Musimy działać zakładając, że nadal możemy go pokonać. Stoi przed nami dość prawdziwych problemów, żebyśmy nie musieli sobie fabrykować dodatkowych, wyimaginowanych zagrożeń.

Jako żołnierz nie mogłem sobie wyobrazić nic gorszego niż świadome zamykanie oczu na możliwość, że wróg zna nasze plany, ale w świecie dyplomacji, gdzie szpiegowanie było na porządku dziennym, widocznie nie uważano tego za ważne.

Uważnie śledziłem informacje, które przepływały przez obwód między Streemem a Kunem. Szybko zorientowałem się, że wystarczy, gdy dołożę trochę tu albo odrobinę ujmę tam, a pomysł, by tuzin niedouczonej studentów i dwójka smyków pokonała kogoś, kto przeżył szturm połączonych sił wszystkich Jedi jego czasów, wyda mu się śmieszny. Tionna powiedziała nam, że nasza narada przypomina Wielką Radę z Daneby, podczas której Jedi połączyli swoje siły, by pokonać Kuna. W jej ustach brzmiało to wspaniale i napępniało nadzieję, ale niewielkim wysiłkiem udało mi się sprawić, by zabrzmiało żałośnie.

Pozwoliłem, by nasze postanowienie zjednoczenia się i pokonania Kuna dotarło do niego poprzez Streena. Pogarda Kuna powróciła w odpowiedzi jak echo. Stawił czoło całemu flotom statków kosmicznych i wszystkim znanym Jedi swoich czasów. Uśmiercił własnego mistrza. Jego potęga nie miała sobie równych. Pokonał również naszego mistrza. Teraz, mimo naszej decyzji, że będziemy z nim walczyć, nie mieliśmy żadnego planu działania ani sposobu, by rzucić mu wyzwanie. Byliśmy jak przekąski, które schrupie leniwie w przerwie między jednym zadaniem a drugim, a nie niestrawnymi kawałkami, którymi się udławi.

Pasmo energii łączące go ze Streemem wędło i nikło, w miarę jak kolejne osoby przedstawiały pomysły, które nie zdołałyby wyprowadzić w pole nawet styntaryla.

Mój cichy śmiech dochodzący z kąta, w którym siedziałem, sprawił, że Cilghal odwróciła głowę.

- Żadna ze spraw, które tu omawiamy, nie jest specjalnie zabawna, Keiranie. Jeśli sam nie masz nic do powiedzenia...

Wstałem i popatrzyłem na nią spod przymrużonych powiek.

- Mam coś do powiedzenia. Wytyczyliście właściwy kurs. Połączenie naszych sił to jedyny sposób pokonania Kuna. To dobry pomysł.

Brakiss prychnął.

- Cieszy nas, że uzyskaliście twoją aprobatę. Zignorowałem jego uwagę.

- Przegapiliście jednak coś, co jest kluczem do całej sprawy. Streem, jak go nazwałś?

Mężczyzna przejechał palcami po kędzierzawych siwych włosach.

- Mroczny mężczyzna.

- Właśnie. Mistrz Skywalker opisał mi go jako cień, podobnie mówił o nim Gantorris. - Popatrzyłem z uwagą na Karna. - Tosamo ja zobaczyłem... wtedy, kiedy Kun chciał mnie skaptować na swoją stronę.

Kam uniósł głowę.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że Kun jest tworem cienia, tworem Ciemnej Strony. A co mistrz Skywalker wbijał nam do głowy od pierwszego dnia naszej nauki?

Oczy Kirany Ti rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu.

- Antidotum na Ciemną Stronę jest jasność.

- Właśnie. Jasna Strona musi świecić tak mocno, by żaden cień nie zdołał jej przyćmić. - Patrzyłem na ich twarze. - To jest wasze zadanie. Kiedy Kun znowu przyjdzie do Luke'a, oślepicie go swoim światłem tak, by nie był w stanie sobie z nim poradzić.

Pani ambasador z Mon Calamari odwróciła głowę w moją stronę.

- Nasze zadanie? Ty też musisz być z nami, musisz być częścią naszych zjednoczonych sił.

- Nic z tego. - Pochyliłem się, opierając ręce o stół. - Do tej chwili Exar Kun działał zgodnie z własnym harmonogramem. Ruszał, kiedy zamierzał ruszyć; robił, co zamierzał zrobić. Koniec z tym. Jutro wieczorem, kiedy zapadnie noc, zmusimy go do działania. Nie będzie na to przygotowany, ale pomyśli, że i tak uda mu się nas pokonać. I tu się pomyli.

Tionna spojrzała na mnie swoimi perłowymi oczami.

- A ty co będziesz robił? Potrząsnąłem głową.

- Nie możecie tego wiedzieć, tak jak ja nie mogę wiedzieć dokładnie, co wy zamierzacie. Najważniejsze jest to, by on - wskazałem palcem na Streena - pełnił straż przy ciele mistrza Skywalkera, kiedy ruszymy.

- Streen? - Kam potrząsnął głową i widać było, że nie zamierza się z tym pogodzić. - To niemożliwe.

- Ja? - Sam Streen wyglądał na ogłuszonego.

- Ty, Streen. Będzie dokładnie tak, jak podczas tego huraganu, który wywołałeś tamtej nocy. Będziesz wydawał się słaby, ale naprawdę będziesz silny. Nie załamiesz się, wytrzymasz. - Uśmiechnąłem się. - Wszyscy wytrzymacie.

Czarownica z Dathomiry popatrzyła na mnie uważnie.

- To brzmi tak, jakbyś ty zamierzał wyprawić się przeciwko Exarowi Kunowi. Wiesz chyba, że sam nie dotrzymasz mu pola.

Dorsk 81 przytaknął.

- On pokonał mistrza Skywalkera. Twoja misja nie ma szans powodzenia.

- Możliwe. - Uśmiechnąłem się, przypominając sobie podobne oceny rozmaitych misji Eskadry Lotrów. - To nie pierwsza niewykonalna misja w mojej karierze. Jeśli wszyscy zrobimy, co do nas należy, może wrócę z niej cały i zdrowy.

ROZDZIAŁ

25

Użyłem miotaczy Łowcy Główn i wypaliłem na skraju jeziora wystarczający obszar wolnej przestrzeni, by móc wylądować, a potem osadziłem tam statek. Lądowanie wypadło nieco bardziej twardo, niżbym sobie tego życzył. Biorąc pod uwagę, że brzuch ładowni wypełniał tuzin pocisków z nergonem 14, gotowych do odpalenia, powinienem bardziej się skoncentrować na pilotowaniu, ale nie byłem w stanie. Stosując tę samą technikę, którą Luke pokazał Streenowi, by ten mógł odgrodzić swój umysł i nie słyszeć myśli innych, sprawiłem, by moja obecność w Mocy stała się możliwie niewykrywalna. Było to męczące, ale pocieszał mnie fakt, że Exar Kun również lubił pozostawać w ukryciu i w tym celu musiał też wydatkować część swojej energii.

Wygramoliłem się z kabiny pilota i otworzyłem ładownię. Umieściłem na każdym ramieniu paczkę ładunków wybuchowych i podniosłem je ostrożnie, by nie stracić równowagi. Tego mi tylko brakowało, by przez nieuwagę pośliznąć się na drodze. Zrobił to, pomyślałem, a nasza wojna przeciwko Exarowi Kunowi skończy się, zanim się jeszcze zaczęła.

Spojrzałem na taflę jeziora i małą wysepkę na jego środku. Wzniesiono tam piramidę z obsydianu o gładkich bokach. Następnie ktoś wyciął ze środka klin. Wewnętrzne kąty, widziane z brzegu jeziora, kierowały uwagę ku masywnemu posagowi męczycy. Byłem zbyt daleko, by rozróżnić szczegóły, ale nie miałem wątpliwości, że patrzę na Exara Kuna - choćby dlatego, że jego wybujałe ego nie dopuściłoby, żeby na jego księżycu wzniesiono posąg komu innemu.

Wiedziałem, że go tu znajdę. Poszlaki było zbyt łatwo złożyć do kupy. Dorsk 81 odnotował, że odbył wyprawę w tym kierunku, podczas gdy w sprawozdaniach z badań sporządzonych przez Kypa Durrona nie było na ten temat wzmianki. Skąpe informacje zanotowane przez zwiadowcę Rebeliantów, Unnha, wskazywały, że uznał to miejsce za niepokojące, a sam monument - za pomnik starożytnego lorda. Fakt, że świątynia oparła się późniejszym spustoszeniom, był kolejnym śladem, który pozwalał sądzić, że miejsce to było punktem koncentracji mocy Kuna. A kiedy ustalałem kierunek, z którego energia przepływała do Kuna poprzedniego wieczora, linie kursu przecięły się dokładnie nad tym miejscem.

A gdyby tego było za mało na przekonujący dowód - to jakoś nie miałem ochoty iść w tamtą stronę.

Zmarszczyłem brwi i powiedziałem do siebie:

- Przeżyłeś fakt, że Booster Terrik jest twoim teściem, przeżyjesz i to.

Woda otaczająca wyspę mieniła się pomarańczowo w świetle gazowego giganta, chociaż zachodzące słońce nadal znaczyło jej powierzchnię złotymi promieniami. Ruszyłem do przodu, stając na pierwszym z kamieni, zatopionych zaledwie na kilka centymetrów pod powierzchnią wody. Jeden fałszywy krok i runąłbym w głąb lodowatej toni, szedłem więc bardzo ostrożnie. Patrzyłem, gdzie staję, zanim zrobiłem kolejny krok. Przez chwilę poczułem pomieszany z niechęcią podziw dla Exara Kuna. Zaprojektowawszy ścieżkę prowadzącą do swojego sanktuarium w ten sposób, zmuszał wszystkich, którzy go odwiedzali, by szli z pochylonymi głowami, obserwując własne stopy.

Każdy mój krok marszczył lustro wody, posyłając małe fale, które rozbijały się o przeciwny brzeg -jeden rodzaj aktywności, jaki tu dostrzegłem. Ucieszyło mnie to, bo naprawdę nie miałem ochoty zajmować się w tej chwili uskrzydłonymi straszidłami Kuna. Fakt, że Jacen Solo, niespełna trzyletni, zdołał powstrzymać trzy z nich na dystans, używając miecza świetlnego swojego wuja, nie przekonał mnie, że miałbym duże szansę w starciu z tymi ptaszyskami. Chociaż nie uważałem się za niezdarę, obładowany trzydziestoma kilogramami ładunków wybuchowych, zwisających mi na plecach jak ołowiane skrzydła, nie byłem raczej uosobieniem lekkości.

Dotarłem do brzegu wyspy bez przeszkód i zacząłem wchodzić na stopnie świątyni. W kamieniach wyryto hieroglify Sithów; były równie świeże i ostre jak w czasach, gdy wycinali je Massassi. Sullustiański zwiadowca zinterpretował część napisów jako zaklęcia chroniące świątynię, inne zaś jako klątwy sprowadzające zgubę na tych, którzy ośmieliliby się zbliżyć do tego miejsca. Mnie jednak pismo Massassów, pełne dziwnych zawijasów, samo w sobie wydało się groźniejsze niż wszelakie plagi, jakie mogły sięgnąć na bluźnierców.

Kiedy już wszedłem do wnętrza świątyni, pracowałem szybko, rozmieszczając jeden po drugim ładunku nergonu 14 i uzbrajając je. Starłem się umieścić je w węzłowych miejscach konstrukcji, tak by wybuch spowodował zawalenie całej budowli, ale jej struktura z masywnych kamiennych bloków sprawiała, że nie mogłem być do końca pewien, czy przyniosą zamierzony skutek. Detonatory można było ustawić na określony czas i odpalić ręcznie albo zdalnie za pomocą kodu, który mogłem wysłać z pokładu Lowcy Główny przez moduł łączności. Widywałem już rezultaty eksplozji tego rodzaju ładunków i niespecjalnie chciałem znaleźć się w pobliżu, gdy wybuchną.

Ostatni ładunek niosłem jak ofiarę na ołtarz. Szybko przeszedłem przez otwarte patio i złożyłem paczkę na piedestale, na którym stał posąg Exara Kuna. Starannie ją wcisnąłem głęboko pomiędzy podstawę cokołu a podłogę, żeby eksplozja wyrwała krater dostatecznie duży, by powalić kolosa. Zmierzyłem wzrokiem cokół i spojrzałem z powrotem na jezioro.

Uśmiechnąłem się.

- Turyści z Mon Calamari będą mieli piękny widok na jezioro, gdy już pozbędę się tej budowli.

Wycofałem się na środek małego podwórka i usunąłem zasłonę, która ukrywała moją obecność. Rozciągnąłem moją sferę odpowiedzialności, ale sięgnęła zaledwie dwóch metrów, gdy pojawił się przede mną Kun, a jego cień pochłonął moje odbicie na obsydianowym cokole.

- A zatem przyszedłeś prosić mnie o pomoc. - Moc przeniosła do mnie jego wyniosły ton. - Ostrzegałem cię, że tym razem nie będę dla ciebie tak hojny jak poprzednio.

Roześmiałem się.

- Pamiętam. Nie po to tu jestem.

Kun uniósł głowę, a jego twarz zastygła w wyrazie dzikiej furii.

- Co? Dlaczego więc zakłócasz spokój mojego sanktuarium?

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. - Skubnąłem bródkę i zacząłem się przed nim przechadzać tam i z powrotem. -Sprawdziłem kodeksy praw Nowej Republiki. Własność nieruchomości wygasa znacznie wcześniej niż po czterech tysiącleciach. Wystąpiłem więc o przyznanie mi prawa własności do tego miejsca i teraz należy ono do mnie. Nie przeszkadzałoby mi, że się tu kręcisz, ale twój posąg stoi dokładnie tam, gdzie moja żona planuje postawić centrum rozrywkowe. Rozumiesz mnie chyba, prawda?

- Ty bezczelny robaku! - Kun rozłożył szeroko widmowe ramiona. - Twoja paplania nie uzbroi cię przeciwko moim mocom.

- Myślisz, że zdołasz mnie zranić? - roześmiałem się. - Przyniosłem ci nakaz eksmisji.

- Igrasz z siłami potężniejszymi, niż mógłbyś się spodziewać.

- Oszczędź sobie pogroźki - ziewnąłem. - Przyjrzałem się twoim dokonaniom i poznałem twoje słabości. Ponieważ nie masz ciała, nie masz wpływu na rzeczywistość fizyczną.

Twarc Kuna pociemniała.

- Nie? Potrząsnąłem głową.

- Nie.

- Ach, więc w takim razie nie mogę zrobić tego... - zjawą machnęła widmowa ręka, krzesząc iskry we wszystkich pakietach materiałów wybuchowych, które porozmieszczałem dookoła. Buchnęły błękitne płomienie, które kompletnie spaliły wszystkie detonatory.

Zupełnie jak Holocron, pomyślałem.

Śwąd palonego plastiku drażnił mój nos. Spojrzałem na Kuna.

- A niech to!

Kun pstryknął palcami w moją stronę, powalając mnie na podłogę. Próbowałem stworzyć wokół siebie ochronny bąbel Mocy, ale nie pozwolił mi na to szok, jaki wywołała świadomość, że tak bardzo się myliłem. Walnąłem w obsydianową ścianę i usłyszałem, jak pęka kość w moim prawym przedramieniu. Przyciągnąłem rękę do

piersi, ale Kun przetoczył mnie znów po podłodze, rozbijając mi bok o niski murek. Siła uderzenia zmiażdżyła żebra, dostało się też narządom wewnętrznym.

Kun dobrze się bawił, najprawdopodobniej po raz pierwszy od czterech tysięcy lat. Sama myśl o tym wystarczyła, by przyprowadzić mnie o torsi. Ściany twierdzy odbijały echem śmiech Kuna, gdy ciskał mną dookoła albo turlał tam i z powrotem po kamiennej posadzce. Jego działania robiły wrażenie przypadkowych, zwłaszcza gdy uniósł mnie w powietrze i rzucił o podłogę, łamiąc mi lewą nogę. Mimo bólu zachowałem jasność umysłu. Kun zresztą chciał, żebym był w stanie myśleć. Miałem zginać, ale jeszcze nie teraz; a kiedy to zrozumiałem, żołądek znów gwałtownie zaprotestował.

W końcu, jak dziecko znudzone zabawką, zostawił mnie. Opadłem ciężko na bok i niechętnie wzdrzygnąłem się, gdy okrył mnie jego cień.

- To, że nigdy nie widziałeś, jak wpływam na materię, nie oznacza, że nie mogę tego robić. Nawet jeśli kosztuje mnie to nieco wysiłku, tu, w mojej twierdzy, sprawia mi to przyjemność, jakiej ty nigdy nie doświadczysz.

Wyszczałem przez zaciśnięte zęby:

- Myślę, że postawię szerokoobrazowy holoprojektor dokładnie tam, gdzie stoisz.

- Dziecinne żarty dziecinnego umysłu. - Niedbałym gestem posłał wszystkie ładunki wybuchowe w górę nad świątynię, skąd z pluskiem spadły w czarną wodę jeziora. Patrząc na mnie z góry, Kun zaczął mówić lodowatym głosem:

- Mogłeś zostać wyniesiony do poziomu bogów tą ręką. Teraz ta sama ręka cię zniszczy.

Nie dał mi czasu na kolejną słowną zaczepkę. Wykonał gest i poczułem za sobą czyjąś obecność. Przewróciłem się na drugi bok i zobaczyłem Mirax. Stała tam, a jej oczy płonęły.

- Powinnaś była wiedzieć, tajniaku, że kiedyś mnie opuścisz. Mówiłeś, że pragniesz mnie bardziej niż swojego dziedzictwa Jedi. Oddałam ci całą siebie. Chciałam dać ci dziecko. I tak mi odpłacasz? Zostawiłeś mnie samą, samą i umierającą, podczas gdy ty zabawiasz się sztuczkami z kamieniami i obrazami?

Jej pełen pasji głos przeszył mnie na wylot, zaciśnął żołądek w ciasny węzeł i wepchnął w kręgosłup. Chwyciłem się rękami za brzuch i pochyliłem do przodu.

- Nie, Mirax, nie!

Do jej głosu dołączyło płaczliwe łkanie wszystkich dzieci, które zginęły na Caridzie.

- Słyszysz je, Corran? To twoi synowie, twoje córki. To dzieci, których odmówiłeś światu. Oskarżasz Exara Kuna o to, że jest głupcem, bo niszczy życie, ale o ile większym głupcem jesteś ty sam? Mogłeś dać im życie. Mogłeś je mieć. Ze mną. Gdybyś tego chciał. Gdybyś naprawę mnie kochał.

Przycisnąłem złamane ramię do pogruchotanych żeber, koncentrując cały ból w środkowej części ciała. Wiedziałem, że to nic więcej niż tylko iluzja, którą Kun wyczerpał z mojego umysłu, ale wydawała mi się zbyt realna, bym mógł w nią nie uwierzyć. Kun pokazywał mi Mirax taką, jak sam ją widziałem, dodając do tego wszystko, czego się bałem. Ponieważ atak przyszedł z mojego własnego wnętrza, nie miałem

przeciwko niemu żadnej emocjonalnej tarczy, którą mógłbym się zasłonić. Słyszałem, jak Mirax wypowiada na głos słowa, które napęniają mnie przerażeniem.

Wyciągnąłem do niej rękę.

- Nie, Mirax, nie! Naprawdę cię kocham!

- Jak możesz kochać właśnie ją? - rozległ się z tyłu surowy głos ojca. - Jej ojciec napał łowcę nagród, który mnie zamordował. Mogłeś zapobiec tej zbrodni. Czy o to właśnie chodziło? Uwiodła cię, żeby cię od tego powstrzymać? Byłeś jej niewolnikiem? Grzała się w twoich ramionach po to, bym ja mógł w nich ostygnąć?

Uniosłem się z trudem do pozycji siedzącej, by popatrzeć w oskarżające oczy ojca, ale okazało się to ponad moje siły. Zniknął mężczyzna, którego znałem. Jego ciało zmieniło się w popiół, oczy - w dziury, przez które ziała pustka. Tylko krew tryskająca z ran i rozlewająca się kałuże wokół niego miała jakiś kolor. Słyszałem jej plusk, czułem mdły zapach w nozdrzach i drżałem z przerażenia, że dotknie mnie jej strużka, pozwoli sunąca meandrami w moim kierunku.

- Wiesz, że to nieprawda!

- Wiem tylko, że mnie zawiodłeś. Pozwoliłeś, bym umarł. Mirax dodała głosem dźwięczącym jak dzwon:

- Tak jak dopuściłeś do mojej śmierci. Dołączył do niej głos mojej matki:

- Nigdy się też nie przejął tym, że umarłam.

Śmiech, zimny i niski, odbił się echem od obsydianowych ścian. Spojrzałem w górę i zobaczyłem wizerunek Lujayny Forge, z którą zaprzyjaźniłem się na samym początku mojej służby w Eskadrze Łotrów. Prawą stronę twarzy miała poparzoną wystrzałem z blastera.

- Pozwolił mi umrzeć. Chciał odgrywać bohatera, a ja musiałam za to zapłacić.

- Nie! - wałnąłem zaciśniętą pięścią w kamienną posadzkę, krusząc ją i łamiąc do reszty kości ramienia. Za pomocą bólu spróbowałem odzyskać kontrolę nad własnym umysłem. Ich oskarżenia zapadały we mnie, uwalniając tę część mojej osobowości, która kwestionowała wszystko, co robiłem. Znałem tę część siebie aż za dobrze i szczerze jej nienawidziłem. Kiedy brała górę, mogłem godzinami odtwarzać w swojej głowie rozmowy, żalując, że nie powiedziałem tego, zastanawiając się, dlaczego powiedziałem tamto, mając nadzieję, że zostaną właściwie zrozumiane i obawiając się, że jednak tak się nie stało. Kiedy zaczynałem w sobie wątpić, byłem jak sparaliżowany. Podczas tego samonapędzającego się cyklu rozważałem kolejne wydarzenia i sprawy, aż rozłożyłem na czynniki pierwsze całe moje życie.

Nie skończę, pomyślałem, dopóki nie wpadnę w gniew i nie powiem sobie, że to koniec.

Gwałtowna chęć poddania się gniewowi i odpłacenia Exarowi Kunowi niemal mnie poraziła. Ta zwodnicza możliwość wisiała w powietrzu i czekała, bym z niej skorzystał. Mogłbym użyć gniewu jak miecza świetlnego i pociąć na kawałki te fałszywe duchy. Pokonawszy armię Exara Kuna, dobrałbym się do niego. Mając swój gniew za sprzymierzeńca, pokonałbym go bez trudu. Roztrzaskałbym go tak, jak ładunki wybuchowe roztrzaskałyby jego sanktuarium.

A potem znalazłbym następną cel, który zasługuje na zniszczenie, pomyślałem.

Podniosłem triumfalnie rękę i zacisnąłem ją w pięść.

Ból przeszył mnie znów na wylot, a wraz z nim przyszło otrzeźwienie i zgroza. Walnąłem pięścią w kamienie posadzki i krzyknąłem z bólu, po czym spojrzałem na Kuna z ukosa.

- Nie. Mój gniew nie jest dla ciebie. Mroczny Lord pochylał się nade mną.

- Gniew to najśłodszy nektar. Rozpacz też wystarczy.

Przed moimi oczami wyrósł kolejny fantom, o wyglądzie, dotyku, zapachu i głosie bardziej realnym niż ja sam. Mały chłopiec, szczupły i wysoki, o szarych oczach, niewiele starszy niż Jacen Solo, patrzył na mnie z drzeniem warg. W kącikach jego oczu lśniły łzy. Wyciągnął dłoń o krótkich, pulchnych paluszkach i wziął mnie za moją poranioną rękę.

- Kto cię zranił, tatusiu? - wpatrywał się we mnie niewinnym wzrokiem. - Ja ci pomogę. Mogę to zrobić. Pozwól mi. Proszę... -Jego głos przeszedł w żalosne łkanie, które rozwiało się podobnie jak jego obraz. Czulem, jak jego uścisk, delikatny i lekki jak piórko, dobry i łagodny, ustępuje miejsca bólowi. - Dlaczego nie chcesz, żebym ci pomógł?

Zaczęło mnie dusić w gardle. Poprzez rozwiewający się obraz chłopca zobaczyłem Mirax w prostej białej sukni i jej wzrok pozbawiony już nienawiści. Z miłością gładziła się po zaokrąglonym brzuchu z wyrazem bezbrzeżnej radości na twarzy. Obraz zmienił się nieco, gdy znów pojawił się chłopiec, tym razem nieco starszy, ale nadal dziecko. Położył dłoń na wystającym brzuchu swojej matki.

Wtedy obie postaci rozpadły się w milion ostrych odłamków, które wbiły się w moje ciało.

- No tak... - usłyszałem głos mojego ojca. - Każde dziecko z takiego związku byłoby takim samym rozczarowaniem jak ty.

Ta prosta uwaga wybuchła we mnie jak bomba. Zawsze starałem się zasłużyć na aprobatę ojca. Chciałem, by akceptował mnie za to, kim jestem i jaki jestem. Nigdy nie skąpił mi pochwał, ale kiedy umarł, pozostawił mnie samego, bym bez końca domyślał się, co by powiedział o takiej czy innej mojej decyzji. Nawet to, że postanowiłem zostać Jedi, podyktowane było chęcią zaskarżenia sobie jego aprobaty i dorównania mu.

A teraz w jego głosie czulem, że zawiodłem. Całe moje życie, życie wszystkich dzieci, które wraz z Mirax powołalibyśmy do życia - wszystko to nie miało żadnej wartości w jego oczach. Jedna z kotwic mojego życia pękła, rozplywając się w niepewności, odcinając mnie od brzegu, bym dryfował bez szansy na odkupienie.

Byłem zgubiony.

Straciłem nadzieję.

Poniosłem ostateczną porażkę.

Nie mogłem znieść już nic więcej.

- Tylko na tyle cię stać? - Głos był tak ostry, że przecięłby transpastał. Przywrócił mnie do życia, chociaż wiedziałem, że wypowiedź nie była skierowana do mnie. Zamglonym przez łzy wzrokiem spojrzałem w górę i zobaczyłem Marę Jade wchodzącą do świątyni.

- Płaczące dzieci i duchy szepczące kłamstwa z za grobu? Lord Sithów, którego ja znałam, wstydziliby się takich sztuczek.

- Co takiego? - ryknął Exar Kun, jakby chciał ją powalić samym natężeniem i intensywnością głosu. - Kto się ośmielił?

- Raczej komu się chciało. - Wskazała palcem na mnie. - Nad Hornem pracowali najlepsi, jakich miało Imperium, ale nigdy go nie złamali. Ysanna Isard przerobiłaby cię na zapis cyfrowy, przeanalizowała i wykasowała bez zastanowienia, a nie była nawet wrażliwa na Moc. Darth Vader uznałby cię za zabawnego dziwaka, a Imperator... no cóż - oczy Mary patrzyły bezlitośnie. - Imperatorowi udało się zniszczyć Jedi, więc dla niego byłbyś uosobieniem porażki!

- Tak, tyle tylko, że twój uwielbiany Imperator nie żyje. Odzyskałem głos.

- To jest was już dwóch. - Podniosłem się, balansując niezgrabnie na zdrowej nodze. - Coś jeszcze was łączy: on też nie wiedział, że przegrał. To koniec.

Kun spojrzał na mnie znowu i poczułem, jak jego świadomość wbija się w mój mózg. Wycofał się jednak szybko, jakby ukaszony myślą, na którą tam natrafił. Roześmiał się głośno.

- Pułapka? Ty i twoi kompani chcecie wciągnąć w pułapkę mnie?

Postać Kuna urosła dwukrotnie. Uśmiechnął się do nas okrutnie.

- Myślicie, że wasze nędzne plany mogą mi zaszkodzić? Myślałeś, że przychodząc tu, zdołasz mnie pokonać? - spojrzał w kierunku Wielkiej Świątyni, a potem jeszcze raz na nas. - Odważna próba, ale twoi przyjaciele popełnili grubą błąd. Obrona, jaką mogą zapewnić Skywalkerowi, może być tylko tak mocna, jak najsłabsza z osób, które go bronią, a znów pozostawili go bezbronego.

Mara spojrzała na mnie poważnie zaniepokojona.

- O czym on mówi?

- Luke jest ranny. - Skrzywiłem się, czując ból w brzuchu. - Streen go pilnuje.

Exar Kun roześmiał się ponownie.

- Tak, Streen. Mój Streen. - Obraz Mrocznego Lorda zaczął się kurczyć i wsiąkać z powrotem w obsydianowe ściany świątyni. - Skończę z nim, a potem wrócę, by zająć się wami. Drzyjcie ze strachu. Zginajcie karki w oczekiwaniu na mój powrót.

Zniknął, a ja spróbowałem się wyprostować. Udało mi się zrobić jeden chwiejny krok, zanim opadłem na kolano. Tak mi się przynajmniej wydawało, ale musiałem chyba upaść szybciej i niżej, bo po chwili ocknąłem się i zobaczyłem kłęczącą nade mną Marę.

- Horn, obudź się. O co chodzi z tym Streenem? Udało mi się słabo uśmiechnąć.

- Przynęta. Kun idzie prosto w pułapkę. Dużą pułapkę. Rozważała moje słowa.

- Jest jakaś szansa, że się z niej wydostanie?

- Nie powinien. To naprawdę jego koniec. - Zakaszlałem i znów poczułem ból w piersi. - Musisz mi pomóc się stąd wydostać, bo chyba sam nie dam rady.

- Nie ma sprawy. - Pochyliła się, pomogła mi podźwignąć się na nogi i zarzuciła na plecy chywytem ratowniczym. - Zawsze chętnie pomogę przyjacielowi.

Słońce już zaszło, zanim dotarliśmy do mojego Łowcy Główn i drugiego, który przywiózł Marę ponownie na Yavin 4. Zataszczyła mnie na brzeg i złożyła na ziemię bez słowa skargi na temat tego, jaki jestem ciężki. Pobiegła do statku i przyniosła apteczkę.

- Przepraszam, że cię tam tak wytarmosiłam.

- Nie ma sprawy. Lepsze to niż pływanie. - Odchrząknąłem. - Zresztą Jedi nie zna bólu.

- Musisz to mówić bardziej przekonującym tonem. - Mara potrząsnęła głową. - Masz ramię złamane z przemieszczeniem. Powinnam ci je nastawić... chyba że wolisz zrobić to sam.

Popatrzyłem na nią.

- Nastawić własne ramię? Musiałbym być idiotą!

- Niektórzy by powiedzieli, że trzeba być idiotą, żeby się w pojedynkę wyprawić na Mrocznego Lorda Sithów.

- Do tego to trzeba być ciężkim idiotą. - Wyciągnąłem rękę w jej stronę. - Zrób, co trzeba. To właśnie robiłem tu w pojedynkę.

Mara kucnęła i chwyciła mnie za nadgarstek i łokieć.

- Nieźle się nad tobą napracowałam. Kończówka, którą miałam okazję zobaczyć, nie wyglądała zbyt przyjemnie.

W umyśle wypłynęła mi wizja twarzy chłopczyka.

- Wystarczy, jeśli nigdy nie będę musiał przechodzić przez to jeszcze raz. - Spojrzałem na nią. - Dzięki, że się w to wmixowałaś. Gdybyś się wtedy nie pojawiła...

- Miałbyś po prostu złamane obie ręce, a nie jedną. - Wzruszyła ramionami, sięgnęła do Mocy i pociągnęła za nadgarstek, umieszczając kości na miejscu, zanim zdołałem się zorientować, co się dzieje. — Gotowe.

Przewróciłem się na plecy, starając się nie krzyczeć.

- A niech to pomiot Sithów pochłonie! Nigdy więcej nie zajmuj się medycyną.

- Nie ma za co, Horn. - Mara założyła za ucho złotorudy kosmyk. - Mam pewne wiadomości o Mirax. To dlatego wróciłam. Szczegóły masz na datakarcie, którą możesz sobie przeglądać, jak będziesz dochodził do zdrowia. W każdym razie kiedy weszłam w atmosferę, wyczułam, że walczysz z Kunem. Moc aż się gotowała.

- I mimo wszystko przyleciałaś?

- Jestem ci coś winna. Teraz jesteśmy kwita. Położyłem głowę na ziemi i spróbowałem się roześmiać.

- Jeśli tak spłacasz swoje długie, mogę się dla ciebie podkładać pod strzały zdalników choćby co dzień.

- Ale nie dziś. - Wzięła mnie za lewą rękę. - Uruchomię obwód podporządkowania twojego statku i zabiorę cię do świątyni.

- Właśnie, zobaczymy, co z Lukiem. Mara milczała chwilę, a potem stwierdziła:

- Wszystko dobrze. Pozostali wiedzą, że jesteś ranny. Uniosłem się na łokciu i przy pomocy Mary wstałem na nogi.

- Więc udało im się?

- Tak. Koniec z Exarem Kunem. - Mara uśmiechnęła się swobodnie. - Wygląda na to, że akademia Jedi pozbyła się Mrocznego Lorda i wypuściła ze swoich szeregów pierwszych rycerzy Jedi.

ROZDZIAŁ

26

Atak Exara Kuna narobił mi więcej szkód, niż myślałem. Miałem złamaną lewą nogę i prawe ramię, podobnie jak prawą dłoń. Pogruchołałem sobie z pół tuzina żeber, miałem też obrażenia wewnętrzne - potłuczoną wątrobę i nerki. Morfologia krwi była tak fatalna, że robot medyczny 2-1B, który mnie badał, osądził, iż musiałem się chyba katapultować z rozbitego myśliwca bez spadochronu.

Prawda zaś była taka, że chciałbym czuć się aż tak dobrze.

Po powrocie natychmiast zanurzono mnie w zbiorniku bacta, który Tycho wyeksponował razem z zespołem medycznym dla Luke'a niecałe półtora tygodnia wcześniej. Bywałem już wsadzany do zbiornika bacta tyle razy, że nie warto nawet wspominać, ale po raz pierwszy w sytuacji zagrożenia życia. Większość tych zbiorników to pionowe tuby, ten jednak był poziomy. Musiałem leżeć zupełnie nieruchomo, bo nie było w nim miejsca, żeby się poruszyć, a moja kuracja była rozbita na sześć etapów, bo płyn bacta trzeba co jakiś czas spuszczać, filtrować i wymieniać.

Luke odwiedził mnie kilkakrotnie. Kiedy nie mokłem w płynie bacta, przeglądałem datakartę Mary, ale dopiero pod koniec, bo na początku byłem naprawdę do niczego. Kiedy zacząłem przychodzić do siebie, na Yavin przywieziono z powrotem Kypa Durona. Han Solo pochwycił go i sprowadził do akademii, żeby Luke mógł osądzić jego zbrodnie. Byłem w zbiorniku, kiedy odbył się sąd i zanim stamtąd wyszedłem, Luke, Kyp i Cilghal odlecieli z Yavin, żeby ostatecznie zniszczyć Pogromcę Słońc i uleczyć Mon Mothmę z tajemniczej choroby. Tionna robiła co mogła, by mi uprzyjemnić czas; relacjonowała szczegóły z życia akademii, bo nie wyzdrowiałem jeszcze na tyle, by w nim uczestniczyć.

Fizyczne rany zadane mi przez Kuna wykurowałem w miarę szybko. Gdybym znał i umiał stosować techniki uzdrawiające Jedi, mogłoby to nastąpić jeszcze szybciej, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Lanie, które zebrał mój umysł, wstrząsnęło mną znacznie mocniej. Wiedziałem, że Kun tylko wydobyl na światło dzienne moje własne obawy i pokazał mi je w całej ich haniebnej glorii, musiałem więc sam poradzić sobie z faktem, że to moje własne strachy i tylko ja mogę je pokonać.

Po powrocie Luke'a z wyprawy, podczas której Kyp zniszczył Pogromcę Słońc, kiedy już Kyp wyleczył się z odniesionych wówczas ran, poprosiłem Luke'a o rozmowę

na osobności. Spotkaliśmy się w skromnym pokoju, w którym mieszkał. Wyglądał na nieco zmęczonego, ale widać było, że wróciła mu chęć do życia.

- O co chodzi, Keiran?

Oparłem się o futrynę prawym ramieniem, by odciążyć lewą nogę.

- Nie mogę tu dłużej zostać.

Luke przyglądał mi się przez chwilę z pryczy, na której przysiadł.

- Nie, ty też...

Nie byłem pewien, co miała oznaczać ta uwaga. Podejrzywałem, że mogło to mieć coś wspólnego z Marą Jade i jej szybkim odlotem, po tym jak przywiozła mnie z powrotem do Wielkiej Świątyni. Tionna powiedziała mi, że Mara przyglądała się Luke'owi, gdy spał, ale odleciała bez pożegnania. Luke widocznie zakładał, że wróciła na Yavin, kiedy usłyszała, że zachorował, a odkrycie, że nie było tak, chyba go nie ucieszyło.

- Nie mogę tu zostać, bo pewne rzeczy tutaj po prostu nie działają. - Spojrzałem w dół i dodałem cicho: - Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

- Oczywiście, że nie wszystko jest idealne, ale to nie powód, żeby wyjeżdżać. - Luke zmarszczył brwi. - Możemy wprowadzić pewne korekty. Poprawić to, co nie wychodzi.

Potrząsnąłem głową.

- Nie sądzę, by ci się to udało.

- Daj mi przykład.

Wszedłem do pokoju i zorientowałem się, że zaciskam ręce w pięści.

- Chodzi o wiele rzeczy. Po prostu o sposób, w jaki prowadzisz tę akademię. Gdyby nie robactwo, potwory i Mroczny Lord Sithów, pomyślałbym, że to ośrodek wypoczynkowy. Większym wyzwaniem było dla mnie nauczenie się, jak jeść twi'lekińskie potrawy!

Luke'owi opadła szczęka.

- Jak możesz mówić coś takiego? Stuknąłem się pięścią w pierś.

- Byłem kiedyś w innej akademii, pamiętasz? I wiem, że tamto doświadczenie radykalnie zmieniło moje życie. Obóz szkoleniowy rozkłada cię na czynniki pierwsze i z nich buduje nową osobę - taką, jaka jest potrzebna organizacji.

Twarz mistrza Jedi pociemniała.

- Nie zamierzam tu produkować klonów.

- Nie o to chodzi. Akademie nie produkują klonów. Nie niszczą osobowości osób, które do nich wstępują, ale po prostu upewniają się, że będą one potrafiły poradzić sobie z wyzwaniami, jakie staną się ich udziałem w nowym środowisku. - Rozłożyłem ręce. - Chociaż udało nam się pokonać Exara Kuna, mogliśmy to zrobić skuteczniej i efektywniej, gdybyśmy już wcześniej tworzyli zespół.

Luke zamknął na chwilę oczy, a potem przytaknął.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Na pewno jest tu duże pole do zmian. Mogę się przyjrzeć akademii KorSeku i sprawdzić, czy moglibyśmy wykorzystać ich rozwiązania. Mógłbyś mi w tym pomóc.

- Możesz o to poprosić instruktorów musztry z Sił Zbrojnych Nowej Republiki. - Zawahałem się przez chwilę i wbiłem wzrok w podłogę. - Chodzi jednak o to, że nie mogę zostać w akademii, kiedy jest tu Kyp.

- On się zmienił, Keiran, i to bardzo.

- W to nie wątpię. Zamordowanie miliardów ludzi na pewno człowieka zmienia. - Zmrużyłem oczy i spojrzałem w górę. - Wiem, że Nowa Republika oddała go pod twój sąd i że przeszedł rodzaj próby...

- Tak. Zabrałem go do świątyni Exara Kuna...

- Co?! - Tym razem mnie opadła szczeka. - Zabrałeś go z powrotem do warowni Sithów?

Luke przytaknął spokojnie. - W tym przybytku zła starł się z Ciemną Stroną i pokonał swoją przeszłość.

- I to wszystko?

- Nie, odpokutował za swoje winy, pomagając nam zniszczyć Pogromcę Słońc. - Twarz Luke'a przybrała ostry wyraz. - O mało przy tym nie zginął.

Odsunąłem krzesło od biurka Luke'a i opadłem na nie ciężko.

- To na pewno nim wstrząsnęło, ale mnie nie jest łatwo pogodzić się z tym, że ktoś, kto zniszczył całe systemy słoneczne, zostaje rycerzem Jedi i jest stawiany za wzór obywatelom Nowej Republiki.

Luke zeszywniał.

- Więc nie wierzysz w możliwość odkupienia? Nie wierzysz, że ludzie mogą się czegoś nauczyć i powstrzymać od czynienia zła?

- Ależ oczywiście. Wierzyłem w to w przypadku wielu przestępców, których przytkrzyłem, będąc w KorSeku, ale to nie oznacza, że należy ich wypuścić z Kessel, zanim odsiedzą tam swoje wyroki.

- Siłą Jedi jest współczucie.

- A co ze współczuciem dla przyjaciół i krewnych ofiar Kypa? Jak oni się czują, widząc go wolnym i wyniesionym na piedestał?

Mistrz Jedi przyjrzał mi się uważnie.

- Na moich rękach też jest krew milionów. Załoga Gwiazdy Śmierci. Ludzie uśmierceni, kiedy służyłem odrodzonemu Imperatorowi.

Pochyliłem się, opierając łokcie na kolanach.

- Gwiazda Śmierci była obiektem militarnym i tu wchodzi w grę zwyczajna samoobrona. To przypadek jasny jak słońce. A kiedy służyłeś klonowi Imperatora... tak, ludzie ginęli, ale sabotowałeś wtedy wysiłki Imperium, ratując życie wielu innym ludziom, którzy bez tego by zginęli. Kiedy każdy wybór jest zły, wybranie mniejszego zła jest cnotą.

Przerwałem na chwilę.

- Kara za zbrodnie ma wielorakie działanie. Dowodzi, że trzeba ponieść konsekwencje naruszenia kontraktu społecznego, który wiąże nas wszystkich. Odstrasza od popełnienia przestępstwa innych, którzy rozważają taką możliwość. A przede wszystkim - i to jest najważniejsze - wymierzenie sprawiedliwej kary ustanawia i podtrzymuje

moralny autorytet grupy. W momencie, gdy próbujemy odtworzyć zakon rycerzy Jedi, to niezmiernie ważna sprawa.

Luke potrząsnął głową.

- Ja jednak myślę, że równie ważne jest, by pokazać, że zło można wybaczyć i wynagrodzić. Myślę też, że powinieneś pamiętać o tym, iż Kyp był pod kontrolą Exara Kuna, kiedy popełniał te zbrodnie.

Potrząsnąłem głową.

- Nie wierzę w to. Działał może pod jego wpływem, ale nie pod kontrolą.

- Jak możesz tak twierdzić?

- To proste. - Popatrzyłem mu prosto w oczy. - Gdyby Kyp był pod kontrolą Exara Kuna, już byś nie żył.

- Jak to?

- Mistrzu, zastanów się. Kun posługuje się Kypem, by wygonić cię z ciała, po czym spędza następnych dziesięć dni, próbując znaleźć kogoś innego, kto by cię zabił? Szuka pomocy jakichś straszyci i biednego, starego Streena, by cię załatwić, podczas gdy wystarczyło, żeby Kyp przypiął cię do dziobu Pogromcy Słońc i wyleciał ponad atmosferę. Albo, żeby było prościej, a więcej zamieszania, wystarczyłoby, że Kyp zaparkuje Pogromcę na twoim nieświadomym niczego ciele. Dlaczego nic takiego się nie stało? Bo Kyp nie chciał cię zabić. Nie dla niego byłeś wrogiem, tylko dla Exara Kuna. Kyp nie zaatakowałby cię, chyba że próbowałbyś mu przeszkodzić w odzyskaniu Pogromcy Słońc i niszczeniu Imperium.

- Nie, to niemożliwe. - Luke wstał i zaczął chodzić po pokoju wzdłuż łóżka, a po chwili spojrzał na mnie. - Myślę, że z powodu twojej pracy dla KorSeku stałeś się zbyt podejrzliwy. Za wiele o tym myślisz.

- Naprawdę? - uniosłem głowę i poczułem, jak wzbiera we mnie gniew. - A ja sądzę czasami, że ty myślisz za mało, mistrzu.

To go powstrzymało.

- Co ty powiesz? - Jego błękitne oczy przybrały odcień równie lodowaty jak głos. - Może mnie oświecisz?

Odchyliłem się do tyłu.

- Wcale nie chcesz, bym to zrobił. Luke kiwnął głową i rozłożył ręce.

- Ależ proszę bardzo.

- Jesteś mistrzem Jedi. Wiesz, co robisz lepiej ode mnie. Twarz Luke'a przybrała twardy wyraz. - Powiedz mi, co ty o tym myślisz. Co twoim zdaniem robię nie tak.

- Dobrze. - Zebrałem się na odwagę. Spróbowałem wyglądać beznamiętnie i mówić spokojnie. - I Obi-Wan Kenobi, i Yoda wiedzieli, że twoim ojcem był Anakin Skywalker, który potem stał się Darthem Vaderem. Ty i twoja siostra zostaliście rozdzieleni po urodzeniu i ukryci przed nim dla waszego bezpieczeństwa, prawda?

Luke przytaknął.

- W takim razie jak to się stało, że dorastałeś na Tatooine? Czy nie była to rodzinna planeta Obi-Wana Kenobi? Żył tam pod własnym nazwiskiem. Czy oni sądzili, że ludzie Vadera przeoczą taki zbieg okoliczności? Czy nie próbowałeś dostać się do

Akademii Imperialnej na Caridzie? Czy ludzie Vadera nie wyłapałoby twojego nazwiska na liście kandydatów?

Luke nie patrzył na mnie.

- Więc sugerujesz, że użyli mnie jako przynęty, by złapać w pułapkę Vadera, tak aby Obi-Wan mógł się z nim zmierzyć?

- Nie wiem, ale z pewnego punktu widzenia to mogło tak być, prawda? A może ktoś był tak dobroduszny, że pozwolił ci żyć pod nazwiskiem Skywalker, żebyś miał silniejszą motywację, by to nazwisko-oczyścić? Może pozwolili ci mieszkać na Tatooine, żeby obecność Obi-Wana na tej planecie - na której przecież kiedyś mieszkał - można było logicznie wyjaśnić, w przypadku gdyby jego próby pozostania w ukryciu zawiodły. - Obserwowałem go uważnie. - Myślę, że twoje wychowanie ukierunkowało cię w nie mniejszym stopniu, niż moje szkolenie ukierunkowało mnie.

- To znaczy?

- Widzisz wszystko w kategoriach absolutnych, czarno-białych. Myślę, że niezależnie od tego, jakie były ich pierwotne zamierzenia, Obi-Wan i Yoda postanowili zrobić z ciebie broń przeciwko Vaderowi i Imperatorowi. Dlaczego nie powiedzieli ci, że Vader jest twoim ojcem? Przecież musieli wiedzieć, że jako sierota marzysz o tym, by wiedzieć, czym jesteś synem. Nie pozwolili ci na to, żeby cię przeciw niemu uzbroić. A kiedy Vader ci powiedział, kim jest, pokrzyżował ich plany, ale nie docenił twojej siły. Potraktował jego wyznanie jako ukryte wołanie o pomoc, jako błaganie o ratunek. Z tego, co mówiłeś, twoi nauczyciele wąpili w taką możliwość, tak samo jak Imperator. Okazało się jednak, że to ty masz rację i odniosłeś sukces. Sukces, który obróciłeś w potwierdzenie słuszności wszystkiego, czego cię uczono, mimo iż ostateczny skutek temu przeczył. Luke popatrzył na mnie.

- A ty nie uważasz, że jest tylko światło i ciemność? Jeśli wyjedziesz stąd w takim przekonaniu, staniesz się bezbronny na ataki Ciemnej Strony, której w końcu ulegniesz.

Powoli potrząsnąłem głową.

- Nie mam się czego obawiać od Ciemnej Strony. Głos Luke'a stał się zimny.

- W takim razie już jesteś stracony. Nie wiesz nic o sile Ciemnej Strony, o jej przyciąganiu. Nie wiesz nic o jej pokusach.

Na to stwierdzenie zerwałem się tak gwałtownie, że przewróciłem krzesło i wycełowałem palec w jego pierś.

- Nie mistrzu, to ty nie wiesz nic o tym, co przeszedłem w życiu. Stawałem oko w oko z Ciemną Stroną częściej, niż przypuszczasz. Ty stoisz tu i widzisz dobro i zło w wielkiej skali, w skali kosmosu, ale ja byłem na samym dole, tam gdzie światło spotyka się z ciemnością. Dokładnie znam tę granicę i chociaż wychylałem się przez nią, nigdy jej nie przekroczyłem. Nawet o milimetr.

Starłem się powstrzymać gniew, ale okazało się to bardzo trudne.

- Zdarzało mi się, że byłem wzywany do domu, gdzie kobieta leżała w kałuży krwi i wymiocin. Jej nos był krwawą miazgą, a oczy jednym wielkim sińcem i opuchlizną. Na gardle miała odciski dłoni i palców, a na całym ciele siniaki. Obok stało dwoje zapłakanych dzieci, dokładnie w wieku twojego siostrzeńca i siostrzenicy. A na kanapie w sąsiednim pokoju leżał pan domu, zaćpany przyprawą do nieprzytomności, z pię-

ściami nadal we krwi, która za-plamiła też jego ubranie. Chrapał tak, że zagłuszał płacz swojej żony. Widziałem to i każdą komórką ciała chciałem sprawić tej bestii najgorsze przebudzenie w jego życiu. Chciałem sprać go tak mocno, żeby wyglądał jak zabawka wypluta przez rancora, ale nie zrobiłem tego. Powstrzymałem się. Kiedy indziej wszedłem do magazynów i zaarrestowałem przyprawowego lorda w jego biurze. Otworzył skrzynkę, w której było ponad milion kredytów. Milion! Więcej pieniędzy, niż zobaczę w całym moim życiu. „Są twoje, powiedział, wystarczy, że je weźmiesz i wyjdiesz stąd. Nikt się nigdy nie dowie”. Ale ja wiedziałbym, że to zrobiłem, więc nie wziąłem tych pieniędzy. Luke zaczął coś mówić, ale przerwałem mu gestem.

- Mój ojciec zmarł w moich ramionach, a ja patrzyłem, jak wycieka z niego życie. Nie zdążyłem się z nim pożegnać. Nie miałem szansy powiedzieć mu, że go kocham. Mogłem tylko trzymać go, widzieć jego agonię i mieć nadzieję, że mi odpowie, że po wie cokolwiek, co przekona mnie, że go nie zawiodłem... ale nie usłyszałem od niego nic. Odnalazłem łowcę nagród, który zabił mi ojca i aresztowałem go. Nie było osoby w KorSeku, która pisnęłaby słówko protestu, gdybym go zastrzelił na miejscu za stawianie oporu. Mogłem wprowadzić Bosska do głównej siedziby KorSeku, stanąć w holu i odstrzelić mu głowę na oczach setek świadków, z których każdy potwierdziłby, że więzień uciekał i stanowił zagrożenie dla innych. Mogłem go zabić, mogłem pomóc ojca, ale nie zrobiłem tego. A kiedy nasz imperialny oficer łącznikowy wypuścił Bosska na wolność, zostawiłem ich obu w spokoju.

Uderzyłem się w piersi jeszcze raz.

- Może myślisz, że to czyni mnie głupim i słabym... nie wiem. Może rezygnując z zemsty, nie mogę być takim Jedi, jakiego byś chciał we mnie widzieć. Może nie powinienem być mnie pewien, skoro nie przeszedłem na Ciemną Stronę i nie odwróciłem się od niej. Nie wiem, ale nie mów mi, że nie znam Ciemnej Strony, że nie znam jej pokus. Byłem tam i wyszedłem z tego cało.

Luke popatrzył na mnie, śmiertelnie blady, po czym odwrócił głowę.

- Nie uważam, żebyś był słaby albo głupi. Myślę, że będziesz wspaniałym rycerzem Jedi. - Zawahał się na moment, ale po chwili ciągnął dalej: - Martwi mnie jednak, że uważasz mnie za niekompetentnego idiotę. Nie podoba ci się sposób, w jaki prowadzę akademię, moje decyzje co do innych studentów i mój pogląd na to, jak działa wszechświat.

Powoli potrząsnąłem głową.

- Nie, po prostu myślę, że w moim przypadku to się nie sprawdza. Parę uwag: po pierwsze szkolono cię na rycerza, nie na nauczyciela. Rozumiem to i szanuję cię za wszystko, co przeszedłeś i czego się nauczyłeś. Ja nigdy nie byłbym w stanie dokonać tego, co osiągnąłeś. - Zmiękczyłem nieco głos, gdy zorientowałem się, że kopię leżącego. Chociaż nie wszystko w akademii mi się podobało, Luke nie zasługiwał na to, by go mieszać z błotem.

- Wszystkie twoje dokonania nie gwarantują jednak, że będziesz idealnym nauczycielem, zwłaszcza za pierwszym razem.

Z drugiej strony jednak trzeba przyznać, że w przypadku większości studentów radzisz sobie doskonale. Nawet wliczając mnie, Gantorisa, Mare, Cilghal i Kypa, z twojej

pierwszej klasy odpadło tylko troje z piętnastu uczniów. To zaledwie dwadzieścia procent, zresztą nie sądzę, żeby Marę należało zaliczyć do porażek. Albo mnie. A jeśli chodzi o to, co powiedziałem, to tylko jedna z opinii. Jak mawialiśmy w KorSekui, jeśli jeden facet nazwie cię Hurtem, zignoruj go. Jeśli drugi zaczyna nazywać cię Huttem, zacznij się zastanawiać. Ale kiedy zrobi to trzeci, kup sobie spluwaczkę i zacznij gromadzić przyprawę.

Mistrz Jedi uśmiechnął się lekko.

- Naprawdę chcesz wyjechać?

- Muszę. - Zamknąłem oczy, ale zaraz je otworzyłem. -I ty, i Tionna, i nawet Holocon... wszyscy mówiliście mi, że tradycja Jedi z Korelii różni się od innych. Jako Jedi zazwyczaj trzymamy się w pobliżu naszego rodzinnego systemu. Zaprosiłeś mnie tu, bym objął część tego dziedzictwa, ale nie będę do końca w zgodzie z naszą tradycją, jeśli nie wyjadę stąd i nie dowiem się o sobie czegoś więcej.

Luke pokiwał głową.

- Nadal jednak martwię się o ciebie i twój rozwój. Są pewne rzeczy, pewne wyzwania, którym w przyszłości będziesz musiał stawić czoło...

- Wiem. Ale nie stawię im czoła, dopóki się nie pojawią przede mną.

Westchnął.

- No cóż, masz jeszcze trochę czasu na zastanowienie. Zanim sprowadzę tu statek, który cię zabierze, trochę to potrwa.

- Wezmę Łowcę Głów Mary. Luke zmarszczył czoło.

- Myślałem, że ma zepsuty motywator hipernapędu.

- To prawda.

Zanim wdąłem się w wyjaśnienia, do pokoju wtoczył się Artoo, piszcząc przeraźliwie. Luke kucnął obok robota.

- Co się stało, Artoo? O co chodzi?

Projektor holograficzny robota rozjarzył się. Pomiędzy nami zobaczyłem zawieszony w powietrzu obraz imperialnego gwiazdnego niszczyciela, krążącego na orbicie nad akademią.

Mistrz Jedi jęknął. - A to co znowu? Poklepałem go po ramieniu.

- Nie przejmowałbym się tym za bardzo, mistrzu.

- Nad nami wisi imperialny gwiazdny niszczyciel, a ty mi mówisz, żebym się nie przejmował?

- Nie - powiedziałem, uśmiechając się zadziornie. - To tylko mój transport.

ROZDZIAŁ

27

Z daleka „Błędna Wyprawa” rzeczywiście wyglądała jak imperialny niszczyciel gwiazdny. Jego sztyletowatego kształtu czy wysokiego mostka nie sposób było pomylić z niczym innym. Naga biel kadłuba i rozmiary statku wystarczały, by przywołać wspomnienia czasów, gdy Imperium z jego potrzebą dyscypliny wysyłało takie statki, by ukarać planety sprzyjające Rebeliantom. Był to widok wart obejrzenia, choć z drugiej strony powodował, że człowiek miał ochotę znaleźć się na drugim krańcu galaktyki. Gdybym nie wiedział, czym naprawdę jest „Błędna Wyprawa”, tak właśnie bym zrobił.

Przeleciałem Łowcą Głów wokół statku w jego środkowej części. Jego normalne uzbrojenie usunięto, pozostawiając dwa promienie ściągające, dziesięć dział jonowych i dziesięć ciężkich baterii turbolaserów. Taka siła ognia wystarczała, by statek mógł się skutecznie bronić, chociaż gdy przelatywałem obok niego, zauważyłem, że dwie z baterii laserowych nie śledzą mojego lotu tak gładko jak powinny, a co najmniej jedna zacięła się w pół drogi. Przelatując nad statkiem przechyliłem Łowcę Głów na bok i zmniejszyłem ciąg. Włączyłem moduł łączności.

- Tu Łowca Głów 079. Proszę o pozwolenie na wejście na pokład i lądowanie.

- 079, tu kontrola „Błędnej Wyprawy”. Podaj cel i charakter swojej wizyty.

Przewróciłem oczami. - Powiedz Boosterowi Terrikowi, że jeżeli mi nie pozwoli zaparkować tego myśliwca na swoim statku, wysiądą mu więcej niż trzy baterie turbolaserów.

W kanale łączności zapanowała cisza, a po chwili głos kontrolera, nieco znużony, odezwał się znowu:

- 079, masz pozwolenie na lądowanie w doku 1127. Upewnij się, że twoja broń jest nieaktywna.

- Co takiego?

- To właśnie miałem ci przekazać, 079.

- Potwierdzam.

Podprowadziłem Łowcę Głów do wylotu doku i przełączyłem napęd na repulsory. Zmniejszyłem ciąg do dziesięciu procent mocy i powoli wprowadziłem statek do zatoki

cumowniczej. Dok 1127 był w tylnej części hangaru, co zmuszało mnie do przejścia całego lądowiska, zanim dotrę do biura Boostera.

Gdyby wiedział, że mam złamaną nogę, pomyślałem, kazałby mi zaparkować przy śmietnikach, żebym musiał iść jeszcze dalej.

Kiedy sadzałem statek na wyznaczonym miejscu, jedyną dziwną rzeczą, jaką zauważyłem, był brak jakichkolwiek maszyn zaparkowanych obok. Ludzie szybko usuwali się na boki, ale w tym nie było akurat nic dziwnego - nikt nie chce się znaleźć w zasięgu dysz wylotowych silników statku kosmicznego. Skoncentrowałem się na tym, by wylądować możliwie miękko - żeby nie dać Boosterowi powodu do czepiania się mnie, że zadrapałem jego cenny pokład — i to mi się udało. Szybko zakończyłem procedury wygaszania silników i zabezpieczyłem je hasłem, które trzeba było podać przed ponownym włączeniem silników. Hasło nie powstrzymałoby wprawdzie potencjalnego złodzieja, ale mogło wydłużyć czas, jakiego potrzebował.

Uśmiechnąłem się i na ekranie kontroli zapłonu wpisałem wiadomość: „Ten statek jest własnością Mary Jade”. Każdy, kto byłby na tyle głupi, żeby go teraz ukraść, pomyślałem, zasługuje na to, co go spotka.

Pchnąłem pokrywę kokpitu i wtedy właśnie zauważyłem, że coś jest nie w porządku. Ochroniarze Boostera nosili mundury podobne do imperialnych, z wyjątkiem kolorystyki: przód marynarki mieli jasnozielony, rękawy jaskrawożółte, równie jaskrawe żółte spodnie i zielone czapki z żółtymi guzikami. Efekt był niepokojący, zwłaszcza gdy tylu ich tłoczyło się wokół statku.

Blastery - daleko mniej kolorowe niż mundury - mieli wszyscy wycelowane w moją stronę. Ich dowódca, przedstawiciel rasy Weequay, o twarzy jak niszcząca się ceramika, dał mi ręką znak, bym wyszedł ze statku. Kiedy wstałem i zobaczyli mój miecz świetlny, połowa strażników przykucnęła, podczas gdy reszta rozpięchła się, by pochować za odpowiednie osłony. Popatrzyłem po ich twarzach i potrząsnąłem głową.

- Nie zamierzam sprawiać problemów.

Po raz pierwszy naprawdę żałowałem mojego całkowitego braku talentów w zakresie lewitacji Jedi, bo wydostanie się z myśliwca, którego kokpit tkwi dobre trzy metry nad ziemią, z rękami uniesionymi do góry nie było łatwe. Normalnie zeskoczyłbym po prostu, ale nie mogłem jeszcze polegać w stu procentach na mojej lewej nodze, a nie chciałem łązić po „Błędnej Wyprawie” utykając. W końcu usiadłem na krawędzi kabiny i zsunąłem się w kierunku ziemi, starając się przenieść ciężar ciała na prawą nogę.

Weequay szturchnął mnie w plecy pałką, co niewątpliwie mogło zabość mnie znacznie bardziej, gdyby wcisnął czerwony guzik na jej końcu.

- Szef Booster chce cię zobaczyć.

- Świetnie, ja też chcę się z nim zobaczyć.

- Oddaj miecz świetlny.

Odróciłem się powoli na piętach i stanąłem przed nim twarzą w twarz.

- Nic z tego, próżniomózdźdu.

Dźgnął mnie znowu pałką, tym razem włączając czerwony guzik. Poczulem mrowienie elektryczności, ale zaabsorbowałem ją bez trudu, uśmiechając się.

- Zasilanie siadło. Naprawdę. Nic nie czuję.

Weequay znów włączył pałkę, ale ja nadal się tylko uśmiechałem. Wpuściłem zaabsorbowaną energię w pokład, zamieniając sierść przechodzącego obok Bothanina w najeżoną szczotkę, ale żaden ze strażników nie zwrócił na to uwagi. Weequay popatrzył na włącznik ogłuszania jak na zdrajcę, po czym przytrzymał pałkę drugą ręką i jeszcze raz włączył przycisk.

Złapałem pałkę w powietrzu, zanim spadła na ziemię, patrząc w przestrzeń nad ciałem ogłuszonego strażnika. Wyłączyłem przycisk ogłuszania i wręczyłem pałkę drugiemu ze strażników.

- Od razu widać, że jest zepsuta. A teraz proszę, żebyście mnie zaprowadzili do Boostera...

Odróciłem się, żeby udać się do jego biura, i zobaczyłem, że moja zwierzyna sama do mnie idzie. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że twarz Boostera była równie czerwona jak jego sztuczne oko. Chwycił w garść mój zielony kombinezon lotniczy, podniósł mnie do góry i rzucił o ściany poszycia.

- Gdzie jest moja córka?

Jego szczeciniaste, krótko obcięte siwe włosy i broda, którą zapuścił, sprawiały, że był do mnie bardziej podobny niżbym sobie tego życzył.

- Co zrobiłeś z Mirax?

Jęknąłem, nie tyle z powodu uderzenia, co zimnej furii w jego głosie.

- Pozwól, że ci to wyjaśnię. Jeszcze raz rzucił mną o ścianę.

- Myślisz, że masz aż taki dar przekonywania, szpiclu? Booster puścił mnie, a ja upadłem na podłogę. Spojrzał na strażników i kiwnął głową.

- Fyg i Kruqr, zabierzcie go do mojego biura. W tej chwili!

Drugi Weequay i kościsty mężczyzna złapali mnie pod ramiona, postawili na nogi i powlekli do pokoju kontroli, którego Booster używał jako biura, jeśli miał jakiś interes w hangarze. Dziwnie się czułem, prowadzony w taki sam sposób, w jaki ja kiedyś eskortowałem aresztantów. Wiedziałem, że nawet nie używając technik Jedi byłbym w stanie wyrwać się im i unieszkodliwić obu. Niewłaściwość takiego traktowania rozłożyła mnie tak, że niemal byłem gotów to zrobić.

Nie zrobiłem, bo uświadomiłem sobie, że nie ma po co. Mogłem się czuć zawstydzony i sponiewierany, ale co z tego? Czy moja duma była warta tego, żeby zrobić komuś krzywdę? Nie. Prowadzili mnie tam, gdzie i tak chciałem trafić. A to, co sobie o mnie pomyśleli, było bez znaczenia.

Uśmiechnąłem się. Coś jednak ze szkolenia Jedi we mnie zostało, pomyślałem.

Zamiast się wyrwać, zacząłem więc rozglądać się po otoczeniu. W hangarze było mnóstwo miejsca na postój dla statków i długą drogę hamowania. W starych wyrzutniach myśliwców TIE nadal tkwiło parę maszyn, ale większość z nich była niesprawna. Inne, mniejsze statki wyposażono w nietypowe kołnierze, dzięki którym pasowały do imperialnych wyrzutni. Booster mógł w ten sposób pomieścić w ładowni znacznie więcej statków.

Większość z przycumowanych statków stanowiły frachtowce, choć tylko kilka dorównywało rozmiarami „Gwiezdnemu Piruetowi” czy „Sokołowi Millenium”. Tak duże statki przeważnie nie mogłyby sobie pozwolić na opłacenie doków na pokładzie „Błęd-

nej Wyprawy". Te, które się tu znajdowały, należały do przemysłowców handlujących rzadkimi, egzotycznymi albo bardzo drogimi towarami, albo do bogatych próżniaków, którzy uważali wycieczkę na pokładzie „Błędnej Wyprawy” za rodzaj podniecającej rozrywki. Większość statków przywożących towary na pokład „Błędnej Wyprawy” na handel albo do przeladunku po prostu wylądowywała je w jednej z ładowni i zostawiała na pokładzie kogoś z załogi do sfinalizowania transakcji.

Ludzie Boostera doprowadzili mnie do jego biura, wepchnęli do środka i zasunęli za sobą drzwi. Pokój był okropnie zagracony - popękane duraplastowe pudła, z których sączyły się struzki czerwonej, lepkiej cieczy, stosy kart danych, opartych niebezpiecznie jedna o drugą, krzesła zarzucone znoszonymi łachami, a w kącie niesprawny robot protokolarny, obwieszony tuzinem pasów do blasterów, bynajmniej nie pustych. Najwięcej miejsca zajmowało biurko Boostera, które w porównaniu z resztą pokoju wyglądało w miarę porządnie. Datakarty, przenośne notesy komputerowe, druty i różne dziwaczne końcówki zaścilały blat pojedynczą warstwą, z wyjątkiem środka, który zajmował mały sześcian projektora, wyświetlający hologramy Mirax.

Przełożyłem rzeczy z krzesła stojącego przed biurkiem na podłogę i usiadłem, obserwując zmieniające się co chwila obrazy. Chociaż Booster zaprzeczyłby, że jest zdolny do jakichkolwiek sentymentów, projektor nie przestawał pokazywać obrazów jego córki, uporządkowanych chronologicznie i tematycznie. Zmieniały się co mniej więcej dziesięć sekund. Mogły układać się w ciąg tematyczny - na przykład Mirax pracująca przy „Piruecie”, przechodzić w cykl chronologiczny, puszczany do przodu lub do tyłu, by znów uchwycić jakiś temat. Tkały pajęczynę jej życia - pajęczynę, w którą chętnie dałem się złapać.

Obserwując hologramy uświadomiłem sobie, że drętwa, jaką odczuwałem, od kiedy Mirax zniknęła, w końcu ustąpiła. Chwilowa „ślepotą emocjonalną”, zdiagnozowana tak przez Luke'a, cofnęła się. Może zauważyłbym to wcześniej, ale na Yavin 4 niewiele rzeczy przypominało mi Mirax. Mogło być też tak, że ta obojętność miała mi umożliwić rozpoczęcie szkolenia, bo donikąd bym nie doszedł, gdybym nie mógł się skupić. Teraz jednak, kiedy patrzyłem na jej wizerunek, ciężar jej zniknięcia zwał się na moją głowę. Poczułem jej obecność tamtej nocy w grocie, pokazał mija też Exar Kun, ale wiedziałem, że nie mogę ufać temu, co widzę dzięki jego sztuczkom. Fakt, że poczułem ją, kiedy Luke zabrał nas na wycieczkę po wszechświecie, podniósł mnie na duchu, ale dopiero teraz poznałem w pełni, jak bardzo samotny się czuję.

I jak ona musi się czuć. Była gdzieś tam, czekała, żebym ją odnalazł, żebym jej pomógł, a ja nie zrobiłem nic. Westchnąłem. Może Booster powinien był sprawić mi mocniejsze baty, pomyślałem.

Drzwi biura rozsunęły się i wmaszerował przez nie Booster. Spojrzał na mnie twardo i usiadł za biurkiem. Ogień płonął w jego zdrowym, brązowym oku równie mocno, jak w drugim, elektronicznym. Przyglądał mi się tak, a wreszcie pokijał powoli głową, przyciskając obie dłonie płasko do stołu.

Pomiędzy nami, jak niemy sędzia, tańczyły jeden za drugim obrazy Mirax.

- Tylko z jej powodu od razu nie skręciłem ci karku, tajnia-ku- mówił cicho, z trudem kontrolując głos. - Od jak dawna jej nie ma?

Przelknąłem ślinę.

- Od dziesięciu tygodni.

- Od dziesięciu tygodni! - Walnął pięścią w stół, aż podskoczył holoprojektor, a datakarty zdrząły jak przy trzęsieniu ziemi. Opanował się i wolno otworzył zaciśniętą pięść. - Dziesięć tygodni, a ty nie raczyłeś mi o tym powiedzieć.

Nakazałem sobie spokój, próbując opanować przyspieszone bicie serca. W ustach miałem sucho i czułem niesmak, jakbym polizał sierść bantha.

- Po pierwsze, wiedziałem wtedy i wiem teraz, że twoja córka żyje. Po rozmowach z różnymi osobami uzgodniono, że nie należy rozgłaszać wiadomości o jej zniknięciu.

Booster uniósł siwą brew.

- „Uzgodniono”? Kto uzgodnił? Co za tchórz uznał, że nie mam prawa wiedzieć, że moja dziewczynka zniknęła?

Uniosłem głowę.

- Ja podjąłem tę decyzję, Booster.

- Ty, tajniaku, tak? Ty? - Booster odchylił się do tyłu. - A przypadkiem nie twój generał Cracken? Nie twój Luke Skywalker? Nie Wedge? Ty ją podjąłeś?

Przytaknąłem.

- Wziąłem pod uwagę ich zdanie. Rozważyłem ich scenariusze rozwoju wypadków i sugestie, co zrobić w tej sytuacji, ale to ja podjąłem ostateczną decyzję.

- Więc ty ponosisz za to całą odpowiedzialność? - Jakaś nuta w jego głosie sugerowała, że zastawia na mnie pułapkę. - Bierzesz na siebie pełną odpowiedzialność za to, co się stanie z Mirax?

- Tak.

Booster zawahał się, a potem uśmiechnął zimno.

- Chyba się przekonasz, że nie dbasz o skutki twoich działań.

Coś w jego wypowiedzi mnie uderzyło. Udało mu się doprowadzić do tego, że przyjąłem na siebie całą winę, co oznaczało, że mógł mi teraz do woli jeździć po głowie, dając upust swojemu gniewowi i frustracji, on tymczasem nic takiego nie robił. Rozpoznał we mnie cel i miał wszelkie prawo uderzyć, ale powstrzymał się. Dlaczego?

Po chwili odpowiedź spłynęła na mnie i zrozumiałem. Pochyliłem się.

- Akceptuję skutki moich działań, a chcesz wiedzieć dlaczego? Bo Mirax jest moją żoną. Przysięga, którą oboje złożyliśmy, sprawiła, że odpowiadam za jej życie, szczęście i bezpieczeństwo i zrobiłem wszystko co w mojej mocy, by okazać się godnym tego obowiązku. Nic nie sprawiłoby mi większej radości, niż natychmiast lecieć i szukać jej, tylko że nie ma dokąd. Generał Cracken i jego ludzie nie mogli nic zrobić w tej sprawie, tak samo jak ja. Wiedziałem tylko, że twoja córka żyje, a dopóki żyje, jestem w stanie podjąć odpowiednie kroki, by ją uratować.

Wyzwanie w moich słowach sprawiło, że wzrok Boostera stwardniał.

- Możesz sobie o niej myśleć jako o swojej żonie, ale nie zapominaj, że to moje dziecko, moja krew, co sprawia, że jestem za nią odpowiedzialny nie mniej niż ty, szpiclu. Więc nie próbuj okraść mnie z tej części mojego życia, tak jak twój ojciec okradł mnie z pięciu lat. Jeśli to zrobisz, pożałujesz.

- Być może, ale nie w taki sposób, jak myślisz. - Zmrużyłem oczy. - A jeśli chodzi o twoją odpowiedzialność za Mirax, to właśnie sobie coś przypomniałem. W ciągu tych dziesięciu tygodni nawet nie próbowałeś przesłać mi wiadomości z pytaniem, co się dzieje z Mirax. Nawet nie spróbowałeś skontaktować się z Wedge'em.

Wstałem i pochyliłem się nad biurkiem. - Cała troska i niepokój, jaki okazywałeś, to podczas mojej drogi od statku do tego biura. A to może świadczyć tylko o jednym, Booster - ty wiedziałeś! Wiedziałeś przez cały czas, że Mirax pracuje dla Crackena nad wytropieniem Gnębów, prawda? Najprawdopodobniej działała właśnie z tego miejsca, traktując „Błędną Wyprawę” jako bazę operacyjną.

Booster roześmiał się.

- Widzę, że krew Hornów w twoich żyłach nie rozwodniła się. Bardzo dobrze.

Niedbałość, z jaką przyznał mi rację, wydała mi się dziwna. Złapał mnie, rzucił mną o ścianę i wprost oskarżył, że pozostawiłem jego córkę na łasce wrogów. Częścią siebie miałem ochotę sięgnąć przez to biurko i udusić go, inna natomiast podpowiadała mi, bym poddał się gniewowi i wzmocnił go, sięgając do Mocy, by roztrzaskać faceta o ścianę.

Żadna z tych części nie wygrała bitwy o kontrolę nade mną.

- To co, pobiełeś mnie tylko dla zabawy? Booster z powagą potrząsnął głową.

- Kiedy uświadomiłem sobie, że Mirax zniknęła, a ty odjechałeś zabawić się sztuczkami Jedi, byłem tak wściekły, że miałem ochotę przylecieć na Yavin i stłuc cię tak, żeby wydusić z ciebie ostatni oddech. Nadal mam na to ochotę, ale mam dla twojego ojca dość szacunku, by wierzyć, że nie opuściłbyś Mirax. A urządzając ci dzisiaj takie powitanie, dałem ci szansę zwaleni winy na innych. Nie zrobiłeś tego. Nie mogę nie podziwiać mężczyzny, który przyjmuje na siebie odpowiedzialność za swoje czyny nawet wtedy, gdy to może zboleć.

Wyprostowałem się, krzyżując ramiona na piersi.

- A czemu w ogóle miała służyć ta próba?

- Nie wiedziałem, do jakiego stopnia pobyt tam na dole cię zmienił. Chciałem się upewnić, że nadal potrafisz zrobić to, co będzie potrzebne, by uwolnić Mirax.

- Co?

- Nie pamiętasz koreliańskich rycerzy Jedi, ale ja pamiętam. Trochę. Nie byłem pewien, czy takiego Jedi nadal obchodziłaby moja córka.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

- Nic, czego uczymy się w akademii, nie sprawia, że stajemy się mniej ludzcy.

- Powiedz to ludziom z Caridy.

Echa ich agonii odezwały się we mnie.

- Punkt dla ciebie. Booster pokiwał głową.

- Skąd wiedziałeś, że cię sprawdzam?

- Nastawienie, i to co w tobie wyczułem. Satysfakcja. Zadowolenie z siebie. -

Wzruszyłem ramionami. - Wspomniałeś generała Crackena, a nie mogłeś wiedzieć, po co miałbym z nim rozmawiać o zniknięciu Mirax, gdybyś nie miał pewności, że dla niego pracowała. A skoro ja sam tego nie wiedziałem, skoro nie zwierzyła się z tego

Wedge'owi, założyłem, że zwierzyła się tobie. Wyobrażam sobie, jak natarłeś uszu Crackenowi, kiedy się dowiedziałeś, że przepadła.

Booster uśmiechnął się jak wampa, który poczuł tauntauna.

- Powiedziałem mu, że zanim się wyprawę szukać Mirax, uzbroję to monstrum po zęby.

W pełni uzbrojona „Błędną Wyprawą” była jednym z powracających koszmarów sennych Crackena, zwłaszcza z Boosterem na mostku.

- Wyciągnąłeś z niego coś pożytecznego?

- Niewiele - warknął Booster. - Wiem, że galaktyka jest spora, ale przecież nie mogła przepaść tak zupełnie bez śladu.

- Nie przepadła bez śladu.

- Co masz na myśli?

- Kobieta o imieniu Mara Jade...

- Konfederatka Karrde'a? Przytaknąłem i usiadłem.

- Ta sama. Mówiła, że zwrócił się do niej pewien handlarz rzadkimi towarami w sprawie przedmiotu, który trzymał dla Mirax. Mirax miała opcję na jego zakup i miała go odebrać na parę dni przed swoim zniknięciem. Wygląda mi to na transakcję, którą zawarła, żeby uwiarygodnić swoją przykrywkę podczas poszukiwań Gnębów.

Booster uśmiechnął się.

- Jest wśród Gnębów parę załóg, które wyruszają zawsze z Nal Hutta... a przynajmniej było. Wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

- Bo obecność Mirax jasno świadczyła o tym, że Nowa Republika przeszukuje ten obszar.

Terrick poskubał brodę.

- Równie dobry punkt wyjścia jak każdy inny. Wyruszamy za godzinę. - Nie.

Booster zmarszczył brwi.

- Nie? Mamy pierwszy trop, który się pojawił, a ty nie chcesz za nim iść?

- Chcę za nim iść, owszem, jak również za znacznie ważniejszym śladem. - Zakryłem usta dłonią, dotykając wąsów palcem wskazującym. - Mirax pojawia się w Nal Hutta, zostaje porwana, a załogi Gnębów rozpraszają się. To w sposób oczywisty potwierdza, że jej zniknięcie jest sprawką Gnębów. Zdaje się również sugerować, że została porwana, żeby powstrzymać mnie przed zrobieniem czegoś pochopnego.

- Jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię. Stanowczym gestem pokręciłem głową.

- Booster, nie znajdziemy Mirax, dopóki nie znajdziemy „Gnębiciela”, a nie sądzę, żebyś miał więcej szczęścia niż Nowa Republika. Tavira ma przy sobie kogoś, kto potrafi używać Mocy. Będą wiedzieli, że się zbliżasz i odleca, albo, co gorsza, rozniosą „Wyprawę” na strzępy swoim uzbrojonym po zęby imperialnym niszczycielem.

Booster uderzył się pięścią w pierś.

- To moja córka, szpiclu, i nie mogę siedzieć beczynnienie!

- Wiem. Jest też moją żoną, i ja też nie mogę siedzieć beczynnienie. Muszę działać, ale dopiero wtedy, gdy będę gotów. - Pochyliłem się do przodu. - Pójdźmy na kompromis, Booster. Jeśli tego nie zrobisz, ona zginie i żaden z nas nie będzie szczęśliwy do końca życia. W twoim przypadku nie potrwa to długo, bo ja cię zabiję.

ROZDZIAŁ

28

Ze swojego punktu widzenia - członka Straży Ochrony Korelii - nigdy nie potrafiłem właściwie ocenić, jak sprawnie działał Booster Terrik. Dzielące nas animozje sprawiały, że nie dostrzegałem jego profesjonalizmu. Teraz, zelektryzowany świadomością, że pomaga odnaleźć i uratować córkę, Booster działał na najwyższych obrotach, co przyniosło prawdziwie oszałamiające efekty.

Zdobycie fałszywych dokumentów zajęło mu znacznie mniej czasu, niż mógłbym przypuszczać. Ludzie Boostera sięgnęli po prostu do bazy danych pełnej przygotowanych wcześniej zestawów danych osobowych i do jednego z nich doczepili moje zdjęcie. Wykorzystując stare, jeszcze imperialne maszyny drukarskie niszczyciela, natychmiast dostarczyli mi trzy zestawy dokumentów. Jeden pozwalał mi dostać się na Korelię, drugi umożliwiał nieskrepowane poruszanie się po powierzchni planety, trzeci miał pomóc mi się stamtąd wydostać.

Uśmiechnąłem się. Dokumenty, które Rebelianci dostarczyli członkom Eskadry Lotrów przed naszym desantem na Coruscant, nie były nawet w połowie tak dobre.

Potem Booster wysłał mnie na środkowy z trzech „luksusowych” pokładów swojego statku. Każdy z nich był urządzony stosownie do upodobań klientów, którą na ten pokład wpuszczano. Najniższy z nich wyglądał tak, że gniazda szkodników w rodzaju Mos Eisley robiły przy nim wrażenie luksusowych. Pasażerami Czarnego Pokładu byli głównie bezrobotni załoganci, biedacy szukający taniego przejazdu, przestępcy, drobne złodziejzki, oszuści, kanciarze. Nie jestem do końca pewien, po co w ogóle Booster wpuszczał ich na pokład, ale z drugiej strony nawet oni mogli mieć informacje, które dałoby się sprzedać komuś innemu.

Pokład Niebieski, na którym mnie umieścił, wyglądał tylko trochę szacowniej niż Aleja Łowców Skarbów w Koronet City. Widywało się na nim różne dziwaczne postacie - przyszłych Boba Fettów, przyszłych Hanów Solo, a nawet kilka - choć niewiele - przyszłych księżniczek Leii. W większości podróżowali na nim kupcy, handlarze i poszukiwacze przygód, którym podróż na pokładzie budzącego groźbę gwiezdneho niszczyciela dostarczała dreszczyku emocji. A Pasaż Handlowy - bazar, gdzie transakcji dokonywało się tylko za gotówkę - zapewniał, że każdy znajdzie tu coś dla siebie.

Najważniejszym miejscem na tym poziomie był centralny westybul. Łączył się ze znajdującym się powyżej Pokładem Brylantowym; ta monumentalna konstrukcja przecinała wszystkie trzy pokłady w samym sercu statku. W tej przestronnej studni codziennie wyświetlano olśniewające holograficzne widowiska obrazujące thyferańską kampanię. Zauważyłem, że role Boostera i „Błędnej Wyprawy” zostały znacznie rozbudowane, podczas gdy o moim wkładzie w tę batalię zaledwie wspomniano. Ubodło mnie to trochę, ale doszedłem do wniosku, że pokaz ma charakter teatralny, a nie historyczny, więc pewne hiperbole były nieuniknione.

Na Pokładzie Niebieskim odwiedziłem krawca, który zdjął ze mnie miarę, by zopatrzyć w garderobę odpowiednią dla fałszywej tożsamości spreparowanej przez ludzi Boostera. Kazałem mu dwukrotnie zeskanować miarę kołnierzyka. To by było całkiem w stylu Boostera - kazać krawcowi ująć parę centymetrów, tak żebym uduślił się własnym ubraniem. Krawiec - Sullustianin - zagulgotał zrzędliwie, tłumacząc, że nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego. Szycie na miarę było w końcu jego chlebem powszednim.

Sposób, w jaki Booster postanowił mnie przeszmyglować na Korelię, był prawdziwym majstersztykiem. Nigdy wprowadzie nie wpuściłby mnie na Pokład Brylantowy - utrzymywał, że obecność kogoś z KorSeką zakłóciłaby hedonistyczny nastrój jego luksusowych pasażerów - ale znalazł tam dla mnie pomoc. Spróbował przekonać małżeństwo z Korelii, że jedynym sposobem, by poczuć prawdziwy smaczek podniecającego życia przemysłnika, byłoby przeszmarcowanie czegoś na Korelię. Posunął się do stwierdzenia, że chociaż są Korelianami, nie sądzi, by udało im się coś takiego.

Zażądali, by pozwolił im spróbować. Odmówił. Naciskali dalej. Ustąpił, kiedy dali sowitą łapówkę. Podziękowali mu potem za znalezienie zastępstwa dla dwóch członków załogi ich jachtu, którzy wpadli w tarapaty w centrum rozrywki na Czarnym Pokładzie.

Nie miałem pojęcia, co przemycali awanturniczy małżonkowie, ale obserwowanie ich pierwszych kroków w tej roli było dość zabawne. Kiedy przybyliśmy do kosmoportu w Koronet City, postanowili zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu, proponując sowitą łapówkę celnikowi, który ich tam powitał. Zaskoczony celnik zaczął szczegółowo ich przesłuchiwać. Jego koledzy z Urzędu Imigracyjnego, zaintrygowani tym, co się dzieje i niewątpliwie liczący na coś dla siebie, przepuścili załogę nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem i koncentrując się całkowicie na małżonkach.

Zarzucając na ramię dwie torby z odzieżą i ekwipunkiem, wyszedłem z kosmoportu i bez trudu znalazłem w miarę czyste miejsce noclegowe niedaleko Alei Łowców Skarbów. Chociaż przez wiele lat tam pracowałem, nie martwiłem się, że napotkam dawnych kolegów i zostaną odkryty. KorSek zmienił się w ciągu ostatnich lat - właściwie nie nazywał się już nawet Strażą Ochrony Korelii. Diktat przemianował organizację na Służby Ochrony Porządku Publicznego i zmienił tradycyjne szmaragdowo-czarne mundury na ciemniejsze i bardziej w stylu imperialnym. Zadania SOPP-u koncentrowały się teraz bardziej na szpiegowaniu opozycji reżimu i utrzymaniu porządku publicznego niż na łapaniu przestępców.

Przeszłość, którą znałem, umarła, pomyślałem. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz. Aleja Łowców Skarbów też zmieniła się przez sześć lat mojej nieobecności. Zawsze była miejscem zapuszczonym i wątpliwej renomy, ale jasne światła nadawały jej pozory karnawałowej gorączki. Ludzie najrozmaitszej proveniencji mogli tu przyjść i zabawić się sposobem, jaki lubili. Oczywiście były tu zaułki, w które nie zapuszczał się nikt porządny, chyba że przypadkiem, ale lekki posmak niebezpieczeństwa sprawiał, że wypadły w to miejsce bardziej zapadały w pamięć - coś jak podróże „Błądną Wyprawą”.

Zmiany, jakie zaszły w Alei Łowców Skarbów, można by z pozoru uznać za zmiany na lepsze. Główna aleja została oczyszczona. Farba wszędzie pachniała świeżością, a graffiti ścierano, zanim zdążyły wyschnąć. Oświetlenie było mniej jaskrawe, ale budki gustowniej urządzone. Z miejsca wartego obejrzenia stały się oficjalną atrakcją turystyczną, pozbawioną całkowicie autentycznego lokalnego kolorytu.

W bocznych uliczkach, gdzie zmiany nie dotarły, cienie się pogłębiły, a zagrożenie stało się poważniejsze, tak że w końcu niemal każdy, kto oddalił się od bezpiecznej strefy na odległość choćby jednego zaułka, mógł mieć pewność, że już stamtąd nie powróci.

Rząd, oczyściwszy główną aleję, uznał widocznie, że pozbył się wszelkich społecznych elementów, a dzięki Służbie Ochrony Porządku Publicznego skutecznie izolował się od rzeczywistości i jej konsekwencji.

Jedynym pozytywnym skutkiem zmian było to, że bez trudu znalazłem taksówkarza ze śmigaczem. Podałem kierowcy, którym był mieszkaniec Klatooinie, adres mojego dziadka, a ten wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby. Rozparłem się wygodnie na tylnym siedzeniu, ale powstrzymałem się od zaczerpnięcia głębokiego, relaksującego oddechu. Jedi może nie znać bólu, ale smród na tylnym siedzeniu taksówki udusiłby nawet Gamorreanina.

Miałem nadzieję, że moja wyprawa ma sens. Kiedy moczyłem się w zbiorniku bacta, uświadomiłem sobie, że może zbyt pochopnie odczytałem wiadomość od mojego ojca jako zachętę do wstąpienia do akademii Jedi. To, co Luke mówił o Mocy - że pozwala widzieć fragmenty przeszłości, przyszłości i teraźniejszości - kazało mi myśleć, że mój ojciec w jakiś sposób wiedział, że taka akademia powstanie. Było to niczym nie uzasadnione założenie. Poza tym, mój ojciec zawsze się zabezpieczał. A wiedząc, że przyszłość jest płynna, nie mógł być pewien, że akademia w ogóle powstanie. Dlatego też musiałem założyć, że tak zorganizował sprawy, bym mógł w inny sposób dotrzeć do informacji, których będę potrzebował, by objąć moje dziedzictwo.

Uśmiechnąłem się. Nawet jeśli ojciec nie zostawił żadnych przekazów, spotkanie z dziadkiem sprawi mi dużo radości. Kiedy wjechaliśmy w rozłożoną na wzgórzu dzielnicę, w której dorastałem, uświadomiłem sobie, jak bardzo stęskniłem się za Korelią. Byłem zmuszony stąd uciekać, by uniknąć zatargów z Imperium i ciężącego na mnie wyroku śmierci. Od tamtej chwili ukrywałem się albo latałem w straceńczych misjach Eskadry Łotrów. Chociaż wymienialiśmy hologramy z pozdrowieniami, wiadomości od dziadka przychodziły tak poszatkowane przez cenzurę Diktata, że ostawało się w nich niewiele z jego dowcipu i ciepła.

Śmigacz zatrzymał się przed bramą zagrządzającą wjazd na ulicę, na której spędziłem dzieciństwo. Mój ojciec kupił dom naprzeciwko tego samego okrągłego placu, po którego drugiej stronie wznosił się dom dziadka. Wokół placu było jeszcze parę innych domów. Nigdy nie mieliśmy muru wokół tego terenu, i na pewno nie było tam żadnej bramy.

- Jesteś pewien, że to tu?

Klatooinianin przytaknął i poklepał ekran terminalu lokalnego systemu nawigacyjnego. Wyciągnął rękę, sięgnął po komunikator wiszący na bramie i podał mi go do tyłu.

- Halo?

Odpowiedział mi sztywny i oficjalny głos.

- Posiadłość Hornów, słucham? „Posiadłość?”, pomyślałem.

- Chciałbym rozmawiać z Rostkiem Hornem.

- Pan dyrektor Horn prosił, by mu nie przeszkadzać.

Wysunąłem głowę, próbując zajrzeć przez pręty bramy i obejrzeć stojącą w głębi budowlę, ale nie zobaczyłem tam dawnego domu dziadka. Nie widać też było mojego domu rodzinnego. Zamiast tego ujrzałem ogromny, rozciągnięty wszczep budynek bardzo nowoczesnej konstrukcji. Jaśniał na tle otaczającej go zieleni wzgórz, biały i srebrzysty, tam gdzie mleczne arkusze transparentali zastąpiły stare ściany.

- Proszę mu powiedzieć, że to jego... - zawałałem się. Gdybym powiedział „wnuk”, mógłbym narobić sobie kłopotów, bo w układzie słonecznym Korelii nadal obowiązywał na mnie wyrok śmierci. - ...proszę powiedzieć, że to jego stary przyjaciel, Keiran Halcyon.

- Dyrektor Horn nie zna nikogo o tym nazwisku. Pozwoliłem sobie na nutę zdenerwowania w głosie.

- Najwyraźniej w świecie jest pan u niego od niedawna. Dorastałem w sąsiedztwie. Był dla mnie jak dziadek. Proszę mu to powiedzieć.

- Chwileczkę.

Klatooiniański taksówkarz zabawiał mnie nowinkami sportowymi, relacjonując ostatnie wyniki rozgrywek ligowych. Próbował zrobić na mnie wrażenie, opowiadając, że Staive Pedsten, lokalna gwiazda piłki strefowej -, jego nazwisko, nie wiem, czy pan o tym wiedział, łączono kiedyś z nazwiskiem księżniczki Leii, z którą ponoć miał romans" - siedział kiedyś dokładnie w tym samym miejscu gdzie ja teraz. Taksówkarz zapewnił mnie, że sportowiec nie był nawet w połowie tak przystojny jak ja, ale pokazał klasę, dając kierowcy wyjątkowo hojny napiwek.

Uśmiechnąłem się do taksówkarza, ale zanim zdążył zdać mi relację z aktualnych notowań Pedstena, brama się otworzyła. Klatooinianin wcisnął gaz tak gwałtownie, że śmigacz skoczył do przodu, wyrwijając mi z ręki komunikator. Urządzenie stuknęło kierowcę w tył głowy i wyleciało przez okno. Mruczał coś pod nosem niezadowolony, rozcierając guza, ale zdołał dowiedzieć mnie bez dalszych problemów pod drzwiami posiadłości. Zapłaciłem mu, dając wysoki napiwek - w końcu były to pieniądze Boostera i miałem pewność, że nie są fałszywe.

Kiedy wyszedłem ze śmigacza, zauważyłem, że widok z daleka nie oddawał w pełni rozmiarów budynku. Dom mojego dziadka był skromnym, jednopiętrowym budynkiem, całe zaś wolne środki i czas szły na utrzymanie wspaniałych ogrodów na tyłach. Budynek, przed którym teraz stałem, zajmował trzy razy większą powierzchnię i był o całe piętro wyższy niż tamten. W jego architekturze odnajdowałem elementy, które mój dziadek by uwielbiał, ale gdyby miał dość pieniędzy, by zbudować taki dom, zamiast tego zwiększyłby powierzchnię ogrodów.

Podszedłem do wejścia, ale zanim zdążyłem wcisnąć dzwonek, drzwi otworzyły się i stanął w nich niski, chudy mężczyzna o oliwkowej skórze. Miał na sobie czarny uniform ozdobiony rzędami licznych białych guzów, a na rękach białe rękawiczki. Przyglądał mi się podejrzliwie. Obejrzał mnie sobie dokładnie i bez uśmiechu, zanim odsunął się na bok i wpuścił mnie do wielkiej sieni.

Odezwał się tym samym spiętym głosem, który słyszałem przez komunikator:

- Dyrektor Horn czeka na pana z tyłu domu, w ogrodzie. Ruszył z wawym krokiem, stukając głośno obcasami o czarne i różowe granitowe płyty podłogi. Na jej środku wykonano z czarnego granitu i kawałków malachitu piękną mozaikę przedstawiającą stare logo KorSek. Przeskoczyłem nad nim, wypadając z rytmu kroków narzuconego przez mojego przewodnika, który odwrócił się, by sprawdzić, co się stało.

Nie zdziwiłem się, że dziadek był w ogrodzie. Powiedział kiedyś, że jak przejdzie na emeryturę, chce kopać ziemię i wsadzać w nią sadzonki, dopóki jego samego nie zakopią i nie wsadzą w ziemię. Szliśmy długo, aż w końcu dotarliśmy do zacienionej werandy, oferującej mnóstwo miejsca do odpoczynku od południowego słońca. Za nią, na końcu krótkiej zielonej ścieżki prowadzącej do fontanny, otoczonej kolorowymi grządkami, stał mój dziadek.

Wyższy ode mnie - ba, nawet od mojego ojca - Rostek Horn miał szczupłą sylwetkę i coś arystokratycznego w postawie. Mimo wieku zachował gęste i grube, choć teraz już białe włosy. Jego szare oczy nigdy nie odpoczywały, a choć ja widziałem w nich zawsze tylko miłość i ciepło, koledzy, którym zdarzyło się, że zostali wezwani do niego na dywanik, twierdzili, że oczy te potrafią być zimniejsze niż najzimniejsza bryła lodu w galaktyce. Chociaż wydał mi się chudszy niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem, był nie mniej żywotny i po raz pierwszy zobaczyłem w nim drapieżnika, jakim podobno potrafił być.

Jednak coś mnie uderzyło w jego wyglądzie. Stał tam w samo południe, w promieniach słońca, w oficjalnym czarnym garniturze z wysokim, sztywnym kołnierzykiem. Nie był ubrany jak do pracy w ogrodzie, tylko jak do rozmaitych służbowych zajęć, które należały do jego obowiązków za czasów KorSek. Ustawiony do mnie prawym profilem - może żeby zmniejszyć powierzchnię ewentualnego celu? - odwrócił głowę i spojrzał mi w oczy. Szare oczy spowodowały, że przeszły mnie dreszcz.

Minąłem mojego przewodnika, by wejść na ścieżkę, ale mały człowieczek zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na brzuchu.

Spojrzałem na dziadka i zmrużyłem oczy. Wysłałem do jego umysłu obraz siebie jako małego chłopca, który biegnie ku niemu krzycząc, śmiejąc się i podskakując przez zieleń, która odgradzała nas teraz od siebie. Otworzyłem oczy i powiedziałem:

- Wiele czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania, dyrektorze. Być może pan mnie nie pamięta.

Dziadek pozostał nieruchomy jak skała przez krótką chwilę, po czym kiwnął głową:

- Tosruk, znam tego człowieka. Możesz odejść. Tosruk zmrużył oczy.

- Skanery nie wykazały, żeby był uzbrojony, ale nie znamy jego umiejętności.

- Nie mam się czego obawiać ze strony tego Halcyona, nieprawdaż?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, sir. Dziadek uśmiechnął się powoli.

- Widzisz, Tosruk, jestem bezpieczny. Wracaj do swoich obowiązków. Niech kucharz przygotowuje nam lekki lunch... a kiedy mówię lekki, niech będzie lekki, a nie po prostu z mniejszą ilością sosu.

Tosruk pochylił głowę w ukłonie, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Powoli podchodziłem do dziadka, nie ośmielając się podbiec, choć bardziej spontaniczne powitanie odpowiadałoby mi dużo bardziej. Wyciągnąłem rękę, którą uścisnął, a potem objął mnie z całej siły. Chciałem coś powiedzieć, ale gula w gardle nie pozwoliła mi na to, podobnie jak łyzy wypełniające oczy.

Odsunął mnie od siebie na odległość wyciągniętych ramion.

- Na czarne kości Imperatora, nie powinien być tu przyjeżdżać!

- Musiałem. Zbyt długo mnie nie było. - Spojrzałem w kierunku domu. - Wiele się tu zmieniło.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i bardziej złośliwie.

- Tak, wiele się tu zmieniło. - Machnął rękaw kierunku szklarni na drugim końcu ogrodu. - Pozwól ze mną, pokażę ci moje najnowsze osiągnięcia. Wszystkie zdobyły nagrody.

Poszedłem za nim, nic nie mówiąc, dopóki nie weszliśmy do szklarni. Dziadek zdjął marynarkę i powiesił na kołku przy drzwiach. Pstryknął parę przełączników, włączając panele jarzeniowe, wszystkie oprócz jednego. Rzęsiste oświetlenie ukazało rzędy stołów pełnych doniczek z sadzonkami, ustawionych na całą długość szklarni, na której końcu stało urządzenie do manipulacji genetycznych, umożliwiających otrzymywanie kwiatów o określonych kolorach i pokroju.

Uśmiechnął się ostrożnie.

- Tu możemy bezpiecznie porozmawiać. To miejsce jest przeczesywane co tydzień.

- To dobrze - odpowiedziałem. - A co się stało z domem?

- Jak sobie pewnie przypominasz, byłem znany w pewnych kregach z tego, że gromadzę najrozmaitsze dane o lokalnych politykach, imperialnych oficerach łącznikowych i tym podobnych osobnikach. Kiedy przekształcono KorSek w Służbę Ochrony Porządku Publicznego, ktoś uznał, że moje archiwum może się okazać kłopotliwe. Ten ktoś zakładał, że trzymam te dane u siebie. W domu wybuchł tajemniczy pożar, który pochłonął zarówno mój dom, jak i ten, w którym dorastałeś.

Mówił cicho, ale w jego tonie wyczułem, że uznał te pożary za coś zabawnego.

- Odkryli w końcu, że istnieje mnóstwo kopii moich plików, wszędzie, w starych i nowych systemach komputerowych. Nie mieli jednak klucza, żeby je odszyfrować. Pewni ludzie zaczęli nagle znajdować pod drzwiami datakarty z intrygującymi informacjami na temat różnych swoich działań, których woleliby nie rozgłaszać. Razem z datakartą przychodził jeden albo dwa kwiaty, w których łatwo było rozpoznać moje hybrydy. Implikacje były oczywiste, więc w podziękowaniu za moją długoletnią służbę w KorSek, a także po to, by mnie chronić - bo stałem się skarbem narodowym, ze względu na moje talenty w hodowli roślin - rząd wykupił i przyznał mi cały ten obszar. Postawili mi też nowy dom, wyposażając go w wiele interesujących urządzeń do podsłuchu i podglądu. Tosruk i reszta mojej służby co tydzień składają sprawozdania jakiemuś urzędnicy, który nie ma pojęcia, że tak naprawdę są lojalni wobec mnie. Dobrali tych ludzi na podstawie plików zawierających dane osób rzekomo podatnych na manipulacje, które sam im podsunąłem.

Roześmiałem się głośno.

- Myślałem, że po przejściu na emeryturę będziesz chciał zawiesić ten rodzaj działalności.

Pokiwał głową.

- Bardzo bym sobie tego życzył, ale ludzie, którzy mają władzę, nie chcą zostawić mnie w spokoju. Niestety, żaden z nich nie należy do takich, których ja zostawiłbym w spokoju. - Wyciągnął rękę i pogłaskał listki niewielkiej rośliny. - Teraz mogę wysłać moje sadzonki do tej czy innej osoby z notatką sugerującą, że zapoznałem się z ich opinią w określonej sprawie. Jeśli mówią, że się z nimi nie zgadzam, zwykle są skłonni zrewidować swoje poglądy. Jeśli ich popieram, forsują swoje zdanie bardziej zdecydowanie. Bardzo uważnie wybieram te osoby i sprawy, w których się wypowiadam. Staram się ograniczać ekscesy młodych i głupich... albo starych i głupich. W kręgach jajogłowych doradzających naszym liderom roztrząsa się podobno, co oznacza, gdy przysyłam żywą roślinę, a nie cięty bukiet, albo jakie ma znaczenie fakt, że przysyłam kwiat rozkwitający w nocy albo rośliną, która zakwita tylko na jeden dzień, a potem więdnie.

Uśmiechnął się do mnie.

- Ale nie przyjechałeś tu po porady ogrodnicze ani żeby wypytywać mnie o wypaczone umysły małych polityków. - Oczywiście cieszę się, że cię widzę. Z przyjemnością wysłucham wszystkiego o twoim życiu i opowiem ci o moim.

Uśmiechnął się zachęcająco.

- Imię, które wybrałeś, żeby mnie powitać i to, czym się zajmujesz, wiele mówią o tym, po co tu jesteś. Chcesz wiedzieć, co zostawił dla ciebie twój ojciec, prawda?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Dziadek spojrział na mnie ze zdziwieniem i roześmiał się.

- Jeśli nie mam nic przeciwko? Drogi chłopcze, ostatnie pół wieku poświęciłem na ochronę twojego dziedzictwa dla ciebie i twojego ojca. Byłbym rozczarowany, gdyby ten dzień nie nadszedł.

Uśmiechnąłem się.

- Przysłałbyś mi kwiaty, by powiedzieć, jaki jesteś rozczarowany?

- Przysłałbym ci wiele, wiele kwiatów. - Rozłożył ręce, jakby chciał objąć nimi szklarnię i ogrody. - Te kwiaty, Corran, są dziedzictwem Hornów. Czy można znaleźć lepsze miejsce na przechowanie mądrości Jedi niż w żyjących organizmach?

ROZDZIAŁ

29

Spojrzałem na niego pytająco, bo nie bardzo rozumiałem, co ma na myśli. Był stary i mógł popadać w demencję, chociaż do tej pory nic o tym nie świadczyło.

- Twoja uwaga minęła mnie o parę parseków. Roześmiał się z zadowoleniem.

- Nie martw się, Corran. Musiałem wymyślić system gromadzenia informacji, który umknąłby uwagi nawet najlepszych śledczych. Chodź ze mną.

Przeszedłem z nim na tyły szklarni, gdzie stały komputery i procesory do manipulacji genetycznych.

- Pewnie nie pamiętasz tego ze szkoły, ale kod genetyczny wielu form życia składa się z czterech nukleotydów ułożonych w pary. Stanowią one projekt genetyczny, według którego powstajemy.

Przytaknąłem.

- Wiem. Imperium majstrowało przy genach, by wyprodukować wirus Krytos.

- Tak, odwalili kawał paskudnej roboty. - Dziadek wstukał coś w komputer, a dołączony do niego holonotes wyświetlił obraz podwójnej helisy krążącej w powietrzu. Wyglądała jak dwie skręcone drabiny krążące wokół siebie.

- Większość ludzi nie uświadamia sobie, że geny, chociaż są bardzo małe, zawierają ogromną liczbę tych podstawowych par nukleotydów. Nie wiedzą również, że informację zakodowaną w każdym genie charakteryzuje znaczna redundancja, w związku z czym geny są często wypełnione kodami, które nie mają sensu lub zostały wyrzucone na margines w toku ewolucji. Te nie układające się w sensowne sekwencje fragmenty kodu są zasadniczo pasywne i bezużyteczne. Ja natomiast wyprodukowałem z par podstawowych sekwencje zamiennie, które można wstawić w miejsce nieaktywnych fragmentów kodu. W tych zastępczych ciągach jedna z par reprezentuje zero, a druga - jedynekę. Patrzyłem na niego z otwartymi ustami.

- Zapisałeś te dane w postaci cyfrowej i wmontowałeś w materiał genetyczny roślin, które duplikują kod przy każdym podziale komórki!

- Właśnie. Chociaż przypadkowe mutacje mogą uszkodzić fragmenty danych, zawsze jest dość materiału porównawczego, by wypełnić puste miejsca. - Uśmiechnął się szeroko. - Pamiętam przynajmniej jednego z łowców Jedi, który przyleciał tu, żeby

kupić rośliny do swojego ogrodu w stolicy Imperium. Dałem mu ile chciał - wszystkie z mojej linii Jedi.

Zmrużyłem oczy.

- A te kwiaty, które posyłasz politykom... zawierają klucz do szyfru pozwalający odkodować pliki na ich temat, tak?

- Przecież muszę się jakoś rozerwać, prawda? - Podwinął rękawy. - Spędziłem dość czasu z Nejaa, by wiedzieć, że nic nie zdarza się przypadkiem. Wiedziałem, że jeśli umieszczę informacje o Jedi w tych roślinach i zapewnię, że się rozprzestrzenia, prędzej czy później ktoś te dane odcyfruje. Kiedy zaczynałem, nie sądziłem, by to odkrycie nastąpiło za mojego życia, ale chciałem, by było w ogóle możliwe.

Uśmiechnąłem się.

- Chciałbym, żebyś opowiedział mi o Nejaa.

- Zrobię to. - Popatrzył na mnie i potrząsnął głową. - Twój wygląd... nie poznałem cię w pierwszej chwili. Twój ojciec miał takie powiedzenie, które usłyszał od swojego ojca. Pamiętasz? „Jeśli nie poznasz swojego odbicia w lustrze, czas zrobić krok do tyłu i zastanowić się, kiedy przestałeś być sobą”.

- Pamiętam.

- Skoro więc już tu jesteś, musisz mi powiedzieć, kim się stałeś. — Wskazał palcem na dom. - Po pierwsze jednak musimy coś zjeść. Potem pomożesz mi przekopać trochę kompostu.

- Kolejna skrytka?

Uśmiechnął się.

- Na pewno nie będziesz rozczarowany.

Rozmawialiśmy głównie o jego kwiatach i zmianach, jakie zaszły w sąsiedztwie. Ponieważ służba stale wchodziła i wychodziła, mówiliśmy o Corranie Hornie w trzeciej osobie, jakby był dawnym towarzyszem zabaw Keirana Halcyona. Powinienem być chyba uznać ten wybieg za prymitywny, ale wszedłem w rolę Halcyona tak samo łatwo, jak w każdą inną, kiedy działałem pod przybranym nazwiskiem. Odgrywaliśmy tę grę z dużą przyjemnością.

Dziadek wysłał Tosruka do hotelu po moje rzeczy, podczas gdy my udaliśmy się uzbrojeni w łopaty do kompostownika. Dziadek zaprowadził mnie do kupy łajna banthów, którego używał do użyźniania ziemi. Odkąd pamiętam, zamawiał gnój z Ogrodów Zoologicznych i Botanicznych Koronet City w zamian za swoje najnowsze krzyżówki.

- Kop głęboko, przerzucając tę pryzmę o jakieś trzy metry. - Opierał się o łopatę. Ubrany w spodnie z ochraniaczami i długie do kolan gumiaki, uśmiechał się do mnie. - A jeśli chcesz ją przesunąć w inny sposób, nie mam nic przeciwko temu.

Potrząsnąłem głową.

- Mogę sprawić, że będziesz myślał, iż ją przesunąłem.

- Halcyonowie zawsze byli znani z braku talentu do telekinezy - roześmiał się. - Jedyną grą, w którą mogłem bez obawy grać z Nejaa, były kości.

- Mam nadzieję, że uda mi się któregoś dnia poruszyć kostki siłą Mocy.

Dziadek uśmiechnął się.

- Halcyonowie mają swoje mocne strony. Nejaa był bardzo dobry w projekcji obrazów w cudzym umyśle, o której wspominałeś. Umiał też absorbować energię. Mówiono mi, że to rzadka umiejętność wśród Jedi.

Przytaknąłem.

- Ja też to słyszałem. No cóż, bez telekinezy muszę chyba po prostu zakasać rękawy i przerzucić tę kupę za pomocą zwykłej łopaty.

Podczas gdy ja kopałem, dziadek opowiadał mi historie o Nejaa Halcyonie. - Pracowaliśmy razem kawał czasu, a przynajmniej tak to zapamiętałem, dopóki nie wezwano go, by walczył w Wojnach Klonów. Byliśmy partnerami chyba z dziesięć lat, o ile dobrze pamiętam. Miałem o jakies siedem lat więcej niż ty teraz, kiedy wyjechał. Nejaa był trochę starszy ode mnie i swojej żony - kiedy dorastałem, ja i Scerra mieszkaliśmy w tej samej okolicy, więc znałem ją dość dobrze, zanim jeszcze się spotkali. Twój ojciec miał zaledwie dziesięć lat, kiedy Nejaa wyjechał, ale długo pracował z nim, rozwijając swoje umiejętności.

Otarłem z czoła pot.

- Nejaa zginął w Wojnach Klonów, prawda?

- Właściwie to tuż po ich zakończeniu, ale zanim wrócił do domu. Żartowaliśmy sobie przed wyjazdem z takiego powiedzenia, że kiedy koreliański Jedi opuszcza system, robi to na własne ryzyko. - Oczy dziadka zamgłiły się. - Nejaa obiecał mnie i swojej żonie, że Wojny Klonów go nie zabiją. Miał rację, ale i tak nie minął go los koreliańskiego Jedi, który opuszcza rodzinny system. Przyjaciel Nejaa z rasy Caamasi, Ylenic It'kla, przywiózł nam jego rzeczy osobiste. Przepraszał, że nie przywozi też jego ciała, ale doczesne szczątki mistrzów Jedi znikają. Nie miał też jego miecza. Powiedział, że Muzeum Galaktyczne prosiło o ten miecz do swojej kolekcji Jedi. - Uśmiechnął się lekko. - Przypuszczam, że nadal tam jest.

Potrząsnąłem głową.

- Nie. Bardzo mi się przydał przy paru okazjach. Uratował mi życie.

Klasnął w dłonie.

- Mnie też. „Złodzieje biorą nogi za pas, gdy widzą jego srebrzysty blask”. Tak sobie żartowaliśmy.

Uśmiechnąłem się, nie przestając kopać.

- Czy szedł z tobą na miasto, kiedy rozpracowaliście sprawę?

- Zawsze. Zazwyczaj w zwykłym ubraniu, tak jak ja. Uważał, że wielu ludzi reaguje niechętnie na Jedi i boi się ich. Jeśli nie wiedzieli, kim był, łatwiej było mu pomagać ofiarom. Kiedy jednak przychodziło do ujęcia przestępcy, przywdziewał swój płaszcz i tradycyjny strój Jedi. Scerra nazywała to jego ubraniem myśliwskim. Kryminaliści szybko się zorientowali, że mniej boli, gdy nie stawiają oporu, więc udawało nam się rozładować wiele napiętych sytuacji w ten sposób, że Nejaa po prostu pojawiał się jako Jedi. Oczywiście historie o jego dokonaniach rozchodziły się w świecie przestępczym i szybko je wyolbrzymiano, więc ludzie reagowali bardziej na jego wizerunek i reputację niż na to, kim był w rzeczywistości.

Oczyściłem teren, który wskazał mi dziadek i odsunąłem nieprzemakalny powlekany brezent, który znajdował się pod przymą gnojówki. Pod spodem zobaczyłem błysk metalu.

- To tabliczka rozprasząca?

- Tak? Nie zauważyłem.

Zmarszczyłem brwi. Rozpraszacze, zwane potocznie anty-skanerami, przybierały wszelkie możliwe kształty i gabaryty, odchylając promienie skanerów w taki sposób, że sygnał wracający do urządzenia ukrywał obecność przedmiotów ukrytych za rozpraszaczem. Były powszechnie używane przez przemytników, żeby ukryć kontrabandę na wypadek pobieżnej kontroli, ale przy odrobinie wysiłku znalezienie antyskanera nie było trudne. A jak już się znalazło antyskaner, trudno było przeoczyć to, co pod nim ukryto.

W tym przypadku antyskaner ukrywał tylko goły skrawek ziemi.

- Niech no zgadnę: zakopane drzwi, na które nikt do tej pory nie natrafił, bo nikomu nie chciało się przekopywać sterty łajna banthów?

- Widzisz, zadałem sobie trud w rodzaju tego, który twojego ojca doprowadził do ujęcia Boostera Terrika. Nic dziwnego, że facet tak nienawidzi Hornów.

- Teraz ma jeszcze jeden powód. Dziadek uśmiechnął się.

- No właśnie. Jak mu się podoba fakt, że jego córka poślubiła jednego z Hornów?

Odrzuciłem gnoj z łopaty i spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

- Więc wiedziałeś o tym?

- Corran, przecież wiesz, że cię bardzo kocham i na pewno pamiętasz, że spędziliśmy razem wiele godzin, roztrzaskując twoje życie uczuciowe i nieszczęścia, jakie cię w związku z nim spotykały.

- Nie przypominaj mi -jęknąłem. - Hej, czy ta łopata ma leżeć, czy można nią też kopać?

- Można nią kopać. Chcesz ją wziąć? Co, twoja się zepsuła? Uniosłem brew.

- Nie pomożesz mi? - Zrobiłem swoje, zakopując to. - Jego uśmiech lekko zbladł. -

Bierz się do roboty, jeszcze tylko kawałek. A wracając do rzeczy, kiedy ocalałe spod cenzorskich nożyczek skrawki twoich wiadomości przestały wspominać o kłopotach sercowych, założyłem, że znalazłeś kogoś na stałe. Zasięgnąłem więc informacji.

- I nie byłeś rozczarowany?

- Rozczarowany? Dlaczego?

- To córka Boostera Terrika.

Podszedł do mnie i położył mi dłoń na karku.

- Corran, jeśli zdołała zdobyć i utrzymać twoje serce, musi być cudowna. Cieszę się, że jesteś szczęśliwy, naprawdę. Pewnego dnia przywieziesz ją tu, żebym mógł ją poznać.

- Jasne, jak tylko ktoś uchyli wyrok na moją głowę. Zmarszczył brwi.

- No tak, robota Gila Bastry. Zajmę się tym. Może powinno się okazać, że to twój oficer łącznikowy z armii imperialnej był winien.

- Loor? On nie żyje.

- Tym lepiej. - Spojrzał pod nogi, gdy moja łopata szczękła o metal. - To jest to.

Oczyściłem dół.

- Stary schron przeciwburzowy?

- Był tu już, kiedy kupiłem dom. - Przykucnął i pomógł mi otworzyć metalowe drzwi. - Bardzo tam przytulnie. Idź pierwszy. — Wyciągnął z tylnej kieszeni pręt jarzeniowy, włączył go i podał mi.

Zszedłem w dół po zardzewiałych klamrach wbudowanych w jeden z boków durabetonowego szybu. Na jego dnie pomieszczenie rozszerzało się, zajmując powierzchnię równą kompostownikowi na górze. Kwadratowy pokój był pusty, z wyjątkiem kufra z fiberplastu, zakurzonego i brudnego. Wyglądał jak te, których wiele widziałem u przemysłowców - nadwyżki zapasów wojskowych jeszcze sprzed czasów Imperium, tanie i łatwo dostępne.

Usłyszałem, jak dziadek schodzi za mną w dół.

- Co jest w tym kufrze?

- Kiedy Imperium postanowiło, że wszyscy Jedi muszą zginąć, podjąłem parę decyzji. Niektóre z nich, jak na przykład majstrowanie przy różnych plikach, by ukryć swoją babcię i ojca przed imperialnymi łowcami, były mądrymi decyzjami. Nie żałuję ich.

Odwrociłem się i spojrzałem na niego.

- Czy były jeszcze jakieś inne rodziny koreliańskich Jedi, które ukryłeś?

- Ten rodzaj informacji nie jest ci potrzebny, Corran. Jeśli takie rodziny były, i jeśli mają zostać odnalezione, ktoś je odnajdzie. - Położył mi ręce na ramionach. - Inne decyzje były ryzykowne. Postanowiłem -jakże głupio - zlekceważyć niebezpieczeństwo, na jakie narażałem moją rodzinę, ukrywając tu te rzeczy. Gdyby ktoś je odkrył, wszyscy mogliśmy przypłacić to życiem. Zdrowy rozsądek nakazywał to zniszczyć. - Twoja babcia i ojciec myśleli, że tak zrobiłem, bo sam im powiedziałem, ale po prostu nie mogłem się na to zdobyć.

Ścisnął mnie za ramiona.

- Tam, w tym pudle, są wszystkie rzeczy, jakie przywiózł tu Ylenic Ifkla po śmierci Nejaa.

Pokiwałem głową. Światło pręta jarzeniowego podskakiwało, oświetlając ciemny kształt paczki.

- W jaki sposób Nejaa zginął?

- Nie znam szczegółów. Caamasi prosił, bym o to nie pytał. Powiedział mi tylko, że pewien wielki człowiek, bohater Wojen Klonów, wybrał ich do wyjątkowej i bardzo zaszczytnej misji. Pojechali z nim i doszczętnie rozbili niezwykle groźnych przeciwników, ale Nejaa odniósł przy tej okazji śmiertelne rany. Żadne z technik uzdrawiających Jedi nie pomogły mu i musiał umrzeć.

- A potem ożeniłeś się z jego żoną i adoptowałeś jego syna. Głos mojego dziadka stał się nieobecny.

- Znałem Scerrę przez całe moje życie. Zawsze byliśmy przyjaciółmi i oboje straciliśmy najbliższą nam osobę w tym samym czasie. Wspólny smutek zbliżył nas do siebie, a wieloletnie bliskie kontakty stanowiły mocną podstawę naszego związku. Zawsze wolałem sądzić, że Nejaa przeczuwał swój los i to, co się z nami stanie po jego odej-

ściu. Chciałbym myśleć, że świadomość, iż wspólna żałoba przyniesie miłość dwóm najbliższym mu osobom sprawiła, że łatwiej mu było umierać.

Poklepał mnie po ramieniu.

- Ten kurz drażni mi spojówki. Wychodzę na górę. Możemy stąd wyciągnąć tę skrzynię, jeśli chcesz, albo możesz otworzyć ją tutaj i po prostu obejrzeć te rzeczy. Zrób, jak chcesz. Jesteś ostatnim z Halcyonów, więc te rzeczy należą do ciebie.

- Dziękuję. - Zrobiłem krok w stronę skrzyni, po chwili jednak odwróciłem się, patrząc na niego. - Co do jednej *rzeczy* jednak się mylisz. W półmroku zaśnieżyły mi oczy.

- Tak?

- Nie uważam się za ostatniego z Halcyonów. Jestem ostatnim z Hornów. Mam jednak nadzieję, że w tej skrzyni i w twoim ogrodzie znajdę wszystko, czego potrzebuję, by zagwarantować ciągłość obu tych rodów.

Kiedy zostałem sam w ciemnościach, otworzyłem kufer. Drobinki kurzu uniosły się z jego pokrywy, wypełniając powietrze. Spodziewałem się stęchłej woni starych ubrań, które przez lata przeżarła pleśń, aż nic z nich nie zostało; zamiast tego zobaczyłem, że kufer zapakowany jest starannie i po brzegi. Wszystkie ubrania zostały złożone w kostkę i zalakowane w torbach z przezroczystego plastoidu. Ostrożnie wyjmowałem jedną paczkę po drugiej, nie otwierając jednak żadnej z nich. Z tego, co zdołałem zobaczyć w świetle latarki, każda część garderoby została wyprana. Caamasi zadał sobie wiele trudu, by odpowiednio zatroszczyć się o pozostałości po swoim towarzyszu.

Na dnie kufra znalazłem zapakowane w plastoidowy worek długie buty oraz płaszcz i koc, także w torbach. Pod nimi zobaczyłem umocowaną na zawiasach pokrywę przegródki. Pod pokrywą znajdował się wypełniacz z pianki ze specjalnie dopasowanymi otworami na różne przedmioty. Bez trudu rozpoznałem przegrodę na miecz świetlny Nejaa. Mała apteczka, zestaw do golenia i komplet sztućców leżały każde na swoim miejscu. Inne przegródki wypełniały dziwne monety i ogniwa energetyczne do rozmaitych urządzeń, a także staroświecki komunikator.

Tym, co natychmiast przyciągnęło moją uwagę, była jednak prostokątna przegródka na holostaty. Wyłowiłem je z pudła i zaniosłem pod wysoki komin, przez który wpadało nieco światła. Przeglądałem zdjęcia jedno za drugim, uśmiechając się, choć nikogo na nich nie rozpoznawałem.

Obejrzawszy kilka ujęć zorientowałem się, która z przedstawionych osób to Nejaa. Po rozmiarach innych przedmiotów uwidocznionych na zdjęciach, a zwłaszcza miecza świetlnego, który nosił przypięty do pasa, zorientowałem się, że był nieco wyższy ode mnie, ale nie wyższy od mojego ojca. Wziąłem po nim szczupłą budowę. Nasze podobieństwo ograniczało się do zaledwie paru rysów - oprawy oczu i zarysu podbródka. Nejaa stał swobodnie i pewnie, ze stopami rozstawionymi na szerokość ramion, z rozłożonymi rękami, uśmiechem na twarzy i iskrą życia w oczach. W sposobie, w jaki stał, rozpoznałem postawę mojego ojca, którą również po nim przejąłem.

Drugą osobą, którą bez trudu rozpoznałem, był Caamasi. Cały był pokryty złotym meszkiem, z wyjątkiem okolic oczu, gdzie fioletowe futro nadawało jego twarzy wy-

gląd maski, od której odchodziły pasmami na tył czaszki kontrastowe kosmyki futra. Wielkie, ciemne oczy rycerza wydawały się pełne zaciekawienia, nie zaś smutku, który widywałem zwykle u przedstawicieli tego gatunku; trudno się zresztą dziwić - rzadko widywałem przedstawicieli tej rasy, a to zdjęcie zostało zrobione, zanim niemal doszczętnie ich wybito. Dwaj przyjaciele - mój dziadek i Caamasi - wyglądali na niektórych hologramach na zmęczonych, ale czego można oczekiwać po zdjęciach z czasów wojny? Co najmniej równie często wyglądali na zadowolonych, co wiele mówiło o ich determinacji, by utrzymać bezpieczeństwo w galaktyce.

Na niektórych zdjęciach rozpoznałem jeszcze innych. Zobaczyłem na przykład bardzo młodego Jana Dodonnę stojącego obok Nejaa. Przypominam sobie, jak generał zapytał mnie na „Lusankyi”, czy nie znał przypadkiem mojego dziadka. Więc jednak znał go, chociaż wtedy nie wiedziałem jeszcze, kto naprawdę był moim dziadkiem. Jan uratował mi życie w tamtym więzieniu, pomyślałem. Czy tobie też, Nejaa? A może kiedy mnie ratował, spłacał jakiś stary dług wobec ciebie?

Na jednym ze zdjęć obok Nejaa i jego caamaskiego przyjaciela stał Bail Organa. Były też inne osoby na zdjęciach grupowych i indywidualnych, ale nikogo z nich nie umiałem zidentyfikować. Te staroświeckie stroje, te młode twarze - po latach mogli stać się senatorami i przywódcami, których postarzałe rysy bez trudu bym rozpoznał. Niektóre z nich wydawały mi się uderzająco znajome... irytująco znajome, ale skoro nie było przy mnie nikogo, kto powiedziałby mi, kim są teraz, ani innych zdjęć do porównania, pozostałem tego nieświadom.

Po chwili hologramy wojenne skończyły się i doszedłem do zdjęć z czasów pokoju. Pierwsze ukazywało mojego dziadka stojącego obok Nejaa. Nejaa wręczał mu jeden z medalionów wybitych z okazji przyjęcia go w poczet mistrzów Jedi. Na następnym zobaczyłem Nejaa przytulonego policzkiem do policzka mojej babci. Ten widok był szokiem, bo dotąd zawsze widywałem ją w towarzystwie Rostka - mojego dziadka. Na kolejnym zdjęciu panoramicznym zobaczyłem Scerrę, Nejaa i chłopca, który - kiedy dorósł - został moim ojcem.

Oparłem się ciężko o ścianę i zamknąłem oczy pełne łez. Przez całe życie słyszałem lamenty sponiewieranych ludzi, którzy powtarzali, że Imperium odbiera im ich życie, ich godność i ich prawa, które należą im się przez to, że są istotami myślącymi. Puszczając te narzekania mimo uszu, bo uważałem ich argumenty za nieprzekonujące i samolubne. Zawsze ostrzegali, że pewnego dnia przyjdzie kolej na mnie. Przyjdą po mnie szturmowcy i wtedy będzie za późno. Śmiałem się z nich wówczas, bo - otoczony kochającą rodziną - nie wyobrażałem sobie, by Imperium mogło nas skrzywdzić.

A jednak skrzywdziło. Imperium nie istniało jeszcze, gdy zginął Nejaa, ale działania Imperatora zmusiły mojego ojca i babcię do życia w kłamstwie. Strach, że ktoś może to odkryć, musiał ciążyć mojemu dziadkowi codziennie. Świadomość, że pomagał ludziom, mogła być pewnym antidotum, ale to, że wytrzymał życie w strachu przez tyle lat, wydało mi się niewiarygodnym osiągnięciem. Mój szacunek dla niego wzrósł niepomierne.

Jest bohaterem, pomyślałem, którego dokonania nigdy nie zostaną uczczone. A ilu jeszcze takich ludzi musi być w całej galaktyce? O ilu cichych bohaterach mrocznych czasów nigdy nie usłyszymy?

Włożyłem zdjęcia do kieszeni, a do kufra zapakowałem z powrotem wszystko oprócz stroju korelińskiego Jedi, płaszcza i pudełka z butami. Zapieczętowałem skrzynię, a potem wyniosłem mój łup i schowałem w szklarni. Zamknąłem drzwi do schronu przeciwburzowego i zakopałem je z powrotem, kładąc na swoje miejsce antyskaner i brezentową plandekę.

Kiedy kończyłem, dołączył do mnie dziadek.

- Znalazłeś tam na dole coś ciekawego?

- Przeszłość, o której nie miałem pojęcia. - Uśmiechnąłem się do niego dzielnie. - I nowy szacunek dla kogoś, kto okazał się lepszym przyjacielem, niż ktokolwiek mógłby sobie wymarzyć.

Jego oczy na chwilę przesłoniła mgła, ale zaraz uśmiechnął się i pokiwał głową.

- W takim razie miałeś pracowity dzień. Musisz mieć wiele do przemyślenia.

- Owszem, ale to może poczekać. W tej chwili wnuk chciałby pobyc trochę ze swoim dziadkiem, poprzesać sadzonki, porozwozić kwiaty, powąłęsać się po Alei Łowców Skarbów, szukając guza. Co ty na to?

Rostek Horn uśmiechnął się szeroko i otoczył mnie ramieniem.

- Myślę, że Koronet City nie może się nas doczekać. Upłynęło trochę wody od czasu, gdy dwóch Hornów dało odczuć swoją obecność. To będzie noc godna zapamiętania.

ROZDZIAŁ

30

Rzeczywiście była to noc godna zapamiętania, ale nie tylko dlatego, że doskonale się bawiłem w towarzystwie dziadka. Polecieliśmy do Koronet City i zjedliśmy kolację w najlepszej restauracji na Korelii - „Nova Nova”. Zazwyczaj trzeba było rezerwować w niej miejsce z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, ale wystarczyło, że dziadek pokazał się tam z bukietem kwiatów w rękę, by wprowadzono nas do osobnego gabinetu. Jedzenie serwowano w stylu techno - małe porcje zaaranżowane na talerzu jak dzieła sztuki. Czujniki w sztukach przekazywały dane do dyskretnie ustawionego holoprojektora, tak że gość znał dokładny skład każdego kęsa jedzenia, łącznie z sugestiami, na jakie subtelne smaki powinien zwrócić uwagę albo z anegdotami na temat tego, kto i jak wymyślił poszczególne dania.

Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy szefem kuchni nie jest przypadkiem Chid, mistrz sztuki kulinarnej, którego poznałem u Siolli Tinta.

Po kolacji poszliśmy do prywatnego klubu, mieszczącego się na szczycie najwyższego budynku planety. Klub „Ostatni Dotyk Słońca” wzięła swoją nazwę od tego, że widać stąd było ostatnie promienie słońca przed zapadnięciem nocy, a także z tego, że jego członkowie uważali się za najbardziej świątłych mieszkańców planety.

Kiedy jeszcze pracowałem w KorSek, często żartowaliśmy z tego klubu, bo wiedzieliśmy, że żadnego z nas nie będzie nigdy stać na opłacenie członkostwa; mój dziadek jednak należał do niego już od trzech lat, a połowę roślin, które zdobiły wnętrze, stanowiły odmiany, które sam wyhodował.

Obezwładniająca elegancja tego otoczenia ostro kontrastowała z surowymi warunkami akademii Jedi, sprawiając, że Yavin 4 szybko zatarł się w mojej pamięci. Koronet City wydało mi się właściwszym miejscem dla mnie - lepiej tu pasowałem. Dżungla, która ze wszystkich stron otaczała naszą akademię, zawsze mnie trochę niepokoiła. Siedząc w pluszowym fotelu wybitym skórą nerfa, sącząc koreliańską brandy i obserwując rozciągające się pod nami miasto uświadomiłem sobie, że - urodzony i wychowany w mieście - wolę miejskie otoczenie i cywilizację. Coruscant było zbyt rozbudowane, bym mógł się tam zawsze czuć swobodnie, ale tu, na Korelii, znowu poczułem się jak w domu.

Miłe miejsce do wychowywania dzieci, pomyślałem.

Dziadek uraczył mnie opowieściami o Boosterze Terriku jeszcze sprzed czasów, gdy mój ojciec go aresztował i posłał na Kessel, zanim Jorj Car'das przejął jego organizację, tylko po to, by samemu zostać wchłoniętym przez Talona Karnie.

- Tak więc, kiedy Hal złapał Boostera za pierwszym razem, ten uznał to za czysty przypadek i zawsze potem starał się drwić z Hala i unikać go. - Dziadek uśmiechnął się szeroko. - Myślę, że Booster nigdy nie doceniał umiejętności detektywistycznych twojego ojca.

Rozmawialiśmy tego wieczoru o wielu sprawach, a rozmowa przeciągnęła się jeszcze na drogę powrotną do domu. Odkryłem tej nocy w moim dziadku kogoś, kogo nigdy dotąd nie znałem. Oczywiście kiedyś nasza relacja oparta była na stosunku dziecka do dorosłego, co pociągało za sobą określone zachowania. Kiedy dorosłem, wstąpiłem do KorSek i nasze związki przeszły na płaszczyznę zawodową. Nie była to zamierzona zmiana, ale naturalny proces, bo praca była dla nas obu bardzo ważnym elementem życia. Chociaż rozmawiałem z nim często o moich sercowych kłopotach, odbywało się to również na płaszczyźnie młody-starszy. Potem zaś, kiedy zginął mój ojciec, ból, który obydwaj czuliśmy, pokonał nas emocjonalnie do tego stopnia, że unikaliliśmy tematów, które mogłyby otworzyć stare rany.

Tej nocy po raz pierwszy nasze układy były po prostu stosunkami dwóch dorosłych mężczyzn. Czułem się dziwnie, ale nappełniało mnie to dumą. Oto siedział przede mną człowiek, który znał mojego ojca i Nejaa Halcyna lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Jeśli on mnie polubił, jeśli on podziwiał moje dokonania, istniało duże prawdopodobieństwo, że tak samo zareagowaliby oni. Uświadomienie sobie tego faktu rozproszyło część obaw, jakie miałem od ostatniego spotkania z Exarem Kunem i tej nocy kładąc się spać czułem się znacznie lepiej niż kiedykolwiek w ostatnim okresie.

Mistrz Skywalker powiedział kiedyś, że Jedi nic się nie śni, kiedy więc znalazłem się w rozświetlonym, jałowym świecie, z mieczem wprawdzie nie włączonym, ale trzymany w prawym ręku, zastanawiałem się, jak się tam dostałem. Zauważyłem szmaragdowej barwy rękawy mojej tuniki koreliańskiego Jedi, która wydała mi się bardzo na miejscu, choć jej materiał był delikatniejszy niż ubrania, które dostałem na Yavin 4. Dopiero kiedy spojrzałem w bok i zobaczyłem Ylenica Ifkla w połyskliwym, fioletowym płaszczu, a za nim generała Jedi w pustynnych szatach w różnych odcieniach khaki i brązu, zrozumiałem, że nie jestem sobą.

Nasza trójka, rozciągnięta na odległość, która zapewniała każdemu dość miejsca do walki, stała w zawianej pustynnym pyłem dolinie pod kopułą z durabetonu. Tuzin trzymetrowej wysokości słupów rozmieszczonych na jej obwodzie podtrzymywał kopułę, wpuszczając pod nią światło, które oświetlało piach. Prowizoryczne namioty i szopy zajmowały jedną ćwiartkę areny po stronie, w którą patrzyliśmy. Z centralnego pawilonu wyszły trzy postaci, zmierzając w naszą stronę. Każdy z nadchodzących był uzbrojony w miecz świetlny. Ich przywódca - wysoki, jasnowłosy mężczyzna, który stał naprzeciwko generała - podszedł o krok bliżej niż jego towarzysze. Ruda kobieta ustawiła się na wprost Ylenica, podczas gdy przedstawiciel rasy Anzati, spod policzków którego zaczęły się już wychylać ostre czułki, stanął naprzeciwko mnie.

Generał - nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska, choć twarz nie była mi całkiem nieznana - powiedział bardzo wyraźnie:

- Angażujecie się w sprawy, których nie potraficie kontrolować; sprawy, które niemal doprowadziły do zagłady Jedi tysiące lat temu. Przybyliśmy tutaj prosić was, byście wyrzekli się zła i powrócili na drogę światła.

Przywódca naszych przeciwników roześmiał się niskim, pełnym pogardy głosem.

- Słabi zawsze się obawiają, że silni urosną w siłę, by ich zastąpić.

- A słabi zawsze widzą siebie jako silnych. - Te słowa wyszły ode mnie i czułem, jak formują się na moich wargach. Brzmiały nawet tak, jakbym sam je wypowiedział, tyle że jakby bardziej oficjalnie - precyzyjniej i zbyt archaicznie jak na mój gust.

Głos Ylenica był miękki, lecz silny:

- Strach znaczy długą ścieżkę zła. Ofiarujemy wam wolność od strachu.

Przywódca włączył swój miecz.

- A my ofiarujemy wam wolność od życia.

Anzatzyk, wyższy ode mnie i o ciemniejszym odcieniu skóry, ale o całkowicie humanoidalnym wyglądzie, z wyjątkiem czułek zwijających się z podniecenia, włączył niebieskie ostrze i zbliżył się do mnie. Nikkos Tyris - teraz bez trudu przypominałem sobie jego imię - trzymał miecz w pozycji, której nigdy dotąd nie widziałem. Ulokował dłoń na rękojeści stosunkowo blisko łśniącej klingi, która jednak skierowana była na zewnątrz i w dół, w stronę ziemi. Prawa dłoń kryła się za osłoną ostrza. Trzymając miecz z dala od ciała, z prawą dłonią na poziomie policzka, mógł łatwo poruszać mieczem w przód i w tył po trójkącie, który zapewniał mu dobrą ochronę. Styl trójkąta - przyszło mi nagle do głowy, jakbym odzyskał dawno utracone wspomnienie - był korzystny dla szermierza o szybkich ruchach, który umiał łączyć szerokie zamaszyste cięcia po nogach przeciwnika z elastycznością nadgarstka, dzięki której mógłby rozciąć mnie od krocza po podbródek.

Bąłem się, ale osoba, którą byłem we śnie, odsunęła moje obawy na bok. Trzymałem srebrne ostrze w prostej gardzie, wysunąwszy ostrze wycelowane w stronę jego gardła. Krążyliśmy wokół siebie, aż nagle uderzył. Jego klinga pomknęła ku mojej prawej nodze. Machnąłem mieczem, blokując atak nisko po prawej stronie i krzesząc iskry, gdy nasze ostrza się zetknęły. Odbił swój miecz do góry, uderzając nim pod kątem, który miał pozbawić mnie głowy.

Poczułem kwaśny swąd, gdy kosmyki moich włosów stopiły się pod zabójczym dotknięciem jego miecza. Wykręcając nadgarstki ciąłem nisko do tyłu, tam, gdzie powinny być jego nogi, ale podskoczył, unikając mojego ciosu. Odleciał w powietrzu kawałek, prezentując wielki talent do lewitacji, i wylądował bezpiecznie cztery metry ode mnie. Jego ciemne oczy rozjarzyły się przez chwilę, po czym niewidzialna pięść uderzyła mnie prosto w pierś, powalając do tyłu. Uwolnił prawą rękę od lazurowego miecza i wykonał nią od niechcenia ledwie zauważalny gest. Kamień wielkości pięści poderwał się z ziemi, trafiając mnie w lewe ramię. Ból eksplodował wzdłuż mojej ręki, pozostawiając ją odrętwiałą. Roześmiał się i cisnął we mnie kolejny kamień. Osłoniłem się przed nim mieczem i uśmiechałem się jeszcze, gdy kolejny okruch skalny uderzył mnie w skroń.

Upadłem ciężko, wznosząc z ziemi chmurę pyłu. Miecz wyleciał mi z ręki i nie wiedziałem, gdzie upadł. Potrząsnąłem głową, próbując pozbyć się zamroczenia, ale ból i słabe dzwonienie w uszach nie ustąpiły.

Poczułem krew zalewającą lewą stronę twarzy i ściekającą na rękaw tuniki. Słyszałem chrzęst żwiru pod stopami podchodzącego do mnie Tyrisa. Podciągając ciało do pozycji kucznej spojrzałem w prawo i w końcu zobaczyłem mój miecz, leżący mniej więcej dwa metry ode mnie. Chciałem go przywołać, ale wiedziałem, że nie uda mi się go poruszyć. Mogłem po niego zanurkować, ale miecz Tyrisa przyszpiliłby mnie do ziemi, zanim dotarłbym do broni.

- A więc to prawda, co mówią o rodzie Halcyonów. Jesteście jak mynocki z podciętymi skrzydłami. - Złowrogi uśmiech wypłynął na twarz Tyrisa, który wysunął miecz w moją stronę, by w całej okazałości zaprezentować mi narzędzie mojej zguby. - Jesteście rodem słabości.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem już, co muszę zrobić.

- Mamy swoje mocne strony.

- Naprawdę? - Przerzucił miecz ponownie do lewej ręki, przygotowując się do rozcięcia mnie na pół. - To lepiej prędko wezwij je na pomoc.

W ostatniej sekundzie życia, którą mi ofiarował, przed moimi oczami pojawiła się wizja, jak stoi nade mną i ciałami moich poległych towarzyszy. Nasze pokonane ciała znikły, ale jego drwiący śmiech nadal rozlegał się w moich uszach. Wiedziałem z pewnością tak jasną i twardą jak transpastał, że jeśli nie pokonam Tyrisa, moi przyjaciele i nasza misja na tej planecie przepadną. Nie mogłem na to pozwolić, więc musiałem działać.

Rzuciłem się w stronę miecza i wyciągnąłem po niego prawą dłoń. Skręciłem ciało w powietrzu. Wylądowałem na plecach, ślizgiem pokonując ostatnie centymetry dzielące mnie od miecza. Jednak w tym samym momencie, gdy zaciskałem dłoń na jego rękojeści, w tym samym momencie, gdy zacząłem podnosić ostrze, by odparować jego uderzenie, wiedziałem, że jest za późno.

Wiedział to również Tyris.

Wbił ostrze prosto w moją pierś. Błękitna klinga paliła ciało i doprowadzała do wrzenia krew, zamieniając serce w obłok pary i dymu. Miecz wbijał się dalej, rozrywając arterie i paląc kręgosłup. Dolna część mojego ciała zdrętwiała, ale niemal tego nie dostrzegłem, czując jak fala agonii przenika mnie, by dotrzeć do mózgu. Pograżałem się w niej jak w ciemności. Umierałem i wiedziałem o tym, a żal z tego powodu potęgował ból.

Nie byłem jednak jeszcze martwy.

Byłem Halcyonem. Byłem Jedi.

A Jedi nie zna bólu.

W jednej chwili cała męka agonii ustąpiła tak skutecznie, jakbym nagle wyłączył receptory bólu. Pozostała mi tylko niezwykła jasność umysłu i jeden jasny cel. Poświęciłem moje życie służbie dla innych, służbie Mocy. Nie odejdę, nie spełniwszy do końca moich obowiązków. Skoncentrowałem się i wykorzystałem największy talent Halcyonów przeciwko mojemu wrogowi.

Wyssałem całą energię z miecza Anzatczyka, zmuszając się do uśmiechu. Czułem w ustach smak mojej krwi, ale nie wzbudziło to we mnie paniki. Najważniejszy był wyraz twarzy Tyrisa, gdy błękitne ostrze zamigotało raz i drugi, po czym zgąsło. Wyssałem z niego całą energię do ostatniego dzuła, pozwalając mu wyczytać w moich oczach, że powinien się zacząć bać.

Za pomocą energii, którą wyssałem z jego miecza, uniosłem go do góry jak w uścisku gigantycznej pięści. Chyba krzyknął - w każdym razie jego usta ułożyły się jak do krzyku. Zacisnąłem niewidzialną pięść, nie czując żadnego oporu, gdy gruchotała mu kości. Pozwoliłem, by przez chwilę wisiał bezwładnie w powietrzu, a potem cisnąłem nim ponad ściany namiotów, by roztrzaskać jego ciało o kopułę i podtrzymujące ją filary. Poprzez Moc poczułem wstrząs i ujrzałem błękitne błyski światła, ale w tym momencie moje ostatnie rezerwy energii odpłynęły w nicość.

Podobnie jak ja. Poczulem kolczaste czerwone błyskawice, wypełniające moją świadomość, ale wysliznąłem się z cielesnego więzienia, zanim przykuły mnie do tego miejsca na zawsze.

Usiadłem wyprostowany na łóżku, cały spocony. Pomacałem się, szukając dziury wypalanej w piersi, ale nie wyczułem nic takiego. W głowie czułem pulsujący ból, ale nie znalazłem poszarpanej skóry, guza rosnącego od uderzenia kamieniem, krwi. Ciarki mnie przeszły, gdy zrozumiałem, że znowu czuję moje niższe ciało.

Wygramoliłem się z łóżka i zataczając przeszedłem do łazienki. Gdy zaświeciły panele jarzeniowe, puściłem zimną wodę i spryskiwałem twarz. Napilem się ze złożonych dłoni, sycąc palące pragnienie, a potem włożyłem pod kran całą głowę, pozwalając, by woda chłodziła mi kark.

W końcu podniosłem głowę. Spojrzałem w lustro i w strużkach wody spływających na plecy i pierś zobaczyłem twarz mojego dziadka w miejscu, gdzie powinna być moja. Zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową. Gdy je znów otworzyłem, w zachlapanym lustrze zobaczyłem, jak rysy twarzy Nejaa Halcyona znikają, pozostawiając moje własne odbicie. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem nią twarzy, szukając palcami potwierdzenia tego, co widziały moje oczy. Wzdrygnąłem się.

Odrzuciłem się od lustra i ukryłem twarz w dłoniach. Przez ostatnich dziesięć tygodni byłem idiotą. Mogłem to wcześniej zauważyć - i zauważyłbym, gdyby nie to, że udając się do akademii Jedi odciąłem się od przyjaciół, którzy pomogli mi zdać sobie z tego sprawę.

Powiedzenie mojego ojca: „Jeśli nie rozpoznasz swojej twarzy w lustrze, czas postąpić krok do tyłu i zobaczyć, kiedy przestałeś być sobą” - powinno mnie prowadzić przez cały ten czas. Przyłączając się do Luke'a nie byłem sobą. Próbowałem po prostu odgrywać mojego dziadka. A ten sen stawiał sprawę jasno - doprowadziłoby mnie to do klęski. Corran Horn nie był rycerzem Jedi.

Corran Horn był detektywem, wyszkolonym przez KorSek, by rozwiązywać różne zagadki, choćby takie jak sprawa Gnębów. Gdyby byli piratami działającymi w układzie słonecznym Korelii, przeniknąłbym w ich szeregi, dotarł do ich sekretów i rozbił ich od środka. Robiłem to setki razy w mojej karierze. Zgoda, żadna z wcześniejszych organizacji przestępczych, które infiltrowałem, nie była tak wielka, silna i przebiegła,

ale wielkość szkodzi skuteczności takich grup, a ich siła pozwala wygrywać chciwość przeciw chciwości, siejąc zamieszanie w szeregach jej członków.

Zmarnowałem dziesięć tygodni, które mogłem spędzić ścigając porywaczy Mirax w najlepszy ze znanych mi sposobów. Taki rodzaj dochodzenia zająłby rzecz jasna wiele czasu - co najmniej kilka miesięcy, ale przynajmniej robiłbym coś, co pozwalało mi zbliżyć się do Mirax. Nauki Jedi były świetne, gdy chodziło o ratowanie galaktyki, ale ja chciałem uratować tylko jedną osobę, której nie mógł pomóc nikt inny.

Odrzuciłem się do lustra i powitałem mężczyznę, którego w nim zobaczyłem:

- Cieszę się, że cię znowu widzę, Corranie Hornie. Czas skończyć z Gnębami raz na zawsze.

ROZDZIAŁ

31

Stewardesa na promie uśmiechnęła się do mnie i pochyliła, by jej głos nie doszedł zbyt daleko. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo na razie jedyną osobą w kabinie pierwszej klasy, oprócz mnie, był pasażer zajmujący miejsce obok.

- Proszę mi wybaczyć, sir, że jestem taka natrętna, ale pański bilet ma ultrafioletową nalepkę, a linie Tinta zawsze starają się ugościć tak szanownych klientów jak najlepiej. Kapitan nie wszedł jeszcze na pokład, ale pyta, czy nie miałby pan ochoty przyłączyć się do niego w kabinie pilota na czas startu i przelotu na „Barwną Tęczę”.

Uśmiechnąłem się; miałem ochotę odmówić, ale Jenos Idanian, którym stałem się na czas podróży z Korelii, nigdy by tego nie zrobił.

- Ależ z największą przyjemnością!

Z tylnej części promu zadzwonił dzwonek. Stewardesa, cała lśniąca w błękitno-złotym mundurku linii Tinta, spojrzała ku tyłowi, gdzie mieścił się główny przedział pasażerski. Stojąca tam Kuatianka mozolnie próbowała upchnąć wielką torbę do schowka na bagaż podręczny, umieszczonego nad siedzeniami po prawej stronie, i zamknąć klapę. Stewardesa westchnęła.

- Zna pan oczywiście rozkład promu klasy Luxury, prawda? Może pan przejść do kokpitu w każdej chwili.

- Dziękuję.

Siedzący obok mnie pasażer, młody mężczyzna o wydatnej grdyce i jeszcze bardziej wydatnym nosie, spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

- Naprawdę zna pan rozkład tych statków? Studiowałem ich budowę w technikum i wiem, że są wyposażone w ploter kursów Astronav P127, ale oczywiście nie będzie nam potrzebny, bo zrobimy tylko mały skok wewnątrzsystemowy, chociaż ten ploter to nie byle co, migiem oblicza każdy kurs, nawet skoki wielokrotne, a kiedy ćwiczyłem na nim w szkole, obliczył naprawdę trudny kurs w kilka sekund.

Podniosłem rękę.

- Spokojnie, powoli. Nie zapominaj, że musisz też oddychać!

- Przepraszam. - Uśmiechnął się do mnie z zachwytem. - Ja po prostu zawsze, od kąd pamiętam, chciałem latać. Od małego, naprawdę, od czasu gdy byłem całkiem małym smarkaczem. Słyszałem opowieści o Rebelii... to znaczy o Nowej Republice... i o

Eskadrze Łotrów i chciałem latać tak dobrze jak oni. A kiedy pojawił się Wielki Admirał Thrawn, zgłosiłem się do wojska, żeby z nim walczyć, ale nie wypadłem dobrze w testach, więc posłali mnie do technikum, żebym się uczył naprawiać statki, a tam się okazało, że nieźle sobie radzę z nawigacją, więc uczyłem się nawigacji, ale jak już się nauczyłem, to Thrawn został pokonany i przyszła demobilizacja, więc szukałem pracy w cywilnych liniach, właśnie w liniach Tinta...

- Naprawdę, przystopuj trochę, bo się udusisz! - Wyciągnąłem do niego rękę, bo tak właśnie zrobiłby Jenos Idanian. - Jestem Jenos Idanian.

- Keevy Spart. - Otarł czoło dłonią o długich, zgrabnych palcach. Cały był piegowaty. Rude włosy nosił przycięte krócej ode mnie. Chudością przypominał mi Kirtana Loora, choć oczywiście nie był aż tak głupi ani zły. - Więc lata pan na takich statkach?

- Latałem kiedyś, Keevy, ale na ich odmianie wojskowej. -Rozejrzałem się po kabinie pierwszej klasy. - Tamte promy nie były tak luksusowo wyposażone i upychaliśmy w nich żołnierzy bardzo ciasno. A nasz komputer nawigacyjny nie był w połowie tak wspaniały jak ten, który mi opisałeś.

- Do licha, to dopiero jest podniecające!

- Co ty powiesz?

- Tak, bo widzi pan... - zaczął kolejną tyradę.

Zapadłem głębiej w fotel i słuchałem z uśmiechem na twarzy, bo Jenos tak właśnie by się zachował. Następnego ranka po nocy, kiedy śnił mi się ten koszmarny sen, odnalazłem dziadka w szklarni i powiedziałem mu, co zamierzam zrobić: wyjechać z Korelii i przeniknąć w szeregi Gnębów. Pochwalił mój plan i natychmiast zaczął przygotowania, które miały mi to ułatwić. Obejrzał sobie dokumenty, w które zaopatrzył mnie Booster i chociaż uznał je za „właściwie nie najgorsze”, zasiadł do komunikatora i wkrótce dostarczył mi nowe, które wyglądały na absolutnie autentyczne.

- Bo one są autentyczne, Corran. Nawet najbardziej dokładna inspekcja nic nie wykaże.

Spojrzałem na identyfikator z wklejonym holograficznym zdjęciem mojej twarzy.

- Kim jest Jenos Idanian?

- Ten prawdziwy? To drobny kanciarz, nieco starszy od ciebie. Jakiś czas temu zniknął, ale jego dokumenty i akta zostały. Zmieniłem trochę szczegółów i datę urodzenia, żeby lepiej do ciebie pasowały. Masz teraz na swoim koncie parę młodzieńczych wyskoków, między innymi byłeś zamieszany w kradzież statku i aresztowany za przemyt. Nie za wiele, by cię uznać za figurę, ale dość, by zasugerować, że znasz się na rzeczy. Dla celów twojej misji dodałem, że Jenos poprawił się od tego czasu, po części ze względu na swój udział w Rebelii, i pracuje teraz jako pośrednik sprzedający używane statki.

Zastanowiłem się przez chwilę i pokiwałem głową. Życiorys wyglądał dość prawdopodobnie, bym mógł się w niego wśliznąć. Dodajmy jeszcze serię pechowych transakcji, dzięki której popadłem w rozgoryczenie z powodu parszywych bogaczy, którzy ukradli moją prowidżę, a stanę się doskonałym kandydatem na pirata, ze wszystkimi umiejętnościami, jakich tacy potrzebują.

- Jesteś pewien, że ten Jenos nie pojawi się, żeby mi bruździć?

- Nikt o nim nie słyszał od ponad dwudziestu lat. Gdyby się pojawił, twój ojciec by go przyskrzytnął, bo prawie już go miał, zanim tamten prysnął. - Uśmiech na twarzy Rostka Horna zbladł tylko trochę. - Zorganizowałem ci też transport na gwiazdowym liniowcu linii Tinta, „Barwnej Palecie”. W systemie BorMEA przesiądziesz się na „Barwną Tęczę”, która zabierze cię na Coruscant. Stamtąd na pewno uda ci się odnaleźć „Błędną Wyprawę” i Gnębów.

Zmarszczyłem brwi.

- Statki linii Tinta to przecież luksusowe liniowce. Bilety trzeba rezerwować miesiące naprzód.

- Siolla Tinta kocha kwiaty, Corran. - Uskubał pączek z młodego drzewka. - Będzie szczęśliwa, mogąc zapewnić mojemu przyjacielowi wszelkie możliwe wygody.

- Chociaż udało ci się unieważnić wyrok śmierci na mnie, przecież nadal są tu ludzie sprzyjający Imperium, którzy z przyjemnością schwytaliby mnie, żeby sprzedać, dajmy na to, Wielkiemu Admirałowi Teradokowi czy innemu samozwańczemu przywódcy wojskowemu. Czy nie powinienem podróżować na czymś mniej rzucającym się w oczy niż luksusowy liniowiec?

Dziadek roześmiał się lekko.

- Mój drogi chłopcze, powinieneś zapamiętać dwie rzeczy o sympatykach Imperium na Korelii: po pierwsze nigdy by nie uwierzyli, że Rebeliant może być tak głupi, żeby przylecieć na Korelię, a po drugie nie przyszłoby im do głowy, że mógłby sobie pozwolić na przelot luksusowym gwiazdowym liniowcem. Sympatycy Imperium żyją tu, na Korelii, w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości, wyobrażając sobie, że świat wygląda tak jak dwadzieścia lat temu. Dla nich czasy Moffa Vorruta to złoty wiek. Wątpię, by z wyjątkiem kilku wyższych urzędników KorSeku ktokolwiek wiedział o twoich związkach z Rebelią, a ci, którzy wiedzą, nie będą ci przeszkadzać.

- Boją się kwiatków?

- Kilku z nich. Większość po prostu dobrze pamięta twojego ojca.

- Rozumiem - westchnąłem. - Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłeś. Zachowałem się jak kretyn, i chyba o tym wiedziałeś. Chciałbym ci podziękować za to, że poczekałeś, aż sam sobie to uświadomię.

Przyglądał mi się coraz chłodniejszym wzrokiem.

- Kiedy niby zachowałeś się jak kretyn?

- Kiedy postanowiłem zostać Jedi, zamiast ratować Mirax. Zmarnowałem tyle czasu!

Rostek zatarł ręce i oparł pięści na biodrach.

- Powiedzmy to sobie jasno, Corran: nie uważam, że zachowałeś się jak kretyn. To, czego się nauczyłeś w akademii, było ci potrzebne. Być może nie wszystko przyda ci się, kiedy będziesz ratować Mirax, ale przecież nie mogłeś tego wiedzieć zawczasu. Wiele razy widziałem, jak Nejaa robił różne rzeczy i rozwiązywał sprawy, które nie miały nic wspólnego z Mocą ani szkoleniem Jedi - z wyjątkiem tego, że dzięki temu szkoleniu stał się lepszym człowiekiem. Podjęcie takiego szkolenia, a następnie decyzja o jego przerwaniu, wymagały wielkiej dojrzałości, jakiej wcześniej w tobie nie widziałem. Oczywiście twoje przygody w Eskadrze Łotrów i małżeństwo z Mirax także przy-

czyniły się do tego, że wydorostałeś. Nie powinieneś jednak umniejszać wagi nauki w akademii Jedi. Tylko dlatego, że nie dotarłeś tam, dokąd chciałeś, nie powinieneś sądzić, że cała podróż nie miała sensu.

- Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

- Nie obraziłeś. Wspomnienia o Nejaa Halcyonie są mi bardzo drogie. Uważam, że to co tu robisz, zachowując wiedzę o Mocy, jest dziełem mojego życia. Cieszę się, że i ty będziesz miał dostęp do tej wiedzy. Podzielię się też tym, co wiem, z twoim Lukiem Skywalkerem, jeśli chcesz.

- Bardzo bym tego pragnął. Pokiwał głową.

- Możesz to uważać za załatwione. Jestem z ciebie bardzo dumny, Corran, niezależnie od tego, jaki kurs obierzesz na resztę życia. Niewiele się wprawdzie zmieniło tutaj, na Korelii, ale twoja umiejętność przeżycia w zamęcie wojny domowej zdumiewa mnie.

Podszedłem i uściśnąłem go.

- Jeszcze raz dziękuję. Uśmiechnął się, kiedy go puściłem.

- Aha, gdzieś pomiędzy twoimi dokumentami, razem z podróznymi datakartami, znajdziesz kopię plików KorSeku na temat tego przemytnika, o którego pytałeś, Jorj Car'dąsa. Pliki są stare, bo facet zniknął mniej więcej wtedy, co Jenos Idanian. Mam nadzieję, że ci się przydadzą.

- Ja też. Pozwolą mi spłacić pewien dług.

- To dobrze. Spojrzał na chronometr.

- Lepiej kończ już pakowanie. Tosruk postara się, żebyś zdażył do kosmoportu.

- Jeszcze jedno, zanim odjadę. - Odwróciłem się i sięgnąłem po mały plecak, który położyłem na półce na doniczki przy samych drzwiach. Wyciągnąłem z niego miecz świetlny Nejaa Halcyona i wręczyłem rękojeść dziadkowi.

- Miecz świetlny to najcenniejsza rzecz, jaką może mieć Jedi... z wyjątkiem przyjaciół. Nie mogę go zabrać ze sobą, bo wśród piratów w dzisiejszych czasach to niezbyt popularna broń, a poza tym, mówiąc uczciwie, nie zapracowałem sobie na prawo noszenia go.

Nie jestem Nejaa Halcyonem. Nie jestem tak naprawdę rycerzem Jedi. Chcę, byś go zatrzymał i przechował w bezpiecznym miejscu, tak jak moją wiedzę i moją pamięć.

Dziadek przyjął miecz ostrożnie, jakby ważył pięćdziesiąt kilogramów.

- Może ci się to wydać dziwne, ale ten miecz zawsze stanowił brakujący element układanki. Odkąd znałem Nejaa, miecz był nieodłączną częścią jego samego, instrumentem sprawiedliwości. Kiedy Nejaa zginął, a jego miecz nie wrócił, czułem się tak, jakby sprawiedliwość też zniknęła. Może teraz powróci.

Po policzku spłynęła mu pojedyncza łza.

- Może masz rację, że nie jest to najlepszy czas, by przywdziać strój Halcyonów, ale kiedy ten czas nadejdzie, miecz będzie na ciebie czekał.

Zostawiłem go tam, w jego szklarni, samego ze wspomnieniami i z pamięcią zapisaną w kwiatkach. Tosruk zabrał mnie do kosmoportu, gdzie wsiadłem na „Barwną Paletę”, a teraz, kilka dni później, siedziałem obok Keevy Sparta i słuchałem niewesołej historii jego życia.

- Naprawdę? - zdziwiłem się grzecznie.
 - Tak, to wszystko prawda! Zbieram wszystkie opowieści, jakie dotyczą Eskadry Łotrów. Chciałbym kiedyś napisać monografię na ich temat. Znam życiorysy wszystkich pilotów, ilu wrogów zestrzelili, skąd pochodzą...

- I jak wyglądają...?
 - Oczywiście. - Spojrzał na mnie z napięciem. - Widział pan kiedyś któregoś z nich?

- Ja? Nie, nawet z daleka. - Kiwnąłem głową w stronę iluminatorów. - Widać już „Tęczę”?

Keevy zamknął się w końcu i przycisnął nos do transpastalowej szyby iluminatora. Nasz prom, „Tinta Blue Siedem”, był bezpiecznie przycumowany do kadłuba „Palety” rękawem cumowniczym. Chodnik znajdujący się wewnątrz kołnierza pozwalał pasażerom przejść do kabiny statku, podczas gdy załoga przenosiła nasze bagaże do ładowni promu. Kiedy wszyscy pasażerowie dotrą na pokład, a prom będzie gotowy do drogi, odlecimy w kierunku „Barwnej Tęczy”, gdzie podobnym rękawem wejdziemy na jej pokład. Ci z pasażerów „Tęczy”, którzy będą chcieli przesiąść się na „Paletę”, zostaną odesłani drugim wahadłowcem, dzięki czemu oba statki będą mogły udać się w dalszą drogę bez zbędnych opóźnień. - Nic jeszcze nie widzę. - Jego głos, wskutek rozplaszczonej twarzy, zabrzmiał nosowo. - Ale niedługo statek powinien się pojawić.

- No cóż, w takim razie chyba skorzystam z okazji i obejrzę sobieabinę pilota.
 Keevy odwrócił się i złapał mnie za ramię.
 - Proszę, niech mnie pan weźmie ze sobą.
 - No, nie wiem...
 - Proszę... - patrzył na mnie żałośnie wielkimi, smutnymi piwnymi oczami. - To chyba jedyna okazja, żebym zobaczył AP127CP na prawdziwym promie.

Zmarszczyłem czoło.
 - Ale nie będziesz niczego dotykał?
 - Nie - obiecał szeptem.
 - No dobra, wstawię się za tobą u kapitana. Powinien niedługo dotrzeć na pokład. - Obróciłem się w fotelu i kątem oka złapałem błysk bieli za oknem.
 - Zastanawiam się, co go zatrzymało. Czy to „Tęcza”? Keevy wyjrzał przez iluminator.

- Nie. To wygląda raczej jak imperialny gwiazdny niszczyciel klasy Mark II. Dookoła jest mnóstwo innych statków. Lecą w naszą stronę.

Wstałem z mojego fotela i odwróciłem się w stronę stewardesy, ale w tym samym momencie z chodnika dla pasażerów wybiegło dwóch mężczyzn. Zatrzymali się w głównej kabinie. Obaj mieli blastery na biodrach, a wyższy z nich dzierżył też wibrotopór.

- Zachować spokój! - krzyknął niższy z nich, unosząc ręce do góry. - Zachowajcie spokój, a nikomu nic się nie stanie.

Stewardesa zabrała się za uciszanie dwójki pasażerów, podczas gdy niższy mężczyzna pomachał na mnie ręką, bym wyszedł z kabiny pierwszej klasy i dołączył do reszty pasażerów. Najwidoczniej nie zauważył Keevy'ego.

- Miło nam, że pan się do nas przyłączył. Jesteśmy z „Gnębiciela” i przyszedliśmy uwolnić was od ciężaru waszych kosztowności.

Jeden z pasażerów, starszy mężczyzna, pokazał palcem na przywódcę piratów.
 - Ty jesteś Laanars, byłeś stewardem na moim jachcie! Laanars podszedł szybko, stanął w przejściu między fotelami po prawej burcie i uderzył mężczyznę.

- A byłem, ty tania kupo łajna nerfów. Harowałem u ciebie, bo wiedziałem, że kiedyś nadejdzie ten dzień.

- Nie musisz nikogo bić - odezwałem się chłodno, patrząc w jego brązowe oczy. Stałem w przejściu przy lewej burcie, patrząc na niego zza potrójnego rzędu foteli. - Masz wszystko pod kontrolą. Możesz zabrać, co zechcesz.

- Bardzo słusznie, rzeczywiście mam wszystko pod kontrolą. - Wyższy towarzysz Laanarsa minął go i stanął na początku przejścia przy prawej burcie. Laanars podniósł rękę i strzepnął palcami. - Dalej, dawajcie biżuterię. A jak nie, Biril pokaże wam, dlaczego nie przyjęli go na manikiurzystę.

Wyczułem falę niepokoju emanującą ze wszystkich pasażerów. Posłużywszy się techniką Jedi szybko odciąłem dopływ tych wrażeń, by mnie nie przytłoczyły. Rozciągnąłem czucie, rozszerzając moją sferę odpowiedzialności tak, by objęła cały statek. Żałowałem, że nie potrafię sięgnąć do każdego z pasażerów, by ich uspokoić, albo wprowadzić piratów w głęboki sen, ale nie posiadałem takich umiejętności. Najlepsze, co mogłem zrobić - wzięwszy pod uwagę moje długoletnie doświadczenia z zakładnikami - to pozwolić piratom zabrać, co chcieli.

Nagle wyczułem, że Keevy szykuje się do ataku. Niezauważony dotarł do wejścia kabiny pierwszej klasy i gotował się do skoku na Birila. Pirat był tak potężny, że wątpiłem, czy w ogóle poczuje uderzenie Keevy'ego. Bez większego wysiłku mógł go z siebie strząsnąć, a potem pewnie zarębałby dzieciaka, choćby dlatego, żeby pokazać, że nikt mu w tym nie przeszkodzi.

A Keevy, który przez całe życie chciał zostać bohaterem, dostrzegł swoją szansę. No i będzie bohaterem jak się patrzy - martwym bohaterem.
 - Hej, cwaniaku! - zawołałem do Laanarsa. - To jednorazowa oferta. Wyjdziecie stąd teraz, a nic się wam nie stanie.

- Jeśli komuś coś się stanie, nie będę to ja. — Laanars przyjrzał mi się uważnie. - Siadaj i zamknij się.

Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce.
 - Jeżeli chcesz mnie wypróbować, to proszę bardzo. Laanars rozejrzał się z niedowierzającą miną.

- No nie, to nie do wiary, że możesz być aż tak głupi. - Jego prawa ręka opadła na rękojęść blastera i spojrzał mi prosto w oczy. - Już nie żyjesz.

Sięgając do Mocy, wypełniłem jego umysł obrazem, w którym wyciąga blaster, by wycelować go w moją głowę. Domalowałem wyraz przerażenia na mojej twarzy, ale zaszczepiłem mu też w głowie wrażenie, że sam ukrywam broń w prawym rękawie. Zobaczył, jak blaster pojawia się w mojej dłoni, wycelowany w jego stronę. Nie miał wyjścia. Trzykrotnie pociągnął za spust.

Tyle tylko, że blaster nie wysunął się jeszcze nawet do połowy z kabury. Wszystkie trzy strzały trafiły go w prawe udo, roztrzaskując kości. Z rykiem runął w dół, tarasując przejście. Biril podbiegł do niego i przykucnął, usuwając się ze strefy ataku Keevy'ego. Popatrzył na swojego towarzysza, a potem na mnie.

- Jesteś trupem, koleś.

- Nie wydaje mi się. - Ród Halcyonów mógł nie mieć zbyt wielkich umiejętności w dziedzinie telekinezy, ale w końcu nie tak trudno otworzyć zatrask przeladowanego schowka na bagaż. Pokrywa schowka odskoczyła, a toboły Kuatianki wypadły prosto na plecy i barki Birila. Odwrócił się gniewnie, wymachując wibroostrzem, ale zaraz odwrócił się z powrotem w moją stronę. Zdążyłem już jednak skoczyć ponad siedzeniami i kopnąć go w klatkę piersiową. Poleciał do tyłu, potykając się o torby Kuatianki, w tym samym momencie, gdy Keevy wypadł z kabiny pierwszej klasy w ślepym ataku. Wyrznął czołem prosto w podbródek Birila, który zwiotczał nagle i runął jak długi na pokład. Keevy przeleciał nad nim i wylądował na kolanach dwóch młodych kobiet.

Wyrwałem Laanarsowi blaster z kabury, przełączyłem na ogłuszanie i włądowałem w niego pojedynczy strzał. Dwa kolejne wystrzeliłem w Birila. Odwróciłem się i rzuciłem broń stewardesie.

- Czy może pani odłączyć rękaw cumowniczy? Złapała broń i z wahaniem przytaknęła.

- Tak, ale tylko na rozkaz kapitana. Spojrzałem na plaketkę z jej nazwiskiem.

- Dobra, Annisya, właśnie wydałem ten rozkaz.

- Proszę pana, wiem, że ma pan uprawnienia do pilotowania promów tego typu, ale...

Rozłożyłem ręce.

- Zbliżają się kolejni piraci, a kapitan chyba nie ma wśród nich. Lepiej, żebyśmy się stąd wynieśli. Powinniśmy uciekać, bo czekanie na kapitana nie na wiele nam się przyda.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym pokiwała głową.

- Rozkaz, kapitanie Idanian.

Złapałem Keevy'ego za kołnierz i dźwignąłem go z kolan dwóch ślicznotek, które, sądząc z wyrazu twarzy, były głęboko przekonane, że właśnie uratował im życie.

- Naprawdę umiesz obsługiwać ten AP127 coś tam?

- AP127CP? - Grdyka podjechała mu do góry i opadła. - Tak, proszę pana.

- Nie kłamiesz? Kłudzisz na szali ludzkie życie. Wyprostował się i przyjął postawę, którą uznał za pewne za wojskową.

- Umiem. Uśmiechnąłem się.

- No to do kokpitu, chłopcze. Chciałeś latać w warunkach bojowych? Więc sobie polatasz.

Keevy potarł guza rosnącego mu na czole.

- Będziemy próbowali prześcignąć imperialny gwiazdny niszczyciel?

- A co, jakiś problem?

- No... to nie będzie łatwe.

- Oczywiście, że nie. Gdyby było łatwe, nie byłoby warte zachodu. - Popchnąłem go lekko w stronę dziobu. - Ty mi tylko obliczysz kurs i podasz wektor wyjścia. Ja nas ustawię na ten kurs i wynosimy się.

Popatrzył na mnie.

- Ale, proszę pana... nawet pilot z Eskadry Łotrów nie wydostałby nas stąd! Wiem to na pewno!

- A po tym wszystkim będziesz wiedział jeszcze więcej. - Poklepałem go po plecach. - Zapnij pasy, synu, bo czeka cię przejażdżka twojego życia.

ROZDZIAŁ

32

Usadawiłem się w fotelu kapitana, założyłem słuchawki zestawu łączności i zacząłem włączać przełączniki. Ich rozkład nie różnił się zbyt od tego na promie, którym przyleciałem na Yavin. Zauważyłem, że moduł kontroli uzbrojenia został tu zastąpiony czymś, co nazywało się „systemem rozrywkowym”. Wzruszyłem ramionami i wcisnąłem przycisk, włączając holofilm dla pasażerów promu.

Keevy usiadł z boku, w fotelu nawigatora. Zapiął pasy i przez chwilę siedział nieruchomo, a potem spojrzał przed siebie i zamarł. Nad nami wisiał „Gnębiciele”. Patrzyliśmy na niego z profilu, więc sztyletowaty kształt statku nie rzucał się w oczy tak bardzo. Niszczyciel znajdował się nieco niżej od nas - gdybyśmy wystartowali lecąc w prostej linii, przelecielibyśmy dobre sto metrów ponad głównym pokładem. Przyjrzałem się statkowi w taki sposób, jakbym patrzył na niego z X-skrzydłowca - sprawdzając pozycją dział, lokalizując generatory tarcz. Na monitorze pomocniczym wywołałem zeskanowany obraz „Gnębiciele” i zauważyłem, że nawet nie podnieśli osłon.

Jedna torpeda protonowa, pomyślałem, i zapłacisz za swoją arogancję, Tavira. Spojrzałem na Keevy'ego, który nadal siedział bez ruchu.

- Jakiś problem, Keevy? Zamrugał i wzdrygnął się.

- Nie, przepraszam.

- Będziesz umiał obsłużyć komputer nawigacyjny?

- Tak, jasne. - Zaczął wciskać przełączniki. - Dokąd lecimy?

- Krótki skok na obrzeża systemu, a potem po średnicy na przeciwną stronę. Stamtąd dalej. - Zmarszczyłem brwi i zastanowiłem się przez chwilę. — Zabierz nas do sektora Quence, na Elshandruu Pica. Mam tam paru przyjaciół.

- W porządku. Obliczam kurs.

Na mojej konsoli rozległ się głośny brzęczyk, który oznajmił, że rękaw cumowniczy został odłączony.

- Keevy, wcisnij tamten zielony guzik.

Rozejrzał się i wcisnął przycisk, który uwolnił i schował nasze pazury cumownicze.

- Zrobione.

- Dobrze. Po twojej prawej stronie jest moduł kompensacji przeciążenia. Nastaw go na dziewięćdziesiąt pięć procent dla kokpitu i na pełną moc w kabinie pasażerów. - Rozejrzałem się dookoła. - Mam tu chyba gdzieś tarcze?

Keevy uśmiechnął się.

- Tam. Już je znalazłem. Do licha, to model Chepat Najlepszy Obrońca! Bardzo ładnie!

- Mam nadzieję, że nie będą nam potrzebne. - Włączyłem zapłon, zwiększyłem dopływ mocy z głównego napędu i przełączyłem ciąg na obwody repulsorów. Włączyłem interkom pokładowy i odezwałem się, usiłując mówić lekko:

- Ruszamy. Siedźcie spokojnie, a prawdopodobnie niczego nie poczujecie.

Włączyłem teraz moduł łączności, próbując nadać wezwanie o pomoc, ale w słuchawkach rozległy się tylko piski i trzaski.

- Zagłuszają nasz kanał łączności. - Włączyłem filtr przeciwwzruszeniowy, co natychmiast przerwało nieznośne odgłosy.

Oczy Keevy'ego rozszerzyły się.

- Nie możemy wezwać pomocy?

- Nie, jesteśmy zdani tylko na siebie. - Oczywiście, pomyślałem, gdyby gdziekolwiek w okolicy był ktoś, kto mógłby przylecieć nam na pomoc, Tavira zabrałaby się stąd bardzo szybko. Fakt, że nadal tu jest, oznacza, że nie ma co liczyć na żadną odsiecz.

Annisya weszła do kabiny i przypięła się do fotela obserwacyjnego, który wcześniej zaproponowano mnie.

- Wszyscy siedzą, pasy zapięte.

- Dobrze. - Siedziałem przez chwilę bez ruchu, koncentrując się, po czym kiwnąłem głową. - Keevy, pierwsze współrzędne. - Kurs dwa-dwa-trzy, kąt trzy do pięciu.

- Zrozumiałem. Włączyć tarcze.

- Tarcze podniesione.

- Annisya, czy możesz włączyć skaner na nagrywanie? Chciałbym zebrać jak najwięcej danych, zanim się oddalimy.

Położyłem dłonie na drążku sterowniczym i spojrzałem na „Gnębiciele”.

- Ruszamy!

Otworzyłem przepustnice i pociągnąłem do siebie drążek, unosząc do góry dziób promu. W tym samym momencie, mijając „Paletę”, włączyłem przycisk opuszczający skrzydła i zablokowałem je w tej pozycji. Wiedziałem, że jeśli nawet podniesienie tarcz nie zaalarmowało „Gnębiciele”, że coś jest nie tak, opuszczenie skrzydeł na pewno ich o tym przekona. Rzut oka na ekran taktyczny ukazał trzy łapsy, które odłączyły się od swojej formacji i leciały w naszą stronę.

Zablokowszy skrzydła, otworzyłem przepustnice do końca i zanurkowałem.

Moduł łączności zatrzeszczał, gdy zagłuszanie na częstotliwości awaryjnej uciuchło.

- Wzywam prom „Tinta Blue”, tu „Gnębiciele”. Zatrzymajcie się natychmiast, a unikniecie zniszczenia.

Keevy spojrzał na mnie przerażony.

- Czy nie powinniśmy im odpowiedzieć?

Kiwnąłem głową w kierunku zestawu słuchawek przy jego siedzeniu.

- Ty z nimi pogadaj.

- Ja?

- Ja jestem teraz zajęty. - Położyłem prom na bok i pociągnąłem drążek do siebie, wyprowadzając nas w górę i w bok z lotu koszącego. Stara koreliańska korweta ruszyła, by zablokować nasz kurs i wypełniła przestrzeń wokół nas rubinowymi promieniami energii. Zauważyłem, jak dwa błękitne pociski jonowe przeleciały obok, więc pchnąłem ster pomocniczy, kładąc statek na sterburcie, która sprowadziła nas z toru ślizgu, którym lecieliśmy. Przechyliłem statek z powrotem w lewo w półobrocie, podnosząc jednocześnie na kilka sekund dziób promu, a potem znów pchnąłem drążek do przodu.

W ten sposób znaleźliśmy się na wprost „Gnębiela”, którego sylwetka wypełniła nasze iluminatory. Ciężkie baterie turbolaserów niszczyciela obróciły się w naszą stronę, próbując nas ostrzelać, ale lecieliśmy tak blisko statku, że boczne działa miały trudności z namierzeniem. Co więcej, iluminacja, jaką nam zgotował, rozpedziła na chwilę łapsy. Keevy założył słuchawki.

- Zgłasza się „Tinta Blue”, wzywam „Gnębiela”.

- Cudownie - mruknąłem. - Zamierzasz ich zapytać, czy mają szlachetne intencje? Wzruszył ramionami.

- Czy macie szlachetne intencje?

- „Tinta Blue”, oszalałeś, czy chcesz popełnić samobójstwo? Keevy zmarszczył czoło.

- To chyba pytanie retoryczne, co?

Pełne konsternacji ryki łącznościowca z „Gnębiela” wywołały uśmiech na mojej twarzy.

- Dobry sposób, by ich zmusić do zastanowienia, Keevy. Uśmiech na jego twarzy znikł gwałtownie, gdy przez komunikator rozległ się gniewny kobiecy głos.

- Tu admirał Tavira do „Tinta Blue”. Nie przylecieliśmy tu bawić się z wami w chowanego!

Uniosłem rękę, żeby uciszyć Keevy'ego.

- Przykro mi, pani admirał, ale my tak. Złapcie nas, jeśli wam się uda. - Wyłączyłem kanał łączności i odwróciłem statek, tak że lecieliśmy brzuch w brzuch z „Gnębielcem”. Cofnąłem drążek sterowniczy, kierując nas dalej od niszczyciela, a potem skręciłem w lewo, wprowadzając statek w spiralę, od której gwiazdy przed nami zawirowały.

Widzieliśmy je tylko chwilami między szkarłatnymi zasłonami ognia laserów.

Keevy objął się ramionami, jakby zbiegające się z prawej i lewej strony promienie tworzyły ścianę, o którą mieliśmy się roztrzaskać.

- Zginieemy!

- Ani mi to w głowie! - Przymknąłem przepustnice, odwróciłem ciąg na dwie sekundy, a potem znowu otworzyłem na pełną moc i wyrównałem lot. Turbolasery niszczyciela ostrzeliwały nas, a tarcze Chepata zatrzeszczały, gdy strzały muskały nasze

burty, ale udawało nam się jak dotąd lecieć z kadłubem nietkniętym. Kiedy mineliśmy niszczyciel, znowu zacząłem lawirować.

- Włącz hipernapęd, jak tylko będziemy gotowi do skoku, Keevy. Chłopak spojrział na mnie.

- Ale jak...?

- Nie teraz. - Uśmiechnąłem się do niego, żeby mu dodać otuchy. Sam też poczułem ulgę. Traktowałem prom jak myśliwiec -tyle że wielki, wolny i niezgrabny. W obsłudze przypominał mi trochę myśliwiec typu Y, chociaż naturalnie wolniejszy i mniej zwrotny. Nie był to elegancki statek, ale też nigdy nie miał takim być.

Był za to dużym statkiem o potężnych tarczach. Nie dałby sobie rady z bezpośrednim ostrzałem gwiazdnego niszczyciela, ale nagłe zmiany kursu powodowały, że artylerzyści „Gnębiela” nie nadążali ze strzałami, które mijały się w fazie z manewrami promu. Straciliśmy mnóstwo mocy na tarczach, ale utrzymały się. Chociaż wielki i powolny, prom miał nad myśliwcem tę przewagę, że był w stanie przetrwać większe uszkodzenia.

Keevy pociągnął dźwignię hipernapędu i gwiazdy rozciągnęły się w tunel na kilka sekund, po czym z powrotem zamieniły się w punkciki, gdy powróciliśmy do normalnej przestrzeni.

- Nowy kurs to jeden-trzy-siedem, kąć zero-cztery-pięć.

- Zrozumiałem. - Przyciągnąłem do siebie drążek sterowniczy i położyłem statek na sterburcie. Rzuciłem okiem na ekran taktyczny. - Droga wolna. Keevy, czyń honory.

Keevy znów pociągnął dźwignię i skoczyliśmy. Po drugiej stronie systemu znów skorygowaliśmy kurs, a potem ruszyliśmy do Elshandruu Pica. Byłem już tam kiedyś, kiedy eskadra działała w pojedynkę, walcząc z Ysanną Isard o kontrolę nad kartelem bacta. Keevy, jako entuzjasta wszystkiego, co wiązało się z Eskadrą Łotrów, wiedział wszystko o Elshandruu Pica, więc uraczył Annisę i mnie opowieścią o jej przygodach w tym systemie.

Jego opowiadanie trwało dłużej niż sama operacja, ale mieliśmy mnóstwo czasu do zabicia. Pod koniec Annisya miała, rzecz jasna, ochotę zamordować biednego Keevy'ego.

Kiedy wyskoczyliśmy z nadprzestrzeni, ustawiłem kurs na „Błądną Wyprawę”. Zaryzykowałem, zakładając że będzie właśnie tutaj, więc ucieszyłem się, widząc statek w systemie. Kina Marghat jest właścicielką ośrodka wypoczynkowego na Elshandruu Pica i koneserką wszystkiego, co rzadkie i egzotyczne, co oznacza, że Booster uważają za niemal tak wspaniałą jak pieniądze, które na niej zarabia. Klub „Dwadzieścia Siedem Godzin” w jej ośrodku proponuje klientom stałe wyzwanie, by wymienili nazwę koktajlu, którego pracownicy baru nie będą umieli sporządzić, a jeśli okaże się, że umieją, klient stawia kolejkę. Booster regularnie dostarcza tam przepisy nowych drinków i likiery potrzebne do ich sporządzenia. Wydaje mi się też, że Booster jest zainteresowany Kina, ale ponieważ Mirax uważa, że Kina jest za młoda dla jej ojca, nie poruszamy tego tematu zbyt często.

Podczas gdy Keevy snuł swoją opowieść o operacji Elshandruu Pica, spisałem i przygotowałem do wysłania na „Błędną Wyprawę” krótkie sprawozdanie na temat tego, jak się tu znaleźliśmy i czego chcę od Boostera. Odpaliłem sprawozdanie podczas powolnego podejścia do „Błędnej Wyprawy”, poczekałem jakieś piętnaście minut, dając Boosterowi czas na przeczytanie mojej wiadomości i rozpoczęcie przygotowań, a potem poprosiłem o zezwolenie na przycumowanie do „Błędnej Wyprawy”.

„Tinta Blue” otrzymał zgodę na natychmiastowe lądowanie, więc po chwili posadziłem prom zaledwie o jakieś sto metrów od Łowcy Głównych. Booster we własnej osobie wyszedł nam na powitanie, szokując przyciągającym wzrok i modnym, ale odrażająco jaskrawym strojem. Powitał ciepło każdego z pasażerów z osobna, obiecując im wszelkie wygody po ich budzących grozę przejściach. Kilku jego ludzi nie zwlekając zaprowadziło pasażerów - a z nimi Annisyena Pokład Brylantowy, zostawiając Keevy'ego i mnie przy wahadłowcu.

Booster przedstawił się, a oczy Keevy'ego zaślniły.

- Pan jest teściem Corrana Horna!

- Tak, ożenił się z moją córką. - Booster zdołał utrzymać na twarzy uśmiech. - Idanian zawiadomił mnie, że nieźle się znasz na urządzeniach astronawigacyjnych. Czy to prawda?

Keevy zamrugnął, po czym przytaknął.

- Na tego typu statkach stosuje się seinarski system Starpath, prawda?

- Rzeczywiście! - Booster uśmiechnął się do mnie. - Ten mały to geniusz.

- Tak sobie właśnie myślałam. - Poklepałem Keevy'ego po ramieniu. - Wyciągnął nas z paskudnych tarapatów, kiedy zaatakowały Gnęby. Pomyślałem, że jeśli w liniach Tinta nie zaproponują mu pracy, może ty byś go zatrudnił?

- Tu, na „Błędnej Wyprawie”? Mnie? Tutaj? Na statku, który wygrał bitwę o Thyferę? - Keevy skubał palcami dolną wargę. - To chyba niemożliwe, prawda? To znaczy przecież ten statek to historia, no i jego związki z Eskadrą Łotrów, i wszystko, czego pan dokonał później... to jak muzeum albo jak marzenie, albo jedno i drugie - muzeum marzeń!

Booster zmrużył oczy, ale nie przestał się uśmiechać.

- Pogadamy o tym później. Na razie, Keevy, jesteś moim gościem. Hassla'tak, zaprowadź Keevy'ego Sparta do Szmaragdowego Apartamentu.

Hassla'tak, Twi'lekianin, którego *lekku* wiły się jak ukłute szpilką węże, gestem wskazał Keevy'emu drzwi do turbowindy. Usłyszałem, jak Keevy zarzuca go pytaniami, na które Twi'lekianin owszem, odpowiadał, ale we własnym języku.

Booster uśmiechnął się krzywo.

- Nie słyszałem, żeby Hassla'tak używał tego języka od czasów, jak sullustiańska wycieczka rządowa kompletnie splukwała się w naszym kasynie.

- Keevy potrafi być trochę męczący. Dzięki, że nie dałeś mu poznać, kim jestem.

- Odbiorę to sobie z procentem.

- Dopisz do rachunku. - Pokazałem kciukiem na prom. - Chciałbym, żeby twoi ludzie wyciągnęli z pamięci skanera wszystko, co mogłoby dać nam wskazówkę, gdzie ukrywają się statki Gnębów.

- Załatwię to na samym początku. - Booster przyjrzał mi się uważnie. - Jest tu Mara Jade. Przyjechała razem z Carlissianem, żeby węszyć na prawo i lewo. Wypytuje o jakiegoś Jorj Car'dasa. Lando właśnie próbuje rozbić bank na Pokładzie Brylantowym. -W jego głosie zabrzmiała irytacja.

- Jak mu idzie?

Booster wzruszył ramionami.

- Banku jeszcze nie rozbił, ale i tak radzi sobie za dobrze, żeby mi się to mogło podobać. Myślę, że powinienem mu przedstawić twojego znajomka Keevy'ego.

- Jasne. Powiedz Keevy'emu, że ma okazję zapytać Landa, jak to naprawdę było, kiedy pomógł Wedge'owi Antillesowi rozwalić Gwiazdę Śmierci nad Endorem.

- No wiesz... nawet twój ojciec nie był aż tak bardzo okrutny, tajniaku.

- Działasz na mnie inspirująco, Booster. - Popatrzyłem na Łowcę Głównych. - Czy Mara jest bardzo zła z powodu swojego statku?

- Nie wygląda na to, jednak chciała z tobą porozmawiać. -Zmrużył oczy. - Chyba nie myślisz, że mogłaby stosować jakieś sztuczki Jedi, żeby Lando wygrał, co?

- Szczerze mówiąc, sądzę, że chciałaby kupić Landa za tyle, ile uważa, że jest wart, a sprzedać go za tyle, ile on uważa, że jest wart. - Uśmiechnąłem się. - Nie sądzę, żeby mu pomagała.

Z tyłu za plecami Boostera otworzyły się drzwi turbowindy i wyszła przez nie Mara Jade. Ruszyła prosto w naszą stronę krokiem tylko odrobinę sztywnym. Nie to mnie jednak uderzyło w jej wyglądzie, ale ubranie, które wydało mi się zupełnie nie na miejscu. Czarne spodnie i miedziana tunika były jakby nieco zbyt męskie w kroju, ale sposób, w jaki narzuciła na prawe ramię krótką czarną pelerynę, stanowił zapewne ostatni krzyk mody. Nie zauważyłem miecza świetlnego, ale równie dobrze mógł być schowany pod peleryną.

Booster uklonił się jej.

- Zostawiam was samych, żebyście mogli swobodnie porozmawiać, a ja sprawdzę, czy Carlissian niczego nie potrzebuje.

- Nie przejmuj się nim aż tak bardzo - warknęła Mara. Uniosłem brew.

- Słyszałem, że macie razem ubić jakiś interes?

- Jakiś interes, tak. — Spojrzała na mnie z niesmakiem i zaczęła skubać rękaw. - Przyjeżdżamy tu, a on mówi, że skombinuje mi bardziej stosowny strój. Potem pozbawia mnie tych niewielu szmatek, które zabrałam ze sobą. Zamiast tego przysyła do mojego apartamentu tutejszego krawca z całym wieszakiem różnych sukien i innych rzeczy, w których Lando chciałby mnie widzieć. Ale zemściłam się na nim, plądrując jego własną szafę. Ma nosa do tkanin, ale jego tuniki są dla mnie ciut przyciasne w klatce piersiowej.

Roześmiałem się.

- Założę się, że jest tym zachwycony.

- Nie jest, i dlatego właśnie od czasu do czasu wypożyczam sobie coś z jego szafy.

- Cię uśmiechu na jej twarzy powoli zbladł. - W jakim stanie był Luke, kiedy wyjeżdżałeś z akademii? -zapytała.

Wzruszyłem ramionami.

- Pod względem fizycznym całkowicie doszedł do siebie. Mara spojrzała na mnie spod oka.

- A pod względem psychicznym? - Ma parę problemów. Z niektórych zdaje sobie sprawę, z innych nie. - Skrzyżowałem ręce na piersi. - Ucieszył się, że przed odlotem z Yavin 4 wpadłaś zobaczyć, czy się z tego wyliże. Był jednak zmartwiony, że nie zostałeś dłużej, dopóki nie wyzdrowiał. Tak naprawdę to więcej czasu poświęciłaś mnie podczas mojej kuracji niż jemu.

Uniosła głowę.

- Ale chyba nie myśli, że coś jest między nami?

- Nic na to nie wskazywało. - Uśmiechnąłem się i poszedłem w stronę Łowcy Główny. - Przecież zna nas oboje. Wie, że nic by z tego nie wyszło. Ty i ja możemy być kumplami, towarzyszami broni, nawet przyjaciółmi, ale niczym więcej.

- Faktycznie, nasze wewnętrzne obwody są naładowane w przeciwną stronę. - O mało się nie uśmiechnęła, próbując dostosować swój krok do mojego. - Gdybyśmy się do siebie za bardzo zbliżyli, narobiliśmy sporo zamieszania.

Przytaknąłem.

- A w końcu byśmy się z hukiem rozstali.

- A potem twoja żona by nas zamordowała.

- Kolejna słuszna uwaga. - Wzdrynąłem się. - Wracając do twojego pytania: Luke był zachwycony osiągnięciami akademii i tym, jak łatwo jego uczniowie pokonali Exara Kuna. Jednak kiedy odjeżdżałem, zafundowałem mu turbolaserową krytykę całej szkoły i w ogóle wszystkiego.

- Wszystkiego?

Zmarszczyłem czoło i oparłem się o przednią przyporę ładowniczą Łowcy Główny.

- Luke stwierdził, że jeśli teraz opuszczę akademię, popełnię grubą błąd i padnę ofiarą Ciemnej Strony. To wtedy właśnie mu dołożyłem, wskazując, że wiele razy byłem po Ciemnej Stronie i zawsze wychodziłem z niej bez szwanku. Myślę, że Luke bardzo się starał przeciągnąć swojego ojca na Jasną Stronę, a potem w dodatku sam się nawrócił dzięki miłości swojej siostry, więc teraz ma trochę skrzywioną perspektywę, jeśli chodzi o Ciemną Stronę.

Przypatrywała mi się uważnie.

- Co masz na myśli? Rozłożyłem ręce.

- Przypuśćmy, że Jedi są tacy sami jak wszyscy inni, tyle tylko, że są uwrażliwieni na Moc. Jeśli tak, to na pewno trafi się kilku urodzonych do tego, by przejść na Ciemną Stronę. No i właśnie to robią. Dobrze im tam i nigdy nawet nie dowiadują się, że jest jakieś inne miejsce. Załóżmy, że stanowią dziesięć procent populacji. Istnieje także następne dziesięć procent na drugim końcu skali - ci zaczynają na dobrej stronie i nigdy nie zwracają się do zła. Reszta z nas sytuuje się pośrodku. Przy odpowiednich bodźcach można nas przeciągnąć na Ciemną Stronę, ale jedni potrzebują do tego silniejszych pokus niż pozostali. Luke przeszedł na Ciemną Stronę, by uratować galaktykę. Mogę sobie wyobrazić, że tym samym kierował się Darth Vader. Obaj wrócili na Jasną Stronę. Luke zapłacił bardzo wysoką cenę za przejście na Ciemną Stronę i z powrotem i pew-

nie dzięki temu uważa każdego za równie podatnego na to niebezpieczeństwo jak on sam. I to go niepokoi. Wzruszyłem ramionami.

- To prawda, walka z Ciemną Stroną jest ważnym elementem jego życia, zwłaszcza jego życia jako Jedi. Jest oczywiste, że ta sprawa go gnębi. Jednak opinia, że każdy musi odbyć podróż na Ciemną Stronę, nie jest najlepszym przykładem logicznego myślenia.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Mara wyciągnęła rękę, żeby wyrwać pazur potwora z dziobu Łowcy Główny. - Przypomnij mi, żeby nigdy więcej nic ci nie pożyczła.

- Bestia, która zostawiła mi tę pamiątkę, miała ochotę schrupać sobie Luke'a na kolację. - Podrapałem się po brodzie. - Nie myślisz, że on przecenia Ciemną Stronę?

- Po tym, jak widziałam Imperatora przy pracy, nie jestem pewna, czy można przecenić niebezpieczeństwa Ciemnej Strony. - Mara pogłaskała gładką powierzchnię pazura. - Myślę jednak, że Luke może postrzegać zło jako głębsze niż jest w istocie. Wiesz przecież, że zło bywa zwykle raczej pospolite.

- To prawda. Niektórzy mogą mieć ku temu specjalny talent, ale nie potrzeba talentu, żeby się w nim pogryźć. - Spuściłem wzrok. - W takim razie myślimy dość podobnie. Ale to tylko część powodów, dla których opuściłem akademię. Nie mogłem się pogodzić z tym, że Kypa okrzyknięto rycerzem Jedi po tym, jak uniknął zasłużonej kariery za unicestwienie Caridy i innych systemów. Wiem, że jego poczynania przeciwko pozostałościom Imperium są popularne w pewnych kręgach, ale dla mnie zbrodnia pozostaje zbrodnią.

Twarz Mary przybrała beznamiętny wyraz.

- Myślisz, że potrafisz rozwiązać ten problem? Wzruszyłem ramionami. - Nie wiem. Może emigranci z Caridy ustanowią jakiś trybunał, który wyda wyrok w tej sprawie. Mam poczucie, że w tym przypadku sprawiedliwości nie stało się zadość, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewien, co byłoby sprawiedliwe w tej sytuacji. To zresztą kwestia przyszłości.

- A więc prawdziwym powodem twojego odejścia z akademii są poszukiwania Mirax?

Pokiwałem głową.

- Jest parę rzeczy, których muszę się dowiedzieć, i parę miejsc, w których będę bliżej niej. Ostatnio wpadłem na Korelię i mam dla ciebie parę plików na temat tego Jorj Car'dasa, o którym mówiłaś w czasie mojej kuracji w płynie bacta. Wszystkie dane pochodzą z archiwum KorSeku. Mam nadzieję, że to ci pomoże.

- Na pewno nie zaszkodzi. - Mara kiwnęła głową. - Nie słyszałam niczego nowego na temat Mirax, a sytuacja w Nal Hutta uległa zmianie.

- Wiem, ale przynajmniej mam jakiś punkt wyjścia. - Uśmiechnąłem się do niej z całą pewnością siebie, na jaką było mnie stać. - Nadal szukam kwarka w molu deuteru, ale udało mi się zawęzić obszar poszukiwań, a to już postęp. Dostanę się tam. Uratuje ją. Nie będę próbować, po prostu zrobię to.

ROZDZIAŁ

33

Wyraz rozradowania na twarzy Boostera przypomniał mi o pewnej bolesnej sytuacji, kiedy udało mu się znaleźć sposób, by zrobić ze mnie głupka w obecności mojej żony. Ponieważ jednak w jego biurze nie było żadnych świadków, podejrzewałem, że to spojrzenie pełne złośliwej radości tym razem było zarezerwowane dla kogoś innego.

Przywołał mnie gestem do biurka.

- Podejdz tu, mam coś dla ciebie.

Podszedłem. Booster wcisnął guzik małego notesu komputerowego, na którym pracował, wywołując z holoprojektora obraz koreliańskiej korwety.

- Ten obraz pochodzi z danych, które zebrałeś, kiedy „Tinta Blue Siedem” wpadł w zasadzkę. Transponder do identyfikacji przyjaciół i przeciwników określił ten statek jako „Kapitański Trap”.

Kiwnąłem głową.

- Na razie nadażam, ale pamiętaj, że ten konkretny sygnał IPP został wybrany pewnie tylko na tę jedną akcję.

- Nie ucz Hutta, jak szmuglować przyprawę!

Booster popatrzył na mnie przez hologram i łypnął zdrowym okiem.

- Synku, podmieniałem transpondery IPP, zanim jeszcze twój ojciec choćby pomyślał o posiadaniu potomstwa. Jak wiesz, IPP to nie jedyny sposób identyfikacji statków. Te odczyty były tak dobre, że moim ludziom udało się przeprowadzić analizę spektralną cząsteczek z dysz jonowych silników podświetlnych. Jeśli ma się dobre odczyty... a te były bardzo dobre... można zauważyć pewne unikatowe cechy każdego statku. Później porównuje się je z odczytami innych statków, aż znajdziesz identyczne.

- I co, znaleźliście coś?

Booster przytaknął i wcisnął kolejny przycisk. Obok pierwszej korwety pojawił się obraz drugiej. Obie wirowały powoli, umożliwiając obejrzenie ich z każdej strony.

- Ten statek to „Zdradziecki Cios”. Zamknąłem na moment oczy.

- Znam skądś tę nazwę, ale nie mogę jej z niczym skojarzyć.

- Był własnością piratów, którzy gnieździli się kiedyś w systemie Khuiumin. Zostali rozgromieni przez Imperium. Zaledwie trzystu z ośmiu tysięcy piratów tego gangu przeżyło imperialny atak. Jacob Nive, kapitan „Zdradzieckiego Ciosu”, był oczywistym

kandydatem na przywódcę Ocalałych, jak się nazwali. Przez pewien czas działali jako najemnicy, ale po śmierci Imperatora wrócili do piractwa, a dyscyplina, którą narzucił Nive, rozluźniła się. Teraz są jedną z grup Gnębów i zapewniają Tawirze najlepszych pilotów łapsów.

Skubnąłem się w brodę.

- Każdy, kto przeżył imperialną rzeźnię, musi być naprawdę ostry. Rozumiem teraz, dlaczego Tawira tak chętnie się z nimi sprzymierzyła. Masz jakieś pojęcie, gdzie mogą teraz być?

- Całkiem niezłe. Po imperialnym ataku układ Khuiumin stał się dla nich zbyt niebezpieczny, więc przenieśli się bliżej swoich nowych pracodawców. Teraz, kiedy Nal Hutta stało się, jak głosi plotka, gniazdem Gnębów, Nive zabrał swoich ludzi z powrotem do układu Khuiumin, na jego czwartą planetę. Parę innych statków i załóg też się tam udało, co pozwala mi sądzić, że tam właśnie jest nowa baza Gnębów.

Oparłem się o krzesło stojące przy biurku Boostera.

- Większość ludzi pewnie opuściła tę planetę, kiedy Imperium rozbiło piratów?

- Jasne, wszyscy z wyjątkiem tych, co nie mogli sobie pozwolić na bilet albo nie mogli dać się przyłapać na jednym z bardziej cywilizowanych światów. Po powrocie piratów powracają tam również ci, którzy dostarczają im niezbędnych towarów i usług.

- Booster uśmiechnął się. - Co ty na to, żebyśmy się tam przejechali, zagrozili, że puścimy miasto z dymem i zażądali wydania Mirax?

Zmarszczyłem brwi.

- Chyba nie mówisz poważnie!

- Corran, piraci Eyttyrmin Batiiv przeszli do historii, gdy uderzyły w nich dwa imperialne niszczyciele klasy Victory. A to, na czym teraz stoimy, to właśnie imperialny niszczyciel. To będzie koniec Ocalałych.

- Chyba nie powinniśmy wcielać w życie tego planu, Booster - pokręciłem powoli głową. - Nie sądzę, żeby oni wiedzieli, gdzie jest Mirax, ale zgadzam się, że sąw stanie nas do niej doprowadzić jak po gwiazdnej alei.

Booster rozparł się w fotelu i położył nogi w długich butach na blacie biurka.

- A więc wydaje ci się, że wślizniesz się pomiędzy nich, zadasz parę pytań, uzyskasz parę odpowiedzi i wrócisz z powrotem? Nie wierzę. To niemożliwe, żeby twój ojciec miał aż tak głupiego syna.

Powstrzymałem się, by nie warknąć na niego.

- Po pierwsze, nie jestem aż tak głupi. Po drugie, ja cię nie uczę obsługi transpondera IPP, więc ty mnie nie ucz infiltracji organizacji przestępczej.

Booster uniósł dłonie.

- Przyznaję, że masz doświadczenie we wkręcaniu się tam, gdzie nikt cię nie zapraszał, ale ci piraci to nie poganiacze dewbacków. Są twardzi i mało sympatyczni, a swoje bajty mają dobrze schowane i zabezpieczone. Nie wiem, czy ich piloci byłiby w stanie cię pokonać, ale mają wylatanych co najmniej tyle samo godzin w przestrzeni w warunkach bojowych co ty. Są niemal na samej górze łańcucha żywieniowego Gnębów, więc przeniknięcie w ich szeregi będzie trudne.

- No cóż, w takim razie muszę po prostu być twardszy niż oni. - Wyprostowałem się i uśmiechnąłem do niego krzywo. - Nie martw się, Booster. Wiem, jak ich zmiekczyć. Przywiozę po prostu Jacobowi Nive piękny, wielki prezent powitalny, a przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

Czwarta planeta układu Khuiumin nazywała się Courkrus, z powodów znanych jedynie osadnikom, którzy skolonizowali ją dawno temu. Największe miasto planety, Vlamya, w kierunku którego leciałem, wyglądało jak poranek po popijawie, którą przeżyła burza piaskowa. Cała planeta nie była tak całkowicie jałowa jak tereny wokół Vlamni. Irygacja i nowoczesne techniki uprawy ziemi pozwoliły na rozkwit rolnictwa, ale po opuszczeniu planety przez piratów i załamaniu gospodarczym, które później nastąpiło, cała okolica zamieniła się w jedną wielką piaskownicę.

W tej piaskownicy znajdował się jednak port kosmiczny, więc tam się właśnie udałem. Nie zawracałem sobie głowy kontrolą lotów ani pozwoleniem na postój. Po prostu okrążyłem lądowisko, wybrałem sobie wolny dok i wylądowałem. Wyglądało na to, że udało mi się zaalarmować parę osób, ale skoro to właśnie było moim celem, efekt mnie zadowolił. Wyłączyłem główny napęd „Tinta Blue”, opuściłem trap, wyszedłem z kokpitu i rozsiadłem się w kabinie pierwszej klasy. Poczęstowałem się piwem i włączyłem sobie lokalny kanał holo na monitorze systemu rozrywkowego.

Omówiłem wcześniej z Boosterem, jak należy załatwić sprawę kradzieży. Nie czułem się najlepiej, zabierając prom, ale gdybym posłał Siolli wiadomość o tym, co się stało, odwołałaby poszukiwania. Gdyby zaś Ocalali dowiedzieli się, że prom nie został skradziony, pozbawiłbym się mojego kamuflażu. Postanowiliśmy więc, że Booster przekaze mojemu dziadkowi wiadomość o tym, co się stało, a dziadek sam zdecyduje, co z tym fantem dalej zrobić.

Nie musiałem długo czekać na Ocalałych. Niebawem wpadli na pokład promu z blasterami w rękach. Uśmiechnąłem się, podniosłem szklanę piwa w niemym toaście i wysączyłem do dna. Nie rozbawiło ich to tak jak mnie, więc wywlekli mnie z kabiny i poprowadzili ulicami do budynku, który - nawet ze zrujnowanym wschodnim skrzydłem - wyglądał imponująco i musiał z pewnością być kiedyś miejscem niezwykle ważnym. Zaciągnęli mnie po schodach do wielkiego gabinetu, a tam bezceremonialnie posadzili na krześle, zerwali mi plakietkę identyfikacyjną i rzucili ją na wielkie biurko.

Z wyjątkiem dwóch piratów z mojej eskorty reszta wycofała się za drzwi, pozostawiając mnie w gabinecie samego z dwoma mężczyznami i jedną kobietą. W pierwszym z mężczyzn rozpoznałem Jacoba Nive'a. Wysoki i dobrze zbudowany, z długimi jasnymi włosami zebranych w gruby warkocz, wyglądał całkiem jak zawadiacki, przystojny pirat z holografów puszcanych na kanałach rozrywkowych. Z bliska widać było wprawdzie obrączki brudu pod paznokciami i blizny na twarzy, wyniesione z wcześniejszych bitew, ale mimo wszystko uznałem go za sympatycznego. Znałem wcześniej takie typy i wiedziałem, że potrafi być naprawdę czarujmy.

Obok niego stała kobieta wzrostu mniej więcej Lando Carlissiana, ale o znacznie ciemniejszym odcieniu skóry. Czarne włosy nosiła przycięte bardzo krótko, a równie czarne oczy patrzyły ostro i przenikliwie. Całkiem miło byłoby na nią popatrzeć, gdyby

nie prawa ręka - mechaniczna proteza, nie pokryta warstwą sztucznego ciała. Trzaski i stuki, jakie wydawała proteza, gdy kobieta obracała w palcach trójkątną monetę kredytową, świadczyły o zniecierpliwieniu.

Trzecią z osób był mężczyzna wyższy nawet niż Nive - czyli znacznie wyższy i mniej więcej o jedną trzecią cięższy ode mnie. Gość był zabójczo przystojny i, co gorsza, nie miał co do tego wątpliwości. Miał półdługie czarne włosy, tak ciemne, że wydawały się niemal granatowe, w odcieniu znacznie ciemniejszym niż jego lodowate, ciemnoniebieskie oczy. Nosił brodę i długie wąsy, które opadały mu jak skrzydła aż na policzki.

Nive popatrzył na mnie i strzepnął mankiety munduru. Wszyscy troje nosili strój, który kiedyś był uniformem Ocalałych z Khuiumin - szare marynarki z czerwonymi mankietami, kołnierkami i napierśnikami, złotym lampasem wokół mankietów i wzdłuż nogawki szarych spodni - ale ich mundury już dawno przeżyły swoje dobre czasy. Połatane były dużymi, widocznymi szwami, ale za to złotą nicią, jakby miały podkreślać rany na ciele, które okrywały. Biorąc pod uwagę ich liczbę na mundurze Nive'a, dziwiłem się, że facet w ogóle jeszcze chodzi, kółko fastrygi nad łokciem kobiety zaś znać było miejsce, do którego sięgała jej proteza.

Herszt piratów wsunął moją datakartę identyfikacyjną w czytnik stojący na biurku, a potem popatrzył na mnie.

- Albo jesteś głupi, albo znudziło ci się życie, Jenosie Idanian, skoro przyprowadziłeś tu ten prom.

- Nie, po prostu jestem niewiarygodnie zuchwały. - Uśmiechnąłem się lekko i założyłem nogę na nogę, jakby to piraci byli w moim biurze, a nie odwrotnie. - Twój ludzie na wiele się powazyli, by zdobyć ten prom, więc postanowiłem wam go dostarczyć.

Rosły brunet roześmiał się.

- I myślisz, że ci dziękujemy?

W ciągu ułamka sekundy z reakcji dwojga pozostałych zorientowałem się, jak na to odpowiedzieć. Spojrzałem na niego zimno i powiedziałem: - Po pierwsze, nie wierzę, żeby myślenie było tym, w czym jesteś najlepszy. - Z premedytacją odwróciłem od niego wzrok i spojrzałem na Nive'a. - Przeprosiłbym za kłopoty, które wam sprawiłem, gdyby nie to, że to wy pierwsi wpakowaliście mnie w tarapaty. Musiałem znacznie się oddalić od pewnych ludzi, a wasza operacja przeszkodziła mi w ucieczce. Nie mogłem na to pozwolić, więc porwałem prom i wymknąłem się.

Twarz Nive'a stwardniała.

- A co się stało z dwoma mężczyznami, którzy powinni być na pokładzie tego wahadłowca?

- Ten mniejszy nie żyje. Wyciągnął na mnie blaster i musiałem go zabić. Większy jest u jednego z moich przyjaciół. Jeśli nie zgłoszę się na czas, on także umrze. - Rozłożyłem dłonie. - Widzicie więc, że nie jestem taki głupi, jak moglibyście myśleć, czy jak ten tu przystojniaczek mógłby sobie życzyć.

Nive podniósł rękę, ucinając protest podwładnego.

- A po co przywiozłeś nam ten statek? Pochyliłem się w krzesło do przodu.

- Zaimponowaliście mi. Widziałem najnowsze wiadomości o waszej operacji i nawet nie wspomnieli o ucieczce promu. Skutecznie splądrowaliście „Paletę” i „Tęczę”, a Nowa Republika nie zrobiła nic... bo nie mogła zrobić nic, by was powstrzymać. Organizacja, która potrafi sprawnie przeprowadzić taki atak, zasługuje na mój szczerzy podziw. Mogłaby również skorzystać z mojej pomocy.

Brunet nie zdołał się opanować.

- Z twojej pomocy? Dobrze sobie! My, Ocalali z Khuiumini! Jesteśmy szkieletem, na którym opierają się pozostałe siły „Gnębiciela”! Co, na czarne serce Imperatora, za tobą przemawia?

Pokazałem mu wszystkie zęby w uśmiechu, który wcale nie był miły.

- To, że was prześcignąłem!

Ta uwaga wywołała konwencjonalne uśmiechy na twarze Nive'a i kobiety, która nadal obracała w palcach monetę, tyle że coraz szybciej.

- Więc zamierzałeś nam zaproponować swoje usługi? W jakim charakterze?

- W charakterze pilota. Ta datakarta potwierdzi, że potrafię latać mniej więcej wszystkim, co się do tego nadaje. Nie latałem jeszcze na myśliwcach typu Tri, ale szybko się uczę.

Potrząsnęła głową.

- Nie mam teraz wolnych miejsc w mojej eskadrze.

- W takim razie załatw je. - Pokazałem palcem na osiłka. - Mogę zająć miejsce tego gówniarza.

- Chyba śnisz!

- Skoro ja śnię, to ty masz koszmary.

Nive roześmiał się na tyle ciepło, że skruszył ścianę lodu, która zaczęła wyrastać między nami.

- Nie całkiem tak to załatwimy, Idanian. Obecna tu kapitan Tyresi Gurtt dowodzi naszą elitarną formacją, Eskadrą Piorunów. Jej członkowie są wybierani na podstawie dotychczasowych osiągnięć, kiedy pojawi się wakat. Porucznik Remart Sasyru właśnie został wybrany na miejsce, które się zwolniło. W skład naszego skrzydła myśliwców Tri wchodzi jeszcze pięć innych eskadr. W niektórych z nich są wolne miejsca. Jak myślisz, Remart, może Eskadra Skał wzięłaby go do siebie?

- Jeden frajer mniej czy więcej nie robi im różnicy. Znów się wyszczerzyłem do Remarta.

- Z przyjemnością przetrzepię ci tyłek!

- Nie! - W głosie Nive'a zabrzmiała lodowata nuta. - Jedyna rzecz, jaką powinieneś sobie zapamiętać o Ocalałych, Idanian, to że nie polują na siebie nawzajem. Każdy, kto występuje przeciwko innemu pilotowi albo go zabija, zostaje oskarżony, osądzony i stracony. Nie jesteśmy mordercami, jak Imperialni. Jesteśmy twardzi, zgoda... ale nie boimy się nikogo w naszych szeregach.

- Zrozumiałem. - Spojrzałem na Remarta i pomyślałem, że mimo wszystko zawsze muszę uważać, kogo mam za plecami. - Pewnie będziesz chciał sprawdzić mój życiorys i przetestować umiejętności pilotażu na myśliwcach Tri, ale zobaczysz, że jestem prawdziwym asem.

- Możliwe. - Nive uniósł dłoń, a ja usłyszałem za sobą szcęk zabezpieczanych blasterów. - Po pierwsze jednak chciałbym się dowiedzieć, jak nas znalazłeś?

- Dane zebrane przez czujniki promu pozwoliły mi zidentyfikować „Zdradziecki Cios” na podstawie strumienia z dysz wylotowych. Podpytałem tu i ówdzie i usłyszałem, że Ocalali wracają tu z Nal Hutta. - Wzruszyłem ramionami. - Informacja o waszej przeprowadzce nie została może specjalnie nagłośniona, ale nie byliście też nie do znalezienia. Parę osób było mi winnych przysługę, więc wykorzystałem to. W tej chwili jedyne dane, na podstawie których można powiązać was z tym napadem, to odczyty ze skanera tego promu, który jest przecież w waszych rękach. Nive uśmiechnął się.

- No i jest jeszcze ta kopia. Zostawiłeś ją u ludzi, którzy przetrzymują Birila.

- Skoro już o tym wspomniałeś... - pokiwałem głową. - Nie jestem przecież taki głupi.

- Mam nadzieję, że nie. - Jacob Nive podał mi rękę. - Bo jeśli jesteś, to przyjazd tutaj okaże się zapewne najgłupszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłeś. Dobrze jest w tym tylko to, że będzie to ostatnia głupota w twoim życiu.

ROZDZIAŁ

34

Ocalali mogli sobie być najlepszymi z Gnębów, ale to niewiele mówiło o faktycznej sytuacji. Gdy poznałem członków Eskadry Skał, uderzyło mnie, że my, Łotry, mogliśmy stać się tacy sami, gdybyśmy przegrali z Imperium i spędzali większość czasu na ziemi, w zapadłych dziurach, czekając na okazję, by obrabować żalosne istoty, którym wiodło się jeszcze gorzej niż nam. Zdarzyło mi się kiedyś przebywać w bardziej przygnębionym, a zarazem przygnębiającym towarzystwie, ale było to wśród więźniów „Lusankyi”, ludzi pozbawionych nadziei na przeżycie i ratunek.

Wszyscy marudzili i narzekali. Zabrano mnie do hotelu, w którym kwaterowali członkowie eskadry, i przedstawiono nowym towarzyszom. Nakk Kech, lider Skał, wskazał mi pokój, który pamiętał lepsze czasy. Zasłony były dokładnie zaciągnięte, ale nie przeszkadzało mi to, bo nie zależało mi specjalnie, żeby dobrze się przyjrzeć pokojowi. Zwinięty kłab pościeli w kącie stanowił zapewne legowisko poprzedniego lokatora, a sądząc po zapachach dochodzących z modułu łazienkowego, był nim ktoś, kto rozumiał wprawdzie, do czego służy łazienka, ale nie pojmował sensu montowania w niej instalacji sanitarnej.

Kech obserwował mnie uważnie, czekając, jak zareaguję na pokój. Szczecina na jego głowie połyskiwała siwizną i brązem, podobnie jak przeredzone włosy na skroniach.

- To najlepszy pokój, jaki mamy. Potrząsnąłem głową.

- Chyba najlepszy, jaki macie wolny. Kech uśmiechnął się.

- No właśnie.

- Nie jest niestety dość dobry dla mnie. - Przeszedłem korytarzem do następnych drzwi i zastukałem w nie.

Otworzyła mi kobieta-wilk z Shistavanen, warcząc donośnie. Miała białe futro i czerwonawe oczka, a choć nie była tak rośła jak inni Shistavanianie, których znałem, rozerwałyby mnie na strzępy w ciągu kilku sekund. Kiedy otworzyła drzwi, poczułem też odór, który powiedział mi, kto wcześniej mieszkał w moim pokoju.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko.

- Jesteśmy sąsiadami. Miło mi panią poznać.

Tubalny śmiech Kecha zagłuszył wysyczaną szorstkim głosem odpowiedź Shistavanianki. Ukłoniłem się jej.

- To na razie!

Kech potrząsnął głową z iskierkami rozbawienia w oczach.

- Caet Shrovl będzie twoją skrzydłową. Jest dobra, zwłaszcza w walkach w głębokiej przestrzeni. Nie lubi zbyt wiele światła.

Wskazałem na następne drzwi.

- Lepszy wybór? Kech potrząsnął głową.

- Tak naprawdę to ja jestem twoim najlepszym wyborem. Zmarszczyłem brwi.

- Więc sądzisz, że powinienem wyrzucić cię z twojego pokoju? Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

- Możesz spróbować i niewykluczone, że ci się uda, ale to byłaby niesubordynacja i atak na oficera starszego stopniem, za co wśród Gnębicieli grozi kara śmierci. Nie pozylbyś dość długo, żeby zebrać owoce takiego postępowania. Najlepsze, co możesz zrobić, to potrząsnąć sakiewką i załatwić paru miejscowych, którzy ci posprzątają.

- Tak sądzisz?

- Domyślam się, że chcesz pokazać, jaki z ciebie twardziel, sprawiając komuś lanie, ale ja nie pozwalam na to w mojej eskadrze. Skopiesz komuś tyłek, zajmiesz jego pokój, ten ktoś się wścieknie, wywołując niesnaski w jednostce... a to zawsze oznacza, że jest o jedną osobę za dużo. - Kech założył ręce na piersi. - Chcesz pokazać, że jesteś twardy, to przyłóż komuś z innej eskadry albo jeszcze lepiej z innych grup Gnębicieli, którzy tu stacjonują. Wśród Ocalałych jedyną rzeczą, jaka się naprawdę liczy, są umiejętności pilotażu.

Rozłożyłem szeroko ręce.

- Świetnie. Chodźmy w końcu polatać. Kech pokiwał głową.

- Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz. Załatwię kogoś, żeby posprzątał twój pokój w czasie, kiedy my będziemy w centrum szkoleniowym.

- Ile mnie to będzie kosztowało? Wzruszył ramionami.

- Zobaczymy, jak dobry jesteś w lataniu. Jeśli uznam, że dostatecznie dobry i że powinieneś dobrze wypocząć, byś mógł uratować mi skórę, może nawet zapłacę za ciebie.

Ocalali nie dysponowali najnowocześniejszym sprzętem szkoleniowym, do którego przywykłem. Wsiadliśmy z Kechem do śmigacza, który zabrał nas na obrzeża kosmoportu. Kech zajechał śmigaczem do hangaru i zaparkował zakurzony czerwony pojazd obok dwóch rozklekotanych łapsów. Pogięte i podrapane, z bliska wyglądały jak powiększone zabawki - zabawki, które ktoś nieźle wytarosił.

Kech zdjął hełm z wieszaka na ścianie i rzucił nim w moją stronę.

- Ty weźmiesz jedynekę, ja dwójkę. Komunikator jest wbudowany w hełm. Słuchaj, co do ciebie mówię i rób, co ci każę. Latałeś już kiedyś na myśliwcu typu TIE, zgadza się?

Przytaknąłem. Latałem wprawdzie tylko na symulatorze, ale pomyślałem, że to powinno wystarczyć.

- Będziemy strzelać?

- Na razie wystarczy ci urządzenia celownicze o zredukowanej mocy. Jak ci się zachce nimi pobawić, oświecę cię, jak to robić.

Podciągnąłem się do kulistego kokpitu myśliwca i wśliznąłem do środka. Trzecia pętwa utrudniała otwarcie wjazdu i wejście do kokpitu, ale jakoś mi się udało. Stałem na fotelu pilota i zamknąłem górną pokrywę. Potem usiadłem i włożyłem kask. Przyjąłem się do fotela i zacząłem zapoznawać się z kokpitem i urządzeniami kontrolnymi.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, była przestronność kabiny w porównaniu z tymi, do jakich się przyzwyczaiłem w X-skrzydłowcu czy Łowcy Główny. Sferyczny kształt kapsuły pozwalał się oczywiście domyślić, że będzie w niej więcej miejsca. Oznaczał również, że statek nie ma dziobu, do czego trudno mi było się przyzwyczaić. Czuję się tak, jakbym się przypiął do silnika. Standardowy wolant myśliwca typu TIE zastąpiono drążkiem, na którym znajdował się spust, gałka kontroli celu i wielopozycyjny przełącznik umożliwiający przerzucanie się na różne rodzaje uzbrojenia. Kiedy ścisnąłem drążek, miałem wrażenie, że został stworzony specjalnie do mojej dłoni i porusza się lekko, choć pole jego ruchu jest dość ograniczone. Pewnie latało się tym statkiem inaczej jak X-skrzydłowcem, ale kontrolki wyglądały podobnie, co stanowiło duży plus.

Wielka przednia szyba i boczne panele zapewniały doskonałe pole widzenia. Główny monitor sensorów i dwa pomocnicze były umieszczone na listwie dzielącej przednią szybę, ale nie zakłócały widoczności. Przepustnica znajdowała się po lewej stronie, ale obsługiwało się ją kręcąc dźwignią, a nie pchając drążek do przodu. Mniejsza, podobnie skonstruowana dźwignia służyła do kontroli repulsorów. Panel łączności także wbudowano z lewej strony, umożliwiając dostęp bez odrywania prawej ręki od drążka sterowniczego. Kontrolka tarczy znajdowała się jednak z prawej, co w bitewnej gorączce mogło oznaczać konieczność podejmowania trudnych decyzji. Pedaly sterów pomocniczych znajdowały się na dole pod monitorami.

Włączyłem przewód kasku do gniazdka panelu łączności.

- Zgłasza się Idanian.

- Kech, przyjmuję. Na dole po prawej masz panel sekwencji zapłonu. Kiedy wszystkie kontrolki zaświecą się na zielono, możesz startować. Wyleć na dziesięciu procentach mocy w kierunku zero-dwa-sześć i zaczekaj na mnie.

- Zrozumiałem. - Wyciągnąłem rękę do dołu i włączyłem przełączniki. Poczekałem, aż lampki systemów przejdą od czerwieni przez żółty do zielonego. W tym momencie monitory obudziły się do życia. Skierowałem moc na obwody repulsorów i mocno trzymałem drążek. Przekreśliłem gałkę dopływu mocy na dziesięć procent i wyprowadziłem łapsa z hangaru przez rozsunięte ferro-betonowe wrota. Wyleciawszy na otwartą powierzchnię, wypróbowałem pedaly sterów pomocniczych i przekonałem się, że statek dobrze reaguje na ruchy w prawo i w lewo. Może nie dawało się nim manewrować tak dobrze jak „Interceptorem”, ale bił na głowę X-skrzydłowca w tej kategorii.

Kech wyprowadził swojego łapsa z hangaru i przemknął obok mnie. Zajął miejsce na czele i wyskoczył w górę na kolumnie strumieni wylotowych z silników jonowych.

- To nie śmigacz, Idanian. Jesteśmy pilotami, a nie kierowcami. Przydałoby ci się trochę atmosfery pod brzuchem.

Uśmiechnąłem się i otworzyłem przepustnicę.

- Wedle rozkazu, szefie!

Wznosiłem się stopniowo po spirali, co pozwoliło mi ocenić moc i szybkość reagowania statku. W porównaniu z X-skrzydłowcem, myśliwiec Tri nie wypadł najgorzej. Zasięg czujników nie był wprawdzie zbyt duży, ale bez torped protonowych czy pocisków udarowych znikła potrzeba zwiększonego zasięgu. Statek kładł się na boki trochę ospale, ale współczynnik wznoszenia był dobry, a nurkowania - wręcz imponujące.

Przed wszystkim jednak zachwyciła mnie zwrotność łapsa. Reakcja pedali sterów pomocniczych pozwalała na szybkie zwroty w każdą stronę. Co więcej, dźwignie przepustnicy i repulsorów działały na wiele sposobów. Przy otwartej przepustnicy jej przyciągnięcie wprowadzało statek w neutralny, zabójczy ciąg. Przycisk na końcu dźwigni pozwalał odwrócić ciąg, więc przy ponownym opuszczeniu dźwigni, silniki pracowały na wstecznym. Dzięki tej szybkiej metodzie odcinania napędu manewr w rodzaju skoku na wstecznym ciągu nie wymagał zmniejszenia i ponownego zwiększenia napędu, a jedynie jego odłączenia. Podobnie można było ustawić na określonej mocy repulsory, wyłączając je do momentu, aż będą potrzebne. Jeden obrót dźwigni przepustnicy i odcięcie repulsorów wystarczało, by łaps zatańczył.

Najwidoczniej Gnęby, których dotychczas spotykaliśmy, nie byli z tych najlepszych.

Kech był nie najgorszy, a ja pokazałem mu, że też nie pasalem nerfów. Kiedy zapoznał mnie z podstawami, zabawiliśmy się w polowanie. Był ode mnie nieco lepszy, ale najwyraźniej zaimponowało mu, że dostałem tak mało trafień.

- No, no, Idanian, niełatwo cię trafić!

- Zrozumiałem, dowódco. - Roześmiałem się głośno, wprowadzając statek z powrotem na kurs do ośrodka szkoleniowego. - To mi wróży długowieczność.

- Dobrze, że tak myślisz, bo mamy misję do wykonania.

- Misję? - Zakasłałem lekko, uniosłem w zamyśleniu rękę i postukałem się po helmie. - Siedzę w tej bestii pewnie nie dłużej niż godzinę!

- To i tak lepiej niż niektórzy z pilotów załogi „Czerwonej Supernowej”. Natknęli się parę miesięcy temu na Eskadrę Łotrów i oberwali jak cholera. - Usłyszałem niski chichot. - Ale nie martw się, tym razem mamy w planach coś innego. Bierzymy co nasze i w nogi!

Zamknąłem przepustnicę i włączyłem repulsory, bo zbliżaliśmy się do hangaru.

- Czy leci z nami „Gnębiciele”?

- Nie, to sprawa osobista. - Kech roześmiał się szorstko. - Nie tak lukratywna, ale spodoba ci się.

Okazało się, że misja sięgała korzeniami do imperialnego ataku na piratów Eyttyrmin Batiiv - ataku, który zredukował ich liczbę do żalostnej bandy, znanej jako Ocatali z Khuiumin. Imperialne niszczyciele klasy Victory - „Kanonada” i „Krucjata” - wy-

biły dziewięćdziesiąt siedem procent piratów, pozostawiając im „Zdradziecki Cios” i garstkę myśliwców. Ocalali poprzysięgli zemstę kapitanom tych dwóch niszczycieli, a jeden z nich, kapitan Zlecę Oonaar, podróżował właśnie „Galaktyczną Szansą”. Ktoś na „Szansie” uznał, że sprzedanie Oonaara jest pewniejszym sposobem zdobycia fortuny niż jakiegokolwiek zakłady w kasynie pokładowym, a wiadomość o tym dotarła do Niv-e’a.

„Szansa” była koreliąską korwetą, którą rywal Boostera przerobił na miniaturę „Błędnej Wyprawy”. Myślę, że Booster niewiele by sobie z tego robił, gdyby nie jedno: właściciel „Szansy” pomalował statek na jaskrawy odcień czerwieni. Booster chciał zrobić to samo z „Błądną Wyprawą”, ale szybko się okazało, że w całej galaktyce nie mógł dostać wystarczającej ilości czerwonej farby. Jedyńm kolorem, który występował w odpowiedniej ilości i po rozsądnej cenie, była charakterystyczna biel gwiazdnych niszczycieli, co Booster uznał za dowód, że Imperator specjalnie wziął się na niego.

Opisanie odprawy, jaką mieliśmy przed misją, jako krótkiej wymagałoby zdefiniowania tego słowa na nowo. Wylądowałem w kluczu trzecim, razem z Caet i dwiema innymi kobietami, obydwoma ludzkiej rasy. Jako numer bojowy przydzielono mi, całkiem przypadkowo, dziewiątkę, co uznałem za pomyślny zbieg okoliczności, bo na ten numer instynktownie reagowałem. Nasz klucz dostał zadanie osłaniania dwóch innych formacji Skał, które miały zneutralizować uzbrojenie „Szansy” i cztery Brzydale - typu TIE, jak sądzono. „Zdradziecki Cios” miał nas zabrać na miejsce, a kanonierka Skipray - przycumować do „Szansy” i zabrać z niej Oonaara. Formacje, które dostały zadanie ostrzelania „Szansy” wybrano do tego zadania dlatego, że składały się z prawdziwych Ocalałych, a nie z pilotów, którzy dołączyli później, jak ja.

Uderzyło mnie jedno: wykonanie tak ważnej misji powinno przypaść w udziale Eskadrze Piorunów, ale okazało się, że Nive wybrał losowo oddział, któremu dano ten zaszczyt. Nie miałem wątpliwości, że Remart żałował teraz swojego przeniesienia do Piorunów. Odniosłem też wrażenie, że nikt w Eskadrze Skał specjalnie po nim nie płakał, a kilku osobom sprawiło wyraźną przyjemność, że ominęła go taka gratka.

Odlecieliśmy na „Zdradziecki Cios”, z którego musieliśmy przejść w próżni do naszych myśliwców. Podobnie jak myśliwce typu TIE, łapsy nie mają wewnętrznej atmosfery ani systemów podtrzymywania życia, dlatego musieliśmy nosić skafandry próżniowe. Dzięki temu było nam jednak łatwiej przeczołgać się po kadłubie do naszych statków, niż gdybyśmy pilotowali X-skrzydłowce. Dotarłem do mojego statku, zamknąłem właz, włączyłem silniki i zameldowałem się. To samo zrobili pozostali, nie zwracając sobie specjalnie głowy dyscypliną łączności.

„Zdradziecki Cios” skoczył w nadprzestrzeń, zrobił jeden skok pośredni, a potem ruszył do miejsca, gdzie miała znajdować się „Szansa”. Nasza podróż potrwała bite trzy godziny i po raz pierwszy, chociaż doceniałem przestronność wnętrza kokpitu, żałowałem, że nie ma w nim atmosfery. Mógłbym wtedy zdjąć kask, coś przekąsić i może nawet uciąć sobie drzemkę. Miałem wprawdzie znakomitą widoczność, ale niestety w hiperprzestrzeni nie ma zbyt wiele do oglądania.

Podczas tego lotu uświadomiłem sobie również, jak bardzo brakowało mi Gwizdka. Wiem, że nie należy się przywiązywać do robotów astromechanicznych, ale latali-

śmy razem od lat. Chociaż Gwizdek przechodził zawsze rutynowe czyszczenie pamięci i odświeżanie oprogramowania, wydaje mi się, że znalazł jakiś sposób, żeby zapisać swoją osobowość na serwerach KorSeku i wczytywać ją każdorazowo po czyszczeniu. Dzięki temu zachował przebiegłość i niezależność umysłu, która nieraz okazała się nieoceniona. Gdyby nie on, już dawno byłbym trapez.

Podczas długich lotów gawędziliśmy sobie z Gwizdkiem na różne tematy - jak na przykład ojcostwo - i zawsze mogłem liczyć na to, że mnie wysłucha. Właściwie był dla mnie tym lustrem, o którym mówił mój ojciec w swoim powiedzonku. Kiedy mi trochę odbijało, Gwizdek przywoływał mnie do porządku i w większości przypadków miał rację. A jeżeli nie miał... cóż, na pewno były takie okazje, ale jakoś nie mogę sobie ich przypomnieć.

„Zdradziecki Cios” wyszedł z nadprzestrzeni tuż nad „Szansą”. Klucz pierwszy i drugi wystartowały, pikując w kierunku korwety. „Skała Cztery” eksplodowała, trafiona bezpośrednim strzałem jednego z podwójnych dział turbolaserowych. Zielone pociski zerwały kokpit z równą łatwością, z jaką wiatr zrywa płatki kwiatu, rozdzierając je na kawałki i odrzucając w przestrzeń długie, postrzępione kawały uzbrojenia statku. Silniki jonowe łapsa eksplodowały, wyrzucając w przestrzeń trzy płetwy statku. Pozostałe działa „Szansy” wypełniły próżnię olbrzymią ilością energii, ale Czwórka była jedynym celem, w jaki artylerzystom „Szansy” udało się trafić, zanim nie wyeliminowaliśmy z gry ich dział.

Szóstka TIE-skrzydłowców stanowiąca lotną straż „Szansy” powinna była rzucić się na nas, gdy tylko się pojawiliśmy. TIE--skrzydłowiec stanowi mariaż kulistego kokpitu od myśliwca typu TIE ze skrzydłami i silnikiem myśliwca typu Y. W pełni zasługuje na miano Brzydala, a w Eskadrze Łotrów jest powszechnie znany jako „Lotny Zgon”. Ślamazarny i niezgrabny, wygląda jak dziki nerf po ataku stada taopari. Cała szóstka została wyeliminowana w ciągu pięciu minut. Przyglądałem się walce sfrustrowany, bo moi towarzysze puszczali w próżnię strzały, które powinny były wykończyć Brzydali znacznie wcześniej, a dwóch przypłaciło brak umiejętności strzeleckich własnym życiem.

Kanonierka Skipray, która z nami przyleciała - „Wibroostrze” -ruszyła w kierunku „Szansy”, podczas gdy nowy statek, prywatny jacht, pojawił się wewnątrz systemu na naszym wektorze wejścia. Nie było to żadną niespodzianką - nie wiedziałem, w jakim systemie jesteśmy, ale zawierał on dostatecznie dużo planet, by liczba możliwych tras wejścia i wyjścia z systemu była znacznie ograniczona. Niespodziankę sprawiło natomiast pół tuzina wyposażonych w hipernapęd Łowców Głównych, stanowiących obstawę jachtu. Ewidentnie nie spodobała im się nasza obecność w tym miejscu. Jacht pojawił się i odplynął w swoją stronę, za to myśliwce ruszyły na nas, ostrzeliwując się z potrójnych blasterów.

Nie czekałem na rozkaz ataku.

- Dziesiątka, kryj mnie! - rzuciłem przez komunikator i otworzyłem przepustnicę. Mój łaps skoczył do przodu. Położyłem go na bok i zanurkowałem w stronę Łowców Głównych, ściągając dwa z nich na siebie. Kciukiem przełączyłem uzbrojenie na działą jo-

nowe, wcisnąłem pedał steru pomocniczego, żeby ustawić się bokiem do nadlatujących pilotów, po czym wyprostowałem łapsa i wcisnąłem spust.

Błękitna błyskawica pocisku jonowego przebiła lewą rozetkę osłony silnika Łowcy. Siatka lazurowych wyładowań elektrycznych zatańczyła na powierzchni przednich osłon, które jednak wytrzymały. Jednak błyskawice przesłoniły pilotowi pole widzenia. Strzały, które oddał w odwecie, przeleciały daleko po obu stronach mojego statku, po czym minęliśmy się, zanim którykolwiek z nas oddał kolejny strzał.

Caet strzeliła do drugiego Łowcy. Wystrzał z jej podwójnych laserów trafił przeciwnika w dziób, przebijając przednie tarcze i wywołując pojedynczy błysk światła. Nawet bez Gwizdka wiedziałem, co to oznacza - że Łowca Główny stracił pakiet sensorów bojowych. Pilot był więc ślepy i głuchy, czyli - z punktu widzenia walki bezpośredniej - martwy.

Oddałem kolejny strzał w kierunku następnego Łowcy Główny, a potem odciąłem moc i pociągnąłem drążek mocno do siebie. Zmniejszyłem ciąg do połowy, włączyłem ponownie, by zakończyć pólpętlę, dałem znów na pełną moc i przechyliłem statek na lewą burtę. W ten sposób znalazłem się na ogonie Łowcy Główny, który gonił za Jednastką. Wpakowałem dwa pociski jonowe w rufowe osłony myśliwca. Pierwszy z nich zestrzelił tarcze, drugi rozlał się błyskawicami wyładowań po całym kadłubie. Z silnika wypnęły iskry - jeśli pilot nie da rady ponownie włączyć silników, jest już po nim.

Czerwonozłote promienie lasera rozjarzyły moje boczne tarcze z prawej strony. Wcisnąłem pedał prawego steru pomocniczego i usunąłem ogon łapsa z linii ataku Łowcy Główny. Następne strzały przeleciały obok mnie po lewej, więc przechyliłem statek na sterburtę, zanurkowałem i wykręciłem długą pętlę. Przechylając statek z powrotem na lewo, zobaczyłem jeszcze jednego Łowcę, który atakował Caet. Pilot zawziął się na nią, więc podleciałem pod ostrym kątem i oddałem pierwszy strzał, który rozwalił jego tylną tarczę. Pilot przechylił statek na prawą burtę, by uciec przede mną, więc mocno wcisnąłem pedał lewego steru, obróciłem dziób statku i podziurawiłem rozetkę osłony jego lewego silnika kolejnym pociskiem jonowym.

Blastery po trafionej stronie Łowcy eksplodowały, a statek zaczął się przechylać, z czego jasno wynikało, że jego lewe silnikopomocnicze też miały kłopoty. Przechyliłem statek na prawą burtę i już miałem wejść w lot koszący, żeby go wykończyć, kiedy rzut oka na monitor taktyczny pokazał mi kolejnego Łowcę, który leciał prosto na mnie, a przecucie podpowiedziało mi, że to ten sam facet, który próbował mnie dorwać wcześniej. Przechyliłem się wolno, pokazując mu swój brzuch, a potem szarpnąłem drążek i zacząłem pikować. Przekręcił się na bok, żeby za mną polecieć i w tym momencie wiedziałem, że mam go w garści.

Zmniejszyłem ciąg do trzydziestu procent, a potem odwróciłem kierunek, pozbywając statek pędu. Pozwoliłem mu wisieć w miejscu przez trzy sekundy, po czym na pełnym ciągu ruszyłem do przodu. W tym samym czasie koleś z Łowcy Główny przemknął obok mnie, tak że wpadłem w strumień z jego dysz wylotowych. Pierwszym strzałem przebiłem jego tylne tarcze. Odpadł na prawo, więc nabrałem wysokości, opuściłem dziób i puściłem się za nim.

Caet przemknęła obok mnie, pakując w niego dwa strzały z blastera. Jeden spalił tylne tarcze, drugi przedziurawił osłonę prawego silnika. Łowca Główny zwolnił i zaczął tańczyć, bo pomocnicze silniki odrzutowe w uszkodzonej rozetce przestały równoważyć oddziaływanie silniczków z drugiej strony. Pilot dał całą naprzód, by uciec jak najdalej, bo stracił możliwość manewru. Był nawet dość szybki, żeby prześcignąć mojego łapsa.

Prześcignąć pocisk jonowy jest jednak znacznie trudniej. Mój strzał trafił go w rufę. Błękitne strużki wyładowań elektrycznych przebiegły po kadłubie jak koszarne palce ze złego snu, krzesząc iskry i wznosząc małe kłęby pary. Wszystkie systemy statku padły, a on sam pomknął naprzód dotychczasowym kursem.

Zobaczyłem Caet nadlatującą, by z nim skończyć, ale odwołałem ją.

- Dziesiątka, przerwij manewr. Facet jest skończony.

- Ale nie martwy.

- Wylimowany z gry. Zostaw go. — Strzeliłem z działa jonowego, a pocisk przeciął przestrzeń między jej myśliwcem a uszkodzonym statkiem. -1 tak powiększy swoją statystykę, a nie ma powodu zabijać pilota, który po prostu wykonuje swoją pracę.

- To ja mam prawo decydować o jego życiu lub śmierci - wyrzuciła z siebie te słowa jakby z bólem. - Nie odmawiaj mi go.

- Jesteś mi coś winna. Sprzątnąłem tamtego, który ci siedział na ogonie. - Ruszyłem w jej stronę. - Jest mój i chcę, żeby żył.

Usłyszałem głos Nive'a na częstotliwości taktycznej:

- Wszystkie cele zostały wylimowane. Trzecie skrzydło może wracać.

- Przyjąłem - zameldowałem.

- Przyjęłam - warknęła Caet takim tonem, że nie cieszyłem się na myśl o spotkaniu jej po naszym powrocie z misji.

- Dziewiątka, przełącz się na taktyczny drugi i włącz mieszadło.

- Rozkaz, sir. - Przełączyłem moduł łączności na dodatkową częstotliwość taktyczną i wcisnąłem włącznik mieszadła. Kod szyfrujący, wgrany do każdego z myśliwców ze „Zdradzieckiego Ciosu”, umożliwił prywatną rozmowę między mną a Nive'em.

- Zgłasza się Dziewiątka, kapitanie.

- Nieźle strzelasz, Dziewiątka. Ale dlaczego działa jonowe? Przy twoich umiejętnościach pilotażu mogłeś załatwić te myśliwce jednym strzałem, ale ty wybrałeś działą jonowe, co znacznie utrudniło sprawę. - W głosie Nive'a pojawił się gniew. - Dla ciebie to zabawa?

- Nie, sir. - Przerwałem na chwilę, nie po to, by zebrać myśli, ale żeby zastanowić się, jak najlepiej wyrazić to, co miałem do powiedzenia. - Piloci Łowców Główny po prostu wykonywali swoją pracę. Gdybyśmy ich zabili, okazalibyśmy się zwykłymi rzeźnikami-mi i każdy ochroniarz w przyszłości wiedziałby, że z nami musi iść na całość, bo inaczej zetrzemy go w proch. Jacht odleciał. „Szansa” może tych gości wziąć na pokład, a następnym razem, kiedy damy im okazję, żeby się wycofali, po prostu zrobią to.

- Może. - Nive zamilkł na chwilę. - To ma sens... oczywiście, o ile cokolwiek, co dotyczy wojny, go ma.

- Warto zaryzykować, jeśli nikt przy tym nie zginie.

- Taki jesteś delikatny? - prychnął Nive.

- Mam na swoim koncie wystarczająco wiele trupów, kapitanie. Jeśli udaje mi się załatwić sprawę bez rozlewu krwi, to chyba dobrze. - Potrząsnąłem głową. - Ale jeśli takie myślenie jest tu źle widziane, mogę zabrać mój prom i odlecieć.

- Nie ma takiej potrzeby. - Napięcie w głosie Nive'a zelżało. — Takie myślenie jest w porządku. Jesteś jednym z nas, Idanian, jednym z Gnębicieli. Miejmy nadzieję, że ty bardziej zmienisz nas niż my ciebie.

ROZDZIAŁ

35

Po powrocie na Khuiumin 4 mieliśmy z Caet wymianę zdań -no, może niezupełnie. W każdym razie blizny wygoiły mi się w ciągu dwóch tygodni i nie widać ich, chyba że się mocno opalę. Jednak jeszcze zanim fizyczne świadectwa naszej dyskusji zniknęły, Caet głosowała razem z czterema innymi pilotami z Eskadry Skał, którzy wyszli cało z potyczki, za objęciem przeze mnie dowodzenia nowego, trzeciego klucza. Kech pomógł mi wybrać trzech pozostałych pilotów, a Caet przeniosła się do klucza pierwszego, by zastąpić Czwórkę.

W następnym miesiącu spędziłem mnóstwo czasu, ćwicząc moich nowych rekrutów. Tysiące razy przerabiałem wcześniej te same ćwiczenia z nowymi pilotami w Eskadrze Łotrów, ale ze Skałami nie poszło tak łatwo. Jeśli chodzi o dyscyplinę, przy Khuiumin 4 nasza akademia na Yavinie wyglądała jak „Lusankya”. A trenowanie skacowanego pilota jest mniej więcej równie łatwe, jak nauczenie rancora, by śpiewał i tańczył - z tym, że rancor zrobiłby to chyba chętniej. Piloci w mojej jednostce najwyraźniej w świecie uważali, że umieją latać, a chociaż rzeczywiście byli nie najgorsi, nie dorastali do poziomu, jakiego oczekiwałem. Odpowiadałem za ich życie, a także nie miałem ochoty walczyć w przestrzeni kosmicznej razem z niedouczonymi pilotami, którzy zginęliby, pozostawiając mnie na pastwę wroga.

Najlepsza z nich była Timmser, wysoka, bardzo jasna blondynka o krótko przyciętych włosach. Temperament miała zgoła wybuchowy i kilka razy wdała się w bójki w knajpie „U Warrena”, gdzie zwykli przesiadywać członkowie załogi „Czerwonej Supernowej” i Riistarscy Jeźdźcy. Te dwie grupy nie darzyły specjalną sympatią Ocalałych, a fakt, że Timmser należała kiedyś do Jeźdźców, nie ułatwiał porozumienia. Za sterami łapsa miała dobre rozeznanie, co dzieje się dookoła i prawdziwy talent do strzałów obronnych.

Moje pierwsze miesiące z Ocalałymi spędzałem przeważnie wałęsając się po spelunkach Vlnaryi, co jest mniej więcej równie podniecające jak sam opis. W ciągu dnia panował taki skwar, że większość pilotów spędzała czas we wkopanych w ziemię knajpach, które pełniły funkcję zastępczego domu. Ocalali zwykle przesiadywali w „Katastrofie”. Wystrój tego przybytku był dość makabryczny - piloci ściągali tam kawałki wraków z bitew i kolizji, które przeżyli. Z sufitu zwisały więc powykręcane kawałki

transpastali albo quadańskiego stopu, które w przyćmionym świetle przeszkadzały w nawigacji nawet facetom tak niskim jak ja. Timmser nawet rozcięła sobie czoło, zanim nauczyła się poruszać w tym labiryncie.

Odwiedzałem „Katastrofę” regularnie, ale na ogół większość czasu spędzałem, włócząc się po ulicach Vlnarni. Z wyjątkiem Ptaszarni -jak tubylcy nazwali dzielnicę, w której rezydowali piloci - Vlnarnia wyglądała jak każda zapadła dziura, której egzystencja uzależniona jest całkowicie od handlu prowadzonego w kosmoporcie. Na polach wokół miasta rosło dość warzyw i owoców, by ceny na nie były niezupełnie skandaliczne. We Vlnarni nie było przemysłu -spelunki i hazard nie kwalifikują się według mnie do tej kategorii -oprócz jednego browaru, który produkował całkiem przyzwoite jasne piwo. Było tak dobre, że wszystkie pirackie załogi, które miały tu swoją bazę, ogłosiły zakład i tereny uprawy chmielu strefą zakazu lotów, żeby zminimalizować ryzyko, że ktoś niechcący wysadzi browar w powietrze.

Wieczorem, kiedy stawało się trochę chłodniej, a na niebie pojawiały się dwa księżycy, lubiłem spacerować ulicami miasta. Vlnarnia miała klimat małego miasteczka. Oprócz kosmoportu, zbudowanego zgodnie z wytycznymi Imperium, stały tu głównie budynki wzniesione przez miejscowych kamieniarzy i robotników z lokalnego budulca. Ulice wiły się i zakręcały, tworząc wąskie wąwozy zabudowane po obu stronach, rozszerzające się gdzieś w małe placzki z fontanną pośrodku. Brak miejskiego oświetlenia oznaczał, że na większości ulic było w nocy ciemno choć oko wykol, ale -jak to w małym miasteczku - we Vlnarni nie było niebezpiecznie, chyba że ktoś zapuścił się w zaułki Ptaszarni.

Czasami podczas tych spacerów dołączała do mnie Caet Shrovl. Ze względu na swój albinizm była bardzo wrażliwa na światło, więc jeśli wychodziła na dwór w ciągu dnia, nosiła płaszcz, który całkowicie ją okrywał i gogle tak ciemne, że zamieniały blask południa w kompletną czerń przestrzeni. Chociaż nie mówiła o sobie zbyt wiele, dowiedziałem się, że obwiniała o swój stan Imperium, bo imperialni naukowcy przeprowadzili kiedyś na niej jakiś eksperyment. Ocalali byli znani ze swojej nienawiści do Imperium, więc przyłączyła się do nich, znosząc trudy życia na Courkrus po to, by mieć szansę zabijania Imperialnych.

Dzięki niej dowiedziałem się również, że Remart Sasyru został przez głosowanie przeniesiony z naszej jednostki do Eskadry Piorunów. Siedzieliśmy właśnie w jednym z najciemniejszych kątów „Katastrofy”, porównując nasze wyniki uzyskane w serii ćwiczeń, kiedy Remart zaczął zbliżać się do naszego stolika. Szedł powoli, wystudiowanym krokiem, miękko kołysząc ramionami i biodrami. Robił to na pokaz - chciał, żeby go widziano, żeby każdy pomyślał o nim jak o myśliwym, który podchodzi zwierzyne. Miał na sobie szare spodnie od munduru, długie czarne buty i szarą tunikę bez rękawów, która musiała być o dobre cztery numery za mała, bo rysował się pod nią każdy jego mięsień i każde zebro.

Uśmiechnął się do mnie zimno.

- Niezłe towarzystwo sobie wybrałeś. Nie boisz się, że złapiesz od niej tyfusy?

Uniosłem głowę znad kufła piwa.

- To zabawne, ale zwierzyła mi się, że od czasu, kiedy przeszedłeś do Piorunów, przestały ją męczyć. Może to zbieg okoliczności? Aleja w to nie wierzę.

Popatrzył na mnie lekko zaskoczony. Jego złośliwość była wycelowana w Caet, ale odbiłem ją. Czulem, jak w Caet wzbiera gniew, wylapałem też ślady strachu, choć nie wiedziałem, czym mógł być spowodowany. Szybko jednak zdecydowałem, że lepiej jej nie prowokować, a ja mogłem temu zapobiec.

Głośno odsunąłem krzesło.

- Co jest, Sasyru? Rzucasz dowcipną uwagę i nie umiesz odpowiedzieć na celną ripostę? A może nie dotarło do ciebie, co powiedziałem? W takim razie pozwól, że ci wytłumaczę. Otóż widzisz, pasożyty przestały męczyć Caet od czasu, jak wyniosłeś się do Piorunów. Co moim zdaniem oznacza, że to ty roznosiłeś to robactwo. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Niebieskie oczy zszokowanego Remarta rozszerzyły się, ale po chwili się opanował i podparł pod boki rękami w czarnych rękawicach. Roześmiał się głośno, wypełniając ciszę, która nagle zapanowała w knajpie.

- Cały Korelianin... mocny tylko w gębie i zawsze pcha się tam, gdzie go nikt nie prosił.

Wstałem.

- I co jeszcze? Nie opowiesz, jak to Korelianie nie mają głowy do rachunku prawdopodobieństwa, więc nie wiedzą, że nie mają szans? Żadnego zarciku o słynnym Korelianinie, który jest „Solo”, no bo który Korelianin zaufały swojemu ziomkowi? Ach, byłbym zapomniiał... a przecież ten dowcip jest starszy niż Imperium... dlaczego nie zasugerujesz, że Leia Organa związała się z Korelianinem, bo po wybuchu Alderaan nie miała już nic do stracenia?

Wysunąłem się zza stolika.

- A może ten? Ilu Korelian potrzeba, żeby wymienić panel jarzeniowy? - Spojrzałem na Timmser, siedzącą przy drugim stoliku, ale tylko wzruszyła ramionami. - Żadnego! Jak w pokoju jest ciemno, nie widać, że Korelianie oszukują w sabaka!

Parę osób przy dalszych stolikach roześmiało się i nawet Caet zaczęła się uspokajać.

- A wiecie, dlaczego tylu Korelian daje się zesaść na Kessel? Remart zmrużył oczy.

- Bo są głupi?

- Nie, stęsknili się za resztą rodziny! Strzeliłem palcami w jego kierunku.

- Daj spokój, Remart, powinieneś być szybszy! Posłuchaj tego: Korelianin kupił sobie nęka jako domowego zwierzaka, ale ten był tak głupi, że cały czas wpadał na ściany. Jak go nazwał?

Sasyru potrząsnął głową.

- Remart. -Uśmiechnąłem się podszedłem krok bliżej. -Nie mógł wymyślić głupszego imienia.

Dzięki Mocy poczułem, jak prawa dłoń Remarta zwija się w pięść, jeszcze zanim on sam wiedział, że zamierza zaatakować. Obróciłem się lekko w prawo, skręcając głowę, dzięki czemu jego cios stracił nieco na sile. Mimo to odczułem uderzenie; nie-

mal przestawił mi szczękę, chociaż nie udało mu się powalić mnie na podłogę, jak planował.

Powoli obróciłem głowę w jego stronę i uśmiechnąłem się.

- Na czarne kości Imperatora, walisz jak Chandra-Fan. Tym razem o tym nie zamelduję. - Machnąłem ręką pogardliwie i zawróciłem w stronę stolika. - Wróć, kiedy już się nauczysz, jak przyłożyć w szczękę.

Wyczułem, że rusza w moją stronę, więc odwróciłem się szybko w prawo i stanąłem równolegle do niego, dokładnie wzdłuż linii jego ataku. Wyprostowanym palcem uderzyłem go prosto w gardło. Zacharzał i cofnął się o krok, bardziej zaskoczony niż zraniony, walcząc o utrzymanie się na nogach. Cofnął się jeszcze parę kroków i oparł ciężko o stolik, przy którym siedzieli dwóch innych pilotów Eskadry Piorunów.

Z satysfakcją zauważyłem, że obaj odsunęli się od niego.

Wycelowałem w niego palec.

- Daruję ci ten jeden cios. Ale nie więcej. Zostaw mnie i resztę Skał w spokoju. Nie jesteś już częścią tej eskadry, więc nie powinno cię obchodzić, co robimy. Jeśli odezwiysz się do moich ludzi, załatwię to z tobą sam na sam... chyba że zapytasz, czy możesz zabrać swoją paskudną gębę z zasięgu ich wzroku. Zrozumiałeś?

Nie czekając na odpowiedź, popatrzyłem na dwóch pilotów z Eskadry Piorunów, siedzących przy stoliku.

- Zabierajcie go stąd, ja zapłacę wasz rachunek. I powiedzcie kapitan Gurtt, że chętnie z nią porozmawiam o tej sprawie, kiedy tylko będzie wolna.

Wróciłem do stolika, usiadłem na krześle i przysunąłem je do stołu. Wziąłem kufel piwa, wypilem i przytrzymałem przed sobą, patrząc na Caet.

- Mam nadzieję, że nie wzięłaś tego do siebie. Wiem, że sama byś sobie z nim poradziła.

Biała Shivastaniana potrząsnęła głową i zastrzygła w moją stronę jednym uchem.

- Miła jesteś. Dziękuję. - Zauważyłem wiórki fiberplastu w miejscach, gdzie jej pazury wyłobiły dwie równoległe szramy aż do krawędzi blatu. - Wróg wczoraj, wróg dziś.

Pokiwałem głową i pociągnąłem jeszcze łyk piwa, bo zaschło mi w ustach i w gardle.

- Dziwię się, że głosowałaś za jego przeniesieniem do Piorunów.

- Nie mogłam go zabić, więc pozbyłam się go w inny sposób. - Caet popatrzyła na mnie uważnie. - To zwierzak i sadysta. Kech się go bał. Remart chciał sławy, pieniędzy, władzy. Jest dobrym pilotem, więc nie zginął. W sam raz dla Piorunów, więc posłałiśmy go do nich.

Opuściłem kufel.

- Fakt, że przyszedł tu, żeby się ciebie czepiać, oznacza, że Pioruny nie zamierzają przeszkadzać mu w jego wyskokach. Dlaczego uczeplił się właśnie ciebie?

Spuściła wzrok, a z jej gardła wydobył się niski warkot. Podniosłem lewą rękę.

- W porządku, nie musisz wiedzieć. Caet wstała i włożyła płaszcz.

- Spacer.

- Rozkaz! - Skończyłem piwo, podszedłem do Timmser i wręczyłem jej garść monet. - To za mój rachunek i rachunek Piorunów. I postaw ode mnie jedną kolejkę Skałom, dobra?

- Zrozumiałam. — Timmser uśmiechnęła się. — Ładna robótka, Jen.

- Nie próbuj mnie naśladować - skrzywiłem się uśmiechem. - Cały klucz trzeci ma się stawić jutro w ośrodku szkoleniowym o świcie, a ty przynies moją resztę.

Wyszedłem za Caet w chłodną ciemną noc i zaczęliśmy włóczyć się bez celu, póki burczenie w brzuchu nie powiedziało mi, że powinienem coś zjeść.

- Przyjemna noc, prawda?

Przytaknęła i popatrzyła na pojedynek dwóch wschodzących księżyców.

- Pokój. Dobrze zobaczyć gdzieś pokój.

- Mam nadzieję, że kiedyś w galaktyce będzie więcej pokoju niż wojny.

- Z takim marzeniem ty nie w najlepszym miejscu. - Rozsunęła wargi w uśmiechu, błyskając mnóstwem białych zębów. - Przy Remarcie nie ma pokoju.

Wzruszyłem ramionami.

- Jest przebiegły, ale w głębi duszy to tchórz. Nie przejmuję się nim.

- Przyszedł do mnie, bo mnie złał. - Caet umilkła po tej deklaracji, jakby wyczerpała limit słów na ten dzień. Pozwoliłem, byśmy szli w milczeniu, nie naciskając, bo wiedziałem, że powie więcej. Miałem wrażenie, że odpoczywa po trudach wygłoszenia tak otwartego oświadczenia i zbiera siły na wypadek, gdybym chciał ją za to zbić.

Parę przecnic dalej, kiedy kręte uliczki, wspinające się na szczyt wzgórza, zaprowadziły nas z dala od Ptaszarni, odezwała się znów:

- Oczarował mnie. Zaprzyjaźnił się. Siedział ze mną w ciemności. Nie próbował mnie otworzyć, tak jak ty. Wśliznął się do środka.

Zmarszczyłem brwi.

- Czego od ciebie chciał?

- Posiadania. Jestem sama. Izolacja.

- Ze względu na wrażliwość na światło.

- I wychowanie. Moja matka była jedyną Shistavianką, jaką znałam za młodu. - Zawahała się, szukając właściwych słów. - Kiedy przyleciałyśmy na Uvenę 3, ona była w domu. Ja w nowym miejscu. Mój zapach był nie taki, rozumiesz?

- Byłaś inna. Łatwo było się do ciebie przyczepić. - Wyciągnąłem rękę i delikatnie położyłem na jej ramieniu. - Powiedziałaś o tym Remartowi, a on wykorzystał to przeciw tobie.

- Fałszywy przyjaciel. Stawiał żądania. - Poczulem, że zaczyna drzeć od skrywanego napięcia, ale po chwili uspokoiła się. - Odrzuciłam go. Pobił mnie. Mocno. Strach i ból. Cieszyłam się, że odejdzie do Piorunów.

Uścisnąłem lekko jej ramię.

- Ja cię nie wydam.

- Wiem. - Odwróciła się w moją stronę i zobaczyłem w jej oczach odbicie wschodzącego księżyca. - Ty też ukrywasz ból i tajemnice.

Zamrugąłem.

- Skąd wiesz?
 - Jestem Shistavanianką. Czytam znaki. - Na jej twarz powrócił uśmiech. - Chodzisz sam. Nie szukasz towarzystwa, nie odwiedzasz innych. Pijesz tylko tyle, by nie odstawać od reszty.

Uśmiechnąłem się.

- Ale z ciebie detektyw! A co mi się zarzuca?

- Twoja miłość daleko. Czekasz na połączenie albo odkupienie.

To mnie przystopowało.

- Jesteś doskonałym tropicielem.

- Więc tak sobie myślę, po co tu jesteś? - Pociągnęła nosem raz i drugi. - Twoja miłość nie jest Gnębicielem.

Potrząsnąłem głową, zastanawiając się, ile mogę jej powiedzieć, nie narażając mojej misji. Uznałem, że muszę poważnie minąć się z prawdą, ale szybko skleciłem historijkę, która wydawała mi się w sam raz.

- Jej kuzyn kontroluje linie przewozowe „Tinta” i uznał, że moja ukochana nie może być ze mną, chyba że cała gałąź jej rodziny wyrzeknie się fortuny rodu Tinta. Jego zdaniem jestem bardziej śliski niż śluz Hurtów i chodzi mi tylko o jej pieniądze. Pragnę zniszczyć linie Tinta i dlatego przyłączyłem się do Gnębicielei. Chcę, żeby wiedzieli, że to ja doprowadziłem ich do zguby i zagarnę ich bogactwa, kiedy zabiorę moją dziewczynę od jej zubożałej rodziny.

Caet powęszyła jeszcze raz i wypuściła powietrze z ostrym świstem.

- Głupcy walczą o miłość, mądrzy o pieniądze.

- Dzięki za komplement.

- Odważny plan. Aby go zrealizować, musisz stać się Prawdziwym Gnębicielem.

Poczułem woń gotowanego jedzenia gdzieś z dołu uliczki i ruszyłem w tamtą stronę.

- Co masz na myśli mówiąc „Prawdziwy Gnębiciel”?

- Załogę statku. - Dostosowała swój krok do mojego. - Są dwa sposoby: zasługi w walce...

- To się da zrobić.

- Nie w Skałach. Skały ignorują. Pioruny nie - warknęła od niechcenia. - Piorunem możesz zostać.

- Mam nadzieję. A jaka jest ta druga metoda?

- Parzenie. Potrząsnąłem głową.

- Nie rozumiem.

Caet wyciągnęła rękę i ujęła mnie za podbródek. Obróciła moją twarz w prawo i w lewo i pokiwała głową.

- Blizna ledwo widoczna. Może być.

- Słucham? Znowu syknęła.

- Admirał Tavira ma upodobanie do mężczyzn. Możesz zostać Prawdziwym Gnębicielem także w ten sposób.

Wzdrygnąłem się, a ona puściła mój podbródek. Dołączenie do załogi „Gnębicielea” było ostatnim krokiem do odnalezienia Mirax. Jako Prawdziwy Gnębiciel poznał-

bym miejsce, gdzie niszczyciel przyczaja się między atakami. Wiedziałem, że tam właśnie znajdę Mirax. Zrobię, co tylko będzie trzeba, żeby się tam dostać i uratuję ją - co do tego nie miałem wątpliwości

- No dobra, Caet, więc powiedz mi - uśmiechnąłem się na widok małej restauracyjki, z której dochodził zapach jedzenia co mam zrobić, żeby się dostać do Piorunów?

ROZDZIAŁ

36

Caet opracowała bardzo prosty plan, dzięki któremu miałem awansować w szeregi Eskadry Piorunów, ale stanęły nam na przeszkodzie nieprzewidziane komplikacje, które odwlekły sprawę o parę miesięcy. Po pierwsze - i to było najbardziej frustrujące - doskwierał nam niedostatek dostatecznie ambitnych misji. Chociaż „Gnębciciel” dokonał w tym czasie kilku spektakularnych najazdów, Ocalali nie zawsze byli wybierani, by wspomóc główne siły Taviry. Załoga „Czerwonej Supernowej”, Laserowi Lordowie, załoga „Prędkiego Strzału”, Jeźdźcy z Riistar, Czarne Gwiazdy, a nawet bandy Hutta Shali - wszyscy oni mieli równą szansę uczestnictwa w pirackich atakach. Rotacja oddziałów pomagała utrzymać je w gotowości i przypominała ich członkom, że nie są nieodzowni.

Nawet wtedy, gdy do misji wybrano Ocalałych, nie musiało to oznaczać udziału Eskadry Skał w zadaniu. Z wyjątkiem przypadków, gdy Tavira specjalnie życzyła sobie obecności Piorunów, Nive losował oddziały, które miały uczestniczyć w operacji. Na Eskadrę Skał przypadła w ten sposób mniej więcej jedna misja z udziałem „Gnębciciela” w miesiącu. Podczas innych zadań lataliśmy jako ochrona mniejszych statków, mniej więcej tak samo jak ludzie z „Czerwonej Supernowej” podczas ataku na „Piracki Łup”. Eskadra Łotrów nie pojawiła się podczas żadnej z tych misji, ale raz, kiedy pracowaliśmy dla „Gnębciciela”, niszczyciel zniknął z systemu wkrótce po swoim przylocie, pozostawiając nas na pastwę oddziału myśliwców typu Y i domorosłych Brzydali. Straciliśmy wtedy dwóch pilotów z klucza pierwszego, w tym kapitana Kecha. Niewykluczone, że na drugim krańcu systemu czekały większe statki Nowej Republiki, ale nic na to nie wskazywało, nie znalazłem też ich śladu w danych zebranych z czujników „Zdradzieckiego Ciosu”. Po rozgromieniu miejscowych myśliwców ostrzelaliśmy jedno osiedle i splądrowaliśmy parę magazynów, ale nawet zdobyte wahadłowce nie były warte całej operacji.

Dopiero później, kiedy Eskadra Skał wybrała mnie na swojego kapitana, dowiedziałem się od Nive'a, że „Gnębciciel” zniknął, bo członkowie innej operacji prowadzonej przez Gnęby wpadły w pułapkę i Tavira udała się tam z odsieczą. Nie byliśmy w specjalnym niebezpieczeństwie, więc nie było powodu, by z nami zostawała. Nie mogłem się z tym nie zgodzić. Innym razem trzy korwety Nowej Republiki wciągnęły w

walkę kilka frachtowców i myśliwców Gnębów, ale wycofali się, gdy pojawiła się Tavira z „Gnębcicielem”.

Potrwało to parę tygodni, ale w końcu się dowiedziałem, co się wtedy wydarzyło. Banda Shali miała właśnie przejąć transport przyprawy w systemie Kessel, kiedy pojawiły się statki Nowej Republiki. Walczyli zażarcie przez dobre dwadzieścia minut, a jeden z frachtowców Shali został uszkodzony, stracił możliwość manewrowania i wciągnięto go w Czeluść - wielką czarną dziurę w pobliżu Kessel. Mniej więcej w tym samym momencie pojawił się „Gnębciciel” i przegnał noworepublikańskie statki, niemal unicestwiając „Wolność Sullustii”.

Ta wyprawa ratunkowa podbudowała sławę „Gnębciciela” i pewność własnej nieśmiertelności, panującą wśród pirackich załóg, mnie jednak przyprawiła o dreszcze. Wydało mi się mało prawdopodobne, by Nowa Republika wysłała zaledwie trzy statki do systemu, w którym można było wpaść na „Gnębciciela”. Trzy korwety mogły stanowić najwyżej patrol, zwłaszcza jeśli w okolicy hasałby ktoś ze starego Imperium, jak Teradok i Haarsk albo admirał Daala. Instykt podpowiedział mi, że korwety wpadły na ludzi Shali zupełnie przypadkowo.

Nie to było przerażające, ale implikacje faktu, że „Gnębciciel” zdołał na czas pojawić się w systemie z odsieczą. Czas potrzebny, by przerzucić siły z systemu, w którym się znajdowaliśmy, do układu Kessel wynosił osiemnaście godzin, i to wtedy, gdy astronawigator zdecydowałby się powtórzyć wyczyn Solo i przemknąć się obrzeżami Czeluści. Oznaczało to, że jakimś cudem admirał Tavira wiedziała o zupełnie przypadkowym spotkaniu osiemnaście godzin wcześniej i pchnęła tam swoje siły z odpowiednim wyprzedzeniem. Mogła sobie co prawda oszczędzić kłopotu, włączając kanał HoloNetu i uprzedzając Shalę o groźącym niebezpieczeństwie, ale najwyraźniej Tavira lubiła przybywać na ratunek w ostatnim momencie. Dzięki takim posunięciom jej reputacja wśród nas stale rosła, dla Nowej Republiki natomiast Tavira stawała się coraz bardziej drażniąca.

Pozostawało jednak pytanie, skąd wiedziała z osiemnastogodzinnym wyprzedzeniem, że banda Shali wpadnie w tarapaty? Odpowiedź mogła być tylko jedna: jej doradca, którego pokazał mi Exar Kun, musiał władać Mocą i ostrzec ją o groźącym niebezpieczeństwie. Nie wyczuwałem co prawda otwartego manipulowania Mocą z pokładem „Gnębciciela”, z drugiej jednak strony sam też nie ujawniałem się z moimi umiejętnościami podczas misji, tak jak wtedy, kiedy podchodziłem do świątyni Exara Kuna, więc trudno się dziwić, że nic nie wykryłem.

Pod moim dowództwem, z Timmser na czele klucza trzeciego i Caet - drugiego, Eskadra Skał stała się całkiem dobra. Nie byliśmy może Piorunami, ale deptaliśmy im po piętach na tyle blisko, że nie mogli popaść w samozadowolenie. Nasiliłem treningi i wykorzystałem z pilotów ich złe nawyki. Robiąc to, zwiększałem szansę, że przyciągniemy uwagę Taviry, a to zbliżało mnie do odnalezienia i uratowania Mirax.

Największa przewaga Piorunów nad nami polegała na liczbie godzin wylatanych w warunkach bojowych, ale pod tym względem szybko nadrabialiśmy straty. Oni wprawdzie częściej towarzyszyli w akcjach „Gnębcielowi”, co dodawało im prestiżu,

ale pojawienie się gwiazdnego niszczyciela często wystarczało, by złamać opór. Wynikający z tego brak strat w ludziach wśród Piorunów skutecznie blokował mi jednak drogę do celu.

Ale tylko do czasu misji na Xa Fel. Xa Fel, planeta w sektorze Kanchen, wchodziła w skład Zakładów Stoczniowych Kuat Drive Yard jako główny dostawca modułów hipernapędu. Wielki Admirał Thrawn obrał ją sobie za cel z tej samej przyczyny, dla której zrobiła to Tavira: zapas gotowych hipernapędów był prawdziwym dobrodziejstwem dla każdego, kto zdołałby z nimi uciec. Tavira, ze swoimi imperialnymi koneksjami, mogła znaleźć mnóstwo przywódców wojskowych, którzy chętnie by je kupili, zaciągając zarazem wobec niej dług wdzięczności. Zakładałem, że ten drugi powód był dla niej nawet ważniejszy.

Powagę całej akcji podkreślał wybór trzech eskadr - Piorunów, Jastrzębi i Skał - wspomędzy Ocalałych i zgoda Taviry, żebyśmy przycumowali nasze maszyny na pokładzie „Gnębiciela” na czas przelotu. Razem z nami leciały też korwety i ciężkie krążowniki, tworzące ogromne siły, razem ze „Zdradzieckim Ciosem” pod osłoną Eskadry Noży i innymi załogami stacjonującymi na Courkrus z podobną osłoną myśliwców. Było to największe zgrupowanie okrętów w znanej mi historii Gnębów, co świadczyło, jak poważnie Tavira podchodziła do organizacji tego napadu.

Każdej z eskadr Ocalałych przydzielono do pary jedną z eskadr łapsów stacjonujących na pokładzie „Gnębiciela”. Patrzyliśmy na siebie spod oka bardzo podejrzliwie. Zauważyłem, że paru z nich miało czerwone rękawy, co świadczyło, że kiedyś byli członkami Sto Osiemdziesiątej Pierwszej Imperialnej Jednostki Myśliwskiej, ale nic poza tym nie wskazywało, by mieli w sobie coś specjalnego. Każdy z nas miał nadzieję, że będziemy mieli okazję sprawdzić się w porównaniu z nimi, ale istniało prawdopodobieństwo, że każdy, kto miał dostęp do myśliwca na Xa Fel, nie oderwie się od ziemi.

Nie bardzo mi się uśmiechał atak na Xa Fel, z dwóch powodów. Po pierwsze, Xa Fel była tak zanieczyszczona przez Stocznie Kuat, że same odwiedziny na tej planecie były koszmarem. Należało tam nosić maski gazowe i ubrania ochronne, a chociaż mój kombinezon pilota zapewne by wystarczył, nie uśmiechało mi się wałęsanie po planecie w kombinezonie próżniowym. Nie miałem wprawdzie zamiaru dać się zestrzelić ani rozbić, ale należało brać taką możliwość pod uwagę, a wówczas nie chciałbym walczyć o życie w tamtych warunkach.

Drugi powód trapił mnie przy każdej kolejnej misji, a nawet wcześniej, podczas operacji KorSeku, kiedy rozpracowywałem od środka organizację przestępcze. Musiałem zawsze zadawać sobie pytanie, gdzie przebiega linia pomiędzy tym, co jestem gotów zrobić, żeby nie wypaść z roli, a tym, na co się nie zgodzę. W przypadku akcji KorSeku sprawa była jasna - mogłem brać udział w przestępstwach przeciwko mieniu, ale w momencie gdy komukolwiek groziła śmierć lub poważne uszkodzenie ciała, obowiązek ochrony takiej osoby bezwzględnie brał górę. Tu, wśród piratów, nic nie było równie jasne i oczywiste.

Zachęcałem pilotów z mojej eskadry, by używali dział jonowych, zwracając im uwagę, że sprzęt, którego nie zniszczymy, będzie można zabrać na Courkrus. Udało mi się nawet zdobyć podczas jednego nalotu dwa wyposażone w hipernapęd myśliwce ty-

pu Łowca Główny, zlecając naszym mechanikom, by znaleźli jakiś sposób na zamontowanie hipernapędu na moim łapsie. Lepsi z moich pilotów szli w moje ślady, ale nadal miałem dwóch czy trzech, którzy w starciach bezpośrednich walili z laserów.

Podczas ataków na cele naziemne podkreślałem potrzebę minimalizowania strat wśród cywili.

— Stacja paliwowa wybucha bardzo ładnie, może nawet spalić przy okazji połowę miasta, ale nie o to nam przecież chodzi - powiedziałem podczas jednej z odpraw. - To jest tak: możecie zabić nerfa wełnodajnego i uszyć sobie kurtkę z jego skóry, albo możecie go ostrzyć i wrócić za rok po nową wełnę. Jeśli rozegramy to jak należy, kiedy za pół roku pojawimy się w tym układzie i wyślemy listę żądań, mieszkańcy sami wyprawią do nas statek z łupami.

Większość moich pilotów wzięła to sobie do serca i tylko parę razy musieliśmy przeganiać inne załogi Gnębów z naszych stref kontroli. Raz trafiłem na Remarta, kłusującego na opuszczonym odgałęzieniu autostrady. Rozbijał blasterem śmigacze dla czystej przyjemności mordowania. Wpakowałem pocisk jonowy w jego łapsa i poprosiłem kapitan Gurtta, by go odwołała, co też uczyniła. Odłączyłem też część jego łupu od wspólnej puli i posłałem rodzinom ofiar, które pozabijał, jako zadośćuczynienie.

I przysiągłem sobie, że doprowadzę go przed oblicze sprawiedliwości, jak będzie już po wszystkim.

Na piętnaście minut przed powrotem z nadprzestrzeni otrzymaliśmy rozkazy, żeby wsiąść do naszych łapsów. Wdrapałem się na statek, uruchomiłem silniki i zebrałem meldunki od moich pilotów. Przekazałem je kapitan Gurtt, pełniącej funkcję dowódcy Ocalałych. Siły „Gnębiciela” obejmowały Eskadry Ostrzy, Szabli i Pik. Tę ostatnią połączono w parę z moimi Skałami.

Poczułem lekki wstrząs, gdy wyskoczyliśmy do normalnej przestrzeni - o siedem sekund za wcześnie. Zanim zdążyłem się zorientować, co się stało, kontrola lotów dała nam pozwolenie na natychmiastowy start, co też zrobiliśmy. Przechyliłem maszynę na lewo i skierowałem się do punktu zbornego, który mi wyznaczono. Poczułem w ustach suchość i wiedziałem, że to nie tylko z sympatii dla szarego, spowitego w gęste wyciewy świata pode mną. Wyszliśmy z nadprzestrzeni przed czasem, bo nad Xa Fel wisiał krążownik klasy Interdictor. Towarzyszyły mu gwiazdny krążownik „Kalamarianin” i niszczyciel gwiazdny klasy Victory, typu Mark II. Wokół tych trzech statków krążyła chmara mniejszych jednostek, w tym promy inwazyjne, które, jak przypuszczałem, miały przewieźć wojska na planetę pod nami. Obecność Interdictora oznaczała, że „Gnębiciel” nie może uciec, a statki Nowej Republiki już zaczęły przygotowywać się do bitwy.

Najgorzej - przynajmniej dla mnie - wyglądały jednak roje myśliwców, które na nas ruszyły. Po ekranach moich monitorów przepływały gigabajty informacji. Były tam co najmniej dwie eskadry myśliwców typu Y i typu A. Zauważyłem też inne jednostki, które musiały być myśliwcami typu B. Razem z A-skrzydłowcami ruszyły w stronę eskorty „Zdradzieckiego Ciosu”. Jedynym według mnie wytłumaczeniem faktu, że pozostały łapsy myśliwcom typu Y, może być to, że Igreki nie są same.

Wtedy je zobaczyłem i serce podeszło mi do gardła. Włączyłem moduł łączności.

- Wzywam „Gnębiciele”, mamy tu poważny problem. Ze Xa Fel nadlatują myśliwce.

- Nie uda im się przedrzeć przez naszą ścianę myśliwców. To niemożliwe.

- Nie użyłbym słowa „niemożliwe”. - Wcisnąłem przycisk transmisji danych i przesłałem moje informacje na „Gnębiciele”. -To Eskadra Łotrów, a oni wykreślili to słowo ze swojego słownika.

ROZDZIAŁ

37

Wszedłem na częstotliwość taktyczną Ocalałych.

- Mówi dowódca Skał. Trzymajcie się z dala od X-skrzydłowców. Zajmijcie się Igrekami i używajcie dział jonowych. Zostawcie ich w przestrzeni unieszkodliwionych, ale żeby mogli skrzeczeć.

Kapitan Gurtt wtrąciła natychmiast:

- Dlaczego mamy ich nie zabijać?

- Nasze siły są wyrównane, więc jedynym sposobem na zwycięstwo jest ucieczka. Kiedy zostawimy ich pilotów w dryfie, Republikanie zaczną ich zbierać. To da czas „Gnębicielowi” na wydostanie się poza zasięg studni grawitacyjnej i przygotowanie do odlotu. Republikanie uznają to za zwycięstwo i pozwolą nam uciec.

- Roznieśmy ich na atomy! - odezwał się Sasyru zuchwale. -Nie boję się pilotów Republiki!

- Świetnie, to bierz się za Łotrów. Powodzenia! - spojrziałem w dół na monitor. - Mamy minutę do kontaktu, kapitanie. Odbiór.

Gurtt czekała przez chwilę, po czym wydała rozkazy.

- Celujcie w Igreki tylko z dział jonowych. Zajmijcie się też paroma promami inwazyjnymi. X-skrzydłowce zostawcie ludziom Taviry.

Przełączyłem moduł łączności na częstotliwość taktyczną Skał.

- Zajmijcie się Igrekami, trzymajcie się z dala od „strzałek”, zostawcie w spokoju „chudziaki” i „krzyżaki”. Wołajcie o pomoc, a może wyjdziemy z tego cało.

Chciałem im powiedzieć tysiące innych rzeczy, ale zostało nam zaledwie trzydzieści sekund kontaktu, a ja musiałem najpierw coś wypróbować. Od czasu opuszczenia akademii nie używałem Mocy na większą skalę. Wiedziałem, że jeśli doradcy Taviry rzeczywiście są wrażliwi na Moc, odkryję się przed nimi, ale chciałem zaryzykować. Rozciągnąłem moją sferę odpowiedzialności do przodu, w stronę nadlatujących myśliwców, wyizolowałem z tej grupy X-skrzydłowce, a potem szukałem wśród nich. Znalazłem pułkownika Celchu i wysłałem do jego umysłu obraz.

Wizja przedstawiała łapsa, który zmienia kształt, by stać się X-skrzydłowcem z moimi oznaczeniami. Nie miałem pojęcia, co Tycho zrozumie z tej wizji, tym bardziej że nie mogłem utrzymać jej dłużej niż przez sekundę, ale miałem nadzieję, że zorientu-

je się, iż jestem wśród walczących. Puściłem go, dając nam obu czas na otrząśnięcie się przed walką, a potem wleciałem w pole bitwy.

Nad nami i wokół większe statki wymieniały ogień. Chociaż Nowa Republika miała tu trzy mniejsze statki, ich wspólna siła ognia mniej więcej dorównywała uzbrojeniu „Gnębiciela”. Czerwone i zielone promienie laserów czyniły z przestrzeni prawdziwy tor przeszkód, jeden błędny zwrot oznaczał odejście w niebyt. Strzały, które przebiły się przez chmurę krążących i pikujących myśliwców, trafiały w większe jednostki przeciwnika, ale ich tarcze trzymały mocno, z wyjątkiem mniejszych statków. Obie strony celowały do nich z dział jonowych, starając się wyeliminować natrętów z gry, ale pozostawiając sobie możliwość zajęcia się nimi później.

Eskadra Skał wdała się w walkę z agresywnymi i skorymi do walki myśliwcami typu Y. Łapsy działały szybciej niż Igreki, ale ich piloci byli lepsi. Pierwszego przyspiliłem szerokokątną serią, która przebiła komorę silnika. Trafiony statek natychmiast pochylił się na prawą burzę, zmuszając mnie do identycznego manewru. Zamknąłem przepustnicę, odwróciłem ciąg i wrzuciłem z powrotem, przewidując, że mój przeciwnik zachowa się podobnie. Uświadomił sobie, że go przejrzałem, już po dwóch czy trzech sekundach i zaczął piąć się w górę na pełnej mocy. Wcisnąłem pedał sterów pomocniczych, skręciłem dziób na lewo i strzeliłem ponownie, trafiając go tuż za kokpitem. Strzał odarł go z tarcz, ale statek leciał dalej, wznosząc się coraz dalej od powierzchni Xa Fel.

Dodałem gazu i runąłem w dół, pikując po torze celującym prosto w ogon Igreka, który próbował zestrzelić jednego z moich łapsów.

- Mam go, Piątka. Odpadaj na lewo.

- Uwważaj, dowódcu!

Błękitny pocisk jonowy wystrzelił do tyłu z kokpitu Igreka, rozbijając się o moje przednie tarcze. Przechyliłem maszynę na prawo i poleciałem w dół, kryjąc się za komorą silnikową Igreka i w tym samym czasie doładowując przednie osłony.

- Uwaga, Skały! Niektóre z tych zabawek są dwuosobowe i mają z tyłu strzelca do działa jonowego.

Lecąc nadal dołem zwiększyłem moc, wspiąłem się do góry i strzeliłem w mojego Igreka. Jego pilot położył statek na bok, ułatwiając strzelcowi odpalenie, ale mój strzał dopadł go pierwszy. Przechyliłem maszynę na prawo i pomagając sobie pedałem steru, utrzymałem go w polu widzenia i strzeliłem jeszcze raz. Trafiłem go połowicznie, pozabawiając tylnych osłon, ale nie - możliwości lotu.

Kolejny pocisk jonowy przebił ogon myśliwca, który zaczął wirować, oddalając się w przestrzeń. Zobaczyłem, że obok mnie przemknął statek Caet i rzuciłem jej przez komunikator krótkie podziękowanie. Odpowiedziała krótkim wyciem, a ja nagle znalazłem się w innej części pola bitwy, znacznie bliżej niż bym sobie życzył wielkich statków Nowej Republiki. Przechyliłem statek na bok i zanurkowałem. Zrobiłem zwrot i zacząłem piąć się w górę, zmieniając co chwilę pozycję i utrzymując się na każdym kursie nie dłużej niż sekundę lub dwie. Żaden z wielkich statków nie strzelał do mnie - polowali na większych, ale nie chciałem stać się łatwym celem, który by ich skusił.

Nielatwo było mnie trafić, przez co - jak sądzę - ściągnąłem na siebie uwagę Eskadry Łotrów. W pewnym sensie był to komplement - moi koledzy uznali mnie za godnego przeciwnika, a ponieważ nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, była to ocena najrzetelniejsza, bo anonimowa.

Jedyny problem polegał na tym, że sposób, który wybrali, by zakomunikować mi, jak wysoko cenią moje umiejętności, mógł łatwo pozbawić mnie życia. Nie podobało mi się to, ale byłem w potrzasku. Mogłem wprawdzie odnaleźć ich częstotliwość taktyczną, ale nie miałem kodu szyfrującego. Gdybym natomiast skontaktował się z nimi w szerokim paśmie, każdy inny statek mojej floty mógłby odebrać naszą rozmowę, a to też nie wyszłoby mi na dobre. Nie miałem też czasu, żeby się skoncentrować i użyć Mocy, by wysłać kolejną wiadomość do Tycho, bo zlokalizowanie go i nawiązanie kontaktu wymagało całej koncentracji, która była mi potrzebna, by w ogóle utrzymać się przy życiu. Byłem w potrzasku, ale nie bez wyjścia. Kiedy twoim sojusznikiem jest Moc, nigdy nie jesteś w sytuacji bez wyjścia.

Trzymając lekko drążek sterowniczy rozszerzyłem moją strefę odpowiedzialności. Wokół kokpitu wszystko wydawało się czystym chaosem, kalejdoskopem możliwości i prawdopodobieństwa, które zmieniały się z każdą nanosekundą. Próżnię przecinały lecące od statku do statku promienie energii, podczas gdy mniejsze jej wiązki rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Torpedy protonowe i pociski udarowe ścigały swoje cele, jakby przyciągane strachem tych, w których je wycelowano. Radość i ból, nadzieja i przerażenie, gniew i determinacja krążyły pomiędzy maszynami, a w punktach, gdzie się przecięły, słychać było okrzyki konających albo ciche potwierdzenia uniknięcia śmierci.

Z całej tej masy wyłowilem uczucia skierowane ku mnie - strumień energii mentalnej skoncentrowany na moim łapsie. Kiedy się skupiał jak promień światła ześlizgujące się z wąskiego ostrza noża, wiedziałem, że muszę uskoczyć w prawo lub w lewo, do góry lub w dół. W odpowiedzi wyczuwałem falę gniewu lub niedowierzania, a potem znów koncentrację.

Dopadł mnie Gavin, którego zamiary czytałem niczym strumień danych przelatujący na ekranie notesu komputerowego. Kiedy składał się do strzału, zmniejszyłem moc, zanurkowałem, a potem znów szarpnąłem drążek do siebie i zacząłem iść do góry. Położyłem statek na prawą burzę, bo wiedziałem, że preferuje tę stronę i okrążyłem go, ładując na jego ogonie. Odpaliłem jeden pocisk jonowy, potem przechyliłem maszynę na lewo i pikując pozostawiłem go za sobą. Następny był Ooryl, który okazał się przeciwnikiem trudniejszym, niż się spodziewałem. Zawsze był dobrym pilotem, a w czasie służby w Eskadrze Łotrów jeszcze się podciągnął, ale w symulacjach miałem nad nim przewagę. Kiedy jego laser rozwalił moje tylne tarcze, zacząłem się zastanawiać, czy nie miał po prostu czegoś w rodzaju umysłowej blokady, która nie pozwalała mu strzelać do mnie w czasie ćwiczeń. Teraz jednak uczył się mnie jak nek ogona Hutta, a ja miałem spore problemy z odczytaniem jego zamiarów.

Jeśli nie potrafię przewidzieć, co on zrobi, pomyślałem, muszę sprawić, by on zaczął przewidywać moje ruchy. Uskoczyłem na prawo, kołyszac statkiem na boki, zanurkowałem i skręciłem w lewą stronę. Parę razy podskoczyłem łapsiem w górę i w dół,

potem skoczyłem na prawo, zanurkowałem i przechyliłem statek na lewo. Po paru przypadkowych manewrach powtórzyłem ten wzór po raz trzeci. Wrażenia, które odebrałem od Ooryla, choć nadal nieprzeniknione, zmieniły się nieco i już wiedziałem, że złapał wzór.

Dziesięć sekund później usunąłem się na prawo i zanurkowałem. Rzuciłem maszynę o dziewięćdziesiąt stopni na prawo, jakbym zaczynał moją leniwą pętlę, po czym szarpnąłem drążek do siebie, odcinając ciąg. Ooryl zaczął skręt na lewo, celując w punkt, w którym powinienem był się teraz znajdować i wystawiając swój statek brzuchem w moją stronę. Trafiłem go jednym solidnym pociskiem jonowym, a inny pilot poprawił, unieruchamiając maszynę Ooryla.

- Załatwiłam go, dowódco! - oznajmiła Timmsler. - Nie musisz mi dziękować.

Nie miałem zamiaru. Unieruchomiony statek Ooryla celował w stronę Xa Fel, kiedy został trafiony, a bez możliwości zmiany kursu wpadłby w atmosferę i roztrzaskał się o powierzchnię planety. Miał niecałą minutę do uderzenia w atmosferę, a ja nie mogłem zrobić nic, by go uratować. Przechyliłem maszynę i obserwowałem, jak statek Ooryla spada po spirali, na której końcu czekała go śmierć.

Gdybym tylko umiał użyć telekinezy, żeby wepchnąć jego statek na orbitę, pomyślałem.

Wtedy pokrywa kokpitu Ooryla odskoczyła, a on sam katapultował się w fotelu ze swojego X-skrzydłowca. Sekundę później to samo zrobił jego R2. Silniczki odrzutowe fotela posłały go w stronę Interdictora, ale wiedziałem, że paliwo skończy się znacznie wcześniej, niż zdoła tam dotrzeć.

Mimo wszystko jest bezpieczny, pomyślałem.

Wyczułem nową obecność, która skoncentrowała się na mnie i już wiedziałem, że mam poważne kłopoty. Nawet jeśli nie używa się Mocy, umysły niektórych ludzi pracują tak wolno, że niemal słycać synapsy kontaktujące się ze sobą w żółtym tempie. Inni natomiast myślą tak szybko, że rozszyfrowanie połączeń składających się na ich procesy myślowe zajmuje dobre pięć czy dziesięć minut. Są też tacy, których myśli poruszają się jednocześnie na wielu poziomach, i to z szybkością światła, więc nie masz szans odgadnąć, jak pracuje ich umysł.

Taki umysł miał Tycho Celchu, jednak najbardziej uderzyła mnie nie szybkość jego rozumowania, ale chłodna rozważa, która charakteryzowała jego procesy myślowe. Kiedy wziął mnie na celnie odczułem tego jako zwięźającego się ostrza, jak w przypadku Gavina. Tycho zamknął mój statek w pudełku ze wszystkich stron i z każdą sekundą zmniejszał jego rozmiary, eliminując zbędne dane, aż jego pudełko celownicze i mój statek stopiły się w jedno.

Największy podziw wzbudził jednak we mnie fakt, że to pudełko miało nieskończenie wiele wyrostków, wysuwających się, by objąć wszelkie manewry, jakich mógłbym użyć, by mu się wymknąć. Jeśli odpadałem na prawo, przesuwiał uwagę tak, by nadal mieć mnie w centrum pola obserwacji. Jeśli wykonywałem manewr składający się z dwóch lub trzech ruchów, wyrostki opcji eliminowanych po drodze zniknęły, by pojawić się w kierunkach moich nowych dróg ucieczki. Jego umysł pracował jak le-

gendarna kalamariańska ośmiornica, wysuwając jedną mackę za drugą, by ściągnąć mnie z powrotem w punkt, gdzie będzie mogła mnie zabić.

Jedynym sposobem, by go pokonać, była zamiana roli ściganego w ścigającego. Odwróciłem statek na plecy i zanurkowałem w dół, potem przywróciłem ciąg i wyskoczyłem w górę ciasną pętlą, która wyniosła mnie na jego ogon. Przewidział to, przechylając maszynę w lewo, więc ja odpadłem na prawo i ścigałem go dalej. Zwiększyłem dopływ mocy i odciąłem ponownie szybciej, niż sądziłem, że potrafię, dzięki czemu udało mi się zejść z linii strzału, który przeleciał szeroko po lewej stronie, a potem przechyliłem statek na lewo i pociągnąłem drążek mocno do siebie. Wznosiłem się przez trzy sekundy, zawróciłem i wszedłem w szeroką pętlę.

X-skrzydłowiec Tycho przestrzelił nad moim dziobem, ja jednak nie miałem szansy, by oddać strzał. Odebrałem wrażenie, że Tycho poszerza swoje pudełko, w które próbował mnie złapać. Musiał radzić sobie z dodatkowym problemem, że sam jest celem ataku, co dało mu wachlarz nowych posunięć taktycznych do wykorzystania przeciwko mnie. Tylko kilka z nich mogło doprowadzić do zamknięcia mnie z powrotem w jego pudełku celowniczym, a ja robiłem, co mogłem, by te właśnie alternatywy wydały mu się najbardziej niepożądane.

- Mówi „Gnębiciel”, wzywam dowódcę Skał. Wracaj na „Gnębiciela”, jeśli chcesz znaleźć się w domu.

- Odebrałem. - Teraz przekazałem wiadomość reszcie Eskadry.

Odezwała się Caet.

- Potrzebujesz pomocy, dowódco?

- Nie, poradzę sobie. Zabierajcie się stąd.

- Pospiesz się!

- Rozkaz!

Przechyliłem statek na sterburtę, skręciłem ostro w lewo i przekręciłem dźwignię przepustnicy, by zmniejszyć promień skrętu. Wychodząc z wirażu dodałem gazu, wymykając się salwie poczwórnych laserów oddanej przez Tycho, zamknąłem przepustnicę, wcisnąłem pedał steru, by skręcić w jego stronę i ponownie zwiększyłem ciąg. Puściłem mu szybki strzał, który rozjarzył się błękitną błyskawicą na jego tarczach, wcisnąłem mocnej pedał steru, odbiłem i zanurkowałem za nim. Strzeliłem jeszcze raz, pozabawiając go tylnych osłon.

Na jego miejscu wpadłbym w panikę, ale nie wyczułem z jego strony takiej reakcji. Po prostu znaleźliśmy się w większym pudełku, w którym prowadził swojego X-skrzydłowca serią manewrów, których nie byłbym w stanie prześledzić, nawet gdybym wczytał je do mojego komputera. Za każdym razem, gdy musiał wybrać jakąś taktykę, robił to w ułamku sekundy, tworząc nowe warianty rozwoju sytuacji. Wydawał się wybierać alternatywy na oślep, co uniemożliwiało przewidzenie jego ruchów, wszystkie z nich jednak prowadziły nas z powrotem do pudełka celowniczego.

Nie byłem taki głupi, żeby sterczeć tam dłużej. Wprowadziłem statek w szeroki łuk, który skierował mnie z powrotem w stronę „Gnębiciela”. Gwiazdny niszczyciel wypuścił barierę ognia zaporowego, który zniechęcał do pościgu za nami. Teoretycznie nasi artylerzyści nie celowali do nadlatujących myśliwców, ale strzelali dość blisko, by

obrzydzić przeciwnikom ściganie nas. Chociaż prawdopodobieństwo, że salwy z wielkiego statku trafią myśliwce, było znikome, ich piloci - choćby nie wiem jak odważni - musieli uważać na własną skórę, co nie pozostawiało im wielkiego marginesu manewru, potrzebnego, by podążać za celem. A jeśli nadlatujący pilot był dość dobry, mógł wśliznąć się w ten punkt przestrzeni, przez który właśnie przemknął ogień laserów, dzięki czemu kanonada promieni z niszczyciela chroniła go przed pościgiem.

Pędząc przez główne pole bitwy, wszędzie widziałem uszkodzone statki i katapultowanych pilotów. Porozrzucane jak kości myśliwce typu Y sprawiały, że teren wyglądał jak legowisko rancora. Zobaczyłem też parę wraków łapsów i kilka uszkodzonych korwet każdej ze stron. Nie było wśród nich „Zdradzieckiego Ciosu”, co uznałem za plus - relatywny plus. Chociaż Ocalałi generalnie byli bandą kłamców, morderców, piratów i złodziei, zaprzyjaźniłem się z kilkoma z nich i nie chciałbym zobaczyć ich martwych.

Nagle odebrałem emanujące od Tycho poczucie zwycięstwa. Przełączyłem ekran kontroli celów na maksymalne zagrożenie. Pokazał mi parę torped protonowych, zbliżających się szybko do mojego łapsa. Mimo mojej ucieczki Tycho nie zaprzestał pogoni, namierzył mnie w końcu i posłał na do widzenia dwa prezenty. Torpedy leciały znacznie szybciej niż mój łaps, co było ich mocną stroną, ale na szczęście dla mnie, także główną słabością.

Patrzyłem, jak wskaźnik zasięgu pierwszego pocisku pokazuje coraz mniejsze liczby, a gdy odległość spadła poniżej dwustu metrów, gwałtownie szarpnąłem drążkiem do tyłu w lewo i zanurkowałem. Pierwszy pocisk przemknął obok mnie, podczas gdy drugi skorygował kurs i skręcił moim śladem. Pchnąłem drążek do przodu i ponownie zanurkowałem, pozwalając, by przeleciał obok.

To od ciebie, Tycho, nauczyłem się, jak umknąć z tej pułapki, pomyślałem, uśmiechając się. Przy użyciu skanera odnalazłem pierwszy pocisk, namierzyłem i zablokowałem jako cel. Poprawiłem kurs, by lecieć tym samym torem i zaczekałem, aż zbliży się na kilometr do mnie. Przełączyłem broń na podwójne lasery, ustawiłem celownik na nadlatującą torpedę i wystrzeliłem. Pierwsza para moich strzałów spudłowała, ale druga trafiła, rozrywając torpedę na kawałki zaledwie pięćset metrów przed moim dziobem. Pochyliłem statek na bok, zanurkowałem i zlokalizowałem drugą torpedę. Przygwoździłem ją pierwszym strzałem, detonując w odległości kilometra, a potem przeleciałem przez zapadającą się złotą kulę ognia długą pętlą w kierunku „Gnębiciela”.

Usłyszałem głos Tycho wśród trzasków na szerokim paśmie:

- Masz fantazję, łapsie!

- Nie chciałem, żebyście myśleli, że macie do czynienia z żółtodziobami. Do następnego razu, Łotry! - Zatańczyłem łapsem na boki i popędziłem pod parasol ognia „Gnębiciela”. Posadziłem statek w środku lądowiska wyznaczonego dla Ocalałych. Obracając łapsa nosem do wrót hangaru, zauważyłem, że Ocalałi stracili zaledwie sześć z trzydziestu sześciu myśliwców, a ja straciłem tylko dwa. Grupa myśliwców eksimperialnych straciła ponad tuzin łap-sów, a przednie rzędy lądowiska, przeznaczone dla oficerów dowodzących, pozostały puste.

Wziąłem głęboki oddech, po czym zdjąłem hełm i skafander próżniowy. Popchnąłem klapę kabiny i wygramoliłem się z łapsa.

Timmser i Caet pomogły mi zejść na pokład i podtrzymały za łokcie, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Nie od razu uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem osłabiony. Walka przeciwko Tycho była chyba najtrudniejszą rzeczą w całym moim życiu, a przecież miałem nad nim przewagę, jaką dawała mi Moc. To, czego on dokonał, to, czego dokonywał Wedge nawet bez użycia Mocy, czyniło z nich istoty wyjątkowe, bardziej wyjątkowe niż Jedi. Latali, wkładając w to całe serce i cały umysł, po prostu całych siebie. Timmser podźwignęła mnie do góry.

- Bardzo sprytnie to zrobiłeś, Jen. Te torpedy... pokazałeś im! Pokład wypełnił ryk syreny ostrzegawczej i błyski czerwonych

świąteł. Wyciągnąłem rękę do tyłu i oparłem się o mojego łapsa, bo „Gnębiciel” przyspieszał właśnie do nadświatłowej. Generatory grawitacyjne niwelowały fizyczne efekty przyspieszania, ale obserwowanie śmigających gwiazd przez iluminator wlotowy wystarczyło, by mnie zdezorientować.

Caet włożyła płaszcz, naciągnęła kaptur i zdjęła ciężkie gogle.

- Dobrze nam poszło. Pioruny straciły jednego. Jastrzębie trzech.

- Kogo straciliśmy?

- Piątkę i Siódemkę. - Timmser wzruszyła ramionami. - Postanowili zabawić się z chudziakami i A-skrzydłowce je zmiotły.

Potrząsnąłem głową.

- To duża strata.

- Chudziaki zaatakowały „Zdradziecki Cios”. Blook i Yander myśleli, że zdobędą parę punktów u kapitana Nive'a. — Timmser przeczesła palcami swoje sterczące włosy, opryskując mnie przy okazji kropelkami potu. - Dobrze się już czujesz, kapitanie?

Wyprostowałem się.

- Lepiej. Łatwo zapomnieć, jakie to wyczerpujące.

- To po co latałeś za strzałkami?

- To oni za mną latali, Caet. Timmser trafiła jednego. Dzięki za pomoc.

- Nie chciałem, żebyś za szybko zginął. - Timmser uśmiechnęła się do mnie swobodnie. - Zresztą przy twoim lataniu to nie takie trudne.

Ostry dźwięk klaksonu ponownie rozległ się w hangarze, który po chwili wypełnił dochodzący przez interkom dudniący męski głos.

- Bacność! Admirał na pokładzie! Kiedy podchodziliśmy, by ustawić się na brzegu naszego terenu postojowego, towarzyszył nam stukot butów pozostałych załóg. Naprzeciwko nas w równym szeregu stanęła eskadra imperialna. W swoich czarnych uniformach wyglądali całkiem elegancko, w przeciwieństwie do nas. Część z nas miała na sobie mundury Ocalałych, pełne złotych ściegów na szaro-czerwonych tkaninach, ale pozostali nosili dość przypadkową mieszankę zdobycznych ciuchów z planet, które najechaliśmy, albo mundury jednostek, w których służyli w przeszłości. Imperialni i Ocalałi wyglądali jak zenit i nadir. Jedyną naszą przewagą było to, że mieliśmy mniej strat w ludziach.

Drzwi środkowej turbowindy się otworzyły, wypuszczając dwóch szturmowców w zbrojach tak białych, że o mało nie poprosiłem Caet o jej gogle. Zatrzymali się i rozdzielili na boki, przepuszczając na pokład admirała Tawirę. Szturmowcy, zarówno ci, którzy osłaniali jej boki, jak i pozostała dwójka, która wyszła z turbowindy za Tawirą, przewyższali ją wzrostem; jednak coś w sposobie, w jaki się poruszała, mówiło, że nie należy jej nie doceniać. Miała na sobie szary admirański mundur, a w rękach skrzyżowanych z tyłu ścisłała pejcz. Nawet z odległości, w jakiej stałem, czułem galwanizujące spojrzenie jej ametystowych oczu.

Spojrzała na swoich ludzi, a potem na nas. Machnęła od niechcenia rękaw czarnej rękawicy, wskazując na nas pejczem. Szturmowcy ruszyli przodem, a ich równo odmierzone, precyzyjne marsze kontrastowały z jej swobodnym krokiem. Kiedy podeszła do nas i zaczęła przechadzać się wzdłuż szeregu, wyjęła ręce zza pleców, postukując pejczem o lewą dłoń albo dotykając jego końcem, delikatnie i drażniąco, własnego podbródka.

Patrzyłem beznamytnie przed siebie, gdy mnie mijała, starając się nie zareagować na szybkie spojrzenie, jakie rzuciła w moją stronę. Była ode mnie niższa o dobre dziesięć centymetrów, a jej czarne jak próżnia włosy połyskiwały srebrzyście. Błada skóra ciasno opinała kości, a wokół oczu i ust nie pojawiły się jeszcze nawet najmniejsze zmarszczki. Na podstawie wyglądu i wieku można by ją wziąć za dziecko, ale chłodna pewność siebie, emanująca z jej ruchów i sposób, w jaki mierzyła nas wzrokiem, zdradzały całą prawdę o jej psychicznym wieku.

Zatrzymała się przed kapitanem Gurttem i stuknęła ją lekko w ramię końcem pejcza.

— To ty proponowałaś nam koncepcję rozegrania bitwy?

- Ja, pani admirał. - Tyresi mówiła spokojnym głosem, ale wyczułem w nim lekkie drżenie.

Tawira przez chwilę studiowała jej twarz, pozwalając ciszy przedłużyć się do momentu, gdy stała się nieznośna.

- Doradziłaś nam wycofanie sił, podczas gdy Republikanie będą zbierać swoich ludzi?

- Tak jest, pani admirał.

Cisza znów się przeciągała. Ani Tawira, ani Tyresi nie miały ochoty jej przerwać. Czułem, jak rośnie napięcie. Strategia, za którą obwiniano teraz Tyresi, wyszła ode mnie i każda kara, jaka na nią spadnie, powinna stać się moim udziałem. Nabrałem powietrza, żeby coś powiedzieć, ale dostrzegłem niemal niewidzialne drżenie w kąciu ust Tawiry.

- Ta strategia przyniosła nam zwycięstwo, kapitan Gurtte. - Tawira od niechcenia pokazała palcem na swoich ludzi. - Pułkownik Lammer nie zgadzał się z panią i rzucił się prosto na X-skrzydłowce. Jak pani widzi, nie ma go tu z nami, nie może więc bronić swojej koncepcji.

- Rzeczywiście, pani admirał, nie ma go tutaj. Tawira postukała Tyresi w ramię trzonkiem pejcza.

- Co oznacza, że muszę znaleźć kogoś, kto go zastąpi. To będzie pani, pani pułkownik.

Ciemne oczy Tyresi rozszerzyły się z wrażenia.

- Ja? Ja mam się przenieść na „Gnębiciela”?

- Jestem pewna, że kapitan Nive nie będzie oponował przeciwko takiej zmianie.

- Tak jest, pani admirał. - Tyresi zmarszczyła czoło. - Byłabym nie w porządku, pani admirał, gdybym nie powiedziała, że strategia, którą pani przekazała, wyszła od kapitana Idaniana. On ją zaproponował, a ja przekazałam ją pani, bo uważałam, że jest rozsądna.

- Tak - mruknęła Tawira. - Kapitan Idanian, ten sam, który zestrzelił torpedy protonowe, wycelowane w mój statek. Myślałam o tym, żeby go przenieść na pani miejsce w Eskadrze Piorunów.

Remart potrząsnął głową, a Tawira odwróciła się w jego stronę i popatrzyła jak jastrzębi nietoperz na granigłuta.

- Masz coś do dodania, pilocie?

- Proszę o wybaczenie, pani admirał, ale wśród Ocalałych nie tak przydziela się awanse. - Nie? W takim razie jak to wygląda? Remart uśmiechnął się czarująco.

- Po pierwsze, żeby trafić do Eskadry Piorunów, trzeba przejść przez głosowanie. Jesteśmy bowiem jednostką elitarną.

Tawira pokiwała głową.

- Więc jego ludzie musieliby przegłosować ten wybór, tak? Remart przytaknął.

- Tak jest, pani admirał.

Przyciskając w zamyśleniu koniec pejcza do ust, Tawira odwróciła się i popatrzyła po moich ludziach.

- Wszyscy, którzy są za przeniesieniem kapitana Idaniana do Eskadry Piorunów, niech podniosą stosowną kończynę.

Uniosło się dziewięć rąk. Oprócz mojej. Tawira zmarszczyła czoło.

- Jesteś przeciwny temu wyborowi?

- Mam obowiązki wobec moich ludzi.

- Masz obowiązki wobec mnie! A ja chcę cię widzieć w Eskadrze Piorunów.

- Rozkaz, pani admirał. Spojrzała na Remarta.

- Teraz powiesz mi zapewne, że muszą go jeszcze wybrać na dowódcę Piorunów, tak?

- Tak to się u nas odbywa, pani admirał. Tawira pokazała w uśmiechu wszystkie zęby.

- A to stanowisko szykowałeś pewnie dla siebie, co? Remart zeszywniał.

- Byłbym pani najwierniejszym i najbardziej oddanym sługą, pani admirał.

Tawira stuknęła Remarta pejczem w żołądek, wcale nie tak delikatnie.

- Może i byłbyś, ale nie chcę, żebyś dowodził Piorunami. Trudny dowództwa mogłyby wyrzeźbić zmarszczki na twoim gładkim czole, a tego bym nie chciała. Wszystkich członków Eskadry Piorunów, którzy są za przejściem dowództwa przez kapitana Idaniana, proszę o podniesienie kończyn.

Dziewięć rąk poszło w górę, a po szybkim uderzeniu pejczem dołączyła do nich ręka Remarta.

Tawira uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Chociaż nie cierpię demokracji, miło jest widzieć, jak ten cudaczny zwyczaj prowadzi do jednomyślności. Gratuluję, kapitanie Idanian. Ma pan nowy oddział. Może pan teraz przekazywać swoje plany prosto na „Gnębiciela”.

- To przywilej, z którego będę korzystał z rozważą, pani admirał.

Zmrużyła fiołkowe oczy.

- Dlaczego mam wrażenie, że może popełniłam pomyłkę, awansując cię?

Popatrzyłem na nią otwarcie.

- Nie mam pojęcia, pani admirał.

- Uważaj zatem, kapitanie, bym nie pomyślała tak nigdy więcej.

- Rozkaz, pani admirał! - ukloniłem się i nie podnosiłem głowy, dopóki nie odmaszerowała w towarzystwie swoich szturmowców i Tyresi, by zapoznać ją z nowymi podkomendnymi. Zerknąłem na Remarta i zobaczyłem, że aż się trzęsie ze złości. Nie dam jej powodu, by sądziła, że popełniła pomyłkę. Remart, dla odmiany, zrobi to z pewnością. Wiedziałem więc, że kiedy dojdzie między nami do nieuniknionej konfrontacji, tylko jeden z nas wyjdzie z tego cało.

ROZDZIAŁ

38

Przejęcie Eskadry Piorunów po Tyresi Gurtta okazało się i łatwiejsze, i trudniejsze, niż się spodziewałem. Jacob Nive zaaprobował wybór, co ucięło niezadowolenie wśród Piorunów. Większość z nich nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć jak latam, a chociaż dane zebrane z sensorów podczas mojej potyczki przeciwko Tycho i zestrzelenie torped przekonały do mnie wielu z nich, kilku zachowywało się z rezerwą, czekając na okazję, by sprawdzić się w bezpośrednim starciu ze mną. Remart i dwaj inni - plus jeden z nowych pilotów, przeniesionych z Eskadry Ciosów - ostro mi się sprzeciwiali. Zebrałem ich w jednym kluczu - trzecim - i nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł rzucić ich przeciwko Eskadrze Łotrów albo formacji A-skrzydłowców Pasha Crackena. Wiedziałem, że jest to pragnienie niegodne Jedi i nie czułem się z tym za dobrze, ale Remart spiskujący za moimi plecami, żeby narobić mi kłopotów, to doprawdy o jeden stres za dużo.

Na szczęście dla niego i dla mnie, „Gnębiciel” nie wzywał nas na akcje przez ponad miesiąc, pozwalając nam marnieć na Courkrus. Zakładaliśmy, że działo się tak, bo tyle czasu zajęło Tyresi odbudowanie formacji myśliwskiej „Gnębiciela”. Brak zadań bojowych dla „Gnębiciela” nie powstrzymał admirał Taviry od spotkania się od czasu do czasu na Courkrus z szefami rozmaitych gangów, ale nie wynikły z tego żadne operacje dla mnie.

Oprócz ćwiczeń z moją nową eskadrą zajmowałem się analizowaniem różnych epizodów najazdu na Xa Fel. Dowiedzieliśmy się potem różnymi kanałami, że Nowa Republika nie czekała na nas nad Xa Fel. Zorganizowali ten wypad, by wyłapać z zaskoczenia kierownictwo stoczni Kuat Drive Yards. Było na nich już kilka wyroków sądowych, nakazujących zaprzestanie zanieczyszczania planety i przeprowadzenie rekultywacji powierzchni, ale kierownictwo zakładów nie zrobiło nic w tym kierunku. Podczas ataków Thrawna nie było czasu na egzekucję wyroków sądu, ze względu na zamieszanie spowodowane przez odrodzonego Imperatora. Stocznia się rozruchowała, więc Nowa Republika wmieszała się w sprawę, ściągając do systemu Interdictora, żeby zatrzymać wszystkie statki w obrębie układu i właśnie sprawdzali, jak się sprawy mają, gdy my się pojawiliśmy.

Chociaż cieszyłem się, że Xa Fel ma szansę na odbudowanie środowiska naturalnego, znacznie ważniejszy był dla mnie charakter noworepublikańskiego najazdu i fakt, że wpadliśmy w sam jego środek. Ludzie Taviry przeoczyli siły Nowej Republiki, bo zamiarem tych sił nie było złapanie „Gnębciciela”. Wojska przybyły tam w innym celu. A to oznaczało, że doradcy Taviry umieli odczytać zagrożenia wymierzone bezpośrednio w nią, nie zaś przewidywać przyszłość jako taką. Wyczuwali ten sam rodzaj wrogich zamiarów, jakie ja odbierałem od Tycho, tyle że z pewnym wyprzedzeniem. Tego, co nie było bezpośrednim zagrożeniem dla Taviry i „Gnębciciela”, a pośrednio zatem dla jej doradców, w ogóle nie rejestrowali.

Choćby nie wiem jak dobrze używali Mocy, pomyślałem, wygląda na to, że mają pewne ograniczenia. Chyba nie są w pełni przeszkoleni.

Bezowocne dywagacje, jak mógłbym wykorzystać to odkrycie przeciwko Tavirze, zajmowały mi resztę wolnego czasu, a nie był to problem, którym mógłbym się podzielić z przyjaciółmi. Musiałem się jednak przyczaić po tym, jak pewnego popołudnia Jacob Nive wezwał mnie do swojego biura. Wiedziałem, że piloci, którzy walczyli pod Xa Fel, byli wzywani przez dowództwo na przesłuchania w sprawie przebiegu bitwy, ale Ocalałych do tej pory te rozmowy nie objęły. Piloci z innych gangów nie chcieli za wiele mówić o tym, co działo się w trakcie przesłuchań, a ja zorientowałem się, że po prostu sami nie mają o tym pojęcia.

Wszedłem do biura, zasalutowałem kapitanowi Nive'owi i admirał Tavirze, a następnie odsunąłem trzecie krzesło przed biurka Nive'a- to, które stało tyłem do drzwi od sąsiedniego pokoju. Admirał Tavira, w czarnym kombinezonie pilota, dopasowanej do niego czapce i krótkiej kurtce założyła nogę na nogę, machając swobodną nogą w przód i w tył zdecydowanie niecierpliwie.

- Dziękujemy, że zechciał się pan do nas przyłączyć, kapitanie Idanian.

Ukloniłem się jej.

- To dla mnie zaszczyt, pani admirał. W czym mogę pomóc?

- Zbieram informacje na temat bitwy pod Xa Fel. Jak pan zapewne wie, w przeszłości moi doradcy dość skutecznie potrafili utrzymać „Gnębciciela” z dala od poważniejszych kłopotów. - Tavira przyglądała mi się spod półprzymkniętych powiek swoimi czarownymi oczami. - Pod Xa Fel zawiedli mnie, ale jednak wyczuli pewną obecność.

- Obecność? - zmarszczyłem brwi. - Chyba nie do końca rozumiem.

- Słyszałeś kiedyś o rycerzach Jedi? - Jej pytanie zabrzmiało miękko, niemal uwodzicielsko. Czekać na moją odpowiedź, zwilżyła wargi różowym koniuszkiem języka, wpatrując się we mnie z rosnącą intensywnością. Sposób, w jaki zadała pytanie, postawa i ton głosu sugerowały nagrodę za powiedzenie prawdy, a ja byłem zdumiony, jak wielką miałem ochotę jej dogodzić. Słowa Exara Kuna, że ta kobieta mogłaby być moją, przeleciały mi przez głowę, ale natychmiast potem mignął obraz Mirax, wywołując ukłucie bólu.

W tym samym momencie poczułem obecność wpelzającą do mojego umysłu. Wsuwała się niepewnie i delikatnie, jak galaretka opatrunkowa rozwijana na powierzchni świadomości. Gdybym nie szkolił się w użyciu Mocy, nigdy bym jej nie wyczuł, przypisując wszystko przenikliwemu wzrokowi pani admirał. Dzięki podstawom,

jakie dało mi szkolenie, potrafiłem wyczuć sondowanie, więc zacząłem bronić się, by nie sięgnęło głębiej.

Przypomniałem sobie, jak Luke wszedł do mojego umysłu, kierując swoje myśli w tym samym kierunku co moje. Odwróciłem tym razem tę technikę. Jeśli badający szukał informacji o Mocy i rycerzach Jedi, to proszę bardzo, będzie je mieć. Wyszperałem każdą wzmiankę o rycerzach Jedi ze wszystkich szmirowatych holodram i pseudonaukowych reportaży, jakie mogłem sobie przypomnieć. Utworzyłem w głowie skupisko takich obrazów i wpuściłem tam sondującą mnie obecność, pozwalając jej pławić się w bogactwie danych.

- Słyszałem, pani admirał. - Zacerwieniłem się i spuściłem wzrok. - Jako dziecko obsesyjnie się nimi interesowałem. Oglądałem na ich temat wszystko, co się dało, bo to doprowadzało do furii moją rodzinę. Oczywiście nie wiedziałem wtedy, na jakie ryzyko narażam bliskich, ani nie rozumiałem, jakie ryzyko przedstawiają Jedi dla Imperium. Wiem, że Nowa Republika ma podobno paru rycerzy Jedi, a jeden z nich jest chyba odpowiedzialny za zniszczenie Caridy.

- Rzeczywiście. - Oczy Taviry zaśniły. - Podczas bitwy o Xa Fel moi ludzie wyczuli obecność Jedi. Wiesz coś o tym?

Odrzuciłem głowę w tył i roześmiałem się.

- No tak, teraz to wszystko trzyma się kupy. Zmarszczyła czoło.

- Co trzyma się kupy?

- Torpedy protonowe. Właśnie tego użyłby przeciwko „Gnębcielowi”.

Nive potrząsała głową.

- Jeszcze raz, tym razem z plikami pomocy! Spojrzałem na nich otwarcie, dodając wrażenie szoku do skupiska wspomnień na temat Jedi w mojej głowie.

- Ten Jedi, Luke Starkiller czy Adam Darklighter, Biggs Skywalker czy jak mu tam, ten, który zniszczył Gwiazdę Śmierci nad Yavin... to on używał torped protonowych. Nic dziwnego, że wystrzelił je też w pani statek, zanim odleciał. Moi przeciwnicy byli z Eskadry Łotrów, a przecież on jest ich założycielem.

Wyczułem to samo zaskoczenie, które pojawiło się na twarzy Taviry, w umyśle badającym mój mózg. Umysł zaczął się wycofywać, a zdziwienie Taviry przeszło w pełen uznania uśmiech.

- Jestem pod wrażeniem, kapitanie Idanian. Nikt do tej pory nie powiązał Eskadry Łotrów z Jedi.

- Nawet pani doradcy?

- Nie, nawet oni. - Stuknęła rączką pejcza o dłoń. - Jak to możliwe, że właśnie ty na to wpadłeś?

Zmrużyłem oczy.

- Ten pilot z X-skrzydłowca o mało mnie nie dopadł. Wiedziałem, że był z Eskadry Łotrów, ale kiedy analizowałem moje wyniki już po bitwie, doszedłem do wniosku, że muszę się o nich dowiedzieć czegoś więcej. Ich historia jest fascynująca. Pani również ma w niej swój udział.

Uniosła głowę, a jej wzrok zlodowaciał.

- Wpadliśmy na siebie parę razy, ale nigdy nie było wśród nich Jedi.

Staralem się powstrzymać dreszcz, ale nie udało mi się. Zauważyła to i uśmiechnęła się.

- Przeżyłeś spotkanie z nimi, podobnie jak ja. Czy to czyni z nas pokrewne dusze?
- To czyni z nas Ocalałych.
- Uważasz to za powód do dumy? Potrząsnąłem głową.
- Za powód do dumy uważam zwycięstwo. Otworzyła szerzej oczy.
- A zawsze wygrywasz?
- Jak dotąd.
- Może nikt ci dotąd nie dał dostatecznie ambitnego zadania? -Wydeła wargi. -

Może ja powinnam znaleźć dla ciebie odpowiednie wyzwanie?

Kapitan Nive poruszył się niespokojnie na krześle.

- Jeśli pani sobie życzy, mogę... Uniosłem rękę.
- Przepraszam, sir. Czy mogę mówić otwarcie, pani admirał? Zamrugala.
- Zdumiewasz mnie, kapitanie. Proszę, mów. Wstałem.
- Ogromnie panią szanuję, pani admirał, jako taktyka i osobę, która zdołała stworzyć i utrzymać tę koalicję. Pani umiejętność zachowania „Gnębiciela” w jednym kawałku, podczas gdy cała Nowa Republika na niego poluje, graniczy z cudem. Poza tym, proszę mi wybaczyć moją śmiałość, jest pani olśniewająco piękna. Chodzi jednak o to, że dołączyłem do Gnębicieli, żeby latać i robić pieniądze. Jeśli wyzwanie, które chce mi pani zaferować, ma testować moje umiejętności jako pilota, jestem do pani dyspozycji. Jeśli nie -nie jestem zainteresowany.

Nive wyglądał na oszołomionego. Na pewno myślał, że Tavira rozkaże mu zabić mnie z miejsca, nie zwlekając.

Tavira wyglądała na zaskoczoną. Przez całą sekundę. Potem wstała i przejechała mi po twarzy swoim pejczem. Wiedziałem, że cios nadejdzie - nie potrzebowałem nawet do tego Mocy - i po prostu przyjąłem go. Ból wsiąkł w moje ciało, zastąpiony przez uczucie pieczenia na prawym policzku. Nie czułem krwi, ale wiedziałem, że przez najbliższych parę dni będę miał na twarzy paskudną szramę, a potem długą bliznę.

- To za twoje zarozumiałstwo, kapitanie. - Tavira dziabnęła mnie końcem szpicruty w podbródek. - Gdybym uznała, że jesteś atrakcyjny - a chociaż nie można cię nazwać brzydalem, nie jesteś w moim typie - i chciałabym, żebyś mi usługiwał, to zrobiłbyś to. Cśś... żadnych sprzeciwów! Przyjmij to za fakt, prosty i oczywisty. - Zmrużyła powieki, przyglądając mi się. - Szkoda, że jesteś blondynem. Blondyni nigdy nie wychodzą mi na dobre.

Odwrociła się gwałtownie, pozwalając, by szpicruta owinęła mi się wokół gardła.

- Jeśli chodzi o wyzwania dla twoich umiejętności pilotażu, to będziesz je miał. Myślę, że najdalej w ciągu tygodnia. Chcę użyć Ocalałych jako grupy uderzeniowej podczas najbliższej operacji. Myślisz, że zdołasz sprostać wyzwaniu?

- Zrobię, co pani rozkaże.

Tavira odwróciła się do mnie powoli z uśmiechkiem na twarzy.

- To dobrze, kapitanie, bo to oznacza, że jest dla ciebie nadzieja. Proszę nie zawieść, kapitanie. Nie spodobałoby się panu to, co robię z ludźmi, którzy mnie zawiedli.

Opuściłem biuro Nive'a, mijając Timmser, która czekała, żeby wejść w następnej kolejności, i wyszedłem na rozpaloną słońcem ulicę. Zacząłem iść w kierunku małej knajpki, którą lubiłem, ale dałem się ponieść myślom i po prostu włóczyłem się bez celu. W czasie spotkania tyle się wydarzyło, że musiałem to sobie ułożyć w głowie i zastanowić się, co dalej.

Przede wszystkim potwierdziły się moje przypuszczenia: doradcy Taviry byli wrażliwi na Moc i przeszkoleni w niektórych sposobach jej użycia. Byłem niemal pewien, że moja osłona przeszła niezauważona, co oznaczało, że doradcy Taviry nie znali się za dobrze na tego rodzaju sondowaniu. Możliwe, że ich zdolność do wyczuwania zagrożenia była pasywna i odnosiła się tylko do zagrożeń wycelowanych w nich samych. To by oznaczało, że działają raczej reaktywnie, nie wykazując się zbytnio inicjatywą, trochę jak w ćwiczeniach pilotów, kiedy nie możesz wystrzelić, zanim nie zostaniesz trafiony pierwszy.

Fakt, że wykryli moje manipulacje Mocą w czasie bitwy, niepokoił mnie. Gratulowałem sobie, że nie zastosowałem tego wcześniej. Gdyby przypuszczenie Luke'a, że Mirax porwano, by powstrzymać mnie od pewnych działań, było słuszne, a moja obecność w Mocy pozwalała im mnie zidentyfikować, to tak, jakbym rozgłosił wszem i wobec, że oto przybyłem. Byli wprawdzie gotowi zaakceptować możliwość, że osobą, która użyła Mocy w czasie bitwy, był Luke Skywalker, ale to niczego nie rozwiązywało - oznaczało po prostu, że na razie nie znali sposobu, by odróżnić mnie od Luke'a.

Uderzyło mnie również, że nigdy wcześniej nie wyczułem doradców Taviry, zanim spróbowali wysondować mnie w biurze i w czasie bitwy. Jeśli oni mogli mnie wyczuć, to musieli znajdować się w zasięgu, w którym i ja powinienem ich wykryć - tak mi się przynajmniej wydawało. Musieli zatem osłaniać swoją obecność, by pozostać w ukryciu. Jeszcze kilka lat temu bycie Jedi oznaczało najkrótszą drogę do szybkiej śmierci, więc umiejętność ukrywania tego talentu była prawdziwą cnotą. Dla mnie ta cnota oznaczała jednak, że mogę stać tuż obok niebezpiecznego wroga, nie mając o rym pojęcia.

Po drugie, co było równie ważne, dowiedziałem się, że Tavira nie lubi, by się jej sprzeciwiać. Bezceremonialnie odrzuciłem jej propozycję, zanim jeszcze na dobre ją złożyła, za co zostałem ukarany i ostrzeżony, bym nigdy więcej jej nie odmawiał. Nie przyznała się, że ją wyprzedziłem i nie wypuściła z rąk kontroli nad sytuacją. Była przekonana, że wyszła z tej sytuacji zwycięsko, a ja nie miałem pojęcia, jak zamierza wykorzystać to zwycięstwo.

Zauważyłem, że stoję przed drzwiami „Katastrofy”, więc wszedłem do chłodnego wnętrza baru. Poczekalem chwilę, aż moje oczy przyzwyczają się do panującego tam półmroku, a potem ruszyłem ku stolikowi z tyłu sali, gdzie siedziały Timmser i Caet. Zanim tam jednak dotarłem, ciężka dłoń Remarta wylądowała na moim ramieniu. Odwróciłem się do niego, strząsając rękę.

- O co ci chodzi? Uśmiechnął się do mnie przebiegle.

- Chcę postawić ci drinka.

- A co, dostali tu transport aliońskiej neurotoksyny? Barman, facet o twarzy tak owrzodzonej, że mógłby pochodzić z Xa Fel, roześmiał się.

- Nie jesteśmy z Margat. Sasyru stawia. Co ci podać?
 - Miejscowe piwo, dziękuję. - Spojrzałem na Remarta. - Skąd ta hojność?
 - Nie chciałbym, żeby były między nami jakieś nieporozumienia, kapitanie. - Uniósł w moją stronę kieliszek czerwonej brandy w niemym toaście. - Bez urazy.
 - W porządku. - Wziąłem piwo od barmana, skinąłem głową Remartowi i ruszyłem do końca sali. Timmser odsunęła nogą krzesło dla mnie.
 - Co się stało Remartowi? Timmser prychnęła, a Caet zawarczała.
 - Sasyru wszedł do gabinetu Nive'a, żeby porozmawiać z kapitanem i panią admirał. Wyszedł cały szczęśliwy. Wygląda na to, że pani admirał ma zamiar pozwolić Remartowi zabawiać się po następnej misji.

- Rozumiem. - Łyknąłem piwa, koncentrując się na szczypiącym dotyku gazu na języku. Piwo wydało mi się kwaśne, ale wiedziałem, że to nie wina napoju. Nie podobała mi się perspektywa Taviry i Remarta razem. Odwróciłem się, by na niego popatrzyć.

Z gardła Caet dobiegł głęboki pomruk:
 - Zazdrość do ciebie nie pasuje, Jenos. Spojrzałem na nią, mrugając ze zdumienia.
 - Zazdrość? Ja? O Remarta? Nic podobnego! Timmser potrząsnęła głową.
 - Nie przyjąłeś tego za dobrze, Jen. Od razu widać.
 - Nie masz racji. - Zmarszczyłem czoło i pociągnąłem kolejny łyk. Staralem się przekonać samego siebie, że nie podoba mi się wizja tych dwojga, bo Remart mógłby nastawić Tavirę przeciwko mnie.

- Jako pupilek Taviry, Remart będzie się wyżywał na wszystkich. Timmser pokiwała głową.
 - Przyjęłam, kapitanie, ale myślę, że niewłaściwie odczytujesz dane ze swoich sensorów.

Caet zgodziła się z nią.
 - Szukaj prawdy, Jenos. Nie lataj na ślepo.
 Siedziałem zaszępiiony, zastanawiając się, czy to możliwe, żebym był zazdrosny o Tavirę. Wiedziałem, że to głupie. Nie chciałem jej - miałem Mirax i to mi wystarczało do szczęścia. Odrzuciłem ją i łatwo mogłem sobie wyobrazić, że wybrała Remarta, żeby powetować zranioną dumę, a zarazem zaleźć mi za skórę, bo przecież nasza animozja była faktem ogólnie znanym. Jednak chociaż jej nie chciałem, jeszcze mniej chciałem, żeby była z Remartem.

Jestem zazdrosny!
 Wzdrygnąłem się. Wiedziałem, że ta zazdrość była genetycznie zaprogramowaną reakcją. Zdobywając kobietę, mężczyzna gwarantował sobie, że jego geny przetrwają, a każdy inny mężczyzna był *de facto* rywalem w tej walce o nieśmiertelność. Chociaż chciałem wierzyć, że pokonałem zwierzęcą część mojej natury - że, jak mawiał Yoda, nie jestem tylko zlepkim surowej materii - mimo wszystko nie lubiłem Remarta. A Leonia Tavira wydawała mi się niezwykle atrakcyjna.

Musiałem to przyznać. Jednym z powodów, dla których odrzuciłem jej awanse, było to, że uważałem ją za godną pożądania. Jej wygląd musiał cieszyć oko każdego mężczyzny, a inteligencja jeszcze zwiększała tę atrakcyjność. Jej kaprysy mogły być

niebezpieczne, ale właśnie to niebezpieczeństwo stanowiło wyzwanie. Musiałem się zastanowić, czy przy zbliżeniu z nią zdołałbym uniknąć jej wybuchów gniewu.

Zanim zgodziłem się dalej dążyć ten temat, przycisnąłem kufel zimnego piwa do prawego policzka, pozwalając, by jego chłód złagodził pieczenie śladu po pejczu. Zapiekło jeszcze bardziej, gdy kropelki piwa podrażniły startą skórę, ale to mi przypomniało o małostkowości i okrucieństwie Taviry. Czy naprawdę mogłem pożądać takiej kobiety? Przypomnienie jej prawdziwego charakteru podziało jak wibroostrze na moje przekonanie ojej atrakcyjności. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Caet prychnęła, zwracając się do mnie.
 - Twoja twarz. Kto to był?
 Opuściłem kubek i przysunąłem się bliżej, żeby mogła sobie dobrze obejrzeć ranę.
 - Towarzyszka zabaw Remarta. Nie spodobały jej się moje odpowiedzi na parę pytań, które mi zadała.

Timmser zakreśliła kieliszkiem brandy i powąchała trunek.
 - Ja odpowiedziałam na wszystkie i nabawiłam się tylko bólu głowy.
 - No cóż, ja jej powiedziałem, że mnie boli głowa, i dostałem za swoje.
 - Niezbyt mądrze. - Caet pochyliła się. - Nie żałuję Remarta. Ale o ciebie się boję.
 - Nie masz powodu się bać, Caet - potrząsnąłem głową. -A przynajmniej nie rób tego przy Tavirze. Myślę, że ona wyczuwa strach i słabość. A jeśli rozpozna te uczucia u ciebie, to lepiej, żebyś najadła się strzałów z blastera - pójdzie szybciej i na pewno będzie mniej bolało.

ROZDZIAŁ

39

Nasza nowa akcja wyglądała na łatwą i zapewne nie wymagała użycia tych wszystkich sił, które ze sobą ciągnęliśmy, ale nie spodobała mi się ani trochę. Admirał Tavira zdecydowała, że polecimy do systemu Algara. Celem naszego ataku nie była jednak główna planeta systemu, Algara 2, chociaż zdominowana przez biurokrację planetarna administracja zapewne nie byłaby w stanie stawić nam oporu. Zamiast tego Tavira wybrała pierwszą planetę systemu, porośniętą dżunglą Kerilt, na której znajdowała się jedyna kolonia, daleka od samowystarczalności.

To właśnie ten brak samowystarczalności sprawił, że była atrakcyjnym celem. Kolonia - Morymento – stanowiła jedno z największych w galaktyce skupisk Caamasi. Wiele lat przed moim urodzeniem, tuż po Wojnach Klonów, planeta Caamasi została brutalnie zaatakowana i zbombardowana taką siłą ognia, że cała roślinność planety zagotowała się i spłonęła, pozostawiając gołą skałę. Ten sam los spotkał jej mieszkańców. Ze względu na dokładność i wściekłą brutalność ataku nie było wiadomo, kto go zorganizował ani przeprowadził.

Nikt też nie wiedział, dlaczego planeta została eksterminowana. Jak sięgnąć pamięcią, Caamasi byli ludem pacyfistów, uosobieniem równowagi i pojednania. Choć kilku Caamasi wstąpiło w szeregi Jedi - w tym oczywiście przyjaciel mojego dziadka, Ylenic Ifkla - większość z tych, którzy opuszczali rodzinną planetę, czyniła to w charakterze kupców lub naukowców, negocjatorów albo dyplomatów. Byli tak lubiani, że w wielu językach słowo Caamasi przyjęto na oznaczenie „przyjaciela z daleka” lub „cudzoziemca, któremu można zaufać”.

Różne frakcje imperialne robiły, co mogły, by pomóc pozostałym przy życiu przedstawicielom Caamasi po zagładzie ich planety. Utworzono kolonie, takie jak Morymento, a zwolennicy spiskowej teorii dziejów byli skłonni uważać, że Alderaan został unicestwiony ze względu na obecność na planecie dużej grupy uciekinierów tej rasy. Nie miałem pojęcia, czy to prawda, ale pamiętam, że moja matka zbierała stare ubrania, by wysłać je do kolonii Caamasi, rozsianych po całej galaktyce. Po pokonaniu Imperium strumień darów nie ustał, a nawet zwiększył się, co oznaczało, że kiedy półroczny transport dostaw przybył na Kerilt, kolonia Caamasi stała się wybornym celem dla grabieżców.

Kiedy wyszliśmy z nadprzestrzeni, szybko się zorientowaliśmy, że nie byliśmy jedynymi, którzy uznali zapasy przeznaczone dla kolonii za smakowity kąsek.

Kiedy myśliwce wysypały się z hangarów „Gnębiela”, zobaczyliśmy stary krążownik wojenny klasy Kaloth na orbicie wokół Kerilt. Transponder IPP zidentyfikował tę jednostkę jako „Krzywdę Zuay”, a ja słyszałem o tym statku jeszcze za czasów Kor-Seku. Należał do grupy thalasańskich handlarzy niewolników, którzy nawet w swojej branży mieli nie najlepszą reputację - wybierali najbardziej wartościowe osobniki spośród swoich ofiar, a resztę po prostu zabijali, zmniejszając w ten sposób podaż, dzięki czemu windowali ceny w górę.

- Pioruny, za mną! Bierzemy się za ich czerepy. Rozwalcie ich, bez cackania się. Skały, Noże - atakujecie statki Thalasan na powierzchni planety. Działami jonowymi, bo nie chcę rozwalać statków pełnych niewolników. - Timmsler i Wallon potwierdzili przyjęcie rozkazu i ruszyli ku atmosferze, a my pomknęliśmy w lewo, pikując prosto na dwa tuziny Łowców Głównego typu Z-95, których używali Thalasanie - raczej typowe modele, z dwoma potrójnymi blasterami i wyrzutnią pocisków udarowych.

Thalasańscy piloci nie byli źli, tyle tylko, że my byliśmy lepsi, i to dużo lepsi. Pierwszego trafiłem mijając go na wprost. Najpierw roztrzaskałem jego przednie tarcze ogniem laserów. To go trochę ostudziło, ale wystrzelił pocisk udarowy, który jednak przeleciał obok, nie czyniąc mi żadnej krzywdy. Dwa moje kolejne strzały przebiły się przez jego tarcze. Pierwszy strzaskał kokpit, a drugi stopił kawałek lewego silnika, który rozprysnął się na kawałki, kiedy eksplodowała komora. Potem poszły rozetki osłon silników, odlatując w przestrzeń. Kadłub leciał dalej wirując, a pilot - jeśli jeszcze żył - nic nie był w stanie zrobić.

Drugi ich pilot trafił we mnie kanonadą czerwonych promieni blastera ze swojego potrójnego działa, ale tarcze nie puściły. Strzeliłem w odpowiedzi, trafiając go podwójnym ogniem laserów. Przechylił statek na prawo, by uciec spod ostrzału, więc ja odpadłem na lewo i wsiałem mu na ogon. Oddałem kolejny strzał, który zmiotł jego tylne tarcze, po czym odwróciłem statek i zacząłem piąć się za nim długą pętlą. Próbował przechylić w lewo, nadal wznosząc się przede mną, ale szybkie pchnięcie drążka i wciśnięcie pedałów sterów pomocniczych szybko sprowadziło mnie z powrotem na jego ogon. Ostatni ze strzałów przebił tarcze. Gdyby tamten leciał X-skrzydłowcem, byłby już pozbawiony robota astromechanicznego. W Łowcy Głównym natomiast strzał strącił pokrywę kokpitu i dziesięć centymetrów kasku.

Czerwone strzały z blastera przeleciały tuż obok mnie na ster-burcie. Wyłączyłem ciąg i spadałem w dół przez dwie sekundy, a potem znów dodałem gazu i skręciłem na prawo. Statek, który próbował dopaść mojego ogona, wyprzedził mnie, przez co ustawił się brzuchem na wprost linii ognia. Wpakowałem w niego dwie serie, niszcząc przednie tarcze i ścinając jedną trzecią kadłuba. Jeżeli pilot nie był prawdziwym asem, jedyne, do czego statek był teraz zdolny, to lecieć po prostej i wyrównać. To wystarczyło, bo nurkowanie sprowadziłoby maszynę z powrotem w sam środek walki, a lot do góry ~ między „Krzywdę Zuay” a „Gnębiela”. Ale nie na długo.

Krążowniki wojenne klasy Kaloth były kiedyś uważane za statki bardzo potężne, a ten egzemplarz został zmodyfikowany w taki sposób, że mógłby z powodzeniem sta-

wać przeciwko fregatom klasy Nebulon B. W rękach handlarzy niewolników była to wyjątkowo groźna broń i w normalnych warunkach stanowiłby cenny nabytek dla floty „Gnębiciele”. Jednak thalasiańscy łowcy niewolników mieli pecha, bo wyciągnęli łapy po coś, co Tavira uważała za swoją własność, a cena za taki afront musiała być bardzo wysoka.

Nawet wtedy, kiedy po bitwie przeglądałem dane z czujników, trudno mi było objąć umysłem cały szeroki potencjał destrukcji, jakim dysponował „Gnębiciele”. Chociaż wiedziałem dokładnie, ile dział posiada i bez trudu mogłem opisać prawdopodobne efekty wystrzału z każdego z nich, obserwowanie, jak ktoś używa ich w tak skuteczny i zabójczy sposób, zdumiało mnie.

„Krzywda Zuay” uniknęła pierwszej salwy, oblewając całą długość „Gnębiciele” ogniem dział laserowych i turbolaserów. Kilka strzałów przebiło się przez tarcze, topiąc pancierz kadłuba, ale widywałem już gorsze szkody wyrządzone gwiazdowym niszczycielem przez pojedyncze X-skrzydłowce. Taka taktyka mogła się sprawdzać w przeszłości przy odstraszeniu statków bardziej dopasowanych siłą ognia, ale nie w przypadku „Gnębiciele”.

Zwłaszcza z admirała Tavirą na mostku.

W odpowiedzi kurtyna ognia z „Gnębiciele” zmiażdżyła statek pięć razy mniejszy od gwiazdowego niszczyciela. Ciężkie baterie turbolaserów skoncentrowały swój ogień na rufie krążownika, przebijając osłony, jakby były niczym więcej niż holograficznymi projekcjami i wypalając ogromne dziury w poszyciu. Próżnia wysała ze statku powietrze razem z kawałkami poszycia i ciałami załogi, a wybuchy wewnątrz krążownika wymiotły kolejne szczątki w przestrzeń. Szmaragdowe promienie turbolaserów „Gnębiciele” ostrzeliwały prawą flankę statku, przebijając się przez tarcze i wypalając uzbrojenie „Krzywdy Zuay”.

Pozbawiony tarcz i uzbrojenia, dowódca krążownika zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała - obrócił statek, wystawiając w stronę „Gnębiciele” osłaniany tarczą brzuch, i spróbował uciekać. W jego przypadku jednak nie było ani prób, ani sukcesu. Tylko śmierć -bardzo spektakularna.

Kiedy rufa statku wypłynęła przed „Gnębiciele”, niszczyciel skierował na nią kanonadę ze wszystkich swoich dział. Tył „Krzywdy Zuay” po chwili wyglądał jak czarna dziura, zasysająca całą energię zielonych promieni wypływanych przez działa niszczyciela. Silniki krążownika eksplodowały, rozrywając ostatnie całe części kadłuba. Wirująca złota kula rozgrzanych gazów pchnęła resztki statku znacznie dalej, niż to planował jego kapitan, ale były to już tylko spazmatyczne drgawki martwego ciała.

Działa „Gnębiciele” nie przestały wypływać ognia, topiąc wszystko, co zostało z kadłuba. Stopiona durastal zastygała w długie poskręcane pasma, które ciągnęły się za wrakiem jak korzenie mgławicowej orchidei. Widziałem - a przegląd danych z czujników potwierdził to później -jak promienie turbolaserów przepalają dziób krążownika. Więcej metalowych wąsów wyrosło z mostka statku, po czym wypalony kadłub zapadł się. To, co kiedyś było

„Krzywdą Zuay”, wisiało teraz w przestrzeni jak pancierz dziwnego, metalowego stworzenia.

Zawróciłem łapsa i polecałem z powrotem w gąszcz bitwy, ale Thalasiajanie poszli już w rozsypkę. Połowa ich myśliwców została zniszczona, a koniec zgotowany „Krzywdzie Zuay” odebrał chęć do walki pozostałym. Trójka Łowców Głównych wyposażonych w hipernapęd odleciała, kierując się na swój wektor wyjścia, a reszta mknęła w kierunku Algary 2. Nie mam pojęcia, co kazało im myśleć, że znajdą tam schronienie, ale cokolwiek miało ich tam spotkać, biło na głowę śmierć, jaką niechybnie byśmy im zgotowali.

- Pozwólcie im uciec, Pioruny. Schodzimy do atmosfery. Zobaczmy, czy jest tam na dole coś ciekawego.

Mój łaps jako pierwszy przebił się przez grubą pokrywą chmur, pod którą zobaczyłem zieloną dżunglę planety. Z kilku punktów na pomocy wznosił się dym, a nad lasem krążyły łapsy, które od czasu do czasu robiły pętlę i pluły ogniem. Włączyłem częstotliwość taktyczną Eskadry Skał na moim module łączności.

- Tu dowódca Piorunów. Wzywam dowódcę Skał. Meldujcie, jak wygląda sytuacja.

- Tu dowódca Skał. Trochę ognia naziemnego. Mamy zestrzelony prom. Niewolnicy uciekli do dżungli, a my wykurzamy stąd Thalasiajan.

- Dobra robota, Timmser. - Wywołałem Eskadrę Noży i uzyskałem podobny raport. Zawróciłem łapsa na południe i przeleciałem nad głównymi dzielnicami Morymento, gdzie mieścił się również kosmodrom, ale nie zobaczyłem innych statków i nie napotkałem ognia. Przełączyłem się z powrotem na kanał taktyczny Piorunów.

- Klucz trzeci, lądujcie tutaj. Klucz drugi, weźcie się za patrolowanie przestrzeni powietrznej. Klucz pierwszy, za mną. Czujniki na przeszukiwanie powierzchni.

Przełączyłem kontrolkę sensorów na przeszukiwanie powierzchni. Na monitorze pojawiła się siatka, na którą nałożyła się topograficzna mapa terenu. Po chwili mapa zaczęła wypełniać się danymi na temat budynków, strumieni przepływu energii, odczytów form życia, ruchów i wszelkich innych danych, które programiści uznali za istotne. Wczytałem dane przez moduł łączności i przesłałem na „Gnębiciele”.

Czerwona lampka na panelu łączności zapaliła się tuż obok częstotliwości floty.- Zgłasza się dowódca Piorunów.

- Mówi admirał Tavira. Jak wygląda sytuacja na powierzchni?

- Skanujemy teraz miasto. Wygląda na to, że magazyny są pełne. Jeśli przyśle nam pani promy inwazyjne, możemy zacząć załadunek. - Rzuciłem okiem na monitor i przesuwające się po nim dane. - Dzielnicę magazynów wygląda na opuszczoną. Widocznie Caamasi schronili się w domach, gdy tylko zaczęły się kłopoty.

- Niech tam pozostaną, a nie stanie im się krzywda.

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem. - No, może niedokładnie to samo. Wyczyszczenie magazynów z prowiantu i sprzętu mogło cofnąć kolonię w rozwoju o całe lata. Caamasi byli znani z pracowitości, ale opanowanie planety nie jest łatwym zadaniem. Mając odpowiednie narzędzia mogli wiele zdziałać, więc krzywdy, jakie im wyrządzimy, nie będą natychmiastowe, ale w dłuższej perspektywie bolesne.

- Jakże się cieszę, że podzielasz moje zdanie. Bez odbioru. Wszedłem ponownie na częstotliwość taktyczną Piorunów.

- Klucz trzeci, meldujcie jak wygląda sytuacja w kosmoporcie. Nikt mi nie odpowiedział, co wydało się dziwne.

- Tu dowódca Piorunów, wzywam klucz trzeci. Meldujcie o sytuacji.

Znów bez odpowiedzi.

- Piorun Dwa, za mną. Trójka i Czwórka, kontynuujcie skanowanie.

Przechyliłem łapsa na bok i zawróciłem w stronę kosmoportu przy czujnikach włączonych na przeszukiwanie powierzchni, dzięki czemu mogłbym odebrać sygnały o wystrzałach z powierzchni planety, które wskazywałyby na walki lub zasadzkę na moich pilotów. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłem, była śmierć Remarta w wyniku mojego rozkazu, by zbadać powierzchnię. Wiedziałem, że gorzko bym zapłacił za zepsucie jego od dawna zaplanowanej randki z admirał Tawirą.

Wyniki skanowania powierzchni dały rezultat negatywny, chociaż namierzyłem wszystkie cztery łapsy klucza trzeciego nietknięte na powierzchni.

- Dwójka, nie podoba mi się to. Zostań w górze, krążąc nad tym terenem. Ja schodzę na dół.

Posadziłem łapsa, pchnąłem pokrywę, zdjąłem rękawice i hełm. Wyjąłem z niego komunikator i sprawdziłem, czy jest dostrojony do częstotliwości eskadry. Przypiąłem urządzenie do klapy czerwonego kombinezonu lotniczego, a potem wyciągnąłem rusznicę laserową i pas ogniów energetycznych z zestawu ratunkowego. Wydostałem się z kabiny, zsunąłem po kadłubie statku i biegiem ruszyłem w stronę budynków kosmoportu. Kiedy zobaczyłem ślady po strzałach blastera na zamku do drzwi, serce podskoczyło mi do gardła.

Zdając sobie sprawę, że ryzykuję, sięgnąłem do osobistego rezerwuaru Mocy i rozciągnąłem moją sferę odpowiedzialności. Spłaszczylem ją, aż utworzyła płaski dysk, w nadziei, że ujdzie uwagi doradców Tawiry, a potem wyostrzyłem ją jeszcze bardziej i pchnąłem w przód, poza zabudowania lotniska. Rozciągałem przed sobą płaski półokrąg pola sensorycznego, aż objęło budynki terminalu portowego, nic jednak nie odebrałem. W dżungli za portem wyczułem wielką różnorodność form życia, a także kilka domów Caamasi. W końcu, w odległości, która na Coruscant zajęłaby pewnie ze dwie przecznice, znalazłem moich pilotów.

Wokół nich wyczułem strach i ból, nie oni jednak byli jego źródłem. Zacząłem biec i zakreśliłem po brukowanej ścieżce, która przecinała łagodne nachylenie terenu i dochodziła aż do miejsca, gdzie wykarczowano część drzew, by zbudować domy.

Remart i jego towarzysze stali na środku polany, otoczeni półkolem Caamasi, wpatrzonych w nich z przerażeniem w wielkich ciemnych oczach. Pomiędzy nimi a moimi pilotami stał śmigacz, w którym nadal siedziało dwóch martwych Thalaszjan. Trzeci Thalaszjanin, kierowca, leżał na ziemi. Za nim leżał jeden z Caamasi, z ręką uniesioną nad głowę, którą osłaniał w ten sposób od ciosów. Obok niego przykucnął inny przedstawiciel tej rasy, drobniejszy i o delikatniejszym rysunku kości. Domyśliłem się, że to kobieta, w dodatku bardzo młoda, bo jej piersi wypuklały się bardzo słabo. Purpurowe znamiona na twarzy i ramionach obojga Caamasi były na tyle podobne, iż założyłem, że muszą ich łączyć więzy krwi.

- Sasyru, raport! - włożyłem w mój głos tyle jadu i stanowczości, ile tylko zdołałem. - Ale już! O co chodzi?

Remart uniósł głowę i zwrócił się w moją stronę. Jego towarzysze się rozpięchli, każdy z palcem na cynglu rusznic laserowych, które mieli zarzucone na ramię albo przewieszzone w poprzek brzucha. Przyjrzałem się im, ale żaden nie wytrzymał długo mojego spojrzenia. Kiedy przenieśli wzrok z powrotem na Remarta, uśmiechał się arogancko.

- Sytuacja jest pod kontrolą, kapitanie. I nie dotyczy ciebie. Podchodziłem do niego coraz bliżej.

- Naprawdę? - Spojrzałem na powalonego Caamasi i ujrzałem strużkę krwi z rozbitego nosa. Kiwnąłem mu głową i zmrużyłem oczy. - Wyjaśnij mi, co się tutaj dzieje.

- Powiedziałem, że ta sytuacja ciebie nie dotyczy.

- Słyszałem. Teraz już dotyczy.

W miarę jak podchodziłem bliżej, zauważyłem parę szczegółów, które umknęły mi z większej odległości. Martwy kierowca, padając na ziemię, wypuścił z ręki torbę, z której wysypała się biżuteria. Nigdy nie widziałem wyrobów Caamasi, a złote i srebrne przedmioty, które tam leżały, nie były podobne do niczego, co zdarzyło mi się oglądać. Nie miałem powodu przypuszczać, by łowca niewolników przywiózł te rzeczy na handel. Ponieważ żaden z Caamasi, których tu widziałem, nie miał na sobie nic poza sandałami i czymś w rodzaju spódniczki, doszedłem do wniosku, że Thalaszjanin plądrował właśnie tę okolicę, gdy Remart i jego ludzie zaskoczyli go i zabili.

Remart przestał się uśmiechać.

- Natknęliśmy się na Thalaszjan. Stawiali opór i zaatakowali nas, więc zgodnie z regulaminem zabiliśmy ich. Koniec raportu.

Kiwnąłem głową w stronę powalonego na ziemię Caamasi.

- A temu co się stało?

- Uderzył mnie, więc mu oddałem. Zmarszczyłem brwi.

- A jaki to pomiot Sithów kazał wam tu przyłazić? Remart uśmiechnął się przebiegle, a jego towarzysze również wyszczerzyli zęby.

- Szukałem jakiejś błyskotki dla pani admirał.

- Więc pomyślałeś sobie, że rozejrzysz się po okolicy i splądrujesz jeden czy dwa domy, ale znaleźliście tych Thalaszjan, którzy zrobili to za was wcześniej. Zabiłeś ich i postanowiłeś zabrać ich łup. - Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. - A ten Caamasi jakoś nie chciał ci go oddać, tak?

- Nie chciał go przenieść bliżej mnie.

- A jedyne, co ty umiesz przenosić, Remart, to choroby zakaźne. - Zmarszczyłem czoło. - Skąd ci przyszło do głowy, że masz jakiekolwiek prawo do tej biżuterii?

Remart popatrzył na mnie jak na idiotę.

- Przecież jesteśmy piratami! Zabieramy innym takie rzeczy jak to.

- Tak, ale wszystko idzie do wspólnej puli i dopiero potem jest dzielone. Dobrze o tym wiesz. - Potrząsnąłem głową. - To, że admirał Tawira straciła dla ciebie głowę, nie oznacza, że te zasady cię nie obowiązują.

- Naprawdę?

- Naprawdę.
- Dobrze, więc zastosujmy tu też inne zasady. - Podniósł rusznicę laserową i wycełował w głowę Caamasi, którego pobił. - Ten gość mnie uderzył. Stawiał opór, więc go zabiję.

- Nic z tego.
- Nic z tego? - Remart zmrużył oczy. - Ktoś tu chyba wybiórczo stosuje regulamin, co, panie kapitanie?

- Nie powiedziałbym. - Wskazałem na mężczyznę. - Ten Caamasi należy do mnie. Nie możesz go zabić.

Pilot zmarszczył czoło.
- Jest twój?
- Właśnie. Potrzebuję służącego i chcę, żeby on nim został. Nie możesz go zabić. - Zobaczyłem, że twarz Remarta wykrzywia gniew. - To rozkaz, Sasyru.

Remart wzruszył ramionami.
- Wiesz co, nie podobają mi się twoje rozkazy. I wiesz, co jeszcze? Chyba mógłbym cię zabić i powiedzieć wszystkim, że to Thalaśjanie na nas napadli, kiedy dzielnie prowadziłeś nasz rekonesans. I chyba mógłbym zająć twoje miejsce jako dowódca Piotrunów.

- Możliwe, ale w ten sposób nie dostaniesz tego, czego naprawdę chcesz. - Rzuciłem na ziemię swoją rusznicę i pas z ogniwoami energetycznymi. - Nawet jeśli tu zginę, nawet jeśli uda ci się ukryć prawdę, opowiadając tę swoją historyjkę, każdy zapamięta dwie rzeczy. Po pierwsze, że to ja tu dowodziłem i po drugie, moje słowa, że walisz jak Chandra-Fan. Nigdy o tym nie zapomną, chyba że...

- Chyba że co...?
Rozłożyłem ręce i ruchem dłoni zaprosiłem go bliżej.
- Spróbuj mnie położyć. Pokonaj mnie gołymi pięściami. Oczywiście nie sądzę, żeby starczyło ci na to odwagi, bo nie jestem nieszkodliwy. Masz ochotę udowodnić, że się mylę?

Remart roześmiał się i rzucił swój karabin koledze.
- Długo czekałem na taką okazję. Sam się o to prosisz, Idanian. To dobry dzień na połamanie paru kości i rozlanie krwi. Dziś cię dorwę. Uderzył mnie z góry, zgiętą prawą ręką. Uchyliłem się bez trudu, dając po prostu krok w tył. Pochyliłem się, złapałem go z tyłu za szary kombinezon i rzuciłem nim o ziemię. Przewrócił się na bok i zerwał na nogi, obracając się szybko w moim kierunku, z ramieniem przygotowanym do odebrania uderzenia lub kopniaka, jakie sądził, że mu wymierzę.

Nie ruszyłem się z miejsca, śmiejąc się głośno.
- Mówiłem ci, że jeden cios masz u mnie za darmo, ale skoro nie trafiłeś, zaliczę ci go jako pół, co ty na to?

Podchodził tym razem ostrożniej, mocno stawiając stopy na ziemi. Zbliżał się z lewą ręką wysuniętą do przodu, a prawą zgiętą, by wymierzyć silny cios. Zaczął od krótkiego wyrzutu lewej ręki, ale wystarczyło, żebym uchylił głowę, żeby uniknąć trafienia. Dał krok do przodu, żeby zadać cios prawą, więc uchyliłem się w prawo, tak że jego pięść przeleciała nad moim lewym ramieniem. Wprostowałem się nad tym ra-

mieniem, które właśnie cofał, podskoczyłem i wymierzyłem mu otwartą dłonią policzek, który zatrząsał jego głowę i powalił go na kolano.

Zakrył dłonią czerwony ślad na policzku i splunął na ziemię. Podniósł się powoli i przyjął pozycję do dalszej walki.

- Nie stać cię na nic lepszego, Idanian?
- To było ostrzeżenie. - Kiedy przygotowywał się do odebrania mojego ataku, zobaczyłem tysiące możliwych taktyk przelatujących mu przez głowę. W przeciwieństwie do Tycho, Remart nie myślał w sposób skomplikowany. Oceniał i odrzucał różne warianty ataku nie na podstawie tego, jak mogły przebiegać z mojej strony, tylko tego, jak najłatwiej byłoby mu na nie odpowiedzieć. Rozwagał, jak się obronić przed ciosami, które według niego powinienem mu zadać, bo tak by mu pasowało.

I najwyraźniej w świecie zupełnie nie docierało do niego, że nie zamierzam spełnić jego marzeń.

Wymierzyłem mu kopniaka prawą stopą, trafiając w rzepekę. Kolano poleciało do tyłu, aż do wyprostowania, ale nie złamało się, bo już wcześniej zacząłem cofać nogę. Kiedy zatoczył się do tyłu, zaatakowałem go ponownie, trafiając prosto w żołądek. Oczy wyszły mu na wierzch, a z ust dobył się charkot. Upadł i zaczął wymiotować.

- No proszę, więc jednak masz coś w sobie! - Zostawiłem go na ziemi, podszedłem do torby z biżuterią i przykucałem obok. Ozdoby były bardzo piękne, delikatne, a jednak solidne, co bardzo pasowało do Caamasi.

- Byliście gotowi przeciwstawić się Remartowi z powodu tych przedmiotów. Dlaczego?

Caamasi przenosił wzrok z Remarta, który powoli podnosił się na nogi, na mnie i z powrotem.

- To pamiątki rodowe. Nasze rodziny zostały zgładzone na Caamas, a to jedyne fizyczne pamiątki, jakie po nich mamy. - Pokazał na jedną z ozdób, naszyjnik z wplecionymi w ogniwa podobnymi do kotów figurkami, z których każda miała zamiast oka maleńki złoty kamień.

- Moja córka poprosiła o oddanie tej ozdoby. Twój człowiek zażądał od niej czegoś w zamian, a kiedy odmówiła, sam chciał to sobie wziąć.

Rzuciłem naszyjnik dziewczynie, klęczącej obok ojca, wstałem i podszedłem do Remarta, który trzymał się za brzuch. Wiedziałem, że chce, żebym podszedł bliżej, więc udałem, że robię jeszcze krok do przodu i cofnąłem się. Rzucił się do przodu, próbując mnie wciągnąć do walki, więc uchyliłem się w lewo i wyprowadziłem prawą pięść prosto w jego ucho. Solidne uderzenie powaliło go na ziemię; usłyszałem, jak szczęki uderzają o siebie, gdy podbródkiem trafił w ziemię.

Poprawiłem kopniakiem w zębra, a potem cofnąłem się, ssąc obtarte kostki palców.

- To za samą myśl, że mógłbyś się dobrać do tej dziewczyny. Odszedłem i podniosłem resztę biżuterii. Rzuciłem torbę jednemu z Caamasi stojących w zbitej grupce.

- Oddajcie te rzeczy właścicielom. Towarzysz Remarta, Dobberty, jęknął.

- Kapitanie, to nasze rzeczy.

- Już nie. - Odwróciłem się i zobaczyłem, że Remartowi udało się podnieść na kolana. - Idziesz sam, czy mam przyjść po ciebie?

Przyszedł sam, w dodatku biegiem. Uniósł ręce do góry jak zakrzywione rogi; zamierzał mnie złapać, mocować się ze mną i powalić na ziemię. Z bliska, w zapasach, jego wzrost i masa dałyby mu przewagę, którą chciał wykorzystać. Mógł mnie w ten sposób nieźle przetrzepać, ale nie miałem zamiaru tańczyć do jego muzyki.

Pozwoliłem mu podejść blisko, a potem zacząłem przewracać się w tył. Kiedy otoczył mnie ramionami, złapałem go za przód kombinezonu i szarpnąłem. Padając na plecy, wbiłem prawą stopę w jego żołądek. Wylądowałem na kregostupie, prostując nogę i wyrzucając go w powietrze nad moją głowę. Upadł ciężko, spychając Caamasi i jego córkę dalej na lewo ode mnie i jeszcze dalej od reszty grupy. Zanim Remart zdołał wstać i rzucić się na nich, podskoczyłem i złapałem go za włosy, pomagając mu się podnieść.

Znów chciał mnie zaatakować, więc puściłem go i trafiłem lewym sierpowym, który zmiażdżył mu nos. Zatoczył się do tyłu, ale ja szedłem za nim, ładując mu prawą pięść w żołądek, a potem poprawiając lewą, która wylądowała ponownie na jego głowie. Uderzenie spadło jak młot na kowadło, i ani młotowi, ani kowadłu nie wyszło to na dobre. Poczułem, jak coś pęka mi w prawej dłoni; domyśliłem się, że jedna z kości jest złamana, ale mimo bólu atakowałem dalej.

Walnąłem go w usta, miażdżąc wargi i wybijając kilka zębów. Zakrył twarz dłońmi, a kiedy je odsunął, były całe zakrwawione. Popatrzył na mnie przez chwilę, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Szczeka opadła mu ze zdziwienia, więc pomogłem mu ją zamknąć szybkim ciosem, od którego zatoczył się i upadł na ziemię.

Leżał tak przez chwilę, wypluwając ślinę zmieszaną z krwią i jeden ząb. Zaklął, opryskując zieloną trawę krwią, po czym spojrzał za mnie.

- Nie stójcie tak, wy nerwie czerepy! Macie blastery! Zastrzelcie go!

Odwróciłem się, mając nadzieję, że zdołam sięgnąć po Moc i wchłonąć energię ich wystrzałów, ale nawet nie zacząłem się koncentrować. Obu mężczyzn, jednego po drugim, oblały błękitne błyskawice, od których zaczęły podrygiwać i podskakiwać jak kukielki sterowane przez robota z porażeniem serwowym. Ich blastery upadły na ziemię; zakrwawiony Caamasi trzymał w dłoniach moją rusznicę.

Odwróciłem się do Remarta po raz ostatni.

- Nie wiesz tego jeszcze, ale masz już dosyć. - Podskoczyłem, unikając słabiutkiego kopniaka, który spróbował wymierzyć w moje nogi, a potem kopnąłem go w skroń. Przewrócił się na ziemię, a ja już miałem kopnąć go jeszcze raz, ale powstrzymał mnie syk bólu dziewczyny Caamasi.

Patrzyłem przez chwilę na Remarta czując, jak puchną mi ręce. Strząsnąłem krew z prawej dłoni, niechcący opryskując nią dziewczynę Caamasi. Już chciałem ją przeprosić, ale w jej oczach zobaczyłem przerażenie; spojrzałem tam, gdzie ona i zobaczyłem jej ojca z moją rusznicą laserową.

Wycelowaną prosto we mnie.

- Dzięki za ochronę. - Rozłożyłem ręce. - Nie będę cię winił, jeśli do mnie strzelisz. Na twoim miejscu pewnie bym zrobił to samo.

- To całkiem możliwe. - Caamasi wzruszył lekko ramionami, opuścił lufę karabinu i odwrócił w moją stronę, oddając mi go. - Wśród Caamasi nie jest jednak w zwyczaju, by służący strzelał do swojego pana.

- Nie mówiłem tego poważnie. Powiedziałem tylko po to, żeby cię nie zabił.

W zielononiebieskich oczach Caamasi zalśniły iskry.

- Wiem, ale ja mówię poważnie. Zaryzykowałeś swoim życiem, by uratować moje, tak jak ja zaryzykowałem swoim, by chronić moją córkę i moich ludzi.

- Więc powinienes z nimi zostać.

- Nie mogę, bo naraziłbym cię na niebezpieczeństwo. - Zamrugał wielkimi oczami i uniósł do góry trójpalczystą dłoń. - Powiedziałeś tym ludziom, że bierzesz mnie na swojego służącego, co wywołało waszą bójkę. Twój człowiek pogwałcił rozkaz, co dało ci prawo do przywołania go do porządku. Jeśli teraz nie zabierzesz mnie ze sobą jako służącego, stracisz usprawiedliwienie swojego czynu, a on i jego przyjaciele będą mogli sfabrykować każdą historijkę, która pozwoli im cię zniszczyć. Jadąc z tobą, dowiodę prawdziwości twoich słów.

Zmrużyłem oczy.

- A co z ich historijką o bizuterii?

- Jesteśmy tymi, którzy pozostali po pokojowej rasie, bo nasza planeta została zniszczona. Kto uwierzy, że mamy cokolwiek wartościowego? - Ręką zatoczył krąg, wskazując na swoich ludzi. - Jestem Elegos A'kla, Powiernik tej części Morymento. Jedynie, co mam wartościowego, to ci ludzie, a sądzę, że chroniąc ciebie, będę zarazem chronił ich.

Jego słowa, wypowiedziane smutnym, ale szczerym i głębokim tonem, wydały się bardzo przekonujące. Nie podobał mi się jednak zbytnio pomysł zabrania go ze sobą do środowiska Ocalałych. Nawet przy mojej obecności Courkrus nie było dobrym miejscem dla cywila.

- Nie chcę zabierać cię od twojej córki. Elegos potrząsnął głową.

- Jesteśmy Caamasi. Dobrze znamy ból utraty krewnego, ale wiemy też, jak poradzić sobie z tym bólem. Moja córka nie zostanie sama. Pokiwałem głową i wzięłem od niego swój karabin. Odwróciłem się i wystrzeliłem jeden pocisk ogłuszający w Remarta, a potem znowu opuściłem broń.

- No i wygląda na to, że mam służącego. Będę w kosmoporcie. Masz godzinę na pożegnanie się ze swoimi ludźmi. Jeśli nie zdązysz, zrozumiem to.

Caamasi obdarzył mnie ciepłym uśmiechem.

- Godzina. Będę punktualnie.

Powlokłem się ścieżką w stronę kosmoportu, wyluskując lewą ręką komunikator.

- Tu dowódca Piorunów. Kiedy ktoś będzie wolny, potrzebuję dwóch pilotów, żeby zabrać stąd łapsy i kogoś do pomocy przy ewakuacji paru nieprzytomnych.

Ktoś z floty odpowiedział po kilku sekundach opóźnienia:

- Masz tam jakieś kłopoty?

- Trochę. - Possałem kostki lewej dłoni. - Nic, z czym bym sobie nie mógł poradzić.

ROZDZIAŁ

40

Kilku oficerów bezpieczeństwa wewnętrznego „Gnębiela” zabrało się na powierzchnię promem ewakuacyjnym. Oddzielili od pozostałych Elegosa, mnie i czterech moich ludzi, którzy razem ze mną schodzili na powierzchnię. Po powrocie na pokład gwiazdowego niszczyciela umieścili mnie w małej celi i zaczęli przesłuchanie. Opowiedziałem im całą historię - o tym, jak znalazłem Remarta, kiedy odzierał z łupów martwych Thalaszjan, o naszej kłótni o to, co stanie się z Powiernikiem Caamasi i o wynikłej z tego bójce. Nie wspominałem ani słowem o biżuterii, sugerując zamiast tego, że Remart się rozżościł, bo Caamasi nie mieli nic, co mógłby im zabrać. Wiedziałem, że Remart i jego kumple naświetlą sprawę pod zupełnie innym kątem. Liczyłem jednak, że nikt nie uwierzy w to, by pirat oddał łup z powrotem obrabowanym, co przypieczętuje moją wersję jako prawdziwą. Ich wyjaśnienia wezmą zapewne za historyjkę skleconą naprędce po to, aby mnie wpakować w kłopoty.

Przesłuchanie trwało parę godzin, podczas których ręce mi ze-sztyniały, krew na nich zaschła, a połamane kości lewej dłoni zaczęły pulsować naprawdę przenikliwym bólem. Przesłuchujący wiedzieli, że cierpię i powtarzali, że zespół medyczny zajmie się mną, gdy tylko wyjaśnimy parę szczegółów. Ponieważ sam nieraz przesłuchiwałem ludzi, wiedziałem dokładnie, co chcieli usłyszeć i jak chcieli to usłyszeć, więc podałem im wszystko na tacy. W końcu poszli sobie, wyglądając na usatysfakcjonowanych tym, co im opowiedziałem. Kiedy wyszli, w celi pojawił się robot medyczny 2-1B i zbadał moje ręce. Stwierdził, że mam złamane dwie kości lewej dłoni i mnóstwo rozcięć i otarć na obu rękach. Nastawił złamane kości nieco delikatniej niż zrobiła to Mara Jade i poinformował, że nie jestem dość poturbowany, by skorzystać ze zbiorników bacta. Chociaż nie podał mi szczegółów, z charakteru i liczby obrażeń, które opisywał, wywnioskowałem, że grupa Thalaszjan musiała wciągnąć w zasadzkę jedną z naszych grup plądrujących kolonię, ewentualnie ktoś odpałił bombę-pułapkę, co tłumaczyłoby, dlaczego wszystkie zbiorniki bacta są zajęte.

Robot wyszedł, a w pokoju pojawił się Elegos, niosąc bandażę, jakieś maści, wodę i gąbki do oczyszczenia moich dłoni.

- Chociaż oficjalnie nie jestem Uzdrowicielem, przy budowie osiedla można się wiele nauczyć o leczeniu takich ran.

- Wykuwanie nowego życia każdego wyposaży w nowe umiejętności - uśmiechnąłem się, zdziwiony nieco zapachem mojego służącego. Pachniał korzeniami i drzewem, prawie jak koreliańska whisky, ale odrobinę bardziej słodko, co przypominało mi ciepłe napoje, która matka robiła dla nas, gdy rodzina zbierała się razem w zimowe wieczory. Ten zapach dobrze na mnie podziałał i sprawił, że mały, szary pokój, w którym się znajdowaliśmy, stał się trochę mniej przygnębiający.

Siedząc na stole spojrzałem w oczy Elegosowi, kiedy zmywał krew z mojej prawej dłoni.

- Chciałbym cię o coś zapytać.

- Postaram się jak najlepiej odpowiedzieć na pana pytanie.

- Kiedy się pojawiłem, leżałeś na ziemi krwawiąc z nosa. Remart powiedział, że go uderzyłeś, ale teraz, czując, ile masz siły w rękach, patrząc na twoją muskulaturę, wiem, że to nieprawda. Jesteście wystarczająco podobni do spokrewnionych z wami Selonian, przynajmniej w sensie psychologicznym, więc nie wierzę, że gdybyś uderzył Remarta, on utrzymałby się na nogach.

Elegos przechylił głowę.

- Klepnąłem go w ramię, bo chciałem mu podziękować. Chyba nie zauważył, że podchodzę, więc moje dotknięcie go zaskoczyło, tak że odwrócił się i uderzył.

- Ale gdybyś chciał, mogłeś mu skrócić kark jednym trzepnięciem w głowę, prawda?

Elegos nastroszył brwi i spojrzał w dół na miskę czerwonej od krwi wody.

- Caamasi odbierają wydarzenia w taki sposób, że każde z nich, nawet najkrótsze, tworzy w umyśle bardzo szczegółowe, sugestywne wspomnienie... coś jakby holografię, ale dla nas to dużo więcej. Te wspomnienia są niemal namacalne. Wspomnienie o zabiciu kogoś, niezależnie od przyczyny, byłoby dla nas strasznym ciężarem. Nie zbladłoby z czasem, ciężąc ogromnie przez całe lata. Z tego względu zawsze stawialiśmy na pokój i zrozumienie, harmonię i jedność.

- Więc to dlatego ogłuszyłeś tamtych dwóch, zamiast ich zabić?

Elegos wyprostował się.

- Myślałem, że ich zabiłem. Ogłuszyłem ich dlatego, że pana karabin był nastawiony na ogłuszanie. Nie mogłem pozwolić, by pana zabili, więc przyjąłbym ciężar takiego wspomnienia, żeby pana obronić.

To mnie trochę zdziwiło.

- A zatem kiedy wycelowałeś we mnie rusznicę, byłeś przekonany, że strzał by mnie zabił.

Skłonił głowę.

- Dopóki nie zabrał pan broni i nie strzelił do Remarta, sądziłem, że ludzie, do których strzelałem, nie żyją. Dopiero, kiedy strzelił pan do mężczyzny, którego łatwo mógłby pan zabić gołymi rękami, uświadomiłem sobie, że ci pierwsi mężczyźni po prostu śpią.

- Czy teraz, kiedy wiesz, że żyją, twoje wspomnienie zblednie?

Caamasi uśmiechnął się do mnie tajemniczo. Skóra wokół jego oczu napięła się, wyostrając rysunek fioletowych pasków, rozchodzących się z ich kącików.

- Myślę, że zachowam je nietknięte z innych względów. Zabrał się właśnie do drugiej ręki, gdy do pokoju weszła admirał Tawira i odepchnęła go na bok. Chwyliła mnie za lewą dłoń.

- Nie jestem z ciebie zadowolona, Jenosie Idanian! Wcale! Zacisnąłem szczęki, żeby nie krzyknąć, gdy zamknęła palce na moich pogruchootanych kościach. Wykrztusiłem:

- Bardzo mi przykro to słyszeć, pani admirał. Puściła moją rękę i obrzuciła mnie wzrokiem.

- Wyglądasz okropnie. Prychnąłem.- Powinna pani zobaczyć tego drugiego.

- Widziałam, do licha! - Wyraz gniewu na jej twarzy przeszedł w chłodny uśmiech. - Nieźle przyłożyłeś Remartowi. Ale po co? - wycelowała palec w pierś Ele-gosa. - Dla tego kawałka mięsa? Dlaczego?

Spojrzałem na nią chłodno.

- Potrzebowałem służącego, to wszystko. W jej oczach załśnił ogień.

- Potrzebowałeś pretekstu, żeby pobić Remarta! - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Łatwo cię przejrzeć, Idanian. Na wylot.

- Czyżby? - Poczulem ściskanie w dołku, choć nie miałem pojęcia dlaczego. - Powinienem chyba przeprosić za uszkodzenie pani zabawki, ale nie widziałem powodu, by Remart zabijał kogoś, kto nie zrobił mu nic złego.

- Remart powiedział, że ten facet go uderzył. Zmarszczyłem brwi.

- Remart nic nie powiedział. Musi być nadal w zbiorniku bacta. Parę godzin i pani chłoptas będzie jak nowy. Wtedy może pani z nim porozmawiać.

Potrząsnęła głową, a jej włosy zawirowały na ramionach i piersiach jak płynny cień.

- Remart już nic nie powie.

- Co?

Znów się okrutnie uśmiechnęła.

- Nie żyje. Potrząsnąłem głową.

- To niemożliwe. Nie pobiłem go tak mocno. Roześmiała się.

- Tak się martwisz o kogoś, kogo nienawidziłeś? Nie, to nie ty go zabiłeś. - Tawira przerwała na chwilę i podeszła jeszcze bliżej. Pochyliła się nade mną z rękami opartymi o stół po obu stronach. Zaczęła mówić niemal szeptem, owiewając mój lewy policzek oddechem ciepłym i delikatnym, który ostro kontrastował z jej słowami. - Kazałam go zastrzelić. Za niesubordynację. Zlekceważył rozkaz i zaatakował oficera wyższego stopniem. Musiał umrzeć, a ty wiedziałeś o tym, kiedy go podjudzałeś do walki, prawda?

Cofnąłem twarz, zostawiając centymetr wolnej przestrzeni między nami.

- Gdybym chciał, żeby nie żył, sam bym to załatwił.

- Może tak ci się teraz wydaje, Jenos, ale ja wiem lepiej. W głębi duszy też to wiesz. - Przynęła się tak, że nasze nosy prawie się stykały. Pachniała kwiatami i piżmem, z nutą słodczy mgławicowych orchidei w tle.

- Chciałeś, żeby zginął, i chciałeś, żebym to ja go zabiła. To miała być kara, że go wybrałam po tym, jak mnie odrzuciłeś.

Wyprostowała się, uniosła prawą rękę i przejechała palcem po mojej szczęce, zacinając od prawego ucha.

- Z wami, blondynami, zawsze jest tyle kłopotów. Każdy zakłada, że jesteście głupi, ale to dlatego, że trudno ogarnąć złożoność waszych myśli. Pewnie nawet ty sam ich nie ogarniasz.

Jej palec wędrował wokół mojej twarzy, aż wreszcie chwyciła mnie za brodę i pociągnęła, wcale nie delikatnie.

- Wiedziałaś, że wybrałam go, bo był twoim rywalem. Jego nienawiść do ciebie była patologiczna, tak jak twoja nienawiść do niego. W głębi serca jesteście jednak do siebie bardzo podobni. Można się było spodziewać, że dojdzie do konfrontacji, a ja wiedziałam, że ty będziesz zwycięzcą.

Spojrzałem jej głęboko w oczy.

- Więc dlaczego tego pani nie powstrzymała?

- Chciałam zobaczyć, w jaki sposób się go pozbędziesz.-Uśmiechnęła się szerzej. - Gdybyś był tchórzem, przydzieliłbyś go do jakiejś straceńczej misji, w której by zginął. Ale przypuszczałam, że rozegrasz to inaczej.

Wzdrygnąłem się.

- A czego pani oczekiwała?

- Oczekiwałam, że pozwolisz, żeby sam zastawił na siebie pułapkę, i tak się stało.

- Tawira pochyliła się i polizała mnie w lewy policzek. - Ale nie spodziewałam się, że doprowadzisz do tego, że sama go zabiję. Myślałam, że przedstawisz mi jego ciało jako dowód, że miałeś nad nim przewagę. Zastawiając na mnie tę pułapkę, chciałeś udowodnić, że masz też przewagę nade mną.

Starąłem się mówić beznamytnie.

- Możesz w to wierzyć, jeśli chcesz.

Roześmiała się i cofnęła o krok, zakładając pasmo czarnych włosów za ucho.

- A ty możesz wierzyć, że nie tak chciałeś to rozegrać. - Oblizła usta, a ja poczułem, jak emanuje z niej pożądanie.

- A zatem zmusiłeś mnie, żebym pozbyła się mojej zabawki i poszukała zastępstwa. Chyba ty będziesz musiał się mną zająć. Uniosłem ręce do góry.

- Przez dobrych parę dni nie będę w stanie nikim się zajmować.

- I będziesz miał czas, by wymyślić, jak mi uciec, tak? -pokręciła głową. - Znam twoją tragiczną opowieść o utraconej miłości i zaplanowanej zemście. Wiem, czego pragniesz. Mogłabym cię zmusić, żebyś zajął miejsce przy moim boku, grożąc, że zabiję Ocalałych. Mogłabym zagrozić temu twojemu służącemu, a ty zrobiłbyś, co zechcę, ale to mi nie wystarczy. Powiem ci zatem coś, Jenosie Idanianie. Wiesz, że mnie pragniesz, i wiesz, że ja pragnę ciebie. Wiem, że chcesz zniszczyć linie Tinta i odzyskać ukochaną, którą ci zabrano. Zgodzę się nawet, żebyś się tym zajął, oddając do twojej dyspozycji „Gnębiaciela” i wszystkie moje zasoby. Jedyne, co musisz zrobić, to przyjść do mnie z własnej woli. Spodoba ci się moje towarzystwo... zapewniam cię, że bardzo ci się spodoba. Przyjdiesz tu, na „Gnębiaciela”, a ja uczynię cię moim księciem małżonkiem. Dzięki mnie zrealizujesz wszystkie swoje cele.

Leonia Tavira uśmiechnęła się i podeszła do mnie ostatni raz. Ujęła w dłonie moją twarz i przyłgnęła wargami do ust. Pocałunek był mocny i głęboki.

Chciałbym myśleć, że nie odepchnąłem jej, bo miałem poranione ręce, ale wiedziałem, że to nieprawda. Dreszcz eksplodował we mnie, biegnąc od łędźwi do mózgu i z powrotem, sprawiając, że ból, który czułem, stał się bez znaczenia. Nozdrza miałem pełne jej zapachu i czułem każdy włoszek z kosmyka, który dotykał mojego policzka.

Poranione ręce nie pozwalały mi tylko przyciągnąć jej bliżej.

Twarz mi płonęła, kiedy oderwała się ode mnie ze zwyczajnym uśmiechem. Spojrzała na Elegosa.

- Opiekuj się nim dobrze - nakazała. - Za miesiąc zapytam go, jaką podjął decyzję, a jeśli nie będzie jeszcze zdrowy, wrócę na Kerilt i wyślę tę planetę.

Pocałowała koniuszki palców i przycisnęła je do moich warg.

- Miesiąc, a potem wszystko, czego zapragniesz, sercem i umysłem, będzie twoje, jeśli tylko po to sięgniesz.

Wypadła z pokoju, a kilka sekund później ogień w płucach przywrócił mi oddech. Łapczywie złapałem powietrze i prychnąłem, starając się pozbyć zapachu Taviry. JUŻ miałem zwinąć dłoń w pięść i uderzyć nią z całej siły o stół, ale Elegos złapał mnie za nadgarstek i powstrzymał równie łatwo, jak rodzic poskramiający napad złości dziecka.

Nic nie powiedział, tylko zaczął obmywać rękę. Dotyk wody i szorstkość gąbki na zranionym ciele pomogły mi dojść do siebie. Chciałem zastosować technikę uspokajającą Jedi, ale to zdradziłoby mnie przed doradcami Taviry. Jej użycie wymagało też więcej opanowania niż to, do którego byłem w tej chwili zdolny.

Nie dało się zaprzeczyć, że Tavira mnie pociągała. To było coś fizycznego, zwierzęcego, magnetyczne przyciąganie jednego ciała przez drugie. Chciałem myśleć o tym właśnie na tej płaszczyźnie, jakby to surowa materia, która więziła mojego ducha zdradziła mnie, ale wiedziałem, że nie była to cała prawda. Coś w osobowości tej kobiety intrygowało mnie. Wmawiałem sobie, że złączyły nas wyłącznie okoliczności zewnętrzne - tak jak w przypadku mojego zainteresowania Siollą Tinta. Mimo wszystko jednak coś w Tavirze nie przestawało mnie fascynować; coś, co sprawiało, że trudno było oprzeć się pokusom jej ciała.

Tym, co niepokoiło mnie jeszcze bardziej niż pociąg, jaki czułem do Taviry, była jej analiza mojego stosunku do Remarta i tego, co mu zrobiłem. Nawet wtedy, kiedy opisywałem naszą walkę przesłuchującym oficerom, pominąłem szczegóły. Kopanie w żołądek, zmiżdżenie twarzy, wszystko to na pewno mogło doprowadzić do zwycięstwa, ale nauczono mnie przecież szybszych i skuteczniejszych sposobów radzenia sobie z takimi jak on. Nawet cios, który wymierzyłem mu przy naszej pierwszej potyczce - szturchnięcie palcami w gardło. To samo uderzenie wymierzone nieco mocniej zmiżdżyłoby mu tchawicę, pozbawiając życia bez tych wszystkich uszkodzeń ciała, które mu zadałem.

Spojrzałem na moje dłonie i wiedziałem, że mogłem bez trudu go powalić bez rozcinania sobie skóry i łamania kości. Od zawsze wiedziałem, że wymierzenie komuś ciosu w szczękę było doskonałym sposobem na złamanie sobie ręki, a jednak to zrobiłem. Uderzyłem go w twarz, żeby go ukarać, a także by ukarać siebie. W głębi duszy

czułem, że postąpiłem źle. Nie mogłem jednak się powstrzymać, więc postanowiłem wymierzyć sobie karę. Tavira zasugerowała, że nienawidziłem Remarta tak mocno, bo tak bardzo byliśmy do siebie podobni. Nie mogłem w to uwierzyć, ale kiedy spróbowałem ocenić to chłodno, stwierdziłem, że jej ocena była wyjątkowo trafna. Wymagania życia w społeczności piratów wydobły ze mnie moje najgorsze cechy. Pozwalałem sobie na arogancję i zadufanie, które sprowadzały mnie do poziomu Gnębów.

Mógłbym stać się takim Remartem, pomyślałem, gdybym zamiast do Rebelii przyłączył się do Ocalałych. Po plecach przebiegł mi dreszcz. To byłoby takie proste, tym bardziej że Ocalali kochali Imperium równie mocno jak ja, kiedy uciekałem. Gdybym nie miał gdzie się ukryć, mógłbym łatwo przystać do nich, by walczyć przeciwko Imperium. Gdybym po ucieczce z Korelii nie natrafił na Rebeliantów, mogłem skończyć wśród Ocalałych. Bez moralnego kompasu zatraciłbym się w dzikiej i brutalnej społeczności, kwitnąc wśród szumowin, na które kiedyś polowałem.

To nie ja stałbym u boku Leonii Taviry, pomyślałem, ale ona u mojego.

Syknałem, bo uświadomienie sobie tego zapiekło mocniej niż maść, którą Elegos smarował mi dłonie. Byłbym prawdziwym postrachem, Garmem bel Iblisem prowadzącym prywatną wojnę przeciwko Imperium, ale bez szlachetności Iblisa, która by mnie prowadziła. Cała galaktyka stałaby przede mną otworem, a ja zniszczyłbym ich wszystkich.

Stałbym się tym, kogo chciał ze mnie zrobić Exar Kun.

- Nie!

Elegos uśmiechnął się.

- Maść przyspieszy gojenie, panie.

- Nie o to mi chodziło - zmarszczyłem brwi. -I nie nazywaj mnie panem. Wystarczy Jenos. Albo kapitan, jeśli chcesz być bardziej oficjalny.

- Dobrze, kapitanie. - Elegos podniósł moją prawą rękę i zaczął ją owijać steryplastem.

Westchnąłem i pozwoliłem mu robić swoje. Wiedziałem, że byłem zazdrosny o Remarta i pobiłem go w taki sposób, by pokiereszować mu twarz. Jeśli dobrze rozumiałem samego siebie, Tavira miała rację - pobiłem go, żeby zepsuć jej zabawkę i ukarać ją za to, że wybrała jego, a nie mnie.

Jednak w dalszym ciągu miałem pewność, że nie po to pozwoliłem Remartowi żyć, by mogła go zabić Tavira. Nie spodziewałem się, że może zrobić coś takiego. Musiała być pozbawiona poczucia moralności, żeby wziąć moją litość za morderczy podstęp. Wiedziałem, że inni też tak pomyślą - Caet i Timmsler, które znały mnie najlepiej, też zgodziłyby się, że byłbym zdolny do takiej przebiegłości.

Ale przecież nie zrobiłem tego, pomyślałem. Nie mógłbym.

Wzdrynąłem się znowu, czując jak lodowata żmija przeciska się przez moje wnętrze. Mógłbym, uznałem. Mógłbym. Uczępiłem się jednak faktu, że tego nie zrobiłem.

Teraz jednak miałem nowy dylemat. Tavira dała mi miesiąc na zastanowienie, czy zostanę jej „księciem-małżonkiem”. Jeśli się zgodzę, trafię na pokład „Gnębiciela”. Stanę się członkiem jej załogi. Zdobędę jej zaufanie. Będę miał dostęp do wszystkich

sekretów Gnębów i dowiem się, gdzie jest przetrzymywana Mirax. Dostanę wszystko, czego chcę - moją żonę i środki umożliwiające zniszczenie Gnębów.

W czasie innych tajnych operacji, w których brałem udział, delikatna sprawa zbliżeń fizycznych z osobami, przeciwko którym toczyło się śledztwo, była rozwiązywana na wiele różnych sposobów. Czasami inna agentka KorSeku, na przykład Iella, odgrywała rolę mojej żony czy przyjaciółki. Kiedy indziej, podczas służbowych wypadów na miasto z członkami organizacji przestępczych, gdy trafiała mi się dziewczyna z grupy, mogłem albo upić ją, albo udawać, że sam jestem pijany, co pozwalało zgrabnie wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Najczęściej jednak wystarczało powiedzieć, że mam dziewczynę, która nic nie wie o mojej przestępczej działalności, by zostawili mnie w spokoju.

Czasami jednak taka historyjka nie wystarczała. Wszystkim agentom operacyjnym mówiono, że nie muszą robić niczego, co budziłoby ich moralny sprzeciw lub było niezgodne z ich filozofią. Przydzielano nam zadania w taki sposób, by w jak najmniejszym stopniu narażały nas na konflikt w tej sferze. Zdarzało się jednak, że przespanie się z kimś było logicznym etapem pogłębienia znajomości, bez którego śledztwo nie mogłoby się posunąć do przodu. Chociaż nie czułem się najlepiej w takich sytuacjach, nie uważałem też, by seks dwojga chętnych, dorosłych ludzi, nie połączonych węzłem małżeńskim, był czymś zdrożnym. Mirax nie była pierwszą kobietą, z którą się kochałem, i też nie czekaliśmy z tym do ślubu.

Tych kilka razy, kiedy przespałem się z podejrzaną, wyglądało nieco inaczej, bo nie byłem wtedy w stałym związku z żadną inną kobietą. Nie wiązały mnie z nikim przysięgi ani obietnice, które kwalifikowałyby mój postępek jako zdradę. Zresztą, prawdę powiedziawszy, gdyby nawet wiązały, wcale nie oznaczałyby to, że mnie powstrzymają. Mirax natomiast była moją żoną i byłem jej dotąd całkowicie wierny. Z drugiej jednak strony Tavira stanowiła najprostszą drogę do jej odzyskania. Nie chodziło też o to, że mógłbym się zakochać w Tawirze - to nie wchodziło w rachubę. Fizyczne zbliżenie nie przerodziłoby się w jej przypadku w związek uczuciowy. Dałbym jej to, czego chciała, żeby uzyskać to, czego ja chciałem. Związałbym się z nią z wyrachowania, żeby móc naprawić krzywdę, którą wyrządzono mojej żonie.

To wydawało się takie proste. Musiałbym tylko być z Tawirą, spełniać jej zachcianki i zwodzić ją. Ona doprowadziłaby mnie do mojej żony. Nie dałbym też Tawirze tego, czego chciała najbardziej - mojego oddania. To właśnie chodziło jej po głowie, to było jej celem, ale tego właśnie bym jej odmówił. Mogła dostać moje ciało i nie miałem wątpliwości, że razem odkrylibyśmy całą galaktykę namiętności, ale nigdy nie dostałaby ode mnie tego, o co jej naprawdę chodziło.

Wszystkie te rozważania przelatujące przez moją głowę wydawały mi się zupełnie oczywiste i rozsądne, a jednak coś we mnie krzyczało z przerażenia na myśl o tym, że mógłbym tak postąpić. To, co wydawało się takie łatwe, co doprowadziłoby mnie do Mirax szybciej niż cokolwiek innego, co do tej pory zrobiłem, jednocześnie jednak w pewien sposób byłoby najgorsze. Nie rozumiałem, dlaczego. Nie chciałem w to uwierzyć. Wmawiałem sobie, że nagięcie zasad w tym przypadku byłoby naprawdę niewielkie w porównaniu z dobrem, które mogło przynieść w efekcie. Sojusz z Tawirą byłby

jednostronny - uzyskałbym od niej to, o co mi chodziło, odmawiając w zamian nagrody, której najbardziej pożądała. To właśnie powinienem zrobić, a wszelkie skrupuły przewyciężyć jako oznaki słabości.

Wzdrygnąłem się.

- Nie mogę uwierzyć, że to pomyślałem.

Elegos oderwał i zawiązał steryplastowy bandaż wokół mojej prawej dłoni.

- Co takiego, kapitanie? Potrząsnąłem głową.

- Sprawy, nad którymi się zastanawiam. Rzeczy, które muszę zrobić, choć nie mogę uwierzyć, że poważnie rozważam taką możliwość. Niemożliwe, żebym tak uważał.

Caamasi pokiwał głową.

- Jeśli pan pozwoli, kapitanie, Caamasi mają takie powiedzenie...

- Jakie?

Złączył dłonie w zamyśleniu.

- Jeśli wiatr już cię nie wzywa, czas sprawdzić, czy nie zapomniałeś swojego imienia.

To proste powiedzenie uderzyło we mnie jak młotem, odnajdując swoje echo w starym porzekadle mojego ojca o tym, jak nie poznajesz swojego odbicia w lustrze. Zadrzałem.

- Masz rację. Nie wiem już, kim jestem.

ROZDZIAŁ

41

- W takim razie wydaje mi się, że najwyższy czas, by pan sobie spróbował przypomnieć.

Roześmiałem się.

- Łatwo powiedzieć!

Potrząsnął głową i zaczął opatrywać moją lewą rękę.

- Zrobić też łatwo. Niech pan zacznie z miejsca, w którym jest pan teraz, i cofnie się do ostatniego momentu, w którym był pan sobą. - Chociaż sama rada brzmiała nawiśnie, coś w głosie Elegosa sugerowało, że jest to jedyny sposób rozwiązania moich rozterek.

Zastosowałem się więc do jego rady, idąc jednak trochę na skróty. Związek z Tawirą byłby najkrótszą drogą do odzyskania Mirax, ale w głębi duszy wiedziałem, że ta droga jest zła. Wiedziałem, że ta część mnie, która ostro sprzeciwiała się przyjęciu takiego rozwiązania była punktem wyjścia do odzyskania mojej osobowości, więc zacząłem rozważać, dlaczego właściwie przyjęcie oferty Tawiry byłoby złem.

Odpowiedź uderzyła mnie prosto między oczy i nie mogłem zrozumieć, że wcześniej jej nie dostrzegłem. Ten wybór był zły, bo nie przespałbym się z Tawirą dla dobra Mirax, tylko dlatego, że sam miałem na to ochotę - pozwalałem, by cel uświęcił środki. Starałem się opakować egoistyczną żądzę w najrozmaitsze szlachetne i niesamolubne pobudki, ale prawda była taka, że zainteresowanie, jakie okazywała mi Tawira, sprawiało mi przyjemność. Pochlebiało mi. Mirax była moją żoną od niecałych czterech lat i przez ten czas ani razu nie zapragnąłem innej kobiety, ale to nie oznaczało, że było mi obojętne, czy jestem uważany za atrakcyjnego. Tawira zaś była pociągającą kobietą, która mogła mieć setki mężczyzn, więc skoro nabrała ochoty właśnie na mnie... no cóż, to było nie byle co. Dla mnie, dla mojej nienasyconej jak Hurt potrzeby potwierdzenia własnej wartości, okazją, by jej udowodnić, że wybrała właściwie, że naprawdę jestem nie byle kim, była kąskiem nie do pogardzenia.

To jest właśnie Ciemna Strona, pomyślałem.

Słowa te odezwały się echem w mojej głowie, powtórzone głosem mistrza Skywalkera, a moje zrozumienie Ciemnej Strony nabrało nowego wymiaru. Exar Kun, Darth Vader i Imperator nadali Ciemnej Stronie taką dynamikę i siłę, że rozpoznanie jej i

odrzućcie było stosunkowo łatwe. Tu zaś, w pirackiej społeczności Gnębów, gdzie ludzie zachowywali się raczej jak dzikie zwierzęta niż cywilizowane istoty, linia demarkacyjna między dobrem a złem była znacznie bardziej nieostra i nie zawsze biegła prosto. Każdą sytuację należało ocenić z nieco innego punktu widzenia, biorąc pod uwagę nieco inne czynniki, bo można było nawet nie zauważyć, że się przeszło na Ciemną Stronę.

Podczas bójki z Remartem przekroczyłem chyba tę linię. To prawda, działałem w obronie Elegosa, jego córki, jego ludu, a nawet siebie samego, ale gdybym wtedy sięgnął po Moc, odwołałbym się do sił mrocznych i strasznych. Tego, co zrobiłbym wtedy Remartowi, nie uleczyłyby wszystkie zbiorniki bacta galaktyki, a jego krzyki sprawiłyby mi rozkosz. Rozgromiłbym Tawirę. Wywalczyłbym wolność dla Mirax, ale kosztem wszystkiego, co nas łączyło.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na Elegosa.

- Wszystko sprowadza się do tego, czym jest zło, prawda? Egoizm jest złem, podczas gdy dobro jest bezinteresowne. Jeśli działasz bez zastanowienia, twoje działania mogą prowadzić do zła. Na tym właśnie polega problem: zło jest zawsze łatwe, a sprzeciwienie się mu zawsze trudne. Zło jest nieustraszone i każdy, kto choć na chwilę przestanie być czujny, może paść jego ofiarą.

Skrzywiłem się.

- A czasem przeciwstawienie się złu może prowadzić do krzywdy niewinnych.

- Czasem zdarza się i tak. - Caamasi zamrugał wielkimi oczami i położył mi rękę na ramionach. - Życie nie jest pozbawione bólu, ale chodzi oto, jak sobie poradzimy z tym bólem... albo radością, zawstydzeniem czy triumfem. Życie to coś więcej niż czas, który upływa zanim umrzemy; to suma wszystkiego, co przez ten czas robimy. Podjęcie decyzji może być czasem trudne, ale *zdarza*, się często, że niepodjęcie żadnej decyzji, powstrzymanie się od koniecznego działania przynosi gorsze skutki niż błędna decyzja. Zło kwitnie tam, gdzie nikt mu się nie przeciwstawia, ale ci, którzy potrafią, muszą to zrobić, by chronić tych, którzy nie mogą ochronić się sami.

Odrzuciłem głowę do tyłu i roześmiałem się głośno.

Elegos przyglądał mi się z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Nie wydaje mi się, żeby to, co powiedziałem, było szczególnie zabawne.

- Nie było. Chodzi po prostu o to, że słyszałem już wcześniej te same słowa... od rodziny, przyjaciół, a nawet od samego siebie. - Uśmiechnąłem się do niego. - Kiedy mi się przedstawiałeś, powiedziałeś, że jesteś Powiernikiem swojego ludu. To stanowisko wymaga odpowiedzialności i zaufania, prawda?

Caamasi uroczyście skinął głową.

- To najbardziej ceniona rola wśród mojego ludu.

- Czyja zyskałem twoje zaufanie?

- Tak.

- Mogę więc także zaufać ci we wszystkim i liczyć na twoją pomoc?

Elegos przytaknął.

- Ale nie będę sługą zła.

- To jest nas już dwóch. - Pokiwałem głową. - Jak wrócimy do domu, powiem ci więcej.

Złożył dłonie razem.

- W takim razie nie mogę się doczekać końca podróży.

- Dzięki za opatrzenie moich rąk. I głowy.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Położyłem się na stole, opierając pięty o jego krawędź i kładąc dłonie na piersi bezwładnie jak dwie bryły ołowiu. Wróciłem myślami do słów, które powtarzał mi ojciec i dziadek, które słyszałem od Wedge'a i które sam mówiłem sobie i innym, i wreszcie uświadomiłem sobie, kim jestem. Zobaczyłem w lustrze swoje odbicie i usłyszałem, jak woła mnie wiatr. Od kiedy sięgnę pamięcią, zawsze za największy ideał uważałem poświęcenie dla innych. To, czego chciałem ja sam, było podrzędne w stosunku do tego, co było dobre dla wszystkich. Moim zadaniem było służyć innym za tarczę i osłonę, jak forteca powstrzymująca okrucieństwo i niesprawiedliwość. Życie i tak było ciężkie, nawet bez monosynaptycznych socjopatów polujących na uczciwych ludzi. W tym momencie zdałem sobie sprawę ze wszystkich błędów, które popełniłem, próbując uratować Mirax. Wstępując do akademii Jedi, w dużej części wyrzekłem się siebie. Miałem nowe imię, nowy wygląd, nową tożsamość i uczyłem się nowych rzeczy. Próbowałem stać się kimś innym niż byłem, bo uważałem, że tylko ktoś potężniejszy ode mnie, ktoś taki jak rycerz Jedi będzie w stanie uratować Mirax.

Rozczarowany akademią Jedi odleciałem, wracając do swoich korzeni. Odrzuciłem to, czego się tam nauczyłem i nie zauważyłem, co tak naprawdę daje mi mój dziadek, udostępniając mi informacje, które dla mnie zachował. Niewłaściwie zinterpretowałem też mój sen, uważając, że przepowiada mi zgubę, gdybym próbował zostać rycerzem Jedi. Nie takie jednak było znaczenie tego snu. Przesłanie to było równie proste jak surowe: bezinteresowność jest jedynym antidotum na zło. Daje światło, które niszczy ciemność.

Najpierw wyparłem się mojej przeszłości w KorSeku, potem odrzuciłem dziedzictwo Jedi na korzyść tego, czego nauczyłem się w KorSeku. Traktowałem siebie - funkcjonariusza KorSeku i siebie - rycerza Jedi jak dwie różne osobowości, jakbym mógł funkcjonować tylko z jedną stroną mojego ciała. Sprawiałem, że jedna połowa mnie występowała przeciwko drugiej, zamiast połączyć obie w jedno.

Nie byłem albo Corranem Hornem z KorSeku, albo Keiranem Halcyonem, rycerzem Jedi. Byłem jednym i drugim naraz. Oczywiście, podobnie jak Nejaa Halcyon czasami ukrywał fakt, że jest rycerzem Jedi, w moim przypadku w pewnych sytuacjach jeden z aspektów mojej osobowości okazywał się bardziej skuteczny niż drugi, ale musiałem umieć zintegrować oba, jeśli miałem odnieść sukces.

„Gnębiciel” przeniósł nas z powrotem na Courkrus stosunkowo szybko, a prom, przewożący na powierzchnię przypadającą na Ocalałych część łupu zdobytego w magazynach Kerilt, zabrał także mnie i Elegosa. Nie odleciałem od razu, czekając na pokładzie „Gnębiciela”, dopóki nie upewniłem się, że moja eskadra odleciała w odpowiednim porządku i zanim nie wypytałem pułkownik Gurtta o wszystkie plotki krążące

wśród załogi. Powiedziała, że niewiele usłyszała, ale zachęciła mnie, żebym zaczął pracować nad poprawą mojej wytrzymałości i energii.

Kiedy dotarłem do Vlnarni, do apartamentu hotelowego, który przyznano mi stosownie do mojego nowego stopnia, odkryłem, że ktoś musiał go odwiedzić podczas mojej nieobecności. W pokoju znalazłem mnóstwo delikatesów, między innymi stuletnią savareeńską brandy w pięknej karafce, w komplecie z zestawem koniakówek. Samą karafkę i kieliszki zdobiły liczne klejnoty, w tym Ogień Durinda wielkości orzecha. Zaopatrzone mnie też w bele egzotycznych tkanin, statuetki z odległych planet i mnóstwo jedzenia, razem z hologramem od Taviry, zawierającym życzenia rychłego powrotu do zdrowia.

Uśmiechnąłem się. Jeszcze kilkanaście godzin temu taki pokaz pochlebiłby mi i zrobił na mnie wrażenie. Dałby mi też odczuć, że mam Tavirę w garści, skoro na zdobywanie mnie poświęca tyle energii, nie podejrzewając nawet, że ją oszukuję. Wypiłbym kieliszek brandy, napawając się jej klęską i moim triumfem.

Teraz widziałem tylko łupy zrabowane ich prawowitym właścicielom. Nie miała prawa do żadnego z tych przedmiotów, a podarowanie ich mnie, chociaż nie były jej własnością ani nie zapracowała na ich zdobycie, to gest pozbawiony jakiegokolwiek wartości. Zawsze brała, co chciała, a choć myślała, że pragnie, żebym przyszedł do niej z własnej woli, prawda była taka, że albo dam jej to, czego sobie życzy, albo mnie zniszczy. Jej gest był tak pusty, jak ona sama - amoralna; dlatego moja decyzja, by jej nie ulegać, stała się tym ważniejsza i tym bardziej nieuchronna.

Elegos obszedł sypialnię, łazienkę i kuchnię i wrócił do salonu.

- Wszędzie tego pełno, a pewne przedmioty w sypialni i łazience sugerują znaczny stopień bliskości między wami.

- Hmm, powiedziałbym, że trochę na wyrost, Elegos - uśmiechnąłem się. - Dała mi miesiąc. W czasie tego miesiąca mam zamiar stać się jej najgorszym koszmarem.

- Świetnie. Pochwalam pańską decyzję. - Caamasi klasnął w dłonie i uśmiechnął się. - Powinienem też chyba dodać, że moim zdaniem jest to decyzja godna pańskiego dziadka.

ROZDZIAŁ

42

- Mojego dziadka? - szczeka opadła mi ze zdumienia. - Nie mówisz chyba o Rostku Hornie, co?

Caamasi kiwał głową i wskazał mi krzesło.

- Zapytał mnie pan parę godzin temu, czy można mi zaufać. Potem poinformował mnie pan o swojej decyzji, która wymaga, bym tego zaufania nie nadużył, bo inaczej grozi panu nawet śmierć. Teraz ja chciałbym panu zaoferować coś o podobnej wartości.

Usiadłem. Światło igrało srebrnymi błyskami na złotawym futrze Elegosa, gdy przechodził na środek pokoju. Zachowywał wielką powagę. Wiedziałem, że niczego, co teraz powie, nie należy traktować lekko.

- Elegos, nie musisz mi zwierzać się z czegoś, co mogłoby narazić na niebezpieczeństwo ciebie albo twój lud. Właściwie może nawet lepiej, żebyś mi nic nie mówił.

- Ale ja wiem, że mogę panu zaufać. - Caamasi uśmiechnął się do mnie życzliwie.

- Nawet zagrożony bólem lub śmiercią nie wyda pan tego sekretu.

Nie wiedząc co powiedzieć, oparłem się o krzesło i ułożyłem na brzuchu zabandażowane ręce.

- Zapewne przypomina pan sobie, jak mówiłem, że wspomnienia ważnych momentów naszego życia odczuwamy bardzo silnie, niemal namacalnie?

- Tak, na przykład zabicie kogoś.

- Właśnie. Pamiętamy dokładnie także inne wydarzenia, takie jak narodziny dziecka czy spotkanie z kimś sławnym. - Wyraz twarzy Elegosa trochę złagodniał. - Caamasi nazywają te wspomnienia „memni”. Są naładowane emocjami i odczuciami zmysłowymi, a czasem także pewnymi ulotnymi wrażeniami, które umykają kwantyfikacji. Są bogatsze w szczegóły niż jakikolwiek hologram i cenniejsze dla nas niż wszelkie dobra materialne.

Przejechał lekko palcami po fioletowych pasmach sierści na ramionach i wokół oczu.

- Najważniejsze jednak w memni jest to, że możemy się nimi dzielić między sobą. Zdolność ich przekazywania jest ograniczona do osób połączonych więzami krwi, dlatego też często zawieramy małżeństwa z członkami innych klanów. W ten sposób za-

pewniamy różnym grupom kanały wspólnej komunikacji. Dzięki temu możemy pełniej porozumiewać się z członkami naszej rasy. To dlatego udaje nam się unikać przemocy i pomagać innym odnaleźć pokój. Wzór ubarwienia mojej sierści jest charakterystyczny dla Kla, klanu, do którego wszedłem dzięki matce. Jest mi stosunkowo łatwo przekazać memni innemu członkowi klanu Kla albo członkom A, klanu mojego ojca.

Uniosłem głowę.

- Mój dziadek znał Caamasi o imieniu Ylenic Ifkla.

- To brat mojej matki. Pochodzi z tego samego rodu. Znałem go dobrze i byłem bardzo dumny, że jest rycerzem Jedi. - Elegos rozpromienił się. - Musisz wiedzieć, że Caamasi odkryli coś bardzo ciekawego na temat Jedi. Chociaż wystarczą trzy lub cztery pokolenia, by zablokować dar dzielenia się memni pomiędzy nami, to kiedy jeden z nas poznaje Jedi i łączy ich więzy przyjaźni, może mu przekazać swoje memni. To coś w rodzaju cudu, a kiedy mój wuj został rycerzem Jedi, cały klan Kla był z tego bardzo dumny. To właśnie dzięki memni, które przekazał mi wuj, rozpoznałem cię. Masz oczy Nejaa, jego zapach i jego rozsądek.

- Więc naprawdę Ylenic jest twoim wujem? Gdzie on teraz jest? Czy może powie- dzieć mi więcej o Nejaa?

Gwałtownie zamrugał oczami i ukrył na chwilę twarz w dłoniach. Zacząłem wstawać z krzesła, ale powstrzymał mnie wyciągniętą ręką. Po chwili się opanował.

- Wybacz mi. Mój wuj nie było na Caamas, kiedy nasza planeta została unicestwiona. Po pogromie odwiedził przyjaciela na Alderaan, przekonując go, by udzielił schronienia tym Caamasi, którzy przeżyli zagładę. Razem z innymi naszymi przywódcami uznał, że powinniśmy się rozprześcić i zmieszać nasze klany w nowych osiedlach. Dzięki temu Alderaan nie byłby jedynym skupiskiem Caamasi, choć nadal największym. Poczulem, jak przebiega mnie zimny dreszcz.

- Zginął na Alderaan. Elegos powoli pokiwał głową.

- Umykał łowcom Jedi rozesłanym przez Imperatora przez całe lata, ale nie mógł umknąć z planety wysadzonej w powietrze.

- Jakie wspomnienie przekazał ci mój dziadek? Czy możesz podzielić się nim ze mną?

Elegos potrząsnął głową.

- Chyba nie jesteś jeszcze całkiem rycerzem Jedi. Nie jesteś też przyjacielem dość bliskim, by to było możliwe. - Zawahał się. - Nie jestem też pewien, czy akurat to wspomnienie chciałbyś poznać. To wspomnienie chwil, kiedy twój dziadek poniósł śmierć.

Zamknąłem oczy. Śmierć dziadka znałem tylko z koszmaru sennego. Nie chciałem nawet myśleć o tym, że mógłbym odczuć tę chwilę z całą siłą, z pełnią emocji jego przyjaciela.

- Masz rację, być może nie mam prawa do tych wspomnień.

- Na razie.

Otworzyłem oczy i pokiwałem głową.

- Na razie.

- Musimy więc coś na to poradzić. - Caamasi uśmiechnął się, co nadało na chwilę jego twarzy drapieźny wygląd. - Co proponujesz?

Potarłem usta zabandażowaną dłonią.

- Każda dobra operacja zaczyna się od osłabienia sił wroga od wewnątrz. Gnęby ściągają statki i załogi z całej galaktyki, ale te, które stacjonują tutaj, stanowią kręgosłup akcji inicjowanych przez Tavirę. Jeśli je rozproszymy i skłonimy do ucieczki, Tavira będzie musiała ryzykować coraz bardziej i bardziej, aż w końcu zacznie popełniać błędy.

- Zniszczenie planety piratów to trudne zadanie dla jednego Jedi z jednym mieczem świetlnym.

- Zgadza się, zwłaszcza że nawet nie mam miecza świetlnego. - Zmarszczyłem brwi. - Nie sądzę, bym mógł ściągnąć jego plany z HoloNetu, a wysłanie wiadomości do Luke'a Skywalker'a z zapytaniem, jak go skonstruować, też raczej nie wysłoby nam na korzyść.

- Nawet na Kerilt słyszeliśmy o jego akademii. Nie nauczył cię tego? Skrzywiłem się.

- Byłem w akademii, ale nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach. Czy Caamasi mają jakiś odpowiednik powiedzenia „zbombardować za sobą kosmoport”?

- Wyrwać roślinę, zerwawszy tylko jeden kwiat.

- Właśnie. Nie mogę być Jedi, nie mając miecza świetlnego. Elegos wzruszył ramionami.

- Może udałoby ci się zasadzić kwiat powtórnie. Coś mi w mózgu zaskoczyło.

- Albo lepiej wyhodować nowy. - Wstałem i pobiegłem do swojej sypialni. Na nocnym stoliku trzymałem notes komputerowy i kilka datakart z magazynami. Zacząłem je niezdarnie segregować, odrzucając niepotrzebne na łóżko. W końcu zgromadziłem wszystkie, o które mi chodziło i zaniósłem Elegosowi.

Zmarszczył czoło.

- „Koreliński Przegląd Ogrodniczy”? Przytaknąłem.

- Najlepszy przyjaciel Nejaa, człowiek, którego dorastając uważałem za dziadka... który był moim dziadkiem... w swojej mądrości odgadł, że będę potrzebował informacji, których nie chciałem wcześniej przyjąć. W tych czasopismach są dopisane przez niego kolumny. Myślę, że dał mi je, kiedy odjeżdżałem, bo chciał podzielić się z kimś swoją wiedzą, ale nie zdołałem się jeszcze przez nie przegryźć. Za dużo tam gadania o roślinach i objaśnień do kodu genetycznego wyhodowanych przez niego krzyżówek. W tych kodach mój dziadek zaszyfrował pamiętniki i nauki Nejaa, muszą więc gdzieś tam być również zapiski na temat konstrukcji miecza świetlnego.

Elegos wziął ode mnie notes.

- Jeśli pozwolisz, przejrzę te czasopisma i zobaczę, co mi się uda znaleźć.

- Dobrze. - Podniosłem zabandażowane ręce. - Skoro nie mogę latać przez najbliższy czas, mam wszelkie powody, by powłóczyć się trochę po okolicy. Wiem sporo o tutejszych operacjach, ale nie tyle, ile powinienem. Kiedy już poznam najsłabsze punkty struktury Gnębów, spróbuję je zaatakować. Nie będzie to łatwe, ale ktoś to musi zrobić.

- Jak mawiał mój wuj: „Są próby i są osiągnięcia. Świat nagradza tylko jedne z nich”.

Roześmiałem się i klasnąłem w dłonie, wchłaniając w siebie ból.

- Ty zajmiesz się rozszyfrowaniem tych zapisków, a ja kurowaniem moich dłoni. A wtedy - żegnajcie Gnęby!

Rzeczywiście udało mi się wiele dokonać przez okres rekonwalescencji, a spodziewane wyróżnienie mnie przez Tavirę niezmiernie mi w tym pomogło. Kiedy na przykład pytano mnie, dlaczego nie użyję zbiorników bacta, które mieliśmy na Courkrus, żeby przyspieszyć proces powrotu do zdrowia, odpowiadałem, że Tavira uważałaby mnie za słabeusza, gdybym nie umiał wytrzymać odrobiny bólu. Większości to wytłumaczenie wystarczało, a metody uzdrawiania Jedi, które Elegos odkrył w dziennikach, faktycznie przyspieszyły gojenie się ran. Wiedziałem zaś, że chodzenie z zabandażowanymi rękami przyda mi się, bo dzięki temu wydawałem się ludziom mniej groźny.

Obszedłem wszystkie formacje stacjonujące na Courkrus, ciepło witany przez ich dowódców. W oczywisty sposób uważali, że warto mi się podlizać. Trochę czasu spędziłem „U Warrena” z Riistarskimi Jeźdźcami i załogą „Czerwonej Supernowej”. Gdyby nie bezlitosne okrucieństwo, jakiego dopuszczali się wobec miejscowej ludności, byłiby całkiem przyzwoitą bandą. Nie byli takimi twardzielami jak Ocalali, i chyba nie mieli żadnych specjalnych sekretów ani nic nie knuli.

W odróżnieniu od nich Hutt Shala i jego gang przyprawowych narkomanów byli zepsuci do szpiku kości. Zajęli magazyn w pobliżu kosmoportu i przerobili go według swoich upodobań, które najlepiej można by określić nazwą stylu Starej Republiki. Ich buda wyglądała, jakby rozpadła się jeszcze przed nastaniem Imperium, a potem pozostawiono ją w tym stanie bez żadnych napraw. Wszędzie poniewierały się wraki, a kolorami dominującymi w wystroju były rudy od rdzy i czarny od laserowej spaleniźny. Duraplastowe skrzynki wyglądające na dość stare, by stanowić pozostałości po zniszczonej Gwieździe Śmierci, porozrzucane były po wszystkich kątach, a we wnętrzu śmierdziało zgnilizną.

W durabetonowej płycie na środku magazynu wycięto laserem coś w rodzaju amfiteatru, na którego pomocnym krańcu, na płaskim podium, rozsiadł się Shala we własnej osobie. Słyszałem, że młode Hutty bywają silne i muskularne. Jeśli tak, to Shala musiał być starszy niż brud w jego lokalu. Wyglądał jak spasiona i zaśliniona skała. Shala miał zwyczaj mamrotać, a potem wybuchać śmiechem, któremu wtórowali jego kompani. 3PO, który służył mu za tłumacza, odwałał kawał dobrej roboty, ale Shala tak często go tłukł, uważając, że przekręca jego słowa, że prawe ramię biednego robota wyglądało, jakby ktoś go włóczył za śmigaczem pędzącym wąskimi uliczkami Vlnarni. Uśmiechnąłem się do robota.

- Powiedz swojemu panu, że jego gościnność mnie oczarowała, ale uczulenie na większość insektów nie pozwala mi spróbować tych pluskwocykad, które tak hojnie zaproponował mi na przekąskę. - Ukłoniłem się lekko Shali i oddałem robotowi miszkę cykających pluskwów, oblizując się łakomie. Moją uwagę przyciągnęły dwa małe róż-

niaki, które potężnymi kłami próbowały rozerwać się nawzajem na kawałki. Walczyły zaciekle, nie wiedząc zapewne, że Shala pożre zwycięzcę.

Najciekawsze w magazynach Shali było jednak to, że wewnątrz były mniejsze niż wyglądały na zewnątrz. Śmieci zalegające grubą warstwą w środku utrudniały zauważenie tego i byłbym ten fakt przegapił, gdybym nie rozciągnął zmysłów sprawdzając, czy Shala nie poumieszczał gdzieś ukrytych strażników. Nie znalazłem ich wprawdzie, ale odkryłem ludzi pracujących za sztucznymi ściankami albo we wpuszczonych w podłogę jamach, ukrytych pod spiętrzonymi stosami złomu i kawałków plastali.

Uśmiechnąłem się i starłem kropelkę krwi, która chlapnęła z kłów walczących stworzeń na mój policzek. Zwycięzca zapiszczał przejmująco, gdy Shala przetrącił mu kręgosłup i odgryzł głowę. Zaproponował mi surowy udziec, ale grzecznie odmówiłem, rzucił więc ochłap pomiędzy mieszkańców magazynu, którzy natychmiast zaczęli między sobą walkę. Miałem szczerą nadzieję, przez wzgląd na Rodianina, który wyszedł z niej zwycięsko, że Shala nasycił się resztą ssaka, a kolejny triumfator nie skończy jako pozycja w karcie dań swojego szefa na ten wieczór.

Zdecydowanie najbardziej tajemniczą grupą piratów stacjonującą we Vlarny byli Piraci Czarnej Gwiazdy. Chociaż za swoje przytulisko uznali knajpę zwaną „Pod mynockiem”, wpadali tam tylko na chwilę i już ich nie było. Na samym końcu sali, w kącie, w którym nigdy nie sadzano gości, członkowie tej bandy wstukiwali kod na klawiaturze obok rozsuwanych drzwi wpuszczonych w ścianę, za którymi chwilę później znikali. Nie miałem pojęcia, co się tam działo, ale ulga, z jaką opuszczali ogólnodostępne pomieszczenia i przechodzili do swojej tajemnej komnaty, emanowała z nich jak ciepło z reaktora jądrowego.

Podczas gromadzenia wiadomości starałem się ograniczyć do minimum używanie Mocy. Oczywiście chciałem uniknąć wykrycia, ale chodziło mi też o to, żeby nikt nie zauważył nic niezwykłego, zanim nie podejmę otwartej akcji. Najłatwiejszym rozwiązaniem byłoby niewątpliwie wyciągnięcie miecza świetlnego i ścięcie paru głów. Wyrznięcie piratów z pewnością przyspieszyłoby upadek Gneźbicieli, ale wówczas zostałbym na Courkms sam, pozwalając Tawirze domyślić się, kto był źródłem jej problemu.

Znacznie większy problem stanowił zaś fakt, że tym samym stałbym się seryjnym mordercą. Chociaż nie sądzę, by któregokolwiek z piratów wybrano na Najszlachetniejszą Istotę Roku, nie wszyscy przecież zasługiwali na śmierć. Na przykład Caet i Timmsler były po prostu dobrymi pilotkami, które trafiły do Gneźbów dość przypadkowo. Gdyby zamiast tego przyłączyły się do Rebelii, równie dobrze mogłyby teraz układać plany rozprawienia się z Tawirą. Chciałem dać im szansę nawrócenia, a zatem musiałem je przekonać, iż to, co teraz robią, jest złe, a następnie namówić, by odeszły, uciekły, wyszły lub po prostu odleciały.

Sprzyjała mi też jedna niespodziewana okoliczność - wszyscy moi przeciwnicy byli włóczęgami przestrzeni. Jest coś w podróżowaniu przez tę rozległą pustkę, w wiecznej niepewności, czy skok w nadprzestrzeń lub z powrotem się uda, czy też wylądujesz w samym jądrze gwiazdy albo utkniesz w hiperprzestrzeni - co sprawia, że piloci są przesądni. Przez całe lata nosiłem jako talizman mój medalion Jedi. Przeniknąłem do organizacji Gneźbów, bo miałem sen, który nakazywał mi tak zrobić. Wiedziałem, że

jeśli coś się zacznie psuć, jeśli pojawi się dość znaków nadciągającej zguby, nawet najtwardsi spośród Gneźbicieli zaczną się rozglądać za innymi planetami, które można by plądrować w innej organizacji i pod innym dowództwem.

We wszystkich lokalach, które odwiedzałem, starałem się jak najwięcej zapamiętać. Znajomość rozkładu pomieszczeń była konieczna, jeśli miałem niepostrzeżenie wślizgiwać się do nich i następnie zniknąć. Zabawa, którą zaplanowałem, była niebezpieczna, ale musiałem ją wygrać, więc chciałem mieć pod kontrolą jak najwięcej elementów.

Po tygodniu miałem dość informacji, by wziąć się za planowanie mojej kampanii. Ustaliłem każdy szczegół - kto pójdzie na pierwszy ogień, jak się z nim rozprawię, a także jaki będzie mój kolejny krok. Musiałem uderzać mocno, by podtrzymać napięcie, ale cele ataku dobierać pozornie przypadkowo, by nikt nie mógł przewidzieć, kto będzie następny i złapać mnie w pułapkę.

Nie było to łatwe, ale gdyby było, nie uznalibyśmy tego za zadanie godne rycerza Jedi.

Została mi do zrobienia tylko jedna rzecz.

Musiałem mieć miecz świetlny.

Elegos odcyfrował zapiski dotyczące sposobu konstrukcji miecza świetlnego stosunkowo szybko, lecz kiedy je przeczytałem, prawie się załamałem. Plik dość szczegółowo omawiał komponenty potrzebne do zrobienia broni, więc wiedziałem, czego mam szukać. Oprócz tego jednak opisane tam były kroki niezbędne do złożenia broni, a każdemu z nich towarzyszyły ćwiczenia i medytacje, które kandydat na rycerza powinien wykonać, zanim przejdzie do kolejnego etapu. Gdybym trzymał się ściśle wskazówek Nejaa, skonstruowanie miecza zajęłoby mi ponad miesiąc, a nie miałem tyle czasu. Wiedziałem, że niecierpliwość i pośpiech to oblicza Ciemnej Strony, ale gorąco pragnąłem, by proces ten dało się skrócić, tak żebym zdołał wykonać zadanie na czas.

Po pierwsze zgromadziłem potrzebne elementy. Miecz świetlny, chociaż niezwykle elegancka i śmiertcionośna broń, sam w sobie nie jest jednak zbyt skomplikowany. Nie miałem żadnych problemów ze znalezieniem odpowiednich części. Za rękojeść na przykład posłużyła mi dźwignia przepustnicy i kierownica rozwalonego motoru pościogowego. Oba te elementy podwędziłem z „Katastrofy”, z jednego z wiszących tam wraków, i nikt chyba tego nawet nie zauważył. Obwody dimetryczne do aktywatora ściągnąłem ze starego działu jonowego, a konkretnie - wymontowałem z niego kontrolkę zapłonu. Samo działo wygrałem od Shali, zakładając się o to, który z roźniaków wygra w kolejnej walce. Ładowarkę i uzwojenie-mogłem znaleźć w dowolnym komunikatorze. Wymontowany z rozwalonego łapsa ogranicznik odbłyску lasera posłużył za paraboliczną przysłonę przepływu wysokoenergetycznego, która stabilizowała ostrze. Z tego samego działu laserowego wymontowałem dynoryczny kabel zasilania, który miał posłużyć jako nadprzewodnik przesyłający energię z ogniów energetycznych do ostrza. Przelączniki i przyciski znalazłem bez trudu, a cioteczka Tawira dzięki podarowaniu mi kompletu kieliszków z karafką zaopatrzyła mnie w klejnoty, które wystarczyłyby do zrobienia tuzina mieczy.

Największą trudność nastęcało ogniwo energetyczne, które magazynowało i wyzwalalo odpowiednią ilość energii, niezbędną do włączenia klingi. Prawdę powiedziawszy, samo ogniwo, wyszczególnione na mojej liście komponentów, było dość prymitywne - ze względu na wiek mojej instrukcji miałem wręcz trudności ze znalezieniem tak zabytkowego typu. Nowsze ogniwa energetyczne były znacznie bardziej wydajne niż to, które wymienił mój dziadek, nie sądzę jednak, by należało się tym martwić. Studiując bowiem instrukcję, doszedłem do wniosku, że nie bateria była najważniejsza, lecz sposób, w jaki zostanie połączona w całość z pozostałymi elementami.

Istotą rytuału konstruowania miecza przez rycerza Jedi było naładowanie ogniwa energetycznego po raz pierwszy. Mój dziadek wyśmiewał rozpowszechniony przesąd, że Jedi kanalizuje Moc poprzez swój miecz świetlny. Stwierdzał, że przekonanie to wzięło się zapewne z niezrozumienia tego początkowego momentu, kiedy Jedi ładuje ogniwo po raz pierwszy i wiąże je z pozostałymi częściami miecza. W czasie tego procesu Jedi, umiejętnie manipulując Mocą, składa części miecza w jedną całość, wiążąc je ze sobą nie tylko w sensie mechanicznym czy materialnym, ale na znacznie głębszym poziomie, tak że pracują później z niewyobrażalną skutecznością. Bez tego etapu starannego przygotowania i dojrzenia miecza ostrze byłoby zawodne i rycerz nie mógłby na nim do końca polegać.

Na szczęście nie musiałem łamać sobie głowy problemem, jak uzyskać od Taviry jeszcze miesiąc zwłoki, bo Elegos odszyfrował pewien dopisek do instrukcji. Było tam powiedziane, że w czasie Wojen Klonów mistrzowie Jedi opracowali sposób, by zbudować miecz świetlny w dwa dni. Nejaa opisywał tę metodę, zauważając, że należy jej używać wyłącznie w stanach wyższej konieczności, ale nigdy w pośpiechu. Przeczytałem opis parę razy, czując, jak ogarnia mnie spokój. Wiedziałem, że słowa te nie zostały napisane do mnie, ale pasowały w sam raz.

Szybkość, ale bez paniki; działanie, ale po namyśle. Zacząłem od uspokojenia się i uproszczenia mojego stylu życia. Piłem tylko wodę i jadłem niemal nie doprawiony makaron. Usunąłem podarunki Taviry z sypialni albo pochowałem je w szafkach. Usiadłem na środku pokoju, rozkładając części miecza w półkole wokół siebie. Studiowałem każdy element, używając Mocy, by wnikać w niego i odczuć go całym sobą. Moje ręce miały złożyć wszystkie części w jedną całość, ale chciałem, by części przeniknęły się wzajemnie, jakby były ze sobą zrośnięte. Miecz świetlny to coś więcej niż urządzenie, a żeby go skonstruować, musiałem czuć, jak poszczególne części spajają się ze sobą.

Umieściłem przycisk aktywacji w odpowiednim miejscu na ręczce i podłączyłem przewody do odpowiednich końcówek na dimetrycznej płytce obwodów. Zamontowałem wszystko wewnątrz rękojeści, owijając taśmą izolacyjną, żeby zapobiec najmniejszemu choćby wyciekowi nadprzewodnika. Następnie umieściłem w odpowiednich miejscach kryształy, które miały skupiać energię i wytwarzać ostrze. W środek włożyłem Ogień Durinda, który miał być soczewką skupiającą energię. Ten sam kamień nadawał mieczowi mojego dziadka charakterystyczny srebrzysty odcień. W dwóch pozostałych miejscach umieściłem brylant i szmaragd. Nie byłem pewien, jaki efekt kolo-

rystyczny da szmaragd, a jeśli chodzi o brylant, miałem nadzieję, że dzięki niemu ostrze będzie skrzyć się tęczowymi odbłaskami.

Na końcu rękojeści, tam, skąd miała wychodzić klinga, umieściłem przysłone przepływu wysokoenergetycznego. Jej zadaniem było wytwarzanie ujemnego ładunku, który stabilizowałby dodatnio naładowane ostrze, chroniąc moje ręce przez kontaktem z zabójczym potencjałem. Posługiwanie się mieczem świetlnym było zadaniem wystarczająco ambitnym, więc nie musiałem dodawać sobie trudności, jakie spowodowałyby energia przeciekająca mi przez palce. Podłączyłem rozładowane ogniwo energetyczne i przewody do gniazdka ładowarki. Wkręciłem gniazdko do dolnej części ręczki, nie zakładając jednak jeszcze kapturka, który miał je chronić, bo musiałem najpierw naładować baterię. Podniosłem z podłogi przewód od małego transformatora, który pożyczyłem sobie od naszych mechaników, i podłączyłem do miecza.

Trzymając palec na przełączniku, który miał zainicjować przepływ energii, wziąłem głęboki oddech i zapadłem w trans. Wiedziałem, że manipulowanie materią w stopniu umożliwiającym stopienie komponentów i „wykucie” miecza było zadaniem, któremu mogli sprostać tylko najwięksi mistrzowie Jedi, jak Yoda, ale czynność ta została z czasem przeanalizowana i zrytualizowana w takim stopniu, by nawet kandydat na rycerza Jedi mógł sobie z tym poradzić. Była to zapomniana sztuka, ogniwo łączące mnie z przeszłością, która została zepchnięta w niepamięć; wykonując ją czułem, że obejmuję moje ukryte dziedzictwo jako Jedi.

Włączyłem przełącznik, pozwalając wąskiej struzce energii wypełnić baterię. Otworzyłem się na Moc i przez ręce, w której trzymałem rękojeść, pozwoliłem Mocy spływać do wnętrza miecza. Moc powodowała bardzo subtelne zmiany w komponentach. Wiązania elementarne przenosiły coraz więcej i więcej energii do ogniwa i samej broni. Nie byłem pewien, jak dokładnie dokonują się te zmiany, ale czułem, że w tym samym czasie, gdy następują one w mieczu, następują także we mnie.

Stając się obwodem przewodzącym Moc do miecza, jednocześnie stawałem się pełniej sobą, integrując różne aspekty mojej dotychczasowej osobowości. W wyniku tej fuzji stałem się nową osobą, którą pozostanę do końca życia. Nadal byłem pilotem - trochę aroganckim, z wysokim poczuciem własnej wartości i gotowością stawiania czoła niemal niewykonalnym zadaniom. Nadal byłem agentem KorSeku - detektywem i buforem między niewinnymi a całym brudem galaktyki, który chciał ich zalać.

I byłem też rycerzem Jedi. Byłem dziedzicem tradycji, która sięgała dziesiątki tysięcy lat wstecz. Jedi byli fundamentem stabilności w galaktyce. Zawsze przeciwstawiali się tym, którzy znajdowali przyjemność w kulturowaniu zła i szukali władzy dla samej władzy. Ludzie tacy jak Exar Kun i Palpatine, Darth Vader i Thrawn, Ysanna Isard i Tavira - byli jak choroby nękające społeczeństwo, które Jedi leczyli. Pod nieobecność Jedi zło rozkwitało.

W obecności przynajmniej jednego Jedi zło znikalo.

Tak jak w przypadku miecza, zmiany, które we mnie zachodziły, miały swoją cenę. Możliwości, jakie dawała mi Moc, nakładały na mnie również znaczny ciężar. Nie będę mógł już nigdy podejmować nieprzemyślanych działań, nie rozważywszy wcześniej ich konsekwencji. Będę musiał być bardzo pewien wszystkiego, co robię, bo jeden

mój błąd może doprowadzić do katastrofy. Chociaż wiedziałem, że czasem popełnię błąd, musiałem robić wszystko, co tylko możliwe, żeby zminimalizować jego negatywne skutki. Nie wystarczyło już, bym robił jak najwięcej dobrego dla jak największej liczby istot - musiałem robić wszystko, co było najlepsze dla każdego.

Nie mogłem uciec od tej nowej odpowiedzialności. Podobnie jak mój dziadek, mogłem decydować, kiedy i komu ujawnić, kim jestem i jaki jestem, ale nie mogłem o tym zapomnieć, nie mogłem po prostu zamknąć biura i wyjść. Moja służba na rzecz innych musiała być całkowita i bezwarunkowa. Stałem się agentem życia i musiałem nim być każdego dnia, w każdej godzinie, każdej sekundzie, do końca życia, a potem jeszcze przez pewien czas. Usłyszałem stuknięcie i podniosłem wzrok.

- Elegos?

Caamasi stał nade mną, podając mi szklankę wody.

- Gotowe.

Zamrugalem, wziąłem od niego wodę i wypilem ją łączywie. Odstawiłem szklankę, czując jak woda spływa mi po brodzie. Starłem ją prawą ręką, czując nowy zarost na policzkach.

- Ile to trwało?

- Dwa i pół dnia. - Caamasi uśmiechnął się i zabrał ode mnie szklankę. - Nie tak szybko jak twój dziadek, ale całkiem nieźle.

- Czy ktoś zauważył moją nieobecność?

- Parę osób pytało o ciebie, ale powiedziałem im, że upiłeś się swoją brandy. Powiedzieli, że rozumieją, iż musiałeś oblać tak nagłą zmianę losu. - Postawił szklankę na szafce i przeszedł do salonu. - Podczas gdy ty byłeś zajęty tutaj, ja też nie próżnowałem. Zrobiłem dobry użytek z darów Taviry. Twój rozmiar oceniłem na podstawie memni twojego dziadka.

Podniósł zielonkawą szatę Jedi, z czarnym pasem i czarnym płaszczem.

- Myślę, że będzie pasować. Kiwnąłem głową i ująłem w dłonie miecz.

Włączyłem go kciukiem, uruchamiając dziewicze ostrze, długie na ponad metr.

- Miecz świetlny i szaty. Wygląda na to, że na Courkrus zawita sprawiedliwość.

Najwyższy czas.

ROZDZIAŁ

43

Postanowiłem wykorzystać wymówkę wymyśloną przez Elegosa i więcej czasu spędzać na upijaniu się - a w każdym razie na udawaniu pijanego. Odrobina savareeńskiej brandy rozlana na tunice wystarczy, żeby człowiek cały cuchnął, a jeśli się przy tym zataczasz i pijesz, rozlewając na siebie jeszcze więcej alkoholu - ludzie nie mogą tego nie zauważyć. Wśród moich towarzyszy nikt nie miał wątpliwości, że przez trzy dni nie trzeźwiałem.

Udawanie pijanego dawało mi też znacznie więcej swobody, bo dopóki nie zachowywałem się obrzydliwie, przegrywałem w sabaka i hojnie wydawałem pieniądze Taviry albo rozdawałem jej prezenty, wszyscy traktowali mnie jak najlepszego przyjaciela. Cieszyli się na mój widok, nie mieli trudności z ignorowaniem mnie, gdy im było wygodnie, a nawet zachowywali się, jakby mnie w ogóle nie było, kiedy udawałem, że śpię.

Na pierwszy ogień wybrałem Ocalałych. Znałem ich lepiej niż innych, miałem więc tę przewagę, że mogłem łatwo wnikać w ich umysły. Ocalali byli też najbardziej zdyscyplinowaną bandą Gnębów, więc jeśli udałoby mi się ich złamać i spłoszyć, nerwowość opanowałyby także pozostałe grupy. Działanie wymierzone przeciwko nim miało więc być preludium do ataku na inne gangi.

Pracowałem nad planem akcji razem z Elegosem, zapisując wszystko w datanote-sie i wyświetlając z holoprojektora, który znajdował się w moim apartamencie. Przerabialiśmy wszystko do znudzenia, aż zapamiętałem wszystko dokładnie i przećwiczyłem moją rolę. Musiałem być ostrożny i szybki, ale gdyby to zadziałało, wstrząsnąłbym Ocalałymi do głębi.

Zająłem stolik w „Katastrofie” w samym końcu sali. Zazwyczaj przesiadywał tam kapitan Nive i nie musiałem długo czekać, aż się pojawił. Jacob nie próbował mi się podlizywać, jak pozostali dowódcy pirackich załóg - polegał na przyjaźni, jaka zawiązała się między nami jeszcze w czasach, gdy dowodził moją eskadrą. Właściwie nawet go lubiłem i podobał mi się sposób, w jaki dowodził Ocalałymi. Z kilku naszych rozmów zorientowałem się jednak, że nie jest do końca zadowolony z tego, co zrobił ze swoim życiem. Ta wątpliwość, wyrażona przez niego kiedyś późną nocą, miała właśnie wrócić, by go prześladować.

Jacob usiadł plecami do kąta sali. Siedziałem po jego lewej stronie, plecami do ściany, odwrócony od niego bokiem. Naprzeciwko Nive'a stało jeszcze jedno krzesło, którego nie było widać z pozostałej części sali, bo zasłaniał je słup. Miałem przed sobą butelkę savareeńskiej brandy, a w prawej dłoni trzymałem kieliszek. Jacob pił lum, ale nigdy się nie upijał, po prostu bywał lekko podchmielony. Siedzieliśmy sobie, wymieniając cichym głosem najnowsze plotki na temat Hutta Shali, kiedy w pewnej chwili odsunąłem wolne krzesło lewą stopą, jak ktoś, kto chciałby się przy-siąść.

Sięgnąłem po Moc, pozwalając, by mnie wypełniła. Odwróciłem głowę od Jacoba w stronę pustego krzesła.

- To miejsce jest zajęte. Znajdź pan inny stolik. - Mówiąc to, rozciągnąłem zmysły i wysłałem wizję do umysłu Nive'a.

Jacob uniósł głowę i zbladł.

- To niemożliwe!

Postać, która usiadła naprzeciw niego, rzuciła na stolik grubą złotą monetę, która poturlała się po stoliku. Wyciągnąłem lewą rękę, by ją złapać i nakryłem złoty krążek dłonią, ale wzdrygnąłem się i cofnąłem ją.

- Ale zimna!

Postać siedząca naprzeciwko Jacoba miała na sobie mundur imperialnego kapitana, nieco za ciasny, i małe zamię pod lewym okiem. Wyglądała dokładnie tak, jak kapitan Zlecę Oonaar z „Krucjaty”, kiedy Ocalali pochycili go, a Jacob osądził i kazał stracić. Jacob osobiście wetknął mu wtedy w usta złotą monetę, zgodnie ze starym przesądem, który mówił, że w ten sposób wykupuje się wszystkie złe rzeczy, które martwy mógłby powiedzieć o żywym, a potem wypchnął go przez główną śluzę powietrzną „Zradzieckiego Ciosu”.

Zlecę Oonaar spojrzał Nive'owi prosto w oczy.

- Możesz sobie zabrać swoje złoto. Martwi nie mówią źle o innych trupach.

Złapałem Jacoba za nadgarstek.

- Co on ma na myśli?

- Nie wiem - odpowiedział Jacob, błąd jak ściana. Zlecę pokiwał głową.

- Wiesz, dobrze wiesz. Wiesz, że powinieneś być zginąć tego dnia, kiedy poległ twój towarzysz. Gdybyś lepiej się wtedy postarał, może jeszcze by żyli. Zawiodłeś ich, a teraz do nich dołączysz. Na Courkrus nadciąga zguba. Twoje ofiary zostaną pomszczone.

Jacob zerwał się z krzesła i wyszarpnął rękę z mojego uścisku. Chwycił swój kufel lumu i wylał gwałtownie na zjawę. Pozwoliłem, by widmo rozplynęło się w krwawą mgłę, która po chwili rozwiała się zupełnie. Kufel roztrzaskał się o stojący za krzesłem filar. Jacob stał z otwartymi ustami, cały drżący, i rozglądał się po gościach „Katastrofy”. Wszyscy patrzyli na niego, bo dźwięk tłuczonego kufła przyciągnął ich uwagę, nie dane im było jednak widzieć tego, co się wcześniej wydarzyło.

Jacob pokazał palcem na puste krzesło.

- Widzieliście go?

Ludzie potrząsali przecząco głowami.

- Ale ty go widziałeś, Jenos? Widziałeś go, prawda? Wzruszyłem ramionami i wysączyłem kieliszek do dna.

- Widziałem. To ten sam, którego złapaliśmy i osądziliśmy. -Bawiłem się monetą. - Włożyłeś mu ją do ust.

Jacob wyrwał mi monetę i podniósł do góry.

- Właśnie, włożyłem mu ją do ust.

- Ale przecież wypchnęliśmy go w przestrzeń! - Nalałem brandy do kieliszka i popatrzyłem na Jacoba, ignorując zacieśniający się wokół nas krąg ludzi.

- Co on miał na myśli mówiąc, że na Courkrus nadciąga zguba? Jacob wyrwał mi z ręki kieliszek brandy i wypił resztę duszkiem.

- Nie wiem. - Odstawił kieliszek i postukał w jego krawędź, prosząc o więcej. - Nie wiem, ale nie wygląda to dobrze. W ciągu dwunastu godzin historia „nawiedzenia” rozeszła się po całej Vlnarni i zaczęła żyć własnym życiem. Prosiłem ludzi, by opowiedzieli mi, co ujrzeli i słuchałem, jak opisują wizję, której nie widzieli na oczy. Kiedy ich poprawiałem, mówiąc, że ja widziałem co innego, stwierdzali, że byłem zbyt pijany, by dobrze wszystko zapamiętać. Oni wiedzieli, jak było naprawdę, i ta prawda ich przerażała.

Nikt nie był pewien, co tak naprawdę zobaczył. Niektórzy twierdzili, że był to po prostu duch kapitana - ni mniej, ni więcej - który powrócił, by nękać Nive'a za to, że go zamordował. Inni zastanawiali się nad sensem ostrzeżenia, łamiąc sobie głowy, po co w ogóle duch ostrzegał, zamiast zwyczajnie uderzyć i pozabijać nas wszystkich -jeśli w ogóle był do tego zdolny. Ostrzeżenie znajdowało sobie drogę do wielu umysłów, co od początku było moim zamiarem. Chciałem, by mogli później powiązać przestrożę z wydarzeniami, które miały nastąpić. Byłem zadowolony, że już pierwszy mój krok miał tak rozległe skutki, ale wiedziałem, że nie mogę zastosować tej samej techniki po raz drugi. Chociaż potrafiłbym użyć iluzji, by powstrzymać pościg, duchy nie wystarczą, żeby przekonać Gnębów, że czas się rozstać z Tawirą. Moneta przekonała wielu ludzi o tym, że „nawiedzenie” faktycznie miało miejsce. Z tego względu uznałem, że moja następna akcja powinna dostarczyć kolejnego namacalnego dowodu, że święci się coś niedobrego, bo sama moneta to za mało. Nadszedł czas na uderzenie bardziej bezpośrednie i bardziej bolesne.

Zaczekałem, aż Timmser i Caet zaprowadzą mnie do domu i przekażą w ręce Elegosa. Mruczając, iż ma nadzieję, że nie zwymiotuję znowu na pościel, Caamasi zawlókł mnie do sypialni, pozwalając dziewczynom zwać, zanim będą musiały po mnie sprzątać. Kiedy już sobie poszły, przebrałem się w mój strój Jedi, włożyłem płaszcz z kapturem i wymknąłem się w noc. Używając Mocy wyczyściłem krótkotrwałą pamięć tych pracowników hotelu, którzy mnie widzieli, pozostawiając w ich myślach ośmiosekundową lukę, która obejmowała czas mojego przejścia przez lobby.

Użycie Mocy zarówno w „Katastrofie”, jak i w hotelu wystawiało mnie na ryzyko wykrycia przez doradców Tawiry, ale byłem niemal pewien, że żadnego z nich nie ma na Courkrus. Nie sprowadziła jak dotąd żadnego, a nie miała powodu przypuszczać, że na Courkrus pojawią się problemy. Zostawienie doradcy na planecie dałoby nam szansę

poznania jej sekretów i wystąpienia przeciwko niej. Choćby dla tego jednego powodu mogłem bezpiecznie używać Mocy w czasie polowania.

Moje wcześniejsze wypadki na miasto dobrze mi się przysłużyły, bo przemykałem się teraz mniej zaludnionymi alejkami i zaułkami w kierunku najbardziej zapuszczoonych rejonów Ptaszarni. Sięgnąłem po Moc, aby rozszerzyć sferę odpowiedzialności i namierzyć kogoś, kto potrzebuje pomocy. Moim zamiarem było oczywiście wybawienie takiej osoby z rąk przestępców i wyeliminowanie ich z gry. Zupełnie jak w KorSeku podczas nalotu na Aleję Łowców Skarbów, tyle tylko, że tym razem po ciemku.

Różnica polegała też na tym, że teraz moim sprzymierzeńcem była Moc. Czulem okolice, w której się znalazłem, znacznie ostrzej, rejestrując różne formy życia. Gdybym chciał, mógłbym policzyć wszystkie cykady albo zdziczałe rożniaki w ciągu kilku sekund. Miałem jednak co innego do roboty - coraz to nowe dane napływały do mojego umysłu z ciemnych ulic.

W czasie patroli KorSeku czulem się jak drapieżnik szukający ofiary w nadziei, że ofiar tych nie będzie dość dużo, by zdołały mnie zabić. Dysponując Mocą, sam byłem super drapieżnikiem. Wyczuwałem, gdzie kto się znajduje i dokąd zmierza. Mogłem sam wybrać metodę - konfrontację, po której nie zostanie nawet śladu, albo wielkie „bum”, o którym usłyszysz całe miasto. W tej chwili wybrałem zadanie skromniejsze i mniej spektakularne, ale wiedziałem, że już niedługo nadejdzie czas bardziej widowiskowych dokonań.

Zanim jeszcze poprzez Moc wyczułem, gdzie znajduje się moja trójka, usłyszałem szloch. Dwóch pijanych Laserowych Lordów złapało miejscową kobietę i zapędziło ją w boczną uliczkę. Przyparli ją do ściany, przycisnęli ręce nad głową do muru i cmokali ją niezdarne i głośno w twarz i szyję oblesną parodią pocałunków, do których są zdolni tylko ludzie kompletnie zalani. Gdyby nie wyraz obrzydzenia i przerażenia na twarzy kobiety, wyglądałoby niemal pociesznie.

Pojawiłem się za nimi cicho jak cień i złapałem pierwszego za kark. Odwróciłem go i rzuciłem twarzą o przeciwległą ścianę. Coś chrupnęło, gdy o nią uderzał, a potem osunął się na ziemię. Pół kroku do przodu i już trzymałem rękojeść miecza świetlnego w prawej dłoni. Wymierzyłem drugiemu mężczyźnie cios z dołu. Ciężka metalowa nasada rękojeści strzaskała mu szczękę, posyłając zataczającego się w tył. Jedną jego ręką powędrowała ku twarzy, drugą sięgnął po blaster, schowany w kaburze na biodrze. Kiedy zaczął dobywać broni, obróciłem w dłoni rękojeść miecza i włączyłem srebrzyste ostrze. Jego syk eksplodował w ciszy wypełniającej uliczkę, a odbłask od klingi narysował cienie Laserowego Lorda na ziemi i na przeciwległej ścianie. Skierowałem ostrze łukiem w dół, rozcinając blaster przez łufę i kolbę. Kawalki miotacza i dwa palce bandyty poleciały na ziemię.

Kopniak w i tak już złamaną szczękę posłał go śladem palców. Obróciłem się i rzuciłem na jego towarzysza, który właśnie zaczął się podnosić. Zanim zdążył wyciągnąć blaster, wbiłem mu miecz w bark, wypalając zgrabniutką dziurkę wielkości dużego guzika przez ciało i kości. Oleisty swąd przypalanego mięsa wypełnił zaułek. Facet zbladł jak papier. Spojrzał w dół na srebrzysty snop energii zatopiony w jego ciele, przewrócił oczami i zemdłał.

Wyrwałem ostrze, zanim opadające ciało rozerwało się na nim pod własnym ciężarem. Nie chciałem, żeby zginął - ani on, ani jego kumpel. Dwóch martwych facetów to czysta statystyka, podczas gdy dwóch żywych po takich przejściach mogło opowiedzieć niesłychane historie. Proces zapoczątkowany „nawiedzeniem” dwóch gości będzie dalej żyć własnym życiem.

Odwróciłem się do kobiety, która przykucnęła przerażona. Wyciągnąłem do niej rękę. Przyjęła ją. Drżała w tym samym rytmie co fale strachu, który z niej emanował. Starąłem się mówić tak spokojnie, jak tylko umiałem, by nie wystraszyć jej jeszcze bardziej.

- Nie ma się pani czego obawiać. Tych dwóch już nigdy więcej nie zrobi pani krzywdy.

- K-kim pan jest?

Pomogłem jej wstać i zaprowadziłem na jasno oświetloną latarniami ulicę.

- Wystarczy, by było wiadomo, że jestem. Wyszła na światło, ja jednak pozostałem w cieniu.

- Proszę im powiedzieć, że na Courkrus nadeszła zguba. Ich ofiary zostaną pomszczone, a ci, którzy boją się sprawiedliwości, już nigdy nie będą spać spokojnie. - Pozwoliłem jej zobaczyć, jak rozplywam się w ciemności, podczas gdy tak naprawdę minąłem ją i poszedłem dalej ulicą. Otoczyłem ją cieniem, żeby się upewnić, że nie spotka jej tego wieczoru już nic złego, a kiedy znalazła się w bezpiecznym miejscu, wróciłem do domu.

Następnego dnia, wcześnie rano, w moim apartamencie zjawiły się Timmser i Caet. Zaządały od Elegosa, żeby mnie obudził. Wyszedłem z sypialni w wymiętych ciuchach i z zaczerwienionymi oczami, ale „wytrzeźwiałem” na widok ich poważnych min.

- Co się stało? O co chodzi?

Caet warknęła, a Timmser przetłumaczyła:

- Dwóch Laserowych Lordów zostało wczoraj ciężko poturbowanych. Na Courkrus przybyła zguba. I ma ze sobą miecz świetlny.

ROZDZIAŁ

44

Miecz świetlny zrobił wrażenie na wszystkich. Według sprawozdania Laserowych Lordów, Jedi, który na nich wyskoczył, miał ponad dwa metry wzrostu i pojawił się ni stąd, ni zowąd tuż obok nich. Z miecza zrobiła się zamrożona błyskawica, a sam Jedi miał oczy jak podwójna czarna dziura. Zaatakował ich zniecka, absolutnie nie sprowokowany i obiecał to samo wszystkim innym mieszkańcom planety.

Moje plany nie były oczywiście aż tak ambitne, ale ich opowieść zrobiła co trzeba w Ptaszarni. Słyszałem mnóstwo pustych przechwałek, jak ten czy ów by postąpił, gdyby spotkał na swojej drodze tego „mściciela”. Inni mogą się bać, mówił taki chojrak, ale nie mój rozmówca. On po prostu oderwałby mścicielowi głowę. Następny obecny obiecywał mścicielowi jeszcze gorszy koniec... i tak dalej. Licytowali się jak na aukcji, która wymknęła się spod kontroli. W tłumie każdy był tak odważny, że eskalacja pogrózek pod adresem nieznanego nie miała końca.

Na końcu takiej rozmowy ktoś - czasem ja, częściej inni - wzdragał się i łapał za kaburę blastera, jakby i on stracił palce. Ten prosty gest potrafił uciszyć tłum. A samo wspomnienie słowa „Jedi” wystarczyło, by każdy samochwała pochylał się z powrotem nad własnym kieliszkiem, wracając do swoich prywatnych strachów.

Jako oficerowi KorSeku zdarzało mi się wcześniej słyszeć podobne przechwałki - które zwykle cichły w obecności umundurowanego policjanta - ale nigdy nie prześcigało się w nich z takim zapalem jak teraz. Wysiłki Imperium, by zniszczyć reputację Jedi i sprawić, by ich odbierano jako agentów zła, pracowały teraz na moją korzyść. Jeśli Imperium, które przecież samo było przerażające, bało się Jedi na tyle mocno, by zmieść ich z powierzchni ziemi, taki Jedi polujący na Gnębicieli mógł dokonać niewiarogodnych spustoszeń.

Takich spustoszeń, że kilku kapitanów band stacjonujących we Vlamiy wyznaczyło dziesięć tysięcy kredytów nagrody za głowę Jedi.

A ja postarałem się, by nagroda rosła i rosła, i rosła...

Przez kilka następnych nocy zaczynałem się i atakowałem „miękkie” cele - poważnie grupki piratów wałęsające się po ulicach w poszukiwaniu kłopotów. Każde spotkanie miało inny przebieg. Fakt, że wielu spośród piratów dodawało sobie odwagi du-

żą ilością lumu lub whisky, pomógł mi niezmiernie. Pijani zwykle mają niesamowite szczęście, także we Vlamiy. Tym razem jednak obróciło się ono przeciwko nim.

Pewnego wieczoru pozwoliłem trójce piratów z załogi „Zradzieckiego Ciosu” zobaczyć kątem oka, jak Jedi wylania się z bocznej uliczki. Wcześniej piłem razem z nimi, przekonując ich, jak to grupka kilku twardzieli mogłaby bez trudu zapolować na Jedi i złapać go, wygrywając niebotyczną już wówczas nagrodę. Trójka Szybkich Cyngli - para ludzi płci obojga oraz Kubazjanin - bardzo zapaliła się do tego projektu, a wtedy pożegnałem ich i odszedłem, jakbym miał zamiar wrócić do domu. Życzyłem im powodzenia w polowaniu, wyrażając nadzieję, że natrafiana Jedi wcześniej niż inne grupki „myśliwych”, a oni z miejsca złapali przynętę. Szybkie Cyngle wybiegły z knajpy, jakby się paliło, a kiedy znikali za rogiem ulicy, wysłałem do ich umysłów wizję, jak uciekam przed nimi w rozwianym płaszczu, rozpryskując z każdym krokiem wodę płynącą rynsztokiem. Mężczyzna i kobieta rzucili się za mną tak szybko, jak umieli. Kubazjanin, który nie widział mnie tak dobrze, zwolnił i uniół rękę, by ostrzec swoich kompanów. Nie zdążył jednak, bo ja tymczasem wyłoniłem się z cienia, w którym się ukrywałem i ogłuszyłem go ciosem rękojeści miecza w głowę.

Pozbawieni pomocy jedynej osoby, która mogła ich ostrzec, mężczyzna i kobieta z całym impetem wyróżnęli w ceglany mur, który skryłem przed nimi za iluzją. Kobieta odbiła się od ściany. Jasne włosy zasłoniły jej twarz, gdy okręciła się i upadła na pojemnik na odpadki. Mężczyzna, którego wyprzedziła o krok, zdążył zrobić pół obrotu, uderzając w mur bokiem. Nawet z dziesięciu metrów usłyszałem, jak pękają mu kości obręczy barkowej. Odbił się od ściany i zataczając się podszedł do mnie na parę kroków, po czym opadł na kolana. Prawą ręką próbował sięgnąć po blaster do kabury pod lewym ramieniem, ale przez to złamanie nie był w stanie go chwycić. Podszedłem bliżej, włączając miecz świetlny. Jego szare oczy rozszerzyły się z przerażenia, a on sam opadł na pośladki.

- Straciłeś władzę w rękę. Nie ma powodu, byś miał stracić całą rękę, prawda?

Powoli potrząsnął głową.

- Bardzo dobrze. - Zatoczyłem mieczem krąg, aż jego koniuszek dzieliły zaledwie centymetry od rozkwaszonego nosa mężczyzny. - Następny Szybki Cyngiel, który ośmielił się wyjść na te ulice, zginie. Przekaż im tę wiadomość, dobrze?

Pokiwał żarliwie głową, a ja cofnąłem się, wyłączając miecz. Odwróciłem się i odszedłem w dół ulicy. Nawet nie sięgając do Mocy usłyszałem, jak chwytą w końcu miotacz. Byłem już o dobre trzy metry od niego. Odwróciłem się, włączyłem miecz i zablokowałem pierwszy strzał, który odbił się rykoszetem od ściany, wpadając z sykiem do rynsztoka. Dwa kolejne strzały minęły mnie w dużej odległości, czwarty, nadlatujący z lewej strony, również zablokowałem i wtedy właśnie zobaczyłem piąty, który miął mnie szeroko z prawej strony, celując prosto w powstającego Kubazjanina.

Wyciągnąłem prawą rękę i zablokowałem pocisk, wsysając tyle energii, ile zdołałem. Strzał zabolał, posyłając błyskawice bólu w górę mojego ramienia, ale wygasilem ból, a nadmiar energii wykorzystałem do telekinezy. Zwinąłem prawą dłoń w pięść i szarpnąłem. Wyrwałem miotacz z dłoni strzelającego, łamiąc mu przy okazji parę palców, a potem wyrzuciłem broń na dach.

- Zapamiętaj moją wiadomość. - Odwróciłem się, jeszcze raz wpakowałem rękojeść miecza w skroń Kubazjanina i wtopiłem się w mrok nocy.

Trzy dni później „Szybki Cyngiel” i jego załoga zniknęły, odlatując z Courkrus w nieznanym kierunku.

Inne załogi nie tak łatwo było przestraszyć. Czarne Gwiazdy czuli się niezwykcie w swojej kryjówce na tyłach „Mynocka”. Wiedziałem, że gdybym wdarł się tam i narobił zamieszania, wstrząsnęłoby to nimi do głębi.

Podczas jednej z moich wcześniejszych wizyt „Pod mynockiem” usiadłem w takim miejscu, by mieć dobry widok na tabliczkę, na której piraci wstukiwali kod, otwierający drzwi do ich sanktuarium. Obserwując od niechcienia wchodzących, zorientowałem się, że stosowali kod czterocyfrowy, ale większość piratów wstukiwiała go zbyt szybko, bym mógł dostrzec kombinację.

Zaczekałem, aż w końcu podszedł do drzwi starszy mężczyzna, mający już mocno w czubie. Wstukał odpowiednią liczbę i czekał, aż zaświeci się lampka kontrolna i odezwie się brzęczyk, po którym będzie mógł otworzyć drzwi. Posługując się Mocą sprawiłem, że po prostu nie zauważył światełka i nie usłyszał dzwonka. Zmarszczył czoło, a potem jeszcze raz wstukął kod, powoli i starannie niż za pierwszym razem, pozwalając mi odczytać właściwą sekwencję.

Tego wieczoru, gdy postanowiłem wydać wojnę Czarnym Gwiazdom, nad Vlar-nyę nadciągnęła burza, co nie sprzyjało rozluźnieniu napiętej atmosfery w Ptaszarni. Korzystny dla mnie był również fakt, że niemal wszyscy mieli na sobie płaszcze z kapturami, bo łało jak z cebra. Kiedy dotarłem „Pod mynocka”, byłem przemoczony do suchej nitki, ale udało mi się wejść niepostrzeżenie pomiędzy inne zakapturzone, ociekające wodą postaci. Przeszedłem na tył pilnowany przez piratów, nie budząc większego zainteresowania. Poruszałem się pewnie i nic nie wzbudziło podejrzeń siedzących wokół piratów, gdy podszedłem do drzwi i uniosłem rękę, by wstukać kod, wystarczyła zatem wąska strużka Mocy, by wymazać ten moment z ich pamięci.

Otworzyłem drzwi. To, co ujrzałem za nimi, zdumiało mnie swoim bogactwem. Przyćmione czerwone i złote panele jarzeniowe wypełniały korytarz i salon miękkim, ciepłym światłem. Drzwi naprzeciwko wejścia i po obu stronach korytarza prowadziły, jak się domyśliłem, do pokoi przeznaczonych na indywidualne rozrywki. Poczulem w powietrzu delikatną woń przyprawy, która pozwalała się domyślać, w jaki sposób zabawia się część piratów, a pół tuzina mężczyzn i kobiet w mocno niekompletnych strojach, rozwalających się na miękkich kanapach, sugerowało inne sposoby rozerwania się po trudach dnia.

Z drzwi na samym końcu korytarzyka dobiegły mnie śmiechy i jęki, które nauczyłem się kojarzyć z hazardem, natomiast po mojej prawej stronie ujrzałem mały samoobsługowy barek. Wyglądało na to, że Czarne Gwiazdy zgromadziły w swojej kryjówce wszystkie najbardziej pożądane rodzaje próżniaczej rozrywki w galaktyce. To było miejsce, gdzie każdy mógł znaleźć coś miłego dla siebie.

Stojący na lewo ode mnie srebrzysty robot protokolarny bez jednego oka skłonił się i wyciągnął ręce w moją stronę.

- Czy mogę prosić o pana broń?

Tuż za nim zobaczyłem małą klatkę pełną miotaczy wszelkich rodzajów i marek, w której drugi robot odkładał broń na półkę, a potem oddawał wychodzącym.

- Raczej nie.

- Jestem zmuszony nalegać. - Robot skłonił głowę w moją stronę. - Zgodnie z regulaminem członkowskim, a zwłaszcza z jego punktem trzydziestym piątym...

Włączyłem miecz i rozciąłem go od czubka głowy po krocze jednym ciosem. W deszczu iskier droid rozpadł się na dwie połowy, które z trzaskiem wylądowały na podłodze. Przeszedłem nad drgającą kupką obwodów, czując wyrzuty sumienia, że sprawiło mi to taką przyjemność, obróciłem się w prawo i ciąłem mieczem przez syntezyzator napojów. Kończąc pełen obrót, wycelowałem ostrze w osoby obecne w salonie.

- To było ostatnie ostrzeżenie. Myślę, że powinniście już wyjść. - Uniosłem palec do ust. - Po cichu.

Rozpierzchli się w milczeniu, a ja poszedłem prosto do jaskini hazardu. Osoby nachylone nad stolikiem do sabaka w ogóle mnie nie zauważyły, ale zgromadzeni wokół ruletki nie mieli takiej szansy. Wbiłem srebrny miecz w obracające się koło, wyrwijając je z osi. Koło potoczyło się po stole, niwecząc zakłady, a potem sturlało się na podłogę, wpadając między nogi jakiegoś Rodianina niosącego tacę pełną napojów. Zanim przebrzmiał trzask rozbijanego koła i okrzyki zgromadzonych wokół ruletki graczy, wszyscy piraci zwrócili na mnie uwagę.

Trzymałem przed sobą miecz w taki sposób, że jego światło pogłębiało cień, w którym ukrywałem twarz.

- To miejsce już nie jest waszym schronieniem. Fortuna przestała wam sprzyjać. Na Courkrus zawitała zguba, a jeśli tu zostaniecie, jedynym pewnym zakładem, który możecie obstawiać, jest wasza śmierć. - Mówiąc to podszedłem do zewnętrznej ściany i rozciąłem ją, wpuszczając do środka strugi deszczu. Kiedy wychodziłem w noc przez wyłom w murze, zagrzmiało, a niebo rozdarła błyskawica - przynajmniej tak się wydawało większości osób, które znalazły się w moim zasięgu. Zniknąłem, mając odtąd dręczyć ich w nocnych koszmarach.

Następnego dnia nagroda podskoczyła do stu tysięcy kredytów.

Dość szybko uświadomiłem sobie słabość moich poczynań i niestety Shala Hutt również zdał sobie z tego sprawę. Choć na poziomie taktycznym moje akcje były bardzo skuteczne, a szeregi Gnebów zaczęły się przerzedzać, fakt, że nikogo do tej pory nie zabiłem, zaczynał pracować przeciwko mnie. Miałem do czynienia z zepsutymi do szpiku kości i całkowicie bezwzględny kreaturami, które bez wahania zabiłyby dla byle ochłapa wygrzebanego ze śmietnika. Ponieważ życie było często jedyną cenną rzeczą, jaką posiadali, fakt, że nikogo do tej pory tego życia nie pozbawiłem, hamował upadek morale i zachęcał do odwetu.

Shala rozpowszechniał pogłoski, że ma sposób, aby pokonać Jedi, ale nie chce go ujawniać. Jego magazyny zamieniły się w fortece, do których nawet przyszły oblubieniec Taviry nie miał wstępu. Wysyłał swoich rzeźmieszków, by terroryzowali mieszkańców miasta w dzielnicach poza Ptaszarnią i zaczął zostawiać własne wiadomości.

Jego występki nasiliły się, przybierając coraz częściej formę rozbojów i napadów, co zapowiadało jeszcze bardziej odrażające zbrodnie w przyszłości. Te działania były otwartym wyzwaniem dla Jedi i chociaż wciągnąłem w zasadzkę kilka band jego rabusiów, wysyłał następne, silniejsze liczebnie i lepiej uzbrojone. Wszystko to prowadziło do bezpośredniej konfrontacji między nami, a ja nie miałem wątpliwości, że jej miejscem będą magazyny Shali. Złapałem jego specjalistę od materiałów wybuchowych, Twi'leka, wyjątkowo paskudną gnidę, i posłałem go do Shali z wiadomością, że spotkam się z nim w jego magazynie. Nie podałem kiedy, ale dla nas obu było oczywiste, że nastąpi to raczej wcześniej niż później.

Elegos zdecydowanie się temu sprzeciwiał.

- Do tej pory działałeś z zaskoczenia. Element niespodzianki ci sprzyjał i pozwalał wyjść cało z sytuacji, w których nie powinno ci się udać. Najście na kryjówkę Czarnych Gwiazd było niemądre, bo nigdy dotąd się tam nie pojawiałeś, ale zaskoczenie i tym razem ci pomogło. Jeśli wyrzekniesz się działania z zaskoczenia, może ci to nie wyjść na zdrowie. Potrząsnąłem głową i przypiąłem miecz do pasa.

- Ciągle jeszcze mam w zanadrzu parę niespodzianek. Byłem już w tym magazynie. Kręciłem się wokół Shali.

- I właśnie dlatego powinieneś stać się bardziej ostrożny. Większość jego zbiorów to Nieludzie, więc twoja zdolność wpływania na ich umysły może się okazać znacznie ograniczona. Pewnie w ogóle na nic ci się nie przyda. - Elegos zmarszczył brwi i wręczył mi mój płaszcz. - A nawet jeśli uda ci się wchłonąć jeden czy dwa wystrzały z blastera, co będzie, jeśli otworzą do ciebie ogień z tuzina karabinów?

- Nie zrobią tego. Nie martw się, wyczuję, co się dzieje w tym miejscu, zanim wejde. Zorientuję się, jeśli będzie tam na mnie czekał pluton egzekucyjny.

- A co się stanie, jeśli ustawi parę robotów z blasterami, których nie wyczujesz?

- Coś wymyślę. - Nawet mnie ta odpowiedź wydała się głupawa, ale nie miałem żadnej innej. - Nie mogę mu się nie przeciwstawić, Elegosie. Jeśli nic nie zrobię, on wygra, a mnóstwo ludzi na tym ucierpi. Stracę szansę zniszczenia Gnębów.

- Jeśli zginiesz, stanie się to samo.

- Nie mam wyboru. - Wzruszyłem ramionami. - Wiem, że ta sprawa skończy się paskudnie i ktoś pewnie zginie. Muszę się po prostu upewnić, że będzie to ta osoba, która zasługuje na śmierć.

Opuściłem hotel niezauważony i kroczyłem ulicami wyjątkowo pozbawionymi życia - a w każdym razie jego rozumnych form. Najwyraźniej po mieście rozeszła się wiadomość, że Jedi przyjął wyzwanie Shali. A że byliśmy niewątpliwie dwójką najbardziej zniechęconych osobników na całej planecie, nikt nie chciał nam wchodzić w drogę.

Magazyn wyglądał tak samo jak ostatnim razem, kiedy go oglądałem, tyle że drzwi frontowe były szeroko otwarte, ale nie wydostawał się zza nich nawet promyk światła. Rozciągnąłem zmysły w stronę wnętrza, pozwalając, by wypełniła mnie Moc, ale wyczułem tylko parę większych żywych organizmów, w tym Shalę na jego podium. Inni ukryli się w labiryncie otaczającym niekę na środku magazynu. Ich nerwowość

emanowała jak radiolatarnia, ale Shala był zastanawiająco spokojny. Po prostu na mnie czekał, więc nie kazałem mu czekać dłużej.

Wszedłem przez otwarte drzwi i nie zdziwiłem się, kiedy zamknęły się za mną. Szybko przemknąłem przez labirynt wraków i złomu, pomiędzy beczkami z chemikaliami i stosami poskręcanych metalowych części do amfiteatru w centrum pomieszczenia. Doszedłszy na środek, zobaczyłem Shalę oświetlonego punktowym reflektorem, a obok niego tłumacza 3PO. Podszedłem bliżej do misy amfiteatru i zatrzymałem się o jakieś dwa metry od Hutta. Odrzuciłem w tył poły płaszcz i wyciągnąłem miecz, trzymając go oburącz, nie włączyłem go jednak.

Shala wymamrotał parę słów, które usłużny robot zaraz przetłumaczył.

- Wielki Shala Hutt wita cię, panie. Nakazuje ci również odłożyć broń i poddać się, w przeciwnym razie zapłacisz najstraszliwszą cenę.

Włączyłem miecz i wycelowałem w niego.

- Powiedz Shali, że jestem gotów zapłacić każdą cenę. Mam tu dość kredytów. Gdzie mam je złożyć?

Hutt roześmiał się, ale nie zabrzmiało to bynajmniej ciepło. Ramiona Hutta się trzęsły, zwały tłuszczu podskakiwały, a na dolnej wardze pojawiła się szumowina zielonkawej piany, która spłynęła w dół. Śmiech przeszedł w obrzydliwe sapanie. Usłyszałem młśnieć i zobaczyłem, że Shala podnosi prawą rękę. Trzymał w niej urządzenie do zdalnego sterowania z wielkim czerwonym guzikiem tuż koło kciuka.

Robot przemówił ponownie.

- Pan Shala prosi mnie, bym poinformował pana, że trzyma w ręku detonator, który może spowodować odpalenie różnych ładunków zgromadzonych w tym miejscu. Pan Shala mówi, że jest tu dość materiałów wybuchowych, by zniszczyć wszystko w promieniu kilometra. Jeśli się pan nie podda, zginie wielu niewinnych ludzi.

Zobaczyłem, jak wokół mnie zapalają się i zaczynają mrugać liczne czerwone światełka. Jęknąłem w duchu. W świetle reflektora padającego na Shalę zobaczyłem połączone na krzyż wygięte panele z czerwoną lampką na pokrywie, co pozwalało mi zorientować się, że patrzę na produkowane przez zakłady zbrojeniowe Merr-Soon laserowe miny rozbłyskowe typu LX-1, wycelowane w moim kierunku. W chwili wybuchu panele absorbują energię zdetonowanego ładunku wybuchowego, przekazując ją diodom laserowym, które zaczynają wtedy miotać deszcz laserowych strzałów. Żeby było jeszcze trudniej, miny te są dodatkowo wyposażone w miotacze ognia o trzymetrowym zasięgu; na pewno dosięgłyby beczek z chemikaliami, które mijałem. To wywołałoby serię dodatkowych eksplozji, które narobiłyby sporo zamieszania.

Sądząc po liczbie tych beczek i tego, co wiedziałem o minach, w magazynie nie było aż tyle materiałów wybuchowych, jak twierdził Shala. Albo kłamie, pomyślałem, albo... spojrzałem w górę i nad reflektorem zauważyłem jeszcze jedną minę LX-1... albo nie powiedziano mi całej prawdy. Tutaj, w centrum głupoty, wszystko wyparuje, a wokół nas też będzie sporo fajerwerków, ale nie ma mowy o kilometrach kwadratowych ruin.

Potrząsnąłem głową.

- To twój Twi'lek to wszystko pozakładał? Hutt wybelkotał parę słów.

- Pan Shala mówi, że jest w najwyższym stopniu zadowolony z pracy Rach'talika.
 - Naprawdę? - uśmiechnąłem się do Shali zimno. - Popelniłeś dwa błędy, Shala. Po pierwsze, sam jesteś w zasięgu eksplozji. A po drugie, myślisz, że zdołasz mnie powstrzymać.

Obróciłem prawy nadgarstek, włączając przycisk na rękojeści miecza i siekąc ruchem, który miał przepołowić detonator. Przycisk ten miał odsunąć szmaragd, ustawiając brylant w jednej linii z promieniem emitowanym przez Ogień Durinda. W ten sposób ostrze wydłużało się z metra trzydziestu do trzech metrów, zwiężając się, ale obejmując za to zasięgiem rękę Hutta. Szybki obrót nadgarstka, wciskamy guzik i mamy problem z głowy. To był łatwy sposób.

Ale Jedi nie idzie na łatwiznę.

Miecz pyknął strużką dymu, zamigotał i zgasł.

Pamiętam wyraz zaskoczenia na twarzy Shali. Jestem prawie pewien, że zdumiało go nagle wydłużenie się miecza, ale nie jestem o tym do końca przekonany. Za to wyraz przerażenia na jego obmierzłym obliczu na pewno wynikał z tego, że w chwili zaskoczenia Hutt upuścił detonator. Rach'talik, który chciał zająć miejsce Shali, był prawdziwym mistrzem, jeśli chodzi o materiały wybuchowe. Miny wybuchały jedna za drugą, w określonej kolejności, zalewając podium Hutta falami laserowego ostrzału. Każdy strzał był wycelowany pod innym kątem i w taki sposób, by nie uszkodzić min, które jeszcze nie wybuchły, dodając ogień laserowy do pożarów wznieczanych przez eksplodujące beczki z chemikaliami.

Ogniomistrz postarał się również, by mina umieszczona tuż nad głową Shali eksplodowała na samym końcu, upewniając się w ten sposób, że Hutt pożyje dostatecznie długo, by uświadomić sobie, że został zdradzony.

Gdyby Rach'talik postawił na ilość, a nie na jakość, ja też szybko bym się zamienił w tłustą, parującą plamę na durabetonowej podłodze. Wiedziałem od pierwszej chwili, gdy zauważyłem, jak Shala wypuszcza z rąk detonator, że jest tylko jeden sposób, bym przeżył i że mam tylko jedną szansę, by powstrzymać zniszczenia. Zatopiłem się w sobie, dotknąłem Mocy, wzbudziłem jej przepływ i wchłaniałem każdy erg energii emitowany w moim kierunku. Ukłucie za ukłuciem, żądło za żądłem - czułem się, jakbym sunął w dół przetyku sarlaccy, w czarną otchłań bólu. Użyłem części Mocy, by uśmierzyc ból, ale sprawiło to, że coraz trudniej było mi utrzymać w sobie energię, którą absorbowałem.

Wiedziałem, że nie wytrzymam długo. Rozumiałem też, że muszę użyć tej energii do powstrzymania śmiertelnej siły wybuchu. Tak jak wtedy w grocie, gdy uratowałem Tionnę, wykorzystałem wchłoniętą Moc, by zasilić telekinezę. Uniosłem lewą rękę i zakręciłem nadgarstkiem, skracając strumienie energii w wielki wir. Czułem, jak wokół mnie zaczyna krążyć powietrze, gęstniejąc i przyspieszając. Wir zaczął wciągać płomień trawionych ogniem chemikaliów, szczątki wraków, płonących kawałków duraplastu, postukujących o siebie kawałków metalu, które wypełniały cyklon czarnymi plamami.

Wypchnąłem wir ponad dach przez wyrwę, otwartą przez ostatnią z min. Beczki wleciały do góry, eksplodując zielonym i fioletowym płomieniem, pulsując rozbly-

skami w miarę przesuwania się w górę komina. Otoczyły mnie płomień, ale wessałem ich energię i wypchnąłem przez wir, podsycając burzę ognia, który rozdarł dach magazynu i zerwał go niczym zapomniany arkusz flimiplastu.

Drzwi magazynu rozwarły się z hukiem, wypadły z zawiasów i poleciały jak karty do sabaka porwane przez wir. Okna zapadły się do środka, pchane powietrzem zasysanym przez cyklon. Nie musiałem już go podsycać - zaczął żyć własnym życiem, pulsować, oddychać. Sięgnąłem umysłem ku ostatnim beczkom chemikaliów, poderwałem je z ziemi i cisnąłem w wir, z uśmiechem patrząc, jak eksplodują i zakwitają tysiącem barw. Eksplozja została powstrzymana, wessana przez tajfun. Ściany magazynu rozjrzły się od temperatury, ale wytrzymały. Drgania wybuchów przelatowały falami przez ziemię, ale poza tym - i poza wściekłą włócznią ognia wbitą w niebo - śmiertelna pułapka Hutta nie wyrządziła szkód zabudowaniom otaczającym magazyn.

Poczułem, że burza ognia zaczyna tracić na sile i wiedziałem, że już prawie po wszystkim, nadal miałem jednak w sobie ogromną energię, którą musiałem w jakiś sposób skanalizować. Spojrzałem do góry i uśmiechnąłem się jeszcze szerzej. Wszystkim się wydaje, że Jedi przyszedł tu zginąć, pomyślałem. Pokażmy im, że się mylili. Rozciągnąłem moją sferę odpowiedzialności i dotknąłem każdego umysłu, jaki znalazł się w moim zasięgu. Umieściłem w nich prostą wizję - by przerazić jednych i natchnąć otuchą drugich. Pozwoliłem im zobaczyć kolumnę ognia wznoszącą się ku niebu, a na jej końcu rękojeść miecza świetlnego. Czarny dym utkał się w gigantyczną postać mężczyzny odzianego w czerń i zieleń. Mężczyzna wyłączył miecz. Potem dym rozpląnął się, a razem z nim Jedi.

Otworzyłem oczy i pokiwałem głową, badając skalę zniszczeń. Shala zastawił pułapkę, w którą sam wpadł. Ja powinienem był również zginąć, ale przeżyłem - dzięki środkom, których Corran Horn z KorSeku nigdy nie byłby w stanie zastosować. Ba, nawet więcej: wygrałem! Spektakularna klęska Shali z pewnością złamie inne bandy. Wystarczy teraz jedno pchnięcie tutaj, jeden unik tam, i będą skończeni.

Sięgnąłem, by przyczepić miecz do boku i spojrzałem na ziemię, bo usłyszałem jego stuk o durabeton. Miecz leżał na szerniałej od ognia podłodze, zamiast wisieć u mojego pasa. Nie wisiał zaś tam, bo pasa nie było. Moc pozwoliła mi wchłonąć energię pożaru i uniknąć spalenia; miecz, jako niemal niezniszczalny, również przetrwał - natomiast dobroczynny wpływ Mocy nie rozciągnął się na moje ubranie i płaszcz.

W tym samym momencie, gdy uświadomiłem sobie, że stoję zupełnie nagi, opadła mnie pierwsza fala zmęczenia. Zacząłem też dostrzegać inne szczegóły. Pękające okna rozpadły się na miliony maleńkich okruchów, które posiekały moje ciało mnóstwem drobnych, krwawiących ranek. Wiedziałem, że proste techniki uzdrawiające Jedi pozwoliłyby mi zasklepić rozcięcia i przyspieszyć proces gojenia, ale nie mogłem się skoncentrować. Dopadło mnie wyczerpanie, tak że mogłem tylko zatoczyć się i opaść na ziemię pod ścianą amfiteatru.

Walcząc z pożarem, musiałem widocznie wykorzystać cały osobisty rezerwuar Mocy. Nie mogłem go teraz użyć, by sięgnąć do Mocy na zewnątrz i odbudować siły. Byłem samotny i zmęczony, myśli mi się plątały, ale wiedziałem jedno: jeśli zostaną na

miejscu, ktoś mnie tu znajdzie i rozpozna. Jedi mógł przeżyć bitwę z Shalą, ale Jenos Idanian na pewno nie zdołałby tego dokonać.

Podniosłem miecz świetlny i wybiegłem z magazynu. Skierowałem się na północ - tak mi się przynajmniej wydawało. Biegłem w kierunku, w którym nocna bryza pędziła kłęby dymu z magazynu, w których mogłem się choć trochę skryć. Potem kluczyłem ciemnymi uliczkami, przemykając się ostrożnie pod ścianami i trzymając się w cieniu. Czułem się nieznośnie odsłonięty, co po części wynikało z faktu, że byłem nagi, ale w znacznie większej mierze ze świadomości, że nie mam dostępu do Mocy. Mając Moc jako osłonę, mogłem paradować na golasa główną ulicą i nikt by nawet na mnie nie spojrział. Teraz jednak byłem po prostu golasem z mieczem świetlnym, a taki widok zelektryzowałby niewątpliwie nawet najbardziej zblazowanego z obywateli Courkrus.

Wydawało mi się, że rozpoznaję okolicę. Przebiegłem przez ulicę i zatrzymałem się w cieniu pod markizą sklepu, żeby rozejrzeć się dookoła i upewnić, gdzie jestem. Usłyszałem szcęk otwieranego zamka, a drzwi za mną zaczęły się otwierać. Chociaż sklep był zamknięty, w środku musieli nadal przebywać jego pracownicy, którzy teraz wybierali się do domu. Kiedy wyszli, aż krzyknąłem ze zdumienia i pocałowałem za róg.

Prosto w ślepy zaułek - a zarazem chyba jedyną ulicę Vlnarni rzeźbiście oświetloną latarniami.

Zza rogu wyszły dwie kobiety, stanęły i zaczęły mi się przyglądać. Zachichotały, pokazując na mnie palcem. Oparłem się bokiem o ścianę, usiłując schować za sobą miecz. Zaczęły do siebie szeptać, a ja odwróciłem twarz, w nadziei, że nie zapamiętają mojego wyglądu na tyle, by mogły mnie zidentyfikować. Gdyby zobaczyły miecz świetlny, nie musiałyby się długo zastanawiać, żeby dojść do wniosku, że facet z mieczem świetlnym w dłoni musi być tym poszukiwanym Jedi, a sto tysięcy kredytów, nawet podzielone na pół, wystarczyłoby każdej z nich, by wydostać się z Courkrus i przez resztę życia pławić się w luksusie na dowolnie wybranej planecie.

Byłem skończony. Ja i moja misja. Tavira dowie się, kim jestem - ode mnie samego albo od Elegosa. Dlaczego cię nie posłuchałem, Elegosie? - pomyślałem. Tavira pewnie teraz zniszczy twój świat. A kiedy już rozprawi się z planetą Kerilt, zabije Mirax - najprawdopodobniej na moich oczach - a potem mnie. Udało mi się ocalić ludzi mieszkających w pobliżu magazynu, ale jednocześnie wydałem wyrok na tych, którzy byli mi najbardziej drodzy. W tym momencie poczułem na ramionach silne dłonie. Ktoś owinał mnie kocem i odwrócił od ściany. Spojrzałem w górę.

- Elegos?

- Tu cię mam! - Jego głęboki głos wypełnił dudnieniem cały zaułek. - Znowu się upiłeś!

- Ja...

- Nic, tylko chłasz! - zrzędził dalej. Wyciągnął rękę i wyrwał mi miecz świetlny.

- Elegos, nie!

Chociaż próbowałem odebrać mu broń, uniósł ją do góry i spojrział na mnie groźnie.

- A gdzie reszta motoru pościgowego, co? Przyglądające się nam kobiety wybuchły śmiechem. Ujęły się pod boki i odeszły główną ulicą. Idąc, co chwila od nowa wybuchały śmiechem, przypominając sobie pocieszny widok pijanego pirata, który tak zdemolował motor, że został mu z niego tylko drążek kierownicy.

Kolana ugięły się pode mną, ale Elegos mnie podtrzymał.

- Dzięki.

- Bardzo proszę.

Przełknąłem ślinę. W gardle całkiem mi zaschło.

- Jak mnie znalazłeś?

- Zobaczyłem twoją wizję i pomyślałem, że chyba masz kłopoty. - Uśmiechnął się i poklepał po nosie. - Ottegański jedwab, z którego były uszyte twoje szaty, ma charakterystyczny zapach, kiedy płonie. Ten zapach czuć od ciebie na kilometr.

- Przepraszam...

- Wytrzymam, droga do domu nie potrwa długo. - Ruszyliśmy w stronę hotelu. - I na twoim miejscu nie obawiałbym się wykrycia. Przynajmniej nie dzisiejszej nocy. Wielu ludzi zobaczyło dziś coś, czego mieli nadzieję nigdy nie oglądać i teraz zastanawiają się, czy w ogóle zostać w miejscu, gdzie mogliby ujrzyć to powtórnie.

Uśmiechnąłem się.

- Nie myślisz chyba o tych dwóch kobietach?

- Nie tylko o nich. - Caamasi zachichotał. - Wypełniłeś swoje zadanie na dziś, ale jego reperkusje będą odczuwalne jeszcze przez długi czas.

ROZDZIAŁ

45

Wkręciłem przesłone przepływu wysokoenergetycznego z powrotem na miejsce w rękojeści i rzuciłem Elegosowi szerniałą, bezkształtną grudkę, w którą zamienił się brylant z mojego miecza.

- Do niczego. Kompletnie zniszczony.

- Ale przecież działał, kiedy testowałeś miecz na początku. - Złapał stopiony klejnot, powąchał go i potarł kciukiem. - Syntetyczny?

Kiwnąłem głową.

- Xurkonია z Kubaz. Siatka krystaliczna utrzymała energię w czasie testów, ale najprawdopodobniej w każdej chwili mogła zawieść. Za bardzo zaufałem notatkom dziadka na temat różnych kamieni. Powinienem sam je przetestować. Mam nauczkę za to, że próbowałem za pierwszym razem zrobić miecz świetlny bardziej skomplikowany niż potrzeba.

Elegos zmarszczył brwi.

- Po co ci w ogóle miecz ze zmienną długością klingi? Niepewnie wzruszyłem ramionami.

- Chyba byłem zbyt pewny siebie. Gantoris miał miecz z podwójną długością klingi i chciałem po prostu mu dorównać.

- A nie mówiłeś mi przypadkiem, że jemu pomagał Mroczny Lord Sithów?

- Oczywiście, ale skoro już o tym wspomniałeś... - potrząsnąłem głową. - Dłuższe ostrze jest bardzo przydatne, jeśli chodzi o zaskoczenie przeciwnika, ale niezbyt praktyczne w walce. Dobremu szermierzowi wystarczyłby prosty blok, żeby podejść mnie bliżej i posiekać. Tak długa klinga może spowodować wiele szkód dookoła, co może byłoby potrzebne, gdybym chciał rozwalić jakieś pomieszczenie, ale poza tym to zupełnie niepraktyczna nowinka techniczna. Na ikrę Sithów, przecież nawet nie znam żadnych technik walki taką długą bronią! Caamasi zgodził się ze mną.

- Może opracujesz takie techniki, kiedy wymienisz zniszczony klejnot. Chyba nie tak trudno będzie znaleźć prawdziwy brylant? W końcu węgiel jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych pierwiastków.

- To prawda, problemem będzie tylko znalezienie kamienia o odpowiednim szlifie, kolorze i czystości - uśmiechnąłem się - i przekonanie gildii gemmologicznej, by sprzedała mi go po rozsądnej cenie.

- Może Mirax poszuka dla ciebie odpowiedniego kamienia, kiedy już ją uwolnisz.

Pokiwałem głową z powagą.

- Mam nadzieję, że będziemy mogli wcześniej czy później wypróbować ten pomysł. - Spojrzałem na miecz. - Przynajmniej podstawowa długość ostrza działa normalnie.

Elegos wziął ode mnie broń i ujął ją w obie dłonie.

- Cieszę się, że udało ci się naprawić miecz i że przeżyłeś starcie z Shalą. Teraz możesz się przyznać, że powinieneś być inaczej podejść do pojedynku z Hurtem.

- Moja strategia była absolutnie właściwa.

- „Absolutnie właściwa” to nie najlepsze słowo na opisanie sytuacji, kiedy ktoś wchodzi prosto w pułapkę. - Caamasi potrząsnął głową. - Popeliłeś błąd.

- Nic podobnego. - Zmarszczyłem brwi. - Pułapka nie była zastawiona na mnie, tylko na Shalę. Ja oberwałem niejako przy okazji.

- Tłumaczysz wszystko na swoją korzyść, zamiast trzeźwo przeanalizować sytuację. Spodziewałem się po tobie czegoś lepszego. - Zmrużył oczy. - Popeliłeś błąd.

Już otwierałem usta, żeby zaprotestować, ale zastanowiłem się przez chwilę, krzyżując ręce na piersi.

- Elegos, byłem gliną i pilotem myśliwca. Popeliwanie błędów nie jest cechą tych zawodów.

- Ale teraz jesteś rycerzem Jedi.

Jego oświadczenie poraziło mnie swoją prostotą i prawdą.

- Masz rację. Jestem rycerzem Jedi. Rzeczywiście popeliłem błąd, gruby błąd, i mam niewiarygodne szczęście, że udało mi się z tego wyjść żywym.

Caamasi uśmiechnął się.

- Uratowało cię nie szczęście, tylko umiejętność władania Mocą. Chroniłeś innych, więc i ciebie ochroniono. Nigdy tego nie zapominaj.

- Nie zapomnę. - Uśmiechnąłem się do niego. - I nawet gliniarz i pilot-zawadiaka gotów przyznać, że jest ci wdzięczny. Dziękuję ci jeszcze raz za pomoc.

- Taką mam pracę. - Elegos schował miecz w ukrytej przegródce szafki i przeszedł do kuchni. - Wychodziłem już dziś na miasto i dowiedziałem się o paru ważnych rzeczach spowodowanych twoim wczorajszym spotkaniem z Hurtem.

Narzuciłem szlafrok i przewiązałem w talii paskiem. Szlafrok był darem od Taviry - luksusowy fatałaszek z fioletowego ottegańskiego jedwabiu ze złotą lamówką przy kołnierzu i wokół rękawów. Jak na mój gust był trochę zbyt krzykliwy, ale czułem się okropnie obolały po wczorajszych przejściach, a delikatny jedwab nie drażnił moich ran. Nielatwo było jednak w nim chodzić za Elegosem, bo materiał owijał mi się wokół nóg, w każdej chwili grożąc upadkiem.

- Więc co słyszałeś na mieście?

Elegos postawił patelnię ze świeżym pieczywem i ciastkami i nalał mi szklanek niebieskawego syropu *zureber*, który wyglądał ohydnie, ale był całkiem niezły w smaku.

- Zniszczenie gangu Shali wywołało w mieście wielkie poruszenie. Wygląda na to, że pojawienie się rycerza Jedi sprowokowało niektórych tutejszych obywateli do zorganizowania się w grupę. Kilku piratów Czarnych Gwiazd zostało mocno pobitych i obrzuconych kamieniami, gdy wychodzili z Ptaszarni. Na ścianach i drzwiach kilku zabudowań portowych używanych przez Gnębicieli pojawiły się dość nieprzyjemne hasła. Chociaż tutejsza ludność kocha pieniądze, które piraci tu wydają, większość obawia się, że dopóki tamci tu są, pozostanie i Jedi, który w końcu może się znużyć polowaniem na piratów i wziąć się za miejscowych.

Westchnąłem.

- Miałem nadzieję, że miejscowa ludność uzna Jedi za swojego obrońcę. - Oni chcieliby nie tyle obrońcy, co dobroczyńcy.

- Słuszna uwaga. - Uśmiechnąłem się, bo przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - To się da zrobić. Co jeszcze?

- Te łapsy, na których kazałeś zamontować hipernapęd...

- Co z nimi?

- Odleciały. Paru Ocalałych uznało widocznie, że łatwiej im będzie ocaleć w innej części galaktyki.

Uśmiechnąłem się.

- Timmsler i Caet?

- Sam nalegałeś, żeby pierwsze przeszły przeszkolenie, by potem mogły uczyć innych. - Caamas i z uznaniem pokiwał głową. - Ale nie myślałem, że złapią przynętę. Sądziłem raczej, że pozostaną, by przeciwstawić się Jedi.

- Słyszałem plotki, że to one są powodem, dla którego poprosiłem Tawirę o miesiąc zwłoki. Chodzą słuchy, że spędzam z nimi mnóstwo wolnego czasu, rozkoszując się ostatnimi chwilami wolności, zanim stanę się przytulanką Tawiry. Obie są dość inteligentne, by wiedzieć, że Tawira nie będzie dochodzić prawdy - sama plotka wystarczy, by zaszkodzić jej wizerunkowi, więc będzie musiała je ukarać.

Elegos zmrużył oczy.

- A któż to rozpowiada takie paskudne plotki? Wzruszyłem ramionami.

- Znasz mnie przecież. Kiedy jestem pijany, nie umiem niczego utrzymać w tajemnicy. Jestem tak przygnębiony, że publicznie oplakiwałem rychły koniec mojego życia uczuciowego.

- Brawo! - Wypił łyk niebieskiego syropu, który zmienił barwę jego dolnej wargi ze złotej na zielonkawą, dopóki nie zliżał napoju. - Odpoczniesz dziś, czy będziesz dalej budował napięcie?

- Nic tak nie stymuluje sukcesu jak kolejny sukces. - Odgryzłem wielki kęs ciasta, przeżuć i połknąłem. - Organizacja Gnębów ma jeden słaby punkt i muszę go wykorzystać, zanim Tawira zareaguje.

Słabością sposobu, w jaki Tawira kontrolowała swoje bandy, było to, co jej zdaniem gwarantowało bezpieczeństwo - jednostronna komunikacja. Przez HoloNet mogła się zapoznać z najświeższymi wiadomościami na temat tego, co działo się w samej galaktyce, jak na przykład ataki Nowej Republiki na jej pomniejsze grupy albo historia Pogromcy Słońce i jego zniszczenia. Była jednak ślepa, jeśli chodzi o lokalne wiadomo-

ści z miejsc takich jak Courkrus. Informacje o zaplanowanych akcjach docierały do nas tylko wtedy, gdy jakiś mały statek, na przykład kanonierka typu Skipray, pojawiał się w systemie i transmitował je bezpośrednio do kwater dowództwa poszczególnych jednostek. Podczas tych wycieczek Tawira zbierała miejscowe wiadomości, ale dopóki nie pojawiła się w systemie, nie miała pojęcia o tym, co robiłem.

Sprawę dobroczynności załatwiłem szybko, rozprawiając się jednocześnie z resztą bandy Shali. Rach'talik zebrał wokół siebie małą grupkę i zarządził sprzątanie w magazynie, w którym Shala przechowywał dużą część swoich łupów. Następnej nocy po Wielkim Pieczeniu Hutta - jak nazwano to pamiętne wydarzenie - uderzyłem na magazyn, posiekałem jego lokatorów, a potem otworzyłem drzwi dla publiczności. Ta akcja z kolei zyskała miano Wypredaży Pożarowej, bo nie wiedząc czemu zakładano, że przedmioty nie zabrane z magazynu zostaną spalone. Mieszkańcy Vlarny oczyścili więc teren w ciągu paru godzin.

Dwa dni później przyleciał statek łącznościowy Tawiry. Bardzo żałowałem, że nie mogę zobaczyć miny jej łącznościowca, gdy próbował bezskutecznie wywołać Shalę i „Szybki Cyngiel”. Informacje otrzymane od innych oddziałów też go pewnie nie zachwyciły, bo dezercja zdziwiła Czarną Gwiazdę i Laserowych Lordów. Większość załogi „Czerwonej Supernowej” spakowała manatki i uciekła do domu. Tylko Ocalał i Jeźdźcy z Riistar pozostali w jako tako mocnym składzie. W ciągu trzech tygodni nieobecności Tawiry ostrze jej sił uderzeniowych zostało znacznie stepione.

Elegos i ja spodziewaliśmy się, że Tawira zareaguje szybko, ale nie sądziliśmy, że aż tak. Dzień po tym, jak jej statek łącznościowy odleciał z Courkrus, obudziło mnie walenie do drzwi. Usłyszałem głos Elegosa, odrzuciłem koldrę i szybko włożyłem ubranie, ale nie zdążyłem go nawet pozapinać, gdy drzwi do mojej sypialni otworzyły się z hukiem i wpadła przez nie Tawira. Pchnęła mnie z powrotem na łóżko i stanęła nade mną z rękami zaciśniętymi w pięści i opartymi na biodrach.

- Dziwisz się, że tu jestem?

- Czy się dziwię? Nie, chyba nie.

- A cieszysz się?

- Tak. - Czyżby? - obrzuciła mnie taksującym wzrokiem. - Spodziewałabym się, że bardziej to po sobie okażesz.

Pozapinałem tunikę i oparłem się o wezgiel.

- O tej porze?

- A co, zabawiałeś się do późnej nocy? - Usiadła w nogach łóżka. - Sam?

- Sam jak palec.

Uśmiechnęła się przelotnie, zupełnie jak właściciel psa, zadowolony, że pupilek nie nabroił podczas jego nieobecności.

- To dobrze. Ten Jedi cię nie zaczepiał? Potrząsnąłem głową.

- Słyszałem to i owo, widziałem co nieco, ale nic mi się nie stało.

Jej oczy zamieniły się w półkule z ametystu i czarnych opali.

- Ale byłeś przy tym, jak to wszystko się zaczęło.

- Co?

Tawira uniosła triumfująco podbródek.

- Byłeś obecny przy „nawiedzeniu”. Stwierdzono, że to był Jedi. Ostrzegaliśmy, że rozpoczyna własną kampanię przeciwko Gnębicielom. No dobra, ten Skywalker stąd nie ucieknie.

- Skywalker? - tym razem udało jej się mnie zaskoczyć. - Myślisz, że to Luke Skywalker?

Chwyliła mój palec u nogi i zaczęła go delikatnie masować, pochylona nade mną.
- Oczywiście, że to Skywalker. Wy, blondyni, czasami w ogóle nie myślicie. Skywalker to jedyny Jedi dość potężny, by dokonać tego wszystkiego, co tu miało miejsce. Nowa Republika rozsiewa plotki o tym, jak rzekomo szkoli swoich następców, ale sam zauważyłeś, że był pod Xa Fel. To my jesteśmy największym zagrożeniem dla Nowej Republiki, co tłumaczy, dlaczego wystawiają przeciwko nam swojego najlepszego wojownika.

- Rzeczywiście, to by wszystko wyjaśniało.

Przysunęła się bliżej, oparła brodę o moje kolano i uśmiechnęła się przebiegle.

- Tak naprawdę wiadomości o zniszczeniu Pogromcy Słońc to czysta dezinformacja. Nikt, kto posiadałby broń niezniszczalną i zdolną anihilować cały gwiazdny system, nie pozbywałby się jej ot, tak sobie. Nie, oni czekają, aż odkryją, gdzie chowam „Gnębiciela”, by wtedy zaatakować.

Cofnąłem się, aż uderzyłem głową o oparcie łóżka.

- Auu! Naprawdę myślisz, że Nowa Republika byłaby do tego zdolna? Chyba nie mają dość odwagi, żeby poważnie się na coś takiego.

- Ale Caridę wysadzili, prawda? - poklepała mnie po drugim kolanie. - Obwiniają o to jakiegoś zbuntowanego młokosa, ale słyszałeś chyba, że niedawno obwołali go rycerzem Jedi. Od kiedy to awansuje się ludzi, którzy postępują wbrew rozkazom?

Wzdrygnąłem się.

- To nie do pomyślenia!

Tavira oparła dłonie o łóżko i delikatnie pocałowała mnie w nos.

- Ależ skąd, jak najbardziej do pomyślenia. Tobie na pewno przyszłoby to do głowy.

- Dziękuję.

I wtedy mnie uderzyła. Mocno. Walnęła tak, że uderzyłem głową o oparcie łóżka, a kiedy doszedłem do siebie, stała obok i patrzyła na mnie groźnie. Przyłożyłem rękę do płonącego lewego policzka.

- Co takiego zrobiłem?

- Nie chodzi o to, co zrobiłeś, tylko czego nie zrobiłeś! - Odwróciła się, ale wściekłość aż buchała od niej. - Powinieneś być zająć się tym Jedi!

- Co? Ja? Niby jak? - Pochyliłem się do przodu. - Nie miałem z tobą kontaktu.

- To bez znaczenia. Od kiedy tu przyjechałam, w kółko słyszę, że nie trzeźwiałeś od czasu, jak pojawił się ten Jedi. Tej nocy, kiedy zginął Shala, tak się upiłeś, że rozwaliłeś motor pościgowy nie zdając sobie nawet z tego sprawy. - Machnęła niedbale ręką w kierunku ulicy przed hotelem. - Przywiozłam ci nowy. Obchodź się z nim uważniej.

- Przepraszam.

Obróciła się na pięcie z ręką gotową do zadania kolejnego ciosu, ale się powstrzymała.

- I słusznie, ale to za mało. Musisz się poprawić. Masz im wszystkim dać przykład. Pokazać, że nie boisz się Jedi.

- Na czarne kości Imperatora, przecież on puścił z dymem kwaterę Shali! Dwa dni temu jeszcze wszystko było ciepłe!

Opuściła rękę.

- Nie możesz okazać lęku. Ci Jedi są jak zwierzęta, wyczuwają strach. Aż gęsto tu od niego, nawet ja go czuję, a nienawidzę tego zapachu. - Niełatwo pokonać Jedi.

- Nie każę ci go pokonać, tylko poprowadzić do walki ludzi, którzy mu się przeciwstawiają. Zrób to, a ja już zajmę się tym Jedi. - Jej dłonie powróciły na biodra. - Wprawdzie bardzo bym chciała zostać tu z tobą, ale muszę poczynić pewne przygotowania. Wrócę za tydzień. Oczekuję, że będziesz w pełni sił i że wszystko będzie pod kontrolą.

Już była w drzwiach, kiedy cofnęła się na chwilę i odwróciła.

- Aha, zabij Jacoba Nive i przejmij dowództwo. Ten facet zupełnie się rozkleił. Nawet jeśli potrafi się otrząsnąć, nie będziemy mieć z niego żadnego pożytku.

- Będę o tym pamiętał.

- Mam nadzieję, skarbie. - Uśmiechnęła się krzywo. - To była lekcja pogładowa i lepiej, żebyś jej nie zapomniał.

Zrobiłem dokładnie to, czego chciała Tavira. Umyłem się, ogoliłem i zacząłem obchodzić poszczególne grupy piratów na Courkrus. Odwiedziłem wszystkich w ich kwaterach, rzucając krótkie rozkazy, wymyślając procedury bezpieczeństwa, grożąc, przekupując, rzucając aluzje - na przykład, jak to wszystkie grupy, które sienie otrząsną z odrętwienia, zostaną rozwiązane, a ich członkowie włączeni do innych band. A jeśli chodzi o dezertersów, pytałem po prostu pozostałych, czy naprawdę wierzą, że galaktyka jest dość duża, by zdołali umknąć przed gniewem Leonii Taviry?

Ocalali natychmiast nabrali animuszu, nawet Jacob Nive stał się dawnym sobą. Piraci z grupy Czarnych Gwiazd nadal byli przybici, ale zdecydowani na wszystko. Załoga „Czerwonej Supernowej” zmobilizowała się do walki, zaczęli nawet rozmowy z Laserowymi Lordami o ewentualnym połączeniu ich formacji, co pozwoliłoby obu grupom lepiej funkcjonować. Riistarscy Jeźdźcy, których zostawiłem sobie na koniec, zaczęli snuć intrygi, jak by tu zająć pozycję zajmowaną przez Ocalałych, zachęcając mnie, bym przeszedł do ich grupy.

Najkorzystniejsze dla mnie w tej zmianie nastawienia i odrodzeniu się morale wśród piratów było to, jak bardzo polegali na moich zapowiedziach, że przy użyciu planu opracowanego przez Tavirę Jedi zostanie pokonany. Szybko pozwoliłem sprawom ewoluować w takim kierunku, że bym to ja zajął miejsce Shali - czyli tego, kto bezpośrednio przeciwstawi się Jedi. Obiecywałem złapać go w śmiertelną pułapkę. A ponieważ Gnębiciele najwyraźniej przenieśli na mnie zaufanie, którym darzyli Tavirę - jeśli ja także poniosę klęskę w walce z Jedi, już się z tego nie podniosą, a Tavira straci swoje najlepsze oddziały.

W jaki sposób Jedi miał mnie zabić, jeszcze nie wiedziałem, bo nie miałem czasu się nad rym zastanowić. Jedno było pewne: musiało się to odbyć albo bardzo drastycznie, albo bardzo widowiskowo. Nie wiedziałem, którą z tych opcji wybiorę - śmierć Shali trudno byłoby przebić, nie chciałem też próbować czegoś równie niebezpiecznego. Postanowiłem więc załatwić sprawę w stylu makabrycznym, pozostawiając ślady świadczące o tym, że Jedi zagnieździł się w systemie kanalizacyjnym miasta. Dam Gnębom mnóstwo czasu na polowanie po śmierdzących kanałach, podczas gdy ja wyniosę się w jakieś sympatyczniejsze miejsce.

Aby podnieść jeszcze bardziej napięcie związane ze zbliżającą się konfrontacją, postanowiłem znowu nawiedzić „Katastrofę”. Znałem tam wszystkich dostatecznie dobrze, by móc wymazać z ich pamięci moje wejście i zmienić sobie rysy. Dzięki temu uniknąłem rozpoznania, gdy nagle pojawiłem się wśród nich. Umieściłem w ich umysłach wizję, jak wyłaniam się nagle pomiędzy nimi z czerwonej mgły i o mało się nie roześmiałem, gdy zobaczyłem, jak naprawdę odważni wcześniej ludzie kulą się po kątach na mój widok.

Zapaliłem miecz świetlny i wycelowałem go w Jacoba Nive'a.

- Gdzie Idanian?

Krew odpłynęła z twarzy Jacoba.

- N-nie wiem.

- Rozповідаj wokół, że ze mną skończy. Gdzie on jest? -Zatoczyłem mieczem szeroki łuk, zmuszając obecnych do uchylenia się lub zasłonięcia twarzy dłońmi. - Gdzie się schował?

Przeczące odpowiedzi, które usłyszałem, brzmiały cichutko i nieśmiało.

- Powiedzcie mu, że się z nim spotkam. Ten sam los, który zgotowałem Hurtowi Shali, czeka także i jego! - Mówiłem tak cicho i groźnie, jak tylko zdołałem. - A kiedy to nastąpi, jego dni dobiegną kresu.

Ciąłem mieczem bar, sięgając do miejsca, gdzie stała savareeńska brandy i inne cenne trunki. Brandy eksplodowała w jednej chwili, zapalając się błękitnymi jezorami ognia, który rozświetlił mrok za barem i zaczął spływać w dół na podłogę. Po chwili od gorąca popękały następne butelki, a barman zaczął krzyczeć, umożliwiając mi wycofanie się i ucieczkę. Wymknąłem się w noc między wrzeszczącymi i zawodzącymi ludźmi, próbującymi opanować pożar. Kierowałem się w stronę hotelu możliwie najkrótszą trasą.

Po drugiej stronie ulicy zauważyłem pięć osób, które zawróciły w moją stronę. Nie dziwiło mnie, że odważna gadka Jenosa skłoniła piratów do rozpoczęcia polowań na Jedi. Wiedziałem też, że jestem w stanie poradzić sobie z kilkoma przeciwnikami naraz.

Wszedłem w boczną ulicę i doszedłem do miejsca, gdzie skręcała w prawo. Przygotowałem się, by wysłać im wizję siebie, jak idę dalej prosto nie istniejącym zaułkiem. Posługiwałem się tą prostą sztuczką już wcześniej, pozwalając moim przeciwnikom gonić mnie, by wpaść na mur, którego nie widzieli. Gdyby udało mi się wyeliminować w ten sposób część z nich, łatwiej byłoby poradzić sobie z resztą.

Weszli w zaułek, ale nie zaczęli biec. Kiedy uderzyłem w nich iluzją, nie zaczęli krzyczeć, nie wyciągnęli blasterów. Patrzyli prosto na mnie, co oznaczało, że projekcja

ich nie wzięła. To mnie zdziwiło, bo wyglądali na przedstawiciele humanoidów. Byli jednak ubrani w długie płaszcze z kapturami, więc nie byłem w stanie określić, jakiej dokładnie są rasy.

Skoro mnie zauważyli, nie było sensu, żebym tkwił tu przyklejony do ściany, ruszyłem więc w dół ulicy. Pozwoliłem Mocy przepłynąć przeze mnie w ich stronę, ale nie wyczułem w nich ani strachu, ani podniecenia przed walką. Wyczuwałem ich poprzez Moc, ale dane zwrotne, które od nich płynęły, nie były takie, jakich się spodziewałem. Coś tu jest nie tak, pomyślałem. Czas sprowokować jakąś reakcję.

Odrzuciłem prawą połę płaszcza i szybko wyciągnąłem miecz. Włączyłem go i machnąłem cicho szumiącym ostrzem na prawo i lewo.

- Nie chcecie tego, uwierzcie mi. Lepiej zawróćcie, a pozwolę wam żyć.

Jeden po drugim, ruchem naśladowującym mój, odrzucili płaszcze z prawego ramienia. Przygotowałem się, by odbić blasterowe strzały, ale nic nie usłyszałem; nie zobaczyłem też gmatwaniny czerwonych promieni. Zamiast tego ujrzałem niebieskie, żółte, czerwone, pomarańczowe i fioletowe ostrza mieczy świetlnych budzące się do życia. Pięć mieczy syczało unisono, jak kraytoński smok mający apetyt na smaczny kasek, owinięty w moje ubranie. Ruszyli do przodu, a ja uświadomiłem sobie, że nie mogło być gorzej.

ROZDZIAŁ

46

W tym momencie u wylotu uliczki pojawiła się szósta postać i szóste - zielone - ostrze.

Świetnie, pomyślałem, teraz mamy już całą tęczę. Oderwałem od miecza lewą dłoń i przywołałem gestem przybysza.

- Dobra, stary, jeden więcej czy mniej nie sprawi różnicy. Chciałbym czuć się równie odważnie, jak wskazywałyby na to moje słowa.

Mężczyzna u wylotu ulicy ruszył do przodu.

- Nikt nie musi dziś umierać. Znałem ten głos! To był Luke!

A w jego ostrzeżeniu, rzuconym na użytek naszych przeciwników, rozpoznałem instrukcję dla siebie. Przesunąłem się na prawo i zablokowałem cios czerwonego miecza, nadlatujący z prawej strony, odrzucając ostrze na bok, na ceglana ścianę. Obróciłem się na pięcie i kopnąłem moją przeciwniczkę w brzuch, posyłając ją do tyłu. Zorientowałem się, że nosi napierśnik, który częściowo ochronił ją od mojego kopniaka. Zbroja nie uchroniła jej jednak przed wdepnięciem w odpadki, na których pośliznęła się i upadła, co chwilowo wyeliminowało ją z walki.

Luke zmierzył się z Żółtym i Fioletowym, gdy ja uchyliłem się przed sztychem niebieskiego ostrza, obracając się jednocześnie i robiąc zamach lewą ręką. Moja pięść wylądowała na podbródku przeciwnika. Siła uderzenia uniosła o kilka centymetrów maskę, którą nosił, oslepiając go na chwilę. Szybki cios w gardło i facet zaczął się dusić, chwyciłem go więc za kłapy i rzuciłem nim o ścianę. Zbroja stuknęła głośno przy zderzeniu z cegłami, mężczyzna osunął się bezwładnie, a jego miecz zgasł. Odparowałem cięcie Pomarańczowego i złapałem go za nadgarstek lewą ręką. Uniosłem prawą wysoko do góry i uderzyłem z całą mocą po przekątnej w dół. Ciężki, metalowy koniec rękojeści mojego miecza trafił go tuż za prawym uchem, a w każdym razie tam, gdzie człowiek miałby prawe ucho. Kiedy Pomarańczowy padał nieprzytomny, kaptur zsunął mu się z twarzy i mogłem zobaczyć, że to Rodianin.

Sięgnąłem po jego miecz i wyłączyłem go. Wyprostowałem się i zobaczyłem, że Luke pochyła się nad Czerwoną. Emanował od niej absolutny spokój, przypominający mi niejasno wrażenie towarzyszące Mirax, gdy pokazywał mi ją Exar Kun.

- Nowa sztuczka?

Luke wyłączył miecz świetlny, a ja zrobiłem to samo z moim. Ulicę ogarnęła ciemność.

- Stara, jedna z twoich. Natarłem na nią i powaliłem, a teraz tylko uśmierzam jej ból.

- Muszę ci pogratulować wycucia czasu. Gdybyś się nie pojawił, ta piątka zabiłaby mnie jak nic. - Wzdrygnąłem się. - Jak mnie znalazłeś?

W słabym świetle dochodzącym z ulicy zobaczyłem, że twarz Luke'a przybiera srogi wyraz.

- Wiedziałem, że jeśli nauczyłeś się tego, czego powinienes, zastanę cię właśnie tutaj i spotkamy się jako sojusznicy.

Poczułem dreszcze wzdłuż kręgosłupa.

- Rozumiem.

Głos Luke'a stał się pogodniejszy.

- Żeby mieć pewność, kiedy to nastąpi, potrzebowałem pomocy. - Odwrócił się ku wylotowi zaułka i zawołał:

- Wszystko w porządku?

W świetle ulicy pojawił się zarys dobrze mi znanej postaci. Zacząłem się śmiać.

- Ooryl? - przeskoczyłem nad ciałem Pomarańczowego i pobiegłem w jego stronę. - Ooryl, skąd się tu wziąłeś?

- Jestem Poszukiwaczem. - Gandyjczyk wzruszył ramionami, jakby to wyjaśniało wszystko. — Poszukiwacz musi nie tylko wiedzieć, gdzie szukać, bo to łatwe. Musi przede wszystkim wiedzieć, kiedy szukać. Wiedziałem, że muszę zacząć szukać teraz, więc poszedłem do mistrza Skywalkera i powiedziałem mu o tym. On skierował mnie tutaj i oto jesteśmy. Luke machnął ręką w stronę pobojuwiska.

- Musimy stąd zabrać naszych śpiochów. Mamy statek, ale trzeba ich ukryć gdzie indziej. Oni wiedzą, gdzie jest Mirax.

Pokiwałem głową.

- To nie może być daleko stąd, bo Tavira sprowadziła ich w ciągu jednego dnia, kiedy usłyszała, że mamy tu kłopoty z Jedi. Kim oni są?

- Nie mam pojęcia. - Luke potrząsnął głową. - Lepiej się tego dowiedzmy, i to szybko, bo jeśli tego nie zrobimy, ktoś inny się zorientuje, że ich misja się nie powiodła, a to może kosztować Mirax życie.

Pochyliłem się i dźwignąłem Pomarańczowego za pas. Ooryl złapał Żółtego i Fioletowego.

- Wiem, dokąd możemy ich zabrać, ale niełatwo będzie od nich wyciągnąć jakieś informacje. Umieją posługiwać się Mocą, a ja nie jestem pewien, czy będziemy w stanie pokonać ich mentalne obrony i dowiedzieć się tego, czego chcemy.

- Myślę, że mam coś, co może nam w tym pomóc. - Luke wykonał płynny gest, a Niebieski i Czerwona unieśli się w powietrze. - Prowadź, Keiran. Jak wyjaśnił mi Ooryl, „teraz” to tylko okno w czasie, a nie chcemy przecieżyć, by się zatrzęsęło, zanim dotrzemy do twojej żony.

Zabraliśmy naszych pięcioro przeciwników do hotelu. Wywołałem Elegosa, żeby spotkał się z nami na tyłach budynku, przy windzie towarowej. Ooryl przekazał Elegosowi dwójkę, którą tam przytaszczył, a sam poszedł do kosmoportu przynieść to, o co poprosił go Luke. Czekać na jego powrót, wyluskaliśmy naszych więźniów z ich pancerzy, rozdzieliliśmy ich i opatrzyliśmy stłuczenia i rany, jakie zarobili w czasie walki.

Ooryl wrócił z klatką, w której siedział mały, pokryty sierścią gad. Płatanina rurek doprowadzała do organizmu zwierzęcia substancje odżywcze, podtrzymując je przy życiu. Jeśli nawet stworzenie umiało się poruszać, to nie wyglądało, by miało na to szczególną ochotę. Zauważyłem, że mrugnęło, ale nawet ten ruch był wyjątkowo powolny jak na żywe stworzenie.

- To isalamir, jeden z dwóch, które ze sobą przywiozłem. - Luke oparł rękę o klatkę. Wyglądał na zmęczonego. - To wyjątkowy organizm, prawdziwy unikat... w każdym razie nie słyszałem o żadnym innym, które miałyby podobne właściwości. Chodzi o to, że isalamir emituje pole, które wygasza Moc. Na jego rodzinnej planecie niektóre drapieźniki w toku ewolucji wyrobiły w sobie wrażliwość na Moc, która pomaga im w polowaniu, więc pole wygaszające, emitowane przez isalamiry, jest swoistym „ubarwieniem ochronnym”.

- Rozumiem. To dlatego tak dziwnie się czuję. Myślałem, że jestem po prostu zmęczony. - Spróbowałem sięgnąć w głąb siebie i dotknąć Mocy, ale nic nie poczułem. - To tak, jakbym cofnął się do czasów przed wstąpieniem do akademii.

Luke przytaknął.

- Masz szczęście, że większość życia przeżyłeś, mając tylko fragmentaryczny i słaby dostęp do Mocy. Ja miałem z nią kontakt o wiele dłużej, więc w obecności isalamira czuję się kompletnie zagubiony, jakbym stracił kawałek ciała. - Luke poruszył ręką. - Właściwie nawet gorzej.

- Jaki to będzie miało wpływ na naszych gości?

Luke spróbował się uśmiechnąć, ale nie przyszło mu to łatwo.

- Myślę, że mieli do czynienia z Mocą nawet dłużej niż ja. Jest dla nich jak zbroja.

Powinni poczuć się zupełnie bezbroni.

- To dobrze. - Uśmiechnąłem się złowieszczo. - Dokładnie tego potrzebujemy, żeby wydostać od nich potrzebne informacje. Już ja im dam popalić!

Mistrz Jedi złapał mnie za ramię.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Nie umiem przesłuchiwać więźniów.

Posłałem mu krzywy uśmiech.

- Nie martw się. Zajmę się tym. Stań po prostu koło drzwi i wyglądaj tak złowrogo, jak tylko potrafisz. Nie zmieniaj wyrazu twarzy, a nawet nie będziesz musiał nic mówić.

- Złowrogo?

- Coś jak Hurt, tylko z brwiami.

- Rozumiem.

Na pierwszy ogień poszła Czerwona - Elegos ją wybrał z siebie tylko znanych powodów. Przesłuchiwanie kobiet jest zawsze trudniejsze. Po pierwsze są wyjątkowo po-

dejrliwe, a po drugie myślą, że uda im się wykorzystać swoją urodę i kobiece sztuczki, żeby wystrychnąć cię na dudka. Czerwona, która okazała się smukłą pięknoscią o falujących, brązowych włosach i niebieskich oczach, stopiłaby na pewno wiele serc niezłomnych śledczych, ale zaskoczenie i strach wykrzywiły jej rysy tak bardzo, że całkowicie pozbawiło ją to urody. Isalamir sprawiał, że widziałem wszystko w czerni i bieli, więc dla niej musiało to być jak ślepotą.

Kiedy zobaczyłem, że otwiera oczy, spojrzałem w kierunku Luke'a i skinąłem głową, jakby w odpowiedzi na telepatyczny przekaz od niego.

- Tak, zobaczę, ile uda mi się z niej wyciągnąć. Daj jej chwilę czasu, żeby doszła do siebie.

Luke popatrzył na mnie i niecierpliwie pstryknął palcami. Szybko się uczy, pomyślałem. Miejmy nadzieję, że ona nie jest taka bystra.

Przykucnąłem obok krzesła, do którego ją przywiązaliśmy.

- Przepraszam, że musiałem panią przywiązać. Żałuję, że nie możemy rozmawiać w przyjemniejszym otoczeniu, ale mój towarzysz nie dał się przekonać. Wiem, że czuje się pani dziwnie, utraciwszy możliwość korzystania z pewnych zmysłów, które uważa pani za nieodzowne. To on uniemożliwia pani dostęp do tych zmysłów, żebym mógł łatwiej wysondować pani umysł, ale wiem, jak bardzo to będzie nieprzyjemne.

Potrząsnęła głową nieugięcie.

- Nie zdradzę moich ludzi.

Zabrzmiało to dziwnie sztywno. Wypowiadała słowa starannie, z niemal równie nienaganną dykcją jak mój dziadek. To już był jakiś punkt zaczepienia - niewiele, ale zawsze coś.

- Oczywiście, że nie. Nie chcę pani do tego zmuszać, ale musimy odnaleźć „Gnębiciele”, i to jak najszybciej. Trzeba powstrzymać Leonie Tawirę... by nikogo już nie mogła skrzywdzić. - Poczulem, że się zawahała, słysząc nazwisko Tawiry. - Naprawdę zależy nam na tym, by powstrzymać krzywdy, jakie wyrządza niewinnym.

- Nie powstrzymacie jej.

Spojrzałem na Luke'a, a potem znów odwróciłem się do niej.

- On mówi, że chociaż ty nie byłeś w stanie jej powstrzymać, nie oznacza to, że nam też się nie uda. Jestem tu od miesięcy, brałem udział w wielu operacjach podczas których ty albo któryś z twoich braci byliście na pokładzie „Gnębiciele”, ale nie udało wam się wykryć mojej obecności. Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo on mnie chronił. Wiesz dobrze, że szukałaś, ale dopiero dziś w nocy, gdy postanowiliśmy złapać was w pułapkę, odkryłem się na tyle, byś mogła mnie odnaleźć. A jego obecności w ogóle nie wyczułaś.

Wstałem i podszedłem do Luke'a. Udawałem, że się z nim naradzam, pozwalając, by więziarka przetrawiła sobie moje słowa. Uniosłem palec do ust, dając Luke'owi do zrozumienia, żeby się nie odzywał i zmarszczyłem brwi, dając mu znak, by zrobił to samo. Kiedy spojrzał na mnie gniewnie, wzdrygnąłem się.

- Nie możesz być tak okrutny! - powiedziałem do niego. - Jeśli odbierzesz jej dostęp do Mocy na zawsze, w niczym nam to nie pomoże. Oczywiście byłaby to dla niej

nauczka, ale równie dobrze mógłbyś ją dać banthom na pożarcie. Nie sądzę, byśmy powinni traktować ją w ten sposób. Nie skłoni to jej towarzyszy do współpracy.

Luke naprawdę wszedł w rolę. Dziabnął mnie w pierś dwoma palcami. Skrzywiłem się, rozartłem uderzone miejsce i odwróciłem się w stronę Czerwonej Damy.

- Naprawdę myślę, że uda mi się przekonać go, by nie odbierał ci dostępu do Mocy. Musisz nam tylko powiedzieć, gdzie Tavira ukrywa „Gnębiciela”. Przecież wiemy, że to ty chroniłaś statek przed wykryciem. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, naprawdę.

- Nie, nie mogę ci tego powiedzieć. Żaden z nas nie zdradzi swoich ludzi.

Westchnąłem i położyłem jej dłoń na ramieniu.

- Wiem, że patrzysz na to z własnego punktu widzenia, może nawet z punktu widzenia Taviry. Ten gwiazdny niszczyiciel jest niezwykle potężny, więc na pewno boisz się, że jeśli ją zdradzisz, skieruje go na twój lud. Rozumiem to.

Pochyliłem się i ściszyłem nieco głos.

- Sprawy wyglądają jednak tak: nie udało ci się mnie złapać. Nie udało ci się złapać jego. Jeśli Tavira nie dostanie odpowiednio szybko wiadomości, że ci się udało, uzna, że poniosłaś porażkę. A znasz ją chyba na tyle, by wiedzieć, że ona nie uważa porażek za dzieło przypadku, tylko za wynik spisku. Jestem pewien - a znam ją niemal tak dobrze jak ty - że w tym momencie uzna cię za zdrajczynię i zacznie działać. Musisz zadać sobie pytanie: czy chcesz być przyczyną śmierci swoich ludzi, czy też wolisz, by ludzie, którzy cię pokonali, rozprawili się z Tavirą?

ROZDZIAŁ

47

Czerwona Dama zaczęła się wreszcie łamać, a informacje uzyskane od niej pomogły nam wyciągnąć resztę potrzebnych wiadomości z pozostałych Jensaarai - jak o sobie mówili. To, czego się od nich dowiedzieliśmy, było niesłychanie interesujące, bo opakowane dziwną filozofią, dorównującą tej, której głosicielem był Obi-Wan Kenobi. Jensaarai byli szkoleni podobnie jak rycerze Jedi, konstruowali też własne miecze świetlne i trenowali posługiwanie się nimi, ale ten moment nie był dla nich taką cezurą jak w przypadku tradycji Jedi, którą poznałem.

Dla Jensaarai prawdziwym zwieńczeniem ich szkolenia, najważniejszym momentem, kiedy stawali się Obrońcami Jensaarai - a dzielili się na Uczniów, Obrońców i Saraikar, przy czym do tej ostatniej kategorii należała tylko jedna z nich - było wykucie własnej zbroi. Punktem wyjścia był zwyczajny pancerz, który wzmacniali spiralnymi włóknami kortozjańskiej rudy, zapewniającej ochronę przed niemal wszystkimi rodzajami broni. Wygląd zbroi wzorowali zazwyczaj na zwierzęciu, które ich zdaniem najlepiej wyrażało sposób, w jaki pragną służyć społeczności Jensaarai. Jeśli sądzić po zbrojach, które im zabraliśmy, wszystkie stworzenia, na których podobieństwo kształtowali swoje pancerze, były usposobione defensywnie. Te zwierzęta pozostawione w spokoju trwały w uśpieniu, ale zaatakowane potrafiły być zabójczymi przeciwnikami.

Historia związków Jensaarai z Tavirą była historią pomyłek, ciągnących się od samego początku. Tavira w pościgu za oddziałami specjalnymi Nowej Republiki zapędziła się w system Suarbi w sektorze Quence. Siódma planeta tego układu - gazowy gigant - otoczona była pierścieniem asteroid i kilkunastoma księżycami. Jeden z tych księżyców, oznaczony na mapach jako Suarbi7/5, został nazwany Susevfi przez kolonistów, którzy postanowili objąć go w posiadanie parę wieków temu. Choć podobny do Yavin 4 rozmiarami i prędkością obrotową, Susevfi przypominał planety o łądach pokrytych rozległymi stepami, jak Noquivzor, gdzie stacjonowałem, zanim Eskadra Łotrów nie odbiła Coruscant. Na księżycu wyrosło kilka osiedli, a Jensaarai zamieszkiwali przedmieścia dużego portu morskiego, Yumfli.

Tavira z garstką swoich ludzi pojawiła się kiedyś w Yumfli i natychmiast napaliła się na miejscowego gubernatora - drobnego biurokrate, który popełnił ostatnią w swoim życiu pomyłkę, odrzucając jej zaloty. Tavira kazała go zastrzelić, po czym ogłosiła, że

planeta jest wolna od ucisku Imperium i nie podda się uciskowi Nowej Republiki. Saarai-kar, przywódczyni Jensaarai, udała się do Taviry i usłyszała od pani admirał wszystko to, co chciała usłyszeć. Tavira pielęgnowała zaufanie Jensaarai, a potem ich zdradziła, zmuszając do służby dla siebie szantażem, pod groźbą wymordowania pozostałych mieszkańców planety - którzy nawet nie wiedzieli, że Jensaarai stali się ich obrońcami. Karą za nie dość skuteczną służbę miało być unicestwienie Yumfli.

Jensaarai wyczuli zamiary Mirax, gdy postanowiła rozpocząć polowanie na Gnębicieli. Dopadli ją w Nal Hutta i przywieźli na Susevfi. Tavira chciała ją od razu zgładzić, ale Saara-kar nalegała, by utrzymać ją przy życiu i wtrącić do więzienia w pałacu gubernatora.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, zrozumieliśmy z Lukiem, że musimy jak najprędzej lecieć na Susevfi, a to oznaczało konieczność podjęcia paru trudnych decyzji co do dalszego losu Jensaarai. Zmiana zdania przez choćby jednego z nich mogła pozbawić nas przewagi, jaką dawało zaskoczenie, radykalnie zmniejszając nasze szanse przeniknięcia do fortecy, gdzie Tavira przetrzymywała Mirax.

Postanowiliśmy zostawić ich na Courkrus w towarzystwie isalamira. Wiedzieliśmy, że musimy zaufać komuś, kto będzie ich pilnował, więc poszliśmy do Jacoba Nive'a i odkryliśmy mu naszą tożsamość - Keirana Halcyona, rycerza Jedi, i Luke'a Skywalkera. Wyjaśniliśmy mu, że zamierzamy skończyć z Tavirą i jej Gnębami, a jemu oferujemy możliwość wyboru. Możemy zniszczyć Ocalałych co do jednego albo dać im szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa, jaką Nowa Republika zapewniała zawsze ofiarom imperialnej agresji i przymusu.

Nive przyjął szansę nowego życia. Przy Nowej Republice rosnącej w siłę, i niedobitkach Imperium spychanych coraz bardziej w głąb galaktyki, Ocalali mieli coraz mniej okazji, by walczyć przeciwko Imperium, stając się zwykłymi piratami. Gdyby nie chronił ich „Gnębiciel”, Nowa Republika mogłaby ich rozgromić setki razy. Nive chętnie zamienił towarzystwo piątki tajemniczych gości i isalamira na możliwość rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Spojrzał na mnie twardo.

- Jedna sprawa, Jenos. Skąd mam wiedzieć, że ci się uda?

- Dlaczego walczyłeś z Imperium przez te wszystkie lata?

- Żeby pomścić moich przyjaciół.

- Właśnie. Leonia Tavira porwała moją żonę. Walczę z nią, żebym nie musiał się za nikogo mścić.

Nive zmrużył oczy.

- Wy dwaj chcecie się przeciwstawić Tavirze? Mrugnąłem do Luke'a porozumiewawczo.

- Mamy paru sojuszników, a jeden z nich jest naprawdę potężny. Poradzimy sobie.

Przed odlotem z Courkrus wysłaliśmy dwie wiadomości. Jedną do generała Crackena, informując go, że zlokalizowaliśmy kryjówkę „Gnębiciela” i lecimy rozprawić się z nim. Informacje o tym, dokąd lecimy, zostawiliśmy u Nive'a, nie przekazując ich jednak bezpośrednio Crackenowi. Nie chcieliśmy, żeby grupa uderzeniowa Nowej Republiki pojawiła się nagle na Susevfi, alarmując Tavirę, zanim przenikniemy do systemu i

uwolnimy Mirax. Gdyby Nowa Republika zaczęła działać, Jensaarai, którzy pozostali na Susevfi mogli ostrzec Tavirę, przekreślając nasze wysiłki.

Posłałem też wiadomość Boosterowi, informując go, że wiem, gdzie znajduje się Mirax i właśnie tam leczę. Dostarczyłem mu jeszcze mniej danych niż Crackenowi, ale zaznaczyłem, że spodziewam się przywieźć mu Mirax całą i zdrową w ciągu kilku dni. Dodałem, że natychmiast po uwolnieniu przywożę ją na „Błędną Wyprawę”, gdzie będzie mogła odpocząć i dojsć do siebie.

Chcieliśmy zostawić Elegosa na Courkrus, ale nalegał, żebyśmy go wzięli ze sobą. Bardzo sobie przypadli do gustu z Oorylem - co zaczynało mnie poważnie niepokoić. Polegało to na tym,

że wymieniali się doświadczeniami na temat tego, jak to jest, kiedy się dzieli ze mną kwaterę. Elegos zauważył, że statki w rodzaju tego, którym przybyli do Vlarny Luke i Ooryl, ciężko jest pilotować w pojedynkę, a skoro on potrafi latać, przyda się do pomocy Ooryłowi.

Luke czyja mogliśmy równie dobrze zająć fotel drugiego pilota, ale lecieliśmy na Susevfi w ochronnym błęku pola emitowanego przez isalamira. Dzięki temu mogliśmy przemknąć się niezauważeni pod czujnym okiem Obrońców Jensaarai stacjonujących wokół planety, jak również przed tymi na powierzchni księżyca. Obrońcy pierścienia regularnie przeczesywali system przy użyciu Mocy w poszukiwaniu nadlatujących statków, których uwagę subtelnie odwracali, nie dopuszczając do wykrycia słabego widma sensorycznego gwiazdowego niszczyciela, ukrywającego się w pierścieniu ciał niebieskich otaczającym planetę. Zresztą nawet bez Jensaarai miejsce było wymarzone na kryjówkę, a przy ich pomocy namierzenie „Gnębiciela” było absolutnie niemożliwe.

Luke wyciągnął się na miękkiej ławie w niewielkim saloniku statku i zakrył oczy ramieniem.

- Gdybyśmy mieli więcej rycerzy Jedi, moglibyśmy ich wysłać razem ze statkami zwiadowczymi. Pewnie wtedy udałoby nam się wyczuć Jensaarai i ich wysiłki, by ukryć „Gnębiciela”.

- Możliwe, ale ja wyczułem ich obecność jedynie z bardzo bliskiej odległości, i to wtedy, kiedy próbowali sondować mój umysł. Kiedy nawiązałem kontakt z Tycho podczas bitwy o Xa Fel, natychmiast mnie wykryli, a ja ich nawet nie poczułem. - Wstałem i podszedłem do modułu kuchennego. Wyciągnąłem z chłodziarki pojemnik z konserwowanym syropem *zureber*.

- Napijesz się czegoś? Luke spojrzał na mnie.

- Jasne, daj mi jeden pojemnik.

Rzuciłem w jego stronę pudełko, które wylądowało mu na brzuchu. Jęknął głośno. Uśmiechnąłem się.

- Miałeś to złapać.

Usiadł, oderwał zębami róg pojemnika i wypuł.

- Próbowałem, ale wewnątrz pola emitowanego przez isalamiry jestem do niczego.

Oderwałem róg mojego kartonika i pociągnąłem łyk napoju. - Nielatwo być znowu normalnym, co? Luke westchnął ciężko.

- Przez pierwszych osiemnaście lat mojego życia nie miałem pojęcia, że istnieje coś takiego jak Moc. Byłem zwykłym wieśniakiem, który uwielbiał latać. Chciałem wstąpić do marynarki imperialnej i zostać pilotem. Rycerze Jedi należeli wówczas do zamierzchłej przeszłości, a wuj Owen nie zachęcał mnie do jej studiowania.

- Wiem, to samo było u mnie w domu. - Klapnąłem na ławę obok Luke'a. - Nie rozmawiało się za wiele o Jedi. Wiedziałem tylko, że mój dziadek znał kiedyś jednego z nich, a nawet razem pracowali, ale to było jak wspomnianie byłej żony na zebraniu rodzinnym.

- U rodziny nowej żony, tak? Roześmiałem się.

- Właśnie o to chodzi. Wiesz, kiedy spotkałem się z moim dziadkiem parę miesięcy temu i zobaczyłem, jaki jest dumny z tego, że pomógł ukryć żonę i dziecko Nejaa Halcyona przed imperialnymi siepaczami, zrozumiałem, jak trudno musiało mu być utrzymać to w tajemnicy przez tyle czasu. Myślę, że był rozczarowany, kiedy odrzuciłem moje dziedzictwo Jedi i postanowiłem szukać Gnębów na własną rękę. Muszę dać mu znać, że zmieniłem zdanie.

- Cieszę się, że to sobie przemyślałeś. - Luke usiadł i poklepał mnie po ramieniu. - Sam nie wiem, co gorsze: kiedy mój uczeń przechodzi na Ciemną Stronę czy gdy po prostu opuszcza akademię, bo jestem beznadziejnym nauczycielem.

Wzruszyłem ramionami.

- Wiesz, jacy są koreliańscy Jedi... zawsze upieramy się, by chodzić własnymi ścieżkami. - Przypomniałem sobie moją rozmowę z Elegosem. - Jestem ci jednak winien przeprosiny. Przyszedłem do akademii z określonymi wyobrażeniami na temat tego, jak powinno wyglądać szkolenie, i nigdy ich nie zrewidowałem, więc tak naprawdę nie dałem ci szansy.

- Przeprosiny przyjęte, choć były zupełnie niepotrzebne. - Luke kiwnął głową. - Nie ułatwiałem ci sprawy. Powinienem być pamiętać, że równoległe ścieżki nie są lepsze lub gorsze, tylko po prostu inne. Nadal jednak podążamy w tym samym kierunku.

- To prawda, ale to nie oznacza, żebym zmienił zdanie w kwestiach takich jak na przykład sprawa Kypa. Tavira od razu pomyślała, że Kyp zniszczył Caridę na polecenie Nowej Republiki i jestem przekonany, że mnóstwo ludzi chętnie uwierzy w taką wersję wydarzeń.

- Wiem. Rozumiem, co czujesz. - Luke napił się syropu i oblizał niebieskawą płyn z kącików warg. - Można by jednak twierdzić, że propozycja, jaką złożyliśmy Jacobowi Nive i jego Ocalałym jest bardzo podobna do szansy, jaką dostał Kyp. Zresztą sam wiesz, że postanawiając zostać rycerzem Jedi, Kyp wydał na siebie coś w rodzaju dożywotniego wyroku.

- Wiem i zdaję sobie sprawę, że nie wybrał łatwego życia. Zabicie go nie sprawi, że galaktyka stanie się lepsza, więc przypuszczam, że to było najlepsze rozwiązanie. - Napiłem się i na chwilę zamknąłem oczy. - Ale to nie oznacza, że takie rozwiązanie musi mi się podobać. Niemożność wymyślenia lepszego musi być frustrująca.

- Możemy zrobić tylko tyle, ile mieści się w granicach naszych możliwości. - Luke się roześmiał, ale czułem, że jest zmęczony. - Powiedz, pomyślałbyś kiedyś, że bę-

dziesz mknąć przez hiperprzestrzeń, planując atak na imperialny pałac gubernatorski, w którym właśnie gości imperialna renegatka i jej załoga?

Otworzyłem jedno oko i spojrzałem na niego.

- Tatooine musiała być naprawdę paskudnym miejscem, jeśli to jest właśnie twoje wyśnione życie.

- Aż tak źle nie było.

- Słusznie, byłem tam kiedyś. Na każdej innej planecie Jawo-wie urosłoby do rozmiarów Huttów, a tam byli tylko małymi pokurczami.

- Całe szczęście. Pomyśl, co mogliby narobić. - Luke uśmiechnął się. - Tak naprawdę to mam z Tatooine więcej wspomnień dobrych niż złych.

- Ale chciałeś się stamtąd wyrwać.

- Tak, w najgorszy z możliwych sposobów. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - I udało mi się.

Wyciągnąłem rękę i złapałem go za kark.

- A przy okazji wyszło z ciebie wszystko, co najlepsze, co oznacza, że reszta galaktyki musi się mocno starać, żeby ci dorównać. Strata wuja i ciotki musiała cię zabolęć, ale myślę, że byliby zadowoleni, widząc cię teraz. Wiedzieliby, że ich wysiłki nie poszły na marne.

- Tak myślisz? - Jasne, nie mam co do tego wątpliwości. - Uśmiechnąłem się do niego. Tutaj, w bąblu pola emitowanego przez isalamiry, przestał go chyba przygniatać ciężar odpowiedzialności za całą galaktykę. Bił od niego optymizm i jednocześnie niepewność, które musiały go charakteryzować jako młodego chłopaka.

- Nie miałeś rodzeństwa, prawda? To znaczy dorastałeś sam?

- Tak, miałem tylko paru przyjaciół.

- To tak jak ja. I nie, nigdy nie sądziłem, że polecę do pałacu imperialnego gubernatora, żeby stanąć do walki ze zdeprawowaną panią admirała.

- Aha.

- Marzyłem raczej o wypadzie do Nal Hutta i wykurzeniu zbrodniczych Huttów z ich nor.

- A zastanawiałeś się, jakie masz szansę przeciwko takiemu przeciwnikowi?

Roześmiałem się.

- Hej, jestem Korelianinem, zapomniałeś?

- Słusznie. A ty zapomnij, że mówiłem cokolwiek o szansach. - Luke skończył swój napój i zgniótł kartonik. - W życiu chyba każdy z nas dostaje karty inne niż te, którymi chciałby zagrać.

- Tak, a cała sztuka polega na tym, jak je wykorzystać. Niektórym dostają się najlepsze karty, a mimo wszystko przegrywają. - Pokiwałem głową. - Jak na wieśniaka zakopanego w pyłe i marzeniach, nie najgorzej ci poszło w życiu.

- To ci dopiero wyznanie, jak na Korelianina. Głośnik kanału łączności z mostkiem zaskrzeczał.

- Ooryl mówi, że za pięć minut wychodzimy z nadprzestrzeni. Potem mamy jeszcze godzinę na przelot do Susevfi. Lepiej się przygotujcie, na wypadek gdyby powitanie okazało się gorętsze, niż się spodziewamy.

Wcisnąłem przycisk transmisji.

- Zrozumiałem, Elegos. Będziemy gotowi.

Luke wstał, podszedł do półki, gdzie podłączony do ładowarki leżał jego miecz świetlny, odłączył od niej broń i przypiął do pasa. Wyjął też z ładowarki mój miecz i obejrzał go ze wszystkich stron.

- Niezła robota. Dwufazowy? Zmarszczyłem czoło.

- Próbowałem powtórzyć inżynierski wyczyn Gantorisa, ale w tej chwili działa tylko jedna faza. Muszę znaleźć prawdziwy brylant.

- Widzę, że zapanowała moda na ostrza dwufazowe. - Rzucił mi miecz. - Mimo wszystko podoba mi się ostrze i wygląda na to, że porządnie go wykonałeś.

- Nie jest zbyt piękny, ale tylko to miałem pod ręką. - Złapałem miecz i wyłączyłem ochraniacz. Wstałem, przeciągnąłem się i przypiąłem broń do pasa.

- Mam jedno pytanie, zanim się zacznie.

- Słucham.

- My, Jedi, powinniśmy używać naszych mocy tylko w obronie, a przecież tutaj planujemy napad na bazę.

Luke przytaknął.

- Owszem. Ale działamy w obronie życia Mirax, a także wszystkich przyszłych ofiar Taviry.

- Zgoda, ale zastanawiam się, czy nie mamy jednak pewnych zobowiązań moralnych wobec ludzi, którzy uznają nas za agresorów. - Zmarszczyłem brwi. - Przypuścimy, że postawiono mnie do pilnowania czegoś, a tymczasem pojawia się facet z mieczem świetlnym, by mi to odebrać. Wyjmuję miotacz i strzelam. No wiesz, słynna kwestia punktu widzenia.

Mistrz Jedi zamyślił się.

- Rozumiem twoje wątpliwości. W czasie mojego spotkania z Huttem Jabba ostrzegłem go, by nas wypuścił, bo w przeciwnym razie zostanie unicestwiony. Nie usłuchał, i to był jego koniec.

- Czyli chodzi o to, żeby ostrzec tych, którzy nie zdają sobie sprawy, w co wdepnęli?

Luke skinął głową.

- Jeśli znajdziemy tam takich. Ilu szturmowców mieści się na imperialnym gwiazdowym niszczycielu? Jakież dziesięć tysięcy? Nie sądzę wprawdzie, by „Gnębiacie!” miał pełną załogę, ale będzie tam i tak prawdziwy tłok. Chcesz zgadnąć, ilu z nich na dole pilnuje pałacu?

- Nie obchodzi mnie to. - Zapiąłem pas. - Imperator nie zdołał wyprodukować dość szturmowców, by mnie powstrzymać przed uwolnieniem Mirax. Mogą uciekać albo zginąć, to ich wybór.

- Cały Korelianin! - Luke pokręcił głową. - Nic dziwnego, że pozostali Jedi woleli, żebyście nie wypuszczali się poza granice Korelii.

Puściłem do niego oko.

- Po prostu bali się, że nic dla nich nie zostanie do roboty, kiedy skończymy. - Mam nadzieję, że masz rację, przyjacielu. - Luke założył kciuki za pas. - Bo w czasie misji takich jak ta obaj będziemy mieć pełne ręce roboty.

Próbowaliśmy z Lukiem - wprawdzie krótko i bezskutecznie - namówić Ooryła i Elegosa, by pozostali na statku, śledząc ruchy innych jednostek w systemie. Mogliby dać nam znać przez komunikator, gdyby na przykład „Gnębiacie!” ruszył albo gdyby zdarzyło się cokolwiek, co wymagałoby modyfikacji naszych planów. Oni jednak przewidzieli nasze posunięcie i zaprogramowali komputer pokładowy w taki sposób, by zbierał informacje o ruchu statków wewnątrz systemu i przekazywał zakodowanym sygnałem przez komunikator do notesu komputerowego Elegosa.

Elegos zauważył, że przy jego węchu i przy zdolności Ooryła do postrzegania wykraczającej poza zakres widma, który ludzie z właściwą sobie arogancją nazywają „widzialnym”, łatwiej będzie poruszać się nam w nocy, nawet bez użycia Mocy, co opóźni moment wykrycia nas przez Jensaara. Nie mogłem się z tym nie zgodzić, a że widywałem już Ooryła w czasie walki wręcz, wiedziałem, że jego obecność tylko nam wyjdzie na dobre. Miał przy sobie rusznicę blasterową i pas ogniów energetycznych przewieszony przez klatkę piersiową.

Elegos też dźwigał rusznicę blasterową, ale pas z ogniwoami energetycznymi owinał sobie wokół szczupłej talii. Spojrzałem na niego i zmrużyłem oczy.

- Chyba nie zamierzasz w tym uczestniczyć? Przecież nie chcesz, by ciążyły ci wspomnienia o zabijaniu kogokolwiek.

- Muszę ci towarzyszyć, a bez broni nie pomogę wam w obronie i będę tylko ciężarem. Gdyby przeze mnie ci się nie udało, to wspomnienie ciążyłoby mi o wiele bardziej, więc nie chcę się na nie narażać. Zamiast tego zachowam wspomnienie, jak pomogłem uratować twoją żonę. - Elegos wyciągnął rusznicę i przełączył jeden z przycisków. - A funkcja ogłuszania w tej broni wydaje się działać jak należy.

Uśmiechnąłem się, a potem powoli przeniosłem wzrok na Ooryła i Luke'a.

- Zanim pójdziemy, chcę wam wszystkim podziękować. Nikt nigdy nie miał lepszych przyjaciół. Musicie być wszyscy niespełna rozumu, by to robić, ale i tak jesteście nadzwyczajni.

Elegos spojrzał na Ooryła.

- Korelianin nigdy nie wie, kiedy przestać gadać, prawda? Ooryl rozchylił wargi.

- Znam takich Korelian, co to potrafią.

Luke roześmiał się i wycelował kciuk w pokrywę włazu.

- Zabierajmy się za jeszcze jedną rzecz, która jest specjalnością Korelian - za stracenię misję, w której nie mają żadnych szans.

Szliśmy ulicami Yumfli zupełnie bezkarnie, niemal nie zauważeni. Kilka miesięcy temu uznałbym to za niezwykle, ale spędziwszy tyle czasu wśród Gnębów, już się nie dziwiłem. W tym mieście wszyscy, którzy nie byli członkami „Gnębiacie!” na przepustce ani nie patrolowali ulic, woleli pozostać w domu. Mieszkali w okupowanym mieście, a chociaż część z nich mogła bogacić się na dostawach towarów i usług dla załogi

„Gnębiciele”, większość wolała nie mieć z nimi - jako byłymi żołnierzami Imperium - nic do czynienia. Czuję to samo napięcie na ulicach Vlnaryi i cieszyłem się z izolacji od miejscowych, jaką nam zapewniała.

Załoganci „Gnębiciele” sami w sobie nie przedstawiali problemu - byli na przepustce i po prostu chcieli się zabawić. Przy tej parnej, gorącej pogodzie woleli siedzieć w knajpach, gdzie dzięki klimatyzacji noc była do zniesienia, dzięki alkoholowi - całkiem przyjemna, a dzięki dobremu towarzystwu - wręcz wspaniała. Patrole, które miały za zadanie zbierać po ulicach i odstawać na pokład chorych, głupich albo pijanych włóczęgów przestrzeni, nie zaszczyciły nas nawet spojrzeniem. Elegos wyczuwał zapach zbroi na długo, zanim dostrzegliśmy pierwszego szturmowca, mogliśmy więc zawsze schować się w bocznym zaułku albo spokojnie stanąć na rogu.

W końcu dotarliśmy przed budynek stojący naprzeciwko pałacu gubernatora, oddzielony od niego niewielkim trawnikiem. Budynek otoczony był ośmiometrowej wysokości murem, z wyniosłą wieżą na każdym z czterech rogów. W samym środku mur rozcinało cofnięte w głąb, łukowato sklepione wejście, zamknięte na noc dwoma skrzydłami ciężkiej, metalowej bramy. Szurmowcy patrolowali teren parami, a w każdej z narożnych wież stało jeszcze dwóch.

Sam pałac zbudowano na planie trójkąta, z wieżami umieszczonymi w każdym z wierzchołków. Wieże po prawej i lewej stronie miały dobre piętnaście metrów wysokości i dwa razy tyle w przekroju. Dokładnie naprzeciwko bramy, w głębi, w najdalszym wierzchołku trójkąta, wznosiła się kwadratowa wieża wysoka na trzydzieści metrów. Mniej więcej na jednej trzeciej jej wysokości znajdowało się przewężenie, jakby ktoś ścisnął to miejsce gigantyczną pięścią. Z architektonicznego punktu widzenia było to ciekawe rozwiązanie, które odróżniało pałac od pozostałych budynków. Łączący wieże budynek właściwego pałacu miał cztery piętra wysokości, a na dachu największej wieży zbudowano prywatne lądowisko dla promów, mrugające jasnymi światłami.

- Dwadzieścia metrów do bramy. - Kucnąłem, rozpiąłem płaszcz i pozwoliłem, by ześliznął mi się z ramion. Podniosłem szczyptę piachu i rzuciłem w powietrze. Pył poleciał w stronę pałacu. - Ale przynajmniej mamy wiatr w plecy.

- Dobrze. Ooryl i Elegos będą nas kryć, a my dwaj wchodzimy.

Elegos odchrząknął.

- Brama jest zamknięta. Jak zamierzacie ją sforsować? Ujęliśmy miecze.

- Zapukamy - zasugerował Luke. - Bardzo głośno.

- A wy co tu robicie? - Zza węgła budynku, za którym się przyczailiśmy, pojawiła się zniecka dwójka szurmowców. - Pokażcie identyfikatory.

- Jasne. - Powoli wstałem, trzymając miecz w taki sposób, jakby to był pręt jarzeniowy. Lewą ręką macałem się po kieszeniach, jakbym szukał dokumentów. - Muszą gdzieś tu być... - Miałem nadzieję, że uda mi się wysłać do ich umysłów wizję, która odesłałaby ich tam skąd przyszli, ale w głowie miałem pustkę.

Jeden ze szurmowców podszedł do mnie bliżej.

- Chyba gdzieś już cię widziałem.

- Mnie? To niemożliwe.

- Nie zgrywaj cwaniaka! - Drugi ze szurmowców wycelował we mnie blaster. - Pójdiesz z nami.

Spojrzałem na Luke'a, wruszyłem ramionami i wcisnąłem kciukiem przycisk na rękojeści miecza, wbijając srebrne ostrze prosto w pierś szurmowca. Pchnąłem go na jego towarzysza, odrzucając na bok blaster, który trzymał w ręku. Drugi szurmowiec nie przestawał naciskać spustu, posyłając w mrok nocy nieprzerwaną serię strzałów. Ciałem mieczem w poprzek, skracając mu rękę na poziomie łokci, co skutecznie zakończyło jego atak.

Luke popatrzył na mnie.

- Musisz trochę popracować nad etapem ostrzegania.

- Nie miałem okazji wypróbować tego na tych dwóch. - Zrobiłem unik, bo szurmowcy na dachu pałacu zaczęli krzyżeć i strzelać w naszym kierunku. Rozdzwoniły się alarmy. - Ale pozostałych chyba można uważać za ostrzeżonych... a teraz biegiem, już!

Rzuciliśmy się sprintem w stronę bramy pałacu, zygzakując, żeby utrudnić celowanie naszym przeciwnikom. Biegając, otworzyłem się na Moc i poczułem, jak zalewa mnie strumień danych. Zrobiłem zwód na prawą nogę, przeniosłem ciężar ciała na lewą i zatoczyłem mieczem łuk, wysyłając kilka blasterowych strzałów w noc. Dwa kolejne kroki, chwila wahania, gdy siatka elektroniczna umieszczona na prawej wieży przecięła ścieżkę przede mną kurtyną ognia, a potem zanurkowałem w dół pod gradem strzałów, które zaczęły już mnie namierzać. Odbiłem dwa kolejne strzały, żałując, że nie umiem tak jak Luke posłać ich z powrotem w stronę tych, którzy je do mnie skierowali. W końcu dotarłem pod osłonę bramy.

Rozciągnąłem sferę odpowiedzialności, żeby zobaczyć, co czeka na nas po drugiej stronie wrót, ale nikogo tam nie było. Rozszerzyłem ją jeszcze bardziej i uśmiechnąłem się.

- Mam ją, Luke. Z tej odległości wyczuwam Mirax. Jest w wieży z twojej strony, na dole.

Mistrz Jedi uśmiechnął się.

- Nie dajmy jej dłużej czekać.

Jednocześnie cięliśmy mieczami na prawo i lewo od środka bramy, wycinając dziurę, przez którą przeszedłby nawet śmigacz. Wszedłem do środka i ciachnąłem prosto w łokieć szurmowca, który pochylał właśnie rusznicę laserową, by zasypać nas strzałami. Krzyknął i zatoczył się do tyłu. Złapałem rusznicę, którą wypuścił z rąk i posłałem serię w kierunku drugiego, kulącego się przed ogniem Elegosa. Kiedy wystrzeliłem, zwinął się wpół i runął z muru w dół, ja zaś pobiegłem za Lukiem.

Luke odbił kilka strzałów, nadlatujących w jego stronę, posyłając cztery z nich z powrotem ku wieży, z której nadleciały. Jeden ze szurmowców padł, ale drugi tylko zrobił unik, za to siatka elektroniczna rozciągnięta na wieży zaczęła iskrzyć i zapaliła się. Luke skrócił do połowy lufę rusznicy laserowej pierwszego ze szurmowców, który wybiegł z wieży, w której przetrzymywano Mirax, a potem ciął na odlew, odrabując od miednicy mężczyzny wszystko to, co miała podtrzymywać. Przełączyłem broń na ogłuszanie i strzeliłem do kolejnego z nadbiegających szurmowców. Elegos, który

przeszedł właśnie przez bramę, wpakował strzały ogłuszające w trzech następnych. Zastawili się i upadli na ziemię. Luke zniknął w drzwiach wieży. Zobaczyłem błysk i usłyszałem jęk wystrzału z blastera, ale szum miecza świetlnego nie ustał.

Ooryl przebiegł przez bramę, ostrzeliwując się i kładąc kolejnych nadbiegających szturmowców. Oslanialiśmy go z Elegosem, póki nie wszedł do wieży, a potem ruszyliśmy za nim. Pobiegłem prosto w stronę schodów prowadzących na dół. Po drodze zostawiłem dwóch szturmowców, rozłożonych w najdziwniejszych pozycjach. Piętro niżej dogoniłem Luke'a, który stał u wejścia do korytarza o ośmiokątne sklepieniem suficie, z licznymi drzwiami po obu stronach.

Luke stał przy panelu kontroli, przeglądając wydruk z nazwiskami więźniów.

- Sprawdzam, w której jest celi.

Spojrzałem na listę i puknąłem palcem w nazwisko Mirax.

- To ona.

- Cela 02021020.

Kiwnąłem głową i pobiegłem korytarzem.

- To tutaj.

Przestrzeliłem zamek i patrzyłem, jak drzwi rozsuwają się w deszczu iskier. Pierwsze trzy kroki pokonałem skokami, a potem zatrzymałem się.

Leżała tam, dokładnie tak, jak pokazał mi Exar Kun. Małe szare urządzenie przy mocowane do czoła mrugało czerwonymi i zielonymi diodami, a skąpana w srebrzystym świetle twarz była biała jak ściana, odcinając się ostro od ciemnych włosów. Wyglądała idealnie, jakby spała, a ja poczułem, że coś mnie ścisza za gardło.

Mirax, jakaś ty piękna, pomyślałem. Nie było cię przy mnie zbyt długo.

Luke przecisnął się obok mnie i pochylił nad głową Mirax.

- To nie to urządzenie powoduje, że jest nieprzytomna. Wygląda to raczej na trans Jedi. Zazwyczaj nie można nikogo wprowadzić w hibernację wbrew woli, ale jeżeli to urządzenie pokonało jej opór, mogło się to udać.

Przyznałem mu rację.

- Wiem co nieco o maszynach pokonujących opór. - Położyłem miecz i blaster na platformie, na której spoczywała Mirax. - Zdejmuj to urządzenie i budzimy ją.

Luke zdjął opaskę i rozbił ją o ścianę.

- Potrzeba czegoś więcej, by ją obudzić. - Wyciągnął rękę i dotknął jej czoła. - Jest taka technika Jedi...

Chwyciłem go za rękę.

- Znam ją. Czytałem o niej w notatkach dziadka. - Uśmiechnąłem się. - To moja żona, chcę mieć w tym swój udział. Ty wyprowadzisz ją z transu, a ja dam jej znać, że za nią tęskniłem.

Luke kiwnął głową i przeszedł na drugą stronę katafalku.

- Gotów?

- Do dzieła. - Kiwnąłem głową, pochyliłem się i pocałowałem moją żonę w usta.

ROZDZIAŁ

48

Mirax zamruwała piwnymi oczami i zaczęła się uśmiechać. Wyciągnęła rękę, zlała mnie za tunikę, przyciągnęła do siebie i przyłgnęła do moich ust. Całowaliśmy się z zapamiętałością odnalezionych kochanków, z sercami nagle uwolnionymi od ciężaru tęsknoty. Głaskałem jej włosy, a ona przyciągała mnie mocno do siebie, dopóki nie zabrakło nam tchu.

Odsunąłem się do tyłu, tak bym mógł zobaczyć całą jej twarz.

- Cześć, mała.

- Cześć, przystojniaku. - Jej uśmiech posłał przeze mnie falę gorąca, od czubka głowy do czubków palców i z powrotem. - Tylko uważaj, żeby cię nie zobaczył mój mąż. Jeśli się dowie, że całowałaś mnie w ten sposób, będziesz w poważnych tarapatkach.

Luke wybuchnął śmiechem.

- Podoba mi się ta twoja żona. Pocałowałem ją w czubek nosa.

- Pamiętasz Luke'a Skywalker'a?

- Jasne. Miło cię znowu widzieć, Luke, choć okoliczności mogłyby być lepsze. - Mirax usiadła, spuściła nogi na podłogę i przeciągnęła się.

- Nawet nie chcę wiedzieć, co to za dziura, powiedzcie mi tylko, że macie plan, jak nas stąd wydostać.

Odległy jęk blasterów towarzyszył Elegosowi, gdy wchodził do celi Mirax.

- Ooryl trzyma ich odciętych na schodach. Lepiej ruszajmy, zanim sprowadzą posiłki.

Mirax skłoniła głowę, witając Elegosa.

- Caamasi?

- Elegos A'kla, Powiernik społeczności caamasjańskiej na Kerilt. - Spojrzałem na nią. - Dobrze się mną opiekował.

Roześmiała się i zasalutowała Elegosowi.

- Masz moje podziękowania i podziw. Opiekowanie się nim to spore wyzwanie.

Elegos wzruszył ramionami.

- Ależ nie, doskonale go pani wychowała.

- Ale nadal zostawia porzucane ubrania? Odchrząknąłem.

- O tym porozmawiacie sobie później. Czy jest jakaś szansa, że przebijemy się stąd z powrotem do kosmoportu?

Elegos potrząsnął głową.

- Raczej nie.

Mirax chwyciła rusznicę laserową, którą położyłem obok niej na podium.

- W takim razie idźmy na dach dużej wieży. Jest tam małe lądowisko... tamtędy mnie tu przywieźli, kiedy opuściłam „Tancerza”. Zgarniemy jakiś śmigacz albo prom i dolecimy nim do naszego statku.

Luke skinął głową.

- To już jest coś. Mirax wskazała na drzwi.

- No to nie ma na co czekać! Mistrz Jedi spojrział na mnie.

- Dostrzegasz pewne podobieństwo pomiędzy nią a Marą? Wzdrygnąłem się.

- Skoro już o tym mówimy... lepiej, żeby one się nigdy nie spotkały, nie sądzisz?

- Masz rację.

Na końcu korytarza Ooryl zasypywał klatkę schodową gradem strzałów laserowych, zamieniając w sito ściankę na najbliższym podejściu. Dwóch szturmowców leżało w przejściu, pozostali wyglądali zza rogu. Cofnęli głowy, gdy Ooryl zaczął do nich strzelać. Rozciągając sferę percepcji zmysłowej wyczułem, że na schodach i w korytarzu nad nami czai się więcej żołnierzy.

Uśmiechnąłem się.

- Mam pewien plan. Mirax, podaj mi blaster. - Wskazałem na sufit. - Elegos, możesz mnie podsadzić?

Luke wyciągnął rękę.

- Pozwól, że ja to zrobię. Poruszył ręką niemal niezauważalnie, a ja uniosłem się ku sufitowi równie pewnie, jakbym stał na kamiennej platformie.

Zapaliłem miecz świetlny i wyciąłem w suficie nade mną koło, odrzucając je na bok, gdy Luke pchnął mnie jeszcze wyżej. Zrobiłem krok do przodu, podniosłem rusznicę i wpakowałem serię błękitnych promieni prosto w tłum szturmowców tłoczących się w końcu korytarza. Ich broje odbijały część energii, parując przy tym, co zmniejszało siłę innych strzałów, które zamiast ogłuszyć żołnierzy, po prostu lekko ich oszłomiły. Miałem ich jednak wystawionych jak na patelni - byli zdani na moją łaskę.

Elegos przeszedł przez wyciętą przeze mnie dziurę i zaczął strzelać. Jego błękitne pociski trafiały w zamroczone cele, oblewając je bąblem błękitu, w którym osuwali się na ziemię. Złapani w pułapkę przestali być właściwie jednostką bojową, stanowili tylko grupę łatwych celów do zestrzelenia. Wykończyliśmy ich w parę chwil.

Ooryl wbiegł po schodach, ale Mirax i Luke obrali krótszą trasę korytarzem. Mirax odebrała mi blaster, wzięła ogniwo energetyczne od Ooryla i pocałowała go w policzek. Odwróciła się i wskazała kierunek przeciwny od klatki schodowej.

- Tam jest korytarz, który prowadzi do głównego budynku. Na jego dachu znajdziemy platformę ładowniczą.

Luke prowadził.

- Musimy uważać. Szturmowców możemy wyczuć poprzez Moc, ale z Jensaarai pójdzie trudniej.

- Trudniej to za mało powiedziane. - Mirax wyrzuciła wyczerpane ogniwo energetyczne i włożyła na to miejsce nowe.

- Ich przywódczyni, ta kobieta, którą nazywają Saara-kar, z jakiegoś powodu uważa, że przetrzymywanie mnie tutaj chroni jej rodzinę przed zagładą. Kiedy do mnie mówiła, kiedy mnie karmiła - a wiem, że pomiędzy posiłkami spałam bardzo długo - stosowała jednocześnie czas teraźniejszy, przeszły i przyszły. Mówiła, że Halcyon jest jej zgubą albo przeznaczeniem, ale nie chciała powiedzieć nic więcej. Strasznie to było poplątane, ale nawet przez chwilę nie odniosłam wrażenia, że jest obłąkana.

Luke pokręcił głową.

- Pewnie sama rozumiała z tego niewiele więcej niż ty albo niż Keiran... to znaczy Corran... kiedy stracił z tobą kontakt. Nie wiedział jeszcze wtedy paru rzeczy, które pozwoliłyby mu umieścić wszystko na właściwym miejscu.

- Nadal nie jestem pewien, czy do końca rozumiem, co się wtedy stało.

- Nie, ale pewnie nie wiedzą tego również Jensaarai. - Luke zmarszczył brwi. - Przechodzą szkolenie podobne do Jedi, ale wypaczone i wzbogacone obcymi elementami. Nie jest to niezależna tradycja użycia Mocy, jak ta, którą wypracowały czarodziejki z Dathomiry. Nie jest też podobna do żadnej innej, o których słyszałem. - Wzruszył ramionami. - A to i tak za mało powiedziane.

- To ty! - słowa, które doszły do nas przez głośniki modułu łączności na skrzyżowaniu dwóch odnóg korytarza, były pełne gniewu, chociaż myślę, że przefiltrowane przez system łączności i tak nie oddawały w pełni uczuć osoby, która je wypowiedziała. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem holograficzny obraz Taviry, niemal naturalnej wielkości, z rękami opartymi na biodrach. - To ty byłeś tym Jedi na Courkrus!

- Do usług - zgodziłem się z nią. Przełożyłem miecz do lewej ręki, a prawą pokazałem na Luke'a i Mirax. - Pozwól, że ci przedstawię Luke'a Skywalkera, mistrza Jedi. Ta kobieta to Mirax Terrik; a to jest... zaraz, zaraz, właśnie po ciebie lecimy. Na pewno chciałabyś ich poznać osobiście.

- Jak śmiesz!

- Ano śmiem. - Wycelowałem palec w górę. - Zaraz tu będą statki Nowej Republiki. Dni „Gnębiciela” są policzone.

- Nigdy! Roześmiałem się.

- Nawiasem mówiąc, nie upłynął jeszcze wprawdzie miesiąc, ale moja odpowiedź brzmi „nie”.

- Ty śmieciu! Niech no tylko dostanę cię w swoje ręce...

- O tym możesz sobie tylko pomarzyć, kochanie. - Mirax przerwała połączenie. - Imperium nie istnieje od dobrych paru lat, a ona ciągle rzuca te same imperialne pogroźki. „Niech no tylko dostanę cię w swoje ręce!” Też coś! Kobieto, na jakim ty świecie żyjesz?

- Strasznie mi się podoba ta twoja Mirax - stwierdził Luke. - I zdecydowanie masz rację: nigdy nie powinny się spotkać z Marą!

Przyspieszyliśmy kroku, wbiegliśmy do głównego budynku i skierowaliśmy się na górę. Schody wijące się wokół wysokiego atrium w środku budynku miały balustrady dość grube, by mogły stanowić osłonę, z czego natychmiast skorzystaliśmy, podobnie

jak ci, którzy próbowali nas powstrzymać. Czerwone i niebieskie promienie laserowe świszczały i jęczały, wzniciając niewielkie kłęby dymu, gdy odbijały się rykoszetem od marmurowych kolumn i czarnych kamiennych okładzin ściennych. Przy tym nachyleniu schodów wydawało się, że będą krążyć w nieskończoność, ale to nas nie powstrzymało. Schody ciągnęły się bez przerwy, bez podestów na półpiętrach, których można by łatwo bronić, a nasi przeciwnicy musieli sobie poradzić z jeszcze jednym wyjątkowo denerwującym problemem: dwaj z tych, do których celowali, posługiwali się archaiczną bronią, którą odbijali nadlatujące strzały. Luke umiał nawet kierować je z powrotem w kierunku żołnierzy, którzy je wystrzelili, powalając ich lub zmuszając do przezwyciężania ognia na dostatecznie długo, by Ooryl, Elegos lub Mirax zdążyli do nich strzelić z flanki.

Na jednym z wyższych pięter poczuliśmy, że cały budynek zadrżał.

- Prom odlatuje. Elegos zmarszczył brwi.

- Tavira ucieka.

Wymieniłem spojrzenia z Oorylem.

- Albo ktoś do niej leci z rozkazami. - Spróbowałem rozciągnąć świadomość, żeby sprawdzić, czy Tavira jest już na promie, czy też ciągle w budynku, ale nic nie wyczułem.

- Coś mnie blokuje.

- Mnie też - przytaknął Luke. - To Jensaarai.

- Na pewno.

Jednym zrywem oczyściliśmy wylot ostatniego korytarza i pokonaliśmy tych kilka schodów, które dzieliły nas od przedsionka wielkiej sali audiencyjnej dawnego gubernatora. Sala została zaprojektowana tak, by od pierwszej chwili oszołomić wchodzących. W kwadratowy kształt zostały wpisane liczne koła, od spiralnych bazaltowych kolumn podtrzymujących sklepienie, aż po układ ornamentów na podłodze i suficie. Na drugim końcu sali, naprzeciwko nas, wznosiły się schody prowadzące na taras widokowy otoczony ścianami z transpastera. Widzieliśmy przez nie wschód gazowego giganta, rozświetlający wszystko swoim blaskiem.

Na półpiętrze, na szerokiej platformie stało masywne biurko z czerwonego granitu i wykute z tego samego kamienia, pokryte miękkimi poduszkami krzesło. Łatwo mogłem sobie wyobrazić gubernatora, jak przy nim pracuje, jak rozsądza sprawy wniesione przed jego oblicze. Opromieniony potęgą Imperium, sprawował niekwestionowane, autorytarne rządy na Susevfi. Wszędzie wokół sali, jak dworacy czekający na rozkazy, stały dziwne, rzadkie meble, a na nich leżały kupki monet, małe szkatułki pełne klejnotów i kolekcje bibelotów, stanowiące prymitywne, ale spektakularny pokaz bogactwa Taviry.

Cały ten luksus, który obrzuciłem jednym spojrzeniem, bladł jednak wobec sześciu postaci, stojących pośrodku komnaty. W samym centrum grupy stała kobieta w szarym płaszczu, z pasmami siwizny w długich brązowych włosach. Jej twarz okrywała maska, która jednak nie przedstawiała zwierzęcia, lecz twarz młodej kobiety, pięknej i uśmiechniętej. Ogień w niebieskich oczach, wyzierających spod maski, sugerował jednak, że daleko jej do śmiechu.

Wokół niej w ciasnym łuku ustawiło się pozostałych pięcioro Jensaarai w szarych płaszczach z odrzuconymi kapturami. Światło padające z paneli jarzeniowych nad ich głowami rzucało głębokie cienie na maski, stylizowane na gada, insektoidea i ssaka. Tego, który stał z prawej strony, widziałem na mostku obok Taviry. Pozostali, niżsi od tamtego, emanowali podnieceniem i oczekiwaniem.

Stojąca w środku kobieta uniosła prawe ramię i wycelowała we mnie miecz. Wystrzeliło z niego złote ostrze, od którego dzieliło mnie jednak jeszcze z pięć metrów.

- W końcu przybyłeś, Halcyonie, żeby nas zniszczyć. - Spojrzała poza mnie. - Reszta z was może odejść. Zrobiliście swoje, sprowadzając tu Halcyona.

Zmarszczyłem czoło.

- Porwaliście Mirax tylko po to, by mnie tu sprowadzić? Trzeba było podać adres, a pojawiłbym się tu znacznie prędzej.

Ooryl położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie chodziło o to, gdzie masz przybyć, tylko kiedy.

- Wybór przyszłości dokonuje się w momencie, gdy rodzi się ta przyszłość, której pożądasz. - Kobieta zsunęła płaszcz, ukazując resztę zbroi, również stylizowanej na ciało pięknej kobiety, które - choć powabne - było również niewątpliwie zabójcze. Pochyliła miecz w moją stronę w postawie, która coś mi przypominała. Trzymała miecz jak sztylet, w lewej ręce, prawą opierając na rękonożki. - A właściwy moment jest właśnie teraz.

Luke postąpił pół kroku do przodu i stanął u mojego boku.

- Zaczekaj chwilę! Jestem Luke Skywalker. Nie ma potrzeby, by przelewać tu więcej krwi. - Skywalker, tak. Przewidywałeś moją interwencję. - Kiwnęła głową. - Moi uczniowie cię zabawią, a potem cię zabiją, po to, by oni mogli dalej żyć.

Piątka otaczających ją postaci przesunęła się lewo, odrzucając płaszcze, które opadły na podłogę. Każdy z nich wyciągnął i włączył miecz świetlny.

- Saarai-kar, nie rób tego. - Luke wskazała na uczniów. - Nie chcę ich zabijać.

- W takim razie będziesz miał problem, Skywalkerze. - Skinęła na mnie głową. - Podejdz, Halcyonie, zabijaj lub giń. W tym punkcie czasu nie ma innej możliwości.

Włączyłem miecz, gdy ruszyła na mnie i zablokowałem pierwszy cios nisko z prawej strony. Spodziewałem się, że obróci nadgarstek w skrajną pozycję, który pozwoli jej przeczesać złotym ostrzem miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdowałem. Zrobiłem unik i zaatakowałem jej nogi, ale zatańczyła nad ostrzem mojego miecza. Nie spodziewała się jednak, że nie wstanie, tylko zawiruję w kucki, opierając się na lewej dłoni. Kiedy dotknęła ziemi, wypchnąłem nogi w jej kierunku, pozbawiając ją równowagi.

Poderwałem się, by iść za ciosem, ale moja przeciwniczka wcale nie upadła. Po prostu wykonała powolne salto do tyłu. W momencie, gdy dotknęła stopami ziemi, ponowila natarcie, wykonując zwody w prawo i w lewo. Cofnąłem się i przygotowałem do odparowania jej ataku. Kiedy ostrze spadło na mnie z lewej strony, odparowałem je końcem klingi do góry i w tył, zataczając mieczem zamasyzowane koło. Jednocześnie przesunąłem się w stronę przeciwniczki, tak że przez chwilę staliśmy ramię przy ramieniu. Uderzyłem lewym łokciem w jej maskę, odrzucając głowę do tyłu, i poprawiłem zaraz szybkim cięciem.

Z mojej lewej strony Luke rozprawiał się z resztą Jensaarai z niebywałą wprawą i łatwością. Uświadomiłem sobie, iż jedyna pomoc, jakiej potrzebował ode mnie na Co-urkrus tamtej nocy, gdy zmierzaliśmy się z pozostałymi wysłannikami bractwa, to potrzymanie płaszcza. Szybka parada mieczem, poprawiona pchnięciem Mocy - i już dwóch przeciwników leżało na ziemi. Kolejna parada i uderzenie rękojeścią miecza w głowę wystarczyło, by powalić kolejnego. Telekinetyczne pchnięcie prosto w maskę okrywającą twarz następnego oślepiło go i podczas gdy próbował utrzymać równowagę, ostrza dwóch mieczy siłowały się wśród trzasków i zgrzytów.

Saarai-kar zaatakowała mnie z zimną furią, a w sposobie, w jaki trzymała miecz, rozpoznałem styl walki Anzacztyka, który zabił mojego dziadka. Wymierzyła cios na poziomie mojego pasa, ale odskoczyłem w tył; zaraz poprawiła, muskając wysuniętą do tyłu nogę. Ostrze rozcięło szatę i przysmażyło wierzchnie warstwy skóry na moim prawym biodrze, ale nie wyrządziło mi poważniejszych szkód. Okręciłem się na prawej pięcie, a lewą wymierzyłem kopniaka, który posłał ją w tył na duraplastowy kufer wypełniony monetami.

Rzuciła garść monet w moją stronę, a dopiero po chwili zorientowałem się, co zamierza. Telekinetyczne pchnięcie przyspieszyło monety, którymi we mnie rzuciła. Większość z nich udało mi się odbić mieczem, ale dwie trafiły mnie w pierś, a jedna rozcięła czoło nad prawą brwią.

Dosyć tego! - uznałem. Otworzyłem się w pełni na Moc i poczułem, jak przeze mnie przepływa. Rzuciłem się na Saarai-kar, odrzuciłem na bok klingę jej miecza i wpakowałem kopniaka w okryty zbroją brzuch. Cofnęła się o krok, ale zaraz natarła na mnie znowu. Odparowałem jej atak i wymierzyłem cios, który powinien był przeciąć jej napierśnik i odrąbać lewą rękę.

Poczułem ukłucie bólu biegnące od miecza w górę ramienia; pozbawiło mnie czucia w rękę. Jednocześnie ostrze miecza zamigotało i zgasło. Saarai-kar wzdrygnęła się, złapała za dymiącą zbroję, a miecz wypadł jej z dłoni i zgasł. Warknęła i pokręciła głową, a ja z tyłu usłyszałem szelest. Jeden z płaszczy, rzuconych na podłogę przez jej uczniów, zaplątał mi się wokół kostek, pozbawiając mnie równowagi. Upadek zamroczył mnie na chwilę, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem stojącą nade mną Saarai-kar ze złotym mieczem uniesionym do góry, gotowym rozplatać mi głowę na dwoje.

Zareagowałem zupełnie nieświadomie poprzez Moc. Wysłałem do jej umysłu wzięję Nikkosa Tyrisa, leżącego na moim miejscu.

Zawahała się.

- Mistrzu?

Strzał wycelowany przez Mirax ogłuszył Saarai-kar, trafiając ją prosto w pierś. Wypłatałem nogi z płaszcza i usiadłem. Mirax kucnęła przy mnie z rusznicą wycelowaną cały czas w okrytą zbroją kobietę. Wpakowała w nią kolejny strzał, który wstrząsnął bezwładnym ciałem Saarai-kar.

- Brawo - powiedziałem. Mirax uśmiechnęła się.

- Dzięki. Próbowałam strzelić do niej wcześniej, ale poruszaliście się zbyt szybko, żebym mogła pewnie wycelować. Potem sprawa się wyjaśniła.

- Tak, bo akurat w tym momencie rozproszyłem ją, umieszczając w jej umyśle pewien obraz. Walczyła w sposób przypominający styl walki zabójcy mojego dziadka, więc sprawiłem, że go zobaczyła, a ona zawahała się na moment. - Podniosłem się na kolano i mocno pocałowałem Mirax w usta. - Dzięki za ratunek.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Przeczesała palcami moje włosy. - A tak na marginesie... możesz zachować futerko na brodzie, ale musisz zmienić kolor.

Podszedł do nas Luke i uklęknął przy Saarai-kar. Zdjął jej maskę, spod której ukazała się twarz wprawdzie nieco bardziej zniszczona życiem i wiekiem, ale niewątpliwie ta sama, którą wyrzeźbiono na masce. Luke dotknął jej czoła i pokiwał głową.

- Nic jej nie będzie. Co się stało z twoim mieczem?

- Nie wiem. - Podniosłem go i wcisnąłem aktyuator. Ostrze wystrzeliło jak gdyby nigdy nic, bez mrugania i drżenia. - Nieźle mnie kopnęło. Może coś w zbroi spowodowało zwanie? Na przykład kortozjańska ruda?

Mirax uniosła maskę.

- Są w rym kortozjańskie włókna? To dość rzadkie w dzisiejszych czasach. - Zresztą to dobrze, bo nie ma z nich żadnego pożytku. Ale trzeba przyznać, że ładnie zrobione.

- Mamy problem. - Elegos spojrział na nas zza biurka gubernatora. Wcisnął jakiś przycisk, a wbudowany w biurko holoprojektor wyświetlił obraz. Pokazywał taktyczne zdjęcie układu w okolicach gazowego giganta. - Wczytałem dane z naszego statku do tego projektora. Pokazał, że „Gnębićiel” opuszcza pierścień i kieruje się w naszą stronę.

Potrząsnąłem głową.

- Tavira nie lubi przegrywać i z radością zbombarduje cały księżyc, żeby się nas pozbyć. Już po Yumfli.

Nagle na holoobrazie pojawiły się nowe statki, kierujące się w stronę Susevfi kursem przecinającym tor lotu atakującego „Gnębićiela”.

- Mam tu jednostki zidentyfikowane jako „Zdradziecki Cios” i „Błędna Wyprawa”. Właśnie wchodzą do systemu. Wypuszczają myśliwce - łapsy i X-skrzydłowce.

Luke spojrział na mnie pytająco.

- X-skrzydłowce? Elegos przytaknął.

- Wylatują z „Błędnej Wyprawy”. „Gnębićiel” też wypuszcza łapsy, które nadlatują w ich stronę. Będą w zasięgu za pięć minut.

Mirax podniosła głowę.

- Nie możemy im na to pozwolić.

- Siły są wyrównane - odpowiedział Elegos. - Oba statki to imperialne gwiazdne niszczyciele.

Prychnąłem i wstałem.

- Tak, ale statek Boostera ma nie więcej niż garstkę dział. Czy możesz nas połączyć z „Wyprawą”? Mirax, udałoby ci się namówić Boostera, żeby stąd odleciał?

- I zostawił nas na pastwę Taviry? Mało prawdopodobne. - Wzdrygnęła się. - Tavira bez trudu rozprawi się z „Wyprawą”, a potem z nami.

Luke spojrział na mnie.

- Spróbuj się połączyć z Tavirą. Może zdołamy coś wytargować.

- Wytargować? Z Tawirą? To na nic. — Potrząsnąłem głową. -Na ile ją znam, nie ma sposobu, by udało nam się ją przekonać... -przerwałem na chwilę i stuknąłem się dłonią w czoło. - Na ikrę Sithów, ale jestem głupi!

- Co takiego?

Uśmiechnąłem się do Mirax i wbiegłem po schodach na taras widokowy.

- Nie przejmujcie się. Mam na nią sposób. Zajmę się tym. Zaraz ją usunę z systemu.

- Usuniesz ją? - głos mistrza Jedi był chłodny i pewny. -Chcesz, żebym ci pomógł?

- Nie.

- Na pewno nie potrzebujesz pomocy?

- Nie - uśmiechnąłem się do niego. - Pamiętasz chyba, że „wielkość się nie liczy”? A telekineza to nie jedyny sposób, by usunąć stąd „Gnębiciela”.

Zebrałem w sobie Moc i uformowałem z niej stożek świadomości, który przeszukiwał niebo nad nami w poszukiwaniu białego sztyletu wycelowanego w planetę. Znalazłem go bez trudu. Pulsował życiem, pełen strachu, gniewu i arogancji. Posuwałem się dalej, aż dotarłem do miejsca, gdzie arogancja, gniew i oburzenie wydawały się skupiać w jednym punkcie. Przeniknąłem do umysłu Tawiry, kierując się tam, skąd wpływały wszystkie jej obawy i pewność siebie.

Słuchałem, jak oficerowie pytają Tawirę o zasięg celów i wydają rozkazy. Wszczyłem do jej umysłu odrobinę wątpliwości:

„To chyba niemożliwe, by Nowa Republika wysłała przeciw mnie tak nieliczne siły. Czy Jenos nie mówił, że grupa uderzeniowa jest już w drodze? Był tak pewny siebie, a przecież nie powinien. Pracował z nami, a zarazem przeciwko nam, wydzierając nasze tajemnice. Dowiedział się, w jaki sposób działamy i wszystko, co wiedział, przekazał Nowej Republice”.

Pozwoliłem jej przez chwilę słuchać swoich ludzi i zwiększałem niepokój, jaki czuła, zdziwiona łatwością zwycięstwa.

„Jensaarai kryli nasz statek, ale przecież Nowa Republika na pewno może w tym samym celu wykorzystać swoich Jedi. Wysłali dwójkę na powierzchnię, żeby uwolnili więźniów, ale gdzie jest reszta? Gdzie są pozostali rycerze Jedi? Co teraz robią? Czy Nowa Republika odważyłaby się wystąpić przeciwko mnie, nie zapewniwszy sobie wcześniej ich pomocy?”

W jednej chwili zrozumiała, że Nowa Republika uważała ją za tak wielkie zagrożenie, że zrobiłaby wszystko, by ją pochwycić, co oznaczało, że na pewno wysłali przeciwko niej wszystkich rycerzy Jedi. Co więcej, użyli Jedi, by wciągnąć ją w pułapkę, obracając przeciwko niej metody, które sama stosowała, by wymykać się Nowej Republice. Pozwoliłem jej poczuć, że gdyby się skoncentrowała, gdyby pomyślała z właściwą sobie przenikliwością, rozerwałaby zasłonę podstępów, którymi Jedi omamili ją samą i jej załogę. Wyteżyła więc umysł, co niewiele dało, ale nagrodziłem ją za ten wysiłek.

Holograficzny obraz „Błędnej Wyprawy” zastąpił wizerunek większego, znacznie większego statku: gwiazdnego superniszczyciela, który rozgromiłby jej „Gnębiciela” równie łatwo, jak ona rozprawiła się z „Krzywdą Zuay”. Pokazałem jej wszystko, co

zapamiętałem o „Lysankyi”, gwiazdnym superniszczycielu Ysanny Isard, dodając do tego sporą dawkę strachu.

Dotknąłem jej paranoi, pozwalając również, by prześladowała ją własna fantazja. Z brzucha gwiazdnego superniszczyciela wyłonił się smukły, podobny do igły myśliwiec. Pokazałem jej Pogromcę Słońc i pozwoliłem przez chwilę kalkulować potencjalne straty, jakie spowodowałby ten niezniszczalny statek, przyspieszając do prędkości światła, by następnie staranować „Gnębiciela”. Rozerwałby go od dziobu do rufy w ciągu kilku sekund. Superniszczyciel ostrzeliwałby wrak, aż pozostałyby z niego tylko stopione wstęgi metalu i splonęły w atmosferze Susevfi, oferując mieszkańcom księżycy fantastyczny spektakl.

- Odwołać rozkazy! - usłyszałem jej krzyk. - To pułapka, pułapka zastawiona przez Jedi! Wycofujemy się! Obliczcie kurs, który nas stąd zabierze, i to jak najdalej!

Wróciłem do siebie i oparłem się o barierkę tarasu widokowego. Usłyszałem z dołu, jak Elegos mówi:

- „Gnębiciel” zawraca. Tawira opuszcza system. Obróciłem się powoli i nonszalancko oświadczyłem:

- Po problemie! Mirax uniosła brew.

- Tak ci się wydaje?

- Jasne.

Mirax uśmiechnęła się.

- Ale mój ojciec pomyśli, że uciekła przed nim. Stanie się nie do wytrzymania. Do końca życia będziesz wysłuchiwał, jak to ocalił mi życie, przy okazji ratując także twoją nic nie wartą głowę.

- Trudno. - Zmusiłem się, żeby to powiedzieć. - Postaram się pamiętać, że Jedi nie zna bólu.

ROZDZIAŁ

49

Po ucieczce „Gnębiela” w systemie Susevfi dość szybko zapanował spokój. Nawiazaliśmy kontakt z Boosterem, a przez niego z Nive'em. Bardzo przeproszał za sprowadzenie Boostera do systemu i udostępnienie mu danych, które zostawiliśmy dla Crac-kena, ale Booster bardzo mocno nalegał, a jego imperialny niszczyciel był argumentem nie do zbiccia. Nive skontaktował się z pułkownik Gurt, poinformował ją, co jest grane i zaproponował, że i ją, i każdego z byłych Gnębów, którzy wyrzekną się walki, włączy do Ocalałych, co pozwoli objąć ich dobrodziejstwami oferty, którą złożyliśmy mu z Lukiem. Pułkownik Gurt, jako najstarszy stopniem oficer Gnębieli obecny na miejscu, kazała wycofać się siłom stawiającym opór, a Eskadra Łotrów wylądowała na terenie pałacu, żeby powstrzymać ewentualnych zwolenników walki do czasu, gdy Booster będzie mógł wysłać wahadłowiec z ochroniarzami, a Nive sprowadzi na dół swoich ludzi, by zajęli się siłami naziemnymi.

Eskadra Łotrów była akurat na dalekim patrolu, gdy złapał ich Cracken i skierował na Courkrus. Chociaż lecieli z daleka, wykreślili ambitny kurs, który pozwolił im dotrzeć na Courkrus jeszcze przed Boosterem. Kiedy pojawił się Booster, zaproponował, że ich podwiezie na Susevfi, więc zabrali się z nim na pokładzie niszczyciela. Pułkownik Celchu i pułkownik Gurt spotkali się po raz pierwszy na powierzchni, żeby omówić warunki, na jakich Ocalali będą mogli zatrzymać swoje statki. Niebawem na spotkaniach zaczęli się pojawiać miejscowi politycy, a ja nie miałem wątpliwości, że w ciągu kilku tygodni Susevfi zwróci się do Nowej Republiki z prośbą o pełne członkostwo, oferując swoją eskadrę myśliwców, zaś Ocalali znajdą sobie miły, nowy dom.

Jakby tego było mało, Elegos zauważył, że Susevfi wygląda na planetę znacznie przyjemniejszą niż Kerilt. Pojawiła się zatem możliwość, że przynajmniej część kolonistów Caamasi przeniesie się tu z Kerilt. Byłem przekonany, że w towarzystwie Caamasi i pod ich kierunkiem Ocalali i reszta Gnębów zamienią tę planetę w oazę siły i pokoju.

Pewien problem stanowili nadal Jensaarai, ale i tutaj obecność Caamasi pozwoliła wypracować rozwiązanie, które inaczej byłoby niemożliwe. Do czasu, gdy moja rana zdążyła się wykurować, a sytuacja na powierzchni się uspokoiła, Jensaarai przewiezieni przez Nive'a dołączyli do tych, których pokonał Luke i do pozostałych, stacjonujących

na niewielkiej bazie, która tworzyła pierścień ochronny dla „Gnębiela”. To oni ukrywali „Gwiezdny Piruet”, którym przylecieli na powierzchnię Susevfi.

Saarai-kar, kiedy odzyskała przytomność, była wyraźnie zdziwiona, że nadal żyje. Fakt, że jej uczniowie nie zostali zgładzeni, a nawet pozwolono im zatrzymać broje i miecze, najwyraźniej ją zmieszał. Zanim usiadła na kanapie w prywatnych apartamentach gubernatora, do których ją doprowadzono, spojrzała najpierw na swoich uczniów, potem na Luke'a, Elegosa i w końcu na mnie.

- Czy w ten właśnie sposób postanowiłeś ze mnie zakpić, Halcyonie? - Machnęła ręką w stronę swoich uczniów. - Zebrałeś ich tu, żeby mi pokazać, że przeciągnąłeś ich na swoją zbrodniczą ścieżkę?

Zwracała się do mnie, co mnie zdezorientowało, bo przecież to Luke był tu mistrzem. Potrząsnąłem głową.

- Gdyby moja ścieżka była ścieżką zbrodni, czy siedziałabyś tu teraz żywa?

- Torturujesz nas nadzieją, zanim nas uśmiercisz. Nazywacie siebie Jedi, ale odwróciliście się od prawdy Jedi pokolenie temu, a potem jeszcze raz. A ci, którzy was zastąpili, nie byli lepsi. - Uniosła podbródek z ogniem w niebieskich oczach. - To my jesteśmy prawdziwymi Jedi, to my jesteśmy Jensaarai. Już raz próbowałeś nas zniszczyć, ale nie udało ci się.

Zmarszczyłem czoło. - Nigdy przedtem cię nie spotkałem. Nigdy tu wcześniej nie byłem, a już na pewno nigdy nie próbowałem zaszkodzić tobie ani twoim ludziom.

- Mówisz jak typowy Halcyon, wypierający się zła, którego jest dziedzicem.

Spojrzałem na Luke'a.

- Nie chwytam, o co tu chodzi.

- Ja też nie.

Elegos położył nam dłonie na ramionach.

- Jeśli pozwolicie... Wzruszyłem ramionami.

- Ustaw kurs i lecimy!

Caamasi dał krok do przodu i opadł na jedno kolano przed Saarai-kar.

- Jensaarai to twoje dzieło. Stworzyłaś ich i uczyłaś na podobieństwo tego, czego nauczono ciebie samą. - Elegos mówił cicho i z szacunkiem, głosem przenikliwym, ale delikatnym i dodającym otuchy. - Jesteś pierwszą z Saarai-kar, ale przechowujesz wspomnienia o innych, których czcisz za ofiarę, jaką ponieśli.

Zamrugła kilka razy, a potem spuściła głowę.

- Tak, to prawda.

Spuściłem wzrok, bo wreszcie fakty zaczęły do mnie docierać i składać się w sensowną całość. Kiedy byłem zdany na łaskę Saarai-kar, umieściłem w jej umyśle obraz Tyrisa z mojego snu, bo rozpoznałem jej styl walki jako styl anzateckiego Jedi. Zrobiłem to instynktownie, i całkowicie umknęło mi znaczenie tego, że powiedziała „Mistrzu”, kiedy się zawahała. Patrzyła na mnie, widziała mój mundur, srebrne ostrze, i widziała we mnie mojego dziadka albo kogoś, kto przybył, by zakończyć dzieło rozpoczęte przez Nejaa Halcyona. Chociaż jednak starałem się jak mogłem, nie mogłem jej umiejscowić w moim śnie.

Elegos złożył dłonie.

- Ci, których pamięć czcisz, byli twoimi nauczycielami i przyjaciółmi. Za ich śmierć winisz Halcyona, podobnego do tego tutaj, i drugiego Jedi, podobnego do mnie, czy tak?

W jej głos wkradła się nuta hysterii.

- Tak. - Wycelowała we mnie palec. - To Halcyon zabił mojego mistrza i mojego męża, a potem wycofał się, pozostawiając nas samym sobie. Nie dbali o nas, o szkody, jakie wyrządzili. Mieli służyć wszystkim żywym istotom, ale opuścili nas, dowodząc, że Jedi to kłamcy. Wiedzieliśmy już wcześniej, bo powiedzieli nam to nasi mistrzowie, że jesteśmy osobną rasą. Nadejście Jedi tu na Susevfi tylko potwierdza, że wszystko, czego nas nauczyli, jest prawdą.

Luke rozłożył ręce.

- Prawda jest często kwestią punktu widzenia. W oczach Saara-kar zalsnił gniew.

- Ciebie tam nie było. Nie masz żadnego punktu widzenia. Już miałem wspomnieć o moim śnie, gdy Elegos wyciągnął rękę i położył ją na jej kolanie.

- Ale ja mam. Podzielę się nim z tobą. Spojrzała ostro na Elegosa.

- To nie ty byłeś tamtym Jedi.

- Nie, ale podzielę się z tobą moją tajemnicą. Ofiaruję ci zaufanie, byś i ty mogła nam zaufać. Wiem, że nie chcesz niczyjej krzywdy, dlatego ci zawierzę. Zrobię to dlatego, żebyś mogła się powstrzymać od krzywdzenia innych.

Luke spojrzał na mnie pytająco, ale kiwnąłem głową, by dodać mu otuchy.

- On wie, co robi.

Z głosu Saara-kar emanowała podejrzliwość.

- Co zrobisz?

- Caamasi mają pewien dar, pozwalający im przechowywać wspomnienia ważnych chwil, a w wyjątkowych przypadkach także się nimi dzielić. Odkryliśmy, że jako lud możemy się dzielić wspomnieniami z naszymi współplemieńcami, ale jeśli chodzi o osoby spoza naszej rasy, możemy je przekazywać tylko Jedi. Myślę, że jest to możliwe dzięki ich więzom z Mocą i każdy z nas, kto prawdziwie poznał Jedi, ma przywilej dzielenia się z nim memni.

Odwrócił się, złapał mnie za rękę i pociągnął do przodu.

- Poznałem tego człowieka pod wieloma nazwiskami; jedno z nich to Keiran Halcyon, wnuk Nejaa Halcyona. Nejaa był tym, którego oskarżasz, że jest mordercą, a Caamasi, który mu wtedy towarzyszył, był moim wujem. Wuj przekazał mi memni tego, co się wtedy stało, dzieląc się ze mną wspomnieniem śmierci swojego przyjaciela. To jest ten punkt widzenia, z jakiego patrzę na tamte wydarzenia, a teraz chciałbym podzielić się nim z tobą, w nadziei, że zrozumiesz odmienną perspektywę.

Saara-kar wyciągnęła rękę do Elegosa.

- Pokaż mi swoje wspomnienie. Elegos wstał, ale nie wypuścił mojej ręki z uścisku.

- Nie znam cię dość dobrze, by przekazać ci to wspomnienie. Znam natomiast Keirana, więc przekażę je jemu, on zaś, jak wiesz, potrafi to wyświetlić w twoim umyśle.

- Więc chcesz, żebym zaufała też Halcyonowi? Prosisz o zbyt wiele, Caamasi.

Elegos popatrzył na nią.

- Czy naprawdę proszę o zbyt dużo, jeśli to mogłoby cię uwolnić od ciężaru, który dźwigasz od czterdziestu lat? Czy proszę o zbyt dużo, biorąc pod uwagę, że ten człowiek mógł zabić ciebie i twoich towarzyszy, a nie zrobił tego, choć -jak twierdzisz - po to właśnie tu przybył? Twoja ostrożność jest godna podziwu, ale nie pozwól, by stała się barierą między tobą a prawdą.

Zawahała się, ale wreszcie skinęła głową.

- Rozważę to, co mi pokażecie.

- Dobrze. - Elegos popatrzył na mnie. - Przygotuj się.

- Czy mam to wysłać tylko do niej, czy włączyć też mistrza Skywalkera i jej uczniów?

Luke uśmiechnął się.

- Będę zaszczycony, jeśli zechcesz się ze mną podzielić tym wspomnieniem.

Saara-kar zmrużyła oczy, a potem powiedziała:

- Niech to zobaczą.

- W porządku. Myślę, że jestem gotowy.

Poczułem mrowienie biegnące od dłoni do mózgu. Sięgnąłem do Mocy i połączyłem jej prąd z prądem płynącym od Elegosa, a potem wypchnąłem ją ku innemu osobom w pokoju. Wszedłem w kontakt z każdym. Od niektórych emanowało gorąco, od innych -chłód, ale jaki! Posłużyłem za obwód i obserwowałem memni przepływające przez mój umysł.

Nawet gdybym próbował ingerować w jego zawartość lub modyfikować ją, wątpię, czy by mi się to udało. Patrzyłem bowiem oczami Caamasi, obudowany w jego kościec i muskulaturę, a jakiegokolwiek zmiany byłyby ewidentnie ludzkiego pochodzenia i stanowiłyby sztuczny wtwór. Co więcej, intensywność i zakres napływających danych sensorycznych oszołomiły mnie. Widzenie i słuch, smak, dotyk, węch - ależ to wszystko pachniało! - dostarczały tylu wrażeń, że nie byłem w stanie ich od siebie rozdzielić. Memni było niczym holowideo tak złożone, że tylko oglądając je wielokrotnie raz po raz zdołałbym wyodrębnić poszczególne jego elementy.

Znalazłem się w ciele Ylenika Ifkla, u każdego boku mając innego Jedi. Mój dziadek występował jako Pikantne Drzewo - Ylenic znał oczywiście jego imię, ale wyostrzony węch Caamasi sprawiał, że przy przechowywaniu informacji o tożsamości innych węch odgrywał rolę znacznie ważniejszą niż nazwisko. Drugiego Jedi Ylenic nazywał Pustynnym Wiatrem. Usłyszałem, jak Pustynny Wiatr ostrzega ciemnego Jedi, który przed nim stał. Słyszałem też wszystkie odpowiedzi, dokładnie takie, jakie zapamiętałem z mojego snu. Potem zaczęła się bitwa: zalsniły miecze, sycząc, krzesząc iskry i poszczekując.

Poruszanie się w walce w ciele Caamasi sprawiało dojmująco obce wrażenie. Jego patykowate członki i zwodniczo szczupłe mięśnie odznaczały się niewiarygodną siłą i gracją. Chociaż musiał brnąć przez pył i piach, bez trudu utrzymywał równowagę, w każdej chwili gotów ruszyć do ataku. Obserwowałem, jak moja przeciwniczka zbliża się, siekąc mieczem na prawo i lewo i wypróbując moją obronę. Widać było, że jest dobrze wyszkolona, ale jak dobrze - to pozostawało dla mnie tajemnicą, więc poczułem ukłucie strachu, kiedy ruszyła na mnie.

Ból eksplodował mi w lewym boku, kiedy rudowłosa kobieta - Róża Piasków - drasnęła końcem błękitnego miecza moje ciało. Poczulem zapach spalonej tkanki, który natychmiast zagłuszył ból. Zawirowałem z niewiarygodną szybkością, robiąc pełny obrót i odrzucając jej ostrze na bok moim czerwono-złotym mieczem.

Była dobra, ale wiedziałem, że jestem lepszy.

Mięśnie mi stężały, kiedy unosiłem ostrze, by zaatakować z góry cięciem, które pokonało jej gardęj rozcięło ją od barku po biodro. Róża Piasków zatoczyła się i upadła na ziemię. Eksplozja niebieskiej energii natychmiast strawiła jej ciało, odrzucając mnie w tył.

Poprzez więzy łączące mnie z Saara-kar odczułem ukłucie bólu, wywołanego śmiercią Pustynnej Różki, ale było to nic w porównaniu z tym, co odczułem spojrzawszy w lewo. Zobaczyłem Pikantne Drzewo powalonego na ziemię, a jego miecz świetlny daleko poza zasięgiem. Wiedziałem, że jeśli się skoncentruję, jeśli pokonam ból, zdołam przesunąć miecz, tak by znalazł się w jego ręku. Zajęłoby to tylko chwilę; Anzatzczyk Nocny Pot napawał się właśnie swoim zwycięstwem, dając mi w prezencie brakujące cenne sekundy.

Wtedy Pikantne Drzewo zanurkowało po swój miecz, a Nocny Pot przebił go ostrzem. Niemal czułem, jak przepala się przez ciało mojego przyjaciela, rozcinając więzy, łączące jego życie z cielesną powłoką. Myślałem, że zginie natychmiast, ale udało mu się uśmiechnąć. Lazrowe ostrze, które przyszpiliło go do ziemi, nagle zamigotało i zgasło. W jednej chwili zrozumiałem, co zrobił, jak zastosował jeden z najrzadszych talentów Jedi, ale będzie musiał za to zapłacić straszliwą cenę.

Nocny Pot wzbił się w powietrze, jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, a potem Anzatzczyk jakby zapadł siew sobie. Widziałem, jak jego ciało leci prosto w namioty wzniesione pod durabetonową kopułą. Nocny Pot eksplodował, podobnie jak wybuchło ciało mrocznego Jedi, który walczył z Pustynnym Wiatrem. Ich śmiertelne powłoki nie były już dłużej w stanie magazynować energii Ciemnej Strony, uwalniającej się w błękitnej kuli ognia, która roztrzaskała kopułę. Rzuciłem się w kierunku Pikantnego Drzewa, wyciągając go spod walącego się dachu. Czułem, jak Pustynny Wiatr podtrzymuje ją wokół mnie, dopóki nie wyszliśmy na wolną przestrzeń.

Uklęknałem na brudnej ziemi, biorąc głowę zmarłego przyjaciela na kolana. Pustynny Wiatr stanął u mojego boku i położył mi rękę na ramieniu.

- On chyba wiedział, że Tyris jest dość dobrym szermierzem, by zabić jednego z nas. Nejaa wiedział, że na miecze świetlne go nie pokona, więc znalazł inny sposób, by nas ochronić.

Głodziłem twarz mojego dziadka palcami Caamasi, ocierając krew spływającą z rany na głowie i z kącika ust.

- Przeżył tak wiele, by teraz zginąć. Czy to nie smutne?

- Ale zginął ratując wszystko, co dobre. Należy mu się chwała.

- Smutniejszy będzie dzień, gdy ta szlachetność odejdzie w niepamięć.

- Lub wzbudzi strach.

- Tak, to byłoby jeszcze gorsze. - Uśmiechnąłem się i wciągnąłem powietrze, napelniając nozdrza zapachem przyjaciela. Czułem, jak jego ciało traci na wadze, a kiedy

spojrzałem w dół, zobaczyłem, że znika; jego spalone szaty opadają na moje uda, a miecz świetlny - w pustynny piach. Tuż za nim ostatni fragment kamiennej kopuły zapadł się z hukiem. Kilka ceramicznych płytek odpadło i wyleciało w powietrze. Złapałem jedną z nich, badając kciukiem dziwne glify, które na niej wryto.

Zacząłem drzeć, ale Pustynny Wiatr mnie podtrzymał.

- Jesteś ranny, mój przyjacielu. Musisz stąd uchodzić. W miejscu tak pełnym zła jak to nie sposób nikogo uleczyć.

- Mogę wrócić na Yumfla.

- Dobrze, a stamtąd na Korelię. - Pustynny Wiatr pomógł mi wstać. - Rodzina Nejaa będzie chciała wiedzieć, że zginął jak bohater.

Wspomnienie zaczęło się rozwiewać, zastąpione przez obraz pokoju, w którym się znajdowałem. Na wargach czułem smak soli. Podniosłem rękę do oczu i otarłem łzy. Odwróciłem się w stronę Elegosa, żeby mu podziękować, ale słowa uwięzły mi w gardle.

Elegos kiwnął głową.

- Nic nie mów. Wiem. Saara-kar odezwała się cicho:

- Dobrze znam ból, jaki się czuje po stracie towarzysza. Współczuję twojemu wujowi, Caamasi. Jednak jego przekonanie, że on i jego kompani mieli rację, nie znaczy, że rzeczywiście tak było. Kiedy ta kopuła się zapadła, mój mąż zginął przygnieciony jej ciężarem. Straciliśmy kilkoro przyjaciół, a ja zostałam sama z trójką uczniów. - Położyła rękę na brzuchu. - I z tym chłopcem, którego nosiłam w sobie. Ukryliśmy się przed Jedi, oplakaliśmy naszych zmarłych i pogrzebaliśmy ich. Ich śmierć nas połączyła, związała nierozzerwalnymi więzami. Po tej tragedii rozpoczęliśmy nowe życie. A teraz wy chcecie nas przekonać, że kroczyliśmy ścieżką zła.

Kiwnąłem głową.

- Wspomnienie to potwierdza. Te napisy na płytkach... rozpoznałem je. Takie same widziałem na Yavin 4. To pismo Sithów.

Saara-kar przytaknęła.

- Nasi mistrzowie odkryli informacje o zapomnianych technikach Sithów u antykwariusza, który natrafił na pewne znaleziska. Dowiedzieli się, że Jedi wykradli swoje nauki Sithom, wypaczyli ich naukę, a nasi mistrzowie chcieli powrócić na właściwą ścieżkę. „Jensaarai” w języku Sithów oznacza „ukrytego wyznawcę prawdy”. Tak jak „Saara-kar” jest strażnikiem tej prawdy. Nie jesteśmy zli.

Luke potrząsnął głową.

- Rzeczywiście nie jesteście. Zmarszczyłem czoło.

- Przecież stosowali praktyki Sithów! Zapomniałeś już o Exarze Kunie i reszcie?

- Nie zapomniałem, Keiran. Poznali nauki Jedi za pośrednictwem ludzi, którzy wprawdzie przyjęli filozofię i przemyślenia Sithów, ale nie byli dość zaawansowani, by stać się nimi w pełni. Ich mistrzowie nie zdążyli otworzyć swoich uczniów na Ciemną Stronę Mocy. Po śmierci mistrzów Jensaarai dalej uczyli się sami, za nadrzędny cel stawiając sobie unikanie Jedi. Stosowali Moc do obrony - wybrali więc właściwą ścieżkę, choć z niewłaściwych powodów.

Wzdrygnąłem się.

- Ale przecież jeśli tak nienawidzili Jedi, powinni byli pomóc Imperatorowi w ich zgładzeniu.

Saarai-kar pochyliła się, ukrywając twarz w dłoniach.

- Znowu nas zdradzono.

Załkała, a jedna z jej uczennic - Czerwona - zdjęła maskę.

- Kiedy Imperator zaczął prześladowania Jedi, syn Saara-kar był już w wieku, który zapewniał mu niezależność. Wbrew jej życzeniom opuścił ją i zaproponował swoje usługi Darthowi Vaderowi. Został natychmiast zgładzony, a łowcy Jedi przybyli tu, ale nigdy nas nie znaleźli. Byłam wtedy dzieckiem, ale pamiętam ukrywanie się i ciągły strach. Nasza społeczność dodawała nam jednak siły.

Kiwnąłem głową.

- A kiedy zaczęła się Rebelia, nie mogliście się do niej przyłączyć, bo wychwalała tych samych Jedi, którzy stali się przyczyną powstania waszej wspólnoty.

Saarai-kar podniosła głowę, ocierając łzy.

- Nie jesteśmy źli.

Luke przyklęknął przed nią na jedno kolano.

- Nie, Jensaarai nie są źli, ale też nie są całkiem dobrzy.

- Co? - zawołała z oburzeniem. - Jak możesz twierdzić coś takiego?

- To prosta prawda, której jesteś częścią, ale patrzysz na nią z tak bliska, że jej nie dostrzegasz. Pracujesz z pełnym poświęceniem na rzecz swojej społeczności, swoich studentów, a oni odwiedzają cię się tym samym. To was uratowało przed Ciemną Stroną. Nawet gdy pomagaliście Tawirze, robiliście to, żeby ochronić siebie i mieszkańców Susevfi. To było dobre, ale nie jest to cała prawda o tradycji Jedi.

Luke uśmiechnął się ciepło.

- Bycie rycerzem Jedi oznacza poświęcenie się obronie każdego. Nasze obowiązki mają pewne granice. Na przykład Nejaa Halcyon ograniczał się do działania w ramach układu słonecznego Korelii, chyba że nadzwyczajne okoliczności wzywały go gdzie indziej. A kiedy już odleciał ze swojego systemu, był gotów oddać życie w służbie innych. Wy tutaj nie słyszycie wołania galaktyki, zamykacie się przed tą służbą, co ogranicza wasz dostęp do Mocy i wszystkiego, co może wam zaoferować. W mojej akademii moglibyście poznać tę szerszą tradycję, oczywiście jeśli tego chcecie.

- Rozważę twoją propozycję. - Saara-kar wzdrygnęła się. - Czy mogłam być w błędzie przez tyle lat?

Uśmiechnąłem się do niej.

- Nie byłaś w błędzie. Robiłaś to, co uznawałaś za słuszne, w obronie innych. To nigdy nie jest błąd.

Mój mistrz Jedi wstał.

- On ma rację. Możemy po prostu pomóc ci rozszerzyć te działania. Keiran na przykład jest spadkobiercą jednej z tradycji Jedi, ja wyrosłem z innej. Ty i Jensaarai jesteście częścią jeszcze innej. Jeśli pozwolisz, zaprosimy cię w krąg tradycji służby na rzecz innych, tak aby wszystkie nasze techniki spłoty się w jedną tkaninę, której nie będzie w stanie rozerwać.

EPILOG

Zobaczyłem Luke'a znowu jakieś trzy dni później. Spotkałem go w Pałacu Gubernatora, nie całkiem przypadkowo. Szedłem właśnie, żeby się z nim zobaczyć, ale wykułem, że rozmawia z Saara-kar, więc postanowiłem poczekać na platformie ładowniczej dla promów na dachu budynku. Patrzyłem na nocne niebo nad Yumflą, na rozmigotany pierścień planet rozciągający się nad horyzontem. Gwiazdy za pierścieniem wyglądały jasno i zapraszająco, a kosmiczna pustka między nimi - tak czarno i zimno.

- Tu cię znalazłem, Corran. - Luke podszedł z uśmiechem. - Twoja żona ma rację, rzeczywiście lepiej ci w ciemnych włosach.

Przejechałem czuprynę palcami.

- Chyba tak. Myślę, że je trochę zapuszczę. Ale nie zdecydowałem się, co dalej z brodą i wąsami.

- Na twoim miejscu bym je zgolił. - Luke wzruszył ramionami i oparł się obok mnie o kamienną barierkę wokół lądowiska. - Miałem nadzieję, że się spotkamy przez tych parę dni.

- Przepraszam, ja i Mirax... hrm, sprawdzaliśmy, czy „Gwiezdny Piruef” jest gotowy do podróży z powrotem na Coruscant. - Machnąłem niedbale ręką w kierunku kosmoportu. - Możemy cię podrzucić, jeśli masz ochotę.

- Nie. Pewnie chcecie trochę побыć sami. Elegos dowiedział się o pochodzącym z Alderaan zwyczaju pozostawiania darów na grobie zmarłego. Ooryl i ja polecimy na Kerilt, zabierzemy stamtąd córkę Elegosa, Releqy, i przewieziemy ich tam, gdzie będą mogli pozostawić dary dla Ylenika Ifkla.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

- Ja też muszę to kiedyś zrobić. Zostawię coś Ylenikowi w imieniu mojego dziadka.

- Myślę, że obaj byliby z tego zadowoleni. - Mistrz Jedi spojrział na gwiazdy. - Po tem chciałbym pomóc Eskadrze Łotrów w odnalezieniu „Gnębiciela” i w zakończeniu kariery Leonii Taviry.

Wzruszyłem ramionami.

- Bez Jensaarai będzie tylko jeszcze jedną samozwańczą przywódczynią. Ktoś ją w końcu dopadnie... pewnie będzie to Nowa Republika. A może w końcu rozżłości Pella-eona, a ten postanowi zabrać Tawirze jej ulubioną zabawkę.

- To by nam było niewątpliwie bardzo na rękę. - Luke zamilkł na chwilę. Położył dłoń na murku ochronnym. - Muszę z tobą omówić pewną ważną sprawę.

- Ja też - uśmiechnąłem się do niego. Ostatnio poświęciłem sporo czasu na rozmyślanie o moim życiu. Analizowałem powiedzenie mojego ojca o mężczyźnie w lustrze. W końcu rozpoznałem w nim siebie, ale zmuszało mnie to do podjęcia paru trudnych decyzji. Wzruszyłem ramionami.

- Nie wracam do akademii. Nie będę pełnoetatowym Jedi.

- Ciekawe.

Uniosłem brew.

- Tak?

- Tak. Miałem cię właśnie poprosić, żebyś nie wracał do akademii.

Otworzyłem usta ze zdumienia.

- Chyba nie byłem aż tak nieznośny?

Mistrz Jedi potrząsnął głową.

- Nie, wcale nie. Widzisz, ty przez całe życie uczyłeś się tego, co staram się przekazać moim uczniom. Masz już podstawy, dzięki którym nauka stosowania technik i narzędzi Jedi po prostu dobudowuje w tobie kolejną warstwę. Wyznacza ci zarazem nowe zadania, do których wykonywania jesteś dobrze przygotowany. Kiedy opuszczałeś akademię, zwróciłeś moją uwagę na fakt, że Nejaa rzadko przywdziewał swoje szaty Jedi, polegając zazwyczaj na innych umiejętnościach, jeśli wystarczały, by rozwiązać problem.

Uśmiechnąłem się, bo zrozumiałem, co ma na myśli. Kiedy twoim jedynym narzędziem jest hydroklucz, powinieneś zabrać się za przykręcanie lub odkręcanie.

- Chyba rozumiem.

- Nic dziwnego. W końcu jesteś detektywem. - Luke roześmiał się lekko. Wykryłeś, że to Exar Kun kryje się za śmiercią Gantorisa i jest źródłem naszych kłopotów, a wszystko dzięki temu, że jesteś wyszkolonym dochodzeniowcem. Ja przegapiłem wszystkie dowody albo nie chciałem w nie uwierzyć, bo nie widziałem, w jaki sposób łączą się ze sobą. Właśnie ta umiejętność powiązania odległych rzeczy w jeden większy obraz będzie potrzebna nowym Jedi. Szkolenie, które ma tego nauczyć, tobie na nic by się nie przydało.

- Bardzo możliwe, że masz rację.

Założył ręce na piersi.

- A dlaczego ty sam nie chcesz wracać?

Wzruszyłem ramionami trochę niepewnie.

- Trochę z powodu tego, co mówiłeś o Nejaa, a częściowo chodzi o sposób, w jaki wypędziłem stąd Tavirę. Myślę, że najwięcej dobrego w tej chwili mogę zdziałać w Eskadrze Łotrów. Wystarczy popatrzeć na ciebie: ciągle wzywają cię do rozwiązywania problemów na skalę galaktyczną, musisz więc pozostawiać akademię pod opieką innych, podczas gdy najbardziej chciałbyś kształcić nowych Jedi. Pozostając Corranem Hornem z Eskadry Łotrów, mogę wykorzystać moje umiejętności w krytycznych momentach, nie będąc jednocześnie rozrywany na prawo i lewo.

- Będziesz też mógł zostać na Coruscant i założyć rodzinę.

- Między innymi. - Uśmiechnąłem się, przypominając sobie, ile czasu poświęciliśmy z Mirax na „sprawdzenie”, a ile na faktyczne naprawy „Gwiezdnego Piruetu”. - Tym, co tak bardzo przestraszyło Tavirę, że uciekła, było przekonanie, że tak naprawdę nie zniszczyliśmy Pogromcy Słońc. Sądziła, że Pogromca krąży gdzieś w przestrzeni i poluje właśnie na nią. Myślę, że pozostając w ukryciu, będę niespodzianką dla wszystkich, którzy potrzebują zaskoczenia.

- A więc Keiran Halcyon umiera?

- Nie umiera, po prostu znika. Niewiele osób wiedziało, że Keiran to ja, więc nie powinno być problemów z utrzymaniem tego w tajemnicy. - Wyciągnąłem rękę i położyłem na ramieniu Luke'a. - Gdy tylko będziesz potrzebował Keirana, pojawi się. Gdy będziesz potrzebował Corrana - też przybędzie ci na pomoc. Nie sposób zaprzeczyć, że bez ciebie ja sam byłbym martwy, Mirax uwięziona, a Tavira nadal plądrowałaby galaktykę.

Luke uśmiechnął się.

- A bez ciebie ja leżałbym nieprzytomny na szczycie świątyni na Yavin 4. Jesteśmy kwita. Moim siostrzeńcom nic się przez ten czas nie stało, więc może nawet jestem ci coś winien.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. - Uśmiechnąłem się szeroko. - Jest jeszcze coś, co chciałbym zrobić przed powrotem na Coruscant, żeby zamknąć całą tę sprawę. Oczywiście, jeśli pozwolisz.

Luke kiwnął głową.

- Słucham.

Powiedziałem mu.

Zawisłem moim X-skrzydłowcem na wysokości - jak twierdził Gwizdek - dziewiętnastu metrów i pięćdziesięciu dwóch centymetrów nad powierzchnią planety, oko w oko z posągami Exara Kuna. Właściwie posąg znajdował się o dobre pół kilometra przed dziobem statku, ale miałem wrażenie, że puste oczy posągu wpatrują się we mnie.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Gwizdek, masz wszystkie sensory nastawione na nagrywanie i przekazujesz dane na bieżąco do komputera „Podniebnego Piruetu” i Wielkiej Świątyni?

Związły świergot Gwizdka przypomniał mi, że robot nie zwykł zapominać poleceń - ani pętać się nie wiadomo po co, po galaktyce, pozwalając, by przyjaciele martwili się o niego do utraty obwodów.

Kiwnąłem głową.

- Jesteśmy gotowi. Możemy strzelać. - Przetawiłem przełącznik uzbrojenia na pojedyncze torpedy protonowe. Ustawiłem celownik na twarz Exara Kuna i wyłączyłem kanał audio. Nie miałem nic przeciwko temu, by z Wielkiej Świątyni obserwowano, co robię, ale to, co miałem do powiedzenia, było sprawą tylko między mną a Kunem.

- Wiem, że nie żyjesz, ale wiem też, że przewidziałeś to, co się stanie. Twoja świątynia może sobie być zabytkiem architektonicznym o wielkiej wartości, prawdziwym cudem galaktyki, ale jest też pomnikiem zła. Użyłeś jej, by zainfekować nim Kypa. Wystarczyły twoje glify, by zarazić złem mrocznego Jedi, który zabił mojego dziadka. Twoje zło stworzyło Jensaara, a chociaż oni sami wzniesli się ponad to zło, wielu ludzi ucierpiało i zginęło z jego powodu. Nie chodzi mi jednak o zemstę, choć ty pewnie byś chciał, żeby tak było. To zwykły środek ostrożności. - Położyłem palec na spuście. - Nikt nie zostawiłby miecza świetlnego w dzieciennym kojcu, a ta świątynia jest milion razy bardziej niebezpieczna.

Wcisnąłem spust i posłałem w posąg torpedę protonową. Głowica eksplodowała przy zetknięciu z nosem posągu, rozrywając jego czaszkę na tysiące kawałków, które opadły na ziemię wśród snopów iskier i kłębow białawego dymu. Deszcz odłamków posągu Exara Kuna rozciął wąskim klinem lustro wody, na zawsze niszcząc ostatni nieknięty fragment powierzchni planety.

Dwie kolejne torpedy rozbiły posąg Kuna na wysokości talii i kolan, a pozostałe wpakowałem w postument, na którym stał posąg. Rozpadł się pięknie; duże kawały kamienia uderzały o podłogę, odbijały się od niej i wpadały do środka świątyni, ścieraając w proch jedną za drugą tablice pokryte inskrypcjami Sithów. Niektóre odbijały się rykoszetem od ścian świątyni na tyle wysoko, by przelecieć nad nimi i wpaść w zimne, czarne jezioro.

Przełączając uzbrojenie na lasery metodycznie ostrzeliwałem świątynię, rozgrzewając kamienne ściany, aż zaczęły spływać. Kłęby pary wzbijały się do góry, gdy stopione głązy, bezkształtne i pozbawione już wszelkich napisów, wpadały do wody. Kiedy skończyłem, pozostała tylko wyspa - nadal czarna jak noc, ale teraz o miękkich, zaokrąglonych kształtach, już nie ostra, już nie silna.

Już nie centrum władzy, ale spokojne miejsce na środku jeziora, które znowu może odbijać gwiazdy i ich bezkresny spokój.

Włączyłem kanał łączności.

- Tu Łotr Dziewięć. Misja wypełniona.

Mój kask wypełnił głos Mirax:

- Odebraliśmy, Łotr Dziewięć. Mistrz Skywalker mówi, że dobrze się spisałeś.

- Podziękuj mu ode mnie. Zrobiłem to z przyjemnością. - Uśmiechnąłem się. - Exar

Kun pokonany, Gnęby uciekły, świątynia zrównana z ziemią, a ty z powrotem w domu.

Zostało nam jeszcze jedno zadanie, żeby zamknąć tę całą sprawę.

- Jeszcze jedno zadanie?

- Najtrudniejsze ze wszystkich, kochanie - roześmiałem się. - Musimy zawiadomić twojego ojca, że nasze pierwsze dziecko nie będzie nosić po nim imienia.

O AUTORZE

Michael A. Stackpole jest pisarzem i projektantem gier, zarówno tradycyjnych, jak i komputerowych, za które otrzymał wiele nagród. Mieszka z trzema psami, a kiedy nie pracuje, gra w piłkę nożną z przyjaciółmi i jeździ rowerem górskim. W tej chwili ukończył pisanie ostatniej powieści z cyklu o X-skrzydłowcach i Eskadrze Łotrów. Jest również autorem komiksów o X-skrzydłowcach publikowanych przez wydawnictwo Dark Horse. Obecnie pracuje nad serią epickich powieści fantasy zatytułowanych *The Dragoncrown War* dla wydawnictwa Bantam.

Więcej wiadomości o autorze można uzyskać, zaglądając na jego witrynę w Internecie, pod adresem <http://www.flyingbuffa-lo.com/stackpol.htm>.

PODZIĘKOWANIA

Autor pragnie podziękować następującym osobom za pomoc w tym przedsięwzięciu:

Joannie Silverstein i Ricii Mainhardt- dzięki którym projekt ruszył do przodu, Tomowi Dupree - który wymyślił tytuł i sylwetki bohaterów, i Patowi LoBrutto—który bezpiecznie doprowadził nas do domu.

Sue Rostoni, Lucy Autrey Wilson i Allanowi Kasch - którzy z pełną ufnością powierzyli mi tak ważną część wszechświata Gwiezdných Wojen.

Peetowi Janesowi z wydawnictwa Dark Horse Comics - który nieprzerwanie promował postać Leonii Taviry, dzięki czemu pojawiła się na kartach tej książki.

Kevinowi J. Anderson - który nakreślił tło dla połowy tej książki, oraz A.C. Crispinowi i Kristine Kathryn Rusch - którzy pomogli mi opracować najsmaczniejsze jej kąski.

Specjalne podziękowania należą się Timothy Zahnowi, za to, że wielkodusznie sprawdził wszystkie strony, na których pojawiają się stworzeni przez niego bohaterowie, zaproponował poprawki, dzięki czemu stały się lepsze, i nie szczędził wysiłku, by stopić własne dwie powieści z kręgu Gwiezdných Wojen z moją książką. Nie wyobrażałem sobie wcześniej, że praca z Timem nad tą powieścią będzie tak dobrą zabawą.

Gwiezdnym Damom - które były zyczliwymi pierwszymi czytelnikami, Kali Hale - za przenikliwe uwagi, Tishowi Pahl - za szybkie przeprowadzenie badań na temat mieczy świetlnych i pozostałym Żółtym Psom - łączę się z wami w bólu.

Jeniffer Robertson - która jak zwykle poszatkowała tę opowieść, a zwłaszcza Liz Danforth - dzięki której udało mi się przeżyć ten szaleńczy miesiąc, kiedy powstawała niniejsza książka. Nigdy za wiele podziękowań za to, że mi towarzyszyłaś (jeśli akurat nie byłaś w Hiszpanii).